

Ron Jeffery

Wisła jak krew czerwona.

Wspomnienia Anglika – żołnierza Armii Krajowej, tłumaczył Roman Antoszewski,

Jan Nowak-Jeziorański

PRZEDMOWA

Czytelnik, który weźmie tę książkę do ręki, powinien dobrze zdać sobie sprawę, że autor tych wspomnień stał się w polskim ruchu podziemnym postacią niezwykle i wyjątkową. Ronald Jeffery, Anglik, który dostał się do niewoli niemieckiej, zbiegł z kolegami z obozu jenieckiego w Łodzi do Warszawy i tam wstąpił na ochotnika do Armii Krajowej, jest niewątpliwie nie tylko jedną z najbardziej kolorowych, ale także heroicznych postaci polskiego ruchu podziemnego. Odznaczył się wręcz szaleńczą odwagą wobec której błędną wyczyny Kmicica i Skrzetuskiego.

Miał talent do języków obcych. Prócz angielskiego znał francuski i niemiecki. W Warszawie bardzo szybko nauczył się mówić po polsku. Wywiad Armii Krajowej szybko się na nim poznał. Rony został zaprzysiężony, przeszedł odpowiednie przeszkolenie i został pracownikiem wywiadu. Austriackim i niemieckim szpiegiem, dostarczającym nam wiadomości, imponował bezpośredni kontakt z autentycznym agentem brytyjskiego Intelligence Service. Jeffery nigdy nim nie był, ale w tej roli nasza Dwójka wysyłała go do Pragi, Wiednia i Hamburga. Każda taka wyprawa z fałszywymi dokumentami łączyła się ze śmiertelnym niebezpieczeństwem. Aresztowanie i śmierć czyhały na każdym kroku, ale Anglik w polskiej służbie nie znał uczucia lęku. Przeżywał przygody, które mogą się wydawać wręcz nieprawdopodobne, a jednak były prawdziwe. Rony stał się legendą. Odznaczony został przez dowódcę Armii Krajowej Krzyżem Walecznych, co zdarzało się wówczas niezmiernie rzadko.

Kiedy powróciłem do Warszawy z mojej pierwszej wyprawy do Szwecji i szykowałem się do następnej, do Londynu, zbierałem ładunek informacyjny o sytuacji w Polsce, którym miałem się wkrótce podzielić z władzami polskimi i brytyjskimi po dotarciu do mety. Nie pamiętam, kto mi zwrócił uwagę, że warto porozmawiać z Anglikiem, który działa w naszym wywiadzie i odznacza się niezwykle inteligencją. Jego przyjaciel, Szkot, Thomas Muir, uczył mnie angielskiego. Jeśli mnie pamięć nie myli, zaprowadziła mnie na miejsce spotkania łączniczka Komendy Głównej „Magdalena” (Zofia Straszewska). Pamiętam po dziś dzień tę schadzke, gdzieś na rogu placu Dąbrowskiego i Kredytowej. Zapamiętałem, że Rony był w popielatej cyklistówce i miał szalik w kratkę. Zachowywał się z rezerwą właściwą Anglikom i okazywał pewną powściągliwość. Mówił po polsku całkiem nieźle, ale z wyraźnym akcentem. Powiedziano mi, że ma fałszywe dokumenty z polskim nazwiskiem, więc ten akcent musiał niebezpiecznie zwracać na niego uwagę. Pomyślałem, że jako rodowity Anglik i podoficer brytyjskiego pułku piechoty będzie miał wśród Brytyjczyków o wiele większą wiarygodność od Polaka. Na odprawie u Bora-Komorowskiego 23 sierpnia 1943 r. zaproponowałem, że wezmę ze sobą do Anglii Jeffery'ego. Obecny na odprawie szef sztabu AK, generał Tadeusz Pełczyński, sprzeciwił się temu ze względów bezpieczeństwa i zaproponował, abym zabrał ze sobą jego list opisujący zwięźle walkę Polaków z okupantem. List w mikrofilmie mógłbym włączyć do mojej kurierskiej poczty. Tak się też stało. Jeffery'ego już nie zobaczyłem, ale sprawa została załatwiona przez łączniczkę. List, w którym była mowa między innymi o zagładzie dwóch milionów Żydów, zaadresowany był do londyńskiego „Timesa”. Dziennik odmówił ogłoszenia go, zasłaniając się troską o bezpieczeństwo ukrywających się w polskim podziemiu jeńców brytyjskich.

Zanim jeszcze dotarłem do Londynu, Oddział Szósty Sztabu Naczelnego Wodza otrzymał wiosną 1943 r. depeszę od „Kaliny” (generała Stefana Roweckiego) z gratulacjami dla pułku Royal West Kent Regiment dotyczącymi jego wychowanka, Ronalda Clarence’a Jeffery’ego, i propozycją awansowania go do stopnia podporucznika Armii Brytyjskiej. Generał uzasadnił swój wniosek aktywnością Jeffery’ego, która zyskała mu pełne zaufanie przełożonych.

Żaden inny Anglik ani Polak nie został wyróżniony taką pochwalną depeszą.

Zorientowałem się w Londynie, że wobec sowieckiej kampanii propagandowej kwestionującej istnienie i walkę AK sprowadzenie Jeffery’ego do Londynu, gdzie byłby jako Anglik świadkiem o wiele bardziej wiarygodnym od Polaka, jest sprawą wielkiej wagi. Nie chcąc narazić się Sowietom, Anglicy odmówili wysłania do Polski misji wojskowej, której meldunki miałyby olbrzymie znaczenie. Ronald Jeffery stał się niejako nieoficjalną jednoosobową obserwacyjną misją brytyjską w Polsce. Zdołałem przekonać o tym oficerów dla Polski życzliwych brytyjskiego SOE. Czternastego lutego 1944 r. SOE wysłało do dowódcy Szóstego Oddziału depeszę następującej treści (w tłumaczeniu na polski):

OS.L.dz.1207-14 lutego 1943

Badamy obecnie dane kaprała Jeffery’ego z Królewskiego Pułku Zachodniego Kentu. Jak Panu wiadomo, przebywa on od bardzo dawna w Warszawie. Jak słyszymy, współdziała z Komendą Główną armii podziemnej. Jak się dowiadujemy, pochodzi z dobrej rodziny z klasy średniej, jest wykształcony i inteligentny. Uważamy, że powinien być sprowadzony do Anglii i że może udzielić dużo informacji o armii podziemnej.

Ostatnia wizyta Nowaka i jego rozmowy z osobistościami angielskimi okazały się niezmiernie pożyteczne. Prawdopodobne jest, że gdy jego śladami przybędzie tu obserwator brytyjski i powtórzy wszystko to, co opowiedział Nowak, będzie to bardzo przekonywujące.

Czy zatem byłaby możliwość sprowadzenia tu kaprała Jeffery’ego przez operację „Wildhorn”.

(Chodziło o podjęcie go z Polski samolotem brytyjskim lądującym w okupowanej Polsce. Kryptonimem polskim tej operacji był „Most”).

Podpisane: Pickles Major

Stosując się do prośby Anglików, pułkownik Michał Protasewicz wysłał 16 lutego 1943 r. następujący radiogram:

Postarajcie się wysłać Hudsonem Anglika kaprała Jeffery’ego, który pracował z Nowakiem. Będzie potrzebny do zwalczania propagandy.

Jeffery nie czekał jednak, aż go Polacy wyślą. W tydzień zaledwie po wyjściu tej depeszy pułkownik Protasewicz wezwał mnie, abym niezwłocznie stawił się na Belgrave Square, w siedzibie Szóstego Oddziału. Jakież było moje zdumienie, gdy w jego gabinecie czekał na mnie Rony we własnej osobie. Powściągliwego jak zawsze Anglika przywitałem z wylewną serdecznością. Anglicy z SOE mieli zorganizować mu spotkanie z ważnymi osobistościami w Rządzie Jego Królewskiej Mości. Zaczęli od ambasadora przy rządzie polskim, sir Owena O’Malleya.

Nie lada wstrząs spotkał mnie, gdy po kilku tygodniach po raz drugi wezwany zostałem na Belgrave Square. Czekano na mnie dwóch panów z SIS (Special Intelligence Service), by mi oznajmić, że Ronald Jeffery okazał się podwójnym agentem. Został przerzucony z Polski do Szwecji przez niemiecki

wywiad. Na poparcie tego oskarżenia zostałem poinformowany z wszystkimi szczegółami o przebiegu wyprawy Jeffery'ego z Warszawy przez Danię do okupowanej Norwegii, a stamtąd w roli uchodźcy przetrzonego przez Niemców przez zieloną granicę do Szwecji. Opis ten dokładnie zgadza się z tym, co czytelnik znajdzie w tej książce, z pominięciem faktów, które przeczyły straszliwemu oskarżeniu. Trudno mi było uwierzyć, by człowiek, który narażał dla Polski własne życie, mógł być zdrajcą. Byłem zgnębiony i osłupiały. Wierzyłem jednak ślepo, że to, co mówi angielski kontrwywiad, musi być prawdą. Powiedziano mi, że informacje o przebiegu podróży Jeffery'ego pochodzą od niego samego, i zapytano mnie o opinię, czy moim zdaniem jego opowiadanie jest zmyślane. Odpowiedziałem, że historia o niemieckim wysokim dygnitarzu niemieckiego wywiadu, który organizuje jeńcowi angielskiemu przerzut do Anglii, bo chce przejść na jej stronę, wydaje mi się wręcz niesamowita, ale wszystko jest możliwe.

Wkrótce po zakończeniu wojny okazało się, że wypowiadając się w najlepszej wierze, popełniłem błąd, fatalny w skutkach dla naszego angielskiego przyjaciela. Wkrótce po kapitulacji Niemiec rozmawiałem z pułkownikiem Haroldem Perkinsem, szefem działu SOE na Polskę. Wobec tego, co usłyszałem, sprawa Jeffery'ego ukazała się w zupełnie innym świetle. Perkins i jego kolega major Truscoe nie wierzyli ani przez chwilę, by Rony był na służbie wywiadu niemieckiego. Jego oskarżyciele opierali się wyłącznie na tym, co on sam im opowiedział o sposobie dostania się z Polski do Anglii. Gdyby rzeczywiście Jeffery był niemieckim agentem - powiedział mi Perkins - złożyłby zupełnie inną relację ukrywającą prawdę.

Ronald Jeffery - powiedział mi w największej tajemnicy pułkownik Perkins - padł, podobnie jak ja, ofiarą intrygi antypolskich elementów w łonie angielskiego wywiadu.

Moje własne przygody opisałem szczegółowo w Kurierze z Warszawy (s. 238-243). Na skutek zabiegów premiera Stanisława Mikołajczyka zgodził się mnie przyjąć Winston Churchill. Wizytę poprzedzić miała rozmowa z osobistym asystentem premiera, majorem Desmondem Mortonem. Morton złożył Churchillowi pisemny raport z tej rozmowy, który od początku do końca fałszował moją wypowiedź w sposób, który miał mnie zdyskredytować. Przyjęcie mnie przez premiera na Downing Street zostało odwołane. Raport Mortona dotarł do SOE i tą drogą do Szóstego Oddziału. Nie straciłem zaufania władz polskich, bo obecny przy rozmowie z Mortonem radca Józef Żarański zaprzeczył kategorycznie, jakoby wypowiadał się w sposób przypisywany mi przez najbliższego współpracownika premiera.

Jak powiedział mi Perkins, dokładnie to samo przydarzyło się Ronaldowi Jeffery'emu. Ambasador brytyjski sir Owen O'Malley był pod takim wrażeniem rozmowy z nim, że postarał się o zaproszenie go przez Churchilla i Edena. Nic z tego nie wyszło. W momencie kiedy Ronald Jeffery wyjeżdżał do letniej rezydencji Churchilla w Chartwell, został nagle wstrzymany i wezwany na przesłuchanie przez kontrwywiad. Do spotkania z Churchillem nie doszło. Jeffrey - rzecz znamienna - dostał zakaz kontaktowania się z prasą i wystąpień publicznych. Czyli został po prostu „unieszkodliwiony”. Perkins był przekonany, że w obu przypadkach działała ta sama ukryta ręka. Żaden z nas obu nie podejrzewał wtedy jeszcze, że tą „ręką” byli Brytyjczycy na służbie wywiadu sowieckiego.

W latach osiemdziesiątych pojawiły się w Wielkiej Brytanii całe tomy rewelacji o sowieckich szpiegach w rządzie brytyjskim, zwłaszcza w wywiadzie. W roku 1984 londyński „Sunday Times” (22 lipca 1984) ogłosił artykuł Barriego Penrose'a i Simona Freemana pod tytułem MI5 list reveals its 21 Spy. Autorzy artykułu twierdzili, że odsłonięty został zaledwie wątek ukrywanej prawdy. Spóźnione dochodzenia objęły 41 osób, z czego 21 wypadków uznano za udowodnione. Już w roku 1948 brytyjska służba bezpieczeństwa ustaliła, że 16 podejrzanych było ponad wszelką wątpliwość

agentami wywiadu sowieckiego. Wielu z nich było wysokimi urzędnikami w Foreign Office i w wywiadzie. Znalazł się na tej liście asystent pułkownika Perkinsa w SOE - kapitan Armant Uhren, który miał w swojej pieczy sprawy polskie. Wraz z innym agentem aresztowany był przed końcem wojny i skazany na siedem lat więzienia. Dotychczas nikt nie ośmielił się zbadać działalności Desmonda Mortona, najbliższego współpracownika i doradcy Churchilla.

W chwili gdy Stalin i jego propaganda oskarżali AK, że nie walczy z Niemcami, lecz morduje komunistów, pojawienie się w Londynie dwóch naocznych świadków znających fakty z pierwszej ręki w osobie mojej i rodowitego Anglika Jeffery'ego było Sowietom szczególnie nie na rękę.

Jak już wspomniałem, zdołałem wybronić się przed Mortonem zarówno w oczach Anglików, jak i Polaków. Jeffery niestety był w trudniejszej sytuacji. Niczego mu nie udowodniono i gdy tylko udało się sowieckim wtyczkom udaremnić jego rolę świadka występującego wobec przywódców Wielkiej Brytanii, parlamentu i prasy - dali mu spokój. Ronald Jeffery, rozgoryczony krzywdą jaką go spotkała z rąk rodaków, wyemigrował z własnego kraju i osiedlił się wraz ze swoją polską żoną i córeczką w dalekiej Nowej Zelandii.

Fascynujące wspomnienia Jeffery'ego odtwarzają niezapomniany nastrój Warszawy w latach Polski Walczącej i są jedynym świadectwem tego, jak walka AK widziana była oczyma cudzoziemca. Rony przestał być jednak cudzoziemcem. Zakochał się nie tylko w Polce, Marysi, przyszłej żonie i matce jego córeczki, która ukrywała go w Warszawie. Zakochał się w Polsce i Polakach. Píše o nich z głębokim sentymentem. O tę Polskę walczył na polskiej ziemi, narażając na każdym kroku własne życie, które był gotów za nią oddać. Narażał się nieustannie na aresztowanie, tortury śledztwa i śmierć. Jego przygody opisane w tej książce to jedno pasmo cudownych ocalań.

Jeffrey bardziej zasłużył na miano bohatera, aniżeli jakikolwiek cudzoziemiec walczący w polskich szeregach w kraju czy poza krajem. Zasłużył na najwyższe polskie odznaczenie wojskowe Virtuti Militari, ale nigdy go nie dostał.

Słowa te dyktuje mi chęć uczczenia i utrwalenia w pamięci bohaterskiego Anglika, który na ochotnika służył Polsce i nie otrzymał za to żadnej nagrody.

Jan Nowak-Jeziorański

WSTĘP

Chociaż bardzo bym chciał, nie mógłbym podnieść prawej ręki i przysiąc, że ta relacja o II wojnie światowej to prawda i tylko prawda. Wiele okoliczności dotyczących opisywanych zdarzeń nigdy nie ujrzy już światła dziennego. Leżą pogrzebane i rozrzucone w niezliczonych grobach i w świadomości ludzi na całym świecie, niemożliwe do scalenia w jeden pełen i jasny obraz.

Moją własną drogę przez ten wielki konflikt mam w pamięci zachowaną wiernie, pamiętam też wiele doświadczeń i zdarzeń, których los uczynił mnie uczestnikiem lub świadkiem. Przyznaję jednak, i proszę o wyrozumiałość w tym względzie, że znajduje się tu wiele niezamierzonych i nie do ominięcia niedokładności spowodowanych kruchością pamięci i czasem, jaki upłynął od tych wypadków. Prowadzenie notatek na terytorium wroga nie jest wskazane, a po czterdziestu latach nawet najlepsza pamięć może zawodzić co do godzin zdarzeń, dni, tygodni, a czasem nawet miesięcy. Sama istota

pracy w podziemiu w czasie wojny ogranicza precyzję zdawania relacji z przebiegu wypadków. Poszczególne osoby prowadziły możliwie skąpe notatki, a najbardziej bezpiecznym sposobem porozumiewania się były rozmowy. Przekazywanie fałszywych informacji, zarówno przyjaciółom, jak i wrogom, było powszechne. Wspólnicy, którzy wpadli w ręce wroga, nie mogli więc zdradzić niczego o istotnym znaczeniu, ponieważ to, co wiedzieli i co mogłoby zostać z nich wydarte przemocą nie było prawdą. I to jest kolejna przyczyna ograniczeń autentyczności moich wypowiedzi.

Ze swej strony, kiedy to tylko było możliwe, zniekształcałem informacje o sobie, i tak, kiedy mieszkalem w jednej dzielnicy okupowanej Warszawy, starałem się robić wrażenie, że mieszkam w zupełnie innej. Kiedy wyjeżdżałem do Berlina, mówiłem, że udaję się do Wiednia, a kiedy jechałem w rzeczywistości do Hamburga, Praga była kodem miejsca docelowego. W ostatniej podróży do Anglii w 1944 r. dla wszystkich trasa moja wiodła przez Austrię i Szwajcarię. Tylko jedna osoba, architekt całej tej wyprawy, wiedziała, że naprawdę miałem jechać przez Niemcy, Danię, Norwegię i Szwecję, i tak też było.

Mówię dosyć dobrze po francusku. Większość moich wspólników i przyjaciół, gdyby ich złapano i wymuszono zeznania, podałyby, że podróżuję po Europie, udając Francuza pracującego dla Niemców. W czasie wojny podróżowałem jednak, udając od czasu do czasu Niemca, Polaka, Litwina, a nawet Rosjanina, zwolennika białych. Nigdy nie używałem francuskich dokumentów.

Wiele z tego, co zostało opublikowane o świecie szpiegowskim, powstało pod wpływem takich praktyk i trzeba o tym pamiętać, kiedy czyta się publikacje autorów, którzy nie wiedzieli, jak licznym zniekształceniom ulegały wiadomości, które do nich dotarły. Nie mam złudzeń, że tego rodzaju wpływom ulegałem też ja.

Niezależnie od tego, że wiele nazwisk i miejsc po prostu zapomniałem lub improwizowałem, co nie zmienia istoty rzeczy, niektóre z nich zmieniam z rozmysłem. Akcja rozgrywa się niekiedy również tam, gdzie nie ma jeszcze prawdziwego pokoju, i dla wielu osób bezpieczniej jest, by nie podawać ich prawdziwych nazwisk.

Opisy tu zawarte okrucieństw i cierpień, humoru i radości pochodzą z moich własnych obserwacji. Czas stępił mocno surowość ocen. Mało kto potrafi zrozumieć wojenne namiętności i pasje, które w czasie pokoju podlegają najostrzejszym ograniczeniom. Uwaga ta może wydawać się płytka tym, którzy nigdy nie znaleźli się pod presją uczucia skrajnej nienawiści, miłości ojczyzny, chęci zemsty czy wreszcie szalonego podniecenia w danym momencie, powodujących działania zarówno przerażające, jak i wspaniałe. Jeśli zaoszczędzone im było przeżycie tak skomplikowanych doznań związanych z życiem i śmiercią niech będą wdzięczni za swój dobry los, którego historia poskąpiła wielu innym.

Mniej więcej w połowie wojny przejrzałem, jakie cele i metody stosuje rosyjski komunizm. Do tego czasu, począwszy od lat studenckich, zauroczony byłem na tyle, by wierzyć nieco mgliście, że nowa ideologia może przynieść ogólny pożytek ludzkości. Natura ludzka już taka jest, że wypacza takie ideologie i wcześniej czy później dostają się one pod wpływy osób, które nie mają nic wspólnego ze szlachetnymi zamierzeniami twórców.

Ujarmienie i komunizacja Polski były sprawą podstawową spośród wielu innych celów agresji sowieckiej. Walka Polaków i ich podziemnej Armii Krajowej przeciwko Niemcom jest tematem dominującym tej książki, Rosjanie jednak muszą także zajmować tu miejsce, jako że stali z boku, podczas gdy ich potencjalni wrogowie osłabiali i wybijali się wzajemnie.

Stosunek moich rodaków do mnie po powrocie w 1944 r. był wtedy dla mnie zupełnie niezrozumiały. Rany spowodowane tą niesprawiedliwością zagoiły się, ale od czasu do czasu powodują jednak ból. Takie potraktowanie mnie to wynik wpływów, jaki mieli wysoko postawieni i dobrze okopani komuniści w szeregach brytyjskiej wojskowości i służby cywilnej. Z wielu przyczyn nie mogłem być zaakceptowany przez tych zdradzieckich panów.

Nie dbam o to, że moje niezbyt uprzejme uwagi o Sowietach mogą pociągnąć za sobą dalszą krytykę i narobić mi wrogów, wprost przeciwnie, każde takie ich działanie będę uważał za komplement.

Relacja o moich losach po powrocie z kontynentu dotyczy wywiadu brytyjskiego, jak i Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Nieprzyjemnie jest o tym mówić patriotcie. Wiele z tych spraw udokumentowanych zostało w tej książce, inne wcześniej zostały już podane do publicznej wiadomości. Jeśli spojrzeć z pewnej perspektywy, stopień sowieckiej penetracji przez agentów działających w Wielkiej Brytanii osiągnął stopień plagi. Teraz, kiedy wojenne przymierza należą do przeszłości, w mniej przychylnych warunkach, termity drążą głębiej struktury demokratyczne, mnożą się i wzmacniają zdradzieckie wpływy. Kompetentni dziennikarze ujawnili nazwiska zdrajców, którym darowano winy po ich zdemaskowaniu. Procesy o zdradę i związane z tym rozgłos, który mógłby obnażyć więcej zrakowacenia, zostały zaniechane w wyniku tego dość niezwykłego, ale dobrze obliczonego precedensu. Duże znaczenie miała prawdopodobnie chęć zachowania obrazu brytyjskiej integralności, tak utrwalonego w światowej opinii. Cała ta strategia ukrywania wywołała niepokojący efekt - prawie każdy, kto był związany w jakiś sposób ze światem dyplomatycznym lub szpiegowskim, to osoba podejrzana. Kto zgadnie, ile nazwisk ukrywa się i znajduje ochronę w wyniku takiej polityki? Niektórym udało się uciec od wszelkich podejrzeń i są teraz na emeryturze lub zmarli, ale ilu dobrze zakamuflowanych i protegowanych ich następców służy sierpowi i młotowi w demokratycznym społeczeństwie?

Zamieściłem w tej książce szereg dokumentów i ilustracji, które podnoszą mam nadzieję, wiarygodność narracji.

Kiedy zabrałem się za pisanie tych wspomnień, zainteresowałem się bardziej różnymi opowiadaniem wojennymi. Autorzy literatury dokumentalnej i beletrystycznej z fascynującymi szczegółami opisują często stosowane w wywiadzie metody, które mają na celu przechytrzenie wroga. Roztropność, do której przywiązywałem dużą wagę, wymaga, by najbardziej skuteczne operacje nieco zamaskować lub nawet ich opis pominąć, dopóki nie pojawią się w podręcznikach szpiegostwa. Tę procedurę stosuję w całej książce. Moim zdaniem powinno to być obowiązkowe.

Osoby, które czytały tę książkę przed opublikowaniem, bardzo pomocne maszynistki i inni, którym jestem niezmiernie zobowiązany, komentowały często mój styl pisanie po angielsku. Wielu wyczuwało czy wykrywało pewną obcość w moim stylu pisanie. Zaznaczam, że moim językiem macierzystym jest język angielski. Kiedy miałem jedenaście lat i zacząłem chodzić do szkoły średniej, uczyłem się dwóch języków obcych - francuskiego i niemieckiego. Później moje kontakty z tymi językami, a także innymi, pogłębiły się. Bez biegłości w posługiwaniu się polskim i niemieckim ta autobiografia nie zostałaby napisana. Mówienie obcymi językami zawsze było dla mnie źródłem przyjemności i sprawiało mi satysfakcję. Na terytorium wroga nie należało do przyjemności być uważanym za swojego, ale opłacało się to nawet bardziej niż w czasie pokoju. W spokojnych czasach błędy językowe są wybaczone i często zabawne. W czasie wojny można było zapłacić gardłem za omyłkę w użyciu czasownika nieregularnego lub za wadliwą wymowę. Była to silna zachęta, aczkolwiek niepolecana w celu doprowadzenia wymowy do doskonałości. Wygląda więc na to, że długotrwałe używanie na co dzień w mowie i piśmie obcych języków wpłynęło na mój angielski.

Ten nieco poważny wstęp nie oddaje stylu całości. Miłość i śmiech to także części tej książki, i jeśli zainteresowałem czytelnika do tego miejsca, jest szansa, że zainteresowaniem będzie darzył tę książkę do końca. Na koniec, tym razem bez żadnych zastrzeżeń, słowo do polskich kobiet, w ich własnym, pięknym i bohaterskim kraju i tych rozrzuconych po krajach za siedmioma morzami: Pamięć o waszej dzielności, lojalności, umiejętności współczucia, wreszcie waszej piękności nigdy nie umrze. Wszystkim wam i każdej z osobna dedykuję tę książkę. Niech wam sprawi przyjemność taką jaką mnie sprawiło jej pisanie.

RON JEFFERY Nowa Zelandia 1984 r.

W poprzednim wstępie pisany rok temu podkreślałem konieczność ukrycia prawdziwych danych osobowych wielu polskich towarzyszy walki. Niektórzy z nich jeszcze żyją w Warszawie. Biorąc pod uwagę, że Polacy znów otwarcie walczą o wolność, jest rzeczą podwójnie konieczną by nie naprowadzić tajnej policji komunistów na ich ślad czy na ślad ich rodzin. Z tego względu wprowadziłem kolejne zmiany niektórych nazwisk, miejsc i dat. Sama opowieść, mimo podjętych środków ostrożności, jest prawdziwą informacją o zdarzeniach, które naprawdę miały miejsce.

RON JEFFERY Nowa Zelandia 1985 r.

WPROWADZENIE

Mój ojciec, urodzony w Anglii, żeglarz od lat najmłodszych, wylądował w Nowej Zelandii, gdzie na zapadłym Wybrzeżu Zachodnim Wyspy Południowej został górnikiem w kopalni węgla. Dla niego i tysięcy podobnych wybuch pierwszej wojny światowej był przez niebo zesłaną okazją oderwania się od wielogodzinnego wyrabiania węgla w podziemiu prymitywnej kopalni. Nie należy sądzić, że wstąpienie ojca do szeregów nie było motywowane głównie przez patriotyzm. Land of Hope and Glory w jego wykonaniu zawsze uciszało słuchaczy dzięki wspaniałemu tenorowi i przekonującej szczerości inspirującej jego śpiew. Oddział Strzelców Konnych opuścił port w Wellingtonie pod koniec 1914 r. Po kampanii pod Gallipoli ranni, którzy przeżyli, mój ojciec między nimi, przybyli na leczenie do ojczyzny, co stanowiło kontrybucję Anglii dla Anzac za wysiłek wojenny. Bolesną ceną zapłaconą przez ojca była sztywna prawa noga, którą mógł się jakoś posługiwać dzięki szczudłu. W pasie przepasywał się skórzanym pasem, do którego przymocowane były dwa żelazne pręty, po obu stronach sztywnej nogi. Pręty te wchodziły do otworów w olbrzymim czarnym bucie ortopedycznym. Kiedy byłem młodym chłopcem, widok tego buta z podwyższonym obcasem dla wyrównania skróconej nogi działał na mnie dziwnie przynębiająco.

W czasie rekonwalescencji w Londynie mój ojciec poślubił Trevethan, dziewczynę z Devon o kruczoczarnych włosach. Ja pojawiłem się na scenie w 1917 r., urodzony, jak wieść rodzinna głosi, w czasie nalotu zeppelinów. Okoliczności tej nie zanotowano w swoim czasie. W latach późniejszych doceniłem atrakcyjność mojej mamy. Zrozumiałem też, jak wielkimi zaletami musiał odznaczać się mój ojciec, skoro mimo swego kalectwa potrafił zdobyć tak piękną kobietę. Mama była dobrą pianistką. Głos ojca i jej gra mogły stanowić podstawę długiego i szczęśliwego małżeństwa. W kilka lat po mnie pojawiła się moja siostra Eileen, też tak czarnowłosa jak matka.

Mieszkaliśmy w tym czasie w Londynie, gdzie ojciec, mimo sztywnej nogi, rozpoczął prowadzenie interesów. Utrzymywał rodzinę, sprzedając mleko na jednym z najbiedniejszych przedmieść. Każdego dnia jak rok długi wstawał o trzeciej rano i kuśtykał do komórki, do której hurtownik dostarczał kilka baniek z mlekiem. Zawartość tych baniek przelewano do małych kanek, którymi obwieszane były boki trójkółowego wózka ręcznego. Reszta mleka mieściła się w wypolerowanym mosiężnym pojemniku majestatycznie umieszczonym pośrodku wózka. Z kurka w tym pojemniku płynęło mleko

do dzbanków i innych naczyń podstawianych przez gospodynie domowe przywoływane gromkimi okrzykami ojca; „Milko!”, kiedy pchał ulicami swój wózek wraz z jego płynnym ładunkiem. Po tak wczesnym rozpoczęciu pracy ojciec przychodził po lunchu do domu na dobrze zasłużoną drzemkę. Zachowywaliśmy się wtedy cichutko. Ojciec, głowa domu, zasłużył na odpoczynek. Mieszkaliśmy wtedy na zakopconej ulicy, gdzie każdy dom przylegał do sąsiedniego w obskurnym rzędzie. Na parterze był pokój frontowy i kuchnia ze zlewem, a na piętrze dwie sypialnie. Ubikacja była na małym podwórku, gdzie zimą bywało mroźnie. Nie było łazienki. W pomywalni wisiała cynkowa balia, którą zajmowaliśmy, jednego dnia ja, drugiego siostra, przed pójściem spać. Ojciec zawsze nam śpiewał, zanim spokojnie zasypialiśmy w atmosferze rodzinnej miłości. „Dobranoc, oto idzie dream man, a dzieci biegną na górę, zakładają nocne koszulki i odmawiają paciorek” - śpiewał pięknie, pełen serdeczności i dobrego humoru. Rodzina uwielbiała go.

Przedsiębiorstwo ojca rozwijało się pomyślnie. Ojciec już nie pchał wózka. Zajmowali się tym dwaj czy trzej ludzie, zostawiając mu czas na prowadzenie sklepu przy głównej ulicy w New Cross w południowym Londynie. Mieszkaliśmy na zapleczu sklepu w mieszkaniu niewiele lepszym od poprzedniego. W dalszym ciągu nie mieliśmy łazienki, ale wychodek na podwórku nie był tak wystawiony na niedogodności pogody. Było to małe, ciche pomieszczenie, w którym można było czytać i mocować się ze słowem pisanym, i skoncentrować się znacznie lepiej, niż na zapleczu bardzo ruchliwego sklepu, co dla ośmioletniego chłopca, było bardzo ważną sprawą. Sklep był otwarty codziennie do późnego wieczoru z wyjątkiem niedziel, a hałas od przejeżdżających pociągów wręcz ogluszał i wstrząsał całym budynkiem od fundamentów. Ta część Londynu była zbiorowiskiem ponurych, rozwalających się sklepów i domów z brudnymi oknami. Stwarzało to ogólną atmosferę opuszczenia i oczekiwania na ostateczny rozkład.

Nasz sklep wyróżniał się z otoczenia. Moi rodzice pomalowali front na oślepiająco białe i raz w tygodniu przychodził człowiek do mycia dużego okna wystawowego. Nasze podwórko także się wyróżniało. Jak tylko okiem sięgnąć, było inne od wszystkich nędznych podwórek. Rosło na nim drzewo. Nie jakiś tam zaduszony dymem skarłowaciały krzew, ale wspaniała, zdrowa, pełnokrwista brzoskwinia sięgająca do samego nieba. Z mojego okna w małym tylnym pokoiku sypialnym na piętrze nie mogłem się na nią napatrzyć. Kiedy przeprowadziliśmy się do mieszkania na zapleczu sklepu, drzewo było gołe. Wróble obsiadały nagie gałęzie i nastroszonymi piórkami odpędzały zimowy chłód. Czułem coś wspólnego z nimi jakby w oczekiwaniu na porwanie w dal, do lepszego życia. Ciągle lubię wróble, te małe, sprawne, praktyczne życiowo ptaszki, cockneye pierzastego światła. Wraz z ociepleniem się na wiosnę nastąpiło wspaniałe przeobrażenie. Pąki na moim drzewie napęczniały wyraźnie z nieśmiałyymi przeblyskami zieleni starającej się uciec z zimowego zamknięcia. A cóż to za dziwny i frapujący dźwięk? Od dawna przywykłem do ćwierkania wróbli. Teraz przeglądając gałęzie, szukając sprawcy tego fascynującego i często powtarzanego trelu i z radością i zdumieniem ujrzałem niezapomniany widok. Oto samczyk zięby, lśniący kolorami, różowym, zielonym, niebieskim, brązowym i białym, oznajmiał światu swoją miłość życia i tęsknotę za kimś, z kim mógłby tę miłość dzielić. Jego zaproszenie zostało przyjęte. Przyłgnałem w duchu do drobnego boku ptaszka i odfrunąłem z nim w szeroki, zapraszający, wspaniały świat.

Drzewo wkrótce pokryło się masą białego kwiecia jakby śniegiem. Do jego gałęzi przylatywały inni upierzeni goście. Niebieskie sikorki, szpaki i szczygły siadały w przelocie, dając podziwającemu je i uważnemu chłopcu pierwszy smak rozkoszy, których niewątpliwie jest bezmiar poza otaczającym plugastwem. Miłość do wszystkich dzieci Matki Natury, która nigdy mnie nie opuściła, dostarczała wiele radości. Miło jest myśleć, że wspaniała, stara brzoskwinia, która samotnie przeżyła między ruderami, stała się iskrą budzącą poważniejsze zainteresowania w rozwijającym się chłopcu. To zainteresowanie wszystkimi stworzeniami było nie tylko źródłem ciągłych przyjemności, ale też

rozwijano zdolność obserwacji tak ważną w latach, które miały nastąpić. Osoba niezainteresowana włóczęństwem się po polach i łąkach stwierdziłaby zapewne brak życia, podczas gdy poszukujący w listowiu i gałęziach otwierał sobie nowy wymiar wiedzy i rozbudowywał zdolność obserwacji. Oczy nabierały zdolności skupiania się i zgłębiania. Twarze łatwiej wychwytywać z tłumu. Pasażerowie tylnych siedzeń mijającego samochodu i kierowca spostrzegani są natychmiast. Bez spostrzegania nie ma reakcji. Tej właśnie zdolności spostrzegania i reagowania w ułamku sekundy potrzebowałem desperacko w przyszłości do przeżycia, a zdobyłem ją dzięki temu wczesnemu treningowi.

Moja siostra i ja chodziliśmy do szkoły parę minut pieszo od naszego domu. Żeby się tam dostać i wrócić, trzeba było pokonać bardzo ruchliwą główną ulicę. Dopóki nie skończyłem dziesięciu lat i nie mogłem jeszcze zaopiekować się siostrą przeprowadzano nas rano przez ulicę i odbierała nas ze szkoły po południu jedna z dziewczyn pracujących w znacznie większym teraz sklepie. Była to szkoła podstawowa pod zarządem Londyńskiego Okręgu Administracyjnego (London County Council), ponury gmach z czerwonej cegły i betonu. W późniejszych latach, przechodząc koło więzień, myśląc wracałem do pierwszych skojarzeń z edukacją przewidzianą dla biednych. Nie pamiętam, bym wyniósł wiele wiedzy z tej pierwszej szkoły, wystarczało jednak, że zdobyłem podstawy czytania i pisanie, by zachłannie czytać wszystko, co mi wpadło w rękę. Książki o zwierzętach i ptakach, o morzu, o piratach, o Billym Bunterze, o wszystkim, każde słowo pisane pochłaniałem z zapalem. W 1927, mając zaledwie dziesięć lat, przystąpiłem do egzaminów na stypendium (Junior County Scholarship). London County Council dawał uczniom z biednych domów i szkół możliwość wykazania się, i jeśli tego dokonali, pomagał finansowo, by dalsze nauki pobierać w szkołach dziwnie nazywanych szkołami publicznymi (public school). Każdy wie, że szkoła publiczna w Wielkiej Brytanii jest szkołą prywatną ale nigdy nie zapomina się nazywać ją szkołą publiczną. To jest oczywiście jedna z wielu rzeczy, które odróżniają Anglików od mniej oświeconego świata.

Egzamin odbywał się w sobotę rano w wielkiej sali, gdzieś w południowym Londynie, dokąd zaprowadziła mnie matka. Przez całą drogę tramwajem bez przerwy powtarzała, że muszę się bardzo starać i jakie wspaniałe perspektywy się przede mną otworzą jeśli osiągnę sukces. Nie było dla mnie jasne, jakie perspektywy miała na myśli, ale przykładanie do oczekującego mnie egzaminu wagi życia i śmierci było bardzo denerwujące. Chodziło o arytmetykę i angielski. Z pierwszą poradziłem sobie bez problemu, ale to właśnie z angielskim miałem wyjątkowe szczęście. Najważniejszym punktem było napisanie wypracowania o Marynarce Królewskiej. Książki o korsarzach i Karaibach zawsze mnie absorbowały. Morgan, Drake, Raleigh i Frobisher wypełniali moje sny. Łatwo było pisać z entuzjazmem o tych dawno zmarłych bohaterach, którzy wyrąbывali drogę do sławy i fortuny dla Brytanii i inspirować będą Brytyjczyków po wsze czasy. Zdałem z obu przedmiotów i zdobyłem stypendium (Junior County Scholarship). Od dnia egzaminu stypendialnego moja droga życiowa biegła pod szczęśliwą gwiazdą. Z optymistycznym podejściem łatwiej odnieść sukces i trzeba zawsze podchodzić z ufnością by zwyciężyć. Bardzo ważne jednak, by tak przygotować się na zwycięstwo, jak tylko okoliczności pozwalają i mieć pod ręką mnóstwo rezerwowej amunicji i pilnować, żeby nie zamokła.

Wtargnięcie do szkół publicznych chłopców ze stypendiami, za których koszt nauki pokrywała Administracja, było nowością przyjętą niechętnie przez synów bogatych rodziców. Dotąd oni byli jedynymi wychowankami tego typu szkół, do których teraz dostęp stał się wolny. Rodzice nowych zdobywców stypendiów, których nie stać było na zakup mundurków ani ubrań oraz pokrycie innych niezbędnych kosztów, mieli prawo ubiegać się o dodatkową pomoc finansową od Administracji po sprawdzeniu ich dochodów. Ojciec z pewną obawą patrzył na listę kosztownego wyposażenia mnie do nowej szkoły. Wydawało mu się, że jego dochody są zbyt wysokie, by ubiegać się o dodatkowe fundusze na ubranie. Chociaż w przyszłości moi rodzice wraz z rosnącym powrotem byliby w

stanie pokryć i chętnie by pokryli koszta mojego lepszego wykształcenia, które teraz otrzymywałem za darmo, miałem szczęście w wieku jedenastu lat wejść w zupełnie nowy i inny świat. Moja wdzięczność dla filantropów spośród ojców miasta, którzy umożliwili mi przejście do pełniejszego życia, stonowana jest współczuciem dla tych, których nie inspirowało brzoskwiniowe drzewo na podwórku i którzy skazani byli na wychowanie w londyńskich ryszotkach. Jedenaście lat to był właściwy wiek na ucieczkę. Dostatecznie już dorosły, by nie zapomnieć poprzedniego bytowania, i dosyć jeszcze wczesny dla uformowania się i zasymilowania w nowej sytuacji.

Bycie stypendystą w szkole publicznej na pierwszym roku stwarzało pewne trudności. Niektórzy uczniowie, zwłaszcza ci starsi, a także niektórzy z nauczycieli okazywali pewną wyższość w stosunku do intruzów ze stypendiami. Po kilku podbitych oczach i rozciętych wargach nastawienie to znikło, przynajmniej w stosunku do mnie. Powodzenie ojca niewątpliwie pomogło w tej sprawie. Nasz pierwszy stary, używany samochód nie dorównywał wspaniałym modelom, które czasami podjeżdżały pod szkołę, by zrobić wrażenie na snobach. Posiadanie samochodu stanowiło punkt zwrotny w życiu mojego ojca. Od czasu wojny miał tę uszkodzoną prawą nogę skrepowaną w metalowej szynie, która ją zupełnie unieruchamiała, a prowadzenie samochodu wymagało poruszania chorą nogą. Szyna i ten okropny bucior leczniczy zostały odrzucone. Nie wiem, gdzie podziła się szyna, ale bucior czasami się pojawiał, tylko już nie jako postrach i zagrożenie czy galernicza kula u nogi. Ojciec się wyłamał i triumfował nad diabelskimi siłami, albo tak mi się wydawało.

Przez następnych kilka lat główne przedmioty szkoły podstawowej uzupełnione zostały chemią fizyką i innymi skomplikowanymi sprawami, co do których trudno mi było wzbudzić w sobie entuzjazm. Jak bezcelowe było nakłonić młody umysł do strawienia wiedzy, do której nie miałem ani uzdolnień, ani zamiłowania. Ta negatywna sytuacja wyrównana została na szczęście czymś pozytywnym. Wszyscy chłopcy musieli uczyć się dwóch języków obcych. Wybrałem francuski i niemiecki z pominięciem łaciny. Z dobrym uchem i umiejętnością naśladowania akcentu i intonacji osiągałem niezłe wyniki w zakresie języków bez wysiłku, a z dużą przyjemnością. Nie zdawałem sobie wtedy sprawy, jak dobrze się stało, że opanowałem wówczas akcent, jakim mówiło się w szkołach publicznych, w odróżnieniu od poprzedniego londyńskiego żargonu ulicznego. W skrajnych przypadkach mówiony angielski wyższych klas bywa równie obrzydliwy jak dialekt slumsów, nie ma jednak wątpliwości, że w społeczeństwie brytyjskim pozycję społeczną i społeczną akceptację określa ściśle sposób mówienia. Jednym słowem być bez grosza i posługiwać się prawidłową angielszczyzną znacznie mniej ogranicza, niż być bogatym i mówić cockneyem. Sport odgrywał zasadniczą rolę w moim życiu i regularne, sprawiające dużo przyjemności uprawianie boksu, gra w krykieta, rugby, szczególnie to ostatnie, bardzo pomagało w osiąganiu właściwych wyników nauczania. Przenieśliśmy się do prywatnego domu, co było odbiciem prosperity ojca, i życie na zapleczu sklepu mieliśmy dawno za sobą. Moja siostra Eileen, piękna dziewczyna, dawno opuściła szkołę podstawową i podjęła naukę w lepszej szkole. Roztaczały się przed nami miłe perspektywy. Większość wakacji szkolnych spędzaliśmy z rodzicami ojca w szekspirowskim Warwickshire koło Stratfordu nad Avonem w sercu wspaniałych okolic, gdzie moi dziadkowie mieli obszerną chatę w czarującej, nietkniętej cywilizacją wsi. Włoczyliśmy się po malowniczych wiejskich okolicach, w pełni zaspokajając nasze zainteresowania i umiłowanie przyrody. Zdobyć strzelby pozwoliło mi na zapoznanie się z polowaniem i zainteresowanie to pozostało po dziś dzień. Później, w czasie wojny, w nieco perwersyjny i skomplikowany sposób, polowałem na podniecającą najbardziej ze wszystkich zdobycz, na człowieka. A jeszcze bardziej ekscytowało, kiedy na odwrót, łup polował na mnie, wszystko oczywiście w ramach wielkiej, pasjonującej gry życia. Pozostanie żywym i nie rannym jest istotnym i permanentnym warunkiem przetrwania w tej grze. Moje zainteresowanie Matką Naturą nie przestawało rosnąć. Chociaż wiele bażantów, kuropatw, kaczek i królików zostało zastrzelonych

podczas tych wakacji wiejskich i wysłanych do londyńskich przyjaciół, miłość z jednej strony i zabijanie z drugiej wcale nie wydają się stać w niezgodzie. Świadomość, że ofiara idzie do brzucha przyjaciela, była pewnym usprawiedliwieniem. W każdym razie pewna selekcja jest dobra dla wszystkich gatunków, czasem też człowieka, zakładając, że uczestniczy się w tym jako selekcyoner i że liczba ofiar nie wymknie się niegodziwie spod kontroli, lub samemu się nie wpadnie, jak to bywa na wojnie.

Bazanty, kuropatwy i tym podobne były dobre, aleja raczej zachwyciałem się gawronami, kawkami, sójkami i srokami, łobuziakami wśród tego upierzonego towarzystwa. Ich zabawna nicponiowatość pociągała mnie do tego stopnia, że zaprowadziła mnie na niezwykłą ścieżkę. Podczas pewnej włóczęgi zauważyłem duży głóg rosnący pośrodku rozległego prywatnego lasu, na którego brzegach umieszczono napisy „Wejście wzbronione pod karą”, co było oczywiście zaproszeniem do spenetrowania tego miejsca. Posiadłość należała do jakiejś wielkiej osoby zatrudniającej łowczego z zawieszonym wąsem, w błyszczących sztylpach, do przeganiania takich chłopców jak ja. Co za frajda. Głogi są pospolite w Warwickshire, ale tego nigdy nie zapomnę. Ostrożnie posuwając się leśną ścieżką i bacząc na zasadzkę nieprzyjaciela, usłyszałem głęboki, brzęczący dźwięk jakby olbrzymiej pszczoły ukrytej w poszyciu leśnym. Zmierzając w kierunku, skąd dochodził ten niepokojący dźwięk, poczułem też obrzydliwie słodkawy zapach. Panując nad chęcią ucieczki, posuwałem się ścieżką w kierunku polany, na której stał ów gigantyczny głóg. Przyczyna brzęczenia i tego ciężkiego, odpychającego odoru stała się szokująco jasna. Drzewo było zawieszonym w powietrzu cmentarzem, ostatnim miejscem spoczynku setek moich ptasich przyjaciół. Patrzyłem zdumiony. Ofiary były zastrzelone lub schwytane w pułapki, rzucone na drzewo, upalowane na jego ostrych cierniach, by gnić i rozkładać się, by żywić niezliczone chmary os i much. Przyczyna tego dźwięku i odoru nigdy by mi nie przyszła do głowy, gdybym nie widział tego na własne oczy. Jest tylko jedno miejsce dla martwych stworzeń i jest nim ziemia. Parę lat później poczułem ten zapach znowu, ale wtedy źródłem były ludzkie, a nie ptasie zwłoki. Te odkryte ciała protestowały, że nie powierzono ich matce ziemi. Piękne sroki, sójki i kawki, martwe nie dłużej niż dobę, wisiały bezsilnie na drzewie w makabrycznym towarzystwie swoich przyjaciół w postępującym stadium rozkładu, których ciała zostały ciśnięte na drzewo wcześniej. Było coś odpychającego, graniczącego z panicznym strachem, w tym, co docierało do moich uszu, oczu i nosa. Narastające uczucie wściekłości opanowało mnie w stosunku do sprawców tej zbrodni. W człowieku istnieje żądza rozpasanego zabijania i chwytą się każdej okazji, choćby bardzo drobnej, dla usprawiedliwienia i uzasadnienia swojego sadyzmu. To ujawniło się wówczas przy tym głogu, i widać to stale na tym świecie, okrucieństwo człowieka w stosunku do zwierzęcia i człowieka w stosunku do człowieka.

Kiedy miałem czternaście lat, sport stał się ważną częścią mojego życia. Reprezentować szkołę w rozlicznych drużynach różnych stopni, opuszczając się w nauce innych przedmiotów z wyjątkiem francuskiego i niemieckiego - to wystarczyło, by być zadowolonym i miewać się doskonale. W moim życiu nastąpił punkt zwrotny, kiedy kolega szkolny, którego rodzina miała piękną łódź, zapoznał mnie z żeglarstwem, zakaźną chorobą na którą nie ma lekarstwa. Pływałem na wielu łodziach różnego rodzaju i wielkości, od czasu kiedy dostałem w prezencie od rodziców moją pierwszą czternastostopową łódź, dumę i radość, oczywiście po solennym przyobiecaniu, że będę najlepszym z chłopców. Obietnice solidnej pracy i nienagannego zachowania były głębokie i szczerze, zresztą kto by nie przyobiecwał szczerze stosować się do takich życzeń w zamian za posiadanie ozagłowanej łodzi? Warto może zauważyć, że tam gdzie obietnice, traktaty i ustalenia są niezbędne między partiami, osobami lub narodami nawet, podstawy i warunki do złamania tych przedsięwzięć wydają się zawsze mocniejsze, niż to się wydawało podczas uzgadniania sprawy. Związki polegające na uczciwym zaufaniu i przyjaźni nie potrzebują podpisywania paktów o nieagresji i tym podobnych. Można

zrozumieć nazistów podpisujących traktat z Sowietami, ale między Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi taki dowód formalnego braku zaufania nie będzie nigdy potrzebny.

Niedaleko domu stara Tamiza, brudna i brunatna, toczyła się od morza i do morza, w górę i w dół (w wyniku przypływów i odpływów). Pomiedzy magazynami i dokami, którymi zatłoczone było nabrzeże, miejscami pojawiał się odkryty odpływem zamulony brzeg, umożliwiający dostęp do wody. Takie miejsce znajdowało się koło Greenwich, trafnie zwane Dziurą Bugsby'ego (Bugsby's Hole). Kimkolwiek by był ten Bugsby, służyło ono za przystań dla mojego małego stateczku. Przy każdej możliwej okazji pędziłem rowerem do Dziury, podnosiłem żagiel i wypychałem łódź w nurt burzliwej rzeki. Żeglowanie w pojedynkę było trudne. Zmienne, porywiste angielskie wiatry panowały na nabrzeżach i zdradliwe leje powietrzne tworzyły się wokół budynków ciągnących się wzdłuż mętnej rzeki. Wiele było wywrotek i sytuacji, kiedy trzeba było żaglówkę ponownie ustawić na wodzie. Wiele padało ostrych słów, kiedy żaglówka wchodziła w drogę małym i dużym statkom przemierzającym wody rzeki w górę i w dół, wiele było trąbienia i grymasów... Sama radość, zwłaszcza że stosowano demokratyczne prawo w słowie i w postępowaniu, że żagiel ma zawsze pierwszeństwo w stosunku do maszyny.

W miarę jak poświęcałem coraz więcej czasu zajęciom pozaszkolnym, moje zainteresowanie nauką jeszcze bardziej malało, ale z niewieloma tylko nieprzyjemnymi konsekwencjami osobistymi. Moja dzielność w uprawianiu ulubionych w szkole sportów powodowała, że nauczyciele tolerowali mnie i ułatwiali przechodzenie z klasy do klasy chętniej, niż by to miało miejsce w przypadku innej osoby coraz bardziej opuszczającej się w nauce.

Nic jednak nie pozostaje bez zmian i do tej beztrudnej egzystencji wtargnęło nieprzyjemne zagrożenie. Zagrożeniem tym było w skrócie OKS, czyli Oficerski Korpus Szkoleniowy. Poprzednie rozważania na ten temat nie zrobiły na mnie dobrego wrażenia co do tej instytucji, dopiero kiedy osiągnąłem czternaście lat i jak każdy chłopiec brytyjski zostałem do niej na siłę wcielony, okazało się, do jakiego stopnia moje przeczucia były prawdziwe i bardziej niż uzasadnione. Wpadłem w sieć wojskowej dyscypliny. W każdą środę całą szkołę, z wyjątkiem dzieci poniżej lat czternastu, ubierano w mundurki. Przejście z wygody i wolności, jakie dają blezerek i długie spodnie, do khaki było samo w sobie dostatecznie szokujące. Umundurowanie wojskowe nie знаło jeszcze wygodnych, dopasowanych ubrań polowych. Zamiast tego nosiliśmy mundury jako żywo przypominające mundury oficerów sztabowych na fotografiach z pierwszej wojny światowej. Było to studium błyszczących butów, owijaczy, bryczesów, pasów wojskowych i wypolerowanych mosiężnych guzików, wszystko prosto spod igły, oddalone o lata świetlne od wszelkiej walki lub brudu. Owijacze były nawet poważniejszym problemem niż te piekielne mosiężne guziki i pasy skórzane, które zawsze wymagały nudnych wysiłków, by przygotować je na krytyczną inspekcję. Zajmuje całe wieki, zanim nowy rekrut potrafi paski szorstkiego materiału koloru khaki tak ułożyć, żeby pasowało to do nogi i ją przypominało.

Mnóstwo czasu pochłaniało nadanie temu okropnemu materiałowi odpowiedniej formy, poczynając od kostki, a nabranie wprawy w tej czynności było jeszcze bardziej czasochłonne. Kadeci o ponadrocznym stażu dawali sobie jakoś z tym radę, ale dla nowicjuszy były to złośliwe i kłopotliwe przeszkody do pokonania. Umiejętność właściwego owijania była absolutnie niezbędna dla eleganckiego noszenia owijaczy i uwaga poczyniona przez sierżanta od musztry z Regimentu Gwardyjskiego, że moje owijacze przypominają mu opadające reformy starszej pani, pogarszała tylko frustrację. Batalion kadetów często brał udział w paradach różnego rodzaju w Londynie. Czasem batalion występował w całej sile czterech kompanii maszerujących za olbrzymim bębniem i orkiestrą grającą na piszczałkach, jak to było podczas parad Lorda Mayora (burmistrza) Londynu, które

stanowiły pewną rekompensatę za wszystkie niedogodności karier wojskowych owych czasów. Może rozradowani widzowie mieli szczęśliwsze skojarzenia. Oglądając się za sposobem wymigania się od zabawy w wojsko w każdą środę, znalazłem rozwiązanie, które działało zupełnie dobrze. Wagarowanie udawało się znacznie łatwiej uczniom mieszkającym z rodzicami, niż kwaterującym w bursie szkolnej. Nasz dom, wiktoriański w stylu, nie miał garażu i samochód rodzinny trzymany był razem z autami sąsiedzkiej elity w jednej z pobliskich stajni, w której zamieniono mieszkańców czteronożnych na czterokołowe. W garażu ukryłem sportową marynarkę i spodnie. Po śniadaniu i pożegnaniu się z rodziną zmykałem do stajni, gdzie przechowywałem ubranie, i szybko się przebierałem, by za chwilę pojawić się jako pracownik. Do dreszczyku związanego z tym, by nie dać się złapać, dochodziła jeszcze wizja świata rozkosznie pustego, bez ludzi, w czasie kiedy większość była w pracy lub się uczyła. Chłopcy opuszczający lekcje zobowiązani byli następnego dnia przedstawiać sekretarzowi szkoły list wyjaśniający przyczynę nieobecności. Choroba była racją najłatwiej akceptowaną. Ja wagarowałem ze środowych zajęć wojskowych bez czepiania się i sfalszowany list, który przynosiłem w czwartek, wyjaśniający, że cierpiałem na dotkliwy ból ucha, nie budził zastrzeżeń w sekretariacie. Sukces postępował za sukcesem.

Starając się nie przedobrzyć i nie spowodować, by domagano się ode mnie zaświadczenia lekarskiego, wagarowałem tak przez znaczną liczbę śród. Nasza pani sekretarka bardzo mi współczuła z okazji ciągłych nawrotów bólu ucha, szczególnie kiedy zdarzało się, że musiałem być nieobecny w szkole przez cały tydzień. W czasie tych kradzionych tygodni udawałem się autobusem na rozkosze obserwowania ptaków na licznych jeszcze wtedy błoniach i terenach otwartych na przedmieściach Londynu, zanim wybuchła prawdziwa eksplozja. Ta nowa forma wolności załamała się, kiedy skończyłem piętnaście lat. Moi rówieśnicy też wpadli na ten pomysł i wdali się w podobny proceder, i jak to się często zdarza, sprawa się ryła. Wszystkich niegodziwców złapano w wyniku osobistych wizyt komisarza szkolnego u rodziców chłopców, których stan zdrowia wykazywał takie trwałe zachorowania. To zakończyło moją formalną edukację. Nie wylano mnie publicznie ze szkoły, ale rozmowa moich rodziców z dyrektorem zakończyła się uzgodnieniem, że być może będzie lepiej dla szkoły, jeśli moja nieobecność będzie trwała, a nie tylko ograniczona do oszukańczych dni czy tygodni. Podniesiono także, że mogę mieć zły wpływ na innych chłopców. Zajęcia w szkole zakończyły się akurat przed ukończeniem przeze mnie szesnastu lat, w samą porę, by zdobyć świadectwo szkolne z zaliczeniem francuskiego i niemieckiego. Biedna mama nie potraktowała lekko tej wyspy i sposobu, w jaki potraktowano jej synka, i było mi jej naprawdę żal. Ojciec wcale się tym tak bardzo nie denerwował, jakby na to wyglądało. Później zdobyte wiadomości o Zachodnim Wybrzeżu Nowej Zelandii i jej mieszkańcach, skąd mój ojciec się wywodził, przekonały mnie, że jako prawdziwy wybrzeżak, w cichości radował się z tak obiecujących i wczesnych przejawów inicjatywy i buntu. Moja siostra, chyba dlatego, że to ta sama krew, traktowała to jako dobry kawał.

Zacząłem pracować jako goniec i młodszy rewident w wielkiej firmie rachunkowej w mieście, i chociaż kariera urzędnicza mnie nie pociągała, te parę lat pracy było bardzo pouczające i w sumie się opłacało. Ogólną korzyść przyniosło mi zapoznanie się z zawiłościami prowadzenia rachunkowości, rozliczenia strat i zysków oraz salda. Umiejętność interpretowania liczb i zawartych w nich informacji nie powinna ograniczać się wyłącznie do świata biznesu. Znaczną część pierwszego roku moja praca urzędnika polegała na załatwianiu na mieście różnych spraw dla pracodawców. Drogi, wspaniały, stary Londyn. Często gnałem na łeb na szyję, żeby jak najszybciej doręczyć jakąś wiadomość czy list, by potem powolutku wędrować z powrotem do biura i raczyć się atmosferą tej najpiękniejszej metropolii świata. Ta tradycja i historia Anglii! Wielki architekt świata uważał za stosowne oddalić mnie na zawsze z tego miejsca mojej młodości i trudno mi się z tym pogodzić.

Życie w domu było w dalszym ciągu wygodne, pełne uciechy i mogło to tak trwać w nieskończoność. Grałem w rugby w sobotnie popołudnia, rozjeżdżałem się małym sportowym samochodem i czułem silny, normalny pociąg do płci przeciwnej.

Umieć obchodzić się z kobietami to błogosławieństwo opłacające się znacznie bardziej od tradycyjnie pojmowanego stosunku między płciami. Wydawało mi się, że niezmiennie wywoływałem uczucia macierzyńskie zarówno u młodych, jak i starszych pań, do których się zalecałem. W kłopotliwych czasach wojennych znajdować się w sytuacji, gdy ktoś zajmuje się tobą i kłopotczy jak matka, jest lepsze od jakichkolwiek innych form obcowania. Nie kierowało mną wyrachowanie ani chęć oszustwa, ale udawało mi się czasami tak układać te sprawy. Nie osądzajcie mnie, nie wzięwszy pod uwagę okoliczności, w jakich zdarzało mi się znajdować.

Pod wpływem wyraźnego usytuowania się w miejskim urzędzie moja mama uznała, że najodpowiedniejsze dla jej jedynaka będzie wkroczenie w podniecające kręgi rachunkowości. Zawód ten zapowiadał szacunek i pozycję ekonomiczną rzecz nie do pogardzenia, biorąc pod uwagę jej doświadczenie u boku ojca w pierwszych dziesięciu latach małżeńskiego pożycia. Rozpoczęto negocjacje z pracodawcami, by oddać mnie na pięć lat na praktykę jednemu z najznakomitszych księgowych firmy. Niezbędne formalności już załatwiano, kiedy zaszokowana rodzina usłyszała, że zdecydowanie odmawiam zgody na ten pomysł. Mało argumentów można było przeciwstawić korzystnym aspektom sprawy zaprezentowanym przez rodziców. Po prostu się uparłem. Pociągało mnie morze. Przedstawiłem się osobiście we wszystkich głównych liniach żeglugowych w mieście. Otrzymałem stanowisko kadeta w marynarce handlowej bez specjalnych trudności. Nic w tym dziwnego, jeśli weźmie się pod uwagę warunki pracy i płacę. Mój ojciec wbrew swojemu stanowisku w tej sprawie łaskawie zostawił poważną sumę w firmie sprzedającej stosowny przyodziewek. Matka płakała na stacji Euston, a może był to Kings Cross, kiedy odprowadzała mnie do pociągu do Glasgow, portu macierzystego statku motorowego „Pacific Grove” należącego do Furness Line.

Kiedy przybyłem na statek w Glasgow późnym ponurym wieczorem, skierowano mnie do małej kajuty, i zmęczony jak pies po długiej podróży zapadłem w głęboki sen, nie bacząc na dziwne hałasy i zapachy. Obudziłem się wcześnie rankiem, kiedy przyniesiono mi życzliwie filiżankę herbaty. Starannie ubrany w zimowy mundur, czarny, pełen mosiądzu, chodziłem po pokładzie, aż skierowano mnie do kajuty pierwszego oficera. Pan Cogle był wcieloną uprzejmością dbał o dobro wszystkich swoich pracowników i wówczas wzbudzony szacunek dla niego nigdy nie wygasł. Po formalnościach

spojrzał nieco spode łba na moje pełne umundurowanie i dał do zrozumienia, że nie taki strój był potrzebny na tę okazję. Po chwili kombinezon roboczy zastąpił szykowny mundur.

Kapitan zawezwał mnie do siebie. Był tylko jeden kadet na statku i aby przygotować się do spełniania obowiązków towarzyskich, wymaganych od oficera i dżentelmena, miałem jadać w salonie z oficerami i kilkunastoma pasażerami, jakich statek zawsze ze sobą zabierał. I tak zaczęło się zapoznavanie ze światem miseczek, noży do ryby, widelczyków do budyniu i całego oprzyrządowania do jedzenia i zachowania się, choć ja wolałbym jeść razem z załogą. W salonie wymagany był mundur, albo czarny, albo tropikalny biały, nieskazitelnej bieli obrusy, i po pracy na pokładzie przekształcenie chłopaka w brudnym kombinezonie w przyszłego oficera i dżentelmena wymagało nieco wysiłku. Starczało mi czasu na przygotowanie się do śniadania i obiadu, ale lunch był krępujący i straszny. Nikt nie zaczynał jedzenia, dopóki wszyscy stołownicy nie pojawili się na miejscu, a jako że siedziałem z dwiema pasażerkami i drugim matem, punktualne przybycie, jak tylko steward zaczynał krążyć, było bardzo ważne. Bosman Jensen albo ukrywał jakąś zadrę towarzyską albo potępiał kumanie się kadetów z pasażerami i oficerami. W każdym razie trzymał mnie w robocie,

na ogół brudnej, i zwalniał dopiero na pięć minut przed uderzeniem gongu nawołującego na lunch. Zupełnie rozlewano już po raz drugi, kiedy artysta szybkiego przebierania, zasapany, zapadał w fotel, nieraz zakłopotany brudnymi rękoma. Oczekiwanie na mnie przy stole wkrótce stało się czymś normalnym, zwłaszcza że coraz lepiej radziłem sobie z całym mnóstwem widelczyków i serwetek, a nawet zacząłem brać udział w rozmowie. Po jakimś tygodniu weszło to w zwyczaj i nawet polubiłem te pogaduszki przy stole. Pozostawało mi tylko mieć nadzieję, że reszcie gości również to odpowiada. Zwłaszcza jednej z pań to nie zniechęcało. Dojrzała, hoża dziewczyna podróżująca po świecie zaoferowała mi pracę na plantacji kauczuku na Malajach. Choć mi to schlebiałoby, odmówiłem nieśmiało. Sądząc po sposobie, w jaki na mnie patrzyła, wnioskowałem, że czekałyby mnie także obowiązki zupełnie niezwiązane z produkcją gumy.

Codziennie z wyjątkiem niedziel spędzałem długie godziny na pokładzie przy różnych robotach porządkowych na statku. Wieczorami, od ósmej do północy, tkwiłem na mostku z czwartym oficerem. Miało to być treningiem w sprawach morskich, ale polegało głównie na słuchaniu o jego doświadczeniach z płcią słabą. Moje doświadczenie w tej najciekawszej z dziedzin, doświadczenie przedszkolaka w porównaniu z nim, nie dopuszczało mnie do konwersacji, głównie więc słuchałem z szacunkiem i nieco zaszokowany.

Statek, co zdarzało się często, przybywał do portu z opóźnieniem. W wyniku tego każdy, kto miał do czynienia z ładunkiem, pracował dwanaście godzin na dobę przy ładowaniu i rozładowywaniu, by nadrobić czas. Pozostała załoga otrzymywała zapłatę za nadgodziny, ale niczego tak poniżającego nie oferowano komuś, kto aspirował na stanowisko oficera. Moja płaca pozostawała na poziomie dziesięciu szylingów miesięcznie, czyli prawie dwóch szylingów i sześciu pensów tygodniowo. Gdyby płacono mi za nadgodziny, można by uniknąć pewnych kłopotliwych sytuacji. Pół korony to niezbyt wiele za stugodzinny tydzień pracy, i jakkolwiek bym się starał, wracając do Londynu po czterech miesiącach na morzu, moje skromne wydatki na piwo i tytoń przewyższały dwa funty szterlingi zapisane po stronie dochodu na liście płac. Parę dni wolnego dano nam w Londynie, kiedy statek rozładowywano w Surrey Commercial Docks, i popłynęliśmy dalej do Glasgow przez Liverpool. Zanim pozwolono mi wyjść na ląd, ojciec zawsze musiał wykupować niewypłacalnego synalka za żywą gotówkę. Czeków nie akceptowano.

Zaprzyjaźniłem się z cieślą okrętowym. Hodował kanarki i inne ptaszki w warsztacie na forkasztele (na pokładzie dziobowym), akurat przed pierwszą ładownią która była pod moją opieką. Chippy nie miał innego domu oprócz statku i rzadko wychodził na ląd. Oprócz szerokich dyskusji ornitologicznych, opowieści morskie mojego przyjaciela, który spędził ponad czterdzieści lat na morzu, były bardzo pouczające. Na pytanie, czemu tak rzadko opuszcza statek, oświadczył, że widok kobiet go denerwuje. Był żonaty dwukrotnie i wyrażał przekonanie, że mężczyzna, który ożenił się po raz drugi, nie zasłużył na to, by stracić pierwszą żonę. Ta filozofia robiła na mnie wtedy wrażenie.

W porcie większość marynarzy idzie na ląd na pijatykę, ale Chippy'emu nie było to potrzebne. Ze szkocką whisky prędzej czy później i tak bym się zaprzyjaźnił, ale to właśnie mojemu przyjacielowi cieśli zawdzięczam smutną okoliczność, że zapoznałem się z nią tak wcześnie. Na potrzeby spragnionych wielbicieli na Pacyfiku statki Furnessa zabierały w każdy rejs tysiące skrzyń whisky ładowanych w Glasgow. Kiedy robotnicy portowi szli na lunch, otwarte ładownie z ich niebiańskim cargo pilnowane były przez załogę. Dzięki różnym sztuczkom pierwsza ładownia pozostawała zawsze pod moją opieką. Robotnicy portowi ćpali swoje kanapki w budce na nabrzeżu i jak tylko wykaraskali się z ładowni i byli na kładce, schodziłem w głębinę ładowni i zabierałem się za robotę. Wtedy szkocką pakowano po dwanaście butelek do drewnianych skrzynek i skrzynia po skrzyni rzucono pod stalową ścianę ładowni. Tymczasem poprzez otwarty luk spuszczano duże ocynkowane wiadro na

grubej linie, za nim następne, i następne. Brutalnie rzucone pojemniki ustawiono ukośnie nad wiadrem i strumyczek whisky ciekący z rogu skrzyni oznaczał, że niektóre butelki, ku szczęściu Chippy'ego, się potłukły. Wiadra wypełnione po brzegi cennym płynem wędrowały w górę i w dół jak j o j o. Nie miałem czasu na zjedzenie kanapek. Jak tylko gwizdek obwieszczał koniec przerwy na lunch, robotnicy przejmowali kontrolę nad ładownią, by wszystko szło poprawnie, a szczególnie ze względu na kuszący charakter ładunku, by nic nie zostało podwędzone. W czasie zimnych dni na Atlantyku w przerwie na kawę nieraz wymykałem się do warsztatu Chippy'ego, gdzie można było podnieść się na duchu i ciele obfitym dodatkiem naszego łupu. Oprócz dreszczyku emocji w czasie podbierania trunku, była to moja jedyna nagroda i na szczęście nigdy nie zostaliśmy na tym przyłapani. Staremu Chippy'emu było naprawdę smutno, kiedy opuszczałem statek. Gdy go kiedyś odwiedziłem, jak „Pacific Grove” przycumował jak zwykle w doku Surrey Commercial po zakończeniu podróży, zapytany co do powodzenia jego alkoholowego przedsięwzięcia, Chippy westchnął: „Nigdy nie miałem takiego fajnego kumpla jak ty, Ron”.

Czas płynął, polubiłem to życie i przyzwyczaiałem się doń, jednak przyszłości na morzu nie widziałem. Młodzi marynarze na wielu statkach wysłużyli swój czas jako kadeci i zdobyli kwalifikacje marynarzy. By zarobić na chleb codzienny, musieliby przyjąć pracę majtków, a wyszkoleni marynarze mieli olbrzymie trudności, kiedy chcieli osiąść korzystnie na lądzie. Sytuacja więc stawała się alarmująca i trzeba było się nad tym zastanowić. Po czterech latach, choć zdałem egzaminy i zdobyłem kwalifikacje drugiego mata, sytuacja ekonomiczna przemysłu morskiego pozbawiłaby mnie pracy z wyjątkiem pozycji majtka, bez jądania w salonie, co stanowiło ważny dodatek w kadeckim życiu.

Przedsiębiorstwo mojego ojca prosperowało w dalszym ciągu. Było w nim miejsce i dla mnie, więc żeby porzucić karierę zawodowego marynarza, przyjąłem tę ofertę.

W pracy ojciec był surowym i porządnym szefem. Moja siostra prowadziła biuro, a ja pracowałem na dziedzińcu, mozoląc się od czwartej rano do wczesnego popołudnia. Ciężka praca fizyczna przy dźwiganiu baniek i skrzyń z butelkami była przyjemna, biorąc pod uwagę moje przygotowanie w rachunkowości i wytrwałość zdobytą na morzu, stałem się wkrótce cenionym pomocnikiem ojca. Do wybuchu wojny we wrześniu 1939 roku stworzyliśmy przedsiębiorstwo udziałowe, w którym zostałem młodszym dyrektorem. Używano więcej mleka i dochód wzrastał. Szczęśliwe dni i zapach pieniądza z towarzyszącymi temu przyjemnościami zaczął drażnić nozdrza.

Byłem zbyt zajęty pracą i zabawą by poświęcać więcej uwagi zarysowującemu się konfliktowi, kiedy nagle wybuchła wojna. Polityka ugłaskiwania nazistów, jaką prowadził Chamberlain, mdliła mnie i tego samego zdania był ojciec. Wielu przyjaciół zgłosiło się do weekendowej ochotniczej armii pokoju - tzw. Territorials - i gdyby moje wspomnienia ze szkolnych zajęć dla kadetów były mniej przykre, być może bym się poddał mobilizacji w momencie wybuchu wojny i włączył do źle wyposażonych szeregów, marnie wyszkolonych, nieprzygotowanych do przeciwstawienia się rzezi, jaka miała wkrótce nastąpić.

Okres przedwojenny mogłem spędzić na zabawie w żołnierkę, gdyby moja dobra wróżka nie wróciła do sprawy, którą przygotowywała dla mnie od urodzenia. W latach 1937 i 1938 przybyły do Wielkiej Brytanii tysiące młodych dziewcząt z Niemiec i Austrii, poszukujących pracy głównie jako pomoce domowe. Wiele było przyczyn tego napływu. Niektóre z dziewcząt były politycznymi uciekinierkami spod nowych dyktatorów, inne, żydowskiego pochodzenia, unikały obozów koncentracyjnych, niektóre były też pewnie wtyczkami przysłanymi przez nazistów. Skądkolwiek Anna przybyła i z jakich powodów, nie ma wątpliwości, że jej drogami kierowała dobra wróżka, która ciągle

obserwowała wszystko bacznie i bez przerwy dbała o przyszłość, umożliwiając mi przeżycie, pewnie po to, żebym mógł opowiedzieć tę historię. Bliski przyjaciel powiadomił mnie, że przybyła do pracy u nich dziewczyna z Niemiec, a że nikt z rodziny nie znał niemieckiego, a Anna nie mówiła po angielsku, potrzebny był tłumacz. Anna, ta nowa dziewczyna, i ja zaprzyjaźniliśmy się szybko i przez rok poprzedzający wojnę byliśmy ze sobą ciągle, co dało mi okazję nabycia prawdziwej biegłości w niemieckim. Raz jeszcze moja dobra wróżka wybrała dobrze. Anna pochodziła z dobrej rodziny i mówiła językiem bez żadnych regionalnych naleciałości, które by niewątpliwie skaziły i moją wymowę. Zapaliłem się do osiągnięcia doskonałości lingwistycznej i, wsparty nauką rozkosznej Anny, zapisałem się na wykłady niemieckiego na Uniwersytecie Londyńskim. Postępy były doskonałe do tego stopnia, że prowadziło to czasem do zakłopotania naszego wykładowcy, który jednak nie miał możliwości cieszyć się pomocą Anny jak ja.

Zaledwie ogłoszono o wojnie, nad Londynem rozległy się syreny. Oznajmiały one pożegnanie z miękkimi światłami, słodką muzyką i tyloma uciechami przeszłości. Bing Crosby i Ella Fitzgerald nie będą już nas inspirować do nucenia, a pamięć Sadlers Wells z niezapomnianymi melodiami Gilberta i Sullivana nie będą uderzać w czułe struny serca, skoro wojna ogarniała świat. Tak wielu z tych, którzy słyszeli pierwsze syreny i wpatrywali się w niebo na unoszące się w powietrzu balony zaporowe, moja siostra Eileen między nimi, nie zobaczą więcej świateł Londynu. Nieopanowana nostalgia, jaka opanowuje mnie, kiedy wspominam te dni, może minie nieco dzięki tej krótkiej, podnoszącej na duchu dygresji.

Mama i moja siostra na kilka pierwszych tygodni wojny wybrały się poza Londyn do małej chaty wiejskiej, jaką rodzina nabyła. Miały tam pozostać lub wrócić do domu w mieście w zależności od bombardowań, których każdy oczekiwał. W tym czasie ojciec i ja wraz z wierną naszą starą gospożą Beatty, która nie miała dokąd się udać, gospodarowaliśmy sami. Pewnej nocy brałem udział w pożegnaniu idących do wojska kolegów, którzy wyjeżdżali na wojnę. Pomiedzy zbyt wieloma kieliszkami napojów alkoholowych słuchaliśmy z rosnącym zainteresowaniem, biorąc pod uwagę czasy, jakie nastały, jak pewien także podpity młodzieniec opowiadał o skutkach dużych bomb eksplodujących. Obraz wpływu wybuchów na funkcjonowanie ciała człowieka prawie nas otrzeźwił, kolega omawiał też środki zapobiegające. Wszystko zależało od wyrównania ciśnienia powstającego w wyniku wybuchu i ciśnienia wewnątrz ciała. W czasie nalotu powietrznego było rzeczą istotną trzymać otwartą buzię i pozwolić, żeby fala uderzeniowa dostała się do wnętrza i działała jako przeciwwaga ciśnienia zewnętrznego, zapobiegając w ten sposób zapadnięciu się ciała. Osiągnąć to najłatwiej przez trzymanie korka w zębach. Pod wrażeniem tego wróciłem do domu we wczesnych godzinach rannych z kieszeniami pełnymi korków zdobytych na przyjęciu. Ojciec, głęboko uspiiony, został bezceremonialnie obudzony i starał się zrozumieć moje poplątane gadanie o sprawach, które mogły mu uratować życie. Mimo jasnego przedstawiania środków zaradczych i konieczności natychmiastowego wprowadzenia ich w życie, ojciec jakoś nie chwycił. Wyrażał się też nie-zbyt pochlebnie o pewnych drobiazgach. Powaga sytuacji skłoniła mnie do wyciągnięcia kilku korków i włożenia jednego do ust celem pokazania, w czym rzecz. Ostatecznie, choć niechętnie, ojciec dał się przekonać do złapania dużego korka zębami. Zrobiło mi się łżej, życzyłem mu dobrej nocy i pozostawiłem siedzącego w łóżku z buzią przykładowie otwartą i z niemym pytaniem i zdumieniem na twarzy. Poszedłem chwiejnym krokiem do pokoju starej Beatty i powtórzyłem swój występ, choć spotkałem się z pewną niewdzięcznością jeśli weźmie się pod uwagę, że miałem na celu wyłącznie dobro innych.

Od tego czasu, bez konieczności pracy na chleb codzienny, nasi żołnierze w zamian za ryzykowanie życia i zdrowia, będą karmieni i ubierani, dopóki będą żyć lub dopóki trwać będzie wojna, cokolwiek skończy się jako pierwsze. Gdyby pokój potrafił rozpalać taki entuzjazm, skłaniać do takiego wysiłku,

uruchamiać takie zdolności, jak wojna, zapanowałby raj na ziemi. Politykom powinno się poradzić przestudiowanie tego zagadnienia psychologicznego z myślą o jego zastosowaniu w praktyce.

Nasze słowo, że pójdziemy na pomoc Polsce, kiedy zostanie zaatakowana, zobowiązywało. Kraj skupił się pod sztandarami zjednoczony w patriotycznym ferworze, pełen gotowości do poświęceń w słusznej sprawie. Każdy w Brytanii wydawał się myśleć tak samo. Nasza rodzina na pewno też tak myślała i nie było najmniejszej wątpliwości, że wraz z całym narodem będziemy wieszać białynę na Linii Zygryda, jeśli jeszcze taka istniała. To będzie coś!

Moją pierwszą myślą o wojnie było fruwać, nie od wojny, ale w nią. W dużej bazie lotniczej RAF w Uxbridge po drugiej stronie Londynu wypełniłem odpowiednie formularze i po starannym badaniu lekarskim stanąłem przed siedzącym za biurkiem majorem lotnictwa, w mundurze nieozdobionym prestiżowymi skrzydełkami lotnika. Słyszając, że wszelkie bazy szkoleniowe dla załóg lotniczych są tak przepełnione, iż powołanie dostanę nie wcześniej niż za sześć miesięcy, i myśląc, że wojna do tego czasu może się skończyć, odmówiłem podpisania kropkowanej linii i wróciłem do domu bez zobowiązań i wolny. Major najwyraźniej był przekonany, iż RAF da sobie radę beze mnie.

Marynarka jakoś mi bardziej odpowiadała niż służba w wojskach lądowych i zgłaszając się w Admiralicji, byłem już bardziej zorientowany w trudnościach, jakie się napotyka, chcąc służyć krajowi w czasie wojny. Chciałem pływać tak długo, ile trzeba do zwycięstwa, ku mojemu niezadowoleniu stwierdziłem jednak, że Ich Lordowskie Moście domagają się podpisania dwunastoletniego kontraktu. Po tak długim czasie byłbym już dobrze w średnim wieku, i z tego względu, choć pewnie nie stracili wraz ze mną Nelsona, nie podpisałem kontraktu. Opuszczając urząd rekrutacyjny marynarki, wpadłem na starego kolegę szkolnego, witany bardzo radośnie. Był w takim samym patriotycznym nastroju i udaliśmy się do miejscowego baru, by się wzajemnie wypłakać na ramieniu. By służyć swemu krajowi, mój przyjaciel miał nawet większe przeszkody do pokonania. Student drugiego roku medycyny w Guys Hospital, niedopuszczony do służby wojskowej, unieruchomiony poprzez zaliczenie go do kategorii zawodów ściśle zarezerwowanych, do której został na mur wpisany, był nieznośnie sfrustrowany. Po jeszcze kilku szklaneczkach wobec całej tej niesprawiedliwości postanowiliśmy sprawę ostatecznie załatwić. Weszliśmy do wojskowego punktu rekrutacyjnego i podpisaliśmy każdy świstek, jaki przed nami położono. Mój kumpel szkolny przyjęty został jako robotnik, a ja jako bezrobotny do piechoty w Royal West Kent Infantry Regiment. Część wojny spędziliśmy razem, chociaż mój przyjaciel wy dostał się z Francji po fiasku w 1940 roku i z przykrością dowiedziałem się później, że zginął we Włoszech. Spotkanie tego dnia było miłym przypadkiem, a przynajmniej takim się wtedy wydawało. Może jednak nie należało iść razem do knajpy i wpaść na ten wariacki pomysł, który zadecydował o naszej przyszłości.

W listopadzie 1939 roku zgłosiłem się w Centrum Szkoleniowym Piechoty w Maidstone, jakieś trzydzieści mil od domu. Wobec trwającej wojny żołnierka miała swoje znaczenie, prawie każdy rekrut w tym czasie był ochotnikiem i baraki wprost iskrzyły się zaraźliwym entuzjazmem. Podstawowe szkolenie na NCO (podoficera) zakończyło się na początku 1940 roku. Los żołnierza piechoty podczas tej zimy, najgorszej od wielu lat, wart jest dokładnego opisu. Przyjęciem w hotelu w Maidstone zegnaliśmy instruktora naszego plutonu, sierżanta zawodowego starej szkoły z długą służbą w Indiach. Na nazwisko miał Baker, znany był wszem i wobec, nic dziwnego że nazywano go Doughy (Pączek). Byłoby miło sądzić, że kilka drinków nie wpłynęło nadmiernie na Doughy'ego kiedy życzył nam powodzenia i chwalił nasz pluton jako najbardziej kompetentną i twardą paczkę rekrutów, jakich kiedykolwiek szkolił.

Jaka szkoda, że tak wielu młodych żołnierzy, potencjalnie doskonały materiał na przywódców, wysłano do Francji, by poświęcić ich dla sprawy, która w tym stadium wojny była od samego początku stracona i beznadziejna. Bataliony zostały zdruzgotane, nie z własnej winy, w walce z dobrze dowodzonymi szturmowymi oddziałami niemieckimi z doskonałym uzbrojeniem i wsparciem lotniczym. Armie, które powstały odczuwają boleśnie te zmarnowane ofiary 1940 roku i idiotyczne rządy w latach, które do tego doprowadziły. Wielka Brytania była architektem swoich tragedii przez pierwsze lata wojny. Polityka ugłaskiwania bez poparcia siły okazała się najgłupszą z polityk prowadzonych w obliczu bezwzględnej dyktatorskiej agresji.

Po zakończeniu podstawowego szkolenia piechoty w początku 1940 roku skierowano mnie na kurs dla podoficerów w Maidstone prowadzony przez kompetentnego majora i wszyscy byliśmy zadowoleni z uczestniczenia w tym szkoleniu. Niestety w połowie kurs rozwiązano, a uczestników po-rozsyłano do różnych jednostek. Moją nową formacją był 6. West Kent Battalion, stworzony z obrony terytorialnej zmobilizowanej na początku wojny. Nie z własnej winy batalion był w dużym stopniu niewyszkolony z oficerami niemającymi pojęcia o żołnierce i żenująco niezdolnymi, do przekazania jakiegokolwiek wiedzy militarnej. Jakaż to była różnica w porównaniu ze szkoleniem w Maidstone.

Piękną wczesną wiosną 1940 roku 6. Batalion popłynął do Francji. Kanał przekroczyliśmy bez przeszkód ze strony łodzi podwodnych i lotnictwa i cała jednostka została wygodnie zakwaterowana w drewnianych barakach niedaleko Rouen w Normandii. W Cherbourgu wymaszerowaliśmy ze statku z bagnetami na broni przy wzruszającym akompaniamencie marsza *Wi 'a hundred pipers* w wykonaniu orkiestry okrętowej, witani gorąco jako bardzo mili goście przez uradowanych Francuzów. Drugą przyjemnością było ontemplowanie spraw wcale nie wojskowych, kiedy patrzyliśmy na te rozentuzjasmowane dziewczęta i ich zachowanie interpretowaliśmy bardzo optymistycznie. Wszystko zapowiadało spokój i komfort bez śladu wiszącego w powietrzu sztormu. Ja awansowałem na starszego szeregowego i moim obowiązkiem związanym z awansem było eskortowanie chorych żołnierzy do szpitala w Rouen, gdzie leczono przypadki zbyt trudne dla warunków polowych. Dostałem morrisa, 15-tonową ciężarówkę. Po dostarczeniu kolegów do szpitala o dziewiątej rano byłem wolny do późnego popołudnia i nie musiałem się bać rojącej się żandarmerii wojskowej w czerwonych czapkach. Na legalnej przepustce mogłem spokojnie badać miasto i przypatrywać się mieszkańcom.

Ojciec trzymał mnie na liście płac w domu, co wystarczało na pewne ekstrawagancje. Dwa szylingi od armii nie pozwalałyby na raczenie się winem i jedzeniem, co jest tak ważne, jak się jest za granicą. Mój francuski, znośny w szkole, poprawił się jeszcze i wiele miejscowych drzwi otwierało się przede mną z galijską gościnnością okazywaną w pełni żołnierzowi brytyjskiemu trajkoczącemu po francusku. Godziny tam spędzone, głównie w damskim towarzystwie, były więcej niż kształcące językowo. By kontynuować sprawy rozpoczęte za dnia, trzeba było nieraz wracać do Rouen wieczorem, i rzadko się zdarzało, bym nie zdołał jakoś znaleźć się na czas i we właściwym miejscu wraz z samochodem. Amerykanie mówią czasem o nas, że spędzaliśmy tam czas jak na balu. Nic nie jest wieczne, i wszystko, zarówno dobre, jak i złe, jak i my sami, się kończy. W bardzo nieuprzejmy sposób Niemcy przerwali ten wspaniały bieg spraw w początku maja, pokonując Holandię i Belgię i wdzierając się do Francji pod Sedanem.

Któregoś późnego wieczoru, prawie bez ostrzeżenia, cały batalion został załadowany na ciężarówki i wywieziony na wschód, w ciemność, w kierunku nacierającego przeciwnika. Rankiem byliśmy jeszcze w drodze. Poruszaliśmy się bardzo powoli. Masa ludzi ciągnęła z kierunku, w którym zmierzaliśmy. Kiedy słońce wzeszło, droga była zapchana, posuwanie się naprzód stało się niezmiernie trudne. Lawina uciekinierów była chwilami nie do pokonania. Samochody, wozy

zaprzężone w konie i wózki ręczne zatykały całą szosę. Na szczęście nie atakowano nas z powietrza, gdy tak bez żadnej osłony zmierzaliśmy na wschód. Natknęliśmy się na wypalony, zupełnie rozbity konwój brytyjskich ciężarówek, kolumnę zaopatrzeniową. Masa poskręcanego żelastwa ze szerniałymi, skurczonymi postaciami kierowców w każdej szoferce była ostrzeżeniem śmierci, jaka w każdej chwili może nas dopaść z błękitnego nieba.

Z upływem dnia strumień uciekinierów i wycofującej się armii francuskiej malał. Kiedy dotarliśmy do małego miasteczka Doullens nad Sommą ruch prawie ustał. Doullens, którego mieliśmy bronić, było opuszczone i zajęliśmy się rozlokowaniem jednostki i zablokowaniem wszystkich dróg prowadzących do miasteczka. Kiedy zapadła noc, odcinek, którym dowodziłem, ulokowany został w mieszkaniu nad barem przy dużym rynku Doullens, dogodnym miejscu pod względem wojskowym. Obfity zapas win i napojów alkoholowych, pozostawiony przez właściciela, był oczywiście szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Następnego ranka poszedłem do dowództwa kompanii zajmującego kwaterę w odległym końcu rynku. Wszystkie szarże latały w kółko. Wyglądało na to, że nasz odcinek został zapomniany. Zniknąłem więc i wróciłem na swoje stanowisko, do domu dalekiego od domu. BBC trąbiło, że Niemcy przełamali się w głąb, że sytuacja jest płynna, ale pod kontrolą. Poprawna interpretacja takich komunikatów którejkolwiek ze stron wymagała doświadczenia przekraczającego moje w tym czasie. Później w czasie wojny komunikat tak sformułowany oznaczałby dla mnie, że strona powiadamiająca oberwała potężnie, chwieje się na nogach i długo będzie odliczana na dechach.

Skutki tak błędnych taktycznych informacji wkrótce dały o sobie znać. W drodze powrotnej z kwatery dowództwa wpadłem w odwiedziny do innej drużyny naszego plutonu, także kwatrującej nad sklepem, ale niehandlującym alkoholem, jak było w naszym przypadku. Dowodzący tym odcinkiem sierżant z obrony terytorialnej, w czasie pokoju pracownik garażu, rozkoszował się pierwszym smakiem władzy i kiedy proponowałem, że prześlę mu kilka butelek wina, do sklepu wpadł zaniepokojony żołnierz.

„Panie sier...żcie - wybełkotał - na szosie są dziesiątki szwabskich czołgów”.

„Nie bądź głupi - odpowiedział wyniośle sierżant - nie ma szwabskiego czołgu na całe mile dookoła nas”. „Ale sana nich krzyże, pnje sierż..!”.

Sierżant z pogardliwym wzruszeniem ramion wyszedł na rynek, kiedy akurat nastąpiła silna eksplozja przed samym budynkiem. Rzecz mogłaby zdezorientować nieco BBC, ale w Doullens aż nadto było jasne, że przy-było nam niespodziewane towarzystwo. Przeskoczyłem murek na zapleczu i rwałem do swoich wstrząśnięty, że wojna może być tak niebezpieczna. Na wzniesieniu pod Doullens widać było wyraźnie wiele niemieckich czołgów, ciężarówek i transporterów pełnych żołnierzy. Zaszło mi w ustach w przewidywaniu, że jakaś jednostronna akcja zostanie przedsięwzięta przeciwko nam. Szczekanie karabinów maszynowych, wybuchy pocisków i wycie nisko lecących samolotów było naszym chrztem bojowym. Niektóre budynki dookoła nas zaczęły się palić. Kiedy się waliły w płomieniach, czuło się wołanie o wodę, której nie było, wołanie, którego nikt nie słyszał. Widać było pojazdy opancerzone omijające miasto i coraz większą liczbę piechoty, co wskazywało na operację oczyszczającą, której wynik był oczywisty. Uspokoilo się nieco pod wieczór. Udałem się poprzez ogródki za domami do kwatery głównej po rady i instrukcje. Miejsce było puste, zagracone częściami ekwipunku, poprzewracanymi meblami, ale bez żywej duszy. Zaplecze budynku leżało w gruzach, a moi kamraci albo uciekli, albo zostali wzięci do niewoli.

Wydostać się z Doullens, zanim obejmie nas pogrom, było sprawą zasadniczą. Niemcy zaleją wkrótce cały teren i rozwiązanie grupy dawało jedyną szansę uchronienia się przed rozbiciem i złapaniem do niewoli. Pojedynczo, po zapadnięciu ciemności nasza grupa zniknęła w mroku, by połączyć się z

własnymi siłami. Nigdy nie zobaczyłem już nikogo z grupy. Byłem ostatnim, który opuścił to miejsce przed świtem, i o wschodzie słońca, wyszedłszy z miasta z ciągle tłącymi się zgłiszczami, ukryłem się w gęstym poszyciu lasu, obok którego przebiegała ruchliwa szosa.

Przetaczał się nią niekończący się strumień niemieckiego sprzętu wojennego. Otwarte transportery, wypełnione groźnie wyglądającymi piechurami w stalowych hełmach, w aurze zwycięskiej pewności siebie nie stanowiły zachęcającego widoku. Jedynym wyjściem było uciekać na zachód, przedtem jednak należało przekroczyć szosę, obok której się ukrywałem, ale koło południa ruch nawet wzrósł. Głęboko przestraszony i pod silnym wrażeniem ilości i jakości potęgi militarnej, jaką miałem przed oczyma, oczekiwałem ciemności, licząc, że uda mi się przemknąć, kiedy olbrzymia kolumna transportowa uniemożliwiła tę szansę. Zepsuła się ciężarówka i żołnierz niemiecki na motocyklu wrzeszczał o pomoc w usunięciu maszyny z drogi. Jego rozkazujący, zgrzytliwy głos sprowadził mnie znowu na ziemię. Zapomniałem już prawie, że toczy się wojna. Moja kula trafiła go akurat tam, gdzie była skierowana. Momentalnie groźnie wyglądający Niemcy wyskoczyli z pojazdów, starając się zlokalizować i zniszczyć zabójcę, wyraźnie jednak niepewni, gdzie znajduje się wróg i skąd padł pocisk. Nie czekałem, aż znajdą i uciekałem na skrzydłach strachu z powrotem do lasu. Dzięki Bogu nie słychać było pogoni. Leżąc plackiem, zadyszany, nie mogłem stłumić wstydu, że zabiłem Niemca w tak niesportowy sposób. Nie był to bez wątpienia krykiet, ale w nowoczesnej wojnie żaden z uczestników ceniących swoją skórę i chcący znaleźć się po stronie wygranych nie może sobie pozwolić na luksus podchodzenia do sprawy jak w krykiecie. W miarę trwania wojny tego rodzaju wyrzuty sumienia przestały istnieć. Mój karabin nie mógł już mi się przydać do wybrnięcia z tej trudnej sytuacji, rzuciłem go więc w jedną stronę, a magazynek i pociski w drugą. Powoli i z największą ostrożnością zbliżyłem się znów do szosy. Gęsty ruch panował dalej. Leżałem schowany w polu porośłym krzakami, oczekując nocy. Błyszczące słońce owego olśniewającego majowego dnia powoli skłaniało się ku zachodowi. Zbyt powoli. Ruch malał, nadzieja rosła. Później będzie pewnie można łatwo przekroczyć, niewidziany przez wroga, drogę do wolności. Kiedy tak dumałem, optymistycznie patrząc na powoli zapadający zmrok, na szosie zatrzymała się kolumna czołgów. Zaciekawiony przyczyną zatrzymania się wyjrzałem ze swojego ulistnionego schowka. I nagle zostałem zaskoczony niespodziewaną sytuacją. Kilku niemieckich oficerów kroczyło w kierunku krzewów, w których się chowałem. Zamarłem w bezruchu, a oni zatrzymali się jakiś jard ode mnie i obserwowali okolicę. Słyszałem ich rozmowę i kiedy jeden z nich zwrócił się do drugiego i wykrzyknął: Also die Nacht hier, zrozumiałem, że trzeba spodziewać się kłopotu. Słyszałem dobrze. Czołgi zostaną tu na nocny postój. Kępa krzewów wydawała się teraz malutka, jak potwory przyspieszyły i zatrzymały się dookoła mojej skrytki. Zanim się ściemniło, załogi czołgów zajęły się gotowaniem i przygotowaniem do spania w małych namiotach. Niektórzy załatwiali swoje potrzeby naturalne w najbliższym sąsiedztwie, ale pamiętając, że trwa wojna, nie narzekałem, zachowywałem się cichutko, nawet nie patrząc. Powoli obozowisko uspokajało się i jednostka popadła w sen. Głośne chrapanie oznaczało, że na mnie czas. Księżyc wzeszedł bardzo jasny, przesłaniany często chmurami przeganianymi przez wiatr. Zbliżała się czarna chmura i jak tylko księżyc przygasł, wyczołgałem się ze schowka i chyłkiem, na czworakach przemykałem się między czołgami w kierunku szosy, na której nie było teraz ruchu. W mroku widać było wartownika powoli chodzącego między czołgami i szosą. Akurat znalazł się poza zasięgiem wzroku i słuchu, a ja z brzuchem rozplaszczonym na ziemi, w najlepszym indiańskim stylu czołgałem się do celu, który teraz był odległy zaledwie o kilka jardów, kiedy dobra passa się skończyła. Ku mojemu przerażeniu duża chmura minęła księżyc i wszystko dookoła stanęło w księżycowym blasku. Głupia pomyłka. Ostatni czołg dałby osłonę i pozwolił na przeczekanie do następnej chmury. Leżąc bez ruchu na trawie skąpany w księżycowym świetle, co w innych okolicznościach byłoby nawet romantyczne, nie miałem co liczyć, że zostanę nierozpoznany, co wkrótce się sprawdziło. Księżyc świecił i świecił. Miarowe kroki wartownika stawały się coraz

głośniejsze w miarę jak zbliżał się w moim kierunku. Zarys hełmu był wyraźny, a ja modliłem się, by pozostać niewidzialny, ale widocznie linia do nieba była akurat zajęta ważniejszymi sprawami. Roztrzęsiony do ostateczności usłyszałem nieomylnie trzask zamka karabinowego. Był obok, świdrując mnie oczami, przystawił mi niezbyt delikatnie lufę do krzyża. Gra skończona, odwróciłem się powoli w strachu i powiedziałem lękliwie: Guten Abend. Trącenie bronią kazało mi podnieść się na nogi i księżyc zniknął.

„Dla ciebie, Angliku - powiedział mój zdobywca - wojna się skończyła. Kommen Sie mit. Następujące po tym wydarzenia wykazały, że był w błędzie.

KRNABRNY JENIEC

Przygnieciony wstydem, że dałem się złapać do niewoli, następnego ranka znalazłem się w ciężarówce zmierzającej na wschód w kierunku Reichu. Co kilka mil od niemieckich jednostek przejmowano kolejnych jeńców brytyjskich. Wyłapywano ich pojedynczo lub w dwuosobowych grupach po stracie kontaktu z jednostkami macierzystymi. Operacja oczyszczająca była łatwa. Przekroczyliśmy granicę belgijską i zostaliśmy wyladowani na obszernej równinie porosłej trawą poprzez którą przepływał leniwy strumyk. Kręciły się tam tysiące jeńców, i choć widziało się różne mundury, Brytyjczyków było znacznie mniej niż Francuzów. Brytyjczycy stanowili pstrokatą mieszaninę, nieogoleni, zdeprymowani włączyli się bezładnie. Było bardzo mało kompletnych mundurów. Nikt nie miał płaszcza. Francuzi natomiast, wprost przeciwnie, byli dobrze zorganizowani, schludni, mieli mnóstwo tytoniu i góry ekwipunku. Rozłożyli małe namioty i, może niesłusznie, czuło się atmosferę rozluźnienia, jako że spokojnie podziwiali wiejski krajobraz i wydawali się bardzo zadowoleni z losu. Nie było miłości między dwoma sprzymierzonymi, jako że Francuzi byli tymi, którzy mieli, a my tymi, którzy nie mieli. Żołnierze brytyjscy spali na wolnym powietrzu i choć dni były słoneczne i ciepłe, noce okazały się wilgotne i zimne. W nocnej mizeroce zazdrościliśmy Francuzom ich namiotów, bo chłodna rosa przenikała nasze marne ubrania. Rankiem, zeszywniali i obolali, z trudem wstawaliśmy mokrzy, na pół zmarznięci i jeszcze bardziej wygłodniali.

Jedzenie było sprawą pierwszej wagi. Niemieckie kuchnie polowe gotowały dużo niezłej zupy. Francuzi, dobrze zaopatrzeni w menażki i sprzęt do jedzenia, mogli w pełni cieszyć się ciepłym jedzeniem. Niewielu Brytyjczyków miało jakiegokolwiek wyposażenie.

Po prawie tygodniowej walce o fizyczne przeżycie z zaspokajanymi zupełnie podstawowymi, zwierzęcymi potrzebami, wszyscy Brytyjczycy zostali wepchnięci do długiej kolumny ciężarówek z miejscami tylko stojącymi, otoczeni ze wszystkich stron Niemcami w hełmach. Ruszyliśmy na wschód do Niemiec. Po wielu męczących godzinach dotarliśmy do Trewiru, znanego turystom malowniczego miasta nad Renem.

Wysiedliśmy w olbrzymich koszarach z dużymi barakami. Zapoznaliśmy się po raz pierwszy z wieżami strażniczymi, solidnymi ogrodzeniami z drutów kolczastych i groźnie wyglądającymi karabinami maszynowymi wycelowanymi prosto na ogrodzony teren. W tym dużym obozie dla jeńców wojennych była przynajmniej kuchnia z dostatecznym wyposażeniem, żeby wszyscy więźniowie otrzymali przysługujące im racje. Niektórym powiodło się lepiej niż innym. Nadstawiając swojego niemieckiego ucha należycie, zdołałem dla dziesięciu chłopów, w tym i mnie, załatwić wejście w skład obozowej grupy roboczej. Dodatkowa praca zapewniała dodatkowe racje żywnościowe i nie mieliśmy wyrzutów sumienia, że lepiej byliśmy traktowani, niż nasi bezrobotni bracia.

Jedna robota, w którą nas wrobiono, o mało nie zakończyła się nieszczęściem. Kazano nam wykopać głęboką latrynę w odpowiedzi na zwiększające się obciążenie tego rodzaju urządzeń, jako że bez

przerwy nowe strumienie więźniów łały się do obozu. Wrodzona niechęć do wulgarności zakazuje mi żartować w tym miejscu, ale łanie jest tu słowem właściwym, jeśli ma się właściwe wyobrażenie praktyczne o sprawie. W południe duża część była gotowa i po południu robotę planowaliśmy skończyć i oddać do użytku.

Kiedy po powrocie z lunchu wróciliśmy z nowymi siłami i zapalem do dalszego machania łopatami i oskardami, spotkało nas nieprzyjemne zaskoczenie. Taka była jakość naszej porannej roboty, że wielu więźniów użyło już i w dalszym ciągu używało naszego dzieła, choć jeszcze nie było ukończone. Moja niemiecka elokwencja, że sprawcy powinni oczyścić to miejsce, trafiła na dwoje najbardziej paskudnych, głuchych i sadystycznych niemieckich uszu. Perswazje na nic się nie zdawały i kierując się fałszywą dumą z powodu niemożliwości spowodowania zmiany decyzji kontynuowania roboty, kategorycznie odmówiłem, w swoim imieniu i w imieniu pozostałych, zejścia do wykopu. Nasz wartownik był samym uporem. Spokojnie zamocował bagnet na karabinie i zagwizdał, przywołując na pomoc innych, którzy też natychmiast się pojawili, wykazując taką samą gorliwość. Szturchnął mnie bagnetem niezbyt delikatnie między żebra. Był gotów mnie przebić. Rozsądek zwyciężył. Śmierć dla ojczyzny to rzecz szlachetna i chwalebne poświęcenie, ale w tym przypadku, za radą moich mocno załężnionych kompanów, zdecydowałem się żyć, by walczyć przy innej okazji o sprawy bardziej patriotyczne.

Nie bacząc na przykrości, jakie mieliśmy w południe, jak tylko skończyliśmy kopać latrynę, zażądaliśmy od wartownika, w imieniu Kultury, by umożliwiono nam kąpiel. Germańcy byli zawsze bardzo czuli na słowo Kultura i sugestia, że mogą niewiele mieć z nią wspólnego, odnosiła pożądany skutek. I tak wszystkich nas zaprowadzono do garnizonowej łaźni. Po rozkoszach gorącej wody i łaźnienego (ostrego) mydła spotkał nas jeszcze jeden szok. W długich lustrach oglądaliśmy zdumieni nasze żalosne odbicia

W szczególności przygnębiał mnie obraz moich łydek, ongiś przedmiotu dumy, które teraz przypominały zapalczane patyczki.

Pewnego ranka długa kolumna więźniów wymaszerowała w kierunku miejscowej stacji kolejowej. Procesja, otoczona wartownikami, wlokła się w akompaniamencie gwiżdżącej szyderczo młodzieży wyrażającej w ten sposób swoją pogardę i wiarę w zwycięstwo swastyki. Nasz niechlujny wygląd niewątpliwie zachęcał do takiej reakcji. Kto nie chciałby przyłać takim parszywcom? Wartownicy też okazali się inni. Żołnierze frontowi, którzy nas złapali, byli innego gatunku, znacznie lepsi niż żołnierze z tyłów pragnący wykazać moc swojego ducha bojowego surowym traktowaniem więźniów, nad którymi mieli teraz władzę. Byliśmy zmuszani do zbyt szybkiego marszu, biorąc pod uwagę wielu osłabionych, a czasem rannych więźniów. Postępujący przede mną chłopak w mundurze polowym chwiał się na nogach i potknął w szybkim marszu, przychyliłem się więc, by podnieść na nogi kolegę, kiedy dostałem potężnego kopniaka z tyłu. Wściekły odwróciłem się do wartownika, który mnie kopnął, i poczęstowałem go płynnie po niemiecku historią całego jego nieślubnego pochodzenia. Inny Szwab słysząc oznaki buntu, podbiegł i natychmiast położył mnie na ziemię potężnym uderzeniem kolby w sam środek pleców. Od tego uderzenia gra w golfa często wywołuje spazm bólu akurat w momencie największego rozmachu. Niezła wymówka, że nigdy nie byłem dobry w golfa!

Jakaś pięćdziesiątkę więźniów ładowano brutalnie do zamkniętych wagonów dla bydła. Zamroczony jeszcze po uderzeniu, wciągnięty zostałem do pociągu i umieszczony w pobliżu jednego z małych otworów wentylacyjnych znajdujących się w każdym rogu wagonu pod sufitem.

Nasza psychiczna i fizyczna udręka trwała, a pociąg turkotał w pięknej słonecznej pogodzie, tocząc się w obrazkowej dolinie Renu. Wagon był szczelnie zamknięty z wyjątkiem tych dwóch szczelin

wentylacyjnych i wszyscy stali w tłoku. Porządne gospodarstwa, lasy sosnowe prowadzone z teutońską starannością migły w ostrym kontraście z naszą nędzą i upodleniem.

Czasami godzinami staliśmy w polu, z dala od czegokolwiek, bez żadnej przyczyny, a wartownicy kursowali bez przerwy wzdłuż pociągu. To zatrzymywanie się i ruszanie trwało przez jakieś trzydzieści sześć godzin, w czasie których nie otwarto ani na chwilę drzwi wagonu, nie dostarczono jadła ani napoju. Dopiero późnym popołudniem drugiego dnia zatrzymaliśmy się na małej stacyjce. Nieznośny głód i pragnienie, brak toalety wraz z niesamowitym przepełnieniem, wszystko to stwarzało prawdziwe piekło na ziemi. Ci, których siły zawiodły, padali, często jedni na drugich, i ci na wierzchu mieli lepiej, bo nie leżeli w nieczystościach zalegających podłogę. Otwarto wreszcie drzwi i osobno z każdego wagonu, pod silną eskortą wyprowadzano nas na pobocze. Pielęgniarki Niemieckiego Czerwonego Krzyża rozdawały zupeł z chlebem. Wielu było zbyt słabych, żeby jeść, dawali się jednak prze-konać, żeby coś przełknąć. Kto wie, kiedy będzie następny postój?

W czasie kiedy poszczególne grupy jadły, a raczej żarły na peronie, ich wagony myto silnym strumieniem wody z węża. Podłogę następnie pokrywano słomą, luksus w porównaniu do poprzednich warunków. Po powrocie do wagonu sprytnie ulokowałem się z powrotem w rogu, w korzystnym miejscu. Wagony znów pozamykano i czekaliśmy kilka godzin, zanim podjęto podróż.

Z tego zajęcia miejsca pod szczeliną wentylacyjną odniosłem istotną korzyść. Oczekując w rezygnacji, podparty w rogu wagonu, kiedy pociąg znów ruszy, usłyszałem nagle przechodzącego Niemca pytającego, czy ktoś nie potrzebuje jeszcze chleba. Okazało się, że wszyscy więźniowie zamknięci już byli w wagonach, a na stacji pozostało wiele niezjedzonego chleba. Zapewniłem żołnierza, że nasz wagon chętnie skorzysta. Dobrze się złożyło, że w innych wagonach nie zrozumieli oferty i że nie zauważyli, ile chleba dostaliśmy przez wentylator. Chociaż to ja byłem sprawcą tego szczęśliwego obrotu sprawy i kusiło mnie, by zatrzymać znaczną porcję dla siebie, pohamowałem się. Tytułując starszego wiekiem podoficera znacznie powyżej jego rangi, zasugerowałem, żeby chleb rozdzielić po równo. To posunięcie zaakceptowano chętnie i kiedy każdy z więźniów miał kawał chleba na czarną godzinę, nastrój i morale w wagonie znacznie się poprawiły. Niektórym z bardziej uzdolnionych udało się zrobić solidną dziurę w podłodze, i chociaż nie była to najwygodniejsza z toalet, okazała się niezwykle przydatna, podnosząc stan higieny w wagonie.

Rankiem czwartego dnia, a może był to piąty, warunki znów strasznie się pogorszyły. Chociaż improwizowana toaleta i słoma na podłodze trochę pomagały, wielu z godziny na godzinę opadało z sił. Połowa z nas leżała lub siedziała skurczona. Ja na plecach miałem stłuczenie wielkości piłki nożnej po uderzeniu kolbą co boleśnie uniemożliwiało mi siedzenie. Tkwiłem żałośnie podparty w rogu wagonu. Wreszcie pociąg się zatrzymał. Koniec podróży. Mała stacyjka nazywała się Szubin, dawniej leżała w polskim Korytarzu, teraz włączono ją do Reichu. Uzbrojeni Niemcy byli wszędzie, otwarto wagony i głośnie rozkazy rozruszały nas. Żołnierze, którzy przybyli, by nas eskortować do obozu dla jeńców, byli najwyraźniej zaszokowani stanem nowego transportu. Ich dowódca, starszy wiekiem Niemiec, pułkownik noszący medal z pierwszej wojny światowej, nie owijał w bawełnę i wygarnął strażnikom pociągu i dowodzącemu porucznikowi pełnym głosem tę nieludzką Schweinerei.

Warknięto rozkaz, by nam pomóc w wydobyciu się z wagonów, i nieprzyjacielscy żołnierze, odłożywszy karabiny, robili co mogli, by nam pomóc.

Większość z nas wygramoliła się samodzielnie, ale niektórych, co starszych, trzeba było wynieść na noszach, umieszczono ich potem w tyle ciężarówek i odwieziono. Warunki w innych wagonach musiały być nawet gorsze niż w naszym. Niemieckie koce wojskowe pokrywały niektóre nosze, ponury dowód rygorów niemieckiej gościnności.

Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, stosunkowo poprawne traktowanie nas potem, można wywnioskować, że pojmanie tak wielkiej liczby jeńców w krótkim czasie przeciążyło wszelkie obozy, bazy, środki komunikacji, co było widoczne dobitnie po naszym przybyciu do Szubina. Trzeba też zaznaczyć, że traktowanie jeńców wojennych innych narodowości, szczególnie Rosjan i partyzantów, stało się morderczo barbarzyńskie w miarę postępu wojny.

Długa kolumna wlokła się powoli wzdłuż głównej ulicy miasta i wielu z nas pomagało słabszym, mimo skrajnego wyczerpania. Polscy cywile, jeszcze niedeportowani przez nowych panów, stali wzdłuż ulicy i otwarcie lali łzy nad naszym losem. Zaraz za miastem znajdowała się szkoła zakonna przekształcona w obóz. Wiele akrów z pięknymi budynkami szkolnymi i drzewami otoczono teraz podwójnym ogrodzeniem z drutu kolczastego z regularnie rozstawionymi wieżami wartowniczymi. Jeden z budynków, do którego wniesiono tych na noszach, przekształcono w szpital. Resztę umieszczono w różnych klasach szkolnych z wielopiętrowymi drewnianymi pryzmami, na każdej pryzmie był wypełniony słomą siennik. Po raz pierwszy od wzięcia do niewoli można było wyciągnąć się wygodnie i umożliwić Matce Naturze przezwycięzenie naszego osłabienia wywołanego przeżyciami ostatnich dni błogosławionym, głębokim snem. Przez kilka dni, kiedy leżeliśmy jakby w odrętwieniu, wartownicy zachowywali się powściągliwie, i choć głód dokuczał nam bez przerwy, odzyskałszy nieco sił. Jedna gruba kromka wojskowego chleba, kawa ersacowa i miska wodnistej zupy stanowiły dzienną rację. Przy pompie na dziedzińcu można było się umyć i wracać do zdrowia w ciepłe słońce. Życie trochę się unormowało. Zarządzono zbiórki na apel i z niemiecką starannością wszyscy więźniowie zostali spisani według nazwisk, ponumerowani i zadokumentowani, włączając adresy domowe i zawody. Tych, którzy mieli odpowiednie kwalifikacje, zatrudniono w obozie jako kucharzy, szewców, elektryków, ogrodników i tym podobnych, a jako że nie było wśród nas oficerów, starsi podoficerowie podjęli przywództwo nad swoimi grupami i byli łącznikami z niemieckimi władzami. Chociaż myślałem zachować moją znajomość niemieckiego w tajemnicy, jakoś rzecz się wydała i naciskano na mnie, bym służył pomocą jako tłumacz w różnych okolicznościach. W szpitalu stałem się bardzo pożyteczny dla chorych, co miało tę korzyść, że dostawałem dodatkowe pożywienie i czasem nieco tytoniu. Udało mi się też przemycić wiele bochenków chleba z kuchni szpitalnej dla kolegów w innych częściach obozu. Niemniej dieta była spartańska i głód doskwierał bez przerwy setkom więźniów zapełniających teraz obóz. Doszło do nas kilka paczek Czerwonego Krzyża i rozdzielaliśmy je skrupulatnie, żeby każdy miał kawałek czekolady, parę cukierków czy innych delikatesów, nie wspominając rozkosznych, a tak oczernianych plasterków mielonki z puszek. Z jednego przydziału paczek otrzymałem całą puszkę słodzonego mleka skondensowanego Nestle. Po wsunięciu całej puszki za jednym zamachem czułem mdłości przez parę godzin, ale wzmocniło mnie to bardzo.

Normalna dieta dzienna zawiera wiele niezbędnych składników, które uważa się za coś oczywistego, dopiero wyeliminowanie ich z diety, jak to było w naszej opłakanej sytuacji, powoduje uczucie pożądania specyficznych pokarmów, które odczuwaliśmy i na co wszyscy się uskarżali. Przekazywanie paczek żywnościowych nabrało właściwego rozpędu później w czasie wojny, kiedy to przypadała jedna cała paczka na jeńca tygodniowo. Z czasem dzięki szczodrości Czerwonego Krzyża i razem z podstawowymi racjami żywnościowymi niektórzy jeńcy wojenni jedli jakościowo lepiej niż przeciętny żołnierz niemiecki. Pamięć bywa krótka. Wiele wdzięczności należy się Czerwonemu Krzyżowi.

Po skatalogowaniu potencjału zatrudnieniowego wszystkich więźniów, Szwaby zaczęły wysyłać grupy robocze na harówkę poza obozem. Większość chętnie brała w tym udział, by opuścić to olbrzymie więzienie i zobaczyć trochę świata poza drutami kolczastymi. Rozeszła się też plotka, że jest tam lepsze jedzenie i w ogóle lepsze warunki, stąd wiele osób starało się o włączenie do tych grup.

Prawie każdego dnia grupy więźniów, najczęściej złożone z jakichś dwudziestu osób, opuszczały obóz z kilkoma wartownikami pod komendą Unteroffiziera (podoficera). Nowi więźniowie przybywali do obozu i zakwaterowywano ich na miejsce tych, którzy opuścili obóz, i procedura rejestracji rozpoczynała się od nowa.

Szubin był centralą odpowiedzialną za dostarczanie niewolników i administrowanie dużego rejonu. Kiedy wszystkie te wyprawy z obozu miały miejsce, moja rola jako tłumacza, poza zaletami, miała też strony ujemne. Utrudniała dołączenie do grupy roboczej, co pociągało mnie nie tylko ze względu na możliwość popatrzenia na świat. Odzyskałem teraz w pełni siły fizyczne i psychiczne po depresji, jaka opanowała wszystkich żołnierzy w wyniku pierwszego popadnięcia w niewolę. Determinacja, by nie przesiedzieć reszty wojny za drutem kolczastym, stała się moją obsesją i wszystko wskazywało, że ucieczka z małej grupy będzie łatwiejsza niż z dobrze strzeżonego obozu głównego. Podjąłem decyzję ucieczki. Pierwszym krokiem było zrezygnowanie z roli tłumacza, aby nie było żadnych zastrzeżeń co do opuszczenia Szubina pod pretekstem spełniania pracy potrzebnej nazistom. Przedstawiłem nowym przybyszom z pewną znajomością niemieckiego zalety funkcjonowania w charakterze tłumacza i oczekiwałem, aż ktoś mnie zastąpi.

Przed włączeniem się do grupy roboczej, dzięki łapówkom, handlowi wymiennemu, wreszcie krzykliwemu wręcz ogłaszaniu, zdobyłem mapy Polski, kompas oraz manierkę. Jeśli spojrzeć na to z perspektywy czasu, planowanie to było straszną amatorszczyzną ale miało też rolę terapeutyczną dawało rację życia i przedmiot obmyśliwań. Parę przyciszonych słów z jednym czy z dwoma bardziej przystępnymi strażnikami pozwoliło mi zorientować się, która z grup roboczych odpowiada najbardziej moim potrzebom. Ogólnym planem było przedrzeć się przez obszar okupowany przez Niemców i przedostać się na tereny w rękach rosyjskich. Planowano zakwaterować kilkunastu więźniów około dwudziestu mil na wschód do pracy przy obwałowaniu kanału. Rankiem któregoś czerwcowego ranka zebrano nas, każdy otrzymał polski płaszcz kawalerski, menażkę i parę drobiazgów jako wyposażenie na nową karierę. Na dodatek do map i innego sprzętu potrzebnych w ucieczce odwiedziłem także nasz warsztat szewski i zorganizowałem parę solidnych butów. Cały obóz musiał paradować, a żołnierz niemiecki przechadzał się po szeregach w poszukiwaniu swojego obuwia. Buty były dobrze schowane i włożyłem je dopiero na drogę rankiem w dniu wymarszu z obozu.

Unteroffizier przeszukiwał ubrania i sprzęt, ponieważ jednak ucieczki nie były jeszcze ulubioną rozrywką więźniów, robił to niestaranie i niczego nie znalazł. Mały kompas był tak starannie schowany, że skromność nie pozwala mi mówić, gdzie go na sobie ukryłem. Na stacji świeciło piękne słońce, kiedy czekaliśmy na pociąg. Najróżniejsi cywile polscy porozumiewawczo, ostrożnie mrugali do nas pełni życzliwości i wiele papierosów i tytoniu przewędrowało ukradkiem do brytyjskich kieszeni z wielkim ryzykiem dla dawców.

Na przeciwny peron podjechał i zatrzymał się pociąg zmierzający na zachód do Niemiec. Jeden wagon pełen był kilkunastoletnich dziewcząt, a pilnujący je Szwab odpowiedział na moje pytanie, że są to ochotniczki udające się do pracy w niemieckim przemyśle. Wzruszył ramionami na moją uwagę, że nie widziałem dotąd tak smutnych ochotniczek z oczami pełnymi łez. Choć bez płaczu, czuliśmy więź naszego losu z losem tych polskich dziewczyn.

Po krótkiej podróży dojechaliśmy na miejsce, osady bez nazwy z kilkoma chatami i pustą szkołą przy polnej drodze. Szkoła miała cztery klasy, dwie na górze połączone schodami z dwiema klasami na parterze. Więźniowie mieli być zamknięci na noc w pokojach górnych, a strażnicy zajmowali pokoje na dole. Dano nam sienniki wypchane słomą. Żołnierze i więźniowie jedli razem gęstą kartoflaną na

wieprzowinie przygotowaną przez firmę wykonującą roboty przy kanale. Następnego dnia boisko szkolne miało być ogrodzone, by zrobić to miejsce nie tak łatwym do opuszczenia. Zgłosiliśmy się pilnie do wykonania tej roboty i daleko jej było do zakończenia, kiedy odłożyliśmy narzędzia. Zamierzałem uciec sam, ale zmieniłem zdanie, kiedy spotkałem młodego piechura, Derka Baxtera, który miał takie same ambicje. Zdecydowaliśmy połączyć siły i uciec tejże nocy, kiedy jeszcze ogrodzenie nie było skończone, co powinno ułatwić sprawę. Po następnej sutej porcji zupy na wieprzowinie zamknięci na górze przygotowywaliśmy się do ucieczki. Podarliśmy polskie szare płaszcze na pasy i spleliśmy je odpowiednio. Nasi kompani patrzyli na naszą robotę niechętnie i nie mieli wątpliwości, o co chodzi. Jeden czy dwóch okazało niezadowolenie, wyrażając opinię, że rozzłościłmy Niemców i zepsujemy co, co oni uważali za „cholernie dobry układ”. Uspokoiłmy ich obiekcje, ukończyliśmy szykowanie splotów i późnym letnim wieczorem byliśmy gotowi.

Strażnicy na parterze zachowywali się bardzo hałaśliwie cały wieczór. Sądząc po odgłosach ochrypłych śpiewów, sznaps łał się obficie i z przyjemnością zauważyliśmy przycichanie zapijaczonych głosów, a nawet solidne chrapanie. Zapanowała zupełna ciemność, noc była spokojna, kiedy ostrożnie spuściliśmy na boisko z okna na górze to, co było kiedyś dwoma polskimi płaszcami. Na końcu zaimprovizowanych lin przywiązaliśmy nasze torby, i jak tylko dotknęły ziemi, górny koniec zamocowaliśmy solidnie w pokoju. Nasze buty schowane były w torbach i zsuwając się powoli w skarpetkach po parapecie okiennym, by schwycić linę, tylko chwilę trzymałem się jej, zanim rąbnąłem na ziemię. Mimo dosyć przykrego lądowania nic mi się nie stało, ale serce biło dostatecznie głośno, by zaalarmować strażników, którzy cudem niczego nie usłyszeli. Rzuciłem okiem w górę, kiedy akurat Derek wyglądał znad parapetu. Choć był słabo widoczny, dało się wyczuć przestרח na twarzy. On musiał jednak także zejść. Po pierwsze, potrzebowałem towarzystwa, po drugie, cały jego ziemski dobytek był obok mnie na ziemi i wciągnięcie go z powrotem przez okno spowodowałoby hałas, który niechybnie by nas zdradził. Zapewniony, że upadek nie jest groźny, Derek wyslizgnął się z okna, zawisł na chwilę na parapecie i wylądował ciężko bez kłopotu. Momentalnie pokonaliśmy niedokończone ogrodzenie, wdzialiśmy obuwie i ruszyliśmy dziarsko w drogę. Poruszaliśmy się cicho na piaszczystej drodze, a po paru godzinach zauważyliśmy świtanie na wschodzie, dokąd zmierzaliśmy. Po obu stronach drogi były pola obsiane wysokim zbożem gotowym do zbioru. Ostrożnie weszliśmy głęboko w łąn, uważając, by nie zostawiać śladów, które mogłyby być widoczne z powietrza, i zapadliśmy w przyjazną zieleń. Pierwsze kłopoty pojawiły się już niedługo. Wschodnioeuropejskie letnie słońce wznosiło się szybko i przypalało nas z góry. Obaj równocześnie gotowaliśmy się w żarze i kapali w pocie każdej minuty najdłuższego dnia, jakiego doświadczyliśmy.

Ruch pojazdów zmotoryzowanych i wozów konnych dał się słyszeć od czasu do czasu, ale nic się nie przydarzyło, co by przerwało monotonię w naszym ukryciu przypominającym piec. Wreszcie przyszła noc, wyszliśmy na drogę i zmierzaliśmy na wschód. Upał drugiego dnia był tak samo nieznośny, jak i pierwszego. Rozebrani, wykapaliśmy się do czysta w naszym własnym pocie. Manierki były suche, kiedy znów ruszyliśmy nocą przed siebie. Skutki odwodnienia na słońcu bez picia dały rychło o sobie znać. W ustach mieliśmy tak sucho, że zamiast mowy, wydawaliśmy skrzeczenie, i choć zostało nam nieco chleba i trochę słodczy zebranych z paczek Czerwonego Krzyża, woda była rzeczą najważniejszą. Szliśmy tak spragnieni w ciszy przez małe osiedle na krótko przed świtem. Przed jedną z chat, nieco większą od innych, była studnia, ze zwykłą ręczką i wiadrem na łańcuchu, jak się okazało po sprawdzeniu. Nie licząc się z możliwymi konsekwencjami, pospiesznie zabraliśmy się za czerpanie tego daru z nieba. Napełniliśmy wiadro po brzegi, zanurzyliśmy desperacko twarz w wodę i nabraliśmy jej do manierek. Hałas wzbudził czujność wielu psów, ale my, nie bacząc na szczekanie, spuściliśmy wiadro jeszcze raz i piliśmy, i pili. Pojawiło się światło w górnym pokoju w domu za studnią ktoś otworzył i jakiś Niemiec głośno dopytywał się o przyczynę harmidru. Trzymał w ręku

śrutówkę, ale nawet w tym napięciu uznałem go za głupca, który wychyla się tak z okna, mając światło za sobą i nie mogąc niczego ujrzeć w ciemności. Pojawiły się światła w innych domach i musieliśmy zmykać.

Wcześniej dosyć poszukaliśmy schowka, tym razem w lasu sosnowym, i z przyjemnością rozciągnęliśmy się w chłodzie. Nasza pewność siebie nieco wyparowała za dnia, i z wodą prawie na ukończeniu i resztkami chleba ujrzelśmy ponurość sytuacji. Wiedzieliśmy, że program wysiedlania Polaków był w toku, ale jeszcze nieukończony. Wielu z nich, nasza jedyna nadzieja na ludzką pomoc, jeszcze tu żyło, oczekując na przesiedlenie na wschód, jednak doświadczenie z ostatniej nocy potwierdzało nasze informacje o postępującej nazyfikacji tej części zagrabionej Polski. Cywilów niemieckich w Szubinie było dosyć i ich osiedlanie się na wsi zrobiło już znaczne postępy. Nowi osiedleńcy nazistowscy byliby znacznie gorliwsi niż zwykli gospodarze do współpracy z własnymi władzami przeciwko wszelkim wykroczeniom, jakiego dokonywali akurat dwaj uciekinierzy.

Program wysiedlania Polaków był przeprowadzany przez nazistów w sposób okrutny, bez żadnej litości czy liczenia się z ofiarami. Uzbrojona niemiecka policja wkraczała do polskich domów i niezależnie od wieku, płci i zdrowia, dawała mieszkańcom dziesięć minut na zebranie rzeczy osobistych, zanim zostawali załadowani na zakryte ciężarówki czekające pod domem. Nie tolerowano najmniejszego oporu i wymierzano natychmiastowe kary od pobicia do rozstrzelania. Dzienna liczba ofiar była dostateczna, by nowo przybywające rodziny niemieckie mogły się natychmiast wprowadzić do w pełni umeblowanych i funkcjonujących domów, a Polaków odwożono na stację kolejową ładowano do wagonów i wywożono na wschód w nieznane.

Było jasne, że bez wskazówek co do drogi, bez jedzenia i cywilnego ubrania nie przeżyjemy długo. W brytyjskim mundurze, bez możliwości marszu za dnia przy krótkich nocach letnich, co drastycznie zmniejszało czas, w którym mogliśmy się poruszać, i przy obecnej szybkości niewiele ponad dziesięć mil pomiędzy zmrokiem a świtem, opuszczenie Niemiec zajmie nam całe miesiące. Rozważając dalej, nasze przyjęcie przez Rosjan nie było też wcale takie pewne. Schowani pod sosnami przy bocznej drodze raczyliśmy się większym komfortem w porównaniu do gotowania się w polu ze zbożem. Jakiś dziwny pojazd przejechał drogą ale było mało prawdopodobne, by mógł nim kierować Polak, więc pozostaliśmy w ukryciu.

Pojawił się wóz konny z dwoma mężczyznami w cywilnych ubraniach rozmawiającymi w innym języku niż niemiecki. Zbierając się na optymizm, wystąpiłem przed wóz, przeprosiłem za mówienie po niemiecku, zakładając, że moi rozmówcy są Polakami. Odpowiedzieli łamanym niemieckim, zawołałem też Derka, który czekał w lesie. Wkrótce siedzieliśmy na wozie i mając na względzie słowiański wygląd obu mężczyzn i ich przyjazne zachowanie się, wydawało się nam możliwe, że wreszcie otrzymamy tak potrzebną pomoc. Wytłumaczyliśmy, kim jesteśmy, i powiedzieliśmy też o naszych planach. Ci dwaj słyszeli o naszej ucieczce i choć nie obiecali żadnej współpracy, o jaką prosiliśmy, nie było nic więcej do zrobienia niż czekać, co nam los przyniesie.

Kiedy przybyliśmy do chaty przy drodze, zastaliśmy tam dwie wyglądające na bardzo zdziwione żony, które natychmiast uraczyły nas smakowitą zupą i chlebem. Po posiłku jeden z mężczyzn opuścił dom. Intuicja coś mi mówiła, że nieszczęście wisi powietrzu, kiedy odrzuciliśmy pomysł Derka, żeby tu zostać. W środku kilku niemieckich słów pożegnania i podziękowania naszym gospodarzom drzwi się nagle otworzyły i weszli niemieccy policjanci z pistoletami w garści. Podnieśliśmy ręce, zanim nawet polecenie Hände hoch rozwaliło nasze nadzieje na wolność. Temu, który nas wydał, powiedzieliśmy tylko parę słów o jego polskich nieślubnych rodzicach, ale mnie szybko naszło olśnienie co do prawdziwej przyczyny naszej wpadki.

Policjant wspomniał, że nasi zdrajcy nie byli Polakami, ale Ukraińcami niemieckiego pochodzenia, których przesiedlono do Korytarza, i byli oczywiście lojalnymi zwolennikami Reichu i Führera.

Po nocy spędzonej w miejscowej celi spotkał nas jeszcze jeden wstrząs, kiedy starszy żandarm oznajmił nam, że jako pierwsi uciekinierzy z Szubina zostaniemy tam odprowadzeni i rozstrzelani. Pour encourager les autres, oddaje lepiej po francusku niż w tłumaczeniu, jak się czuliśmy. Następnego ranka, spięci kajdankami i z dwoma olbrzymimi Szwabami, którzy postępowali za nami, szliśmy wolno do innej wsi, gdzie znów nas wpakowano do celi. Okrężną drogą zabrało kilka dni, zanim dotarliśmy do Szubina. W każdym osiedlu wszyscy mieszkańcy wylęgali, by popatrzeć na nasz przemarsz, co stanowiło moralne wsparcie dla niemieckich intruzów osadniczych, w przeciwieństwie do tego, co odczuwali Polacy. Warto zauważyć, że depresja, jaka nas początkowo ogarnęła po pojmaniu w niewolę, znikła, a paradowanie z nami jako obiektem propagandy doprowadzało nas do wściekłości, reakcja, która wróżyła dobrze na przyszłość.

Przyjęcie w Szubinie nie wyglądało zachęcająco. W drodze powrotnej zapowiedź, że zostaniemy rozstrzelani, ani na chwilę nie schodziła nam z myśli, chociaż długi i powolny marsz oddalał jakby od nas pluton egzekucyjny ciągle tkwiący w wyobraźni. Przeświadczenie, że groźba nie zostanie spełniona, wzrastało z dnia na dzień, by ulec zupełnemu załamaniu po przybyciu do obozu. Kiedy Niemcy udzielają nagany, dużą wagę kładzie się na głośność i szybkie wykonanie. Hałaśliwy gniew, jakim ryczał nam prosto w twarz z odległości kilku cali pułkowy starszy sierżant, wydawał się zapowiadać, że naprawdę jesteśmy w pół drogi do królestwa niebieskiego. Parę słów, jakie mu się wymknęły pod koniec konwulsyjnego karcenia, przyniosły nam niezwykłą ulgę. Czuliśmy już, że nasze dni mają się ku końcowi, kiedy Szwab wywrzeszczał cały spieniony: „Następnym razem będziecie rozstrzelani!”. Na pewno będzie następny raz, ale nie będzie wtedy powtórnej wpadki.

Zostaliśmy skazani na siedem dni odosobnienia w małej wybielonej celi, słabo tylko oświetlonej światłem dochodzącym przez maleńkie, zakratowane okienko pod sufitem. Większość czasu przespąłem lub zajmowałem się wydrapywaniem po wszystkich ścianach przymusowego mieszkania „Hitler to sukinsyn”. Strażnicy nie byli tym zachwyceni i moja kara przedłużyła się o dwa dni. W czasie naszej odsiadki został zorganizowany wewnątrz samego obozu zespół karny. Był otoczony mocnym ogrodzeniem z drutu kolczastego i kiedy spotkałem tam Derka, zdaliśmy sobie sprawę, że możliwość ucieczki z wnętrza na zewnątrz nie istnieje, ponieważ byliśmy, można powiedzieć, we wnętrzu samego wnętrza. Nie było tam solidnego budynku, a pomieszczeniem dla nas i jeszcze kilku innych niegrzecznych chłopców był duży namiot brezentowy. Nie mieliśmy prycz ani koi, jedynym udogodnieniem była gruba warstwa wiórów pokrywających gołą ziemię, pościel niedająca niestety ciepła w nocy.

Pierwsza próba ucieczki skończyła się niepowodzeniem, ale biorąc pod uwagę całość, wcale nie tak niezadowolającym, ponieważ nieudana lekcja była dobrą lekcją. Mówiąc po niemiecku i mając odpowiednie fałszywe papiery, opanowany facet mógł się poruszać, gdzie chciał. Nie dla mnie prymitywne przemieszczanie się chyłkiem, nocą przez lasy i pola. Niebawem fart byłby potrzebny, by taka ucieczka na los szczęścia mogła się udać. I chociaż ten czynnik tkwi w każdym ludzkim przedsięwzięciu, polegać na nim jako na jedynym sposobie na powrót z Niemiec do Anglii było głupim optymizmem. Wydostać się z normalnego obozu dla zdesperowanego uciekiniera nigdy nie było trudne, ale powtarzanie ucieczki desperacko mogło dać w wyniku podniesienie środków bezpieczeństwa do maksimum i czynić kolejne próby ucieczki odpowiednio bardziej utrudnionymi. Wielu chętnych do ucieczki w ostatnim roku wojny popadało we frustrację. Wtedy już organizacje uciekinierskie w niektórych obozach rozwinęły się dostatecznie, by dostarczać doskonale sfalszowane dokumenty, ale więźniowie, którzy by mogli zrobić użytek z tych innowacji, marnieli w specjalnych,

prawie kompletnie niedostępnych więzieniach, w których byli zamknięci w wyniku wielokrotnych prób ucieczki.

Nasz zespół karny stopniowo wypełniał się schwytanymi uciekinierami, wszyscy postępowali wedle podobnego, skazanego na niepowodzenie planu. Dodatkowe trudności, na jakie byli wystawieni, pomagały w zbudowaniu w myślach wykazu najważniejszych potrzeb i warunków niezbędnych dla ewentualnego sukcesu. Moim największym plusem była znajomość niemieckiego i zawsze prowadziłem pogaduszki z każdym chętnym do tego strażnikiem akurat mającym wachkę wzdłuż ogrodzenia z drutu kolczastego. Większość z nich nie miała obiekcji, by spędzać nużącą wachkę na dyskusjach na różne tematy z przyjaznym więźniem, który wydawał się tak szczerze zainteresowany wszelkimi sprawami dotyczącymi Niemiec.

Jedna trudność na szczęście nie istniała. Niemcy pod względem fizycznym niczym się od nas nie różnili. Byli wśród nich blondyni i bruneci, wysocy i niscy, tłuści i chudzi. Gdyby jakikolwiek żołnierz niemiecki zamienił się mundurem z Brytyjczykiem, zakładając, że obaj nie będą otwierali gęby, byłoby niemożliwe odróżnić, kto jest kto. W tym sensie powinienem się cieszyć, że nie byłem więźniem Japończyków.

Po wypuszczeniu mnie z zespołu karnego wróciłem do kumpli w obozie głównym i mimo utrudnień, które mi robiono, jako że byłem notowanym uciekinierem, udało mi się wkręcić do następnej grupy roboczej. Ucieczka byłaby sprawą prostą i było wiele okazji, ale mając na myśli program długoterminowy, zachowywałem się nienagannie, wracając zawsze do obozu głównego, oczywiście jako zrehabilitowany niegrzeczny chłopiec, który już nie będzie taki głupi, żeby próbować ucieczki. Uczestniczyłem więc w następnych krótkoterminowych wyprawach roboczych. Miałem wtedy wiele okazji do prowadzenia długich rozmów z cywilami polskimi pracującymi w tych samych miejscach. Takie kontakty były streng verboten, ale batonik Cadbury, kawałek mydła Lifebuoy z licznych teraz paczek Czerwonego Krzyża powodowały zdumiewającą ślepotę u wszystkich Szwabów, z wyjątkiem tych najobrzydliwszych.

Dowiedziałem się o polskiej tajnej armii działającej w Warszawie. Mimo najostrzejszych represji prowadziła ona wojnę przeciwko okupantom na różne sposoby. Choć starałem się jak mogłem, trwało wieki, zanim znalazłem bezpośredni kontakt z tym głośnym Podziemiem, i jeszcze w październiku 1940 roku postęp był nikły, jeśli chodzi o zapewnienie mi pewnej pomocy z zewnątrz, zanim przedsięwzięmę ostatecznie próbę ucieczki. Opierałem się wielu pokusom, by uraczyć się krótką wolnością i wrócić znowu do obozu. Schwytani uciekinierzy otrzymywali pomoc od Polaków z wielkim dla nich ryzykiem. Pociągało to za sobą surowe represje i tragedie dla dzielnych ludzi w to zaangażowanych.

Surowa zima we wschodniej Europie przyszła wcześniej i już w listopadzie panowały stałe silne mrozy i głęboki śnieg pokrył ziemię. W obozie z setką więźniów, wśród których i ja się znajdowałem, prace na zewnątrz uległy zahamowaniu. Dowódca straży, starszy podoficer, najczęściej przyjazny i współczujący, weteran pierwszej wojny światowej, w sposób widoczny nie był zbyt entuzjastycznym zwolennikiem kursu, jaki Hitler nadał Reichowi. Zdecydowano, że pozostaniemy na zimowej kwaterze i nie będziemy wracać do głównego obozu. Zajmowaliśmy wygodne domostwa, mieliśmy zaopatrzenie w drewno opałowe i jedzenie, strażnicy i więźniowie popadli jakby w gnuśny półsen zimowy. Unteroffizier stał się bardzo przyjacielski. Biedny facet, odizolowany w śniegu i w lodzie na mile od rodziny i czegokolwiek, bardzo samotny, sznaps stał się jego stałym pocieszycielem.

Siedział rozkrochmalony w pijanym widzie w swoim małym pokoiku biurowym i otwierał przede mną serce, zanim się rozpląkał. Myślę, że to było główną przyczyną dlaczego wybrał sobie mnie jako

kompana - niełatwo sobie wyobrazić, żeby niemiecki sierżant wypłakiwał się swoim żołnierzom. Lepiej było rozkleić się przed wrogiem. Ten stary Unteroffizier i jego nie-kończące się reminiscencje stanowiły dalszą część mojej edukacji. Przełamałem następną barierę językową jako że zacząłem myśleć po niemiecku bez wysiłku. Byłem pełen optymizmu, że rok 1941 przyniesie wolność po zimie wypełnionej spokojną hibernacją.

Wśród moich kolegów było wiele talentów, co pozwalało nam na prowadzenie życia rozrywkowego na poziomie niełatwo osiągalnym w dzisiejszym, skłonnym do łatwizny społeczeństwie. Graliśmy w karty, wystawialiśmy sztuki i czytaliśmy książki. Po wielu dyskusjach o ucieczce byłem rozczarowany, zdając sobie sprawę, że wielu Brytyjczykom było tak wygodnie, z dala od codziennej walki o byt w czasie wojny, że przeżycie, a nie walka i wolność, było ich najważniejszą ambicją. Gdyby mogli przypuścić, że mają przed sobą jeszcze ponad cztery lata jenieckiego życia, może by byli bardziej wojowniczy.

Za zgodą starszego podoficera brytyjskiego naszej małej osady skutej lodem, namówiono Unteroffiziera, by pozwolił nam na spacer po okolicy pod eskortą w miarę jak na to pogoda pozwoli. Zorganizowano też cotygodniowe wyjazdy na saniach ciągnionych przez konie do pobliskiego małego miasteczka odległego o parę mil dla tych, którzy potrzebowali wizyty u dentysty. Ja zabierałem się z nimi jako tłumacz i kiedy było trzeba, załatwiano też wizytę u doktora, zawsze w obecności waszego chętnego, unizonego, uważnego sługi. Dentysta był Polakiem, któremu pozwolono tu zostać, bo nie zjawił się żaden Niemiec na to stanowisko. Doktorem był starszy, oziębły i zniechęcony Szwab. Dodałem wtedy do mojego repertuaru wiele wiadomości z zakresu dentystyki i medycyny, dziedzin przedtem mi nieznanych. Te wycieczki były bardzo przez nas pożądane, doszło więc do pewnej umowy zaoferowanej jednogłośnie Niemcom, którzy chcieli mieć gwarancję, że utrzymają jeńców. Zapewniliśmy Unteroffiziera, że w okresie zimy nie będzie prób ucieczki. Nikt i tak nie planował ucieczki w tym czasie, a mnie daleko było do gotowości. Parol ten doprowadził do złagodzenia napięć, jakie istnieją zawsze między stróżem a więźniem, obniżył też czujność strażników. Nie wspomniano jednak o zaprzestaniu przygotowań do ewentualnej ucieczki i wykorzystywałem w pełni te wyprawy, by prowadzić rozmowy z możliwie wielką liczbą Polaków w moim poszukiwaniu Podziemia.

W wyniku tygodniowych wizyt u polskiego dentysty niektórzy z chłopaków mieli tu lepszą opiekę stomatologiczną niż kiedykolwiek w domu. Moja rozmowa z dentystą w której starałem się dopytać o kontakt z Podziemiem, nie wywołała jego entuzjazmu, pewnie ze względu na moją znajomość niemieckiego podejrzewał we mnie wtyczkę. Powinienem był zachować większą ostrożność w tym względzie. Dentysta żywo zaprzeczał, że cokolwiek wie o tajnych organizacjach, i podczas każdego naszego spotkania był wyraźnie zaambarasowany. Nie dotyczyło to jego córki, patriotycznej Polki, która w stosunku do mnie mogła żywić inne podejrzania, ale nie tego rodzaju, co ojciec. Nasz stosunek był bardzo przyjacielski. Dopytywała się, jednak bez skutku, co do istnienia lokalnej komórki Podziemia.

Wyglądało na to, że siedliskiem oporu była Warszawa oraz tereny położone na wschód, ale w Polsce Zachodniej, obecnie gęsto zasiedlonej przez Niemców, tylko w większych ośrodkach działalność Podziemia była możliwa. Wymieniano trzy dawne polskie centra, Danzig (Gdańsk), Posen (Poznań) i Litzmannstadt (Łódź), gdzie małe komórki oporu przeżyły. Łódź, przemianowana na Litzmannstadt, w której był duży brytyjski roboczy obóz jeńców wojennych, wyglądała najbardziej obiecująco. Obmyślałem, jak się tam dostać, ale pojawiła się pewna trudność. Administracja naszego małego obozu nie była już pod kontrolą głównego zarządu w Szubinie. Założono duży obóz w Schildberg (obecnie Ostrzeszów) i stamtąd selekcionowano wszystkich jeńców wojennych do pracy w

Litzmannstadt (Łodzi). Droga do Łodzi i skontaktowanie się z ruchem oporu prowadziła przez Schildberg. Że była w Łodzi duża grupa robocza, w porządku, ale jak tam się dostać? Zima miała się ku końcowi. Wiosna zapowiadała się pięknymi, słonecznymi dniami z mrozami sięgającymi tylko minus dziesięciu stopni. Śnieg miał wodnisty połysk i w czasie dziennych przechadzek na ogrodzonym terenie obozu tak ciepłe były promienie słoneczne, że stały się niepotrzebne nauszniki i rękawice.

Początek nowego sezonu wywołał też uczucie pośpiechu. Z poprawą pogody należało spodziewać się ożywienia, reorganizacji grup roboczych i trzeba było powziąć działanie, by dostać się do Schildberg. Desperacja zaczęła podminowywać mój zdrowy rozsądek i cierpliwość co do przyjętej zasady, żeby organizować ucieczkę tylko przy zapewnionej pomocy polskiego ruchu oporu. Pogoda poprawiała się ciągle. Śnieg topniał i pojawiały się plamy gołej ziemi w okolicy. Długie, kapiące sople lodowe zwieszały się z dachów naszych domów i wkrótce prace na zewnątrz staną się możliwe.

Budziłem się po nocach i różne dziwne, wspaniałe, ale niepraktyczne rozwiązania chodziły mi po głowie. Dobrze na bańce, i już na etapie łzawych wynurzeń, Unteroffizier zawezwał mnie. Mimo wszystko, mimo parszywej wojny, nieznosnej pogody i stacjonowania daleko od domu, odpowiadała mu ta funkcja dowodzenia strażnikami i tak się zmartwił perspektywą zmian, że nie mógł powstrzymać łez. Wiadomości były niepokojące, jako że zmiana mogła być tylko na gorsze. Wszystkie udogodnienia, które czyniły nasze życie znośniejszym, będą wymagać renegocjacji, a nie było zbyt wielu takich jak ten, pijaczyna wprawdzie, porażony smutkiem, ale w gruncie rzeczy porządny facet. Mówił dalej i moje niezadowolenie przekształciło się w radość. Unteroffizier nie opuszczał nas, tylko ten mały obóz będzie zamknięty, bo coś się zmieniło z firmą wykonującą roboty, a my w ciągu tygodnia zostaniemy przeniesieni do obozu głównego w Schildberg, gdzie przydzielą nas do innych robót.

Schildberg roił się od jeńców do niczego niezdatnych, z których większość nawet Niemcy uznali za niezdolnych do podjęcia pracy. Nie zabrało mi wiele czasu, by potwierdzić wiadomość, że w Łodzi (Litzmannstadt), dużym mieście, byłym centrum polskiego przemysłu, znajduje się wielka remontownia samochodowa. Mieszkało tam wielu Polaków i znaczna ich liczba pracowała w tym zakładzie, który także zatrudniał brytyjskich jeńców wojennych jako mechaników.

Śruby i nakrętki, klucze i cęgi były dla mnie zawsze tajemniczymi narzędziami, ale jeśli bycie mechanikiem oznacza oddelegowanie mnie do Łodzi, to będę mechanikiem. Niemcy prowadzili regularny spis zawodów i żeby załatwić wpis nowego zawodu do mojej karty pracy, zacząłem kręcić się przy biurze niemieckiej administracji. Nie trzeba było mnie zmuszać, bym przyjął pracę gońca i sprzątacza, a równocześnie uważnego słuchacza wszystkich rozmów i starannego czytelnika całej korespondencji. Pod koniec kwietnia strzał trafił do celu. Na biurku kierownika biura znalazłem notatkę, że zakłady w Łodzi będą powiększone i należy przeprowadzić rekrutację jeńców znających się na mechanice celem wysłania ich do Łodzi. Nie spieszyłem się specjalnie, żeby powiadomić Niemców, jakie mają szczęście, dysponując takim mechanikiem jak ja, ale odczekałem na właściwy moment, kiedy w biurze padło słowo przypominające fonetycznie ten zawód. Wtedy z całą niewinnością dałem do zrozumienia, że znam to słowo i powiadomiłem ich o moim zawodzie mechanika. Otrzymałem natychmiast rekrutację do Łodzi. Tak pilni byli w biurze w wypełnianiu instrukcji, że nawet protesty z mojej strony nie wstrzymałyby ich od wysłania mnie. Zebrano jeszcze kilku chętnych z obozu, i wynik - pociąg do Łodzi z kilkunastoma jeńcami i paroma strażnikami.

Nowy obóz znajdował się w centrum miasta na trasie przejazdowej. Jednopiętrowe tramwaje szczykały wzdłuż długiej, prostej Adolf Hitler Strasse (Piotrkowska), zabudowanej spartańsko

wyglądającymi blokami mieszkalnymi, sklepami, fabrykami i wygodnymi, ale zapuszczonymi willami świadczącymi o bardziej chwalebnej przeszłości. Ruch samochodowy to głównie samochody wojskowe i ciężarówki, a piesi to niemiecka policja, wojsko i dobrze ubrani nazistowscy cywile, większość jednak to zabiedzeni i przygnębieni polscy robotnicy.

Naszym nowym domem była stara, zbudowana z cegły, dwupiętrowa fabryka. Był też rozległy dziedziniec otoczony murem, także z cegieł, jakiejś trzymetrowej wysokości. Cały kompleks stanowił duży czworokąt frontem zwrócony do ulicy Führera z obowiązkową przy takich fabrykach budką strażniczą. Wybrukowana kocimi łbami alejka pod kątem prostym do ulicy przebiegała pod murami fabryki. Całe olbrzymie pierwsze piętro zamieniono na pokój i sypialnię. Po wymianie powitań z blisko sześćdziesięcioma rodakami nowo przybyli ulokowali się wygodnie. Czekałem, aż strażnicy, którzy nas tu eskortowali, wrócą do Schildbergu, zanim przedstawiłem się brytyjskiemu komendantowi obozowemu, zawodowemu sierżantowi regimentu szkockiego, Charliemu. Odjeżdżający strażnicy mogliby wyrazić niemiłe zdziwienie, zauważywszy, że przedstawiam się jako tłumacz z własnej nominacji. Charlie, nierozumiejący słowa po niemiecku, wyraził zadowolenie z tej nominacji i natychmiast zabrał mnie do dowódcy szwabskiej straży, innego Unteroffiziera. Nowy pan był malutki, nienagannie umundurowany, o głosie staccato, poruszający się jak nadęty kogucik rasy bantamka. Wedle Charliego był to pedant na punkcie protokołu i dyscypliny, poprawny w stosunku do swoich żołnierzy, ale bardzo surowy w stosunku do jeńców.

Wojna z pewnością prowadzi do obniżania norm zachowania się. Z miną świętoszka mówiłem po niemiecku spokojnie i z szacunkiem. W obozie i na terenie pracy z przyjemnością będę pomagał na wszelkie sposoby w prowadzeniu obozu ku wzajemnej korzyści Niemców i jeńców. Początek był dobry z tym starannie modulowanym i poprawnym gramatycznie niemieckim. Szwaba zahipnotyzowało słuchanie własnego języka używanego z takim wdziękiem, jako że miał wrodzony respekt do tego, co on uważał za „Kulturę” lub wyższe wykształcenie. Moja nowa rola została chętnie zaakceptowana. Charlie i ja dziarsko zasalutowaliśmy i wróciliśmy do naszej kwatery. „Niewątpliwie zaszokowałeś tego drania, Ron”, powiedział Charlie.

Zakład, jakąś milę odległy od obozu, był olbrzymi. Oprócz dużych hal do obsługi pojazdów, pełnych ciężarówek w różnym stadium rozmontowania, było mnóstwo pomieszczeń na magazyny i urządzenia niezbędne do remontu dużej liczby ciężkich pojazdów transportowych. Zauważyłem z zadowoleniem, że większość personelu wyglądała na Polaków, ale pamiętając ostatnią wpadkę z powodu nieodróżnienia Polaków od Ukraińców, byłem ostrożny, dopóki nie zorientowałem się, kto jest kto.

W obozie i w fabryce tłumaczenie nie przedstawiało problemu i nowa atmosfera zapanowała w obu miejscach. W obozie Brytyjczycy mogli negocjować różne koncesje od Niemców, a w fabryce niemieccy cywilni przełożeni też byli zadowoleni, mogąc wreszcie przekazywać instrukcje jeńcom-robotnikom, bo dotąd niepokoiło ich, że zwracano na ich wskazówki mało uwagi. Najbardziej zadowoleni byli jednak polscy robotnicy, którym nowy tłumacz nie pozwolił mieć wątpliwości, że każdy Brytyjczyk nienawidzi nazistów i że Hitlera czeka marny koniec. Na co dzień, kiedy nie byłem potrzebny jako tłumacz, pracowałem z niezwykle kompetentnym polskim mechanikiem, który wydawał się najbardziej prawdopodobną osobą zaangażowaną w ruch oporu. Mieszkał z żoną i kilkunastoletnią córką w kilkupokojowym mieszkaniu w bloku robotniczym i nienawidził głęboko Niemców ze zrozumiałej przyczyny. Mimo że był mechanikiem pracującym przymusowo dla Niemców, nie uchroniło go to przed wysiedleniem z komfortowego domu, jaki miał przed wojną. Rozgoryczenie mojego nowego przyjaciela potęgował fakt, że musiał mijać swój dom codziennie rano, idąc do pracy. Niemiecka rodzina otrzymała nie tylko jego dom, ale też przejęła całość, z pełnym umeblowaniem i cenną hodowlą rasowego drobiu. Początkowa ostrożność powoli opadała i

nabraliśmy do siebie wzajemnego zaufania, kiedy przekonałem się na pewno, że nie jest on Ukraińcem. Prowadziliśmy długie rozmowy o nienawiści do Niemców, o tylu okrucieństwach wyrządzanych Polakom, mężczyznom, kobietom i dzieciom, że aż zacząłem się zarażać chorobliwą wręcz nienawiścią Floriańskiego. Taka odraza obca była mojej naturze, ale w miarę postępów wojny z jej wzrastającym bestialstwem każdy ból zadany Niemcom był uzasadnionym aktem zemsty.

Życie w obozie przy głównej ulicy stało się prawie znośne. Paczki Czerwonego Krzyża, jako uzupełnienie racji żywnościowych od wroga, umożliwiały dostatnie życie, a na dodatek doręczano też prywatne paczki z domu. Nikt poza mną nie rozmyślał nad ucieczką i rozważania na ten temat trzymałem wyłącznie dla siebie, bo mimo dobrych warunków życia, czułem wewnętrzną potrzebę bycia wolnym, nie milkła we mnie także potrzeba ratowania własnej godności.

Wszystkich jeńców wojennych wynagradzano za pracę specjalnymi znaczkami, na których wartości wyznaczano w markach niemieckich. Nazbierało się tych znaczków wiele, przedstawiliśmy ten problem teraz już prawie ludzkiemu Unteroffizierowi i dzięki jego współpracy pozwolono na założenie obozowej kantyny. Ustalono, że będzie nas zaopatrywał lokalny dom towarowy, który dostał pozwolenie na przyjmowanie naszych znaczków jak normalne pieniądze niemieckie. Wojenne kłopoty z zaopatrzeniem ograniczały mocno wybór dostępnych artykułów, ale możliwość zakupu drobiazgów potrzebnych w życiu codziennym była bardzo cenna. Oprócz tego dodatkowego komfortu inna jeszcze sprawa okazała się nie do pogardzenia. Bo kto, jak nie tłumacz, był najlepszą osobą dla dokonywania zakupów?

Jeden ze strażników, czeski Niemiec z Sudetów, często zdradzał swoją dezaprobatę wobec Hitlera i jego Bande. Po pewnej zachęcie zgodził się w czasie wolnych od obowiązków służbowych godzin za dnia eskortować mnie poza obóz i tak powstał zwyczaj moich cotygodniowych spacerów po mieście na zakupy pod przyjazną i sympatyczną eskortą. Nasz Unteroffizier został poinformowany, że w czasie takich wycieczek poza obóz obowiązuje nałożony przez nas samych parol, że nie będzie prób ucieczki, chociaż w tej umowie nie było wzmianki, że wycieczki te nie będą miały charakteru zwiadowczego. Wprawdzie niemiecki komendant był pod wrażeniem, że ma do czynienia z oficerem i dżentelmenem, którego słowo jest wiążące, nie miałem jednak w związku z tym wyrzutów sumienia.

Ten Sudetczyk i ja byliśmy regularnymi i mile widzianymi klientami w domu towarowym. Obsługa sklepowa składała się z samych kobiet, w większości polskich dziewcząt. Z jedną z nich, Haliną śliczną drobną blondynką wkrótce bardzo się zaprzyjaźniłem. Z wyjątkiem chwil, kiedy padało słowo Deutsch, miała wygląd szczęśliwy i radosny, ale na to znienawidzone słowo twarz jej wyrażała pogardę, co jeszcze bardziej dodawało wdzięku tej pięknej i patriotycznej polskiej młodej damie. Wybór artykułów, które mogliśmy kupować, był ograniczony z tego względu, że nasze znaczki akceptowane były tylko w jednym domu towarowym. Było wiele innych sklepów oferujących atrakcyjne dla nas artykuły, niestety były one poza zasięgiem mocy nabywczej naszych znaczków. To ograniczenie zostało rozwiązane w prosty sposób dzięki Halinie i innym polskim dziewczynom, które wymieniały nasze znaczki będące gdzie indziej świstkami papieru bez wartości na prawdziwe niemieckie pieniądze ze sklepowej kasy. Sudetczyk patrzył wtedy w inną stronę i wydawał się nie zauważać, że kupujemy całą kupę artykułów w różnych sklepach za gotówkę, którą teraz dysponowałem. Kupiliśmy instrumenty muzyczne i powstała orkiestra obozowa. Inne istotne artykuły, takie jak piwo i sznaps, na ogólne życzenie szmuglowane były do obozu, jednak pod czujnym okiem Charliego sprawa nigdy nie uszła spod kontroli i nie zakłócała panującej harmonii. Nie na czarną godzinę, ale przeciwnie, na słoneczne dni ucieczki schowałem w moim sienniku pięćset prawdziwych niemieckich marek.

Po jakimś czasie zapytałem Halinę o polskie Podziemie. Wiadomość, że miała przyjaciela, który miał przyjaciela, który znał przyjaciela, nie była zadowalająca i niewiele obiecywała. Tyle dokonano aresztowań i tylu Polaków deportowano, że kontakt był prawie niemożliwy. Dobrze jednak było wiedzieć, że w nowo założonej Generalnej Guberni, zamieszkanej głównie przez Polaków, a szczególnie w stołecznej Warszawie, narasta szybko zorganizowany opór przeciwko Niemcom, wbrew okrutnym metodom, jakimi Szwaby starały się go zgnieść.

Szeroko zakrojone przygotowania Niemców, którzy zaatakowali Związek Sowiecki w czerwcu 1941 roku, widoczne były od miesięcy. Rosjanie twierdzili, że tak głębokie wtargnięcie na ich terytorium było wynikiem zdradzieckiego, niespodziewanego ataku Niemców. Coraz bardziej stawało się oczywiste w miarę rozwoju działań wojennych, że zdrada była zjawiskiem powszechnym i bynajmniej nie mieli na nią monopolu naziści. Sowieci albo szukali taniej wymówki usprawiedliwiającej początkowy pogrom swoich sił, albo wskazywało to na impotencję lub nieistnienie ich wojskowego wywiadu. Wobec ciągłego ruchu olbrzymiej masy ludzi i wszelakiego sprzętu wojskowego na wschód w kierunku Generalnej Guberni i granicy rosyjskiej te mordercze zapędy były widoczne dla każdego i zwiastowały rozpętanie burzy. Floriański i inni Polacy w warsztatach przepowiadali wybuch z dokładnością prawie co do dnia.

Pierwsze nieudane próby ucieczki brały sobie za cel dotarcie na tereny wschodniej Polski okupowanej wtedy przez Rosjan. Przegnania Sowietów setki mil na wschód w głąb ich terytorium nie uważano za niepowodzenie, a wprost przeciwnie. Słyszano wiele o sowieckich poczynaniach w czasie tych prawie dwóch lat od początku wojny, kiedy to okupowali i administrowali połowę kraju. Wszystko wskazywało, że były to rządy terroru i w straszliwych warunkach miliony Polaków, od klasy robotniczej do arystokracji, deportowano na Syberię. Taka była ta komunistyczna tyrania, że tysiące ludzi, którzy uciekli na wschód przed postępującymi Niemcami w 1939 roku, mimo niebezpieczeństw wróciło nielegalnie do Warszawy i Generalnej Guberni w oczywistym przekonaniu, że życie pod nazistami było mniejszym złem. Także do nas w obozie docierały opowiadania o tym dziwnym brytyjskim uciekinierze, który dostał się na tereny kontrolowane przez Rosjan, tam został oskarżony o szpiegostwo i potraktowany odpowiednio. Później można było potwierdzić wiarygodność większości doniesień o zachowaniu się Sowietów, ale nawet wtedy tyle dymu osłaniało przysłowiowy ogień, że bez możliwości dotarcia do oddalonych linii rosyjskich czułem pewną ulgę, nie potrzebując się narażać na sowiecką gościnność. Moje plany skupiały się obecnie tym bardziej na Warszawie i polskim Podziemiu.

W warsztatach zwierzyłem się Floriańskiemu, prosząc, nie, wręcz żądając pomocy w ucieczce. Jego pierwszą reakcją było podkreślenie ryzyka i szczerza rada, by ratować życie, tkwiąc bezpiecznie i wygodnie w obozie jako jeńiec wojenny. Przez jakiś czas pozostawał niewzruszony, ale później zauważyłem na jego twarzy wyraz, który tak często spotykałem potem na polskich twarzach. Był to wyraz świadczący o gotowości podjęcia ryzyka niezależnie od konsekwencji, gotowość ryzykowania nawet życiem, by bić Niemca w każdy możliwy sposób. Nigdy nie istniał naród o większej moralnej i fizycznej odwadze niż Polacy, i dlatego uczucie dumy, że walczyłem wraz z nimi i że byłem związany z nimi w ich walce niezłomnej i niespotykanej, pozostaje zawsze ze mną. Wreszcie Floriański przyznał się, że jest członkiem ruchu oporu, który ciągle jeszcze żyje w Litzmannstadt. Jego odcinek nie był w stanie pomóc mi bezpośrednio, ale zostanie przekazana informacja do odpowiednich oddziałów z rekomendacją, by moja prośba była wysłuchana. Przestałem pracować z Floriańskim, w zakładach przenosiłem się do różnych członków załogi, w tym także Niemców. Nie było sensu wskazywać na Floriańskiego jako mojego najbliższego polskiego współpracownika, by po ucieczce narażać go na uzasadnione podejrzenia i nieuniknione przesłuchania.

Mijały tygodnie i polskie lato przypiekało bezlitośnie. Pewnego ranka zauważyłem Floriańskiego w warsztacie, z bardziej niż zwykle tajemniczą miną dał mi znak, że ma mi coś do zakomunikowania. Wiadomość była dobra. Szef komórki kurierskiej, z którym rozmawiał, był skłonny udzielić pomocy. Podziemna sieć wywiadowcza kierowana z Warszawy pokrywała całe Niemcy, Austrię i Czechosłowację. Szpiedzy funkcjonujący na tych terenach zbierali informacje, które przekazywano do centrum za pomocą specjalnie zorganizowanego systemu kurierskiego. Pełne włączenie zachodniej Polski do właściwego Reichu przesunęło główną granicę niemiecką daleko na wschód. Zdolni i wykwalifikowani kurierzy mogli kursować z materiałem szpiegowskim zebrany od agentów z całych Niemiec i wygodnie podróżować aż do miejscowości skolonizowanych przez Niemców, jak na przykład do Łodzi. Nie przekraczali żadnej formalnej granicy niemieckiej, więc nie byli narażeni na specjalne kontrole w ruchu kolejowym i drogowym.

Z Łodzi jednak przejście do Generalnej Guberni, a więc do Warszawy, oznaczało pokonanie „ścieżki policyjnej” na ściśle kontrolowanej i strzeżonej granicy między Rzeszą a Generalną Gubernią. Niemieckie władze wojskowe i cywilne okupowały i w pełni administrowały Generalną Gubernią jako miejscem do którego wyrzucano Polaków wysiedlonych z zachodniej Polski i Żydów ze wszystkich części Europy. Wymagało to wprowadzenia przez nazistów najostrzejszej kontroli granicznej zarówno dla wjeżdżających, jak i opuszczających Gubernię. Świadomość, że Warszawa, dzięki ruchowi oporu, jest głównym źródłem materiałów wywiadowczych o Niemczech dla sprzymierzonych, podnosiła tylko czujność nazistów na przejściach granicznych. Stosowano najrozmaitsze metody sprawdzania „dobrej woli” podróżujących. Ten ostatni krok z Reichu do Warszawy Podziemie powierzyło grupie kurierów wyspecjalizowanych w pokonywaniu ostro strzeżonej granicy dla przekazywania informacji, które kierowano potem do Londynu.

Wspaniała wiadomość! Ptaszek w klatce może stać się ptaszkiem przelotnym. Zwierzyłem się z tym Charliemu, sierżantowi obozowemu, który po-wiedział, że jeżeli ktokolwiek może tego dokonać, to właśnie ja. Zachęcając na wszelkie sposoby i wspomagając fachowymi radami wojskowymi, Charlie zwracał uwagę na wysoką sprawność fizyczną. Rankami i wieczorami, pod krytycznym okiem, skakałem i robiłem pompki aż do wyczerpania.

Tygodniowe spacerunki na zakupy odbywały się jak niegdyś. Halina nie miała wieści z ruchu oporu i nie wiedziała o planach Floriańskiego. Umiejętność mówienia po polsku byłaby cenna, postarałem się więc o polską gramatykę, i tu spotkało mnie coś w rodzaju szoku. Ten słowiański język miał dziwny nowy alfabet z trudnościami wymowy i monstrualnymi komplikacjami deklinacyjnymi jak dla samouka. Czując, że nie robię postępów, zawiesiłem te studia, aż nie przydarzy się polska wersja przedwojennej Anny, której tyle zawdzięczałem w opanowaniu niemieckiego. Uroczą instruktorkę języka pojawiła się potem, czasami aż trudno było skupić się na lekcjach.

Jesień z jej krótszymi dniami i chłodnymi nocami przyszła niespodziewanie. Floriański w zakładzie nie dawał znaku, a ja, prawie gotów do ucieczki, pocieszałem się, że brak wiadomości to dobre wiadomości, i robiłem ostatnie przygotowania. Było tyle dróg umożliwiających wyjście z obozu, ale trzeba było pilnie podjąć konkretną decyzję w tej sprawie.

Ucieczka przez mur zaledwie trzymetrowej wysokości wydawała się drogą najprostszą i najłatwiejszą i tak niewątpliwie było. Po rozważeniu jednak miała zbyt wiele elementów przypadku i na tym etapie nie chciałem polegać na statystyce, jeśli dałoby się tego uniknąć. Dziedziniec był oświetlony nocą i chociaż wartownik, szczególnie w czasie złej pogody, tkwił wygodnie w swojej małej budce przy bramie głównej, rzut oka w niewłaściwym momencie pozwoliłby mu zauważyć, że ktoś gramoli się na mur. Był to niepewny punkt tego planu i zajęło nieco czasu, zanim wypracowaliśmy inny sposób. W

murze otaczającym dziedziniec było parę wnek. W jednej z nich były duże, ciężkie metalowe drzwi, które kiedyś musiały służyć jako dojście i wyjście na alejkę biegnącą wzdłuż muru całego kompleksu, a która prowadziła na Hitler Strasse. Drzwi wisiały na dwóch dużych zawiasach i zabezpieczone były olbrzymim kwadratowym zamkiem. Oczywiście nie mieliśmy klucza do tego zamka, i najwyraźniej nie był otwierany od bardzo dawna. Widać było rdzę, ale że drzwi kiedyś były czynne, kusiło, by je uruchomić znowu. W obozie był ślusarz i po delikatnym i skrytym sprawdzeniu, wykorzystując materiał z warsztatów, dorobił klucz. Cała ta operacja przedstawiała mi się jako jakieś misterium, tak zresztą jest z większością specjalistycznych czynności przez całe moje życie. Użyto mydła, masła i drutu, a po każdej przymiarce starannie maskowano wszelkie ślady majstrowania przy zamku za pomocą proszku z tłuczonych cegieł. Klucz został dorobiony, zamek naoliwiony olejkim do włosów, rozstawiliśmy czujki wszędzie dookoła i wraz z Charliem rozpoczęliśmy ceremonię otwierania drzwi. Klucz obrócił się po małych trudach, jakby nigdy nic otwierając przed nami świat. Zawiasy ani drgnęły, wysiłki, by je obudzić z nieprzerwanego snu, wywoływały niepokojące skrzypienie zardzewiałego protestu. Zamiast zastosować lejek do włosów z kantyny, ze względu na brytyjską oszczędność potraktowaliśmy je obficie olejem smarowniczym buchniętym z warsztatów. Dowody naszej roboty zostały znów przykryte ceglany proszkiem, a naoliwiony klucz dobrze schowany, by od czasu do czasu go wyciągać i próbować, czy wszystko działa należycie.

Można by sugerować, że koncesje otrzymane od Niemców zostały nad-użyte. Ucieczka powinna być standardowa, w myśl zasad akceptowalnego postępowania wojskowego, minimalizując w ten sposób jakiegokolwiek ogólne represje w stosunku do wszystkich więźniów. Nic jednak innego nie pozostało, jak tylko zachowywać tajemnicę i iść dalej.

Orkiestra obozowa osiągnęła szczyt znośnej umiejętności. Sprawiała przyjemność nam, a także sobie. Po takim sukcesie umilającym nam życie padła entuzjastycznie przyjęta sugestia, żeby przygotować muzyczne przedstawienie gwiazdkowe na okres świąteczny, mieliśmy na to parę miesięcy. Przygotowanie Jasia Fasoli szło pod kierunkiem pewnego Szkota wziętego do niewoli z 51. Dywizją Górską w 1940 pod St. Valéry we Francji. Tommy Muir był czarujący i bardzo utalentowany. W swoim ojczystym Glasgow terminował w świecie musicali i rozrywek i kto wie, jakie wyżyny kariery by osiągnął, gdyby nie ambicje Adolfa, austriackiego malarza pokojowego. Kiedy tak dyskutowano wszystkie przygotowania do Jasia Fasoli, niepokoił się, czy ucieczka przed pokazem, w którego przygotowanie włożono tyle wysiłku, będzie sprzyjać harmonii panującej między strażnikami a jeńcami, niezbędnej dla takiego przedsięwzięcia. Niepokój o skutki ucieczki dla prezentacji przedstawienia został uspokojony ekscytującą wiadomością od Floriańskiego. Podróż do Warszawy nastąpi w połowie stycznia, co najmniej parę tygodni po zapadnięciu kurtyny. Zima, niezbyt popularny sezon na ucieczki, będzie w pełni, z długimi nocami i mrozami, co powinno pomóc przekroczyć tak zwaną zieloną granicę do Generalnej Guberni.

Przekraczanie zielonej granicy to nielegalna podróż pomiędzy dwoma terytoriami z zupełnym ominięciem, albo z próbą ominięcia, jakichkolwiek organów kontroli poprzez trzymanie się otwartego, dosłownie zielonego pola. Chociaż można było się natknąć na patrole wojskowe, ryzykowny kontakt osobisty z oficjalami przeglądającymi dokumenty na drogach i granicznych stacjach kolejowych był w ten sposób wykluczony. Po wyrwaniu się wcześniej, jak tylko to możliwe w styczniu, pozostanę w ukryciu przez parę tygodni, aż pościg i hałas przycichnie. Cierpliwość Floriańskiego mocno była wystawiona na próbę, kiedy wierciłem mu dziurę w brzuchu o każdy szczegół planu. W wolnych chwilach kombinowałem bez przerwy na temat zasady prawdopodobieństwa. Jedna sprawa wspomniana przez mojego śmiałego polskiego przyjaciela wymagała pilnego rozwiązania. Jak już zdecydowano, że przekraczamy zieloną granicę, padła sugestia z Warszawy, że może być przyjęty więcej niż jeden uciekinier, choć ja już dawno podjąłem decyzję, że następną ucieczkę przedsięwzięmę

w pojedynkę. Coraz trudniej było mi zapanować nad poczuciem sobkostwa i niewdzięczności. Wielu przyjaciół w obozie pomagało mi na różne sposoby i możliwość wzięcia jednego z nich zmieniło moją decyzję i polepszyło samopoczucie. Perspektywa długiej wojny spopularyzowała myśli o ucieczce i można było zwerbować dowolną liczbę chętnych. Nie było łatwo podjąć decyzję, kogo wybrać, i ufając Charliemu, postanowiliśmy rzecz szczegółowo omówić przed podjęciem decyzji.

Tommie oddał się zupełnie próbom orkiestry i pisaniem scenariusza do przedstawienia. Oszałamiająca złożoność produkcji scenicznej także została rozwiązana przez wspaniałego Szkota, a ja pomagałem, wężąc po mieście za najróżniejszymi rekwizytami. Przy chętniej pomocy Sudetczyka kupowaliśmy lub pożyczaliśmy materiał na kurtynę, liny, instalacje elektryczne i materiał na stroje. Na uroczystość, jaka miała się odbyć po pierwszym spektaklu, przeschmuglowano zapas napojów, oddając wszystko pod opiekuńcze, czujne oko Charliego. Tommie, który dobrze śpiewał, miał być Jasiem, a ja, choć wewnętrznie było mi bardzo miło, z ociąganiem przyjąłem rolę wdowy Twankey, co ku ogólnej uldze uciło moje ambicje grania na trąbce wymagające długich ćwiczeń.

W warsztatach Floriański potwierdził, że wszystko jest w porządku. Powiedziałem mu jeszcze, że druga osoba też idzie ze mną oraz zapewniłem go, że nikt w obozie, nawet Charlie, nie ma najmniejszego pojęcia o jego roli w całej tej sprawie. Ustalono ostatecznie połowę stycznia jako datę opuszczenia Łodzi. Ucieczka powinna nastąpić możliwie wcześniej po zmroku, aby przed godziną policyjną dla Polaków, czyli przed dziewiątą zgłosić się w mieszkaniu Floriańskiego. Natychmiast zabrałem się za zlokalizowanie jego mieszkania. Pod pretekstem poszukiwania dalszych rekwizytów dla teatru kręciliśmy się po tej dzielnicy miasta tak długo, aż byłem pewien, że znajdę drogę z zamkniętymi oczyma na każde zawołanie.

Tommie był pełnym życia, solidnej budowy i średniego wzrostu facetem. Nie obawiał się żadnych fizycznych trudów. Zimny kraj rodzinny, dieta przodków złożona z granitu i wrzosu zrobiła z niego człowieka, który prze do przodu w szkockiej spódniczce i z kobzą i jest zbyt uparty, aby nie dotrzeć, nie zobaczyć i nie zwyciężyć. Oczywiście Tommie przyłączył się, za zgodą Charliego, do planów ucieczki jako współuczestnik przestępstwa i wkrótce dwa komplety ubrań cywilnych, pieniądze i wszystkie inne akcesoria niezbędne do podróży w czasie mrozu na wrogim terytorium były przygotowane.

To włączenie Tommiego do ucieczki stanowiło początek przyjaźni, która znakomicie przetrwała próbę czasu. Teraz jako emeryt w Australii oczekiwał mnie na lotnisku, spotkaliśmy się, obaj rozpromienieni i pełni odwzajemnianego szacunku. Minęło ładnych parę lat, kiedyśmy się ostatnio widzieli, i komentując jego białe włosy i inne spustoszenia dokonane przez czas, spotkałem się z ripostą kiedy to ja patrzyłem uważnie na swoje własne odbicie w lusterku.

Jasia Fasolą wystawiliśmy przy sali wypełnionej do ostatniego miejsca jeńcami i niemieckimi żołnierzami w dzień wigilijny i w pierwsze święto. Wielu innych żołnierzy nazistowskich pragnęło zobaczyć przedstawienie i za zgodą Unteroffiziera zaaranżowaliśmy grand finale na następną sobotę we wczesnych godzinach, na wszelki wypadek, gdyby dwoje najważniejszych aktorów miało wieczorne zajęcia w mieście.

Przyjęcie, jakim celebrowaliśmy pierwszy sukces przedstawienia oraz nasze nieodwołalne opuszczenie obozu, wymknęło się nieco spod kontroli w wyniku spożywania alkoholu przez odzwyczajonych od tego uczestników. Miejsce urodzenia Tommiego i mój port macierzysty z czasów służby morskiej uczczone zostały należycie, podczas gdy Niemcy świętowali osobno, a wartownik udawał, że niczego nie spostrzega. Po przyjsciu do siebie po tym przyjęciu czułem się nieco przybity przez następne dni. Nie straciłem zdeterminowania co do ucieczki zgodnie z planem, ale myśl, że

porzucę tylu wspaniałych kumpli obozowych, była przykra. Nie ma nic zawstydzającego w takich emocjach. Oby było więcej takich okazji.

Zrobiłem ostatni wypad na zakupy dla kantyny z Sudetczykiem. Byłoby miło pożegnać się z Haliną i podziękować jej za wszystko, ale by nie wpłatać jej w tę aferę, nawet o tym nie wspomniałem. Nadszedł wielki dzień i po południu, z wielkim aplauzem spadła po raz ostatni kurtyna za naszym przedstawieniem. Pokaz okazał się wspaniałym sukcesem w ocenie zarówno Brytyjczyków, jak i Niemców. Wojna niewątpliwie winna jest temu, że Tommie zaprzepaścił swoje powołanie.

Zapadła ciemność. Wszyscy goście nas pożegnali, wieczór był lodowato zimny i mglisty. Nawet za dnia tylko wściekle psy i Brytyjczycy mogliby wychodzić z przytulnego obozu w taką pogodę i nasi strażnicy zakładali, że narodowe szaleństwo nie może posunąć się tak daleko, by ktoś wychylił nosa z obozu akurat tego wieczoru. Podjęliśmy przez okno obserwację wnętrza, w której były nasze wrota, a z drugiego końca pomocnicy dawali znać, że wartownik kurzy sobie spokojnie w swoim boksie. Otworzyliśmy cicho okno. W wełnianych skarpetkach założonych na buty Tommie i ja spuściliśmy się na dziedziniec. Zaledwie zamknięto za nami okno, klucz był już w zamku i drzwi otwarte. Znaleźliśmy się w alejce pod murem, zamknęliśmy za sobą drzwi z zewnątrz na klucz, włożyliśmy klucz w skarpetkę i przerzuciliśmy go przez mur na dziedziniec. Charlie odszuka go rankiem przed apelem, równocześnie zatrze wszelkie ślady manipulowania przy drzwiach za pomocą ceglanego proszku. W ten sposób odcięliśmy się skutecznie od naszego domu pozbawieni doń kluczy.

Włączyliśmy się w strumień przechodniów na Hitler Strasse i zmierzaliśmy do Floriańskich.

Pełen napięcia, by dostać się tam bez zatrzymania, rzucałem okiem daleko przed siebie przez tłum cywilów i żołnierzy. Zciemnienie nie było w pełni przestrzegane w mieście tak odległym dla ewentualnych ataków powietrznych i ze światłami z okien wystawowych odbijanymi na śniegu chodnika widoczność taka była zbawienna. Kiedy zbliżaliśmy się do uliczki, w którą mieliśmy skręcić, uczucie, że każdy na nas patrzy, powoli mnie opuszczało, kiedy nagle serce mi zabiło. W mroku, z wysoko podniesioną głową i pełen czujności, zbliżał się do nas jeden z obozowych strażników. Momentalnie, ale niezbyt nerwowo pociągnąłem Tommiego za ramię i obaj zaczęliśmy uważnie obserwować okno wystawowe. Strażnik, nie zatrzymując się, minął nas. Tommie, wykazując tak nietypowy dlań brak pobożności, głośno zwrócił uwagę Syna Bożego na obecność tego drania. Poparłem go w pełni.

DROGA DO KONSPIRACJI

Bez dalszych przygód dotarliśmy do celu. Zatrzymaliśmy się pod głównym wejściem do bloku mieszkalnego przy Strassburger Weg 17 i zaczęliśmy sprawdzać listę lokatorów, przyświecając sobie zapalką. Nazwisko Floriańskiego miało być na liście, ale ku naszej konsternacji wiele nazwisk, między innymi i jego, uległo zamazaniu i były zupełnie nieczytelne. Zbliżała się dziewiąta, a więc godzina policyjna dla Polaków, i nasz znajomy na pewno jest w domu, ale gdzie go znaleźć w tym bloku? Zdenerwowany, że nie wzięliśmy od niego numeru mieszkania, przypomniałem sobie, że w rozmowie o wyrzuceniu go z domu wspomniał, że mieszka na pierwszym piętrze. Druga zapalka pozwoliła nam znaleźć drogę po schodach i znaleźliśmy się w korytarzu o czterech drzwiach. Pierwsze prowadziły do ubikacji, spoza drugich i trzecich drzwi nie było nic słychać, ale poprzez czwarte drzwi dochodziły jakieś niezrozumiałe głosy. Jeszcze jedna zapalka i, chwała Bogu, na małej tabliczce odczytaliśmy magiczne nazwisko człowieka, którego szukaliśmy. Przystawiam ostrożnie ucho do drzwi. Gott sei Dank! - wyraźnie słychać dwa głosy kobiece i jeden męski. Tak, to muszą być nasz przyjaciel, jego żona i córka.

W mieszkaniu zapanowała cisza w odpowiedzi na nasze delikatne pukanie, a po chwili drzwi otworzyły się powoli i w padającym z mieszkania świetle zobaczyliśmy przestraszonego nieco Floriańskiego, który skinął na nas, zapraszając nas do środka. Po początkowym szoku, uspokojony, że jesteśmy czyści, że nikt nas nie śledził, przedstawił nam najbliższe plany.

Córka przenocuje u przyjaciół w tym samym bloku, a my zostaniemy na noc z nim i jego żoną. Bezpieczna kryjówka przygotowana dla nas na czas oczekiwania, dopóki nie nastąpi przerzut do Warszawy, znajduje się niedaleko i rano przeniesiemy się tam z ich małego mieszkania. Żona i córka wyszły i wstępne zdenerwowanie minęło po kilku łykach ognistej wody. Powrót pani Floriańskiej kazał podnieść pewną delikatną sprawę. Niestety, w ich małym mieszkaniu było tylko jedno łóżko, i odmówiwszy grzecznie dalszego jedzenia i picia, zaczęliśmy przygotowywać się do spania. Taktownie przesiedzieliśmy przez dłuższy czas w toalecie, a kiedy powróciliśmy do mieszkania, zastaliśmy naszych gospodarzy ściśniętych w łóżku pod ścianą. Połowa łóżka zostawiona była dla nas. W spodniej bieliźnie wpakowałem się obok Floriańskiego, a Tommie wpełznął mnie na naszych polskich przyjaciół, zajmując swoim masywnym ciałem dużą część materaca. Trudno było się nie śmiać. Pani Floriańska, przykryta dokładnie pierzyną przyjrzała się nieśmiało dziwnym towarzyszom łoża. Mój zakłopotany uśmiech i „dobranoc” pogorszyło raczej, niż polepszyło sytuację. Nikt nie zmrużył oka przez całą noc. Nie słychać było nawet głośniejszego oddychania, nie mówiąc o chrapaniu.

Państwo Floriańscy wyszli z domu dobrze przed świtem. Tommie i ja dyplomatycznie skorzystaliśmy z tego, by wstać i się ubrać. Po jakimś czasie gospodarze wrócili obładowani jedzeniem i wódką. Zaopatrzywszy nas w wiktuały, małżonkowie wyszli znowu, zamknęli nas na klucz i ostrzegli, żeby pod żadnym pozorem nikomu nie otwierać drzwi. Pojedliśmy sobie i popili nieco, a potem zasnęliśmy zdrowo, rozciągnięci w ubraniu na łóżku. Wkrótce jednak zostaliśmy brutalnie obudzeni głośnym waleniem w drzwi i krzykiem Aufmachen!!. Patrząc na siebie w przerażeniu, leżeliśmy cichutko w czasie tego szturmu. Niemieckie głosy rozlegały się po całym budynku i z ulicy dochodziły też hałasy. Wydawało się, że z nami koniec. Ale dlaczego?

Wyślizgnąłem się cicho z łóżka i zerknąłem na ulicę. Kilka Brunatnych Koszul ładowało na ciężarówkę najróżniejsze ubrania, które wynosili z domu tak samo umundurowani ich pomagierzy. Po chwili walenie w drzwi ucichło, jeszcze kilka Brunatnych Koszul pojawiło się na ulicy, potem wskoczyli wszyscy do ciężarówki i odjechali.

Kiedy Floriański wraz z żoną wrócił, sprawa się wyjaśniła. Führer apelował do wszystkich Niemców, by oddawali ciepłe ubrania dla żołnierzy, którzy byli zbyt lekko ubrani, by raczyć się zimowymi sportami w mroźnych objęciach Mateczki Rosji. Wielu Niemców ochotniczo składało ofiarę tej niedzieli, ale Polak, który by nieostrożnie otworzył drzwi zbieraczom w brunatnych koszulach, byłby potraktowany ostro i pewnie pozostawiono by go w stroju, w jakim się urodził. Wszystko jest dobre, co się dobrze kończy. Floriańscy nie stracili ubrań, a nasze skóry też pozostały nienaruszone.

Floriański powiedział nam, że niemiecka policja buszuje po całym obozie jenieckim przy Hitler Strasse. Warsztaty będą na pewno sprawdzane następnego dnia, ale biorąc pod uwagę przedsięwzięte środki ostrożności, nie baliśmy się o niego zbyt, niemniej im szybciej opuścimy jego mieszkanie, tym lepiej. Przyszedł wieczór i po pożegnaniu się z panią Floriańską zostaliśmy zaprowadzeni na małą pobliską uliczkę z parterowymi domkami. Floriański zapukał cicho do którychś drzwi. Otworzyła nam drzwi drobna, starsza Polka w tradycyjnym czepku na głowie, o miłej twarzy, i wpuściła nas do środka. Na imię miała Maria. Przyjęła nas bardzo uprzejmie i wkrótce dowiedzieliśmy się, że od dawna była wdową a jedyny jej syn latał teraz w Royal Air Force w Anglii. Na pewno myślała o

swoim synu, kiedy patrzyła czule na swych nowych gości. Nie знаła niemieckiego i Floriański był tłumaczem. Uświadomiło mi to, że język polski to dla nas pilna sprawa. Ustalono, że Maria przeniesie się do przyjaciół, a cały mały domek jest do naszej dyspozycji na tak długo, jak okaże się to potrzebne. Pani Maria będzie przychodziła do nas codziennie rano z jedzeniem zorganizowanym przez Floriańskiego i jego kolegów, a nasze pytanie o niemieckie kartki i chęć zapłaty zostało powitane śmiechem. Brytyjscy żołnierze byli gośćmi Podziemia. Zanim rzecz nie przycichnie, Floriański nie będzie nas odwiedzał, ale z wdzięcznością przyjąłem jego propozycję zorganizowania wizyty u nas Haliny.

Dobrze zaopatrzeni w jedzenie, picie, tytoń i coś do czytania, większość czasu spędzaliśmy w łóżku, żeby się ogrzać. Po kilku dniach, widując tylko wiekową nieco Marię, odczuwaliśmy coś w rodzaju klaustrofobii, chciało się nam po prostu wrócić na ziemię, do lepszych warunków, niż te, którymi nas fortuna dotąd obdarzała. Przez oblodzone szyby pojedynczych okien domku nic nie było widać, i żeby rzucić choć okiem na świat zewnętrzny, zdrapaliśmy nieco lodu z szyby. Przy wejściu frontowym, prawie na odległość ręki, stali dwaj wielcy, zielono umundurowani niemieccy policjanci. Natychmiast zachuchaliśmy ten kawałek szyby, z której zdrapaliśmy przedtem lód, a incydent kazał nam przyjąć spokojniejszą postawę i wysilić się na cierpliwość.

Po prawie tygodniowym zamknięciu usłyszeliśmy wystukany w drzwi ustalony sygnał i weszła podekscytowana Halina z jeszcze jedną dziewczyną i z Floriańskim. Goście obładowani byli prezentami, jedzeniem, ubraniem, napojami, tytoniem, a ja wzruszyłem się bardzo, otrzymawszy od Haliny pulower bez rękawów, z czystej wełny w kolorze błękitu oksfordzkiego, który sama działa. Oświadczyła bardzo poważnie, że kiedy będę nosił jej prezent, Bóg Ojciec będzie mnie błogosławił i będę bezpieczny. Ta niebiańska polska dziewczyna mówiła mi to prawie ze łzami w oczach ze wzruszenia. Tak samo było ze mną. Mimo że nie żywiłem zbyt gorliwych religijnych przekonań, zmuszony byłem do przyjęcia tej szansy niebiańskiej opieki, bo jeśli istniała jakaś siła opiekuńcza na wysokościach i ktokolwiek mógł na nią wpłynąć, to na pewno była to Halina. Od tej nocy nosiłem ten pulower bezpośrednio na ciele i z wyjątkiem kąpieli nigdy go nie zdejmowałem. Dopiero w dniu, w którym Niemcy się poddali, w strzępach i prawie wodoodporny, bo przesycony potem wyciśniętym ze strachu, zdjąłem go, spaliłem, a popiół pogrzebałem z należytym nabożeństwem. Znany był ten pulower w Polsce jako niezawodny fetysz, i jak się potem okazało, zdjąłem go zbyt szybko. Powinienem był go nosić dłużej rok czy dwa.

Podczas następnej wizyty Floriańskiemu towarzyszył przystojny Polak koło trzydziestki, dobrze i ciepło ubrany w wyglansowanych butach z cholewami, bryczesach i krótkim grubym palcie z futrzanym kołnierzem. Przedstawił się z mocnym uściskiem dłoni i przytłumionym stuknięciem obcasami. Na imię miał Witold. Mówił tylko dosyć słabym niemieckim. Wyciągnął z kieszeni długą listę z wypisanymi pytaniami co do naszej przeszłości i wnikliwie nas przepytował. Wreszcie rozluźnił się, widocznie nasze odpowiedzi przekonały go, że nie jesteśmy pułapką zastawioną przez nazistów. Witold był jednym z kurierów, o których słyszałem od Floriańskiego, specjalistą od przekraczania ściśle kontrolowanej granicy między Litzmannstadt i Generalną Gubernią. Otrzymał instrukcje, żeby nas doprowadzić do Warszawy, gdzie zorganizowano dalszą pomoc. W tym celu trzeba było przygotować fałszywe dokumenty. Ulżyło mi to, bo ostrzegano mnie wielokrotnie, że podróż bez dokumentów to zapraszanie nieszczęścia. Wyjazd z Litzmannstadt wyznaczono na następną sobotę rano. Do nowych dokumentów potrzebne były fotografie, co miał załatwić Floriański. Chociaż byliśmy znośnie ubrani i nasz wygląd zewnętrzny nie powinien wzbudzać uwagi, podróż tramwajem przez Litzmannstadt dla zrobienia portretów okazała się pewnym przeżyciem. Było to nasze pierwsze publiczne wystąpienie na terytorium wroga.

Tommie i ja siedzieliśmy osobno, tramwaj klekotał głośno wzdłuż Hitler Strasse, a konduktor nawet na nas nie spojrział, dziurkując bilety miesięczne, w które nas zaopatrzone, by zaoszczędzić nam ewentualnej rozmowy. Fotograf, przyjaciel Floriańskiego, robił wrażenie, jakby jego studio dostarczało wiele takich fotografii, i czynił swoją powinność bez zadawania niepotrzebnych pytań. Czas włókł się nam nieznośnie na tym wylegiwaniu się w domku Marii. Wreszcie nadszedł piątek. Mieliśmy ruszyć następnego dnia rano, a Floriański nie dał znaku życia od czasu robienia zdjęć. Nasze uznanie dla polskiej odwagi i hojności nie miało granic, ale uzależnienie od ludzi i okoliczności, na które w żaden sposób nie mieliśmy wpływu, działało nam na nerwy. Maria przyszła i poszła tego dnia rano jak zwykle. Wieczorem siedzieliśmy obaj w napięciu i pełni niepokoju oczekiwaliśmy, że Floriański zapuka do drzwi. Kiedy czas zapowiedzianej wizyty minął, nasz niepokój wzrastał. W tej sytuacji nie było podstaw wierzyć, że brak wiadomości to dobre wiadomości. Brak wiadomości oznaczał, że stało się coś złego, i nasza wyobraźnia szalała. Dopiero na pół godziny przed godziną policyjną kiedy już tykanie zegara odbierało nam ostatnią nadzieję i doprowadzało nas do desperacji, usłyszeliśmy ciche, zbawienne pukanie do drzwi. Floriański, w wielkim pośpiechu, żeby dotrzeć do domu przed godziną policyjną zapewnił nas, że wszystko jest w porządku, potwierdził godzinę dziewiątą jako początek naszej podróży, wręczył nam dokumenty i polecał do domu.

Staliśmy się litewskimi mechanikami legitymującymi się kolorowymi dokumentami z fotografiami, z niemieckimi podpisami i kontr sygnaturami. Nazistowskie pozwolenie na pracę dołączone do każdego dowodu potwierdzało, że naszym legalnym miejscem zatrudnienia są warsztaty w Litzmannstadt. Chociaż te pierwsze i jedyne moje litewskie dokumenty wkrótce zginęły, nie różniły się one w charakterze od innych fałszywych papierów, których używałem potem i które, ciągle w moim posiadaniu, reprodukuje w tej książce.

Floriański przybył punktualnie w sobotę rano. Stara Maria też była, płakała, kiedy żegnaliśmy się z nią i dziękowali jej za schronienie.

Idąc dziarsko pokrytą lodem ulicą dotarliśmy do przystanku, by natychmiast wsiąść w tramwaj. Z pewnością siebie zrodzoną posiadaniem dokumentów kupiłem bilety dla Tommiego i dla siebie, posługując się obowiązującym niemieckim. Przemierzając dużą część miasta i ponure przedmieścia, dojechaliśmy do końca linii i wysiedliśmy, gdzie kończyły się zabudowania miejskie, a zaczynały się gospodarki wiejskie i połacie sosnowego lasu. Patrząc na ten niegościnnie krajobraz, zdawaliśmy sobie sprawę, że piesza wędrówka przez pola jest niemożliwa. Floriański rozglądał się niespokojnie i ucieszył się, kiedy zobaczył zaprzęgnięty w konie otwarty powóz zmierzający w naszym kierunku, a na nim dwóch mężczyzn. Jednym z nich był Witold, nasz kurier i przewodnik. Floriański żegnał się z nami, mocno potrząsając nam ręce, i ucałowaliśmy się z dubeltówki. Miał łzy w oczach, życząc nam boskiego błogosławieństwa. Wspaniały człowiek, uosobienie odwagi, dobrego humoru i wielkiego poświęcenia dla swego kraju. W czarnych godzinach, które mnie oczekiwały, myśli o Floriańskim i takich jak on dodawały mi siły, kiedy było mi jej brak. Źródła podziemne podawały, że coś rok potem Floriański został powieszony przed warsztatami, oskarżony o sabotaż. Żona i córka przepadły.

Bez słowa wsiedliśmy do powozu i konie ruszyły z kopyta po zamarzniętej drodze. Po jakimś czasie dojechaliśmy do dużego ceglanego budynku, który już z dala, za pomocą nosa, dał się rozpoznać jako gorzelnia.

Wjechaliśmy przez bramę i zatrzymaliśmy się przed elegancką willą mieszczącą się na otoczonym murem terenie, obejmującym wszystkie zabudowania gorzelni. Po chwili przedstawialiśmy się wzajemnie w wygodnym foyer, dobrze ogrzanym bierwionami płonącymi na kominku. Woźnica, a nasz gospodarz, był kiedyś właścicielem tego browaru, a teraz jest tymczasowym zarządcą dla

Niemców z prawem używania własnego domu, jak długo będzie zajmował to stanowisko. Witold był dobrze znany naszym nowym przyjaciółom. Grzecznie i nieco nieśmiało przedstawiliśmy się pani domu i kilkunastoletnim synowi i córce.

Młodzi mówili znośnym angielskim, a używając niemieckiego i francuskiego, nie mieliśmy trudności w płynnym porozumiewaniu się ze starszymi. Wieczorem, przy świecach, podano wspaniały obiad. Stół przykryty koronkowym obrusem, oszałamiająca zastawa i srebro stołowe ożywiły wspomnienia z dawnych, bardziej eleganckich czasów, zatarte już przez nędzę jenieckiego życia. Cygara, likiery, gra w karty, gorąca kąpiel, czysta piżama i miękkie łóżko z białymi prześcieradłami kończyły ten wspaniały dzień.

Nadszedł ranek i powrót do rzeczywistości. Po śniadaniu dano nam do wyboru różne ubrania, wszystko najstosowniejsze na Warszawę. Jednak pulower dziany przez Halinę pozostał na swoim miejscu, bezpośrednio na ciele, pod nowym ubraniem. Jeszcze jedno pożegnanie i ruszyliśmy w drogę, w zalany słońcem świat pełen śniegu i lodu, z naszym gospodarzem powożącym tym samym pojazdem. Przez parę kilometrów droga z obu stron, otoczona zaspami, prowadziła przez sosnowy, pokryty szronem las. Zatrzymaliśmy się przy małej drewnianej chacie, z której wyszło dwóch mężczyzn, najwyraźniej dobrych znajomych Witolda i naszego woźnicy. Powóz zawrócił, i oto jeszcze jeden dzielny Polak, tym razem gorzelnik, gotów ryzykować wszystkim, odchodził z naszego życia, wracając drogą którą nas przywiózł.

Tymczasem ci dwaj obcy rozmawiali cicho z Witoldem po polsku. Stąd było tylko kilkaset metrów do niemieckiego punktu granicznego i ze zdumieniem dowiedziałem się, że mamy po prostu przekroczyć graniczny posterunek kontrolny. W niedzielę panował tu mały pieszy ruch przygraniczny tolerowany przez niektóre niemieckie posterunki wiejskie, co umożliwiało odwiedzanie krewnych mieszkających za nową linią demarkacyjną. Witold ruszył szybkim krokiem, Tommie za nim, a ja na końcu, niezbyt zadowolony z tego, że tak idziemy na los szczęścia. Zobaczyliśmy przed nami budynek oznakowany po niemiecku jako „Kontrola Graniczna” i Witold i Tommie niezaczepieni przeszli. Przyspieszyłem kroku za nimi, kiedy nagle głośnie Haiti i wycelowany we mnie karabin zmusił mnie, by się zatrzymać. Drugi, uzbrojony i w hełmie Niemiec wyszedł ze strażnicy i krzyknął na Witolda i Tommiego, by także wrócili. Zażądano dokumentów, wtedy przejąłem inicjatywę i wytłumaczyłem potulnie, że chcieliśmy przekroczyć granicę, żeby odwiedzić nasze dziewczyny i przynieść trochę pożywienia do Litzmannstadt. Niemiec pouczył nas ostro. Jest streng verboten przekraczać granicę bez pisemnego pozwolenia miejskiej policji. Przeprosiliśmy szczerze i uprzejmie za brak pozwolenia. Mając dwie możliwości, zamknąć nas, albo zawrócić, wartownik kazał nam iść, skąd przyszlismy.

Kiedy straciliśmy ich z oczu, zorganizowaliśmy małą konferencję. Idźcie za mną powiedział Witold i skierował się na wąską ścieżkę prowadzącą pod kątem prostym w las. Byliśmy grubo ubrani i prawie po trzech tygodniach spędzonych bez ruchu na jedzeniu i paleniu, wkrótce brakło nam tchu, a obfity pot spływał nam po twarzy i razem z parującym oddechem zamarzał na lód pod stroną wystawioną na wiatr. Wreszcie Witold dał znak, by się zatrzymać. Poruszamy się równolegle do zielonej granicy, oświadczył, następne nasze posunięcie to zwrot w prawo, musimy wejść daleko w głąb Generalnej Guberni i znów skrócić w prawo, by wrócić na tę samą drogę, z której nas zawrócono. Proste.

Całe to planowanie w dalszym ciągu wydawało mi się niewydarzone, ale jednak po godzinie wyczerpującego marszu na złamanie karku cała nasza trójka maszerowała szosą na wschód, już kawał drogi w granicach Generalnej Guberni. Po jeszcze kilku milach morderczego marszu Tommie i ja padaliśmy prawie z nóg, kiedy z ulgą dopędziliśmy Witolda, który akurat pukał do drzwi bardzo prostej, drewnianej chaty. Wnętrze tej chaty było tak samo mało imponujące, jak i wygląd zewnętrzny.

Chata stanowiła jedno duże pomieszczenie z glinianą podłogą. W jednym końcu stała koza i za siatką kręciło się parę kur, a w mroku z trudem dało się zauważyć biednie ubraną kobietę karmiącą dziecko. Gospodarz domu, człowiek o masywnej budowie, tak samo biednie odziany, rozmawiał szybko z Witoldem. Musimy pędzić możliwie najszybciej, by złapać pociąg. Olbrzym znikł i wkrótce znów byliśmy w drodze na wozie drabiniastym ciągniętym przez katastrofalnie wychudzoną szkapę. Biedny zwierz na pewno by padł, gdyby nie podtrzymywały go dyszle, i nie sposób było nie litować się nad tym żywym szkieletem zużywającym resztki sił w morderczym zaprzęgu.

Mijaliśmy wiele grup pieszych idących do kościoła lub wracających z mszy w odświętnych ubraniach, co sprawiało, że byliśmy mniej podejrzani na wypadek nadziania się na niemiecki patrol. Witold zabrał nasze litewskie dokumenty i spalił je, tłumacząc, że bez pozwolenia na przebywanie w Generalnej Guberni takie dokumenty spowodowałyby nasze natychmiastowe aresztowanie za nielegalne przekroczenie granicy. Znowu, bez dokumentów, wróciło uczucie niepewności. Po jakimś czasie dotarliśmy do rzadko zabudowanej wsi o nazwie Baby, polska nazwa dość powszechna w Generalnej Guberni, i wysiedliśmy z wozu przed zapomnianą wiejską stacją kolejową z kilkoma tylko postaciami kręcącymi się wokół.

Witold wszedł do budynku i kupił bilet "Jeden do Warszawy", nie zwróciwszy uwagi urzędnika w okienku. Kiedy Witold się oddalił, wszedłem ja i zażądałem: „Dwa do Warszawy”, na co dostałem dwa bilety, jeden dla mnie, drugi dla Tommiego. Tak rozpoczęły się moje kontakty z niemiecką koleją wschodnią Ostbahn, które to kontakty w tak niespodziewanym kierunku rozwinęły się potem.

Kiedy zbliżał się czas odjazdu pociągu, peron wypełniał się ludźmi, głównie średniego wieku, kręcących się tam i z powrotem. W dotkliwym mrozie każdy był tak grubo ubrany, że kobiety można było odróżnić od mężczyzn tylko po tym, że miały głowy i twarze zakryte szerokimi szalami, podczas gdy mężczyźni nosili płaskie wełniane czapki z nausznikami.

Zachowując ostrożność, wymieniliśmy kilka słów z Witoldem. Mieliśmy jechać z Bab osobno, wysiąść w Koluszkach, znacznie większej stacji, a stamtąd złapać bezpośredni pociąg do Warszawy.

W Koluszkach na marnie oświetlonym peronie, jak i w poczekalni, widać było kilku niemieckich, uzbrojonych policjantów. Dwójkami chodzili powoli wśród tłumu cywilów, my natomiast poruszaliśmy się tak, by trzymać się od nich z daleka. Każdy kontakt z nimi mógłby skończyć się nieszczęściem, jako że nie mieliśmy żadnych dokumentów. W miarę upływu czasu, kiedy nasz pociąg nie podjeżdżał, ta zabawa w kotka i w myszkę napawała nas coraz większą niepewnością. Prawie wszyscy ludzie kręcący się na stacji w Koluszkach obładowani byli workami i skrzynkami pełnymi najróżniej-szych artykułów szmuglowanych do Warszawy. Niemiecka policja ignorowała często ten czarny rynek. Mieliśmy szczęście, że akurat nie podejmowano represyjnej akcji przeciw handlowi. Wprawdzie większość bagażu wyglądała na kartofle, kto wie, co mogło się kryć w niektórych pakunkach. Gdzieś z worka wyglądał kwiczący prosiak, gdzie indziej widać było łebki dwóch zalęknionych gęsi. Zawsze podnosi na duchu świadomość, że inni, ludzie czy stworzenia, znajdują się w gorszej sytuacji niż my sami.

Podczas tych trzech godzin czekania w Koluszkach mróz się wzmaczał i choć nogi miałem okropnie zmarzniete, nie poddawałem się. Kiedy wreszcie nadjechał pociąg i ludzie rzucili się do wsiadania, nieobciążony bagażem byłem jednym z pierwszych i ulokowałem się w rogu przedziału. Po chwili cały pociąg był zapchany, a ci, którzy nie mieli miejsc siedzących, stali, opierając się jeden o drugiego. Tommie i Witold przepadli w tłoku. Miałem nadzieję, że wsiedli. Przybyć do Warszawy samotnie, to byłoby dopiero kłopot.

Obok mnie siedziała muskularna chłopka trzymająca duży worek kartofli na kolanach. Sugerowała, spoglądając na mnie, że na półce bagażowej jest miejsce na jej worek. Odczytując jej intencje, choć nie rozumiałem, co mówiła, pojąłem, że chodzi jej o włożenie tych ziemniaków na półkę. Z półśmiechem i zrozumieniem podniosłem się i wziąłem worek z jej kolan. Po dwóch czy trzech bezskutecznych próbach zadanie okazało się ponad moje zdolności podnoszenia ciężarów. Życie przez ostatni rok, z kilkoma tygodniami pod koniec spędzonymi bez ruchu, najczęściej w łóżku w czasie ukrywania się w Litzmannstadt, pozbawiło mnie zdolności sprostania temu zadaniu. Kobieta popatrzyła na mnie pogardliwie, kiedy wojowałem z tymi marnymi pięćdziesięcioma kilogramami, wreszcie podniosła się niecierpliwie, pchnęła mnie na siedzenie, złapała worek i zgrabnie ulokowała go na półce. Nie mówiąc ani rozumiejąc wtedy po polsku, nie mogłem się nawet usprawiedliwić, kiedy wiązanka niezbyt pewnie miłych uwag skierowana została pod moim adresem. Nie byłbym zdziwiony, gdyby takich cherlaków jak ja obwiniała o przegranie wojny z Niemcami. Zachowując pełne godności milczenie i obojętny wyraz twarzy, patrzyłem uparcie w okno w ciemność nocy.

Była prawie północ, kiedy przybyliśmy na duży główny dworzec w Warszawie. Pociąg wyrzucił pasażerów wraz z ładunkami i cały peron zapełnił się ludźmi zmierzającymi do wyjścia, gdzie zbierano bilety. Widać tam było licznych policjantów niemieckich i żołnierzy, dziwne, nikt jednak nie interesował się szmugłem prowadzonym na ich oczach. Potem dowiedziałem się, że choć nieprzewidywalni w swoich poczynaniach, przez dłuższy czas Niemcy byli dosyć tolerancyjni w tym względzie, rozumiejąc, że ten olbrzymi czarny rynek pomaga wyżywić Warszawę. Wiedzieli także, że żywność, jaka docierała w ten sposób do stolicy, i tak by nie wpadła w niemieckie ręce. Kompletne zahamowanie szmugłu doprowadziłoby do głodu mieszkańców miast, co zwiększyłoby tylko trudności, jakie i tak już mieli, w kontrolowaniu i podporządkowaniu tego dumnego i buntowniczego narodu. Przedstawiony bilet przy wyjściu został ostemplowany swastyką i zwrócony. W Warszawie obowiązywała surowo przestrzegana godzina policyjna dla Polaków wyznaczona na ósmą ale osobom przyjeżdżającym późnymi pociągami stemplowano bilety upoważniające ich do udania się do domu bez przeszkód i aresztowania, mimo przekraczania godziny policyjnej. Zaciskając w ręku nowy dokument, którym był bilet kolejowy opieczętowany wszechmocną swastyką posuwałem się z tłumem w kierunku głównego wyjścia. Jeżeli Witold i Tommie nie byli w stanie dostać się do przepełnionego pociągu w Koluszkach, moja sytuacja będzie tragiczna. Już w strachu, że moi przyjaciele pozostali tam, nagle zobaczyłem ich stojących przy wyjściu. Wszyscy poczuliśmy ulgę.

Witold ruszył szybkim krokiem, a my postępowaliśmy za nim, tupocząc butami po skutych lodem ulicach uspionej Warszawy. Zbliżaliśmy się do dużego, szerokiego mostu, ale zanim nań wkroczyliśmy, Witold zboczył na jakieś boczne kamienne schodki, a my postępując za nim, zostaliśmy nagle zatrzymani głośnym zawołaniem Haiti. Ujrzyliśmy dwie ciemne postaci niemieckich policjantów. W świetle latarki skierowanej nam w oczy, na pół oślepieni, zobaczyliśmy pistolet skierowany w naszą stronę. Przewidując niebezpieczeństwo, skierowałem się w stronę latarki i pokazując swastyką ostemplowany bilet, przepraszałem pokornie za tak późne przebywanie na ulicy, tłumacząc to opóźnieniem pociągu, którym przyjechaliśmy. Ułagodzony Niemiec rozładował sytuację, rzucając okiem na bilet i polecając nam Also schnell nach Hause.

Z kontrolowanym pośpiechem zeszliśmy po schodkach, znajdując Witolda oczekującego nas w cieniu. Po delikatnym zapukaniu do mieszkania w pobliskim bloku zostaliśmy zaproszeni uprzejmie do mieszkania przez małżonków w średnim wieku. Od razu poczęstowano nas gorącą zupą i ciemnym polskim chlebem. Witold znikł w ciemności, obiecując wrócić rano. Zasnęliśmy szybko na tapczanach w oddanym do naszej dyspozycji osobnym pokoju.

WARSZAWA

Zbudziliśmy się odświeżeni i w dobrych nastrojach w ten nasz pierwszy ranek w mroźnym skutym mieście, iskrzącym w słońcu niedającym żadnego ciepła. Witold pojawił się na krótko, by powiadomić, że pewna starsza pani, która zajmuje się uciekinierami, przyjdzie po południu i zorganizuje następne kroki naszej podróży. Nasze pożegnanie było ciepłe i jak wielu dzielnych polskich mężczyzn i kobiet z naszych przelotnych znajomości, odszedł, by kontynuować swoją niebezpieczną tajną wojnę, i więcej o nim nie słyszeliśmy. Konspiracja nie prowadzi do długotrwałych przyjaźni, bliskie związki były niebezpieczne dla obu stron i im mniej się wiedziało o jakimś członku ruchu oporu, tym lepiej.

Mając cały ranek wolny do wizyty starszej pani, o której mówił Witold, nasz nowy gospodarz zaproponował spacer. Poszliśmy w górę tymi samymi kamiennymi schodkami, na których mieliśmy spotkanie z policją poprzedniej nocy, i zostawiając most Poniatowskiego za sobą podążyliśmy bez pośpiechu w przeciwnym kierunku, do centrum miasta. Na ulicy panował duży ruch. Pełno było tramwajów, pojazdów wojskowych, dorożek zaprzęgniętych w konie i wiele trójkołowych rowerów (riksz) z szerokim przednim siedzeniem dla dwóch pasażerów z rikszarzem pedałuującym szaleńczo z tyłu. Szczęściem Warszawa nie leży na górkach. Chodniki były zatłoczone, widziało się pomiędzy cywilami dosyć licznych umundurowanych Niemców, nazistowską policję w hełmach na głowie, jak zwykle parami, odróżnianą po morskozielonym kolorze mundurów. Tommie rzucał niespokojnie oczyma, wyraźnie podenerwowany, tak zresztą jak i ja. Nasz starszawy polski gospodarz, na odwrót, był samym spokojem. Pozornie nie zwracając uwagi na niebezpieczeństwo spacerowania z dwoma wojskowymi uciekinierami brytyjskimi, rozmawiał z nami i pokazywał interesujące miejsca. Jego opanowanie uspokoiło i nas. Zniszczenia domów i budynków były szokujące. Akry za akrami ceglanych zwalisk i wypalonych murów były milczącym świadkiem natężenia walki o miasto w 1939 roku. Ściany większości domów upstrzone były śladami szrapneli i pocisków. Z każdej brukowanej ulicy i podwórka emanowała atmosfera wylęgającego się spisku i tradycji. Wszędzie czuło się poświęcenie i cierpienie i było jasne, że niepokromiony duch narodu polskiego znalazł swoje sanktuarium w zniszczonej stolicy.

Kiedy wróciliśmy do mieszkania, starsza pani już na nas czekała. Jakże miło było usłyszeć, że pani Ena Makowska, około pięćdziesiątki, była Szkotką która przed wieloma laty wyszła za Austriaka, osiadła w Warszawie i miała się zupełnie dobrze, ucząc angielskiego. Mówiła tylko trochę po niemiecku i po polsku. Jeżeli obcokrajowcy chcą rozmawiać z Brytyjczykiem, powinni się nauczyć mówić po angielsku, takie było jej stanowisko, nieobce i innym zresztą.

Ena zawiozła nas tramwajem do swojego mieszkania przy ulicy Kopernika. Wejście prowadziło przez jakiś warsztat, i choć polscy robotnicy wiedzieli, że coś konspiracyjnego dzieje się w jej mieszkaniu, nie było najmniejszego niebezpieczeństwa, że ktoś doniesie Niemcom. „Ojczulek”, jej mąż, miły wyprostowany starszy pan, niegdyś urzędnik austriackiej armii, powitał nas uprzejmie. Porozumiewałem się z nim dobrze po niemiecku i wydawało się, że lubi choć przez chwilę być wolny od dominującej osobowości Eny.

Po wzajemnych prezentacjach przekazano nam niezbyt miłą informację. Otóż szansa szybkiego opuszczenia Warszawy była nikła. W 1941 roku około dziesięciu zbiegłych Brytyjczyków dotarło do Warszawy i przy pomocy Podziemia w postaci pieniędzy i dokumentów dwoje z nich próbowało dostać się do Anglii poprzez Europę i Hiszpanię. Obaj zostali złapani przez Niemców i długo przygotowywana trasa ucieczek okazała się nieużyteczna. Rozmawiając żywo, ledwo zauważyliśmy delikatne pukanie do drzwi prowadzących z warsztatu. Tommie i ja jeszcze musieliśmy się nauczyć znaczenia takich sygnałów w Warszawie, ale wymiana spojrzeń między Ojczulkiem i Eną oraz widoczne zaniepokojenie mówiło samo za siebie. Pukanie powtórzyło się delikatnie i Ojczulek

otworzył drzwi, wpuszczając trzech młodych mężczyzn. To byli także brytyjscy uciekinierzy pod opiekuńczymi skrzydłami Eny. Mieszkając z różnymi rodzinami w Warszawie, zaopatrzeni byli w fałszywe dokumenty i potwierdzali beznadziejność rychłego wydostania się ze stolicy. Z niezadowoleniem zauważyłem, że żaden z nich nie mówi płynnie ani po niemiecku, ani po polsku. Nawet na tym wczesnym etapie ucieczki czułem, że zadawanie się Eny z Brytyjczykami swobodnie wchodzącymi do jej mieszkania i z niego wychodzącymi prędzej czy później zwróci uwagę Niemców. Najprzejmiej zapraszani zostaliśmy na noc i wieczorem Ojczulek zatelefonował do kogoś, powiadając, że zdobył te dwie książki, które gotów jest wypożyczyć. Następnego ranka jedna z tych nowych książek, Tommie, została zabrana tramwajem do mieszkania na Saskiej Kępie, nadwiślańskiej dzielnicy za mostem Poniatowskiego. Mnie, tę drugą książkę, Ena odprowadziła pieszo do dobrze urządzonego i niezniszczonego mieszkania w pobliżu.

Moją nową gospodynią była słynna skrzypaczka koncertowa Eugenia Umińska, która odmawiała koncertowania pod niemieckim kierownictwem. Była uderzająco majestatyczną kobietą i trzeba wyrazić pełne uznanie za wzięcie na siebie ryzyka przez danie schronienia i utrzymania wojskowemu uciekinierowi. Po komfortowym ulokowaniu mnie Ena wróciła do siebie, polecając, by przygotować trzy fotografie, potrzebne do wyrobienia mi fałszywych papierów. Genia wzięła mnie następnego dnia do znajomego fotografa i wymagane zdjęcia trafiły do Eny. Niecierpliwie czekałem, by mieć wreszcie w rękach jakiś rodzaj paszportu, i pod koniec tygodnia, ku mojej uldze, Ena dostarczyła niemiecką Kennkarte dla Polaków, której reprodukcja znajduje się w tej książce. Stałem się Józefem Kawałą technikiem, i w nowej postaci robiłem długie, interesujące i badawcze spacer po mieście.

Chociaż początek 1942 roku był w Warszawie stosunkowo spokojny, zawsze istniała możliwość zatrzymania przez policję dla sprawdzenia dokumentów i należało się mieć bez przerwy na baczności.

Jednopakładowe tramwaje składały się z dwóch wagonów. Wagon pierwszy przeznaczony był dla Niemców, gdzie rasa panów, umundurowani i cywile, siadała bez tłoku i wygodnie, a wagon tylny, przeznaczony dla Polaków, był zwykle tak przepełniony, że było trudno wsiąść czy wysiąść. Przemierzałem miasto wiele razy i jako Polak używałem oczywiście wagonów przypisanych mojej przybranej osobowości. Potem, kiedy dysponowałem wieloma dokumentami, włączając w to niemieckie, jeździłem czasem w niemieckim wagonie dla wygody, ale nawet wtedy najczęściej korzystałem z wagonów polskich. Nie wspomnę, że mogła się załęgnać w jakimś Polaku myśl, by wyrazić swoją narodową dezaprobatę przez wpakowanie granatu jako oznaki tego niezadowolenia, do wagonu zajmowanego przez Szwabów.

Chociaż bardzo o mnie dbano i mieszkalem wygodnie w wystawnym mieszkaniu Geni, czułem niepokój, a zwiedzanie Warszawy nie wystarczało, by dwudziestopięcioletniego chłopca pozbawić chęci działania.

Postarałem się o polską gramatykę, i przy pomocy Geni, szczególnie jeśli idzie o wymowę, robiłem szybkie postępy w opanowywaniu nowego języka. Jak wspomniałem, Genia była skrzypaczką prawdziwą profesjonalistką. Chociaż dawała w czasie wojny tylko nieregularnie koncerty na polskie cele charytatywne, ćwiczyła, wydawało się, cały dzień przez wszystkie dni tygodnia od świtu do zmroku. Przelatywała gamy, lub cokolwiek robi się na skrzypcach, aż mi odpadała głowa. Każdy znak, że cierpieć, byłby straszną niewdzięcznością w imię zdrowia stawało się jasne, że trzeba będzie znaleźć jakieś rozwiązanie i uwolnić mnie od tego hałasu.

Samo centrum Warszawy o powierzchni kilku mil kwadratowych było zarzewiem niepokoju w tym wielkim mieście. Znajduje się tu słynne Stare Miasto, czarujący zbiór starych i niezwykłych budynków rozmieszczonych na nieregularnych placach i ślepych uliczkach. Wędrowanie po tych

uliczkach i alejkach przypominało mi stare dzielnice Paryża i niektóre części City of London. Przybrudzone ciężkie mury z wejściami wyrobionymi w kamieniu prowadzącymi na tajemnicze podwórka mówią o dawnych bohaterach gotowych w każdej chwili obudzić się z drzemki i zerwać się znowu, by wyzwolić ojczyznę. Ciężkie balkony tych wielopiętrowych domów z ponurymi oknami, do których pasowały twarze dawnych bohaterów. Na niektórych ulicach obok połacie gruzów i wypalonych murów sąsiadowały z nienaruszonymi prawie domami, jeśli nie liczyć śladów szrapneli i pocisków. Zniszczenia przykrywała teraz łagodząca obraz warstwa śniegu. Wąskie ścieżyny utwardzone lodem prowadziły do zakamarków, gdzie kiedyś były mieszkania, sklepy i warsztaty. Mimo tych zniszczeń, a dziwić się trzeba, jak ktokolwiek mógł to przeżyć, grubo ubrani mężczyźni, kobiety i dzieci krzżeli się, próbując zdobyć pożywienie, schronienie i ciepło, żeby przeżyć. Pokaleczone budynki i martwe ciche ruiny kontrastowały z klekocącymi tramwajami, samochodami, ciężarówkami, dorożkami i ciągłym ruchem niemieckich, policyjnych i wojskowych pojazdów.

Przedostawszy się tramwajem na drugą stronę rzeki na Saską Kępę albo wyjechawszy z centrum na południe w kierunku Mokotowa lub na północ na Żoliborz, widziało się nowoczesne dzielnice Warszawy. Atrakcyjne bloki mieszkalne i wolno stojące wille o rzadszym zagęszczeniu niż w centrum zostały też mniej zniszczone. Było jednak tam bardziej niebezpiecznie się poruszać ze względu na większą widoczność. Nie było tam małych alejek i ścieżek bocznych, gdzie można by zniknąć, widząc zbliżający się patrol.

Zastanawiając się, jak zdobyć nowe mieszkanie bez urażenia dzielnej, ale nieco zbyt muzykalnej Geni, ostrożnie udałem się pewnego ranka do warsztatu, który prowadził do mieszkania Eny, zadowolony, że zjawi się też tam Tommie. Przyjaciół mój był zadowolony z losu, zajmował komfortową kwatere z dwiema ślicznymi siostrami za mostem Poniatowskiego na Saskiej Kępie. Rozmowa prowadziła w dobrym kierunku i dowiedziałem się, że jest tam miejsce dla jeszcze jednego lokatora. Poprosiłem go o dokonanie właściwego wywiadu i ustaliliśmy, że się spotkamy za parę dni. Cieszyłem się myślą że wyzwolenie od skrzypcowych strun nastąpi szybko.

Kiedy oczekiwałem na decyzję w sprawie mieszkania razem z Tommiem, z pewnym niepokojem odwiedziłem Enę i jej męża, aby porozmawiać o absolutnej niezbędności znalezienia dla mnie jakiegoś konstruktywnego zajęcia, najlepiej skierowanego przeciwko Niemcom. Ena uśmiechnęła się ze zrozumieniem na moją delikatnie wyrażoną opinię, że jestem w psiej sytuacji, wychodzę codziennie na spacer, co nie prowadzi mnie w żaden sposób do domu, a tylko przenosi kosztą mojego utrzymania z Niemców na Polaków, a na dodatek stanowi dla nich olbrzymie zagrożenie.

Ena zauważyła, że ja i tak narobię kłopotów, to co za sens powstrzymywać kogoś, kto sam szuka guza. Tania, polska lekarka, którą przez długi czas uczyła angielskiego, zaangażowana była w drukowanie i rozprowadzanie podziemnej gazetki z nowościami czerpanymi głównie z londyńskiego BBC. Zbieranie informacji nastroczało dużo kłopotów ze względu na trudności w odbiorze, jak i na zawłości językowe i może rodowity Anglik byłby rozwiązaniem. W języku polskim, tak okropnym, że nawet ja rozumiałem, Ena przeprowadziła ostrożną rozmowę telefoniczną - wynik - adres na Wilczej, gdzie miałem się zgłosić jeszcze dziś po południu.

Tania była ciemną drobną choć przy kości, nieco po trzydziestce kobietą z wysokimi kośćmi policzkowymi odziedziczonymi pewnie po jakimś dawno zmarłym tatarskim przodku, o śpiewnym, mile brzmiącym głosie, zawsze z uśmiechem, jednym słowem była najmiłą babką i dzielną jak dzielni mogą być tylko Polacy. Pracowała zawodowo jako lekarz na tyle, by trzymać ciało i ducha do kupy, ale głównym jej zajęciem była praca dla podziemnego czasopisma „Echo”. Mówiła uroczo

łamaną angielszczyzną lubiła używać naszego języka i chyba to zadecydowało, że zgodziłem się współpracować w wydawaniu pisma.

Nad szklanką czarnego płynu, fałszywie nazywanego herbatą dyskutowaliśmy o współpracy. Program radiowy i terminy nadawania angielskich wiadomości, ich zapis i transkrypt zostanie dostarczony codziennie do południa do oceny redakcyjnej. Regularne wizyty byłyby niebezpieczne i należy podjąć wszelkie środki ostrożności, by nie zwrócić uwagi wrogiego kontrwywiadu. Zachowanie się wedle jakiegoś schematu zwraca znacznie więcej uwagi niż wizyty nieregularne. Tania została poinformowana, że wkrótce zmieniam mieszkanie i wolałbym najpierw się przeprowadzić, zanim podejmę działanie za zgodą nowego gospodarza.

Zadowolony Tommie poinformował mnie, że on i jego dwie gospodynie z przyjemnością zgadzają się na mój pobyt na Saskiej Kępie. Genia, nie znając prawdziwego powodu mojej decyzji, żałowała, że się przeprowadzam. Czuła się bardzo samotna, jestem pewien, ale miała przynajmniej skrzypce, na których grała. Po odważnym i uprzejmym zapewnieniu mnie, że mogę wrócić do jej mieszkania, kiedy tylko zechcę, ustaliliśmy zakodowany sposób telefonicznego porozumiewania, by sprawdzić sytuację, ale zapewniła mnie, że mogę to zrobić, nawet gdyby jej mieszkanie było pod obserwacją wroga. W ten sposób powstało względnie bezpieczne miejsce, do którego mogłem uciec, jedno z wielu, jakie zorganizowano mi potem. Było to wielką ulgą dla osoby, na którą coraz częściej polowano i która tak często musiała znikać z widoku.

Tommie zabrał mnie na Saską Kępę. Ruszyliśmy tramwajem mostem Poniatowskiego przez szeroką Wisłę, mijając po drodze kamienne schodki, gdzie Witold znikł nam z oczu w pierwszą noc w Warszawie. Nasza przygoda z dwoma niemieckimi policjantami, kiedy to uratował nas bilet ostemplowany swastyką wydawała się bardzo daleką przeszłością. Pierwsze parę tygodni w stolicy polskiej były tak pełne doświadczeń, sensacji i ostrzeżeń, które należało zapamiętać, że drobna sprawa jak ta groźba wypadki prawie zatarła się w pamięci. Po drugiej stronie leżała Saska Kępa, atrakcyjna i schludna mimo pokrywającego ją śniegu i lodu wschodnioeuropejskiej zimy.

Stenia i Janka mieszkały kilka minut drogi od pierwszego przystanku tramwajowego za mostem w nowoczesnym mieszkaniu na parterze małego bloku przy niezwracającej uwagi uliczce pełnej podobnych bloków. Obie siostry powitały nas nieco nieśmiało, ale widać było, że wszyscy jesteśmy bardzo zadowoleni. Obfite jedzenie czekało w małej kuchence-jadalni i posługując się skromnym francuskim, wkrótce przełamaliśmy pierwsze lody. Stenia, starsza, była blondynką a Janka brunetką. Oboje rodzice nie żyli, a brat był w niemieckiej niewoli.

Kilka lat po wojnie Janka opisała swoje losy w czasie okupacji i jej artykuł o spotkaniu z Tommiem i mną opublikowany w polskim piśmie, które dotarło na Zachód, wart jest zacytowania. Niektóre daty i okoliczności opisane przez nią nie są dokładne, ale nie na tyle, by podważać autentyczność artykułu. Podkreślano to wielokrotnie, że życie w konspiracji, ciągle narażanie się na śmierć jest tłem trudnym do opisanego z kliniczną dokładnością.

JANKA: „Wczesną zimą 1941 roku któregoś popołudnia zapukano do naszych drzwi i elegancko ubrana pani przedstawiła nam niespodziewanego gościa. Był to bardzo miły, przystojny młody człowiek, dobrze ubrany, w cywilu, który siadł, palił fajkę i nie bardzo starał się z nami rozmawiać. Po różnych próbach językowych okazało się, że nasz gość mówi trochę po francusku. Nazywał się Tommie Muir, był Szkotem z Glasgow i rychło zapoznaliśmy się z nim na tyle, by wyjawic naszą przeszłość. Tommie wychodził do miasta szereg razy i po pierwszym zdziwieniu, że jest tak ruchliwy, będąc uciekinierem, przyzwyczailiśmy się do tego. Pewnego dnia zapowiedziano, że przyprowadzi on swego kolegę, który by chciał z nami zamieszkać. Jakby ciągle mieszkał w Glasgow, a nie w

okupowanym kraju, Tommie wyszedł z mieszkania i po jakiejś godzinie przedstawił nam swojego wielkiego przyjaciela, Ronniego Jeffery. Ronnie był londyńczykiem, choć był ubrany bardzo marnie, dla nas był on angielskim arystokratą, jak to sobie wyobrażałyśmy arystokratów. Z fajką mocno trzymaną w zębach, pewny siebie, pełen humoru i elokwencji. Było znacznie łatwiej dowiedzieć się wszystkiego od Ronniego, niż dało się wydusić z Tommiego. Oboje walczyli we Francji w czasie Dunkierki, wzięci zostali do niewoli, spotkali się i przedsięwzięli wspólną ucieczkę z obozu jenieckiego w Łodzi". Koniec cytatu.

Różnice między wypowiedzią Janki i moją są oczywiste, ale nie podejmowaliśmy próby skorygowania, co tylko świadczy, jak zawodna jest pamięć po tylu latach, podkreśla także, jak mało istotne są takie drobiazgi.

Przeniesienie się do Tommiego i tych dwóch sióstr wymagało wyraźnego postawienia sprawy mojej pracy dla radia. Zainstalowanie odbiornika podnosiło znacznie ryzyko. Stenia i Janka z ochotą wyraziły zgodę. Śmierć może przyjść raz. A czy przyjdzie za trzymanie w domu dwóch brytyjskich żołnierzy, czy dojdzie do tego jeszcze kara za dodatkową działalność antyniemiecką nie zmieni to w niczym ostatecznego wyniku. Tommie przyjął tę decyzję entuzjastycznie, zaznaczając, że one są bohaterkami od dawna i przywykły do stałego niebezpieczeństwa, podczas gdy my jesteśmy jeszcze odeskami w tej grze.

Tania usłyszawszy o mojej gotowości podjęcia zadań, była zachwycona, przekazała mi szczegóły dotyczące tematyki zbieranych informacji i lokalne czasy nadawania ważnych wiadomości przez radio brytyjskie. Potwierdziła normalne sposoby bezpiecznego codziennego doręczania jej wiadomości i podała jeszcze inne. Po drodze do Tani przy ulicy Wilczej była mała apteka. Miała okno wystawowe od ulicy, ale ze względu na ograniczenia wojenne na wystawie stały tylko duże butelki z zabarwionymi płynami, normalna rzecz dla apteki też w czasie pokoju. Teraz jednak ustawienie butelek miało specjalne znaczenie, które dało się rozszyfrować za pomocą odpowiedniego kodu. Jedno ustawienie oznaczało, że droga jest wolna i można normalnie doręczyć wiadomość dla Tani. Inne ustawienia oznaczały różne alternatywy postępowania, od rady, by przyjść znów jutro albo dostarczyć rzecz do innej skrzynki kontaktowej, czy wreszcie, żeby zniszczyć wszystko i zniknąć możliwie szybko. Uspokojony tymi zasadami ostrożności, w miarę zdobywania doświadczenia sam zacząłem je stosować w moich działaniach.

Nie wiem, co powodowało, że polskie dziewczyny tak na mnie działały, faktem jest, że pociągały mnie w najwyższym stopniu. Nie sądzę, by to długotrwała izolacja sprawiła, że nagły bliski kontakt z damską płcią był zbyt szokującą przyjemnością. Polskie kobiety różnego wieku, szczególnie pod rygorami nazistowskiej okupacji, emanowały jakimś świętym spokojem i odwagą głębią uczucia widoczną w twarzy, a szczególnie oczach. Polska nigdy nie zginie, mając takiej klasy lepszą połowę narodu. Doktor Tania, moja pierwsza towarzyszką w tej małej roli, jaką miałem spełnić w ruchu oporu, ma stałe miejsce w tej grupie wspólnych kobiet.

Odbiornik był gotowy. Wyobrażałem sobie mały, łatwy do ukrycia aparat odbiorczy i byłem zaszokowany, kiedy okazało się, że jest to staromodne radio wielkości skrzyni na jabłka. Co gorzej, tylnej pokrywy nie było, a lampy i inne wnętrzości wołały o zdemaskowanie. Myśl przewiezienia dużego urządzenia o potencjalnie wybuchowych właściwościach mostem przez Wisłę w przepełnionym tramwaju napawała mnie strachem. Tania obserwowała mnie pilnie, ale brak mi było odwagi, by okazać jakiegokolwiek złe przeczucia. Urządzenie należało jakoś owinać, jako że trudno sobie wyobrazić chodzenie i jeżdżenie tramwajem po mieście rojącym się od podejrzliwych Szwabów z czymś o jednoznacznie nielegalnym charakterze. Dźwigając tę marnie opakowaną szafę, pożegnałem

się z Tanią i poniosłem ten piekielny ciężar wzdłuż Marszałkowskiej w kierunku przystanku na Saską Kępe. Mijanie niemieckich policjantów było szczególnie niemiłe, jak również spojrzenia ludzi czekających na tramwaj, jakie przyciągała ta skrzynia owinięta w prześcieradło. Do diabła z całym tym „Echem”. Zgłosiłem się do nasłuchu wiadomości zagranicznych, a nie do pałętania się z olbrzymimi radiami po całej Warszawie. Wreszcie pojawił się właściwy tramwaj z dwoma wagonami. Wagon pierwszy, Nur für Deutsche, jak zwykle, miał dużo miejsca i wolne siedzenia. Wagon drugi, w którym wolno było jeździć Polakom, kotłował się ludzką masą. By nie być więcej wystawionym na widok publiczny, wtarabaniłem się do środka drugiego wagonu i stałem w tłoku. Obrzucono mnie niezrozumiałymi uwagami, ale wszystko było lepsze niż to tkwienie na przystanku z bombą zegarową nadmiernej wielkości przy sobie. Tramwaj ruszył. Na moście moje samopoczucie się poprawiło. Jak dotąd, wszystko jakoś leci, myślałem sobie, gdy nagle ktoś szarpnął mnie mocno za płaszcz. Spojrzałem w dół i zobaczyłem starszego pana z bokobrodami nerwowo gestykującego, widocznie zezłoszczonego na tę pakę. Okazało się, iż wojowanie o miejsce w wagonie spowodowało, że z jednego boku skrzyni zsunęło się prześcieradło. Widoczne teraz lampy i inne wnętrza radia przyciągały uwagę zaniepokojonych pasażerów. Przestraszył, jaki pojawił się zapewne na mojej twarzy, wywołał typową dla Polaków reakcję pomocy, nieważne, że mogła to być niemiecka prowokacja. Pewien pan stojący obok z uśmiechem wyciągnął ręce i pomógł zakamuflować narzędzie mojego nowego zawodu. Zbliżając się do przystanku na Saskiej Kępie, musiałem szykować się do wysiadania. W przeciwieństwie do trudności z wsiadaniem, sytuacja była teraz zupełnie odwrotna. Każdy robił mi drogę, bym wysiadł z streng verboten aparatem. Trudno było dziękować w tej sytuacji i wymienialiśmy tylko wesołe, porozumiewawcze mrugnięcia. Co za ludzie! Gdybym nie urodził się Brytyjczykiem, urodzenie się Polakiem byłoby najlepszym, co mogłoby mi się przytrafić.

Janka opisuje w swoim artykule te sprawy znów z pewnymi niewinnymi odchyleniami od surowej dokładności: „Ronnie przyszedł do domu, dźwigając dużą paczkę. Stawiając ją na stole, wykrzyknął z satysfakcją: «To łachudra!». To olbrzymie staroświeckie radio przeniesione zostało do osobnego pokoju i w wolnych chwilach wszyscy słuchaliśmy w podnieceniu BBC. Od tego czasu spisywano wiadomości londyńskie i Ronnie codziennie wychodził z domu, by wrócić wieczorem, czasem jeszcze z rękoma wysmarowanymi atramentem. Przynosił nam biuletyny londyńskie drukowane w polskim pisemku podziemnym, zadowolony, że może brać udział w robocie konspiracyjnej przeciwko Niemcom. Ronnie nie tylko przygotowywał tekst po angielsku ze wszystkich wiadomości zagranicznych, wiozł je także do centrum Warszawy do transkrypcji na polski dla podziemnych, bardzo nielegalnych biuletynów. Zaczął się także interesować rozprowadzaniem jednego z tych podziemnych pisemek i gorący entuzjazm, jaki wykazywał, by działać w każdy możliwy sposób przeciwko Niemcom, nie uszedł uwagi naszych przywódców Podziemia, co miało doprowadzić do większych rzeczy. W dodatku Ronnie mówił doskonale po niemiecku bez najmniejszego akcentu”. Koniec cytatu.

Janka kontynuuje swoje wspomnienia, wiedząc, w jaki sposób Tommie i ja podjęliśmy służbę dla polskiej armii podziemnej, w której działały rzesze Polek i Polaków, ginąc przed osiągnięciem celu.

Stenia i Janka dbały bardzo o nas jak dwie kwoki, każda z jednym kurczakiem, i mimo ciągłej świadomości, że możemy zginąć, cała czwórka miała dobry humor i uśmiech powrócił do naszego życia. Śpiewaliśmy często nasze pieśni narodowe, ale niezbyt głośno. Dziewczęta miały wielu przyjaciół, wszystkich dyskretnych i godnych zaufania, którym z dumą przedstawiały swoją nową rodzinę. Ja chodziłem do Tani prawie co dzień, bardzo często zdarzało mi się napatoczyć na niemieckie patrole policyjne na ulicach i w tramwajach w moich podróżyach w tę i z powrotem pomiędzy centrum i Saską Kępą. Znajomość ich języka ułatwiała przebrnięcie przez te kontrole, chociaż pliki tajnych czasopism schowanych w moich ulubionych niewymownych nadawały

specjalnego charakteru tym przygodom. Podczas codziennych wizyt u Tani spędzałem z nią często godzinę czy dwie, bywały spotkania towarzyskie i gdyby nie niemieckie mundury na każdym miejscu, nic by mnie nie obchodził cały świat.

Niemcy utrzymywali nad wszystkim ścisłą kontrolę. Pukanie do drzwi nocą mogło oznaczać gestapo, tortury i śmierć tych, których zamknięto.

Stale siedząc w Warszawie, po kilku miesiącach wolności Tommie i ja staliśmy się częścią Polski i jej narodu, który wykazał tyle miłości i lojalności, biorąc na siebie ryzyko zajmowania się nami. Z małym prawdopodobieństwem rychłego powrotu do Anglii wyglądało na to, że znów bierzemy udział w wojnie przeciw Hitlerowi i jego Bandę, choć nie w taki sposób, jak to sobie wyobrażaliśmy. Pod wpływem polskiej odwagi i ducha, choć nie zawsze pozwalaliśmy sobie na ten rodzaj samobójczej odwagi, jaką mają Polacy w każdej części swego ciała, perspektywa walki wraz z nimi aż do momentu pojawienia się możliwości powrotu do Anglii była coraz miłsza. Odwaga, jak i tchórzostwo, to sprawy bardzo zaraźliwe.

Ten syn nieożenionych niemieckich rodziców, który prawie rozwaliał mi plecy kolbą karabinu w Trewirze, wszyscy jego kumple i przydupnicy, zastąpią teraz bażanty, kuropatwy, kaczkę i inną zwierzynę, na którą polowałem w młodości. Dwaj wściekli Brytyjczycy stawali się z dnia na dzień bardziej polscy. Nie dać się złapać stało się teraz sprawą pierwszej wagi, ponieważ awans ze stosunkowo bezpiecznej pozycji uciekiniera z obozu jenieckiego na czynnego bojownika ruchu oporu oznaczał najgorszy los, jaki może człowieka spotkać w przypadku wyspy. Żywo pamiętałem tego podoficera plującego wściekłością kiedy udzielał mi nagany po nieudanej ucieczce i powrocie do Szubina. Zdawałem sobie sprawę, że paranie się podziemnym dziennikarstwem nie oznacza wygrania wojny w pojedynkę, niemniej nie należało się spodziewać cienia litości w przypadku złapania z paczką tajnych pisemek. Niewątpliwie naziści staliby się bardzo niemili. Wielu uczestników ruchu oporu nosiło przy sobie fiołki z silną trucizną by ją zażyć w przypadku aresztowania nie tyle dla oszczędzenia sobie cierpień, ile by nie zdradzić przyjaciół i tajników ruchu oporu w wyniku tortur. W tym czasie zdecydowałem, że jeśli sprawy wymkną się z rąk, samobójstwa nie popełnię. Być może miałbym inne zdanie na ten temat choćby po połowie tego, co nastąpiło potem. Nikt nie może być pewnym swojej tolerancji na fachowo zadany ból i znajomość praktyk gestapo w tej materii pozostawiła niezbyt wiele wiary co do mojej postawy, gdyby taka okoliczność zaistniała. Zasada prawdopodobieństwa kazała wystrzyc bardziej niż kiedykolwiek intuicję bliskiego niebezpieczeństwa i wczesnego ostrzegania nie tylko po to, by walczyć w Polsce, ale by przeżyć w Polsce.

Mały synuś pani Jeffery stawał się uparciuszkim, jeśli chodzi o zachowanie w całości skóry pokrywającej coś, co mu było niezastąpione i bardzo lubiane - mianowicie swoje ciało.

Zarówno Tommie, jak i ja skupiliśmy się na nauce polskiego i mieliśmy wyniki dobre do tego stopnia, że polski zastąpił francuski w porozumiewaniu się ze Stenią i Janką. Brałem lekcję polskiego w czasie każdej wizyty u Tani i w takich warunkach, otoczeni Polakami, mówiąc tylko po polsku i żyjąc w polskim mieście, obaj wkrótce paplaliśmy jak sroki. Znając inne języki, dawaliśmy sobie radę z gramatyką a mój kolega ze swoją szkocką przeszłością łatwiej przyswajał słowiańską wymowę. Jego zniekształcony język, niezbędny do tego, by mówić i porozumiewać się w jego rodzinnym Glasgow, dawał mu tu wyraźne fory. Mieliśmy zawsze dobry humor. Byliśmy młodzi i jak na pół wyrosłe liski nie mogliśmy sobie odmówić swawoli, zachowując jednak bez przerwy czujność.

Stenia i Janka pracowały w małej prywatnej wypożyczalni książek mieszczącej się nad ich mieszkaniem. Pani w średnim wieku, mieszkająca przy tej wypożyczalni, była naszym stałym

gościem. Nasza znajomość polskiego poprawiała się szybko i rozumiejąc wiele prowadzonych rozmów, wiedzieliśmy, że ta mała biblioteka służyła także innym celom, nie tylko wypożyczaniu książek. Był to podziemny punkt komunikacyjny i nikt nie pytał, ile osób spośród klientów przychodziło tylko po to, by wypożyczać książki. Znaczny dzienny ruch na schodach, głównie wizyty kobiet, wskazywał, jak wiele informacji przekazywano tą drogą albo jako poste restante, albo do dalszego rozprowadzenia. Mieszkanie, w którym mieszkali dwaj Brytyjczycy włączający się do walki i ich gospodynie pracujące w komórce ruchu oporu piętro wyżej, stało się niebezpieczne, myśl jednak o jakiejś zasadniczej zmianie hamowały komfort i przyjemności, jakie mieliśmy zapewnione w tym lokum. Tommie nie dzielił ze mną obiekcji, tkwiliśmy więc tam, choć czułem wewnętrzny niepokój. Pozostawanie w tym mieszkaniu odsuwało też perspektywę przenoszenia radia, na samą myśl o tym włosy stawały mi na głowie.

Oprócz nasłuchu wiadomości lubiliśmy w BBC programy Muzyka dla sił zbrojnych, słuchaliśmy Elli Fitzgerald i Binga Crosby'ego, nie mówiąc o spokojnych potańcówkach za ściśle zasłoniętymi kurtynami. Po zapadnięciu zmroku szczelne zasłanianie okien było konieczne, przepisy zresztą nakazywały, by w polskich mieszkaniach nie zabłysło światło. Nakaz egzekwowano bardzo prosto - niemiecka policja strzelała po prostu w niedostatecznie zaciemnione okna, niezawodny sposób na zepsucie spokojnego wieczoru przeznaczanego na czytanie podziemnej prasy.

Mijały tygodnie i czuło się zapowiedź wiosny, dni stawały się nieco dłuższe, a lód i pokrywa śnieżna sugerowały swoim wyglądem, że może kiedyś znikną. Odwiedzałem regularnie mieszkanie Tani przy Wilczej, przynosząc angielskie rękopisy, czasami odwiedzaliśmy też Enę i Ojczulka w ich mieszkaniu za warsztatem. Przecucie niebezpieczeństwa towarzyszyło nam zawsze, kiedy tam szliśmy, ale teraz nasz polski był dostateczny, by przedtem pytać któregoś z zatrudnionych, czy wszystko jest w porządku.

Pamiętajmy, Tania była starą przyjaciółką i uczennicą Eny, zawdzięczała tej szkockiej lady płynność w angielskim. W czasie którejś z wizyt Ena pogratulowała polskiej doktor znacznej poprawy w angielskim i z uśmiechem dodała, żeby za bardzo nie zadawać się z tym młodym Lochinwarem (Lochinvar - tytułowy bohater wiersza sir Waltera Scotta). Roześmieliśmy się wszyscy z wyjątkiem Tani, która spłonęła rumieńcem, co oznaczało pewnie, że poruszono delikatny temat. Niemniej Tania i ja pracowaliśmy dalej w wesołym nastroju, i jej angielski, i mój polski wiele na tym zyskiwał. Udało się nam nawet wydać parę numerów specjalnych pisma, wtedy pędziłem po całej Warszawie, doręczając bibułę odważnym członkom sieci dystrybucyjnej „Echa”.

Odwiedzał nas regularnie w mieszkaniu na Saskiej Kępie, często po godzinie policyjnej, pewien inżynier w średnim wieku, który mieszkał w pobliżu na tej samej ulicy. Towarzyszył mu zawsze Szkot, terier szkocki, który, dziwne, jakoś nie lubił się z Tommiem. Inżynier mówił doskonale po niemiecku i angielsku, jako że mieszkał i studiował przed wojną za granicą mówił także piękną nienaganną polszczyzną. Słuchaliśmy uważnie, jak mówił i co mówił. Było jasne, że inżynier pełni jakąś funkcję w ruchu oporu, ale można było o tym wnioskować tylko z przypadkowych półsłówek. Obowiązywała zasada na wszystkich spotkaniach z udziałem ludzi z Podziemia, że niezależnie od tego, jaka była ich rola w ruchu, rozmowy dotyczyły tylko spraw ogólnych, nigdy nie poruszano szczegółów działania. Jakieś nieostrożne słówko wywoływało natychmiast karcące spojrzenia uczestników, które przyprowadzały gadułę do porządku. Zaprzyjaźniłem się blisko z tym utalentowanym i patriotycznym inżynierem i dzięki jego dojrzałości i doświadczeniu nauczyłem się od niego wielu rzeczy, które normalnym biegiem weszłyby znacznie później do mojego niedojrzałego zakutego łba. Później włączono go do polskiego wywiadu działającego na terenie Niemiec i Czechosłowacji i dał się poznać jako bardzo wartościowy pracownik. Ale to tylko tak na boku.

Inżynier mówił wiele o zachowaniu się Niemców od 1939 roku i o barbarzyństwie, które zjednoczyło polskie społeczeństwo w walce z najeźdźcą w jeszcze większym stopniu, niż by to było w wyniku okupacji. W nowo okupowanej Rosji okrucieństwa niemieckie po zajęciu znacznych połaci kraju, zwłaszcza w stosunku do ludności cywilnej, także jednoczyły prześladowaną ludność pod hasłami patriotyzmu. Gdyby nowy zdobywca prowadził bardziej umiarkowaną politykę i wykazywał zrozumienie, być może na nazistów patrzono by jak na wyzwolicieli od komunistycznych ciemniźniczy z Moskwy.

Polityka, niezależnie od motywów, dobrych czy złych, potrzebuje sił wojskowych do uzasadnienia swojego istnienia, do przeprowadzania i chronienia machinacji polityków. Po zaspokojeniu ambicji cywilnych przywódców siły zbrojne przekształcane są często w policję, by narzucić administrację na terenach uzyskanych w wyniku walki. Gdyby naziści nie okazali się tak nieudolni politycznie w traktowaniu sowieckiej ludności, być może byłby osiągnięty pewien stopień współpracy między zwycięzcami a zwyciężonymi, co miałoby olbrzymi wpływ na przebieg i wynik wojny. Wiele o tym, co działo na polskich terenach zachodnich, szczególnie w tak zwanym Korytarzu, słyszeliśmy z pierwszej ręki jeszcze w Litzmannstadt. Opowiadania inżyniera o nieludzkim traktowaniu Polaków potwierdzały tylko okropności, o których mówił Floriański i jego przyjaciele. Znowu słyszeliśmy o masowych deportacjach około miliona Polaków na Syberię ze wschodnich terenów Polski, która wpadła po okupację sowiecką w 1939 roku i była traktowana tak samo nieludzko. Tak więc naród polski cierpiał w podobny sposób od dwóch „izmów” - nazizmu i komunizmu.

Naziści stworzyli Generalną Gubernię jako folwark i obóz koncentracyjny dla Polaków, by czasowo zmobilizować niemiecką produkcję wojenną a potem albo ich zlikwidować, albo kompletnie zniewolić pod panowaniem rasy panów. Zapędzono także do Generalnej Guberni Żydów z całej Polski i okupowanych krajów Europy i duża ich liczba znalazła się w przerażających warunkach w warszawskim getcie, teraz otoczonym wysokim murem i pilnie strzeżonym. Niektóre sprawy związane z gettem omówione będą dalej, ale samo słuchanie tego, co mówił inżynier o warunkach panujących po drugiej stronie Wisły, przyprawiało o mdłości. Na terenie getta funkcjonowało jeszcze kilka przedsiębiorstw przemysłowych i inżynier, jako fachowiec, miał specjalną przepustkę służbową upoważniającą go do wstępu. Zwykłym Polakom wstęp był surowo wzbroniony. Jego opowiadania o tym, co widział na własne oczy, o kuśtykających żywych szkieletach, Żydach różnego wieku i obu płci, o codziennym zbieraniu trupów zalegających rynsztoki na ręczne wózki, obrazowały niewyobrażalny koszmar teutońskiego sadyzmu. Ze sprawami tymi należałoby przymusowo zapoznać wszystkich Niemców, każdego mężczyznę, kobietę i dziecko. Większość i tak nie dałaby pewnie wiary, że takie okropności mogły mieć miejsce. Później sam uczestniczyłem w pewnych wydarzeniach, które w pełni potwierdzały opisy polskiego inżyniera nazistowskiego bestialstwa dokonywanego na Żydach.

Po upadku Warszawy w 1939 roku i podziale terytorium kraju pomiędzy Niemcy i Rosję w obu częściach miały miejsce niekończące się działania przestępcze i łamanie praw człowieka. W Generalnej Guberni nowym gubernatorem został dr Hans Frank, znany nazistowski prawnik. Jego pierwsza proklamacja miała na celu pokazanie Polakom, gdzie jest ich miejsce w odniesieniu do Reichu. Słowa takie jak Polak, Polska czy polski nie padły w tej proklamacji ani razu. Zamiast tego mówiono o „mieszkańcach tego kraju”, którzy mieli być podporządkowani interesom Herrenvolk (narodu panów), i ogłoszono nową zasadę prawną: „Każde działanie będące w jakiś sposób korzystne dla Reichu jest sprawiedliwe, a każde działanie przeciwne naszym interesom jest bezprawne”.

Uniwersytety i szkoły średnie zamknięto i pozwolono na funkcjonowanie tylko szkół podstawowych i zawodowych. Większe fabryki, przedsiębiorstwa i majątki ziemskie skonfiskowano bez rekompensaty

i oddano pod niemiecką kontrolę. Byli polscy właściciele stali się marnie płatnymi najemcami jako zarządcy i zmuszono ich pod groźbą najwyższej kary do eksploatacji własnej siły roboczej dla spełniania niemieckich żądań produkcyjnych. Zniszczono wolną prasę i skonfiskowano odbiorniki radiowe. Racje żywnościowe dla Polaków były niższe niż brytyjskich jeńców wojennych. Czarny rynek, absolutnie niezbędny do przeżycia, był okresami złośliwie prześladowany.

Rozpoczęto obowiązkową rekrutację polskich cywilów na roboty przymusowe w Reichu, która potem przekształciła się w masowe łapanki uliczne - zgarniano wszystkich przechodniów i wywożono w niewolę, nie zwracając najmniejszej uwagi na ich osobistą i domową sytuację. Dziesięć tysięcy nieszczęśników złapano tylko jednego dnia w Warszawie, 17 stycznia 1943 roku. Na dodatek każdy Polak mógł być w każdej chwili zatrzymany przez silne uzbrojone patrole i najlżejsze podejrzenie powodowało podróż w nieznane, z której niewielu wracało. Wprowadzono zasadę zbiorowej odpowiedzialności. Za każde wrogie działanie przeciwko Niemcom, czasem wręcz za drobniaczek, określoną liczbę Polaków z okolicy, gdzie rzekome przestępstwo miało miejsce, publicznie wieszano lub rozstrzeliwano. Intelktualiści, byli oficerowie, osobistości ze sfer administracyjnych i politycznych, którzy wpadli w niemieckie sieci, ginęli na przesłuchaniach gestapo lub marnieli w obozach koncentracyjnych, dopóki ich Matka Natura nie zwolniła od cierpień. To tyle jako tło warunków, w jakich powstała polska armia podziemna.

Dokładne opisanie powstania wielkiej konspiracji wychodzi poza moją znajomość rzeczy, ale jej rozwój w najbardziej niesprzyjających warunkach postaram się zilustrować swoimi osobistymi reminiscencjami. Jednym z głównych zadań ruchu oporu było ćwiczenie i uzbrajanie na terenie całego kraju sił zbrojnych w przygotowaniu do ostatecznej fazy wojny, fizycznego wypędzenia Niemców. Główne zadania to sabotaż wrogich linii komunikacyjnych, lotnisk, magazynów, przemysłu zbrojeniowego nawet głęboko na terenie Reichu, na co zwracano coraz więcej uwagi wobec ułatwień spowodowanych obecnością polskiej niewolniczej siły roboczej. Wielka czechosłowacka fabryka amunicji, Skoda, stała się priorytetowym celem dywersji. W 1943 roku, mimo innych akcji dywersyjnych, w jakich brałem udział podczas tej wizyty, czułem satysfakcję, patrząc na Pragę. Zemsta za terror niemiecki w Polsce poprzez likwidowanie wysokich oficjeli niemieckich i innych przestępców sądzonych i skazywanych przez tajne sądy była zadaniem, jakiego podjęły się grupy likwidacyjne Podziemia. Rozprowadzano także na wszelkie sposoby propagandę defetystyczną w niemieckiej armii zarówno w Polsce, jak i w Reichu. Dobrze zorganizowana sieć szpiegowska pokrywająca całą Europę została założona na pokrycie potrzeb wywiadu sprzymierzonych i kierowana z Warszawy.

Żyjąc w otoczeniu, w którym prowadzono bogatą działalność konspiracyjną nigdy nie przedstawaliśmy odczuwać pewnego napięcia z tym związanego, doskonale zresztą neutralizowanego przez rodzinną atmosferę, jaka się wytworzyła. Życie Steni, Janki, Tommiego i moje polegało na ciągłej aktywności zarówno w pracy, jak i w zabawie. Inżynier i pani z tak zwanej biblioteki na górze przychodzili prawie co wieczór i rzadko się zdarzało, by inni nie wpadali, czasem nawet po godzinie policyjnej, na pogaduszki. Jako że w Podziemiu mieliśmy pięciodniowy tydzień pracy, weekendy były okazją do odwiedzania, wraz z obiema dziewczynami, wielu ich znajomych, bardzo zainteresowanych spotkaniem przedstawicieli Zjednoczonego Królestwa, w którym Polacy pokładali tyle nadziei.

Trzeba było się nieco przyzwyczaić do polskiego zwyczaju całowania rącek i obaj bardzo chcieliśmy sprostać zadaniu.

Kiedy przedstawiany jesteś polskiej damie, szczególnie jeśli jest to pani dumna ze swojej pozycji, wyciągnie ona do ciebie rękę, jakby niedbale, z dłonią zwisającą lekko do dołu. Wtedy rękę tę należy

podjąć delikatnie i podnieść bez pośpiechu, ale ani odrobinę ponad jej wyciągnięty łokieć. Następnie trzeba powoli, z szacunkiem zniżyć głowę do ciągle delikatnie podtrzymywanej ręki, i mrucząc niewyraźnie cokolwiek, należy miękko pocałować rozkoszną ma się rozumieć, powierzchnię dłoni z oznakami uniżenia, szacunku i adoracji. Nie oczekuje się wtedy mocnego pocałunku z mlaskaniem. Nie należy też podnosić ręki damy za wysoko, zważając, żeby mogła ona widzieć dokładnie tył karku mężczyzny w momencie dotykania wargami jej dłoni.

Biorąc to wszystko pod uwagę, z humorem ćwiczyliśmy z Tommiem tę czynność i wkrótce byliśmy, jakby urodzeni z tym obyczajem, najlepszymi całowaczami rączek.

Ena załatwiła z władzami Podziemia wypłaty dla nas w wysokości dwudziestu złotych dziennie na jednego uciekiniera po podaniu naszych nazwisk, stopni i numerów wojskowych. Odbieraliśmy naszą płacę u staruszków w ich domu.

W tym czasie spotkałem w mieszkaniu pięciu czy sześciu uciekinierów, między innymi Petera Wintona, ciekawą postać, porucznika Regimentu Szkockiego. Peter pozostawił w tyle wszystkich w postępach nauki języka polskiego i to wspólne zainteresowanie wzbudziło żywą przyjaźń. Peter często nas odwiedzał w naszym mieszkaniu na Saskiej Kępie. Zdawaliśmy sobie sprawę z lekceważenia środków ostrożności, a jedynym wytłumaczeniem tej nieodpowiedzialności było to, że pierwsze miesiące 1942 roku były w Warszawie wyjątkowo spokojne. Z tego samozadowolenia wyrwał nas wkrótce wstrząs, dostatecznie mocny, by się źle skończyć, na szczęście obeszło się bez tragedii. Podczas jednego z moich skoków przez Wisłę do Tani z angielskimi biuletynami ledwie zdążyłem wypukać ustalony kod, kiedy drzwi się otworzyły, zobaczyłem Tanie z wyrazem przerażenia na twarzy. „Ronnie, uciekaj, natychmiast uciekaj! Jesteśmy wszyscy w wielkim niebezpieczeństwie”.

Poprzedniego dnia gestapo zorganizowało obławę na mieszkanie Eny i Ojczulka na zapleczu warsztatów. Serce wróciło mi na swoje miejsce, dopiero kiedy dowiedziałem się, że ich ostrzeżono i zdołali uciec jak stali, na parę minut przed tym, zanim Szwaby wdarły się do fabryczki i włamali do ich mieszkania po obstawieniu całej okolicy. Dzięki Bogu nie wzięto Eny i Ojczulka, ale zdarzenie podziało na nas otrzeźwiająco, jeśli idzie o zachowanie środków bezpieczeństwa. Jakie materiały, szczegóły i dowody znaleźli, które w przyszłości mogą doprowadzić do nocnych wizyt i aresztowań? Wiadomość potwierdziła dawne obawy i jeśli nikt nie doznał szkody, być może wszystko skończy się dobrze, a my otrzymaliśmy lekcję taktyki bez opłacenia kary. Kiedy Tania zdradziła tę złą wiadomość, uspokoiła się nieco, rozumiejąc, że skoro nie poczyniono żadnych aresztowań, gestapo straci trop. Zwracając się do niej per „droga idiotko” i kładąc nacisk na możliwość innych przecieków, skłoniłem ją do usunięcia wszelkich śladów pracy nad tajnym pismem i pozostania w ukryciu przez kilka tygodni. Po spełnieniu tej obietnicy i poleceniu pamięci numeru bezpiecznego kontaktu telefonicznego szybko wróciłem do Tommiego i dziewczyn. Po chwili w mieszkaniu na Saskiej Kępie wrzało jak w ulu. Stenia wyprowadziła Tommiego z jego dużym teraz bagażem, podczas gdy Janka pomogła mi przenieść się do inżyniera, który zaofiarował schronienie u siebie bardzo blisko mieszkania dziewczyn, gdzie można było oczekiwać wizyty gestapo jeszcze tej nocy. W ciągu godziny Tommie i ja zniknęliśmy bez śladu, a dziewczyny poszły na górę do biblioteki, by wraz z właścicielką przygotować wszystko do inspekcji.

Martwiąc się o Stenię i Jankę, które w efekcie pozostały na pozycji fortu bez możliwości obrony, trzeba było dopiero dobrego obiadu i kilku wódek, które inżynier łaskawie przygotował, by zmaląły nieco moje obawy co do ponurej przyszłości Tommiego, mojej własnej i wszystkich naszych polskich przyjaciół, jeśli nie przestaniemy kręcić się beztrako jak nieostrożne szczeniaki spuszczone ze smyczy.

Inżynier był bardzo opanowany, podobnie jak Szkot, jego terier, który przez cały czas spokojnie wylegiwał się na fotelu. Zaproponował rozwiązanie moich problemów mieszkaniowych. Przewidując taką potrzebę, w jakiej teraz się znaleźliśmy, załatwił dla mnie mieszkanie z rodziną swojego partnera z przedsiębiorstwa na nowoczesnym, odległym przedmieściu Warszawy - Żoliborzu, po drugiej stronie Wisły. Po nocy, w czasie której miałem bez przerwy uszy na sztorc, nasłuchując, czy coś się nie dzieje u Steni i Janki, mszyliśmy rankiem dorożką na nowe mieszkanie. Kosztowna podróż dorożką przez całe miasto warta była oszczędności całego życia, żeby uniknąć podróży tramwajem z tym olbrzymim radiem, które zostawiliśmy po drodze pod wskazanym przez inżyniera adresem w umówionym miejscu kontaktowym. Zostawiając radio, czułem, jakbym się zegnał z przyjacielem.

Gustaw Lorenz, u którego inżynier załatwił mi mieszkanie, był miłym, uprzejmym Polakiem, dyrektorem zarekwirowanej fabryki specjalizującej się w produkcji technicznego sprzętu medycznego. Zostawiono mu wolną rękę, pod warunkiem, że będzie wywiązywał się z zadań produkcyjnych narzuconych przez Niemców, i w ten sposób jak dotąd unikał wściekłości i mściwości okupantów, jaka spadła na większość Polaków. Pani Lorenz, miła pani, była matką dwóch chłopaków, Janka, mniej więcej w moim wieku, i Mario, mającego lat kilkanaście. Urodzona w Szwajcarii zachowała swoją narodowość i emblemat jej neutralnego kraju, umieszczony na drzwiach frontowych dużej, nowoczesnej willi, stanowił pewną ochronę.

Żoliborz był piękną dzielnicą położoną blisko Wisły, po drugiej stronie niż Saska Kępa*. Państwo Lorenz przyjęli mnie z całą sympatią i uprzejmością. Mój pokój na piętrze spełniał wszystkie warunki komfortu, jak długo nie było w nim niepożądanych gości. Inżynier pozostał na noc i zapowiedział, że będzie mnie informował o Steni, Jance o Tommiem poprzez fabrykę. Język nie stanowił problemu, jako że Gustaw Lorenz senior, mówił dobrym angielskim, niemiecki był Muttersprache pani Lorenz ze Szwajcarii, tak więc konwersacji nie ograniczały żadne trudności w porozumiewaniu.

PRZYPISY AUTORA:

* Niewykluczone, że autor myli Żoliborz z Mokotowem, który leży po drugiej stronie Wisły naprzeciwko Saskiej Kępy, o czym świadczyć może również podanie ulicy Wiktorskiej, jako adresu państwa Lorenzów - patrz s. 96 (przyp. red.).

Ryzykując nudne powtarzanie się, muszę jeszcze raz oddać cześć polskiej odwadze. Traktowany byłem przez tę dobrze sytuowaną rodzinę jak honorowy gość. Lorenzowie brali na siebie ryzyko, wiedząc, że mają wszystko do stracenia, że narażają całą rodzinę na nieszczęście, jeżeli cokolwiek, co było poza ich kontrolą potoczy się źle. U ludzi tak inteligentnych, jak moi gospodarze, przechowywanie brytyjskiego uciekiniera musiało wywoływać wewnętrzne sygnały alarmowe, na które widocznie jednak nie zwracali uwagi. W każdej społeczności istnieją ludzie odważni i gotowi na śmierć z tej czy innej przyczyny, ale tu wszyscy Polacy, niezależnie od płci i wieku, byli przesyceni odwagą do granic samobójstwa tam, gdzie była możliwość jakiegokolwiek działania antyniemieckiego.

W Warszawie, szczególnie w starszych dzielnicach miasta, czuło się, jakby niecierpliwy naród czekał tylko okazji, żeby powyrywać Szwabom noga po nodze, atmosferę tak naładowaną że nawet w tej sytuacji i przy jednostronnej przewadze człowiek czuł się lepiej, będąc po stronie Polaków.

Lorenzowie mieli liczną rodzinę i wielu krewnych mieszkało w pobliżu. Przez parę tygodni przycichłem w swojej robocie, często spacerowałem dla orientacji, spotykałem wiele osób odwiedzających dom Lorenzów i skorzystałem z wielu serdecznych zaproszeń do składania wizyt w innych domach.

Tania informowała, że Ena i Ojczulek ukrywają się na wsi na wschód od Warszawy, bezpieczni, ale desperacko potrzebujący pieniędzy, jedła i ubrania. Drobną doktor zaprzestała czasowo wydawania gazety i zajęła się kontaktami z liczną grupą byłych uczniów Eny oferujących pomoc tak pilnie potrzebną. Hojne dary pieniężne i ubrania składano w mieszkaniu jej siostry, gdzie Tania też się ukrywała. Tania zaproponowała, byśmy wybrali się pociągiem do Klembowa, małej osady jakieś trzydzieści kilometrów na wschód od Warszawy. Wedle jej informacji dwoje staruszków mieszkało jakieś dwie mile na południe od stacji kolejowej. Chociaż przewożenie pociągiem zaopatrzenia dla uciekinierów przed gestapo przez innego uciekiniera wyposażonego jedynie w fałszywe papiery nie było najlepszym spędzaniem wolnego czasu, przyjąłem tę propozycję. Udzielanie pomocy ludziom takim jak ja wciągnęło tych weteranów i patriotów w niebezpieczeństwo i moje harcerskie poczucie obowiązku oraz chęć spłacenia długu wdzięczności nie kazały mi się długo zastanawiać nad podjęciem decyzji co do tej misji.

W czasie mojego pobytu na Żoliborzu zapoznałem się z wieloma ludźmi i sytuacjami, które w przyszłości miały mi pomóc przed powtórным złapaniem przez Niemców. Moje kontakty towarzyskie i konspiracyjne rozrosły się bardzo i prawie wymykały spod kontroli. Oprócz wielu krewnych i przyjaciół rodziny Lorenzów, których stale tu spotykałem, był także starszy kuzyn Gustawa, emerytowany okulista, którym opiekowała się córka Janina,

dawno rozwiedziona z mężem, co do którego pochodzenia nikt nie miał wątpliwości. Istniały oczywiście wyjątki od ogólnej normy, że wszyscy Polacy są doskonali. Janina była nieco młodsza ode mnie. Od pierwszego spotkania poculiśmy do siebie wzajemną sympatię i wiele ze sobą przebywaliśmy. Zrobiło się cieplej, było słonecznie, krzewy i drzewa wybuchły zielenią. Graliśmy w tenisa, robiliśmy długie przechadzki brzegami pobliskiej Wisły, często braliśmy orzeźwiającą kąpiel w chłodnej, szybko płynącej rzece. Jadałem często w jej domu, małej, odosobnionej willi w pobliżu Lorenzów. Obiady, które kończyły się zwykle sam-na-sam, kiedy apatyczny nieco tata odchodził od stołu, były samą rozkoszą. Oboje zapominaliśmy o wojnie, panował szampański humor przy stole zastawionym doskonałym jadłem i napojami.

Janina pracowała w fabryce Lorenzów w Warszawie dla ochrony przed niemieckimi prześladowaniami. Posiadanie oficjalnie wydanej karty pracy opisującej jej zatrudnienie jako Im Dienst der Wehrmacht było znacznie ważniejsze niż dochody i luksus, którymi i tak dysponowali. Znała dobrze inżyniera z Saskiej Kępy i przekazywała mi codziennie z fabryki wiadomości od niego o moich przyjaciółach z drugiego końca miasta. Inżynier naopowiadał Janinie wiele o mnie, ubarwiając nieco szczegóły i robiąc wrażenie, że moje zaangażowanie w ruch podziemnym jest znacznie większe niż wtedy było. Nie będąc w ruchu oporu ze względu na opiekowanie się ojcem, Janina bardzo przejęła się moim bezpieczeństwem i rozmowa o mojej marnej ochronie, jaką dawało mi fałszywe zaświadczenie, zaowocowała pewnym pomysłem. Zarejestrowanie w fabryce Lorenza pod moim polskim nazwiskiem Kawała i z odpowiednią niemiecką kartą pracy poprawiałoby moją pozycję w stosunku do niemieckich patroli. Postanowiła więc wystawić taką kartę i wypisać odpowiednie formularze. Lojalnie zaznaczyła jednak, że sprawa musi uzyskać zgodę Gustawa. Gustaw zgodził się, wyjaśniając przy okazji, że jest zawałony robotą więc zawsze może przysiąc niewinność i oświadczyć, że użyto nazwy firmy bez jego wiedzy i zgody. Rad byłam, słysząc od Gustawa, że przyjaźń z młodym Brytyjczykiem dała Janinie *raison d'être*. Wydawał się zapominać, że gdyby jej powiązanie ze mną zostało odkryte przez Szwabów, mogłoby się stać „racją dla nieistnienia” tej atrakcyjnej i dzielnej kobiety. Janina miała maszynę do pisania w domu, miała też zapas papeterii firmowej. Przyszło mi na myśl, by udoskonalić jeszcze te dokumenty.

„Zaświadcza się, że Herr Józef Kawała, po zadowalającym ukończeniu roku służby otrzymał tygodniowy urlop. Uprasza się odpowiednie władze o udzielanie pomocy i ułatwień, gdy zajdzie potrzeba, by Herr Kawała mógł spędzić urlop w sposób zadowalający". Pismo takie, na firmowym papierze fabryki, mówiące też o pracy dla Wehrmachtu, zostało napisane bezbłędną niemczyzną i zaadresowane „do odpowiednich władz". Podpisałem je osobiście jako pełniący obowiązki dyrektora - fałszerstwo oczywiste, na wypadek, gdyby mnie złapano, nie można by winić nikogo z fabryki Lorenzów. Pismo takie, razem z moim paszportem i kartą pracy, wyjaśniałoby patrolom niemieckim mój pobyt gdziekolwiek na terenie Generalnej Guberni, praktycznie w dowolnym czasie, ponieważ Janina wypisała coś ze dwadzieścia takich listów z datami szereg miesięcy naprzód. Dobrze ubrany, dobrze odżywiony, z portfelem pełnym dokumentów ostemplowanych swastyką czułem się znacznie pewniejszy. Poprawa wyglądu zewnętrznego była wynikiem propozycji Janka, najstarszego syna Lorenza, który był takiej samej budowy jak ja i posiadał bardzo bogatą garderobę, do której używania mnie zaprosił. Przy okazji zaznaczam, że Janek doskonale się nosił i po okresie wyglądanego jak strach na wróble czułem się dobrze jak Beau Brummel uciekinierów, dysponując takim zasobem ubrań do wyboru.

W drodze do Tani moje dokumenty po raz pierwszy przeszły próbę ogniową. Czwórka policjantów niemieckich, po dwóch z każdego końca, weszła do tramwaju zatłoczonego polskimi pasażerami i zaczęła sprawdzać dokumenty. Na ostre Papiere, Niemcy nie używali w stosunku do Polaków bitte, podałem tylko kartę pracy i list zaświadczaający o moim urlopie. Dokumenty zrobiły dostateczne wrażenie, nawet nie pytano mnie o dowód osobisty. Dwoje młodych Polaków w moim wieku wyrzucono z tramwaju. Biedacy, może i mieli niemieckie dokumenty, ale zabrakło określenia „w służbie Wehrmachtu". Miało się za co być wdzięcznym Janinie. Daleka była jeszcze „droga do Tipperary", ale w Warszawie czułem się coraz bardziej jak w domu. Przywitaliśmy się serdecznie z Tanią w mieszkaniu jej siostry, gdzie mała doktor się ukrywała. Siostra, nieco bardziej przy kości niż Tania, mieszkała pod zmienionym nazwiskiem na drugim końcu Wilczej. Standard mieszkania wskazywał na przedwojenną zamożność właścicieli i moja elegancja, którą zawdzięczałem Jankowi Lorenzowi, bardzo tu była na miejscu. Jeden pokój mieszkania był zavalony prezentami dla Eny. Było tego znacznie więcej, niż mogłyby zabrać dwie osoby, co zmuszało nas do wybierania tylko rzeczy najistotniejszych.

Podczas gdy byliśmy zajęci sortowaniem darów, wpadł pewien młodzieniec. Był to znany polski pianista Roman Padlewski. Jego ruchy i wygląd, nieco przypominające Chopina, zrobiły na mnie wielkie wrażenie, zwłaszcza kiedy potem słuchałem muzyki w jego wykonaniu. Kto wie do jakich wyżyn umiłowania muzyki bym doszedł, gdyby kontakt z Genią Umińską i teraz z Padlewskim miał miejsce wcześniej. Zdałem sobie sprawę, że to właśnie dzięki wojnie moje gusta artystyczne podniosły się na wyżyny, których bym nigdy nie dostał bez wprowadzenia mnie w te sfery przez Polaków. Świat tracił wielkiego człowieka, kiedy Padlewski zginął, walcząc ze Szwabami w Powstaniu Warszawskim na pierwszej linii.

W następną sobotę udałem się pierwszym tramwajem na spotkanie z Tanią i jej siostrą. Rozpoczęła się operacja „Ena". Obładowani ledwie dobrnęliśmy do dorożki i pojechaliśmy przez uśpione jeszcze miasto na Dworzec Główny. Ostatni raz byłem tu w ową ciemną i ponurą noc z Tommiem i Witoldem zaraz po ucieczce. Wydawało się, że wieki minęły od tego czasu. Kupiliśmy dwa bilety powrotne do Klembowa i czekaliśmy na pociąg na peronie pełnym polskich chłopów i pewną liczbą umundurowanych Niemców. Z ulgą zauważyliśmy, że nasi polscy współpodróżni nie mieli nic, tylko puste worki lub poskładane pojemniki. Nic nie wywożono z Warszawy, a wszyscy byli przygotowani na przeschumowanie różnych produktów w drodze powrotnej. Ku naszemu zdziwieniu policja paradująca ciężko po peronie ignorowała nasz nadmierny bagaż. Nadejście pociągu spowodowało

nagły szturm na polskie przedziały, podczas gdy z przedziałów niemieckich Mur für Deutsche patrzano z rozbawieniem i wyższością na przepychający się motłoch bez śladu niemieckiej godności „narodu panów”. Mimo braku bagażu u większości pasażerów ścisk był okropny. Sardynki w puszcze to szczyt komfortu. Byłem unieruchomiony, stojąc zenująco blisko, twarzą w twarz, przy pewnej wiejskiej kobiecie. Uśmiechała się do mnie tolerancyjnie w tej niemiłej sytuacji i po raz pierwszy poczułem odpychający zapach czosnku. Nie miałem śmiałości, ze swoim niepewnym polskim, poprosić ją by zwróciła się w inną stronę.

Po jakiejś godzinie, zatrzymując się na kilku przystankach kolejowych, dotarliśmy do Klembowa i trzeba było wywalczyć sobie drogę do wyjścia. Tania miała ze sobą mapę i pełniła rolę przewodnika. Obładowani workami i walizkami obwiązany linkami, paskami i czym się dało, zgięci we dwoje pod ciężarem bagażu ruszyliśmy ze stacji piaszczystą drogą przez wysoki sosnowy las. Słońce prażyło, pot lał się z nas strumieniami. Wymienialiśmy zdawkowe pozdrowienia po polsku z przypadkowymi pieszymi. Nie było tu Niemców, ostatnią umundurowaną osobą był kolejarz na stacji w Klembowie.

Parliśmy dalej, odpoczywając często oparci o drzewo. Nie próbowaliśmy nawet siadać, bo jak Tania raz spróbowała odpocząć na siedząco, nie mogła się podnieść z tym bagażem. Kiedy Tania zaczęła sprawdzać drogę na mapie, nachmurzyła się. Wynikało z tego, że zabłądziliśmy, i po szczegółowszym sprawdzeniu okazało się, że maszerując taki kawał drogi, minęliśmy już dawno cel naszej wędrówki. Zaczęliśmy zbaczać w różne ścieżki, by wrócić na właściwą drogę. Było już dobrze po południu. Zanosilo się na to, że noc spędzimy w lesie. Z tą ilością jedła i ubrań moglibyśmy wyżyć tu całe tygodnie. Miękkie igły gwarantowały wygodne posłanie - zażartowałem.

Tania odwróciła się ode mnie, lekceważąc moje melancholijne spojrzenie. Honi soit qui...

Na godzinę przed zapadnięciem zmierzchu wyglądało na to, że nie pozostanie nam nic innego, jak tylko ułożyć się na noc. Zbyt byliśmy zmęczeni i sfrustrowani, gotowi poddać się losowi. Łzy jak wielkie diamenty popłynęły Tani z pięknych, ciemnych oczu po pokrytych kurzem policzkach. Bezskutecznie starałem się ją pocieszyć.

Poszukując tak miejsca na spoczynek, skręciliśmy w jeszcze węższą ścieżkę prowadzącą głębiej w las, gdzie zobaczyliśmy drewnianą chatę. Na werandzie siedziały dwie osoby. Poznałem je z trudem. Kiedy już ich minęliśmy, powiedziałem o tym Tani. Natychmiast odżyła, wesoła, kobieta, imponująca. Zawróciliśmy w stronę chaty z werandą.

Ena obróciła się i patrzyła na nas z ukosa. Zdjąłem kapelusz. Rozpoznała mnie i zawołała: „Mój Boże - Ronnie!”. Oboje zerwali się na nogi, by nas powitać. Ena rzuciła mi się w ramiona, a Ojczulek obejmował Tanie. W sercu okupowanej Polski prawie płakaliśmy z radości. Nasze przybycie było akurat na czasie i bardzo potrzebne. Prawie już bez żywności i bez pieniędzy Ena szykowała się do wyjazdu do Warszawy, żeby poszukać jakiejś pomocy. Zaopatrzenie, jakie ze sobą przywieźliśmy, uratowało starszą panią przed niebezpieczną wizytą w stolicy.

W spartańskim mieszkanku Ena i Ojczulek wyglądali jak dzieci, z szeroko otwartymi oczami podziwiające prezenty pod choinką. Tania wymieniła wszystkich, którzy przesłali im pieniądze, koce, żywność, napoje i ubrania, aż oboje zaniemówili z emocji. Ogłoszono przyjęcie i aby zaoszczędzić cenne trunki, jakie ze sobą przywieźliśmy, Ojczulek wyskoczył z gotówką której dostarczyliśmy i wrócił z dwiema dużymi butelkami bimbru, miejscowego mocnego samogonu o nieco przydymionym smaku.

Bez obawy, że jesteśmy podsłuchiwani, spędziliśmy szalony wieczór przy wódce i śmiechu. Mała chata rozbrzmiewała piosenkami angielskimi, szkockimi, austriackimi i polskimi i przynajmniej przez tę noc była to okupacja sprzymierzonych. Ena zaśpiewała z wdziękiem piosenkę marynarską o statku, który zatonął, a clou tej piosenki - wszyscy się uratowali, tylko ja się utopiłam.

Z dużą ulgą przyjęliśmy wiadomość, że Ena zdołała pozbyć się wszystkiego, co by mogło być niebezpieczne, zanim Niemcy wpadli do mieszkania. Bez Eny i Ojczulka w ich łapach, i bez dalszych poszlak, Niemcy niczego nie wykryją.

W drodze powrotnej do Warszawy mieliśmy dużo kłopotów, by dostać się do pociągu w Klembowie - tak przepełniony był ludźmi przywożącymi wszelkie dobra na czarny rynek warszawski. Wielu nie mieściło się w wagonach, podróżowali więc na zewnątrz, stojąc na progach do przedziałów, wisząc na klamkach czy trzymając się innych pasażerów przez okna. Gdybyśmy byli obładowani jak w tę stronę, podróż byłaby niemożliwa. Jediną kontrolą było zdanie biletów i aż mi było przykro, że nie miałem okazji zabłysnąć swoimi nowymi dokumentami i zaświadczeniem urlopowym. Będzie wiele okazji w przyszłości. Tania zdecydowała się wrócić do swojego mieszkania i rozpocząć znowu praktykę lekarską ale tymczasem nie będzie zajmować się „Echem”, które ukazywało się redagowane przez nowy zespół.

Wróciłem do Willi Lorenzów na Żoliborzu. Za pośrednictwem fabryki i inżyniera przesłałem wiadomość do Steni i Janki, że gestapo nie znalazło żadnych poszlak w mieszkaniu Eny, żeby prowadzić dalsze śledztwa. Tommie sprawdził bardzo szczegółowo, czy wiadomość dotycząca mieszkania Eny jest pewna, i uspokojony wrócił do dziewczyn na Saską Kępę. Chociaż nie było żadnych przeszkód, żebym i ja znów z nimi zamieszkał i kontynuował ten miły czworokąt, zlekceważyłem głos serca i postąpiłem zgodnie z tym, co mi dyktował rozsądek. Przez parę tygodni po powrocie z Klembowa zajęty byłem różnymi przyjemnościami. Ciągłe wygodnie mieszkając u Lorenzów, miałem poczucie winy, że nic nie robię. Raz, a najwyżej dwa razy w tygodniu udawałem się tramwajem do miasta i po dokładnym sprawdzeniu, czy wszystko jest bezpieczne, odwiedzałem różnych znajomych, sondując przy okazji potencjalne miejsca, gdzie można by się ukrywać. Przede wszystkim odwiedzałem jednak Tanie na Wilczej i seria cotygodniowych lekcji bardzo poprawiała jej angielski i mój polski. Mimo że moja polszczyzna nie była jeszcze zbyt dobra, udawało mi się bez zwracania uwagi kupować bilety tramwajowe i załatwiać drobne zakupy w sklepach. Moim dużym sukcesem była wizyta u fryzjera, podczas której prowadziłem z nim zdawkową choć bardzo kontrolowaną rozmowę, nie będąc zdemaskowany.

Po obiedzie państwo Lorenzowie zwykle udawali się na werandę dla relaksu. Z werandy był widok na ogród sąsiadów, gdzie nieświadome okropności świata dzieci i nastolatki biegały, krzyczały, śmiały się w wieczornej ciszy. Te miłe sceny życia domowego nie robiły na mnie specjalnego wrażenia, ale chciałbym tu wspomnieć, co mi się w związku z tym przydarzyło wiele lat potem w Nowej Zelandii. Gdzieś w latach pięćdziesiątych byłem na jakimś przyjęciu, urodzinach czy czymś w tym rodzaju. Pani domu przedstawiła mnie pewnej drobnej, pełnej życia blondynce koło trzydziestki. Miała na imię Danuta. Powiedziała, że jest warszawianką i w trakcie rozmowy wyszło, że mając lat piętnaście, brała udział w Powstaniu Warszawskim, została wzięta do niewoli do Niemiec, a stamtąd, po wyzwoleniu przez Amerykanów, przedostała się do Anglii. Dzięki różnym szkoleniom, jakie zorganizowano dla uciekinierów, zdobyła kwalifikacje lekarskie i przeniosła się do Nowej Zelandii jako lekarz. Podtrzymując rozmowę z uprzejmą uwagą dowiedziałem się więcej o jej polskiej przeszłości. Lata wojny spędziła w okupowanej Warszawie. Nadstawiłem pilnie uszu, kiedy powiedziała, że jej dom rodzinny mieścił się na Żoliborzu przy ulicy Wiktorskiej 26*. Dom Lorenzów był zaraz obok. Ciągłe po angielsku, pytałem ją o życie w okupowanej Warszawie. Zachęcona moim zainteresowaniem z

pewnym sentymentem wróciła do tych dawnych, strasznych, ale bardzo podniecających czasów. Mówiła o żoliborskich sąsiadach i ich wspaniałym domu z werandą na piętrze, wspomniła też mimochodem, że plotkowano potem o jakimś angielskim szpiegu, który rzekomo tam często przebywał, prawdopodobnie na jej oczach.

Dla teatralnego efektu przeszedłem nagle na polski: „Byłem pewny, że gdzieś już panią spotkałem”. To zrobiło wrażenie na nas obojgu, zwłaszcza na Danucie, jednej z dzieciaków z ogrodu sąsiadów, szczególnie kiedy powiedziałem, że dobrze pamiętałem ją dzięki pięknym złotym włosom. Dla nas obojga tego wieczoru przyjęcie i goście przestali istnieć i zatopiliśmy się we wspomnieniach o Polsce. Danuta pracuje obecnie w Anglii, niewątpliwa to strata dla Nowej Zelandii.

Minęło sześć miesięcy od mojej ucieczki. Posmak ryzyka związanego z niebezpieczeństwem wpadki powoli malał i perspektywa spędzenia reszty wojny w charakterze ukrywającego się na przedmieściach Warszawy i rozpieszczanego faceta coraz bardziej przestawała mi się podobać. Janina, bardzo zaniepokojona moim niezadowoleniem i pomysłami przeniesienia się do centrum miasta dla podjęcia jakiejś pracy w Podziemiu, starała się mnie przekonać, że powinienem przede wszystkim starać się nie wpaść i po prostu przeżyć wojnę.

Kiedy już nie miała wątpliwości, że przeniosę się do miasta, z własnej inicjatywy zorganizowała dla mnie coś w rodzaju ubezpieczenia na wypadek zagrożeń, które mnie mogą spotkać. Bez wiedzy ojca, który i tak nie bardzo był świadom, co się w domu dzieje, ani innych członków rodziny, postarała się o klucz do ich domu, gdzie urządziła wygodnie jeden pokój wyłącznie do mojej dyspozycji, kiedy tylko zajdzie potrzeba. Nie można sobie wyobrazić lepszej kryjówki w spokojnym pokoju spokojnego domu przy spokojnej ulicy, bez żadnego związku z ruchem oporu. Ten pokój u Janiny był najtajniejszą przystanią w Warszawie. Przechowywałem tam rozmaite dowody osobiste, ubranie i inne różności niezbędne dla ambitnego partyzanta.

PRZYPISY AUTORA:

W czasie kilkudniowej nieobecności rodziców Janek wydał przyjęcie dla uczczenia mojej sześć miesięcy trwającej wolności. Przyszedł Tommie i jego obecność dodała splendoru temu przyjęciu, które trwało do białego rana. Przetańczyliśmy całą noc i Tommie, ze swoją teatralną glasgowiańską przeszłością zaimponował wszystkim pięknym młodym paniom polskim jako wspaniały tancerz. Oczywiście wszyscy wiedzieli, kim są honorowi goście. Gdyby życie towarzyskie tak dalej się rozwijało, niedługo ludzie na ulicy pokazywaliby nas palcami jako zbiegłych żołnierzy brytyjskich. Przed powrotem do siebie Tommie powiedział mi następnego dnia, że po ucieczce Eny Podziemie wyznaczyło inną osobę jako łącznika mającego za zadanie opiekować się uciekinierami. Za kilka dni zostałem zaproszony na Saską Kępę na spotkanie z panią Jankowską która wtedy kontaktowała się ze wszystkimi uciekinierami, kilkunastoma osobami, ukrywającymi się w Warszawie. Podniesiono sprawę gaży dla Eny i Ojczulka i zdecydowano, że Ena będzie otrzymywała dwadzieścia złotych dziennie, przy tym nie zwrócono uwagi na biednego Ojczulka. Pani Jankowska, wyglądająca na starszą niż była w rzeczywistości, przygnieciona ciężarem odpowiedzialności, wyraziła zdziwienie, kiedy zaproponowałem, że będę jeździł raz na miesiąc do Eny z pieniędzmi i zaopatrzeniem, jako że już jedną podróż odbyłem bez żadnych kłopotów.

Było pewną nielogicznością i głęboką niewdzięcznością opuszczać moją dobrą wróżkę oraz wygodne i bezpieczne życie na Żoliborzu, nie mogłem jednak oprzeć się, jak ćma wabiona do lampy, urokowi bohaterskiego centrum Warszawy. Zakażony polską „chorobą”, na którą jedynym lekarstwem wydawało się poczucie niebezpieczeństwa. Z końcem wojny wyleczyłem się z tej choroby, która tak często jest chorobą ostateczną.

KOŚCI ZOSTAŁY RZUCONE

Inżynier, za pośrednictwem dziewcząt z Saskiej Kępy, zostawił w fabryce Lorenza jakieś siedemset złotych jako gażę Podziemia dla Eny Lekarskie obowiązki Tani nie pozwoliły jej towarzyszyć mi w wyprawie do dwu starszawych podopiecznych w Klembowie. Przybyłem na stację sam, mocno obciążony, kupiłem bilet powrotny i zauważyłem, że dwaj policjanci niemieccy sprawdzają bilety i dokumenty przy wejściu na peron. Zaświadczenie o urlopie starannie zaktualizowane oraz karta pracy nie wzbudziły żadnych zastrzeżeń i podróż odbyła się bez przygód. Ena i Ojczulek poczułi ulgę, widząc, że zaopatrzenie utrzymujące duszę razem z ciałem zostało zorganizowane, i tam, głęboko w lesie, dodałem do swojej listy bezpiecznych kryjówek jeszcze i to sanktuarium - dom daleki od domu. Przed powrotem do Warszawy, zapewniwszy o swoim powrocie za cztery tygodnie, przedyskutowałem jeszcze z Eną moje zamierzenia wzięcia aktywnego udziału w walce przeciwko Niemcom. Ena, wbrew opinii innych osób, z którymi rozmawiałem na ten temat, rozumiała mnie i popierała moje zamiary. Ta twarda starsza pani, sama ukrywająca się przed wyrokiem śmierci, skomentowała nieco smutnie, że moja obecność u nich w polskim lesie to wynik nieumiejętności trzymania się takich jak my z dala od kłopotów.

Ena, ociągając się nieco, dała mi nazwisko, adres i kilka haseł, co miało mi umożliwić wizytę dla omówienia mojego udziału w ruchu oporu.

Po powrocie do Warszawy udałem się na drugie piętro domu w pobliżu centrum miasta, gdzie spotkałem przystojną panią w średnim wieku, która otworzyła drzwi. Ena skierowała mnie do imponującej osoby. Włosy w majestatycznym, lekko siwiejącym koku czyniły ją jeszcze wyższą. Przeszyła mnie badawczym wzrokiem wyrażającym taką bezwzględną surowość, że hasła wprowadzające wypowiedziałem, prawie się jękając. Kiwnęła rozkazująco palcem i znalazłem się w małym, komfortowo umeblowanym salonie. Siedział tu dobrze ubrany, chudy, blady młody człowiek, który nie podniósł się na moje wejście ani nie okazał żadnego gestu powitalnego, kiedy zamknęły się za mną drzwi. Jego garnitur był zbyt dobrze skrojony, by nie było widać, że ma w bocznej kieszeni pistolet. Wszystko to robiło wrażenie, że gdyby się okazało, iż mam nieczyste zamiary, jedyny problem, jaki ci dwoje by mieli, to tylko jak się pozbyć mojego ciała. Czułem się nieswojo.

Podbudowany przeświadczeniem, że na Enie można polegać bez zastrzeżeń, spokojnie i ze skupieniem stawiałem czoła tej kobieciej gorze lodowej usadowionej po drugiej stronie stołu, podczas gdy facet o twarzy pokerzysty obstawiał mnie groźnie z tyłu. Pytania były chłodne i precyzyjne, nie było trudno na nie odpowiadać, ale potrwało nieco, zanim głęboko zakorzeniona nieufność opadła. Kiedy mężczyzna wstał, przywitał się ze mną przedstawiając jako Jurek, a na twarzy kobiety zaszła głęboka zmiana. Przedstawiła się jako Zosia, powiedziała, że przyszedłem we właściwe miejsce, i jej zimne dotąd oczy wyrażały życzliwe powitanie. Od wpadki Eny nie mogli pozwolić sobie na nieostrożność. Powitałem zmianę nastroju, całując z gracją podaną mi rękę.

Przeniosłem się z Żoliborza następnego dnia. Jurek, ten dobrze ubrany facet z pistoletem, opuszczał Warszawę na kilka miesięcy i pokój z widokiem na boisko, gdzie przed wojną mieściła się szkoła, był do mojej dyspozycji.

Budynek szkolny służył teraz jako koszary SS i obserwacja zza firanek wystawiania wart i innych koszarowych wydarzeń było bardzo interesującym zajęciem.

Z Zosią wdową mieszkała jej kilkunastoletnia córka, długonoga, rozbrykana nieco dziewczynka pracująca jako kelnerka w kawiarni ogrodowej w mieście, co było popularnym zajęciem atrakcyjnych dziewczyn z lepszych domów. Miejsca takie znane były z tego, że zbierała się w nich młodzież z mchu oporu, i

wpadłem tam kilka razy na darmową kawę, nigdy nie czując się zbyt pewnie wśród nieokiełznanej młodzieży rozprawiającej o nienawiści do Niemców. Większość tej bujnej młodzieży przepadła w czasie okupacji albo w Powstaniu 1944 roku.

Ani moja nowa gospodyni, ani jej córka nie znały żadnego obcego języka, więc ciągłe używanie polskiego podniosło znacznie moją płynność wysławiania się. Gospodyni okazała się zupełnie inna, niż podpowiadało pierwsze wrażenie, i mimo że byłem jeszcze młokosem, moja obecność i wieczorne rozmowy, zdaniem Haliny, niezmiernie ją rozpogadzały.

Wyglądało na to, że Ena skontaktowała mnie z fachowcami i bezpieczniej było uczyć się nowego zawodu, niż podejmować stary. Przyjemnie było znaleźć się znów w centrum Warszawy, włóczyć po głównych ulicach, rozkoszować się bezpieczeństwem, jakie dawały tłumy ludzi, że nawet niemieccy mundurowi w tym tłumie nie wydawali się nie na miejscu. Na podmiejskim Żoliborzu widać mnie było na miłę, teraz czułem się bezpiecznie w gęstej zabudowie, tłumy ludzi i ruch uliczny stanowiły coś w rodzaju tarczy ochronnej. Zwierz leśny, który musiał spędzić zbyt długi czas na prerii i wrócił do lasu, zrozumiałby moje zadowolenie z obecnej sytuacji.

Mając zgodę Zosi, odwiedziłem Tanie i zgłosiłem chęć dalszego prowadzenia nasłuchu BBC, pod jednym wszak warunkiem, że będę dysponował mniejszym odbiornikiem. Nie mówiąc Tani o moim nowym miejscu zamieszkania, podjąłem pracę dla „Echa” i dzienny transkrypt dostarczałem do budynku odległego o parę zaledwie ulic. Postawiłem więc znowu nogę na dolnym szczebelku podziemnej drabiny.

Siedząc tak u stołu przy oknie w moim pokoju na piętrze, z ołówkiem w ręku notując wiadomości, obserwowałem równocześnie SS przy pracy i zabawie na boisku szkolnym widocznym w dole.

Codziennie rano około siódmej pojawiała się w budynku pełniącym funkcję koszarów grupa kilkunastu wymęczonych Żydów sprowadzonych pod eskortą z getta. Postaci wyraźnie zdradzające semickie pochodzenie, z głębokim smutkiem w oczach i śmiertelnie blade, co jeszcze bardziej podkreślało ich zapadnięte, otoczone czarnymi kręgami oczy. Niechlujni i nieogoleni biedacy przedstawiali sobą skrajną ludzką nędzę. Z miotłą i wiadrem krzątali się pilnie dookoła budynku i boiska, by wieczorem wrócić do swojego piekła w getcie.

W pierwszą sobotę od zamieszkania u Zosi Żydzi przybyli jak zawsze. Notując pilnie wiadomości z Londynu, obserwowałem równocześnie przyległy teren wojskowy. W porze obiadu zauważyłem zmianę w postępowaniu rutynowym. Żydów zgromadzono na przegląd w południe, a nie jak w zwykłe dni wieczorem przed wymarszem do getta. Widocznie sobota była niepełnym dniem pracy dla SS. Żydzi stali w ponurym szeregu przy tylnym wyjściu do szkoły zamienionej na koszary i widziałem poprzez zasłonki otwartego okna dwójkę esesmanów, którzy stanęli przed tym szeregiem. Ci dwaj żołnierze nie byli na służbie. Byli bez czapek, i chociaż w bryczesach i wysokich butach jak zwykle, płaszcze mieli rozpięte, obaj palili krótkie cygara. Niepewny, chwiejny krok podczas przeglądu zdradzał wyraźne nadużycie alkoholu. Byli dobrze zalani i przyglądali się kolejno każdemu Żydowi.

Verfluchte Jude! (przeklęty Żyd), wrzasnął jeden z nich i dźgnął rozżarzoną końcówką cygara w pierś któregoś Żyda. Ten skręcił się z bólu i cofnął się szybko, unikając prześladowcy. Ruch ten spowodował stek przekleństw i pogoń za ofiarą. Tupiąc ciężkimi buciorami, drugi Niemiec runął w ślady kolegi. Wkrótce boisko pełne było biegających, krzyczących, ogarniętych paniką Żydów, którzy starali się uniknąć razów, podczas gdy jedyna droga ucieczki była zamknięta. Rwetes na boisku przywołał do okien wielu Niemców z wyższych pięter, którzy zachęcali wrzaskliwie dzielnych kolegów, wkrótce też dołączyły do nich trzy inne pijane bestie z ciężkimi gumowymi wężami w

rękach, goniąc zajadłe uciekających. Rzeź trwała tak długo, aż wszyscy Żydzi poupadali we krwi. Ktokolwiek się jeszcze ruszał czy choćby drgnieniem zdradzał przytomność, był bezlitośnie kopany przy akompaniamencie bluźnierstw, a błaganie o litość uciszane było podkówkami. Z pianą na ustach, zadyszani od wysiłku, esesmani patrzyli na skutki swojej roboty z poczuciem dumy z dobrze wykonanego zadania. Pojawił się wóz zaprzęgnięty w konie, powrzucono nań ciała, kałuże krwi przysypano piaskiem. Widać było, że ta szokująca scena miała miejsce już nieraz i zdarzy się jeszcze w przyszłości.

Zosia, która w soboty miała jakieś zajęcia na mieście, wróciła do domu później i dowiedziała się, co się działo. Wódka i jej życzliwość pozwoliły mi nieco ochłonać, a następnego dnia obudziłem się jako inna osoba. Pragnienie zemsty na każdym naziście usunęło resztę wojennych spraw na dalsze miejsce. Markiz Queensberry i jego szacowne zasady niech idą do diabła. Wesołość, którą natura mnie obdarzyła, i młodość przyćmiły pamięć bestialstwa. Nie musiałem przekonywać Zosi, że należy robić fotograficzną dokumentację niemieckich okrucieństw, gdy to tylko możliwe. W rękach aliantów dokumentacja fotograficzna takich scen miałaby olbrzymią wartość propagandową. Wynikiem tej sugestii było pojawienie się w następną sobotę pewnego Polaka, rok czy dwa starszego ode mnie.

Janek - jeszcze jeden Janek - zaangażowany w robocie podziemnej, specjalista od wyrabiania fałszywych dokumentów i ekspert w zakresie dokumentacji fotograficznej był tu jak najbardziej potrzebny. Niezwykle przystojny, z wysokimi kośćmi policzkowymi wschodniego Słowianina był synem profesora matematyki. Przerwał studia uniwersyteckie prowadzone pod kierunkiem znanego, nieżyjącego już ojca, by stać się zawodowym bojownikiem Podziemia z nieocenionymi dla sprawy umiejętnościami technicznymi. Zdziwił się, kiedy mu powiedziałem, że powinien mnie znać, i wyjaśniłem, że mój obecny paszport z doskonałymi zdjęciami to robota jego oddziału technicznego.

Zawiesiliśmy kurtyny w oknie w ten sposób, żeby ukryć aparat fotograficzny, a równocześnie obiektyw skierować na większą część boiska. Przez trzy kolejne soboty, niestety, Żydzi z tym „niestety” raczej by się nie zgodzili, jedynym dowodem brutalności było parę ujęć esesmana kopiącego z tyłu Żyda i inna scenka, w której esesman gonił Żyda z gumowym węzem w rękę. Takie sceny widywała już przedtem Zosia, masakra, której byłem świadkiem, musiała być wynikiem jakiegoś pijaństwa akurat tego dnia. Zdjęcia, które zrobiliśmy, i protokół zostały wysłane do Londynu, ale nie słyszeliśmy o żadnych oddźwiękach w tej sprawie. Uboczną wielką korzyścią dla mnie było przebywanie przez dłuższy czas z Jankiem. Pozostaliśmy w przyjacielskich stosunkach i utrzymywaliśmy kontakt w robocie podziemnej aż do opuszczenia przez mnie Warszawy.

Janek doskonale wiedział o mojej gotowości do zrobienia wszystkiego co możliwe przeciwko Niemcom i mój wniosek o zlecenie roboty doprowadził do wizyty, jaką nam złożył pewien starszy pan o wyglądzie i manierach zawodowca, nie podał swojego nazwiska, ale zadał mnóstwo pytań. Moja znajomość niemieckiego okazała się nagle problemem. Nasz gość prowadził część wywiadu w miernym dosyć niemieckim i był zdumiony i wyraźnie zaniepokojony moją płynną niemczyzną insynuując, że Anna, ta mała przedwojenna moja nauczycielka, została nasłana przez Niemców, by skaptować młodych Brytyjczyków do przyszłej pracy nazistów. Po bardziej szczegółowym przebadaniu okoliczności, które doprowadziły do takiej znajomości języka, moje bona fide wydawało się do zaakceptowania. Zapanowała bardziej serdeczna atmosfera wzmocniona pojawieniem się butelki wódki, kieliszków i zakąsek, które przyniosła Zosia.

Jak tylko nasz tajemniczy gość wyszedł, Zosia uściskała mnie. „Wspaniale, mój drogi - zawołała. - Po weryfikacji twoich danych i otrzymaniu zgody Londynu zostaniesz członkiem Armii Krajowej, będziesz jednym z nas”.

Przekablowanie z Londynu odpowiedzi na wniosek z Warszawy mogło trochę potrwać, ale niecierpliwość, jaka popędzała nas w 1939 roku do włączenia się do zabawy, nie była teraz potrzebna. Była przed nami ciężka noc i długa na tyle, by każdy amator zabawy miał szansę doczekać się marnego końca. Uspokojony, że dosyć jeszcze zostanie dla mnie roboty, by cały ten bałagan uporządkować, zabrałem się znów do pracy dziennikarskiej i społecznej.

Na ulicach widać było teraz więcej mundurów niemieckich, może nie ze względu na większą liczbę wroga, ale dlatego, że w czasie ostrych miesięcy zimy żołnierze woleli siedzieć w barakach, a teraz raczyli się ciepłem słońca. Patroli policyjnych też było więcej, a pewnie także więcej było na ulicach tajniaków. Wymagało to wzmożenia czujności i bardzo starannego pilnowania, by terminy moich wakacji z fabryki Lorenzów zawsze uaktualniać. Codzienny nasłuch radiowy pozwalał mi jednak znaleźć czas, by odwiedzać Lorenzów i Janinę na Żoliborzu, Tanie i Genię w mieście, a szczególnie Tommiego, jego dziewczyny i inżyniera na Saskiej Kępie, no i Janka, któremu zawdzięczałem wprowadzenie mnie w wewnętrzne kręgi ruchu oporu. Mieszkał niedaleko z matką i siostrą i czułem się u nich jak w domu.

Nadszedł dzień wypłaty i wybrałem się w następną podróż do Eny i Ojczulka, biorąc pieniądze i ile tylko zdołałem udźwignąć. Nie było żadnych kłopotów związanych z podróżami i kilkudniowym odpoczynkiem w sosnowym lesie, a rozmowy z Eną po angielsku stanowiły przyjemne urozmaicenie.

Chociaż tak zajęty różnymi sprawami, znajdowałem czas na wyskoki nad Wisłę, opalanie się i pływanie. Niekiedy, gdy nie pracowała akurat kawiarni, przychodziła też Halina, córka Zosi. Zawsze układałem się tak, by mieć dobry widok na plażę i jej długie nogi, depczące w piasku, nie tak elegancko jak zwykle, ale miły był to widok, jak tak przemykała się pośród opalających się ciał w drodze do mojego punktu obserwacyjnego. Miałem przy sobie polską gramatykę schowaną w niemieckim szmatławcu „Warschauer Zeitung”, i chociaż pytania wynikające ze studiowania gramatyki nie stanowiły ulubionego przedmiotu rozmów Haliny w takich okazjach, była jednak zawsze uroczo tolerancyjna i cierpliwa, pomagając w kłopotliwych problemach związanych z pisanym słowem tego kraju. Ja też bym wolał prowadzić konwersację w lżejszym tonie, taką jak między młodymi, ale doskonale wiedziałem, że dobre opanowanie języka polskiego może uratować mi głowę, i choć niechętnie, utrzymywałem stosunki jak między poważną nauczycielką a uczniem. To, że jeszcze żyję, zawdzięczam w dużym stopniu poważnemu traktowaniu takich spraw.

Pewnego dnia, kiedy się opalałem nad Wisłą zauważyłem kątem oka zbliżającego się niemieckiego oficera w pełnym umundurowaniu. Z twarzą w piasku miałem tę przykrą świadomość, że Szwab zatrzymał się na ścieżce akurat nade mną i gapi się na mnie. Głuchy odgłos na piasku i wylądował obok. Zapytał delikatnie: Pole?. Kiwnąłem na potwierdzenie. Nie było nic innego do robienia czy powiedzenia. Zapytany Sprechen Sie Deutsch? przyznałem nieśmiało, że uczyłem się trochę niemieckiego w szkole. Kapitan, spostrzegłem już jego rangę, przykucnął obok mnie i zdjął czapkę. Zobaczyłem wtedy, że miał gęstą kędzierzawą czuprynę, nieco siwiejącą. Prosząc mnie cicho, bym się nie niepokoił, co oczywiście miało już miejsce, rozpoczął przyjacielską rozmowę. Po dwóch latach pobytu w Warszawie nie miał dotąd przyjemności poznania ani jednego Polaka. Czy zechciałbym z nim porozmawiać? Mój wewnętrzny niepokój przycichł nieco. Czas spędzony w charakterze kadeta przed wojną pozwolił mi na szybkie zrozumienie motywów oficera. Wynikało to z jego ruchów, spojrzenia, głosu, ubrania i stylu, choć mało wiedziałem i do dziś wiem niewiele o tego typu ludziach.

I tak rozpoczęła się miła rozmowa z ciągle powracającym motywem, że wszyscy ludzie stanowią jedność z punktu widzenia natury. Nie mam pewności, czy była to jasna aluzja co do zamierzeń, jakie kapitan miał w stosunku do mnie. Reagowałem niewinnie, dając wymijające odpowiedzi, i

zastanawiałem się, jaką korzyść mógłbym odnieść z takiej znajomości. Mógłby żałować ten niemiecki oficer z takimi skłonnościami tego spotkania, gdyby odbyło się ono rok później, kiedy miałem już do dyspozycji znacznie większe środki Podziemia. W ten czy w inny sposób służyłby naszej sprawie lub zginął. Tłumacząc, że pracuję na zmiany w niemieckiej fabryce, i potwierdzając, że często bywam na tej plaży, odszedłem, zapewniając, że miło mi go będzie spotkać jeszcze raz. Ta akurat plaża była dla mnie zamknięta przynajmniej do końca tego lata. Opowiadałem o tym mało ważnym spotkaniu, żeby uwypuklić słabość homoseksualistów w sytuacjach, gdy skłonności i pragnienia skłaniają ich do szukania pocieszenia nawet u wrogów bez oglądania się na konsekwencje takiego działania. Ich życie prywatne to ich sprawa, moim zdaniem, zakładając jednak, że zdrada nie wchodzi w rachubę. Liczba zbrodni na wysokich brytyjskich stanowiskach rządowych i skandale na tle działań szpiegowskich i wywrotowych, jakie się ujawniają wskazują, że rzecz jest tak głęboko zakorzeniona, demokratyczne mechanizmy jej usunięcia są zbyt słabe. Będzie jeszcze o tym mowa.

Któregoś dnia, wkrótce po owym spotkaniu, siedziałem wczesnym popołudniem na nasłuchu BBC, kiedy ciszę przerwało głośne otwarcie drzwi. Obie, Zosia i jej córka Halina, wpadły do mieszkania. Jeden z najbliższych współpracowników Zosi znikł i wizyta gestapo może nastąpić lada chwila. Zanim skończyły mówić, już się pakowałem gotów do opuszczenia mieszkania wraz z, dzięki Bogu, znacznie mniejszym radiem. Już byłem gotów do wyniesienia się do swojej kryjówki u Janiny na Żoliborzu, kiedy zorientowałem się, że w dzielnicy pełno policji i wojska, więc ucieczka w tej sytuacji jest niemożliwa. Mimo że sprawa nie była związana bezpośrednio z nami, dokonano wielu aresztowań wśród mieszkańców i przyrzekłem sobie po cichu, że w żadnym razie nie wolno mi Janiny i rodziny Lorenzów narażać na takie kłopoty. Nie było czasu na skontaktowanie się z osobami dysponującymi umówionymi kryjówkami i Halina zorganizowała szybko nocleg na dzień czy dwa u swoich zaufanych przyjaciół. W parę minut Zosia znikła, a Halina, która też postanowiła uciec, popędziła ze mną i całym obciążającym sprzętem używanym do monitorowania wiadomości do tramwaju jadącego do centrum miasta. Siadłem w kawiarni, a Halina pobięła załatwić dla mnie zakwaterowanie, ale wkrótce wróciła zakłopotana. Okazało się, że gospodarz, którego miała na myśli, borykał się z podobnymi trudnościami, co wykluczało przyjęcie tak niebezpiecznego gościa.

Być może względny spokój, jaki panował w Warszawie od naszego przybycia, miał się ku końcowi i jeśli zdarzenia tego dnia zapowiadały wzmożoną aktywność policji i gestapo, należało być wdzięcznym losowi, że zdążyliśmy się zasiedlić i jakoś zorganizować w nowym środowisku. Halina zadzwoniła z kawiarni. Obsługa, wszyscy Polacy, wyczuwała, że mamy kłopoty, i była pełna zrozumienia i sympatii dla dwojga klientów, którzy popadli w tarapaty na pewno spowodowane przez Szwabów. Bez stałej chęci pomocy ze strony Polaków we wszystkich okolicznościach uciekinierzy po prostu wpadali na każdym kroku. Panika minęła i Halina znalazła mi miejsce, gdzie mogłem się zatrzymać. Następnym tramwajem udaliśmy się na plac Narutowicza, zabudowany wysokimi domami mieszkalnymi, wiele z nich uległo zniszczeniu w czasie walk w 1939 roku, niektóre były w remoncie, w innych już mieszkało. Na placu tym, na którym byłem już wiele razy, kwitł ożywiony handel czarnorynkowy. Rolnicy sprzedawali tu swoje produkty z mnóstwa ruchomych stoisk różnej wielkości i kształtu, a dziś, jak nigdy, ku naszemu niezadowoleniu, teren pełen był niemieckiej policji i żołnierzy oraz ciężarówek.

Stoiska przewracano, chwymano ludzi, pakowano ich na ciężarówki, towar niszczone lub konfiskowano. Kordon wojskowy otaczał cały plac, całe nasze szczęście, że przystanek tramwajowy, na którym wysiedliśmy, znajdował się poza kordonem i akurat przy wejściu do bloku, do którego zmierzaliśmy. Halina i ja szybko weszliśmy na parter i pobiegliśmy schodami na pierwsze piętro, by ostrożnie popatrzeć na Szwabów w akcji. Oglądana scena, jak i wypadki całego dnia, sugerowały, że być może zaczyna się seria niemieckich prześladowań. Wrzaski i krzyki rozbrzmiewały w powietrzu i

wieśniacy, najczęściej kobiety w średnim wieku lub starszki opatulone szalami uciekały na wszystkie strony przed goniącymi ich żołnierzami z karabinami, ale nie było wyjścia przez mur umundurowanych żołnierzy w hełmach. Pewna starsza kobieta rzuciła się na kordon, żeby się wydrzeć, ale padła wkrótce pod silnym uderzeniem w głowę kolbą karabinu. Leżała na bruku, kiedy żołnierz, który ją uderzył, odwrócił ciało i stąpnął mocno na twarz.

„Chce złota z jej sztucznych zębów”, powiedziała Halina bez emocji.

Operacja dobiegała końca. Ciężarówki odjeżdżały wypełnione wojskiem, a kilku pozostałych Niemców kończyło niszczyć stoiska, podniosło leżące nieruchomo ciała, umieściło je na ciężarówce i także odjechało.

W mieszkaniu kilka pięter wyżej powitała nas z powagą pani w średnim wieku z dwoma synami i córką. Halina przedstawiła mnie, niezbyt rozsądnie, jako Brytyjczyka działającego w ruchu oporu. Zaproszony zostałem do zatrzymania się na kilka nocy, a moja wdzięczność do Polaków wzrastała.

Dwaj młodzi mężczyźni wyglądali wspaniale, jak tylko mogą wyglądać dobrze zbudowani Polacy koło dwudziestki, a córka, licząca sobie około lat dziewiętnastu, była najśliczniejszą dziewczyną jaką w życiu widziałem, mimo że byłem kimś w rodzaju konesera w tym kraju pięknych kobiet. Jej figura była mistrzowskim dziełem Matki Natury uzupełnionym dużymi błękitnymi oczami, ciemnymi brwiami i rzęsami. Długie blond włosy otaczały owal twarzy o skórze z płatków róży, brzoskwini i śmietany. Kiedy się uśmiechała, nawet nieśmiało początkowo, jej zęby błyszczały (promieniały) jak błyskawice. Był to klejnot kobiecości daleko przekraczający talent mojego pióra. Niestety skazany byłem na to, by więcej jej nie oglądać poza tym jednym wieczorem, ale ten szczyt kobiecego piękna pozostaje w mojej pamięci niezmiennie. Byłem oniemiały i tak onieśmielony, że zabrało mi kawał czasu, zanim znów zacząłem paplać swoim zwyczajem, i nie śmiałem nawet mieć jakichkolwiek nadziei na lekcje polskiego.

Mieszkanie było marnie umeblowane, cały blok mieszkalny był bardzo zniszczony działaniami wojennymi i dokonano reperacji tylko w takim stopniu, by dało się mieszkać. Nastął czas kolacji i wszyscy zasiedliśmy do stołu nad dużymi miskami gorącego kapuśniaku z czarnym chlebem. Ta rodzina mocno odczuła skutki wojennej gospodarki, co kazało mi docenić mój szczęśliwy los (z dobrym jedzeniem i mieszkaniem). Rozpoczęła się rozmowa i lody zostały przełamane miłymi uśmiechami i wybuchami śmiechu braci i ich siostry. Trudno mi było oderwać oczy od córki, której spojrzenia zdradzały kobiecą świadomość efektu, jaki wywierają jej spojrzenia na gościu. Studiowała na tajnym uniwersytecie, a młodzi mężczyźni brali udział w ruchu oporu, należeli do jednostki bojowej mającej ćwiczenia w weekendy w lasach niedaleko Warszawy. Było to więc bezpieczne miejsce przed nagłą wizytą gestapo, ale niewielka przestrzeń i ograniczenia finansowe wykluczały dłuższe przetrzymywanie tu zgłodniałego uciekiniera. Strach przed prześladowaniami, jaki widać było w oczach matki, też należało mieć na uwadze. Jej mąż zginął w 1939 roku i los dzieci, gdyby naziści wpadli tu moim śladem, był nie do wyobrażenia. Kontakt towarzyski został nawiązany, a w połowie zupy byliśmy już zaprzyjaźnieni. Ciągłe pochłonięty córką i kipiącą w niej młodością zacząłem odnosić wrażenie, że tej pięknej słowiańskiej dziewczynie nie jestem zupełnie obojętny.

Od czasu ucieczki wiele razy ostrożnie spożywałem polski kapuśniak, danie, które Niemcy nazywają Sauerkraut, ale o ile to tylko było możliwe, starałem się go unikać. Pragnąc wyrazić moją wdzięczność za jedzenie, jakie tak szczerze zaoferowano, oraz za udzielenie mi możliwości pozostania na noc w bezpiecznym miejscu, pałaszowałem to okropieństwo, starając się nie okazywać grymasów, ale czułem jak mnie pali w żołądku. Równocześnie żułem zawzięcie twardą kromkę czarnego chleba, także niezbyt ulubiony przeze mnie pokarm. Powinienem wziąć lekki ból, jaki czułem, za poważne

ostrzeżenie o mającej nastąpić rebelii. Nocą obudziłem się z okropnym bólem żołądka i poczułem nieopanowaną konieczność odwiedzenia toalety. Elektryczność w polskich domach wyłączano po godzinie policyjnej i bez latarki ani zapalek musiałem desperacko udać się na poszukiwanie właściwego miejsca w nieznanym mi mieszkaniu. Przewróciłem z hałasem kilka krzeseł, co nie mogło zostać niezauważone przez gospodarzy. Wybawienie nie nastąpiło. Czara goryczy przełała się kompletnie. Musiałem opuścić mieszkanie. Gestapo czy nie, pozostanie w domu było nie do pomyslenia.

Ludzkie istoty są w tym względzie dziwne i co dla bardziej oświeconych naczelnych byłoby sprawą bez większego znaczenia, zatrzęsło moim światem. Wstawszy o pierwszym świtaniu, nabazgrałem krótką notatkę z podziękowaniem i wymknąłem się z domu. Żaden Brytyjczyk wart tego miana nie postąpiłby inaczej. Nigdy już nie będę jadł kapuśniaku, na który zawsze padł cień najpiękniejszej dziewczyny.

Genia, dobroczyńca opętany skrzypkami, zauważyła mój nadzwyczajny spokój tego ranka, zauważyła też, że nie wychodziłem z domu przez następnych kilka wieczorów. Wywnioskowała z tego, uosobienie matczyngo serca, że coś mnie trapi. Tortury skrzypcami trwały dalej, ale jakoś ich piski, jakby w agonii, były bardziej znośne niż w czasie poprzedniej wizyty. Moje przebywanie u Geni doprowadziło jednak do pewnego zaburzenia spokoju, po czym poczuła, że musi porzucić słuchacza. Trzeciego ranka byłem już dostatecznie podniesiony na duchu, żeby obmyślać następne posunięcie. Genia upewniła się, że w większości dzielnic Warszawy Niemcy rozpoczęli masową skoordynowaną łapankę. Setki Polaków wyciągano z domów i pakowano do więzień, a tylko niewielu łapano na ulicach, co wskazywało, że akcja skierowana była przede wszystkim przeciwko ruchowi oporu.

Amerykanie mają wyrażenie to case dla opisanie procesu rozpatrywania i analizowania jakiejś sytuacji pod wszystkimi możliwymi kątami. Przez jakiś czas analizowałem w ten sposób fabrykę Lorenza. Kiedy sytuacja się nieco unormowała i nie widać było wroga, odwiedziłem Janinę, której powitanie nie budziło żadnych wątpliwości co do jej szczerego przejmowania się moim bezpieczeństwem. Ona, jak i cała rodzina Lorenzów, nie była niepokojona w czasie ostatnich łapanek, ale wielu mieszkańców Żoliborza wpadło w niemieckie ręce. Nie było wiadomości o aresztowaniach z mojego najbliższego otoczenia, ale szeroko zakrojone łapanki wywoływały fale czujności, które rozchodziły się w kręgach Podziemia. Z wdzięcznością pożegnałem się jeszcze raz z Genią i wróciłem do pełnej życia atmosfery u Zosi.

Piękna pogoda ciągnęła mnie kilka razy do leśnej chaty Eny, dokąd przybywałem obładowany różnościami, głównie zbieranymi przez Tanie, i byłem tam zawsze mile witany. Sprawy ekonomiczne jej i Ojczulka ustabilizowały się jakoś i bywało, że całymi dniami szwendałem się pośród sosen.

Moja polszczyzna, dzięki codziennemu używaniu, stawała się coraz bardziej płynna. Słownictwo i gramatyka nie sprawiały kłopotu, ciągłej praktyki wymagały niektóre aspekty paraliżującej wprost słowiańskiej wymowy. Na wieki zobowiązano mnie do starannego omijania pewnych słów, aby trudna ich wymowa nie zdradziła natychmiast, że jestem cudzoziemcem.

Sierpniowe słońce smażyło przechodniów tłoczących się na warszawskich ulicach. Miasto przeżywało trzeci rok okupacji, jednak nie czuło się wcale atmosfery pokonania. Ogólnie wiadomości wojenne z Rosji, wieści o bitwie na Atlantyku, o sytuacji na Dalekim Wschodzie i w Ameryce Północnej, a któż mógł wiedzieć to lepiej niż osoba prowadząca nasłuch radiowy, nie były dobre. Ale nic nie mogło zachwiać wiary Polaków w ostateczne zwycięstwo aliantów i wyzwolenie ich kraju. Niektóre moje transkrypty z radia BBC miały na celu podtrzymywanie tego nastawienia.

Z bogatą garderobą poukrywaną w różnych miejscach po całym mieście byłem w stanie prawie codziennie zmieniać ubranie i wygląd. Z szeregu garniturów, butów z cholewami, bryczesów i marynarek, czapek i tyrolskich kapeluszy najbardziej lubiłem garnitur z pumpami zwany wśród kumpli od golfa w domu jako „plus cztery”. Sposób chodzenia miał wielki wpływ na samopoczucie. W pumpach chodziłem żwawo i beztrzesko i czułem się diabelnie młodzieńczo. Niewielu policjantów oglądało się za tak niewinnie wyglądającym chłopakiem, a jeżeli już to robili, to papiery mówiły, że był na urlopie po wykonaniu dobrej roboty dla Wehrmachtu, po prostu użyteczny młody Polak. W butach z cholewami i bryczesach, w kapeluszu tyrolskim nasuniętym na czoło mogłem uchodzić za przedstawiciela rasy panów i kiedy posiadałem dokumenty zaświadczające, że jestem Niemcem, obywatelem Reichu, żadna normalna kontrola uliczna nie przedstawiała problemu. Zdobyłem także mały znaczek z czarną swastyką na czerwonym tle świadczący o przynależności do partii nazistowskiej. Znaczek ten był schowany pod klapą marynarki i pokazywało się go konfidentycznie w przypadku zaczepienia przez policję. Nagłe pokazanie takiego znaczka rzadko tylko nie pociągało za sobą życzliwych słów zachęty i obniżało zainteresowanie dalszym badaniem. Jednak noszenie takiego znaczka otwarcie w Warszawie byłoby rzeczą bardzo nierozsądną jako że wielu Polaków deklarowało otwarcie sezonu łowieckiego na Niemców, jeśli tylko nadarzała się po temu okazja. Kiedy to tylko było możliwe, należało się trzymać najruchliwszych ulic ze sklepami, a kiedy miało się przy sobie specjalnie obciążające materiały, dobrą praktyką było kroczyć ulicą niedbale, udając zainteresowanie wystawami, odbicie w szybie pozwalało wtedy widzieć, co dzieje się z tyłu i na drugiej stronie ulicy.

Pewnego ranka w czasie jednej z moich tur zauważyłem daleko przed sobą kilku niemieckich policjantów patrolujących ulicę i idących w tym samym kierunku co ja. Zwolniłem, żeby ich nie wyprzedzić, i już miałem przejść na drugą stronę ulicy, kiedy zatrzymali mężczyznę w średnim wieku. Będąc po drugiej stronie i nie czując zagrożenia, przybliżyłem się, by dokładniej przypatrzeć się wydarzeniu. Mężczyzna trzymał ręce podniesione w górę. Było jasne, że Szwaby złapały Żyda. Biała skóra nieszczęśnika i jego czarne oczy nawet z daleka pozwalały domyślać się, że to Semita, a Szwaby znalazłszy coś nie w porządku w jego dokumentach, węszyły krew. Po obu stronach ulicy przechodnie szli, może tylko nieco przyspieszali kroku, a ja zatrzymałem się przed wystawą by w odbiciu w szybie widzieć, co się dzieje.

Policjanci zdjęli z ramion karabiny i brutalnie popędzili tego człowieka, ciągle z podniesionymi rękoma, w boczną uliczkę między dwoma domami. Lufami karabinów ściągnęli mu spodnie i majtki w poszukiwaniu oznak jego przynależności do żydowskiej religii. Głośny okrzyk Jude, jaki rozległ się w powietrzu, świadczył, że znaleźli dowód, którego szukali. Nie można było nic innego zrobić, jak tylko współczuć biedakowi i opuścić to miejsce. Padły dwa strzały, mężczyzna leżał rozciągnięty na bruku, a te dwa Szwaby, na luzie, szły sobie, patrolując dalej, jakby nic się nie stało.

Skrzyżowanie Alej Jerozolimskich z Nowym Światem było pewnie najbardziej ruchliwym miejscem w Warszawie. Ruch w kierunku wschodnim poprzez most Poniatowskiego spotykał się pod kątem prostym z ruchem skierowanym do centrum i od centrum miasta. Niemiecki policjant pełnił służbę w czasie dnia i kierował ruchem samochodowym i pieszym. Jak zawsze w takich sytuacjach ruch był zatrzymywany co jakiś czas, a tłum pieszych oczekiwał na skiniecie pozwalające na przekroczenie skrzyżowania. Takie samo skiniecie dawało drogę samochodom, z tym jednak, że ruch pieszy często wstrzymywany był na długi czas, dając pierwszeństwo niemieckim transportom. Pewnego razu moje pumpki, które choć wypchane bibułą nadawały mi bardzo chłopięcy wygląd, uratowały mnie z kłopotu. Spiesząc się, by dostarczyć materiały w terminie, wkroczyłem na skrzyżowanie w ogonie innych pieszych, akurat kiedy policjant już dawał znak dwóm strumieniom samochodów. Lekceważąc sobie zakazujący znak, pędziłem na drugą stronę i migałem wypchanymi pumpami tuż obok

olbrzymiego policjanta, który spojrzał na mnie ponuro przekonany o swoim autorytecie i wrzasnął głośno Haiti Przestraszony mocno udawałem, że nie słyszę, i szedłem dalej. Usłyszałem za sobą ciężkie kroki i olbrzymia łapa w rękawicy złapała mnie niezbyt delikatnie za kark. Szwabski gliniarz pnił się i wrzeszczał: Co masz zamiar robić, Mein Lieber (kochasiu). Świadom tego, że nogawice wypchane mam tajnymi gazetkami, mogłem się tylko modlić, by jego czerwona twarz oznaczała mający wkrótce nastąpić atak serca, a na szczęście nie było w pobliżu innego policjanta, któremu mógłby mnie przekazać. Kombinacja w pośpiechu skleconej wymówki, że moja matka zasłabła i spieszę się po doktora, oraz niecierpliwiący się kierowcy spowodowali, że zostałem tylko popchnięty we właściwym kierunku.

Kiedy już z powrotem wstąpił na swoje małe podium, groził mi jeszcze palcem ostrzegająco, żebym tylko uważał, Mein Lieber. Od tego czasu tylko kiedy byłem w pumpkach, przysyłałem beztrudnie „dzień dobry” temu olbrzyemu gliniarzowi i pilnowałem się, żeby mu znów nie podpaść przy przekraczaniu ulicy. Ten po jakimś czasie przyjmował moje pozdrowienie z uśmiechem, a ja go i tak nienawidziłem niewiele mniej niż wszystkich innych Niemców tego świata. Nie trzeba dodawać, że ubrany w buty z cholewami i bryczesy omijałem tego Szwaba bardzo starannie. Nie było racji dawać mu powodu do zastanawiania się, skąd taka przemiana w moim stroju.

Z moim polskim na tyle dobrym, że pomyślnie przechodził lingwistyczne próby, Halina otworzyła przede mną nowy zakres życia towarzyskiego. Cały tłum młodzieży hołdował zasadzie - Jedz, pij i raduj się, bo jutro i tak umrzemy”, i gdybym był Polakiem, pewnie popadłbym w podobny patriotyczny fatalizm. Zabrała mnie na imieniny do dużego mieszkania na pierwszym piętrze w eleganckim domu na Nowym Świecie, miejscu, gdzie miałem ową przygodę z niemieckim policjantem drogowym. Mieszkał tam niejaki doktor Kaziu z tłuściutką matkującą mu nieco żoną Stefką dwiema córkami około dwudziestki, Marysią i Krysią i nastolatkiem Jędrkiem. Wreszcie była też w tym domu gospoia Wiktoria, przysadzista wiejska dziewczyna, lubiana i lojalna. Obszerne mieszkanie pełne było gości obojga płci i wszelkich postaw. Moja biegłość w polskim pozwalała, by przedstawiono mnie każdemu jako Pawła, co jest polskim odpowiednikiem angielskiego Paula.

Stałem się znany wszystkim polskim znajomym jako Paweł i imię to przyłgnęło do mnie do teraz. Wymawia się je mniej więcej tak, jak się pisze, chociaż bardziej uczuciowi Polacy, szczególnie kobiety, używali raczej intymnej formy Pawełek, Pawełku albo Pawełeczku. Nic bardziej nie dodawało uroku życia jak właśnie to spieszczanie ze szczyptą słowiańskiego ciepła w ciężkich czasach, w jakich żyliśmy. W przyjaznej atmosferze przy dobrym jadle i napojach, z kieliszkiem w rękę przegadałem cały wieczór, odpowiadając na pytania dotyczące życia w Anglii, mojej rodziny i wielu różnych spraw, o których każdy chętnie słuchał. Halinie sprawiało przyjemność przedstawianie mnie wszystkim i świadomość, że każdy z nich w ten czy w inny sposób pracował w Podziemiu, stwarzała atmosferę niezwykle miłą pełną wzajemnej życzliwości.

Zbliżała się godzina policyjna i tłumek powoli się przerzedzał, mając na względzie niebezpieczeństwo przebywania Polaków poza domem. Uważając na godzinę, pilnowaliśmy z Haliną by na czas być u Zosi, i nagle okazało się, że jesteśmy ostatnimi gośćmi doktorostwa, wraz z jednym jeszcze małżeństwem. Zwróciłem delikatnie Halinie uwagę, że jeżeli natychmiast nie ruszymy, mamy dużą szansę nadziać się na niemiecki patrol. Figlarny uśmiech tego małego chochlika zdradził mi, że od samego początku, w zмовie z obiema córkami doktorostwa, nie miała zamiaru wracać tego wieczoru do domu i już naprzód załatwiła, że zostaniemy zaproszeni do pozostania na noc. Zosia, jej matka, powiadomiona była już telefonicznie i jako że do godziny policyjnej pozostało tylko kilka minut, nie mogłem nic zrobić, jak tylko grzecznie podziękować i, choć niechętnie, pogodzić się z sytuacją choć czułem niezadowolenie z powodu przekroczenia podstawowych zasad obowiązujących w ruchu oporu.

Przypadkowe spędzanie nocy w miejscach nieskontrolowanych pod względem bezpieczeństwa aż prosiło się o kłopoty. Siedliśmy wszyscy przy dużym stole jadalnym. Teraz w mniejszej grupie można było sobie pozwolić na więcej intymności, w czym wydatnie pomagały pełne żołądki. Bez przerwy podawano wódkę i zakąski i było bardzo przyjemnie.

Kaziowie byli w tej szczęśliwej sytuacji, że udało im się ustrzec przed stratami w rodzinie, wspomnienia takich spraw bardzo często rzucają smutny cień na wiele polskich rodzin. Okazało się także, że to małżeństwo w średnim wieku, które zostało u nich oprócz Haliny i mnie, nie musiało się spieszyć w obawie przed godziną policyjną ponieważ zajmowało mieszkanie piętro wyżej. Nie musiało więc uciekać przed szwabskimi patrolami.

Każdy był tak dumnie patriotyczny i pełen dobrych życzeń dla Wielkiej Brytanii, że należało z pełnym uznaniem mówić o dawnych specjalistach od urabiania opinii publicznej. Tym magom nie tylko udało się uczynić różowy kolor barwą dominującą w atlasach świata, ale zaszczepili także przeświadczenie we wszystkich umysłach, że Brytyjczycy to ludzie honoru, odważni, o nienagannym guście i wielkiej mądrości. W niczym nieusprawiedliwionej próżności zgadzałem się, jednak nie do tego stopnia, by nie uświadamiać sobie, że my, Brytyjczycy, zbieramy dywidendy z inwestycji poczynionych dawno temu. Podtrzymywałem tę opinię o Brytyjczykach, zachowując przy tym pewną nutkę skromności. Rozmowy przy stole toczyły się bez końca, czasem na wesoło, czasem na poważnie w związku z ogólną ponurą sytuacją. Trudno było zapomnieć nawet w tej niezmiernie ciepłej atmosferze, że o kilka metrów stąd uzbrojone Szwaby chodzą po Nowym Świecie, czekając tylko okazji, by ujarzmić i zabijać.

Marysia i Krysia, dwie córki, z natury rzeczy przyciągały moją uwagę. Marysia była brunetką a Krysia blondynką obu z oczu patrzała dobroć serca i żarliwość charakteru. Zawsze było mi łatwiej czuć sympatię do ludzi pełnych emocji, jakimi są Polacy, niż do chłodnych i pełnych rezerwy. Logika może i być praktycznym podejściem do rozwiązywania problemów życiowych, ale reakcja emocjonalna sięgająca do samego wnętrza bólu ma w sobie pełnię wzniosłości. Skazani od urodzenia na bezkrywistość na zawsze pozostaną obojętni na takie uczucia, nie zdając sobie sprawy, co tracą. Florian i Anna, to małżeństwo z pierwszego piętra, prawie szeptem wyszli z inicjatywą. Mianowicie będą zachwyceni, jeśli zechciałbym być ich gościem na noc. Moją zgodę przyjęli, jakbym to ja im robił łaskę. Trzeba zdawać sobie sprawę, że moja obecność w czyimkolwiek domu wykryta przez Niemców oznaczała podróż do wieczności bez biletu powrotnego. Wkrótce znalazłem się pogodzony ze światem w wygodnym, obszernym łóżku w komfortowym, dużym pokoju. Następnego ranka Marysia i Krysia przyszły z dołu i zabrały mnie bez dyskusji na śniadanie. Doktor miał obchód, Krysia wyszła na lekcje w podziemnej szkole medycznej, Jędrzek znikł, gdzie znikają tylko chłopcy niechodzący do szkoły, a ja spędziłem resztę ranka z Marysią i jej matką Stefką. Wkrótce dołączyli do nas Florian z małżonką. Wprowadziłem pewne zamieszanie w obu domach, co w znacznym stopniu dotyczyło też Wiktorii, gosposi doktorostwa. Wyłaniała się z różnych nie-spodziewanych miejsc, by popatrzeć na gościa, który sądząc po jej zdumionych oczach, uchodził za Marsjanina.

Koło południa uzgodniono dla mnie nowe zakwaterowanie. Miałem mieszkać na piętrze z Florianem i Anną a jadać na dole z doktorem i jego rodziną. Wszystko wskazywało, że było to doskonałe rozwiązanie. Ani Florian, ani jego żona nie brali aktywnego udziału w ruchu oporu, doktor był jako lekarz rezerwista w Podziemiu, a jego rodzina lojalnie wspomagała ruch oporu. Udzielenie mi schronienia pozwalało w pełni zaliczać ich do tej patriotycznej kategorii. W przeświadczeniu, że przygotowano dla mnie solidne i najbezpieczniejsze jak dotąd schronienie, wróciłem na tydzień czy dwa pomieszkać z Zosią i Haliną.

Przed wyniesieniem się z mieszkania Zosi spędziłem wiele czasu z Jankiem, którego ugrupowanie Podziemne zgodziło się na udzielenie mi istotnego poparcia jako Polakowi legalnie mieszkającemu z Florianem i jego żoną. Nie było potrzeby zmieniać dokumentów wystawionych na Kawalę, które razem z niemiecką kartą pracy zarejestrowaną w fabryce Lorenza i zaświadczeniami urlopowymi stawiało mnie w dobrej sytuacji na wypadek kontroli ulicznych. Potrzebne było legalne poparcie dające szansę przeżycia na wypadek nocnych kontroli przeprowadzanych dorywczo przez gestapo. Na tę okoliczność Janek załatwił jakoś, że Kawala został oficjalnie wciągnięty na niemiecką listę mieszkańców domu z dokumentem stwierdzającym jego miejsce zakwaterowania w mieszkaniu nad doktorostwem. Otrzymałem także autentyczne świadectwo urodzenia, co wraz z kilkoma fałszywymi listami od narzeczonej adresowanymi do drogiego Józefa sprawiło, że trudno było pamiętać moje prawdziwe nazwisko. Pozostała jeszcze sprawa zabezpieczenia Floriana i jego żony przed odpowiedzialnością za świadome przetrzymywanie w domu wroga Rzeszy. Urządzono więc dać ogłoszenie do prasy z ofertą mieszkaniową. Żartem padła uwaga, że choć ogłoszenie w „Echu” byłoby tanie, przyniosłoby raczej niepożądane skutki.

Wkrótce po moim przeniesieniu się od Zosi na Nowy Świat doszły nas smutne wiadomości.

Pani Jankowska zmarła. Działając przez krótki czas jako opiekunka brytyjskich i innych uciekinierów, została aresztowana wraz ze swoją starą matką. Jej uwięzienie zbiegło się w czasie z wizytą w jej domu czterech byłych jeńców wojennych, w tym mojego przyjaciela Petera Wintona. Obie kobiety i Brytyjczycy złapani zostali razem. Pani Jankowska zmarła w wyniku tortur, jej matka, która nie zniosła okropnych warunków na Pawiaku, także nie żyła. Brytyjczycy, których poddano ostrym przesłuchaniom, przeżyli i zostali z powrotem odesłani do obozu jeńców wojennych. Przewidziana w takich okolicznościach zmiana miejsca ukrywania się nie okazała się konieczna, jako że żaden z więźniów nie załamał się w przesłuchaniach, więc powoli obawy ustąpiły i każdy wrócił do swojego domu.

Następczynią pani Jankowskiej była bardzo przystojna, gadatliwa, w średnim wieku blondynka, dusza każdego towarzystwa. Czesia, której mąż był lotnikiem i o którym słuch zaginął od wybuchu wojny, prosiła o pomoc w skontaktowaniu się z pozostałymi uciekinierami, a mnie zlecono wziąć ją do Klembowa, by spotkała się ze swoimi wiejskimi podopiecznymi, Eną i Ojczulkiem. Za pośrednictwem Czesi spotkałem się z pewnym Polakiem w średnim wieku, pseudonim Stefan, który był nowo mianowanym szefem zreorganizowanej sekcji Podziemia zajmującej się uciekinierami. Mając w ręku wszystkie nowe dokumenty niezbędne do względnie bezpiecznego życia u Florianów, więc jakby z lepszymi możliwościami sprostania przeciwnościom na przyszłość, otrzymałem jeszcze przyjemną wiadomość, że moje bona fide wytrzymało wszelkie próby w Londynie, skąd także przyszła zgoda na przyjęcie mnie w szeregi Armii Krajowej, narodowego ruchu oporu.

Żeby spotkać się z moim przyszłym przełożonym w Podziemiu, udałem się do obskurnej, małej, ale wygodnej kawiarenki w centrum miasta, trafnie zwanej „Jamą”. Dziewczyna przy kasie musiała wiedzieć, kogo się spodziewać, i zaprowadziła mnie do małego pokoiku na zapleczu, gdzie przy stole siedział Karol, kapitan polskiego podziemnego wywiadu. Jego sekretarka, Lila, była także obecna. Cemu te wszystkie polskie dziewczyny były tak atrakcyjne?

Siwy, lekko łysiejący, z wąsami, ale najbardziej niebieskimi oczami, niepozorna w sumie postać, Karol przeszedł od razu do sedna. Był on odpowiedzialny za wywiad na terenie Rzeszy, Austrii i Czechosłowacji, gdzie moja znajomość niemieckiego bardzo się przyda. Swoją aktywną służbę w wywiadzie rozpocznę w 1943 roku, a przez pozostałe trzy miesiące tego roku będę uczęszczał do Podziemnej Szkoły Wywiadu razem z Lilą jego sekretarką która także mówiła płynnie po niemiecku i

także zgłaszała się do służby na terenie Rzeszy. Ulżyło mi nieco, kiedy się dowiedziałem, że upłyną jeszcze trzy miesiące na szkoleniu, zanim zaczną się materializować skutki mojej popędliwości. Kelnerka przyniosła butelkę wódki i zakąski i mój entuzjazm do podjęcia zadań wzrastał, każąc zapomnieć o zwykle krótkotrwałych karierach szpiegowskich. Następne wódki jeszcze bardziej rozjaśniły spojrzenie. Przed skierowaniem na kurs szpiegowski jest jeszcze pewne zadanie do wykonania, powiedział Karol, a ponieważ Lilka także odchodzi, zaangażowanie jej do wykonania tego zadania będzie bardzo pożyteczne.

Wyjaśniono, że z Krakowa - znanego miasta uniwersyteckiego na południu Polski - przyszło od miejscowej komórki ruchu oporu wezwanie o pomoc. Czworo alianckich lotników uciekło z obozu dla jeńców wojennych we Wrocławiu (Breslau), udało im się dotrzeć do Krakowa w Generalnej Guberni i skontaktowali się członkami Armii Podziemnej. Ukryci zostali pod miastem, zwykłym trybem udzielono by im najlepszej pomocy wedle lokalnych możliwości, gdyby nie pewne niepokojące podejrzenia, które przekazano do Warszawy. Z czterech lotników jeden twierdził, że jest Anglikiem, drugi Amerykaninem, trzeci Australijczykiem i Kraków usatysfakcjonowany był danymi, które przedstawiali. Czwarty członek grupy uciekinierów także twierdził, że jest Anglikiem, ale Polacy w Krakowie nie byli w stanie ustalić z pełnym zaufaniem jego pochodzenia. Podejrzewano, że jest niemiecką wtyczką a kto, jak nie autentyczny Anglik, nadaje się najlepiej do zbadania oszusta podającego się za Anglika - wasz oddany, akurat mieszkający po to w Polsce autentyczny Brytyjczyk. Komórce krakowskiej zlecono, żeby aż do przybycia zespołu weryfikacyjnego z Warszawy całą czwórkę trzymano w ścisłym areszcie. Lila i ja mieliśmy ruszyć, jak tylko zakończą się przygotowania do przeprowadzenia śledztwa.

Chociaż zdecydowano, że Lila i ja udamy się do Krakowa dla zbadania sprawy tych czterech uciekinierów, nie dano instrukcji, co należy zrobić po wydaniu werdyktu. Jeżeli to byli prawdziwi lotnicy, należało ich przywieźć do Warszawy, o ile badanie nie wykaże nic podejrzanego, i tam ukryć. Pociągało to za sobą znalezienie mieszkania, a ja przewidując pełne zaangażowanie w robotę podziemną w najbliższym czasie, nie miałem ochoty zrzec się którejś z moich kryjówek. Czesi polecono zorganizowanie czterech kwater w polskich domach, jak tylko Lila i ja sprowadzimy przybyszów z Krakowa do Warszawy. Zlecono jej także przychodzenie codziennie rano na stację na czas przyjazdu pociągu nocnego z Krakowa, aż do czasu kiedy wrócimy z uciekinierami albo bez nich. Bezpieczne kwatery dla potencjalnych przybyszów zostały potwierdzone i sugerowano, żeby odważna gospodyni tych lotników była w pobliżu dworca, kiedy przybędziemy, żeby moich krajan ulokować możliwie szybko i bezpiecznie. Wszystkie działania zostały zsynchronizowane i poszedłem na drinka tego popołudnia z Czesią która przekazała zgodę Stefana, naszego przełożonego, na ten plan działania. Dostałem wolną rękę i mogłem tylko mieć nadzieję, że nic się w tym planie nie popsuje. Wolna ręka to dobra rzecz, ale miałem uczucie, że w tej małej i stosunkowo nieważnej sprawie wojennej Karol z rozmysłem rzucił nowego rekruta na głębię, by ocenić jego zdolność pływania.

Po wyrażeniu zgody na podjęcie szkolenia w wywiadzie podziemnym Karol dał też pozwolenie, bym miał pełny niekontrolowany dostęp do wszelkich fałszywych dokumentów, jakie mogą być potrzebne do przeżycia w Warszawie. Dokumenty potrzebne do wykonania poszczególnych zadań związanych z podróżami oraz przyjmowanie nowych osobowości w tym celu będą dyskutowane jako część ogólnego planu działania. Innych ograniczeń, poza tym drobnym, nie było. Z przyjacielem Jankiem w oddziale dokumentów obmyślaliśmy całe mnóstwo pięknych pseudonimów i prawie było nam przykro, że dla misji krakowskiej nie potrzebowaliśmy żadnych nowych dokumentów. Lila miała jechać jako Polka i jeśli ci uciekinierzy wracaliby z nami do Warszawy, mieli podróżować w części pociągu przeznaczonych dla Polaków, a ja jako ich eskorta musiałem zrobić podobnie. Miałem podróżować jako młody polski biznesmen w wysokich butach, marynarce i filcowym kapeluszu z zaświadczeniem o

tygodniowym urlopie wystawionym przez fabrykę Lorenza. Kawała nigdy nie był w Krakowie, nie było więc nic przyjemniejszego, niż spędzić kilka dni, wchłaniając nieco piękna i klimatu tego znanego polskiego starego miasta nauki.

Wróciwszy do swojego pokoju u Florianów, na długo przed godziną policyjną zaczynającą się o ósmej ogoliłem się, umyłem, uporządkowałem wszystkie papiery i udałem się na obiad, a potem, z biletem w kieszeni opieczętowanym swastyką uprawniającą mnie do przebywania poza domem po godzinie policyjnej, złapałem nocny tramwaj. Z pewnością siebie jako w pełni uprawniony do przebywania na ulicy minąłem kawiarnię niemiecką na rogu Nowego Świata i Alej i skręciłem w prawo w kierunku dworca odległego zaledwie o parę minut. Grupa pijanych, śpiewających żołnierzy niemieckich wysypała się z baru. Jako że żaden Polak, nawet z tak imponującymi dokumentami, nie mógł liczyć na dobre traktowanie przez pijanych Niemców, przyspieszyłem, żeby się z nimi nie spotkać. Życie zależało tak od szczęścia, jak i od tego, bym dotarł na stację w najbardziej legalny sposób, a jakiś pijany drab niemiecki przez głupi zbieg okoliczności mógł spowodować nieobliczalne skutki.

Lila była punktualna, miała na głowie mały elegancki futrzany toczek, w którym wyglądała świetnie i łatwo było ją znaleźć na marnie oświetlonym, zatłoczonym peronie. Pociąg zatrzymywał się kilka razy na wyludnionych stacjach. Tylko w Częstochowie, znanym mieście o religijnej i przemysłowej sławie jakieś trzy czwarte odległości do Krakowa, nawet we wczesnych godzinach porannych peron pełen był niemieckiej policji. Wyglądając z zaciemnionego przedziału, żeby pochwycić urywki niemieckich rozmów, zorientowałem się, że pociąg prawdopodobnie poddany zostanie szczegółowej kontroli. Pociąg był jednak tak przepełniony, że szwabskie patrole nie byłyby w stanie wsiąść do wagonów bez wyrzucenia większości pasażerów na peron. Oficer niemiecki dał desperacki sygnał i pociąg potoczył się dalej ku uldze wszystkich pasażerów przedziału, którzy z napięciem i niepokojem oczekiwali kontroli.

Kraków powitał nas zimną mglistą pogodą. Po męczącej podróży, z opadającymi powiekami i zesztywniali, nie byliśmy nawet w stanie wzbudzić w sobie cienia entuzjazmu. Lila wyszła ze stacji sama, a ja postępowałem osobno i spotkaliśmy się w małej kawiarni, gdzie nad filiżanką erzac-kawy przedstawiła mnie komuś z miejscowego ruchu oporu, który tu na nas czekał. Kawiarenka, wytłumaczył nam nasz przyjaciel, była bezpieczna, jak to tylko możliwe w tych okolicznościach, i oboje zostaliśmy wkrótce przedstawieni polskiemu właścicielowi o sumiastych wąsach i bokobrodach, buchało od niego konspiracją oraz oddechem ciężkim od wódki wydobywającym się spomiędzy olbrzymich wąsisków. Czterej uciekinierzy przetrzymywani byli w małym gospodarstwie tuż poza granicami miasta. Podziemie było pewne, że trzej z nich to autentyczni żołnierze alianccy. Czwarty był wątpliwy i bym zachował niezależność oceny, nie powiedziano, jakie podejrzenia mają Polacy.

Nasz kontakt opuścił nas, pozostawiając szczegóły umożliwiające nam spotkanie uciekinierów w południe. Po przekąśzeniu czegoś i odświeżeniu się pożegnaliśmy pana Wąsala Bokobrodzkiego i powoli ruszyliśmy na miasto. Największą różnicą między Warszawą a Krakowem był brak w Krakowie zniszczeń wojennych. Wiele starych budynków znajdowało się w stanie zamrozonego rozpadu, choć niewątpliwie były bardzo interesujące z punktu widzenia historii i architektury. Odnosiłem jednak wrażenie, że zniszczenia warszawskie, gruzy i domy na poły wysadzone w powietrze, miały więcej życia i ducha, niż to było widać w Krakowie. Największe wrażenie zrobiły na mnie ulice wybrukowane nierówno kocimi łbami i sklepiki liczące sobie wiele setek lat z witrażowymi oknami wystawowymi. Ruch uliczny, w porównaniu do Warszawy, zarówno pieszy jak i samochodowy, był minimalny i znacznie wolniejszy. Można było zdobyć miejsce siedzące w znacznie mniej przepełnionych tramwajach. A policja niemiecka, w takich samych mundurach jak w Warszawie, wydawała się jednak znacznie mniej groźna. Zrobiło mi się tęskno za Warszawą i za jej

uroczą syrenką. Trzeba jednak pamiętać, że był to ponury dzień po nocy bez zmrużenia oka i brak entuzjazmu dla Krakowa i jego tempa w żadnym razie nie zmienia faktu, że tu bije wiele patriotycznych serc tak samo nienawidzących Niemców, jak w ludniejszej Warszawie.

W oryginalnej, małej czarnorynkowej restauracji, posiliwszy się późnym śniadaniem płatnym z naszego funduszu na podróż, złapaliśmy tramwaj i pojawiliśmy się w pobliżu gospodarstwa, o którym otrzymaliśmy informacje od naszego kontaktu. Przybyliśmy na długo przed wyznaczonym terminem i wysłałem Lilę na spacer, a sam zapoznałem się z terenem, żeby nie przegapić czegoś istotnego. Jeżeli któryś z nich był niemiecką wtyczką, mogła to być pułapka, do której oboje byśmy wpadli, postanowiliśmy więc pozostać niezauważalnymi do samego terminu spotkania i już przygotowywaliśmy się do tego, kiedy drzwi budynku otworzyły się i wyszło zeń pięciu mężczyzn. Obserwowałem ich z korzystnej pozycji zasłonięty przystankiem tramwajowym i kilkoma krzaczkami, i natychmiast poznałem tego człowieka z ruchu oporu, którego spotkaliśmy rano. Pozostała czwórka wyglądała dokładnie, jak należało oczekiwać po uciekinierach. Ubranie ich nie zdradzało, było typowe jak u miejscowych cywilów, ale dało się rozpoznać wyraźnie fizyczne i psychiczne napięcie. W pojedynkę ten promieniujący z nich niepokój nie zwracałby uwagi, ale jako grupa zmierzająca teraz w naszym kierunku z pewnością zainteresowałaby niepożądanych obserwatorów. Choć od dawna byłem wielbicielem polskiej odwagi, wrażenie, że niektórzy z Polaków mają skłonności samobójcze, pogłębiało się. Oto czwórka najbardziej podejrzanie wyglądających osób, bez dokumentów, na spacerku, w biały dzień prowadzona przez członka Podziemia w środku kraju opanowanego przez wroga. Kiedy tak ta grupka wlokła się do przystanku, sadystycznie wystąpiłem z ukrycia i cała piątka zatrzymała się w przestachu. Polak poznał mnie od razu i jego chwilowy szok wywołany moim zjawieniem się z niemiecką postawą w oficerkach i bryczesach, szybko minął. Niezadowolony z takiej amatorszczyzny musiałem przyznać w duchu, że za głupie zachowanie się nie można winić uciekinierów.

„W porządku, chłopaki - palnąłem szkolną angielszczyznę. - Jestem jednym z waszych, wracajmy do chaty”. W domu przywitałem się z uciekinierami uściśniętymi im ręce, pogratulowałem udanej ucieczki, zapytałem o nazwiska i stopnie wojskowe, nie mówiąc nic o sobie. Dwaj inni Polacy byli w domu i pilnowali więźniów, a polski kontakt, którego spotkaliśmy rankiem, zabrał mnie do pokoju na górze.

Kontakt i ja pozostaliśmy na górze, zasiadając po jednej stronie dużego stołu z ułożonymi papierami i piórem, a po drugiej stronie ustawiliśmy krzesło dla przesłuchiwanego. Pożyczyłem pistolet od Polaka i położyłem na boku, przykrywając go kapeluszem. Pióro jest mocniejsze od miecza, ale nigdy nie wiadomo, kiedy zajdzie potrzeba chwycenia za miecz. Od samego początku w stosunku do tej trójki było jasne, że są tymi, za których się podają. Sierżant lotnictwa Keith Chisholm, australijski pilot myśliwca w służbie RAF, przyszedł pierwszy. Studiował stomatologię w Londynie przed wojną i od zestrzelenia większość czasu poświęcał wysiłkom wydobywania się z więzienia. Jednym słowem bratnia dusza. Amerykanin, Charlie MacDonald, także sierżant lotnictwa myśliwskiego, przybył ze Stanów na początku wojny, latając w słynnym Szwadronie Orłów (Eagle Squadron), i przeniesiony został do RAF; również został zestrzelony. Geoffrey Hickman, zestrzelony nad Calais, miał ten sam stopień i rodzaj służby jak pierwsi dwaj i pochodził z okolic Londynu. Nie dało się nie wyrobić sobie o całej trójce tych miłych i odważnych młodych ludzi jak najlepszej opinii, wzmocnionej na dodatek faktem, że bez najmniejszej zachęty zwracali się do mnie per sir.

Przed zawołaniem ostatniego wyciągnąłem nieco informacji o nim od tych trzech. Było się nad czym zastanawiać. Facet, którego mieliśmy przesłuchiwać, dołączył do nich w obozie dla lotników we Wrocławiu (Breslau), na terytorium inkorporowanym do Reichu po upadku Polski, przyznając się

otwarcie, że nie jest z lotnictwa. Jego nowi przyjaciele dowiedzieli się, że jest Polakiem, który wyemigrował w latach trzydziestych do Wielkiej Brytanii, wstąpił do armii brytyjskiej, został wzięty do niewoli w Grecji i umieszczony w obozie w Niemczech. Aby ułatwić sobie ucieczkę, wykombinował sobie przeniesienie do obozu w Breslau, który przed aneksją należał do jego ojczyzny*. Dla pilotów z Australii, Ameryki i Anglii talenty lotnicze miały małe zastosowanie w obozie jenieckim, natomiast towarzysz mówiący płynnie po niemiecku i po polsku został gorąco przyjęty do zespołu, kiedy tylko zgłosił, że jest gotów wziąć udział w ucieczce.

Wejście ostatniego z tej czwórki natychmiast dodało nowej wagi całemu problemowi. Poprzednio, na ulicy poza domem, nie było dość czasu ani

PRZYPISY AUTORA:

* Autor lub uciekinier się myli, Wrocław przed wojną nie należał do Polski, tylko do Niemiec (przyp. red.).

możliwości zaobserwowania tego, co teraz okazało się oczywiste. Biedny Nick Carter był Żydem. Nie dość nieszczęścia, był Żydem w okupowanej przez Niemców Polsce. Informacje o nim przekazane przez jego kolegów potwierdziły się mniej więcej w czasie naszej rozmowy, podczas której przechodziliśmy z polskiego na niemiecki, a potem na angielski. Polski z żydowskim akcentem był bez wątpliwości jego Muttersprache wraz z niemieckim, także z żydowskim akcentem. Ale angielski, jak na kogoś, kto utrzymywał, że mieszkał kilka lat w Anglii i nawet służył w brytyjskiej armii, był zbyt słaby. W wyniku tej lingwistycznej próby twarz Cartera zdradzała niepokój, jakby czuł, że coś złego się święci.

Swoją jednostkę wojskową nazwisko, stopień i numer podał bez kłopotu, tak jak pozostali trzej poproszony został o napisanie nazwiska i adresu najbliższej mu osoby w Anglii. Jak wiadomo, w Anglii, podając adres, najpierw pisze się imię i nazwisko. W następnej linii idzie numer domu i nazwa ulicy, trzecia linia zawiera nazwę miasta lub osady, na końcu region i nazwa kraju. Nazwisko najbliższej osoby, niejakej Mrs. Carter, było czymś normalnym, ale dalej nastąpiło coś zupełnie nienormalnego dla brytyjskich zwyczajów, w następnej linii był Manchester, a pod nazwą miasta numer domu i nazwa ulicy.

Siedziałem i patrzyłem na Cartera, starając się jednocześnie sprawiać wrażenie, że główka pracuje i że wszystko jest w porządku. Żeby podjąć inicjatywę, Carter został poinformowany, że jestem ze Zjednoczonego Królestwa i oficjalnie pracuję z polską armią podziemną legalną siłą zbrojną w okupowanej Polsce. Armia ta jest gotowa dostarczyć wszelkiej pomocy alianckim uciekinierom i każdy, kto pod tę kategorię podpada, może w pełni liczyć na moją pomoc i współpracę. Jego trzej koledzy opisali już jego cenne wsparcie podczas ucieczki, ale uwolnieni z niemieckiego więzienia pozostają pod jurysdykcją armii polskiej.

Wyrażając zaniepokojenie, że polski ruch oporu nie w pełni wierzy w jego oświadczenie, moje własne wątpliwości wypowiedziałem spokojnie, dając do zrozumienia, że przez radio skontaktujemy się z Londynem i aż do otrzymania odpowiedzi będzie on przetrzymywany w bezpiecznym areszcie Podziemia. Byłoby znacznie lepiej, gdyby Carter powiedział o sobie całą prawdę zamiast upierać się przy brytyjskiej części swojej historii, którą ja zdecydowanie uważałem za zmyślenie. Biedny Carter! Nie znośmę być nieuprzejmy. Tu był facet, który, czułem to intuicyjnie, nie był niemieckim agentem, ale człowiekiem, którego żydowskie pochodzenie stawiało obu nas wobec drażliwej sytuacji wychodzącej poza normalne kompetencje wojskowe.

Jakby przypadkiem podniosłem kapelusz ze stołu, żeby pokazać leżący pod nim ów pożyczony pistolet. Jego nagłe pojawienie się miało większy skutek niż słowa, chociaż nie byłem pewien, co z tego wyniknie. Carter popatrzył na pistolet i zmienił swoje opowiadanie. Początkowo powoli, potem coraz szybciej mówił desperacko, starając się oczyścić sumienie i powiedzieć całą prawdę. W istocie jego rodzina opuściła wschodnią Polskę przed wojną by osiąść w Palestynie. Skończyło się tak, że wpadł w niemiecką niewolę na Krecie. Bał się, że jego palestyński adres domowy i na dodatek jego żydowski wygląd napiętnują go jako Żyda w oczach Niemców. Żeby uniknąć ujawnienia tej sprawy, uznał, że jedyna szansa to ukryć swoją tożsamość i wziąć udział w ucieczce. Carter czuł, że mówienie po polsku i po niemiecku w Polsce, jego własnym poprzednio kraju, wystarczy, by wymknąć się z niemieckich pazurów i ewentualnie dotrzeć do Anglii wraz z trzema wojennymi kompanami z lotnictwa. Wierzyłem mu. Ignorancja w sprawach tragicznej sytuacji Żydów w Generalnej Guberni była prawdopodobnie jedynym jego błędem, ale kosztować go mogła życie.

Uspokojony, że brudna sprawa zdemaskowania szwabskiego szpiega dała się jakoś ominąć, byłem jednak świadom powagi tej niebezpiecznej sytuacji. W podwójnej roli, jako zbiegłego jeńca i jako Żyda, należało go zabrać. Jego przebywanie poza gettem w Generalnej Guberni to chodzący wyrok śmierci na niego samego i każdego, kto by mu pomagał. Myśl o pozostawieniu go w Krakowie była nie do zaakceptowania. On uciekł od wroga i Warszawa była jedynym miejscem, gdzie można mu zapewnić bezpieczeństwo, do Warszawy więc pojedzie. Tylko że, pomijając komplikacje związane z Carterem, bezpieczne dotarcie do Warszawy z tak źle przygotowanym ludzkim ładunkiem przedstawiało bardzo trudny problem sam w sobie. Jakieś fałszywe polskie dokumenty mogłyby bardzo pomóc nowo przybyłym, ale jako że niełatwo były one osiągalne, niewiele więcej dało się zdziałać w Krakowie.

Lila ruszyła na stację kolejową by kupić cztery dodatkowe bilety na nocny pociąg do Warszawy, obowiązkowa butelka wódki pomogła i zorganizowaliśmy odprawę na temat podróży.

Trzej krakowscy Polacy będą osobno eskortować uciekinierów do stacji kolejowej, gdzie Lila wręczy im bilety, a potem idziemy na peron, a za nami nasi podopieczni. Mieli udawać, że się nie znają i nie kręcić bez potrzeby, bo mieli swoje miejsca, ale musieli wyglądać na beztroskich i pewnych siebie podróżnych, udając zwykłych polskich cywilów odbywających zupełnie normalną podróż pociągiem. A co, jeśli się ktoś do nich odezwie, padło pytanie. Wstrzymałem się przed wyrażeniem opinii, że jeśli taka sytuacja zdarzy się z policyjnym lub cywilnym kontrolerem bezpieczeństwa, jedyną radą byłaby modlitwa. Jeśliby któryś z nich wpadł, cały pociąg prawdopodobnie byłby dokładnie sprawdzony. O ile jednak nieposiadający papierów niewładający językiem Anglik, Amerykanin i Australijczyk byli słabymi ogniwami w tym łańcuchu zdarzeń, o tyle Carter, biorąc pod uwagę wygląd i akcent, choć nie z własnej winy, czynił cały ten łańcuch szalenie nieprzewidywalnym w skutkach. Jeśli jakiś Polak wda się z nimi w rozmowę, mają udawać głuchych i niemych. Nieważne, jakie zdumienie to wzbudzi u Polaków, na pewno nie powezmą takich podejrzeń, żeby powiadomić o tym wroga.

Starając się nie myśleć o skutkach, zdecydowałem się, że będę podróżować w jednym przedziale z Hickmanem i MacDonaldem, a Chisholm, Australijczyk, z Lilą jakiś wagon czy dwa dalej, Carter natomiast siedział sam w dalszej części pociągu jako zdolny do uważania na siebie, co nie było zupełnie prawdziwą przyczyną takiego właśnie ulokowania go. Jeżeliby został złapany tylko jako Żyd, być może nie przeszukiwano by całego pociągu, jako że Żydzi nie podróżowali w towarzystwie.

Chodziłem wzdłuż przepełnionego peronu i zauważyłem z satysfakcją że Lila i pozostała czwórka rozmieścili się z dala od siebie. Jak dotąd wszystko szło pomyślnie, choć przedwczesny optymizm

zmałał nieco, gdy przypomniałem sobie dowcip o człowieku, który przypadkowo wypadł z okna najwyższego piętra drapacza chmur. Mijając pierwsze piętro w drodze na bruk, miał pełną rację ocenić sytuację podobnie - jak dotąd wszystko idzie dobrze.

Po raz pierwszy od czasu mojego podróżowania po Polsce przyszło mi żałować, że pociąg nie jest przepełniony. Ze stojącymi tylko miejscami i tłokiem, w którym trudno nawet oddychać, niemiecka rewizja byłaby znacznie bardziej utrudniona niż w na pół pustym pociągu, jaki akurat ruszał z krakowskiej stacji w drogę do Warszawy. Nie było żadnego stojącego pasażera ani w przedziałach, ani na korytarzach. Lila z Chisholmem i Carterem siedzącym oddzielnie wsiedli tak jak zaplanowaliśmy, a ja siedziałem oddalony o kilka wagonów między Hickmanem i MacDonaldem. Udawaliśmy, że śpimy, i reszta pasażerów wydawała się tak samo spędzać czas.

Zasada prawdopodobieństwa dała znów o sobie znać, choć zupełnie nie z mojej winy, kiedy około północy zatrzymaliśmy się w Częstochowie. Tak jak poprzedniej nocy w drodze z Warszawy, stacja roiała się od umundurowanych Niemców. Zapalono mdłe światło w przedziałach i z tak małą liczbą pasażerów znikło wszelkie poczucie bezpieczeństwa wynikające z zagubienia się w tłoku.

Ostra instrukcja, by pozostać w wagonach, była pierwszą zapowiedzią mających nastąpić kłopotów. Pasażerowie chcący wysiąść zostali powstrzymani, a ja, nie zwracając na siebie uwagi, podniosłem się i rzuciłem okiem na to, co dzieje się wzdłuż pociągu. Policjanci, parami, wkraczali do każdego wagonu. Pierwszy z pistoletem w ręku, a jego kompanion z silną latarką elektryczną. Inni, z pistoletami maszynowymi w pogotowiu, stali na peronach. Wraz z błyskami latarek elektrycznych wyobrażenia zaczęła działać i oczekiwałem tylko okrzyku triumfu, jaki padnie, oznajmiając wykrycie rasowej przynależności biednego Cartera w jasnym strumieniu światła latarki.

Do naszego przedziału weszło dwóch szwabskich policjantów. Hände Hoch!. Każdy w naszym przedziale sięgnął rękami w stronę nieba, zanim jeszcze padło owo Hoch!. Pierwszy policjant dźgał pasażerów pistoletem i starannie lustrował każdego mężczyznę i kobietę w świetle latarki kompana. Nie pytał o dokumenty, wielka ulga, posprawdzał wszystkich z przeciwnej ławki i zwrócił się w naszą stronę, my ciągle z podniesionymi rękami. Charlie MacDonald i ja nie zwróciliśmy na siebie większej uwagi poza zimnym spojrzeniem, ale latarka zatrzymała się i obszukiwała Geoffa Hickmana, który też został ostro zapytany dokąd jedzie. Geoff, nierozumiejący ani słowa po niemiecku, poruszył się, jakby pomyślał, że został aresztowany i ma wychodzić z pociągu wraz z Niemcami. Myślałem szybko w przestרחu. „Przepraszam pana”, zwróciłem się do policjanta. Starałem się mówić słodko i usłużnie, jak tylko mogłem. „Ten człowiek - tłumaczyłem - jest niestety głuchy i niemy. Ani nie słyszy, ani nie rozumie”. Uwaga policjanta skupiła się na mnie i moje dokumenty wyskoczyły błyskawicznie jak pocisk. Paszport, niemiecka karta pracy z jak zwykle Im Dienst der Wehrmacht, a także zaświadczenie o urlopie z fabryki Lorenza okazane zostały prawie że z nadmiernym pośpiechem. Odwrócenie uwagi poskutkowało, wszystko zostało mi zwrócone i obrzuciwszy Hickmana pogardliwym spojrzeniem, obaj policjanci wyszli. Napięcie wynikające z mojego solowego wystąpienia w centrum sceny minęło, a spokojny oddech wrócił dopiero wtedy, gdy pociąg, wydawało się, po niemającym końca oczekiwaniu, znów odpłynął w ciemność nocy.

Pojawiło się wielu pasażerów bez dalszych ruchów i niepokojów na peronie, i okazało się, że Lila wraz z Chisholmem, a także przypadkowo Carter, przeżyli. Podejrzenia podniosły znów swój parszywy łeb. To szczęście, jakie nam przypadło w udziale, i takie łatwe wymknięcie się Cartera z nastawionej niemieckiej sieci mogło wskazywać, że jest on niemieckim agentem. Dotarcie do Warszawy wyglądało na prawdopodobne i po tak długim czasie bez zmrużenia oka zdrzemnięcie się stało się podstawową potrzebą. Podróż w regenerującą krainę Morfeusza ułatwiona została przez

pewną starszawą opatuloną w szal chłopkę siedzącą naprzeciw mnie. Jej jasny wzrok, nawet w mroku, wskazywał, że nie była z tych, co by się dała wziąć na jakiś kawał. Pojawiła się duża butelka wódki. Wyjęła korek, pociągnęła zdrowo, i jak prawdziwa dama, którą niewątpliwie była, przetarła otwór butelki końcem rękawa, zanim podała ją mnie.

Ogłuszony zmęczeniem i wódką obudziłem się, widząc za oknem świt nad niezachęcającym krajobrazem prowincji. Hickman i MacDonald także zostali poczęstowani, a kiedy zwracali butelkę, wyciągnąłem stówę i wcisnąłem ją w rękę tej kobiety, na co ona żywo oddała mi ją z życzeniem, żebym się upił. Z głową zajęta myślami, co tu zrobić z Carterem po przybyciu na miejsce, oparłem się tej pokusie. Kryzys jednak narastał. Jeśli Czesia spotka nas na stacji, jak to zaaranżowano, Anglik, Amerykanin i Australijczyk znajdą wkrótce schronienie pod jakimś patriotycznym dachem. Z wyglądem Cartera jednak byłoby samobójstwem dla każdej polskiej rodziny zaoferować mu mieszkanie. Umieszczenie go w getcie i zmieszanie go niepostrzeżenie z tysiącami innych Żydów wydawało się jedynym rozwiązaniem i podczas gdy moja wyobraźnia mocowała się z tą niebezpieczną układanką z wieloma kawałkami zupełnie do siebie niepasującymi, pociąg przybył do Warszawy i wyładował swoje zróżnicowane ludzkie cargo.

Lila i ja bez kłopotu wyszliśmy ze stacji i, ku wielkiej uldze, zauważyliśmy oczekującą nas Czesię. Pojawiła się także pozostała czwórka i wprost z nieprawdopodobną szybkością trzej byli więźniowie śmignęli pod opiekę trzech polskich dam zmobilizowanych przez Czesię, które brały na siebie śmiertelne niebezpieczeństwo matkowania ukrywającym się alianckim żołnierzom. Lila udała się powiadomić Karola o naszym szczęśliwym, choć skomplikowanym powrocie. Żadna szwabska wtyczka nie została wykryta, ale wyładowaliśmy w Warszawie z gościem, za którego wzięcie odpowiedzialności może nastrecać nieprzewidywalne kłopoty. Przekazując szczegóły dotyczące Cartera, podkreślałem niezbędność potwierdzenia jego przynależności wojskowej i traktowanie jego sprawy w odpowiedni sposób. Lila odeszła. Zostałem sam z Carterem, a Czesia znajdująca się w pobliżu patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczyma pełnymi niepokoju, w pełni świadoma, w jak trudnej sytuacji się znaleźliśmy. Czwarta pani czekała przy wyjściu. Zwerbowana i gotowa podjąć obowiązki zabrania uciekiniera ze sobą i udzielenia mu schronienia była wyraźnie rozczarowana, kiedy Czesia wytłumaczyła jej, na moje życzenie, okoliczności, jakie uniemożliwiają przyjęcie jej odważnej gościnności.

W żadnym wypadku nie mogłem opuścić Cartera. Jeśli nie usunie się go z widoku publicznego lub nie ulokuje w getcie, gdzie nie będzie na siebie zwracał uwagi jako Żyd, wystawanie koło głównej stacji kolejowej było dla nas obu samobójcze. Carter twierdził, że pochodzi z wschodniej Polski i nie ma przyjaciół czy innych kontaktów w Warszawie. Sytuacja wymykała się spod kontroli. Czesia ruszyła złapać Stefana, a ja czekałem z moim nieszczęsnym i niebezpiecznym kompanem w najdalszym kącie pobliskiej restauracji.

Stefan, obecnie tytułarny kierownik sekcji zajmującej się zbiegami i uciekinierami w ruchu oporu, był upoważniony do uruchomienia podziemnych środków, by trzymać Cartera z dala od gestapowskich łap. Kiedy czekaliśmy na Czesię i na Stefana, Carter stawał się coraz bardziej niespokojny. Wczesnym przedpołudniem w restauracji nie było nikogo poza nami dwoma i mogliśmy w pełni polegać na dyskrecji polskiego kierownika i obsługi, niemniej sytuacja była bardzo ryzykowna. Gdyby wszedł jakiś choćby jeden Niemiec i na nas spojrzął, nasza wpadka byłaby oczywista. Szwaby, zwłaszcza w Warszawie, bez przerwy węszyli za uciekającymi Żydami. Siadłem blisko Cartera, zasłaniając go sobą przed wzrokiem przypadkowego gościa. Kiedy wytłumaczyłem mu bieżące realia i sytuację w getcie, stał się jeszcze bardziej nerwowy i domagał się połączenia z tymi trzema lotnikami, z którymi dokonał ucieczki. Był brytyjskim żołnierzem i nie chce mieć nic do czynienia z polskim ruchem oporu. Takie

twarde odrzucenie wszelkiej sugestii o współpracy dawało podstawę do podejrzeń, że wiele jeszcze spraw z przeszłości tego zatrzymanego człowieka pozostawało do wyjaśnienia.

Czesia przybyła ze Stefanem i przysiedli się do naszego stolika. Uprzejmie i grzecznie przedstawiłem Stefanowi sytuację Cartera, tak jak ją widziałem. Stefan zgadzał się w ocenie niewątpliwego ryzyka i z sugestią co należy zrobić. Słyszając, że Stefan zgadza się z planem ukrycia go w getcie, Carter stracił panowanie nad sobą. Stefan był zdecydowany i szczery w swoich intencjach zaopiekowania się Carterem, ale z przyczyn znanych tylko sobie uciekinier wszystko odrzucił i zwrócił się do mnie, ordynarnie oskarżając, że go zdradziłem, wydając w ręce Polaków. Dyskusja stała się dostatecznie ożywiona, by zwrócić uwagę polskich kelnerów i kilku innych osób z obsługi, które zaczęły wyglądać z zainteresowaniem przez okienko. Zwróciłem ostro uwagę na idiotyczność naszego zachowania się w miejscu publicznym i przywołałem go do porządku. Po tej reprymendzie Carter, z głową nisko nad stołem, skierował się bezpośrednio do mnie i nie było żadnych niedomówień w tym, co powiedział.

„Jeżeli nie zostanę połączony z pozostałymi trzema i nie będę traktowany jako brytyjski żołnierz - wymamrotał ponuro - pójdę na gestapo”.

„I podpiszesz na siebie wyrok śmierci”, odparowałem i natychmiast pożałowałem tej uwagi. Oprócz tego chwilowego wyjścia z siebie życzliwie wczuwałem się w sytuację Cartera. Nie rozumiał trudności związanych ze swobodnym przebywaniem w Generalnej Guberni z jego żydowskim wyglądem, z fałszywymi dokumentami i ze świadomością zupełnej bezbronności. Szwabry nie uznawały selekcji. Żydzi byli Żydami i poza gettem ci z ich rasy, którzy uchylili się przed przymusowym przesiedleniem do zamkniętych dzielnic i obozów, byli bezlitośnie wyłapywani i eksterminowani. Można się tylko było smętnie domyślać, co czeka tych na siłę zgromadzonych mężczyzn, kobiety i dzieci, ale zgromadzeni w zamkniętych dzielnicach mieli choć miejsce, gdzie ich egzystencję uznawano i, przynajmniej do czasu, tolerowano. Opór Cartera przed życiem w getcie był zrozumiały, jednak dla jego ocalenia mój plan był jedynym rozsądnym rozwiązaniem z szansą na sukces i zaoszczędziłby wystawiania na śmiertelne niebezpieczeństwo polskich cywilów, jeśli miejsce ukrycia zostało dla niego zorganizowane. Groźba wydania mnie w ręce gestapo stanowiła dla mnie szok. Złość jednak szybko minęła i już miałem odpowiedzieć w bardziej umiarkowanym tonie, kiedy Czesia, która dotąd prawie wcale nie brała udziału w rozmowie, zmroziła mnie swoją wypowiedzią. Takie oświadczenie to zdrada i ona ma wątpliwości, czy Carter był prawdziwym żołnierzem, wykazując taką mściwość i niewdzięczność w stosunku do kolegi, który wystawiał się na ryzyko dla niesienia mu pomocy. Stefan zawtórował jeszcze bardziej surowo. Jeżeli Carter chce opuścić restaurację i sam zorganizować sobie przyszłość, może zrobić to natychmiast. Oboje Polacy mówili bardzo spokojnie. Carter może przeklinać dzień, w którym wspomniął o współpracy z gestapo w jakichkolwiek sprawach ruchu oporu. Była ta sprawa wojskowa wedle polskiej jurysdykcji. Często, kiedy myślę, jakie lepsze kroki można było podjąć, by pomóc nieszczęsnemu Żydowi, moje sumienie jest czyste. W duchu Carter rozumiał ryzyko, ale w panice nierozsądnie zasugerował rzecz niesłychaną - szantaż, co oczywiście dwoje przedstawicieli Podziemia musiało potraktować z całą powagą.

Stefan podniósł się i wziął mnie na stronę, oświadczając zimno, że jego oddział bierze pełną odpowiedzialność za Cartera, co stanowiło wyraźny rozkaz odejścia wydany przez Polaka w Polsce Anglikowi w Polsce. Zadanie zostało wykonane i chociaż wynik nie był zadowalający, pożegnaliśmy się. Ciągłe nieco skonfundowany udałem się na miasto. Carterowi powiedziałem do widzenia, czując jednak, że jego pożegnanie ze światem nie nastąpi w zbyt odległej przyszłości - obrzydliwe uczucie. Więcej go już nigdy nie widziałem.

Hickman, MacDonald i Chisholm wtopili się w warszawskie życie, od czasu do czasu nasze drogi się spotykały. O Carterze nigdy nie wspomniano i Czesia nie komentowała sprawy w ogóle. W ruchu oporu krążyły różne historie o trzech lotnikach brytyjskich, którzy uciekli z obozu w Breslau, przedostali się do Krakowa, by dotrzeć do Warszawy. Plotkowano też, że towarzyszył im czwarty człowiek, między innymi powiadano, że był to dezerters z Armii Polskiej, żydowski członek partii komunistycznej podejrzany o pełnienie roli podwójnego agenta pracującego zarówno dla Hitlera, jak i dla Stalina. Nie mówiono o moim udziale w sprawie. Człowieka tego zlikwidowano i nieraz słyszałem, że został zastrzelony przez Podziemie, w czasie gdy go zabrano na spacer na Żoliborz. Biedak, lepiej by mu było pozostać w niemieckim obozie dla jeńców wojennych.

Mój na ogół doskonały humor przygasł nieco w wyniku sprawy Cartera. W drodze do domu Florianostwa na Nowym Świecie po opuszczeniu kawiarni miło mi było spotkać doktora Kazia na obchodzie. Nawet w okupowanej przez Niemców Warszawie służba medyczna nosiła ciągle małe czarne walizeczki i doktor nie miał najmniejszej trudności z wciągnięciem mnie do pobliskiego baru, gdzie spadek espritu nadrobiony został jego fizyczną, spirytusową postacią.

Zmęczony tą wyczerpującą podróżą spałem całe popołudnie, a wieczorem zostałem radośnie powitany, kiedy zjawiłem się na kolacji. Pewnie w wyniku odczuwalnej ulgi mieszkanie doktorostwa rozbrzmiewało śmiechem i chwilami Wiktor, ich gosposia, była zbyt rozbawiona, żeby usługiwać przy stole i z jakichś względów zwracała się zawsze do mnie per „żabcia”.

Marysia i Krysia były szczęśliwe, mając mnie z powrotem. Skupiałem na sobie całą uwagę i musiałem bardzo uważać, by zachować umiarkowanie i żeby mi się czasem nie przewróciło w głowie.

Następnego ranka dostałem wezwanie, by spotkać się z Karolem w „Jamie”. Kiedy przyszedłem, Lila już tam była i po krótkim pogratulowaniu mi podróży do Krakowa, szef przeszedł do sprawy, która była dla niego znacznie ważniejsza. Zostałem włączony do sekcji polskiego wywiadu i oprócz świadczeń przyznawanych uciekinierom w wysokości dwudziestu złotych dziennie, nowa pozycja oznaczała pensję w wysokości tysiąca pięciuset złotych miesięcznie. Byłem bogaty. Zapoznano nas ze szczegółami dotyczącymi kursu szpiegowskiego, który miał się zacząć za parę dni. Tak jakby konsekwencje ewentualnej wpadki nie tkwiły nam ciągle w głowie, spotkanie zakończyło ostrzeżenie o niebezpieczeństwie. Razem z Lilą która już ochotniczo zgłosiła się do czynnej pracy wywiadowczej na terenie Reichu, byłem zobowiązany do udziału w szkoleniu w różnych miejscach w Warszawie. Kurs przewidziano na wiele tygodni i po zapoznaniu nas z różnymi sztuczkami zawodu agenta poważna akcja miała zacząć się w początku 1943 roku. Szybko skontaktowałem się z Jankiem i jego wydziałem technicznym. Parę godzin po spotkaniu się z Karolem zalety związane z moją wyższą pozycją w Podziemiu zostały wykorzystane. Zamówiłem sobie cały szereg fałszywych paszportów, jeden przedstawiający mnie jako niemieckiego inżyniera, albo nazistowskiego, albo polskiego. W moim pokoju, nacieszywszy się moimi nowymi dokumentami, naruszyłem nieco gościnność Floriana, podważyłem deskę w podłodze pod dywanem i schowałem tam mój wspaniały skarb.

Mając na uwadze trudności, jakie mieliśmy w odszukaniu miejsca pobytu Eny i Ojczulka, polecono mi być przewodnikiem Czesi w czasie jej pierwszej wyprawy. Dobrze obładowani, jak zwykle, ruszyliśmy do Klembowa. Czesia w nastroju wakacyjnym promieniała, kiedy czekaliśmy na zatłoczonym peronie Dworca Głównego na pociąg do małej osady w sosnowym lesie. Wydawało się, że cała Polska wraz z żonami udawała się tego ranka na wschód, kiedy już w połowie wypełniony polskimi pasażerami pociąg wtoczył się na stację. Ja bym może i dostał się do wagonu, ale Czesia, mimo wojowania i pchania się z całych sił, pozostała na peronie, kiedy pociąg odjeżdżał. Wagony dla Polaków pękały głośno w szwach, ludzie wisieli na zewnątrz, uczepleni niebezpiecznie do klamek.

Wagony Nur fur Deutsche były, jak zwykle, nawet nie w połowie zajęte i ich pasażerowie, zarówno wojskowi, jak i cywile, mieli ten irytujący szwabski uśmieszek wyższości, kiedy patrzyli na niższe formy życia. Przyszły dwa następne pociągi i mimo bardzo usilnych starań Czesia i ja pozostaliśmy na peronie. Jeżeli nie dostaniemy się do jeszcze kilku pociągów, co opóźni nasze przybycie do Klembowa i znajdziemy się tam po zapadnięciu zmroku, odszukanie domu Eny po nieoświetlonych drogach leśnych będzie prawie niemożliwością. Wjechał następny pociąg. Kilku młodych niemieckich żołnierzy piechoty wychylało się z okna wagonu Nur fur Deutsche. Oprócz nich nie było innych pasażerów w przedziale i wydawało mi się, że jest to dla nas jedyne rozwiązanie transportowych trudności, bo już następny tłum szarżował na wagony przeznaczone dla Polaków. Popędzany narastającą desperacją przystanąłem przy przedziale, z którego wyglądali dwaj żołnierze, obserwując scenerię. Moja narzeczona i ja, tłumaczyłem bardzo układowie, próbujemy usilnie odwiedzić jej rodziców - staruszków, którzy bardzo potrzebują takiego pokrzepienia. Chociaż Polakom nie wolno podróżować w przedziałach niemieckich, czy nie zgodziliby się jednak, byśmy z nimi podróżowali, a za tę grzeczność nic im przecież nie grozi. Za ich zgodą wkrótce siedzieliśmy z dwoma żołnierzami Wehrmachtu, którzy gadali jak ludzkie istoty, coś zupełnie niezwykłego u Szwabów.

Tłumaczyłem Czesi po polsku, że wkrótce będziemy w Klembowie, kiedy się nam przytrafiła najbardziej niemiła rzecz. Niemiecka policja kolejowa, parami, sprawdzała wszystkie wagony Nur fur Deutsche, szukając polskich intruzów. Zanim jeszcze wdarli się do przedziału, słyszałem, jak przepytawali gardłowo w przedziale sąsiednim, także tylko dla Niemców. Sind Sie Deutsche?, warknął do mnie starszy z nich. Miałem przy sobie polskie dokumenty, a przyznać się, że w istocie jestem Anglikiem, byłoby jeszcze większym nieszczęściem. Widząc moje ociąganie się z udzieleniem odpowiedzi na pytanie Sind Sie Deutsche?, krzepki, w stalowym hełmie niemiecki policjant wrzasnął Pole?, na co ja byłem tylko w stanie błagalnie skinąć głową. J' j' ja, wymamrotałem. Ogłuszające uderzenie w twarz położyło mnie na ziemię i obaj policjanci schwycili mnie i wyrzucili za drzwi wagonu. Wylądowałem jak długi na zimnym peronie, potarmoszony zarówno na duchu, jak i na ciele. Czesię także wyrzucili, a paczki i węzłki posypały się na nas.

Cesia, której upadek był nieco złagodzony, bo wylądowała na mnie, wstała pierwsza, a ja podnosząc się zamroczony, zauważyłem jeszcze dwóch zadowolonych z siebie Szwabów patrzących na nas z oddalającego się wagonu. Ból i upokorzenie stawало się mniejsze na myśl, że jednak manto było lepsze niż wzięcie do ciupy. Ułożyliśmy nasz bagaż na peronie, powiedziałem Czesi, żeby na mnie czekała, wyskoczyłem ze stacji i złapałem jedną z wielu dorożek czekających na pasażerów przy głównym wyjściu. W ciągu godziny byłem z powrotem, a Polak Kawała przestał istnieć. Szybka wizyta w mieszkaniu Florianostwa przekształciła go w Herr Josepha Kawale, nazistowskiego inżyniera Niemieckich Kolei Wschodnich, z odpowiednimi dokumentami, ubranego do tej nowej roli w buty z cholewami, bryczesy, groźny czarny prochowiec oraz z ukrytym pod klapą małym, czarno-czerwono-białym znaczkiem ze swastyką oznaczającym, incognito wprawdzie, przynależność do partii nazistowskiej. Pociąg do Klembowa wtoczył się na stację i z Czesią postępującą za mną wkroczyliśmy pełnoprawnie do przedziału Nur für Deutsche.

Moje Heil Hitler, kiedy weszliśmy do w połowie pustego przedziału, nie pozostawiało wątpliwości w umysłach niemieckich pasażerów, że przyłączył do nich bardzo żarliwy młody Nazi z nieco onieśmieloną ładną blondynką. Kiedy wysiedliśmy w Klembowie i maszerowaliśmy przez las, Czesia zwróciła się do mnie z ulgą widoczną na twarzy. „O Jezu, jakiego ja miałam pietra, Paweł”, powiedziała.

Ena i Ojczulek byli jak zwykle uradowani i gościnni. Czesię zaakceptowano uprzejmie, choć jakby nieco z rezerwą. Ona była o wiele za przystojna jak na granice tolerancji Eny, ale dowiedziawszy się,

dlatego ją sprowadziłem do Klembowa, i pod łagodzącym wpływem którejś kolejki „ognistej wody” pojawiły się dobre humory i przebijaliśmy resztę wieczoru. Ena bezskutecznie próbowała wybadać, dlaczego rezygnuję z dalszych wizyt u nich, wyraźnie zaniepokojona, w jaką kabałę się wdaje. Przy dobrym jadle i napojach szybko nadszedł wieczór. Opowiadaliśmy duby smalone i śpiewaliśmy, ale jakoś to wzajemne zrozumienie między Eną a mną nie osiągało tym razem wyżyn, jak to zwykle bywało, w śmiechu i muzyce. Ta stara szkocka dama i ja lubiliśmy się bardziej, niż zdawaliśmy sobie z tego sprawę, a tajone wzajemnie myśli, że możemy się już więcej nie zobaczyć, dawały o sobie znać, kiedy tylko nasze spojrzenia się spotykały. Ena ukrywała się, ryzykując wielce w samym środku kraju opanowanego przez wroga, a moja niepewna przyszłość także nie rokowała zbyt optymistycznie. Takie rozważania nie stanowiły dobrej podstawy dla szczerej radości, której nie mogło wywołać nawet podlewanie sprawy wódką.

Powoli zapadała cisza nad małą chatką zagubioną gdzieś w polskim sosnowym lesie. Na znak Eny Ojczulek i Czesia poszli spać na dole, pogaszono światła, a ja wślizgnąłem się do małego pokoiku na strychu i zapadłem w głęboki sen. Wątpię, czy w dawnych czasach to, co obudziło mnie teraz, byłbym w ogóle usłyszał, ale w ciemności nocy zawsze czujne uszy wojennego uciekiniera wychwyciły ciche skrzypnięcie drewnianych schodów. Zapaliłem zapałkę. Miałem gościa. Bardzo ostrożnie uroczą postać w niebieskiej koszuli nocnej z zapaloną świeczką trzymaną wysoko pojawiła się niespodziewanie przy moim łóżku. Zaskoczony, nieco z kacem, akurat miałem się podnieść, kiedy nagle to, co mogło nastąpić albo i nie, zostało nagle przerwane ostrym głosem dochodzącym z dołu schodów.

„Ej, wy dwoje! - wrzeszczał damski szkocki głos. - Nic z tych rzeczy tutaj”.

Rankiem, kiedy jej goście zbierali się do wyjścia, Ena, w poczuciu słuszności, nie wspominała nic o wieczornym incydencie, a Czesia, po nieśmiałym powitaniu, wkrótce znów iskrzyła się humorem. Ojczulek, w doskonałym humorze, dyskretnie do mnie mrugał i nie było co się dopytywać, z jakiej to przyczyny, chociaż się domyślałem. Poczyniono ustalenia co do następnych wizyt Czesi u staruszków, określono też sposób kontaktowania się w przypadku nagłej potrzeby. Pożegnanie z tą twardą ale teraz ze łzami w oczach starszawą Szkotką i jej mężem było bardzo smutne.

Czesia i ja, machając staruszkom, aż znikliśmy im z oczu, szliśmy piaszczystą drogą leśną do stacji w Klembowie, by ruszyć z powrotem do Warszawy. Czesia zatrzymała się w pewnym momencie i spojrzała na mnie smutno, była bardzo piękna, kiedy patrzyła mi prosto w oczy. „Paweł - powiedziała poważnie - tak mi przykro z powodu ostatniej nocy”.

„Mnie też” - odpowiedziałem z uśmiechem.

„Och, ty!”. - Ona również się roześmiała.

Trzymaliśmy się za ręce w czasie całej podróży pociągiem do Warszawy i żadne z nas nie miało wiele do powiedzenia, ponieważ nie istniała przyszłość, o której można by rozmawiać.

PROMOCJA

Przyszła wiadomość od Karola, żebym się zgłosił w „Jamie” na spotkanie. Miał się wkrótce zacząć kurs szkoleniowy wywiadu. Przez następnych kilka tygodni spotykałem się z Lilą w różnych punktach, najczęściej w centralnych dzielnicach Warszawy, i stamtąd prowadzono mnie do miejsc, gdzie danego dnia miały odbywać się zajęcia. W miarę postępów w szkoleniu życie stawało się coraz bardziej napięte. Przyszła jesień i zimno, Warszawa stała się bardziej ponura i pod grubym ubraniem łatwiej było ukrywać notatki i inne materiały potrzebne w moim nowym zawodzie. Zwłaszcza kiedy

kończyły się zajęcia i wracałem do domu, przedzierając się przez zatłoczone ulice, pilnowanie się, by nie wpaść na niemiecki patrol, było ważniejsze, niż kiedykolwiek. Zostać złapanym po prawie roku na wolności na posiadaniu fałszywych dokumentów byłoby dostatecznym złem, ale być złapanym z dowodami, że jest się kadetem szpiegostwa, niosłoby konsekwencje, o których aż strach pomyśleć.

W kursie uczestniczyło sześciu studentów, a rzecz koordynował Polak o pseudonimie Józef, niedawno zrzucony na spadochronie z Anglii. Lila była jedyną kobietą ale szczególne zainteresowanie budził pewien dezter z armii niemieckiej. Miał polskie nazwisko, pochodził z polskiej rodziny zamieszkałej na stałe w Niemczech przed wojną i został przymusowo wcielony do Wehrmachtu, z którego następnie uciekł. Mówił po niemiecku doskonale i długie z nim rozmowy podniosły moją płynność w posługiwaniu się niemieckim.

Większość zajęć prowadzili nowi wykładowcy, specjaliści od tematu wiodącego tego dnia. Uczyliśmy się o kodach, otwieraniu zamków, fotografii, sympatycznych atramentach i mnóstwie niezbędnych zasad dotyczących zachowania się, których trzeba było bezwzględnie przestrzegać w terenie. Wszystkie zajęcia prowadzono po polsku i moja znajomość tego języka, przy szczerej uwadze i przyswajaniu każdego szczegółu, okazała się wystarczająca. Jeśli zaś idzie o manieri, zachowanie się i ostrożność w terenie, fakt, że dotąd przeżyłem, był dowodem, że kierując się zdrowym rozsądkiem, stosowałem te zasady, które teraz nam wpajano.

Na początku grudnia 1942 roku kurs zbliżał się ku końcowi. Po zajęciach popołudniowych w pokoju w jednym z mieszkań, które służyło do tych celów, zapanował półmrok. Dyskretne pukanie do drzwi było sygnałem przybycia Karola i innych mężczyzn w cywilu oraz księdza katolickiego powiązanego z ruchem oporu. Akurat mieliśmy test ustny z zakresu różnych sposobów kodowania.

Karol wraz z księdzem stali i przysłuchiwali się, aż skończyły się pytania, a następnie wyjaśnili przyczynę swojej wizyty. Wraz z kolegami z kursu miałem złożyć przysięgę o zachowaniu tajemnicy i wierności w stosunku do polskiej armii podziemnej, znanej powszechnie jako Armia Krajowa, w skrócie AK. Powtarzałem za księdzem poważną i szczerą przysięgę lojalności i gotowości do poświęceń. Wszyscy stali. Kiedy padały przyciszone słowa przysięgi, wyczuwało się ryzyko i niebezpieczeństwa związane ze sprawą moment miał charakter historyczny, bo stanowiliśmy przez chwilę część historii. Wszyscy byli wzruszeni.

Po tej przysiędze czułem wprost fanatyczną gotowość na działanie lub śmierć, a na twarzach wszystkich obecnych w pokoju widać było podobne uczucia. Kiedy ksiądz skończył, poprosiłem Karola, by pozwolił mi powiedzieć parę słów. Był to dla mnie moment pełen dumy i przywiązanie do narodu polskiego w jego walce ze Szwabami mobilizowało mnie do kontynuowania wysiłków po stronie Polaków. Nie mając najmniejszego zamiaru odchodzić od akurat złożonej przysięgi, poprosiłem ich o uznanie, że stoi przed nimi żołnierz brytyjski odłączony od własnej jednostki. Pełen wdzięczności za możliwość służenia w polskim ruchu oporu w każdej roli, nie podejmę się żadnych zadań, które byłyby sprzeczne z moim rozumieniem służenia swojemu krajowi. Brzmiało to dla mnie nieco melodramatycznie, ale usłyszałem pomruk ogólnego uznania mojego stanowiska.

Po uściśnięciu wszystkim rąk, po pocałunkach „z dubeltowy”, uroczystym hańcie wódki zajęcia się skończyły. „Niech żyje Polska”.

Jak zwykle, opuszczaliśmy dom pojedynczo, w odstępach pięciominutowych, i tak się złożyło, że Lila i ja byliśmy ostatni w mieszkaniu. Siadła na kanapie, powiedziała, że wyjdzie przede mną ale uchwyciłem spojrzenie tej dzielnej młodej Polki - wyglądała na bardzo czymś przejętą widziałem to jak na dłoni. Byliśmy dwojgiem młodych ludzi, dziewczyną i chłopakiem, i oboje znajdowaliśmy się

pod wpływem tej małej uroczystości. Nasze drogi miały się wkrótce rozejść. Skłoniłem się, by wziąć jej rękę do zwyczajowego ucałowania dla wyrażenia szacunku i na pożegnanie, gdy ona nagle chwyciła mnie, przytuliła się, szlochając gorzko. „Kochany Paweł - mówiła przez łzy. - Co będzie z nami?”. Moje losy przedstawione zostaną w miarę opowiadania, ale o tym, co stało się z Lilą w ciągu roku, nie mam serca relacjonować w szczegółach, nawet w przypisach. Bliska śmierci pod koniec wojny, przeżyła rzeczy straszne.

Pozostały jeszcze dwa tygodnie do końca 1943 roku, kiedy kurs szpiegowski się skończył. Aktywna służba nie miała się rozpocząć przed Nowym Rokiem, a dwa tygodnie wówczas to była nieskończoność, wprost nie warto było się zastanawiać, co stanie się potem. Miałem mnóstwo zajęć i teraz, jako w pełni akceptowany bliski członek rodziny doktorostwa, uczestniczyłem we wszystkich spotkaniach towarzyskich, zarówno w mieszkaniu na Nowym Świecie, jak i w innych miejscach w Warszawie i na przedmieściach, gdzie mieszkało wielu członków tej licznej, bardzo ściśle współżyjącej ze sobą patriotycznej i humanitarnej rodziny.

Wielki wpływ na te wydarzenia miało rosnące uczucie między Marysią starszą córką a mną. Nie było tajemnicą a taka była jej piękność, wdzięk i kryształowa dobroć i uczciwość, mówiąc skromnie, że mimo iż nie był to odpowiedni czas na miłość, coraz silniej czułem się porażony tym radosnym, choć niepokojącym wirusem. Żadne z nas nie mogło oprzeć się nieubłaganej naturze. Zaczęło się to od niewinnego trzymania się za ręce przy każdej możliwej okazji i do chmury myśli i kłopotów, które ciągle miałem na głowie, delikatne sprawy sercowe dołożyły swój ciężar, głębszy i bardziej bolesny niż cokolwiek dotąd. Zadurzony bez granic, bezpieczeństwo Marysi i jej rodziny czyniłem ciągłym przedmiotem modlitw, by nie przydarzyło się jakieś nieszczęście przede wszystkim jej, ale także im wszystkim. Jako narzeczeni, a wiadomość ta spotkała się z ogólną akceptacją składaliśmy wiele wizyt po całej Warszawie.

Jako że nie spodziewałem się podjęcia obowiązków przed Nowym Rokiem, wiadomość, że mam się spotkać z Karolem w „Jamie”, przysłała jako niespodzianka, a jeszcze większą okazało się to, że zostałem przedstawiony Markowi, naczelnikowi polskiego wywiadu działającego w Austrii z siedzibą w Wiedniu.

Przedwojenna inkorporacja do Trzeciej Rzeszy wepchnęła wszystkie siły ludzkie i zasoby narodowe Austrii do pełnego partnerstwa po stronie Hitlera. Wywiad aliancki specjalnie interesował się ciężkim przemysłem rozwijającym się szczególnie w okolicach Wiednia i służył nazistowskiej maszynie wojennej. Z dala od ataków powietrznych i działań sił lądowych rozbudowano olbrzymi potencjał produkcyjny z typowym wigorem nosicieli swastyki. Nie wszyscy Austriacy byli chętni uczestniczyć w tym połączeniu. Zamordowanie kanclerza Dollfussa w 1934 roku, i anszlus, który potem nastąpił, sprzeczne były z dążeniami wielu Austriaków, nienawidzących dyktatury. Ci patrioci austriaccy, chociaż potajemnie ze względu na grożący im terror polityczny, tęsknili, a w wielu przypadkach działali na rzecz powrotu, przy alianckiej pomocy, do niepodległości i wolności. Te właśnie okoliczności sprowadziły w pośpiechu Marka z Wiednia dla przedyskutowania z Karolem zagadnienia, które powstało na jego terenie, chociaż dla czego Karol myślał, że nowy rekrut jest najlepszy do tego zadania, nie było początkowo jasne.

Następnego popołudnia szedł pociąg z Warszawy Wschodniej i ja miałem nim jechać. Trasa prowadziła przez Oderberg, polskie, teraz zgermanizowane miasto na Śląsku Cieszyńskim*. Marek ruszył z Warszawy zaraz tego samego dnia, by być dzień wcześniej, spotkać mnie w Oderbergu i razem stamtąd mieliśmy jechać do Wiednia dla podjęcia działań w Austrii, jak planowaliśmy, zakończonych w ciągu kilku dni. Ten niespodziewany przebieg wypadków był pewnym wstrząsem.

Dobrze wiedząc, że życie agenta Podziemia będzie wkrótce moim udziałem, wyobrażałem sobie powolne wprowadzenie w królestwo tajnego świata z czasem na osiedlenie się i przyzwyczajanie do nowych zadań. Po zakończeniu kursu szpiegowskiego i otrzymaniu wiadomości, że zadania nie rozpoczną się przed Nowym Rokiem, o niczym innym nie myślałem, jak tylko o kilku szczęśliwych tygodniach sezonu bożonarodzeniowego, radosnym towarzystwie Marysi, jej rodziny i kolegów ze wszystkimi z tym związanymi przyjemnościami. Przyczyna przedterminowego rozpoczęcia roboty szpiegowskiej wkrótce się wyjaśniła. Polski wywiad w Wiedniu skontaktował się z życzliwym austriackim naukowcem pracującym nad bardzo tajną nową bronią w wielkim kompleksie przemysłowym Wiener Neustadt, który wyrósł w pobliżu austriackiej stolicy. Marek sądził, że spełnienie tej misji, a sprawa była ważna dla Anglii, będzie miało swoją wagę. Ten Polak z Wiednia, przystojny młody mężczyzna, miał rację. Ostatnio rozwój niemieckiego potencjału zbrojeniowego mógł niepokoić. Naziści byli bardzo zaawansowani w produkcji bezpilotowych pocisków rakietowych o napędzie odrzutowym zaopatrzonych w głowice z silnym materiałem wybuchowym. Ze stanowisk startowych nad kanałem La Manche te latające bomby przewidziano do ostrzeliwania południowej Anglii z Londynem włącznie. Czy bomby tego najnowszego typu były produkowane w Wiener Neustadt, nie wiadomo, ale ten antynazistowski uczone austriacki, kluczowa postać w procesie produkcji, zgłosił chęć współpracy z aliantami i dostarczenia szczegółów, istotnych dla opracowania obrony. Ale żeby te informacje dostarczyć, postawiono warunek, który wyjaśniał, czemu ja byłem potrzebny do wykonania tego zadania, choć moja rola była czysto katalityczna. Ten nowy przyjaciel austriacki był anglofilem mieszkającym kilka lat w Wielkiej Brytanii, i pozostał pod urokiem atmosfery Wysp.

PRZYPISY AUTORA:

* Niem Oderberg, pol. Bogumin, czes. Bohumin należał do Czechosłowacji, po przyłączeniu Zaolzia w 1938 r. został włączony do Polski, obecnie w Czechach (przyp. red.).

Ta kluczowa postać chciała negocjować wyłącznie z wywiadem brytyjskim i dopóki odpowiedni przedstawiciel się nie zjawi, wszelkie negocjacje były wstrzymane. I pomyśleć, że nie znalazł się w Europie żaden brytyjski tajny agent do sfinalizowania spraw z takim naukowcem bez konieczności wciągania w to zbiegłego brytyjskiego jeńca wojennego.

Podróż do Wiednia, a zwłaszcza powrót do Warszawy, to były najniebezpieczniejsze aspekty tej sprawy.

Stosunkowo prosto było kręcić się po okupowanej Polsce, gdzie większość ludności nienawidziła niemieckich okupantów, ale podróż do Austrii i Rzeszy to jak wyprawa do jaskini lwa. Wobec istniejącej sytuacji i wewnętrznej niechęci do podróżowania pociągiem, moja pierwsza misja napawała mnie strachem.

Marek odszedł, by złapać nocny pociąg do Wiednia, i ma na mnie czekać na stacji w Oderbergu po spędzeniu dnia u swojej rodziny, która mieszkała w pobliżu. Większość ludności Śląska to byli Polacy, którzy z różnych, niemiłych raczej względów zdecydowali się przyjąć niemieckie obywatelstwo lub zostali do tego zmuszeni, aby nadal mieszkać w swoich domach i mieć pracę u Niemców. Pozostali polskimi patriotami, a ich niemiecka rejestracja pozwalała na znacznie bezpieczniejsze uczestniczenie w ruchu podziemnym i działalność mniej prześladowaną niż to miało miejsce w Generalnej Guberni, centrum otwartej wrogości w stosunku do nazistów.

Przedyskutowaliśmy sprawę fałszywej osobowości i w ciągu kilku godzin został przygotowany pełen komplet dokumentów dla niemieckiego inżyniera zatrudnionego w Kolei Wschodniej. Dołączone było

także oświadczenie, rzekomo Dyrekcji Kolei w Warszawie, że zostałem skierowany na tygodniowy kurs dla inżynierów w Wiedniu. Zgodnie z tym, powinienem być w domu akurat na czas, by wziąć udział w gorąco oczekiwanej dorocznej zabawie u Kaziostwa, choć akurat teraz trudno było zachować optymizm co do powrotu do domu w ogóle. Plik niemieckich pieniędzy oraz pozwolenie na wjazd do Rzeszy i powrót uzupełniał imponujący komplet fałszywek, a na dodatek wyposażony zostałem w elegancką nową walizkę i olbrzymi termos, w którym dookoła naczynia izolacyjnego owinięty był plik, arkusz po arkuszu, kartek żywnościowych. Każdy znaczek umożliwiał podróżnemu kupienie mięsa i tłuszczu w sklepach zaopatrzeniowych w całych Niemczech. Wyściółka walizki także nafaszerowana była fałszywymi kartkami żywnościowymi i przyszło mi na myśl, że RAF mógłby rozwalić system niemieckiego zaopatrzenia, zrzucając wszędzie kartki żywnościowe zamiast bomb. Bardzo podobny system zaopatrzenia podróżnych w żywność funkcjonował wtedy w Zjednoczonym Królestwie. Kiedy ktoś przez dłuższy czas nie przebywał w miejscu stałego zamieszkania, jego książeczki zaopatrzeniowe, rejestrowane w określonym punkcie sprzedaży, unieważniano na czas podróży i wystawiano w to miejsce kartki podróżne umożliwiające zakup żywności w dowolnym miejscu. System ten pozwalał na dobre jedzenie w Niemczech, przy założeniu jednak, że miało się dostęp do podziemnych polskich drukarni, które produkowały niewyczerpalne ilości kartek. Miałem zwyczaj zabierać ze sobą do Niemiec jak najwięcej kartek żywnościowych, i chociaż należało żywność kupować w wielu różnych sklepach, żeby nie wzbudzić podejrzeń ze względu na masowość zakupu, wracałem zwykle do Warszawy obciążony masłem i kiełbasami.

Karol przed wyjściem przekonsultował jeszcze ze mną sprawę podejścia do tego austriackiego inżyniera oferującego współpracę. Jeśli chodziłoby o sprawy materialne, pieniądze nie stanowiły najmniejszego problemu. Zdumiewające, że dla spraw związanych z wojną zawsze jest mnóstwo pieniędzy.

Odebrawszy walizkę i pozostałe wyposażenie na podróż, spędziłem resztę poranka w swoim pokoju u Florianostwa nad mieszkaniem Kaziów na Nowym Świecie. Sprawdziłem starannie wszystkie papiery, czy nie ma w nich błędów, i nauczyłem się na pamięć wszystkich szczegółów. Nazwisko Kawała zostało zachowane dla nowej osobowości, jako że nie można było przypuszczać, że stało się z jakiegokolwiek względu podejrzane. W każdym razie okazało się szczęśliwe, jak dotąd, no i było o jedno nazwisko mniej do zapamiętania. Czy to jako Polak, czy Niemiec, nazywałem się Kawała i tylko okazyjnie, dla ostrożności, używałem innego pseudonimu, co później w 1943 roku omal nie skończyło się nieszczęściem.

Na zakończenie przygotowań do podróży wpakowałem do walizki ubranie na zmianę, a sam włożyłem cywilne ubranie niemieckie. Niebieski pulower, prezent od Haliny, fetysz, do którego miałem tyle zaufania, zabrałem z jeszcze większym szacunkiem niż dotąd. Nigdy nieporzucony, można było tylko mieć nadzieję, że jego siła ochronna będzie służyła równie dobrze w Reichu, jak i w Polsce. Rozciągnął się nieco i jego pierwotna elegancja zmalowała wyraźnie w wyniku znoszenia i zabrudzenia, ale bardziej zależało mi na jego anielskich właściwościach nadanych przez Halinę, niż na praniu i reperowaniu.

Spakowany, zwarty i gotowy, powiadomiłem Floriana o mojej zamierzonej nieobecności przez jakiś tydzień i ruszyłem w drogę. Na dole była tylko Marysia, jej matka Stefka i gosposia Wiktoria, które zdawkowo po-informowałem, że wybywam na kilka dni, ale na pewno będę z powrotem na Boże Narodzenie. Żeby mieć pewność, że złapię wieczorny pociąg, by spotkać się z Markiem na Śląsku, udałem się po południu na warszawski Dworzec Wschodni, dokonałem rezerwacji, opłaciłem naprzód miejscówki i wróciłem do doktorostwa. Pozostali członkowie rodziny, doktor, Krystyna i Andrzej, wrócili do domu z różnych swoich zajęć, i chociaż Marysia nie komentowała sprawy poza

oznajmieniem, że udaję się w podróż, jej wyraz twarzy i wiadomość o moim wyjeździe zrobiły takie ponure wrażenie, że prawie z ulgą zabrałem się do wyjścia. Marysia uparła się, że mnie odprowadzi, a cała rodzina wraz z Wiktoria żegnała mnie z takim namaszczaniem, że było to aż denerwujące. Podobnie zresztą czyniono poprzednio przed moim wyjazdem do Krakowa na spotkanie owych lotników.

Lubię i szanuję Polaków, muszę jednak zauważyć, że potrafią oni być najszcześniejszymi i najsmutniejszymi ludźmi i potrafią przedziwnie mieszać jedno z drugim. Słodki smutek, czy coś takiego.

Na stacji Marysia kupiła peronówkę i staliśmy bez słów przy pociągu w ten mroźny zimowy wieczór na marnie oświetlonym peronie. Wszędzie było mnóstwo żołnierzy niemieckich w pełnym rynsztunku i uzbrojeniu. Urlopy świąteczne spowodowały przeładowanie pociągów do granic niemożliwości i pogałem zająć swoje miejsce. Z wewnętrznego siedzenia widziałem jeszcze Marysię, a jej pełen smutku wyraz twarzy wcale nie dodawał mi ducha. Jako jedyny cywil w przedziale mogłem oczekiwać, że mój wyróżniający się ubiór wzbudzi jakieś komentarze, ale współpasażerowie z plecakami, ładownicami, karabinami i stalowymi hełmami nie zwracali na mnie najmniejszej uwagi, kiedy wpółomdleni zapadli na siedzenia. Większość z nich już spała, zmęczona, a oczy jeszcze otwarte były szkliste z przemęczenia, głęboko zapadłe i obwiedzione czarnymi kręgami. Pociąg ruszył powoli i widziałem jeszcze Marysię powiewającą ręką w bezsilnej desperacji. Wszyscy żołnierze, bez wyjątku, spali już głęboko, a mnie daleko jeszcze było do spania wobec pierwszej próby nadchodzącej szybciej, niż można się było tego spodziewać.

Drzwi do przedziału otworzyły się i ujrzałem sylwetkę cywila, a strumień światła jego latarki zatrzymał się na kapeluszu przykrywającym mi twarz.

Niby obudziłem się po delikatnym dotknięciu i uniosłem kapelusz, latarka mnie oślepiła, zasłoniłem się i zastanawiałem, czy rozpocząć rozmowę, kiedy Szwab wybawił mnie z kłopotu, przejmując inicjatywę.

„Dokumenty proszę”. „Proszę uprzejmie”.

Udając ziewanie, wyjąłem portfel i zacząłem w nim gmerać. Ponieważ nie byłem dokładnie pewien, gdzie są poszczególne dokumenty, wyjąłem paszport, papiery służbowe i polecenie wyjazdu do Wiednia. Zwolniony spod bezpośredniego strumienia światła przypatrywałem się dokładnemu przeglądaniu dokumentów i gdyby nie panująca ciemność, moje zdenerwowanie byłoby niebezpiecznie widoczne. Otrzymałem dokumenty z powrotem z krótkim „w porządku” i kontroler opuścił przedział. Rozciągając się znów na siedzeniu, czułem ogromną ulgę od stóp do głów.

W połowie nocy pociąg zatrzymał się na stacji granicznej między Generalną Gubernią a terenami poprzednio będącymi Polską a teraz w pełni inkorporowanymi do Rzeszy Niemieckiej. Drzwi przedziału otworzyły się znowu, tym razem weszło dwóch mężczyzn. Pierwszy, ten sam, który sprawdzał moje dokumenty wkrótce po opuszczeniu Warszawy, teraz zwrócił się do swojego umundurowanego kompana. „Tego już sprawdzałem - rzekł cywil. - Na kolejowej delegacji”. Obie postaci wyszły i udawanie snu nie było już potrzebne. Pociąg wtoczył się na dosyć dużą stację w Oderbergu o czasie i jeśli wszystko szło wedle przygotowań poczynionych w Warszawie, Marek powinien tu czekać. Życie agenta na terytorium wroga to seria potencjalnych wpadek, czasem poważnych, czasem o mniejszym znaczeniu, jednak nawet banalna sprawa odbiegająca od obmyślonego planu zawsze może przekształcić się w tragedię. Rozważając już następny ruch, na wypadek gdyby szef komórki wiedeńskiej nie pojawił się na dworcu, z przyjemnością usłyszałem jego

wesoły głos wołający do mnie beztrąsko: Ich bin ja hier. Marek przywitał się ze mną jak stary przyjaciel i natychmiast udaliśmy się do baru na stacji, gdzie mój kompan zafundował kanapki z kiełbasą gorącą i erzac-kawę.

Wyraz twarzy Marka był tu zupełnie inny niż to widziałem w Warszawie, gdzie robił wrażenie, jakby ktoś go ścigał. Tu był spokojny i na luzie, tak zresztą jak i atmosfera na stacji w Oderbergu, w ostrym kontraście do atmosfery panującej na stacjach w Warszawie i Krakowie, i w całej Generalnej Guberni. Wspomniałem Markowi o jego szczęśliwszym wyglądzie i spokoju panującym w otoczeniu i sprawa znalazła swoje wyjaśnienie. Tak jak to zdarzyło się z polskim Korytarzem, cały otaczający rejon został zaanektowany i stanowił część właściwych Niemiec, gdzie wszystkie elementy wywrotowe zostały wysiedlone lub zgarnięte, a pozostali obywatele spokojnie i porządnie zarejestrowani. Ci, którzy nienawidzili nazistów, nie okazywali tego i nienawiści, jaką dało się odczuć w każdym zakątku i szparze Generalnej Guberni, nie była tu widoczna. Nie było też tych hord niemieckiego żołdactwa, umundurowanej żandarmerii i niezliczonych cywilnych tajniaków, którzy w okupowanej Polsce dyszeli agresją ścigali i prześladowali wszystko, co polskie. W okupowanej Generalnej Guberni wzajemna nienawiść między Słowianami i Teutonami była widoczna w każdym poczynaniu i spojrzeniu. W mniej groźnym otoczeniu stosunkowy spokój dawał odświeżającą zmianę i zanim pociąg był gotów do odjazdu, choć pozostała czujność i ostrożność, przyprawiająca o dreszcze presja pierwszej misji szpiegowskiej ustąpiła.

Nowy pociąg pełen był cywilów z garstką umundurowanych. Wielu to zagraniczni robotnicy, i kiedy tak staliśmy w zatłoczonym korytarzu, dowiedziałem się od Marka, że większość rozradowanych młodych ludzi, którzy żartowali i pokrzykiwali wesoło, to byli węgierscy ochotnicy, dla których praca w niemieckich fabrykach zbrojeniowych miała wielki urok. Ich wesołość była szczególnie uderzająca, jeśli porównać ich do tej siły niewolniczej, tych mężczyzn i kobiet z łapanek, na siłę wleczonych z Polski.

Kiedy pociąg pędził przez skutym mrozem krajobraz, rzucała się w oczy znacznie większa wydajność rolnicza i zadbanie w porównaniu do zniszczonych i opuszczonych terenów Generalnej Guberni. Dziwnie było oglądać miasta i wsie otoczone spokojnymi polami bez śladów zniszczenia przez ogień, pociski czy bomby. Pokój, cisza i harmonia przywołała wspomnienia z przeszłości.

Przybyliśmy do Wiednia i wysiadłszy, wmieszaaliśmy się w strumień dostojnych mieszczuchów zmierzający z peronu do miasta. Sprawdzenie biletów było jedyną kontrolą.

Przed przybyciem do Wiednia wyobrażałem sobie zakwaterowanie z jakimś współkonspiratorem albo zamieszkanie w jakimś dyskretnym mieszkaniu prywatnym utrzymywanym dla specjalnych gości, ale nie tak sprawa się miała. Wiedeń był pełen dobrych i solidnych hoteli i Marek wziął mnie do jednego z nich w centrum miasta. Bez żadnych kłopotów zarezerwowałem pokój na tydzień w zgodzie z moim fikcyjnym terminem uczestniczenia w kursie inżynierskim, dla którego tu przyjechałem. Przy rejestracji w recepcji zanotowano szczegóły mojego paszportu, zawód, powód i czas pobytu i po podpisaniu formularza zostałem zaprowadzony przez starszego portiera do wiktoriańskiego apartamentu z łazienką na pierwszym piętrze, otrzymałem klucze i pozostawiono mnie w spokoju. Wymoczywszy się rozkosznie, odłożyłem na bok ubrania noszone zarówno przez Niemców, jak i Polaków w Generalnej Guberni, oficerki i bryczesy zastąpiłem mniej rzucającym się w oczy garniturem z długimi spodniami.

Wyszedłem bez specjalnego celu czy pośpiechu na główne ulice pooglądać wystawy, podziwiać dostojność pełnego tradycji, pięknego europejskiego miasta. Nikt nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi, wreszcie znalazłem staroświecki podziemny Bierkeller, gdzie wyżłopałem dwa duże lagery.

Podrażniony apetyt, w sąsiedniej salce jadalnej, zużywając chyba dwutygodniowe racje kartkowe dla podróżnych, zjadłem znacznie więcej, niż mogła sobie pozwolić większość Niemców, i wyłudziłem od kelnera butelkę zupełnie znośnego wina. Tak podreperowany na duchu i ciele wróciłem do hotelu.

Marek mi powiedział, że jeden z jego ludzi zaangażowany w rekrutację owego naukowca austriackiego, dla którego tutaj przybyłem, odwiedzi mnie jutro w hotelu. Po bardzo potrzebnym i odświeżającym przespaniu się wstałem zawczasu, wziąłem kąpiel, ogoliłem się gotów na jego wizytę. Recepcja powiadomiła, że gość czeka na mnie w foyer, gdzie zastałem białowłosego, wysokiego i elegancko ubranego starszego pana, który wyraził wielką radość ze spotkania silnym uściskiem dłoni, eleganckim ukłonem ze stuknięciem obcasami, przedstawivszy się jako profesor von Englisch. Mój nowy znajomy był emerytowanym austriackim akademikiem, który natychmiast, już w drodze do kawiarni, jakby przymulając się, bardzo źle wyrażał się o Niemcach, a w szczególności o Hitlerze. Przy kawie profesor przeszedł do tematu, ale wcześniej skomentowałem delikatnie jego nazwisko, które, biorąc pod uwagę znaczenie, było bardzo niezwykle dla agenta obcego wywiadu. Okazało się, jakkolwiek dziwne by to się mogło wydawać, że było to jego prawdziwe nazwisko, a ponieważ żył pod tym nazwiskiem w Wiedniu całe życie i nikt nie wie, jakie są jego sympatie, byłoby nierozsądnie je zmieniać.

Ten austriacki naukowiec został już powiadomiony o przybyciu członka brytyjskiego wywiadu i chętnie się spotka z Markiem i ze mną w swoim domu w następny poniedziałek wieczorem. Był akurat piątek i pierwszy weekend austriacki przede mną zobaczymy, miły czy nie. Przedyskutowaliśmy różne aspekty związane z podejściem do sprawy naukowca, a profesor wyraził opinię, że wystarczy tylko nieco dyplomacji i wszystko się załatwi.

Około południa, po długim i pouczającym spacerze, dotarliśmy do domu profesora, gdzie oprócz starszej wiekiem gosposi nikt nie mieszkał. Był to duży dom otoczony staroświeckim ogrodem pełnym wysokich drzew. Kompanem profesora był największy pies, jakiego kiedykolwiek widziałem, niebieskoszary o krótkim włosiu, z którym zapoznanie się profesor zaaranżował ku mojemu zdenerwowaniu. Nazywał się Blau, co znaczy Niebieski, nie wiem, czy był to okaz specjalnie wielki, ale w porównaniu do doga niemieckiego to był goliat, co najmniej półtora raza większy od tego olbrzyma. Profesor mówił, że Blau to ogar Bismarcka, i pytał, czy przyniosłem ze sobą dostateczną liczbę kartek na mięso i masło. Bardzo się psi pan uradował, kiedy mu powiedziałem, że dzięki uprzejmości polskiego wywiadu wiele niemieckich protein schowanych mam w swojej walizce.

W czasie lunchu Blau siedział cierpliwie obok stołu i nawet nie musiał podnosić głowy, żeby brać kąski od pana, który uśmiechnął się na pytanie, czy pies często jest ujeżdżany. Wieczorem wyszliśmy na miasto na wystawny obiad i wino i profesor zabawił nas opowiadaniem historyjek z czasów, kiedy służył w austriackiej armii, potem z czasów swojej kariery profesorskiej i przedwojennych machinacji nazistów, które doprowadziły do anszlusu i zniewolenia jego kraju. Wróciliśmy bardzo późno, nie było tu takich restrykcji z godziną policyjną i jeszcze jedną noc spędziłem wygodnie w hotelu syty na duszy i na ciele.

W sobotę poszliśmy do słynnego pałacu Schönbrunn. Dzień był mroźny, ale pięknie słoneczny i ściągnęło tam mnóstwo zwiedzających. Na jednym z tarasów zaczął nas grzecznie pewien niemiecki żołnierz. Chwilowy niepokój minął szybko, kiedy się okazało, że chodziło o grzecznościową przysługę. Czy panowie nie zechcieliby pozować przed kolumnami, by miał skalę porównawczą na zdjęciach, które robił. Ciekaw jestem, czy te zdjęcia jeszcze gdzieś istnieją. Być może w jakimś starym żołnierskim albumie na jakimś antycznym meblu ciągle tkwią i pokazywane są gościom jako

pamiątka zwiedzania Wiednia przez niemieckiego żołnierza w czasie służby podczas drugiej wojny światowej. Pewnie nawet teraz ten fotograf byłby zaszokowany, gdyby wiedział, kogo ma na zdjęciu.

Wizyta w kinie była prawdziwą przyjemnością. Film o walkach w lodowych pustyniach na froncie rosyjskim w niezmiernie surowych warunkach zrobił na nas ogromne wrażenie, chociaż pewnie odwrotne od tego, jakie wywarł na pozostałych widzach.

Czułem się bardzo bezpiecznie na mieście w restauracjach i winiarniach, ale w hotelu pewien niepokój mnie trapił. Byłem przekonany, że w Wiedniu dałoby się zorganizować bezpiecznie pobyt dla agenta, siedzenie w hotelu na fałszywych dokumentach prosiło się o nieszczęście.

Niedziela minęła podobnie na entuzjastycznym zapoznawaniu się z atrakcjami miasta. Następnego dnia miałem wieczorem odwiedzić owego naukowca, ale najpierw wybrałem się do fryzjera. Od przybycia do Wiednia miałem trudności w zrozumieniu miejscowego dialektu. Niższe klasy społeczne mówiły szybko i szeroko, tak że prawie za nimi nie nadążałem. Mój wysokoniemiecki (Hochdeutsch) był doskonale rozumiany przez wszystkich, ale jako obcy i tak nie miałem zbyt wiele potrzeb komunikowania się z miejscowymi. Przywitałem się z fryzjerem, poprosiłem o przycięcie włosów, siadłem w wolnym fotelu i przyglądałem się w lustrze zmieniającej się osobie, podczas gdy fryzjer bez przerwy do mnie mówił zupełnie niezrozumiale. Kiedy tak myślałem, że gdybym częściej bywał w Austrii, musiałbym jakoś te sprawy językowe rozwiązać, weszło dwóch cywilów, ale wyglądali bardzo oficjalnie. Policjanci! A może nawet i gestapo! Aby nie zwrócić na siebie uwagi tych dwóch przybyszów, udałem, że jestem zupełnie pochłonięty słuchaniem, co mówi fryzjer.

Przycinanie skończyło się, fryzjer odsunął się nieco, by podziwiać swoje dzieło, i o coś niezrozumiale mnie spytał. Domyślając się, że domaga się końcowej akceptacji jego działań, zgodnie z przyjętą strategią jeśli idzie o mówienie, przytaknąłem aprobowczo. Na to przytaknięcie fryzjer zabrał się znów do roboty i wziął pod nożyce moje włosy przy zupełnie niezrozumiałych komentarzach. Okazało się, że zgodziłem się na krótsze przycięcie włosów. Ci dwaj mężczyźni dalej siedzieli biernie, czekając na swoją kolej, a ja, nie mając zamiaru wdawać się w rozmowę z fryzjerem, patrzyłem z rezygnacją w lustro i widziałem, jak moje ulubione loki toczą się na podłogę. Utrata tych pięknych włosów to była tragedia, ale słowna próba ich ratowania mogła się skończyć także utratą głowy. Wreszcie, kiedy moje loki znikły, a ja byłem prawie łysy, zadowolony fryzjer wyszczotkował mnie i powycierał. Z uśmiechem i kiwaniem głowy zapłaciłem i wyszedłem z ulgą na ulicę. Widziałem jeszcze, jak jeden z czekających mężczyzn zajął moje miejsce. Uff!

Później, kiedy szedłem do domu profesora, zatrzymywałem się we wszystkich sklepach zaopatrzeniowych, gdzie kupowałem mięso na kartki, których miałem setki. Blau załatwił się z tym błyskawicznie i po ustaleniu tą drogą dobrych z nim stosunków czułem się pewniej w towarzystwie tego olbrzyma.

Marek przybył, jak się ściemniło, i obaj opuściliśmy dom profesora, by za godzinę dyskretnie zastukać w drzwi frontowe ładnej willi położonej po drugiej stronie miasta. Naukowiec, drobny, w średnim wieku, o miłym uśmiechu i przyjemnych manierach, zaprosił nas do domu. Po przedstawieniu i kilku ucałowaniach rąk - jego żona i córka kręciły się nieśmiało w głębi holu - zostaliśmy wprowadzeni do pracowni profesora o ścianach wyłożonych książkami. Wszystko przebiegało dobrze i po godzinie konwersacja zakończyła się oświadczeniem profesora, że jest usatysfakcjonowany i będzie współpracował bezpośrednio z Polakami, przeświadczony, że kontakt z wywiadem brytyjskim został nawiązany. Poruszono delikatnie sprawę pokrycia kosztów związanych ze zdobywaniem informacji. Ze skromnością ale też z pewną dumą Austriak oświadczył, że jest dyrektorem Departamentu Badań, zna wszystkie sprawy tam prowadzone i nie przewiduje niczego, co by wymagało jakichkolwiek

wydatków, wyraził też zadowolenie, słysząc, że będę w Wiedniu od czasu do czasu dla przeprowadzenia rozmów, jeśli zajdzie potrzeba. Po spełnieniu misji z zamiarem wyjazdu nazajutrz wyprowadziłem się z hotelu i zostałem na noc u von Englischa. Marek przyszedł na obiad zorganizowany na tę okazję. Bibka trwała do rana, jakby wizyta członka mchu oporu była szczególną okazją do radości. Jednym z wyników tego nadmiernego pofolgowania sobie była zgoda na usilne nalegania Marka, aby pozostać kilka dni w Oderbergu i spotkać się z jego rodziną i przyjaciółmi. Na pewno zdążę na Wigilię do Warszawy. W przyjaznej atmosferze dobrze zasilonej alkoholem nie musiał długo nalegać, bym się na tę propozycję zgodził.

Blau otrzymał prezent świąteczny odpowiadający tysiącowi znaczków na mięso, a znaczna liczba znaczków na masło gwarantowała zaopatrzenie domu w ten specjał na długi czas.

Profesor odprowadził Marka i mnie na stację. Jechaliśmy osobno w pociągu i spotkaliśmy się dopiero w Oderbergu po podróży bez żadnych incydentów.

Już po godzinie trafiliśmy do rodziców Marka, którzy mieszkali w wygodnym, piętrowym domku w pobliżu Cieszyna. Nigdy jeszcze nie spotkali żadnego Anglika i było jasne, że stojący przed nimi facet, z krótko przyszyżonymi włosami w stylu Nazi, nie odpowiadał ich wyobrażeniom o Anglikach.

Wiadomość o niecodziennym gościu szybko się rozeszła. Coś ze dwadzieścia osób obojga płci zważyło się tego wieczoru w wesołym nastroju, by powitać Marka, i radośnie ruszyło w tango. Radośnie oprócz mnie, bo po wizycie u wiedeńskiego fryzjera wcale nie było mi do śmiechu.

Wszyscy, których spotkaliśmy tego dnia i w czasie całego pobytu u Marka, byli polskimi patriotami nienawidzącymi Niemców tak samo jak warszawiacy. Przyjęli zaanektowanie przez Niemców, żeby móc zachować swoje uczucia i intencje, a Niemcy w swojej katastrofalnej ignorancji nie mieli pojęcia, jakich wrogów mają wśród siebie. Marek w domu był bardzo podekscytowany i baraszkował jak pies spuszczone ze smyczy, przedstawiając mnie każdemu jako swojego angielskiego przyjaciela. Drugiego dnia przejechaliśmy się samochodem drogą prowadzącą wzdłuż obozu brytyjskich jeńców wojennych i patrzyłem na swoich uwięzionych krajan, jakby byli istotami z innego świata. Może i byli bezpieczniejsi, ale nie miałem ochoty zamienić się z nimi miejscami.

Na całym tym terenie posługiwanie się językiem polskim było streng verboten, zarówno w piśmie, jak i w mowie, ale we wszystkich domach, które odwiedziłem, było to jedyny sposób porozumiewania się. Zabronione, w pośpiechu zorganizowane zebranie na odmówienie modlitw odbyło się w miejscowym kościele, ksiądz mówił po polsku, wspominał zamorskich przyjaciół, zauważył nawet, że jeden z nich jest znacznie bliżej. Na to wszyscy zebrani zwrócili się w moją stronę i patrzyli na mnie z uszanowaniem, a ja siedziałem niby zupełnie incognito i niezauważany. Po nabożeństwie ksiądz podejmował Marka i mnie wraz z kilkoma innymi parafianami wódką i zakąskami w pokoiku na zapleczu. Było mnóstwo potrząsania rąk, poklepywania po plecach przy najmniej uprzejmych uwagach o Niemcach. Pożegnałem się z Markiem i z tymi wspaniałymi ludźmi na niezbyt pewnych nogach.

Pociąg powrotny do Warszawy był wypełniony tylko w połowie, ponieważ główny ruch kierował się o tej porze roku w przeciwną stronę - do Reichu jechali na urlopy świąteczne żołnierze z frontu i z terenów okupowanych. Nie było więc trudności, ale gdy przybyliśmy na stację Poraj leżącą na granicy z Generalną Gubernią było coś podejrzane wiele policji. Wstałem, wyjąłem fajkę i wyszedłem na korytarz, opuściwszy okno, jakbym chciał tylko popatrzeć na zewnątrz. Niemiecki oficer przechodził wzdłuż peronu i zaglądał do wszystkich przedziałów, a w odpowiedzi na jego warknięcie niektórzy

ludzie wychodzili na peron. Doszedł do mojego wagonu, wyjąłem wtedy fajkę, która dymiała już porządnie, i w momencie kiedy zaglądał do przedziału, spotkał się z moim miłym powitaniem Heil Hitler i niedbałym nazistowskim pozdrowieniem. Po krótkim czasie, kiedy znów byłem w drodze, poczułem się jakoś pewniej. Przekroczywszy granicę, popatrzyłem jeszcze z okna na biały, lodowaty polski krajobraz, zadowolony, że wracam do mojego drugiego domu.

Wcześniej po południu byłem w Warszawie, wziąłem dorożkę z dworca na Nowy Świat i witałem się znów z na poły zniszczoną Warszawą. Wsiadłem z dorożki paręset metrów za blokiem, w którym mieszkał Kaziu, oglądałem budynek ze wszystkich stron i dopiero potem, wszedłszy tylnymi schodami, zapukałem do drzwi kuchennych.

„Kto tam”?, zapytał damski głos z wewnątrz. To była Marysia. „Paweł”. Roztrzęsione ręce zaczęły wojować z łańcuchem u drzwi, po sekundzie byłem w objęciach pięknej czarnowłosej polskiej dziewczyny, a jej czułe powitanie zostało wkrótce wzmocnione przez siostrę Krystynę, mamę Stefkę i gosposię Wiktorię. Doktor i Andrzej nie mogli się do mnie dostać i tylko ich twarze zdradzały radość. Zawołano z góry Florianostwo i w mig pojawiła się butelka wódki dla uczczenia mojego powrotu. Żaden zwycięski bohater nie miał zapewne bardziej entuzjastycznego przyjęcia. Był jednak w tym powitaniu pewien zgrzyt.

„Paweł, kochanie - zawodziła Marysia - co się stało z twoimi włosami?”. Wielu familiantów i przyjaciół przybyło na Wigilię i nieskończony ciąg życzeń stanowił zakończenie mojej wyprawy.

W dzień Bożego Narodzenia Marysia, jej siostra i ja odwiedziliśmy rozmaitych znajomych w Warszawie i wróciliśmy na Nowy Świat na następną mrę jedzenia. Miasto było spokojne, bo większość ludzi świętowała w domu. Poruszanie się w prawie opustoszałej metropolii wymagało specjalnej czujności, szczególnie wobec towarzystwa mojej przyszłej żony i szwagierki.

Obfitość dostępnego jedzenia to zasługa niezwykle ożywionego czarnego rynku karmiącego Warszawę. Chociaż zarobki doktora umożliwiały nieco lepsze przeciwdziałanie inflacji cen na wszystko do jedzenia i picia, większość Polaków niezależnie od pozycji w jakiś sposób uzupełniała swoje dochody, by utrzymać ciało i ducha jakoś razem. Obowiązkowego jedzenia, kiedy nadarzała się okazja, nie dało się wprost ominąć. Jeśli coś najgorszego miało się zdarzyć, zawsze lepiej, by zdarzyło się przy pełnym żołądku niż na głodniaka, wszyscy wychodzili z tego założenia. Rzadko kto omijał okazję, niezależnie jak małą w walce o przeżycie.

Następnego dnia, choć tu to nie Boxing Day*, ale też dzień wolny od pracy jak u nas w domu, powiedziałem sobie „raz kozie śmierć”. Z całą tradycyjną kurtuazją na jaką mogłem się zdobyć, poprosiłem doktora o prywatną rozmowę i oświadczyłem się o rękę Marysi. Zgodę ostatecznie otrzymałem, ale nie bez surowego i długiego tłumaczenia, jak mało zasadne są moje oświadczenia. Mój przyszły teść miał wiele zastrzeżeń w stosunku do obcego, który przed paroma miesiącami wszedł w ich krąg rodzinny. Zgoda wreszcie i błogosławieństwo zostały jednak udzielone i przypieczętowane w gabinecie Kazia butelką wódki, która stawała się ulubionym napojem dla mnie, jak i dla większości Polaków. Nikt chyba nie zdobył sobie lepszego teścia i w dzień przed Nowym Rokiem mieliśmy przyjęcie zaręczynowe, w mieszkaniu przepełnionym do granic możliwości życzeniom szczęścia dla tego niezwyklego nieco związku nie było końca.

W jakiś sposób w tym nawale przyjęć i spotkań towarzyskich znalazłem czas na napisanie raportu o mojej wizycie w Wiedniu i nawiązaniu zadowalającego kontaktu między naukowcem i lokalną polską komórką szpiegowską. W ostrożnych słowach, starając się nie być nazbyt krytyczny, zwróciłem także uwagę na niepotrzebne ryzyko wpadki, które można by zmniejszyć. Podkreśliłem szczególnie

niebezpieczeństwo wynikające z rejestrowania agentów na fałszywych papierach w hotelach, gdzie są narażeni na regularne czy przypadkowe szczegółowe kontrole policji. Chociaż agenci przebywający mniej czy więcej na stałe na terytorium wroga mieli swoje mieszkania i profesjonalne zabezpieczenie, w czasie mojej pracy w wywiadzie nie nastąpiła zmiana mająca na celu zapewnienie dodatkowego bezpieczeństwa kurierom. Wielu mężczyzn i kobiet znikło gdzieś w czasie wypraw z Warszawy do Reichu i ich wpadki, jestem pewien, były spowodowane niedociągnięciami planowania, które niepokoiły mnie podczas mojej pierwszej podróży do Austrii. Karol nie komentował mojego raportu i wyglądało na to, że jest zadowolony do tego stopnia, że zrobił mi prezent w postaci czterech tysięcy złotych jako dodatku do mojej normalnej gaży oraz udzielił mi dwutygodniowego urlopu bez konieczności kontaktowania się z nim w tym czasie.

Wykorzystałem ten wolny czas na szereg wizyt, najczęściej razem z Marysią u wielu przyjaciół, którzy okazali mi tyle życzliwości w 1942 roku, moim pierwszym pełnym roku pobytu w Warszawie. Tommie, dziewczyny i inżynier na Saskiej Kępie byli pierwsi w kolejce. Stenia i Janka słyszały plotki kursujące w Podziemiu o jakimś tajemniczym Angliku w ruchu oporu

PRZYPISY AUTORA:

* Boxing Day - w Anglii drugi dzień Bożego Narodzenia, czas dawania prezentów (przyp. red.).

i prośby przez nie wyrażane, bym był bardzo ostrożny, dawały do zrozumienia, że to chodziło o mnie. Nawet Tommie, zawsze małż w muszli, jeśli idzie o sprawy bezpieczeństwa, na pożegnanie powiedział: „Na miłość boską Ron, uważaj!”. Myśl o wpadce i torturach prześladowała w Podziemiu każdego.

W czasie mojego narzeczeństwa z Marysią często pozostawałem zamknięty w swoim pokoju u Florianów, nad mieszkaniem doktorostwa. Fakt, że moja kryjówka mieściła się zaledwie piętro wyżej od mieszkania rodziny, która zawierała mi tytuł przyszłego zięcia, pozostawał tajemnicą mimo rozgłosu, jakiego nabrały nasze zaręczyny. Poza moim gospodarzem i jego żoną, Florianem i Anną nikt poza rodziną doktora i gospożą Wiktorią nie miał pojęcia, gdzie jest moje stałe miejsce pobytu. Czując się dosyć bezpiecznie, wylegiwałem się na tapczanie, czytając czy śpiąc, ale często po prostu rozmyślając o przeżyciach i perspektywach na przyszłość. Duża część tych rozmyślań poświęcona była sprawom związanym z moimi zaręczynami z Marysią. Z samym ożenkiem trzeba było poczekać, ale wybór został dokonany, padł na wspaniałą dziewczynę i byłem zdecydowany brać ślub jak najszybciej, pod warunkiem że będzie to bezpieczne, co zależało oczywiście od tego, jak potoczą się sprawy związane z Hitlerem. Gdyby tylko udało się przeżyć do zwycięstwa i momentu, kiedy Polska odzyska wolność! Anglia i mój nowy kraj będą wtedy kwitnąć. W marzeniach, zbyt optymistycznych pewnie w centrum okupowanej Warszawy, widziałem biura w stolicach obu krajów i rozwijające się imperium handlowe między Zjednoczonym Królestwem i Polską. Wiele zależało od tego, jak długo będzie trwała wojna. W początku 1943 roku trwała już ponad trzy lata i rozszerzyła się z teatru europejskiego, tworząc chaos na skalę globalnej konfrontacji. Przynajmniej nie było już miejsca w sensie fizycznym na dalszą ekspansję i logika podpowiadała zmniejszanie się wrogich działań zmierzające do pokoju, oczywiście nie trzeba mówić, pokoju po zdecydowanym pokonaniu i zniszczeniu nazistów.

Od momentu przybycia do polskiego Korytarza w 1940 roku jako niemiecki jeńiec wojenny rosło we mnie przeświadczenie, że naziści mają zamiar zastosować do Polaków taki sam program likwidacji, jaki zastosowali do Żydów. Nawet gdybym osobiście przeżył niebezpieczeństwa wojny, przyszłe

zniszczenie narodu polskiego po zwycięstwie nazistów objęłoby też mnie i moją przyszłą żonę. Wszystko to bardzo ponure refleksje.

W czasie kiedy Tommie i ja uciekliśmy z obozu w Litzmannstadt i przez większość 1942 roku nawet najbardziej optymistyczni zwolennicy aliantów nie mogli z pewnością wykluczyć możliwość zwycięstwa nazistów. Tylko rosyjska zima z jej lodowymi szanćami uchroniła stalinowskie imperium przed upadkiem. Atlantyk stał się grobowcem brytyjskich linii zaopatrzenia.

Afrika Korps udowodnił swoje możliwości przystosowawcze, elastyczność i wysoką zdolność bojową niemieckiego żołnierza i wojennej maszynierii. Hordy z Kraju Wschodzącego Słońca gotowe były do dalszych masowych akcji na Wschodzie. Były jednak pewne przebliski nadziei przenikające przez ciemne chmury, które zakrywały krajobraz aliancki od początku wojny. Szczególnie w wielkim narodzie amerykańskim porażki wzbudziły poczucie misji, by pomóc uratować obłożone demokracje Wielkiej Brytanii i aliantów przed tyranią. W wyniku ataku na Pearl Harbor Stany Zjednoczone zmobilizowały się militarnie i przemysłowo do wielkiej przyszłej walki i zwycięstwo wydawało się nie tak odległe. RAF przewodził drodze brytyjskiej przez zorganizowanie największego w historii rajdu lotniczego, kiedy to tysiąc bombowców starło na proch Kolonię, a znacznie więcej takich akcji miało jeszcze spotkać inne miasta Reichu.

Pod koniec 1942 roku zwycięstwa aliantów na pustyniach w Afryce Północnej i amerykańskie sukcesy w wojnie morskiej przeciwko Japończykom na Pacyfiku stanowiły pożądaną zapowiedź tego, co miało nadejść. Na niektórych odcinkach frontu wschodniego Rosjanie zmusili Niemców do defensywy. Przez trzy lata alianci ciągle się wycofywali. Następował powolny, lecz pewny zwrot w sytuacji.

Na przełomie lat 1942 i 1943 dawał się zauważyć w Warszawie wzrost niemieckiej aktywności. Można było sądzić wtedy, że okrucieństwa, represje i prześladowania pokonanego narodu osiągnęły już granicę nawet teutońskich umiejętności w zakresie brutalności i barbarzyństwa. Niewielu Polaków wyobrażało sobie gorszą przyszłość niż to, co miało ich dotknąć w 1943 roku. Niektórzy, jak dotąd, uniknęli wielu trudności i terroru związanego z inwazją nazistów, ale teraz nastąpił okres bezpośredniego zapoznania się ze szwabskim bestialstwem dla każdego bez wyjątku mężczyzny, kobiety i dziecka w Generalnej Guberni. Do teraz represje były skierowane przeciwko grupom ludności, które potencjalnie mogły tworzyć ruch oporu. Tysiące, w ciszy nocy, znikwały z domów. Podobna liczba była dyskretnie wylapywana na ulicach, podczas korzystania z publicznych środków transportu jak tramwaje i pociągi. Zamykanie do więzień, tortury i mordowanie miały miejsce na wielką skalę, najczęściej jednak nie były powszechnie widoczne, a uciekinierzy opowiadali, co działo się w obozach koncentracyjnych i celach gestapo. Początek 1943 roku oznaczał rozpętanie znacznie szerszej kampanii terroru, w którego wyniku każdy Polak był albo ofiarą albo był nim blisko dotknięty. Nastąpiły masowe publiczne łapanki, deportacje i mordy.

Kiedy wymogi wojenne drenowały siłę roboczą przemysłu, najłatwiej było zastępować ją ludźmi z krajów pokonanych i okupowanych. Łapanki, jak to nazywano w Polsce, stały się istotnym zjawiskiem życia codziennego w Warszawie i pociągały za sobą wzmaganie się okrucieństw po obu stronach. Przebywając za granicą w miejscach publicznych przeżyłem wiele kontroli chroniony przez rejestrację w nazistowskim Urzędzie Pracy i dzięki innym fałszywym, ale skutecznym dokumentom. Łapanki stworzyły dodatkową groźbę dla mnie, tak jak i dla Polaków. Całe ulice zamykane były przez policję i wojsko i większość mężczyzn i kobiet z takiej pułapki wywożono do obozów koncentracyjnych lub do niewolniczej pracy w Niemczech. Ludzi z tramwajów i wagonów kolejowych, niezależnie od posiadanych dokumentów, pędzono jak bydło do ciężarówek i wielu z

nich nigdy już nie zobaczyło domów ani rodzin. Bycie Polakiem wystarczyło, by być tak traktowanym.

Poruszanie się po mieście jako Polak stało się tak niebezpieczne, że zdecydowałem się być Niemcem za drzwiami, a Polakiem w domu. Parę metrów od wejścia do mieszkania przy Nowym Świecie był mały sklep, w którym sprzedawano w uzupełnieniu czarnorynkowej żywności także wódkę. Doktor i jego rodzina byli regularnymi klientami tego sklepiku prowadzonego przez polskie małżeństwo i sądząc po różnych antynazistowskich komentarzach o ich uczciwości, Kazio uznał, że można mnie im przedstawić, a oni natychmiast podjęli współpracę. Od tego czasu wychodząc z mieszkania, miałem na sobie kapelusz noszony przez Polaków i pakiet dokumentów związanych z miejscem mojego zamieszkania. Wstępując niepostrzeżenie do sklepiku, zamieniałem tam kapelusz i dokumenty polskie na niemiecki kapelusz filcowy i na kopertę z dokumentami opisującymi mnie jako niemieckiego inżyniera. Wszystko to było proste, stanowiło doskonałe zabezpieczenie przed łapaniami, bo Niemcy po prostu nie łapali Niemców. Durchlassen, bitte (przepuścić proszę) i błyskanie niemieckim paszportem wystarczyło zwykle, bym przeszedł przez kordon niemieckich łapaczy i czuł jeszcze większe współczucie dla Polaków.

Mimo zwiększenia się ryzyka przebywania na warszawskich ulicach, w tramwajach czy pociągach, ruch oporu z poświęceniem prowadził szeroką działalność, bardziej niebezpieczną niż kiedykolwiek. Wszyscy schwytani byli zamykani i przepytывani, wykrycie fałszywych dokumentów lub udziału w działalności Podziemia oznaczało śmierć w męczarniach lub powolniejszy koniec w obozie koncentracyjnym. Wiele tysięcy patriotów znikło z polskich szeregów, aleja, chroniony znajomością języka niemieckiego i nazistowskimi dokumentami, byłem stosunkowo bardziej bezpieczny niż przeciętny obywatel Warszawy.

Pod koniec stycznia w czasie wizyty służbowej Karol przedstawił mnie pewnemu starszemu, drobnemu człowiekowi w grubych okularach. Bolek był szefem sekcji czechosłowackiej z siedzibą w Pradze. Każdy słyszał o wielkich zakładach zbrojeniowych, które od aneksji kraju w 1939 roku pracowały dla Hitlera na pełnych obrotach, i nie było nic dziwnego w tym, że Bolek spotka mnie w Pradze. O istocie nowego zadania nie dyskutowaliśmy, a Karol miał dla mnie jeszcze inne małe zadanie do wykonania w Wiedniu, gdzie miałem się zatrzymać na jedną noc.

Cały dzień trwało przygotowanie dla mnie zupełnie nowych personaliów. Duża niemiecka firma transportowa i doręczycielska Schenker i Ska miała oddział w Warszawie. Była ona oficjalnym przewoźnikiem materiałów wojennych na całą Europę, i jako samodzielny pracownik lokalnego magazynu miałem udać się do składów firmy w Wiedniu i w Pradze. Mój nowy paszport niemiecki uzupełniony został znaczną liczbą materiałów firmowych, instrukcjami na drukach firmowych i tym podobne. Miło mi się było dowiedzieć, że moje nowe fałszywe nazwisko było identyczne z nazwiskiem rzeczywistego młodego pracownika Schenkera w Warszawie.

Myśląc zawsze o możliwych wpadkach, miałem nadzieję, że żaden z Niemców, którzy sprawdzali mi dokumenty w czasie mojej poprzedniej podróży, nie będzie na podobnej służbie i przypadkiem nie zakwestionuje nazwiska i zawodu młodego człowieka, który kilka tygodni przedtem był inżynierem kolejowym.

Przedział, w którym wyjeżdżałem z Warszawy, pełen był młodych esesmanów, wysilających się, by nie dostrzegać takiej marnej kreatury jak ten młody cywil jadący z nimi. Śpiewali, dumni i pełni wojennej żarliwości, żartowali i śmiali się. Wolałem ten ostracyzm, bo swobodna rozmowa zawsze stanowiła pewne niebezpieczeństwo i należało jej unikać. Idąc to toalety, śpiewałem sobie w duchu

głośno *It's a long way to Tipperary*, i robiąc obraźliwe miny i gesty w ich kierunku, miałem nieco, dziecinnej wprawdzie, satysfakcji.

W Wiedniu, teraz w innym charakterze niż podczas pierwszej wizyty, po zameldowaniu się w innym hotelu, zadzwoniłem do profesora i spotkałem się z nim w restauracji. Przyniósł ze sobą paczkę dla Karola, którą miałem zabrać do Warszawy, a w zamian otrzymał dużą sumę niemieckich marek i arkusze kartek żywnościowych. Przyjemnie było się dowiedzieć, że austriacki naukowiec współpracował ku zadowoleniu Marka.

Lila, była sekretarka Karola, która uczestniczyła w kursie szpiegowskim w Warszawie, pracowała obecnie w Wiedniu, wprzęgnięta do agenturalnego kieratu. Profesor von Englisch dał mi jej telefon i mając zamiar ruszyć następnego dnia do Pragi, pożegnałem się z nim i kazałem poklepać Blaua, tego psiego olbrzyma, w moim imieniu. Lila ucieszyła się bardzo z mojego telefonu i spotkaliśmy się wieczorem w restauracji. Mieliśmy o czym mówić podczas kolacji uzupełnionej winem i prawie zapomnieliśmy, że Wiedeń to bastion wroga. Kiedy padło imię Marka, lokalnego szefa, z rumieńca Lili i pewnego zakłopotania, a także kilku wypowiedzi wywnioskowałem, że między nimi rozwija się romans. Wbrew wszystkim uwagom Zosi w Warszawie, poczynionym, kiedy dowiedziała się o moich zaręczynach, a do-tyczającym zwiększonej odpowiedzialności zakochanych członków ruchu oporu, złożyłem jej najgorętsze gratulacje. Po kolacji poszliśmy do teatru, zupełnie jak u siebie, chronieni tłumem i w nim zatopieni w słabo oświetlonym audytorium. W czasie przerwy dyrektor wyszedł na scenę przed kurtynę i zaczął: *Meine Damen Und Herren*. Widzowie zamarli w oczekiwaniu na jakiś dramatyczny anons. Stalingrad wpadł w ręce rosyjskie. Dziewięćdziesiąt tysięcy żołnierzy z feldmarszałkiem Paulusem, ocalała resztką z ponad dwudziestu dywizji, poszło do niewoli.

Nie było ogłoszenia, że spektakl zostanie przerwany, ale ponieważ wiele tysięcy żołnierzy austriackich walczyło na tym odcinku frontu, cała widownia podniosła się z krzeseł targnięta żalem. Mężczyźni i kobiety nie ukrywali szlochu i zmierzali ku wyjściu. Lila i ja uznaliśmy, że dla nas też najlepiej będzie wyjść, i choć poruszeni byliśmy tym przejawem serdecznego ludzkiego bólu, wiadomość okazała się radosnym zakończeniem wieczoru. Pożegnaliśmy się czule i poszliśmy, weseli, swoimi ścieżkami. To wiedeńskie spotkanie z Lilą było naszym ostatnim spotkaniem.

Następnego dnia na stacji, kiedy łąpałem pociąg do Pragi, słychać było przez głośniki przemówienie Göringa, w którym starał się osłodzić narodowi niemieckiemu stalingradzki szok. Od opuszczenia pokoju, kiedy poszedłem płacić za hotel w foyer, aż do momentu, kiedy pociąg ruszył ze stacji, zmierzając w kierunku czzechosłowackiej stolicy, rozbrzmiewały śpiewy pogrzebowe. Żadne zjazdowe slogany opasłego zastępcy przewodnika Reichu nie mogły zmniejszyć wstrząsającego efektu tego, co było dla hitlerowców pierwszą prawdziwie krwawą i złowieszczą klęską niemieckiej maszyny wojennej.

Pasażerowie pociągu do Pragi stanowili mieszaninę Czechów i Niemców, zarówno umundurowanych, jak i po cywilnemu. Kontrola graniczna przebiegła ulgowo, a stary policjant prowadził ją tak, jakby nie chciał, by mu przeszkadzano w czytaniu goebbelsowskiego „*Das Reich*”.

Nie byłem poprzednio w Czechosłowacji i kiedy pociąg pędził, dudniąc, w kierunku Pragi, spokojna atmosfera panująca w tym także okupowanym kraju rzucała się w oczy. Panowało jakby uczucie akceptacji między Szwabami i Słowianami, a opinii tej nie zmieniłem i potem. Jeżeli coś by szło źle w Polsce, zawsze można było liczyć na przynajmniej pasywną pomoc każdego Polaka, by przeszkodzić Szwabom. Ale w wyniku tych pierwszych wrażeń z Czechosłowacji postanowiłem działać bardzo, ale to bardzo ostrożnie.

Znając nazwę rekomendowanego hotelu, zaraz po przybyciu do Pragi sprawdziłem bezpieczeństwo, przepatrując starannie ruchliwą główną ulicę. Poczuję niepokój, kiedy recepcjonista, Czech, zażądał złożenia u niego mojego niemieckiego paszportu. Wprawdzie dał mi oficjalne pokwitowanie dokumentu, ale leżąc w hotelowym sejfie, będzie dostępny dla każdej oficjalnej kontroli, a oprócz tego, nie mógłbym opuścić Pragi. Fakt, że paszport był fałszywy, też był niepokojący. Moja zasada prawdopodobieństwa kazała mi myśleć o kombinacji potencjalnych nieszczęść, i choć stawałem się bardziej filozoficznie nastawiony na takie ryzyko, nic miłego nie wiązało mnie z Czechosłowacją. Byłem zupełnie sam, a życzliwą twarz zobaczę, jak uda mi się spotkać z Bolkiem.

W Warszawie Bolek podał mi nazwę kawiarni w Pradze przy głównej ulicy, gdzie mieliśmy się spotkać. Obiecał, że będzie tam przychodził każdego wieczoru o szóstej przez cały tydzień, żeby mieć pewność, że się spotkamy nawet w przypadku opóźnienia się mojego przyjazdu do Pragi z tych czy innych względów. Po odszukaniu tej kawiarni, „Franceska”, jeśli pamięć mnie nie myli, wybrałem się na spacer do centrum miasta.

W Pradze nie było widać śladów zniszczeń wojennych i jej mieszkańcy zapełniali ulicę, na której ruch, zarówno pieszy, jak kołowy, był w połowie tylko tak spieszny jak w Warszawie. Na placu Wacława, choć było mnóstwo śniegu dookoła, nie odbywały się uroczystości ku czci świętego Szczepana, ani nie widziałem dobrego króla obserwującego jednego ze swoich poddanych zbierającego drwa na zimowy opał. Może dlatego, że było południe i nie świecił księżyc*.

Do kawiarni „Franceska” przybyłem dobrze przed szóstą i czekałem na Bolka ponad godzinę. Nie był to może zły omen, ale utrata łączności na pewno stworzyła komplikacje i po jak zwykle obfitym jadle polskiego szpiega w pobliskiej restauracji, być może ostatniej wieczery, wróciłem do hotelu w niezbyt dobrym nastroju, zniechęcony do świata i przygnębiony.

Kilka godzin później ciszę nocną przerwały głosy i ciężkie kroki na korytarzu piętro wyżej. Przestraszony jeszcze bardziej się zaniepokoiłem, słysząc, że to zamieszanie zbliża się w moim kierunku. Usłyszałem głośnie walenie w drzwi sąsiedniego pokoju, a następnie odgłosy włamywania się ciężko obutych osobników. Prawie przestałem oddychać z przestachu i podniecenia. Potem głośno otwierano szuflady, przesuwano meble, sprawdzając ściany, wreszcie padło to znienawidzone zaproszenie gestapo Kom-men Sie mit. Jakiś biedak został aresztowany, ale ja, bardziej martwiąc się

PRZYPISY AUTORA:

* Autor odwołuje się do popularnej angielskiej pieśni bożonarodzeniowej Good King Wenceslaus went out on the Feast of Stephen (przyp. red.).

sobą, modliłem się, żeby ten sąsiad czy sąsiadka byli jedyną przyczyną tych nocnych odwiedzin. Hałasy przycichły i szczęśliwie się stało, że Niemcy wyszli, nie zdając sobie sprawy, że w odległości kilku stóp od nich siedziała na łóżku inna przestraszona potencjalna ofiara.

Wreszcie nastał świt. Nie zmrúżywszy nawet oka, poszedłem do foyer i niby mimochodem zapytałem portiera, co było przyczyną tych nocnych hałasów. „Oni”, kogośkolwiek miał na myśli, zabrali jakąś kobietę. Pomyślałem o natychmiastowym wymeldowaniu się z hotelu, ale po zastanowieniu się doszedłem do wniosku, że jak dotąd, nie padło podejrzenie na mnie i warto zaryzykować pozostanie, by ponowić próbę skontaktowania się z Bolkiem. Ale ze względu na złe doświadczenia i możliwą kontrolę i tej nocy, dzień spędziłem, kręcąc się po mieście, wchłaniając baśniową prawie niezwykłość Pragi, rzecz bardzo zajmująca dla chłopaka z Londynu.

Znów przybyłem do kawiarni punktualnie o szóstej i bezowocnie przeczekałem godzinę. Bolek znów się nie pojawił. Postanowiłem nie próbować po raz trzeci następnego wieczoru. Nie było racji przypuszczać, że trzecia próba się powiedzie. Wracam do Warszawy następnego dnia. Wzmocniony butelką wina i kilkoma jasnymi drugą noc w Pradze miałem spokojną i błogosławioną najzdrowszym snem. Wymeldowałem się z pokoju bez kłopotów, otrzymałem paszport i powędrowałem na stację przed czasem. Do diabła z Pragę! Szczerze życzyłem Bolkowi, żeby nic poważnego z nim się nie stało, ale jeśli to wina niedbalstwa z jego strony, to do diabła i z nim!

Wkrótce po opuszczeniu Pragi starszawy oficer kontroli w cywilu przejrzał niezbyt starannie moje dokumenty. Miał ojcowski raczej wygląd, nie jak w Generalnej Guberni, i opuszczając Pragę w lepszym humorze, nawet żartowałem sobie z nim, kiedy sprawdzał moje papiery od Schenkera.

Oprócz łagodnego przepytывania w pociągu miałem przed sobą tylko jedną kontrolę graniczną przed powrotem do Warszawy. Był piękny, mroźny i brylantowo słoneczny ranek, kiedy pociąg wtaczał się na średniej wielkości stację Poraj. Nietrudno zapamiętać nazwę tego punktu granicznego. Podniosłem się niby dla wyprostowania nóg, ale w istocie by rzucić okiem na peron, czy nic nadzwyczajnego się nie szykuje. W tym przypadku nie było podstaw oczekiwać czegoś nadzwyczajnego, ale ku mojemu zaskoczeniu zobaczyłem, że peron roi się od niemieckiej policji, wojska i cywilów najwyraźniej z gestapo. Jeśli ta obecność sił bezpieczeństwa związana jest z podwójnym niezgłoszeniem się Bolka na punkt kontaktowy w Pradze, być może chodzi w całej tej szykującej się akcji Szwabów o mnie. Ostrzeżony, znaczy uzbrojony. Wyszedłem z pociągu na peron, aby natychmiast zostać zawrócony rozkazem niemieckiego policjanta, ale posługując się najbardziej grzecznym i kulturalnym niemieckim, zapytałem go, co się dzieje.

„Kontrola losowa”, odpowiedział. Miałem trudną tę czechosłowacką podróż. Wiadomości o niebezpieczeństwie kontroli losowych kursowały po Warszawie. Zmęczeni niemożliwością wyłapania osobników wyraźnie wyglądających na kurierów, a posługujących się doskonale fałszowanymi dokumentami, Szwaby przyjęły nową taktykę.

Niezależnie od wieku, zawodu, narodowości i płci, pewien procent pasażerów wybierano z pociągów w dowolnym miejscu dla szczegółowej kontroli, zanim pozwolono im podróżować dalej. Dla osoby z podrobionymi papierami ta przekłeta kontrola oznaczała natychmiastowy telefon do oficjalnych władz niemieckich wpisanych w dokumencie lub wystawiających dokument. Jeśli osoba legitymująca się danymi dokumentami była nieznana w miejscu ich wystawienia, oznaczało to, że podrabiacz zostawał zdemaskowany z tragicznymi skutkami. Z przeładowanych pociągów czasem wybierano tylko co dziesiątą osobę, ale często co drugi pasażer poddawany był takiemu niebezpiecznemu sprawdzaniu. Jeśli komuś udało się wymknąć kontroli szereg razy, szansa wpadki wzrastała przy każdej następnej podróży, zwykle zastosowanie praw statystyki. W tym przypadku, patrząc co się dzieje na peronie, stwierdziłem, że co trzeci pasażer był wybierany i odprowadzany do poczekalni.

Dwaj Niemcy wdarli się do przedziału, pierwszy, szturchając pistoletem w pierś, odliczał każdego pasażera

Ein, zwei, h 'reus - jeden, dwa, precz. Na mnie wypadł numer trzy i zostałem wypchnięty na peron.

Gdzie, u diabła, podziła się moja dobra wróżka?

Obywatele niemieccy mieli pierwszeństwo w sprawdzaniu i stojąc przed nazistowskim żandarmem siedzącym w małym biurze, wymamrotałem: „Od Schenkera z Warszawy”. Wydawało mi się, że głos mi drży, ale nie zostało to zauważone.

„Podaj mi listę załogi warszawskiego Schenkera”, zawołał i wzięwszy moje papiery, porównywał z maszynopisem listy, jaką podał mu szybko podwładny. Moment prawdy się zbliżał. Niemiec wydał pomruk zadowolenia i zwrócił mi papiery. In Ordnung, wrócić do pociągu. Modliłem się za tego geniusza, który obdarzył mnie nazwiskiem osoby zatrudnionej u Schenkera. Kiedy pociąg ruszał, drzenie ze strachu ustało, jakoś się uspokoiłem.

Stosowano też inną technikę wyłapywania szpiegów. Niemcy zdawali sobie sprawę z powszechnego używania przez polskich agentów fałszywych zaświadczeń zatrudnienia wystawionych dla rzekomych pracowników Kolei Wschodniej. Sam używałem często takich dokumentów w Generalnej Guberni i w czasie pierwszej podróży do Austrii. Niemcy nagle unieważnili wszelkie prawdziwe dokumenty wystawione dla swoich pracowników i wklejali kolorowy, datowany znaczek, coś jak znaczek pocztowy, na odwrocie każdego dokumentu. Gestapo wiedziało, że każdy przedstawiony im dokument kolejowy tego typu bez odpowiedniego kolorowego znaczka właściwie datowanego był fałszywy. Wielu polskich agentów nie wiedząc o tym posunięciu, przedstawiało ze zwykłą ufnością fałszywe dokumenty Kolei Wschodniej i już nigdy nie wracało do bazy. Próby losowe, z których jedną przeżyłem, pozostały śmiertelną groźbą ale znaczki na paszportach kolejowych wkrótce przestały być problemem. Ruch oporu miał swoich agentów pracujących w oficjalnej administracji Kolei Wschodniej, kopie nowych znaczków i dat szybko więc zdobyto i naklejano jak i gdzie trzeba, czyniąc w ten sposób fałszywe dokumenty wystawiane przez ruch oporu znowu nieodróżnialnymi.

W rodzinie powitano mnie serdecznie. Warszawa żyła w gorączce. Trwały masowe łapanki uliczne i docierało do nas mnóstwo wiadomości o krewnych i przyjaciółach, którzy nie wrócili do domu, załatwiając swoje codzienne sprawy na mieście. Niemcy działali bez ostrzeżenia i zwykle gdy ulice były najbardziej przepełnione, więc tylko ci, co musieli iść do pracy lub byli w ruchu oporu, wychodzili z domu. Zamknięcie w domu z obawy przed łapankami ulicznymi było bardzo przykre dla tak aktywnej dziewczyny jak Marysia. Po wielu perswazjach zgodziła się używać fałszywych papierów niemieckich dostarczonych przez dział techniczny ruchu oporu przedstawiających ją jako moją żonę. Te nowe dokumenty były tak dograne, że pasowały do moich dokumentów, tak że mogliśmy się razem poruszać po mieście ze względnym bezpieczeństwem. Ta kombinacja okazała się bardzo skuteczna i żaden patrol nie miał najmniejszych podejrzeń, że Herr lub Frau używają podrobionych dokumentów. Ja prowadziłem wszystkie rozmowy, a wyraz twarzy Marysi nie był zbyt zachęcający, kiedy policjanci nazi nas zaczepiali.

Rutyna prowadziła do lekceważenia niebezpieczeństwa i stałem się prawie zbyt pewny siebie, poruszając się po mieście pod tym skutecznym przykryciem, choć dla zwykłych Polaków życie codzienne było fizycznym i psychicznym koszmarem. Aż do tej eskalacji terroru głównie członkowie ruchu oporu, ukrywający się byli oficerowie, inteligencja i inne klasy społeczne uważane za zagrożenie dla Reichu były poszukiwane i likwidowane przez siły okupacyjne. Dla tych grup, oczywiście ukrywających się pod innymi nazwiskami, przyjęto, że walka frontowa trwa bez przerwy przez dwadzieścia cztery godziny na dobę od samego początku wybuchu wojny w 1939 roku, ale teraz polowano na wszystkich mieszkańców Warszawy jako na paszę dla fabryk wojennych w Reichu.

Rozpoczynająca się kampania terroru rozpałała nienawiść do Niemców do nieobserwowanego dotychczas stopnia, do granic eksplozji w każdej polskiej piersi. W miarę jak narastała pasja nienawiści, płynęło coraz więcej krwi i większość Polaków wprost nie mogła się doczekać powstania, które przygotowywało Podziemie. Niektórzy nie byli w stanie oprzeć się chęci zemsty i wielu pojedynczych Niemców zastrzelono przy różnych okazjach. Szwaby odpowiadały na to, stosując okrutną i niesprawiedliwą zasadę odpowiedzialności zbiorowej. Represje przyjęły charakter

publicznych egzekucji przypadkowo aresztowanych, często całych grup niewinnych cywilów schwytanych na ulicy, których krew codziennie płynęła rynsztokami Warszawy.

Wobec tych nowych zagrożeń, wobec ciągle wzrastającej liczby ofiar, przeżycie stało się sprawą numer jeden dla każdego Polaka. Przed tymi należącymi do ruchu oporu stała ponadto konieczność wzmożenia walki przeciwko Szwabom. Przyjęto to jako rzecz oczywistą. Polska żyła, kochała, bała się i walczyła mimo wszystko.

Były urodziny Karola. Wiedział on o moich zaręczynach z Marysią i uznał, że jest to okazja, by ją poznać. Zarezerwowano stolik dla czworga w małej, bezpiecznej restauracyjce „Mewa Morska” i w miłym saloniku na zapleczu byliśmy gośćmi, Marysia i ja, szefa polskiego szpiegostwa i jego żony. Nasze najlepsze ubrania, moje z zasobów z czasów mieszkania u Lorenzów na Żoliborzu, pozwalały nam pokazać się w najlepszym towarzystwie. Krawiectwo i modniarstwo w Warszawie stało w przeszłości na bardzo wysokim poziomie, a obuwie, szczególnie damskie, było najbardziej eleganckie. Obfite jedzenie, w czasie wojny zawsze przedmiot podziwu, chociaż bardzo drogie, wzmocnione wódką i winem, zapewniało dobry nastrój panujący w saloniku. Marysia wyraźnie została zaakceptowana przez pana Karola i jego małżonkę.

Nie padło ani jedno słowo na temat pracy, chociaż nawet w najswobodniejszych momentach Karol był, jak przystało na członka ruchu oporu, zawsze w pogotowiu. Oczywiście miał czujne i pilnie zwracał uwagę na wszelkie dźwięki, nie tylko związane z żywą konwersacją jakby mógł sądzić postronny obserwator widzący jego pełne zaangażowanie w bieżące rozmowy.

W drodze dorożką do domu nic mnie nie obchodził cały świat. Byłem niemieckim inżynierem pracującym dla Vaterlandu na okupowanym terytorium, który akurat był na proszonym obiedzie ze swoją niemiecką żoną. Wątpię, czy Karol miał tak doskonałe papiery. Po niemiecku mówił dosyć miernie.

Oficjalnie spotkałem Karola następnego dnia na częściowej odprawie na temat Hamburga, o czym napomykano już wcześniej. Hickman, MacDonald i Chisholm, ci trzej, których eskortowałem z Krakowa, wszyscy bardzo przystojni młodzi ludzie, żyli sobie spokojnie i stali się ulubieńcami rodzin, które ich przygarnęły. Przy odrobinie szczęścia mieli szansę uniknąć wpadki.

Tommie, Stenia i Janka bezpiecznie mieszkali na Saskiej Kępie, tak jak ich sąsiad inżynier z psem Szkotem. Dowiedziałem się z pewnym niepokojem, że ci trzej piloci, których Lila i ja przewieźliśmy z Krakowa, są teraz stałymi gośćmi u Tommiego i dziewczyn. Te ostatnie były niezmiernie gościnne, ale Tommie, mówiący już doskonale po polsku, był zawsze w kręgach Podziemia przykładem rozsądku. Dla Steni i Janki zrobienie z ich mieszkania miejsca spotkań dla tylu osób aż prosiło się o nieszczęście. Nie czułem się jednak upoważniony do czynienia uwag na ten temat i choć dziewczyny ignorowały coraz bardziej grożące niebezpieczeństwo, nie robiłem hałasu, tym bardziej że wiele moich odwiedzin nie było przykładem dobrych praktyk konspiracyjnych. Uważałem, że Tommie ma podstawy czuć się pewniej ze względu na znajomość języka.

Tania, mała pani doktor, wybrała się w odwiedziny do Ojczulka i Eny, którzy zimowali pomyślnie i ciągle otrzymywali regularną pomoc finansową od Podziemia za pośrednictwem Czesi. Sprawę bezpieczeństwa Marysi uważałem za najważniejszą. Była tak wspaniałą i utalentowaną dziewczyną że sama myśl, iż mogłaby się znaleźć w opałach, wydawała mi się nie do zniesienia. Zosia miała rację, mówiąc o odpowiedzialności związanej z miłością kiedy jest się w ruchu oporu, toteż kiedy Karol powiadomił mnie o misji do Hamburga, trudno było mi się zdobyć na entuzjazm. Kto wie, gdyby

Marysia weszła poważnie w moje życie kilka miesięcy wcześniej, może bym przyciszył swój zapal do tej rosyjskiej ruletki, do której teraz byłem przypisany nieodwołalną przysięgą.

Szczegóły dotyczące podróży do Hamburga nadawały jej podobny charakter, jaki miały moje poprzednie wyprawy do Wiednia i Pragi. Niemcy zaprzestali prowadzenia długiej i desperackiej kampanii skłaniania Polaków do ochotniczego wyjazdu do pracy w fabrykach w Reichu, bo wyniki były bardzo nikłe. Nowa strategia polegała na organizowaniu łapanek i przymusowej deportacji. Wielu Polaków z Warszawy, którzy poprzednio zgłosili się na ochotnika do pracy, było członkami Podziemia i robiło to na polecenie legalnego i oficjalnego wejścia w szeregi niemieckiej siły roboczej w samych Niemczech. Po jakimś roku pracy podstawowej zorganizowano obejmującą całą Rzeszę sieć agentów pracujących w fabrykach, a członkowie tej sieci byli teraz dostatecznie przygotowani do podjęcia roboty szpiegowskiej i sabotażu. Podczas dyskusji o podróży do Hamburga był z Karolem pewien Polak w średnim wieku z wąsikami w stylu Hitlera. Wedle szefa, Piotr był łącznikiem między poszczególnymi komórkami prowadzącymi działalność, która teraz miała zacząć przynosić owoce na terenie zachodnich Niemiec. Piotr pracował tam ponad rok w fabryce i za dobre sprawowanie uzyskał od Szwabów zgodę na dwutygodniowy okolicznościowy wyjazd do Polski ze względów rodzinnych, co było czymś zupełnie niezwykłym. Proszę zauważyć, że przekazuję informacje o roli i funkcjach Piotra w Hamburgu wedle tego, co mówił Karol, który mógł mówić rzeczy niezupełnie prawdziwe, jak to często robiono w Podziemiu ze względu na bezpieczeństwo.

Jedyną zdrową podstawą budowania tajnego imperium jest zachowanie tajemnicy. Im mniej ludzi zna prawdziwe dane, tym lepiej. W miarę zaznajamiania się z konspiracją coraz dobitniej przekonywałem się, że jeśli pełna prawda nie jest absolutnie niezbędna dla przeprowadzenia jakiejś akcji, kłamstwa i fałszywe opisy wszystkich szczegółów to normalka. Jako zdolny uczeń także stosowałem tę zasadę.

Piotr miał być moim jedynym kontaktem w Hamburgu. Zamierzałem wyruszyć natychmiast, a Piotr powinien opuścić Warszawę za parę dni, jak mu się skończy oficjalny urlop udzielony przez niemieckich pracodawców. Mówił marną niemczyzną ale chociaż jako Polak mógł w czasie długiej podróży być poddany rewizjom przez niemieckie siły bezpieczeństwa, nie przedstawiało to dla niego groźby zaareztowania. Piotr miał zasadniczy atut - posiadał paszport niemiecki, przepustki na urlop i dokumenty podróźne, wszystko jak najbardziej autentyczne, i nie przewoził żadnych materiałów obciążających, nawet zatem rewizja osobista nie wykazałaby niczego. Moim zabezpieczeniem było przekształcenie się znów w Niemca zatrudnionego przez firmę transportową Schenkera pod tym samym nazwiskiem, które nosiłem w podróży do Pragi i Wiednia.

Do Hamburga miałem zabrać pieniądze, kartki żywnościowe, a tam otrzymać materiały, które należało przewieźć z powrotem do Warszawy. Hamburg znajdował się na priorytetowej liście miast bombardowanych. Było to olbrzymie centrum produkcji wojennej z dojściem do morza, było też portem macierzystym nazistowskiej floty okrętów podwodnych ukrywanych w specjalnych schronach o stropach ze zbrojonego betonu grubości wielu stóp. Jak dotąd pozostawały one nieuszkodzone. Teraz miały być wysadzone w powietrze i Londyn potrzebował dokładnych informacji o grubości stropów, by dobrać ładunki o odpowiedniej sile wybuchowej, które by były w stanie przebić się przez te osłony.

Prawie już stary weteran, w ciągu jednego dnia miałem dokumenty sprawdzone, byłem zaopatrzony w niemieckie pieniądze, walizkę z fałszywym dnem pełną kartek żywnościowych i plik maszynopisów. Byłem gotów do drogi. Z małym znaczkiem partyjnym przypiętym do kłapy, teraz na widoku, wsiadłem na warszawskim Dworcu Głównym do pociągu zmierzającego na zachód.

Tym razem Marysia nie mogła pożegnać mnie na peronie. Pociąg ruszał akurat z początkiem godziny policyjnej i zbyt ryzykowne byłoby pozostawanie poza domem. Wyjazd z Warszawy, być może pożegnanie na zawsze, odbył się bez machającej ręką na pożegnanie dziewczyny na peronie. Miałem przesiadkę w Poznaniu, a dalej droga wiodła przez Berlin do Hamburga. Z Warszawy wyjeżdżało więcej cywilów niż podczas moich poprzednich podróży, pewnie dlatego, że Berlin był centrum administracyjnym Reichu. Pierwszej kontroli niemieckiego kontrwywiadu można się było spodziewać w Kutnie, jeszcze przed Poznaniem. Zasiadłem sobie wygodnie z moją fajką anonimowy i chroniony mrokiem panującym w przedziale, kiedy nagle drzwi się otworzyły. Błysk latarki i tak niespodziewanie wczesna kontrola wytrąciły mnie nieco z równowagi.

„Papiery”, warknęła postać z cienia. Nie było przy tym „proszę”. Podałem mu, czego żądał.

„Czemu pan jedzie do Hamburga?”, „Gdzie pan pracuje”, „Jak długo pan już dla nich pracuje?”, „Mówi pan też po polsku?”, „Gdzie pan zatrzymuje się w Hamburgu?”.

Wszystkie dokumenty Schenkera, które potwierdzały moje personalia w paszporcie i w karcie pracy, zostały dokładnie sprawdzone. Nagłość tego przepytывania zbiła mnie z tropu i mimo dużego wysiłku, by odpowiadać chłodno i zbornie, jakoś mi to nie szło, nie pomagała też oślepiająca latarka. Komplet papierów został mi zwrócony w ciemności. Latarka zabłysła jeszcze raz na krótko, ale wystarczyło, by zobaczyć nieżyczliwą jastrzębią twarz.

„Niech pan zostanie na swoim miejscu, będą dalsze pytania”.

Nie zwracając uwagi na innych pasażerów w przedziale, wyszedł na korytarz. Więcej niż pewności siebie było potrzeba, by zastosować się do instrukcji, wiedząc, jaki złowieszczy potencjał mogła w sobie zawierać. Pociąg pędził dalej. Wkrótce będziemy w Kutnie. Te następne pytania, o jakich wspomniał facet, być może padną na policji w Kutnie, gdzie jakiś znający się na rzeczy spec rozwali mi walizkę na kawałki. Zastanawiałem się nad powagą sytuacji i rozważałem różne możliwości. Pociąg pędził zbyt szybko, by wyskoczyć w noc, jak zwolni przed Kutnem, może by się i udało, ale wykrycie ucieczki byłoby najlepszym dowodem na przyznanie się do winy. Kłopotliwa sytuacja skończyła się, kiedy pociąg zatrzymał się w Kutnie i wyszedłem na korytarz pospieszować, co się dzieje. Facet o ptasiej twarzy, który mnie przepytывał, sunął wzdłuż peronu w moim kierunku, ale skręcił i wszedł do jakiegoś biura. Udał się zapewne po pomoc, bo co innego jego ruchy miały znaczyć?

Kutno może być dla niego stacją graniczną. Nie wstydząc się strachu, który mnie opanował, czekałem jak zahipnotyzowany, modląc się o najlepsze, szykując się jednak na najgorsze. Po jakimś czasie, a wydawało się, że to trwało godziny, wstąpiła we mnie otucha, kiedy usłyszałem gwizdek i perony powoli zaczęły przesuwac się litościwie wzdłuż pociągu.

Pociąg poruszał się teraz na terenach świeżo zintegrowanych z Rzeszą i po pobieżnej tylko kontroli dokumentów bezpiecznie dostałem się do Poznania. Zasiadłem w dużej restauracji dworcowej i czekałem na połączenie do Hamburga. Pociąg do Hamburga miał niewytłumaczone opóźnienie, co zmusiło do niewygodnego oczekiwania przez parę godzin, a jedynym pocieszeniem była myśl, że może nasze naloty, które teraz wedle prasy niemieckiej, miały miejsce codziennie, spowodowały to opóźnienie i może spowodowały też jakieś istotne szkody. Pasażerowie, których podróż też została przerwana, tłoczyli się na stacji, ale pojawiło się też wielu umundurowanych policjantów parami, co znów wzbudziło mój niepokój.

Poznań był największym miastem ziem polskich włączonych do Rzeszy i ciągle żyło tu, mimo deportacji, wielu Polaków. Był także ważnym węzłem kolejowym, stąd pewnie ta wzmożona czujność sił bezpieczeństwa, jak na miasto Reichu.

Stary wyjadacz, jeśli chodzi o patrole, siadałem przy stole i udawałem, że śpię, kręciłem się po sali, baczając, by trzymać się z daleka od licha, albo spokojnie kurzyłem fajkę w toalecie aż do wyczerpania się cierpliwości chętnych użytkowników. Zbyt późne zwolnienie toalety mogło zwrócić niepotrzebnie uwagę i należało tego unikać. Zbliżał się czas odjazdu mojego pociągu i udałem się na właściwy peron. Był już świt i ruch na stacji wrzał. Jeden z pociągów towarowych rozładowywali właśnie brytyjscy jeńcy wojenni w charakterystycznych mundurach polowych koloru khaki. Pilnował ich starszawy, gruby żołnierz, figura jak z opery komicznej. Więźniowie wyglądali zdrowo, ich mundury były czyste i wyprasowane, kiedy jeden z nich poczęstował się playersem z paczki, poczułem nostalgię. Po akcencie poznałem, że byli z południowej Anglii, i zafascynowany słuchałem znów akcentu z domu, który był daleki i nieosiągalny. Klucząc, kiedy wartownik był poza zasięgiem słuchu i nie wykazywał zainteresowania, zbliżyłem się do jednego z żołnierzy.

How's it going?, zapytałem cicho.

Whassat?, odpowiedział.

How 's it going?, powtórzyłem.

Szczęka mu opadła. Nie wiem, co mnie skłoniło do odezwania się do niego, nie wiem naprawdę, ale reakcja, jaka nastąpiła po tej odzywce, nie zachęcała do dalszej konwersacji.

Ere 'Arry - więzień wrzasnął, by poinformować kumpla, który był w pobliżu na peronie. - Feller 'ere what speaks perfick English. Szok wywołany tym głośnym i nietaktownym zawołaniem, które mogło być pochwycone przez strażnika czy jakiegoś innego Niemca, skłonił mnie do dania nogi. Pożegnaniem było tylko ciche „Ty głupi sukinsynu!”.

Droga z Poznania do Hamburga była spokojna, bez żadnych incydentów i po poprzedniej niespokojnej nocy uderzyłem w kimono w dobrze zorganizowanym i najwidoczniej spokojnym Reichu. Obudziłem się dopiero w Hamburgu i pierwsze wrażenie, kiedy opuszczałem stację, było zdumiewające i nakazywało respekt. Ta olbrzymia stacja była prawie niewidoczna z ulicy, a już na pewno nie było jej widać z powietrza. Olbrzymi budynek był zupełnie pokryty udrapowanym i ochronnie pocętkowanym zielonym materiałem. Prawie nie mogłem uwierzyć oczom i z zazdrością podziwiałem ten dowód teutońskiej pomysłowości na tak olbrzymią skalę.

Nie miałem trudności w zamieszkaniu w jednym z hoteli, które zarekomendował Piotr jeszcze w Warszawie. Całe miasto tętniło zorganizowaną krzątanicą i im głębiej w Reichu, tym spokojniejsze widać było życie. Ani śladu zniszczeń wojennych. Hotel był duży i wygodny. Recepcja pełna staroświeckiego wdzięku. Wymagano tylko podania nazwiska i adresu domowego, ja podałem firmę Schenkera w Warszawie, nawet nie musiałem zdawać paszportu. Czułem się bardziej w zgodzie ze światem niż kiedykolwiek przedtem od czasu wejścia do klubu płaszcza i szpady. Po kilku piwach, porządnym posiłku, jak zawsze dzięki uprzejmości chłopaków z wydziału fałszerstw w Warszawie, kupiłem mnóstwo magazynów i gazet i zaszyłem się w swoim pokoju, wziąłem kąpiel, poczytałem i uderzyłem w kimono.

Wiosna była późna tego roku, ale akurat zawitała do Hamburga, kiedy następnego ranka wyszedłem z hotelu na ulicę skąpaną w jaskrawym słońcu i udałem się na przechadzkę po tym bastionie wroga. Piotr jeszcze przez kilka dni nie przybędzie z Warszawy, miałem więc czas dla siebie. Sprawdziwszy,

że nikt mnie nie śledzi, licząc na przyjemne spędzenie czasu, rozpocząłem badanie tego wielkiego i ważnego nazistowskiego miasta.

Kamuflaż dworca kolejowego zaobserwowany zaraz po przybyciu poprzedniego dnia był powtórzony w wielu miejscach, a na licznych jeziorach widniały przykłady niemieckiej staranności i pomysłowości. Upozorowane fabryki i magazyny pływały po basenach wodnych, z pozorowanych kominów buchały kłęby dymu, zdradzając obecność nieistniejących palenisk przemysłowych. Jak w przypadku stacji, kompletny kamuflaż na poziomie ulicy nie był możliwy i nawet nie starano się o to. Zupełnie inna sprawa to widok z powietrza i dla obserwatora z góry zamaskowanie musiało być kompletne. Choć pewnie ktoś już to widział, zanotowałem dokładnie wszystkie spostrzeżenia. Bombowcom należało radzić, by atakowały to, co wyglądało na otwarte pola i parki, a omijały starannie dymiące fabryki i magazyny.

Hamburg wydawał się pełen weselszych i bardziej otwartych mieszkańców w porównaniu do Wiednia. Być może strata tylu żołnierzy austriackich pod Stalingradem nadawała stolicy Austrii tę ponurość. Oba miasta nie nosiły śladów zniszczeń wojennych, a położenie Hamburga nad morzem i obecność marynarzy ożywiały go dodatkowo. Następnego dnia spędzałem podobnie. Powędrowałem w kierunku doków i swobodnie kręciłem się po Altonie, dzielnicy, w której były owe schrony dla okrętów podwodnych interesujące nasze lotnictwo bombowe.

Pilnie sprawdzając rozlokowanie magazynów i innych nabrzeżnych budowli handlowych, zauważyłem, że po przeciwnej stronie ulicy, jakieś pięćdziesiąt metrów ode mnie, stoi policjant i bacznie mnie obserwuje. Kiedy zaczął zmierzać powoli w moim kierunku, znikłem mu z oczu. Zanim doszedł do rogu, by znów mnie mieć na widoku, oddzielało nas już kilkaset metrów. Wrzasnął wtedy Haiti. Udałem, że nie słyszę, znów skręciłem w boczną uliczkę, przyspieszając kroku, aż odległość między nami była tak wielka, że zrezygnował z pościgu. Po prostu staremu, zmęczonemu policjantowi odechciało się pogoni.

Wkrótce po tym prawie zetknięciu się z prawem spacerowałem po bardzo wiktoriańskiej części Hamburga. Ulice za ulicą solidne, dwu- lub trzypiętrowe wille z dużymi oknami wykuszowymi na parterze przywodziły na myśl czasy, które minęły. Nie było widać śladów życia w tych dużych domach, tylko zasłony i wypolerowane klamki wskazywały, że starano się utrzymać pozory zamieszkania.

Doszedłem do skrzyżowania, zastanawiając się nad kierunkiem dalszego spaceru, gdy nagle ku mojemu zdumieniu jezdnia jednej uliczki, od chodnika do chodnika, przegrodzona była wysokim ceglany murem. Przejście było możliwe tylko dla pieszych. Zaintrygowała mnie przyczyna zamknięcia dla ruchu kołowego tej akurat uliczki, ze względów zawodowych rzecz wymagała przebadania. Nie było napisu Eintritt verboten, więc ostrożnie zerknąłem za mur. Uliczka niczym nie różniła się od innych, po których już się szwendałem.

Coś nieokreślonego kazało mi sprawdzić dokładniej, co się tu kryje. Ostrożnie szedłem wzdłuż ulicy z domami z dużymi oknami wykuszowymi. O ile jednak przy innych ulicach oglądanych dzisiaj okna były dokładnie zasłonięte, tu było akurat odwrotnie. Okna wcale nie miały zasłon. Nie tylko widać było całe wnętrza pokoi, ale te wnętrza były wręcz eksponowane. W każdym oknie widniały wygodnie rozłożone, siedzące lub stojące, częściowo tylko ubrane kobiety, gestykulujące zapraszająco do przechodzących mężczyzn. Wabienie było wulgarnie i chociaż zapamiętałem nazwę tego miejsca, funkcjonuje ona zresztą do dziś jako część dzielnicy pod czerwonymi latarniami, nie będę czynił mu reklamy na tych kartkach. I tak zresztą jest tu pewnie więcej klientów niż mocy przerobowych. Mój raport oficjalny o podróży hamburskiej też nie będzie zawierał wzmianki o wdepnięciu w tę dzielnicę

burdelów. Karol mógłby ją źle zrozumieć, zresztą dzielnica, może oprócz licznie patrolujących ją marynarzy, nie przedstawiała nic interesującego dla szpiega.

Inny mały incydent wydarzył się tego samego dnia. Wróciłem do hotelu, by się odświeżyć przed pójściem do restauracji na jakieś porządne patriotyczne niemieckie dania. Biorąc klucz, zauważyłem wyraźną poprawę prezencji hotelu. Recepcjonista, który urzędował tu rano, był dostojnym starszym Niemcem pasującym doskonale do tradycyjnego, ciężkiego umeblowania typowego dla całego hotelu. Teraz biurem hotelowym nie władała ta ostoja establishmentu. Jego miejsce zajmowała ciemnowłosa młoda dama, niezwykle atrakcyjna, nawet nieco wyzywająca. Wziąwszy klucze, uśmiechałem się głupawo wyraźnie pod jej urokiem i zmierzałem po schodach do swojego pokoju. Gdy wychodziłem na miasto, nieśmiały mój uśmiech spotkał się z jej wspaniałym szerokim uśmiechem.

Kiedy wracałem po kolacji, recepcjonistka zwrócona była tyłem. Dotarłem już do połowy schodów, kiedy damski głos zawołał z dołu: Herr Schneider! Szedłem dalej. Słyszę głośniejsze: Herr Schneider!

Byłem już na półpiętrze. Boże święty, ona wołała mnie. Głupi osioł, nie reagowałem na swoje własne nazwisko. By załagodzić to wykroczenie z punktu widzenia konspiracji, wychyliłem się przez poręcz.

„Wydawało mi się, że pani mnie woła, ale z takim przeziębieniem jestem prawie głuchy”.

Perłowy błysk zębów świadczył, że nie przeszło jej przez piękną główkę, dlaczego nie reagowałem na wezwanie. Ktoś dzwonił i zostawił wiadomość, że Herr Peter wpadnie jutro przed lunchem.

Następnego ranka przed przyjściem Piotra postanowiłem wyskoczyć, żeby złapać trochę powietrza.

Herr Schneider.

„Tak, łaskawa pani” - reaguję tym razem natychmiast.

„Mała buteleczka z czymś na pana przeziębienie, Herr Schneider”.

Podziękowałem wylewnie za jej życzliwość, było jasne, że obok piękności odznaczała się też niezwykłą opiekuńczością. Pamiętając o Marysi i Warszawie, zignorowałem szatana. Piotr przybył na czas z dobrą wiadomością że mój wyjazd się nie opóźni, bo materiał dla Karola jest już prawie

gotowy. Pomijając hitlerowski wąsik, Piotr wyglądał bardzo po polsku, a dla obcego w Hamburgu najlepszym ukryciem było nieukrywanie polskości i pozostawanie na urzędowej rejestracji jako oficjalnie zatrudniony przez nazistów. Po załatwieniu biznesu i gotów do wyjazdu usłyszałem jeszcze, żeby bardzo uważać z tą piękną recepcjonistką.

Jej mąż był funkcjonariuszem gestapo. Ostrzegało mnie już sumienie przed szatanem, a wiadomość Piotra tylko je wzmocniła. Opuściłem Hamburg zgodnie z planem. Nie było tu przyjemności związanej z kontaktami osobistymi, jak w Wiedniu, wrażenia z Hamburga wiązały się raczej z działalnością w ruchu oporu. Niezwiązany z lokalną operacją przywołany tu tylko i wyłącznie jako kurier, nawet nie wiedziałem, czy potrzebne wiadomości dotyczące hamburskich schronów dla okrętów podwodnych znajdują się w mojej walizce.

Podróż przez Reich, jak zwykle spokojną wypełniało obserwowanie sytuacji Niemiec i narodu w czasie wojny. Moja walizka była tak ciężka od dokumentów, że raport z podróży będzie zawierał także informacje o zaletach mikrofilmu. Tyle materiału szmuglowałem, że nawet zupełnie powierzchowna kontrola oznaczałaby klęskę. Bez wątpliwości niczego nie udałooby się ukryć przy fachowym

przeszukiwaniu. Fałszywe dno walizki przewidziane na wypadek kontroli rutynowej było stanowczo za małe na masę papierów, jakie Piotr mi przekazał.

Miałem przesiadkę w Poznaniu. Podczas dwugodzinnego oczekiwania pechowo, jak zwykle, włożyłem prosto na policjanta, który wychodził z poczekalni. Zażądał dokumentów i oddając mi je po krótkim sprawdzeniu, powiedział: „Przepraszam, Myślałem, że pan jest Polakiem”. Nie miał to być komplement.

Powrót do domu był radosny i znów, cały i zdrowy, zaszyłem się w pokoju u Florianów. Taka była objętość materiałów z Hamburga, że musieliśmy je podzielić na cztery części i osobno przewozić na spotkanie z Karolem w tej samej restauracji. Dwa razy pomogła w tym Marysia, dwa razy zrobiłem to sam. Poruszanie się po Warszawie było znacznie bardziej ryzykowne niż w Niemczech, stąd ten podział materiałów. Karol był bardzo zadowolony z wyników i z raportu. Podróż do Hamburga okazała się sukcesem, nasza duma przyćmiona została jednak pojawieniem się dziewczyny-kuriera ze złą wiadomością z Pragi.

Bolek, szef komórki czechosłowackiej, który nie pojawił się na umówione spotkanie w restauracji „Franceska” w Pradze parę tygodni temu, znikł bez śladu. Prawie pewne, że wpadł w ręce gestapo, i Karol natychmiast polecił wszystkim z ruchu oporu, by z restauracji, w której miało miejsce nasze spotkanie z Bolkiem, zrezygnować jako z punktu kontaktowego. Ta mała restauracja, również mój punkt kontaktowy, była jedynym miejscem, o którym Bolek wiedział i o którym mógłby coś powiedzieć pod przymusem. Ta ostrożność powinna uciąć, przynajmniej w teorii, ewentualne dalsze poszlaki, bo więzień nic nie wiedział o innych miejscach kontaktowych.

Zastanawiałem się, jakie konsekwencje może mieć aresztowanie Bolka dla mnie. Kontakt przez restaurację został przerwany, niemniej nigdy nie wiadomo, jakie inne dane dotyczące ruchu podziemnego gestapo zdołało włączyć do swoich akt po zaaresztowaniu jakiejś ważnej postaci.

Zlecono mi następne misje. Byłem potem jeszcze w Stettin (Szczecinie) nad Bałtykiem, znowu w Wiedniu i w drodze powrotnej stamtąd jeszcze raz w Hamburgu. Widocznie moja twarz zdradzała jakieś obawy, bo Karol zlecił wykonanie dla mnie w trybie pilnym nowych, prawie zupełnie pewnych dokumentów podróży.

Było niedopuszczalne, by dobry kurier został złapany z powodu niewłaściwie przygotowanych dokumentów. Miałem nadzieję, że to nie nastąpi, choć zasada prawdopodobieństwa nie przestała mnie niepokoić.

Wreszcie bomba wybuchła. Targnęły mną mieszane uczucia. Od dawna na ten temat nie myślałem, gdy nagle mój wszechmocny szef powiada, że zbliża się mój powrót do Anglii. Zacząłem przypatrywać się dobrym i złym stronom takiego obrotu sprawy.

Od dawna personel o różnych kwalifikacjach i umiejętnościach technicznych potrzebnych dla Podziemia wybierano spośród licznych żołnierzy, którzy różnymi drogami dostali się do Zjednoczonego Królestwa po klęsce 1939 roku. Ludzi tych, po przeszkoleniu w zakresie najbardziej potrzebnym, by służyć w okupowanym kraju, rzucano na spadochronach do Generalnej Guberni i automatycznie stawali się oni członkami Podziemia. Radiowcy, rusznikarze, kartografowie, drukarze, chemicy, eksperci od materiałów wybuchowych, to tylko kilka specjalności, na jakie było duże zapotrzebowanie w całej Europie w tajnych bazach założonych przez Polaków. Karol tłumaczył mi to, a ja zastanawiałem się, co to ma ze mną wspólnego.

Po wielu wysiłkach, by przenieść tych fachowców do Polski, a często potem ulokować ich w Reichu lub w innych krajach okupowanych przez nazistów, wyszła na wierzch najbardziej niepokojąca sprawa. Zdecydowanie zbyt wielka liczba nowych rekrutów z Anglii wyłapywana była przez gestapo. Byli podatni na aresztowanie. Większość z nich przebywała za granicą latami, bardzo mało wiedząc, albo wręcz wcale nie mając pojęcia, o warunkach i podstawowych wymogach, których znajomość była niezbędna do przeżycia wobec ciągłego ścigania i kontroli prowadzonej przez niemiecki kontrwywiad oraz wobec mnóstwa metod, jakie opracowano do zwalczania Podziemia. Ruch oporu, kontynuował Karol, był zdania, że równie jak umiejętności techniczne, ludziom tym potrzebne było solidne przeszkolenie jako agentów do pracy terenowej. Umiejętności fachowe były bezużyteczne, jeśli nie potrafili dotrzeć do miejsc, w których mieli wkroczyć w akcję. Wielu z tych, którzy przepadli, albo nie posiadało wrodzonych zdolności i nerwów do działalności wywrotowej, albo nie przeszkolono ich w sztuce przeżycia, albo i jedno i drugie.

Jak mój przyjaciel i szef ciągnął dalej, można sobie wyobrazić takiego biedaka, który poprzednią noc spędził bezpiecznie w łóżku w brytyjskich barakach, a teraz dynda w przerażającej ciemności samotnie na linkach spadochronu, szybko zbliżając się do ziemi opanowanej przez wroga, nieprzygotowany do najprzeróżniejszych niespodzianek, jakie na niego czekają z wyjątkiem swoich umiejętności technicznych. Zanim Karol doszedł do wniosków i podsumowania, rozumiał rację, dla których wysłała się mnie z powrotem do Zjednoczonego Królestwa. Byłem potrzebny z wielu względów. Nagromadziłem wiedzę o Niemczech i okupowanej Europie, którą należało wykorzystać, zanim okazja zostanie stracona, gdybym wpadł w ręce nazistów. Polacy, patrząc z ich punktu widzenia, byli także przeświadczeni, że Brytyjczyk obznajomiony z sytuacją w Polsce lepiej i w sposób bardziej przekonujący zda relację o działalności ruchu oporu i postawie ludności cywilnej, niż któryś z ich ludzi. Przyszli spadochroniarze skorzystają też z tego, że będą krok po kroku, wypróbowani i w pełni zapoznani z warunkami i okolicznościami, na jakie się natkną od pierwszego momentu postawienia nogi na okupowanym terytorium lub w samych Niemczech. Pewne nieprzyjemności, jakie przygotuję nazistom w ten sposób, też przyszły mi na myśl. Nie będę się jednak nad tym rozwodził. Te brudne chwytły, dotąd nieprzetestowane przeze mnie osobiście, miejmy nadzieję, będą stanowiły niemiły szok dla przyszłych wrogów.

Przygotowanie wyjazdu do domu miało trwać nieco, tymczasem więc zaaranżowano dla mnie trzy inne misje, do Wiednia, Szczecina i Hamburga. W połowie lata, wygląda na to, będę w Anglii.

Nie starałem się nawet ukrywać wrażenia, jakie ta wiadomość na mnie zrobiła. Zosia jeszcze bardziej miała rację niż kiedykolwiek. Bojownik ruchu oporu powinien przed zaprzysiężeniem dostawać jakieś lekarstwo przeciwko zakochiwaniu się. Co będzie z Marysią? Życzliwe podejście Karola do moich mieszanych uczuć przejawiało się w następnych jego oświadczeniach, które przypadkiem czy z zamierzenia przyniosły mi pewną ulgę. Polskie Podziemie miało zamiar domagać się od Londynu pilnie mojego powrotu do czynnej służby w Warszawie po wypełnieniu tych licznych obowiązków jakie mi zlecono do wykonania w Zjednoczonym Królestwie. Na dodatek Karol mówił o mojej przydatności i dodał, że mój wyjazd nastąpi tylko wówczas, gdy Londyn zapewni, że powrócę do Polski. Z wielu względów chciałem jechać, ale długo nie mogłem tam zostać z sercem tak mocno zakotwiczonym w Warszawie.

Wyglądało na to że drugą wiosnę także spędzę w Warszawie. Za jakiś tydzień czy dwa, w kwietniu, miałem po raz trzeci wyjechać do Wiednia. Przed ostateczną odprawą i przygotowaniami zaszyłem się na Nowym Świecie dla wypoczynku, jeśli można tak to nazwać. Łapanie ciągle trwały i napięcie narzucone w początku 1943 roku nie ustawało.

Pod wpływem tych okoliczności zdecydowałem się powiedzieć Marysi, że prawdopodobnie wyjadę z Warszawy na kilka miesięcy. Jeśli by się coś niedobrego stało, będzie lepiej, jeśli weźmiemy ślub przed wyjazdem. Patrząc na sprawy w długiej perspektywie, kiedy wojna się skończy, otrzyma brytyjskie obywatelstwo na podstawie zawartego małżeństwa i choć takie posunięcie nie daje jej żadnej ochrony w okupowanej Polsce, a może nawet na odwrót, nowy status może się okazać bardzo istotny później.

Po pierwszym zaskoczeniu i zmieszaniu wynikającym z narzuconego pośpiechu moja narzeczona westchnęła i zgodziła się zadziałać dla przygotowania samej ceremonii. „Może to i lepiej, Paweł - powiedziała. - Nie chciałam cię kłopotać, ale mi się zdaje, że jestem w ciąży”.

Ślub to sprawa, która w normalnych czasach wymaga wielu przygotowań, i w zależności od tego, jak się na to patrzy, mogą też być one związane z wrzawą i zamieszaniem. Rodziny szczęśliwych młodożeńców zwykle dyktują typ i rozmiar ceremonii zawarcia związku małżeńskiego i rozmaitych celebracji. Jako że oni też zwykle pokrywają koszty, niezależnie od zapatrywań i życzeń młodych, zakłada się, że ich rola polega na wyrażeniu szczerej wdzięczności i radości. I niech tak będzie.

Mozna było sądzić, że z gestapo na karku każdego rozsądek nakazuje najcichsze wesele z minimalną liczbą gości. Ale wariacka natura Polaków w ogólności, a rodziny doktora Kazia szczególnie, była przeze mnie okropnie niedoceniana. Wydarzenie stało się niemal kwestą dumy narodowej. Takie drobne sprawy jak śmierć i życie, ten facet Hitler i inne nieistotne niedogodności nie były w stanie przeszkodzić w tym, by piąty maja stał się demonstracją przekory i brawury pod nosem wroga. Cała afera byłaby jeszcze bardziej chwalebna, gdybyśmy ja i moja przyszła żona nie musieli grać w niej roli jeżącej włosy na głowie. Cięża Marysi, jako niepewna, nie była nikomu wiadoma. Najważniejszą więc sprawą było wziąć ślub możliwie szybko, mój wyjazd podano jako przyczynę pośpiechu i nie warto było rozgłaszać drugiego powodu.

Chociaż posiadanie broni było Polakom streng verboten podczas okupacji, jacyś krewcy obrażeni krewni mogliby powywlekać z kątów i oczyścić z rdzy stare strzelby, żebym zrobił co do mnie należy, inaczej nigdy nie popęlnię nic niewłaściwego.

Z inicjatywy Karola ksiądz, który odbierał moją przysięgę wierności sprawie ruchu oporu, miał nam też udzielić ślubu. Dałem już dawno za wygraną jeśli chodzi o cichy ślub, ale wiadomość, że ksiądz, który od dawna uczestniczył w ruchu podziemnym, zarezerwował na tę uroczystość jeden z największych kościołów, kościół Świętego Krzyża w centrum Warszawy, była kolejnym dowodem bezcelowości tłumaczenia Polakom, by używali głowy, a nie serca. Żeby ożenić się z Marysią z zachowaniem zasad, musiałem przyjąć wiarę katolicką. U doktorostwa, wobec uroczystie zebranej całej rodziny, ksiądz, który przyszedł w cywilu, przebrał się w swoje szaty. Odpowiadałem bez zająknięcia „tak” lub „nie” na wszystko, co było trzeba, by zamienić protestanta w katolika. Patrząc na Marysię, myślałem sobie, że choć Kościół katolicki mógł być zadowolony z mojej zmiany wyznania, to ja dobiłem lepszego targu.

Wynikła sprawa zamieszkania, posiadania własnego dachu nad głową. Marysia wzięła to na siebie, bo kto jak nie urodzona warszawianka, mądra i bystra, załatwi lepiej takie sprawy.

Było mnóstwo czasu do następnej mojej podróży, więc Kawała z Kolei Wschodniej, w najlepszym niemieckim stroju, przeprosił obie rodziny na parterze i na piętrze na Nowym Świecie i złapał pociąg z Dworca Głównego do Klembowa, by odwiedzić Enę i Ojczulka. Niewiele już było śniegu na polach, gdy pociąg pokonywał te kilkanaście kilometrów. W wagonie Nur für Deutsche miałem do towarzystwa dwóch policjantów kolejowych po służbie, którzy życzliwie odpowiedzieli na moje Heil

Hitler i podniesienie ręki. Na pewno im się nie śniło pracować po odwaleniu służby, zwłaszcza że ich kompan był miłym, młodym Niemcem. Raz jeszcze powędrowałem ze stacji bezludną piaszczystą drogą leśną wiodącą do moich zaufanych starych przyjaciół. Wieczór był ciemny i mdła lampka widoczna przez okno była jedynym znakiem życia, kiedy po cichu wszedłem na werandę i zapukałem delikatnie do drzwi. Usłyszałem jakiś ruch w środku i głos Ojczulka „Kto tam?”.

„Nigdy nie zgadniesz”, powiedziałem po polsku. Drzwi się otworzyły i trzymając latarnię wysoko nad głową starszy pan zawołał z cienia: „Ena, Ena, Ronnie się pojawił!”. Kiedy Ojczulek zaczął potrząsać moją rękę, odepchnięty został niezbyt delikatnie przez szarżującą Enę.

„Mój drogi chłopak - wysapała, obejmując mnie oboma ramionami. - Tak się o ciebie bałam, traciłam głowę”. Podkręcono lampę, oboje cofnęli się nieco i patrzyli na mnie w zdumieniu, jakbym się urwał z szubienicy.

„Ronnie, Ronnie - chlipała starszawa szkocka lady. - Co, do pioruna, ci Polacy z tobą zrobili, tak wychudłeś i tak się postarzałeś!”.

Wobec nawału spraw w Warszawie miałem zamiar spędzić tylko jedną noc w Klembowie, ale zamiar ten spotkał się z takim oporem, że zrobiły się z tego trzy noce. Rozmawialiśmy bez końca, wódka i żywność przywieziona z Warszawy skończyła się, została uzupełniona u lokalnego meliniarza trzymającego wodę ognistą i różne produkty, po które Ojczulek chodził parę razy. Ena pozostała Szkotką o dyktatorskich zapędach. Chata była teraz zupełnie wygodnie umeblowana. Czesia przyjeżdżała regularnie z pieniędzmi z Podziemia i doktor Tania także odwiedzała ich często z różnościami zebranymi od przyjaciół w mieście.

Nie było widać żadnej aktywności policji. Bez wątplenia trop, po którym gestapo doszło do mieszkania Eny i Ojczulka w Warszawie, prowadził w ślepą uliczkę. Oprócz beczynności i ciszy sosnowego lasu, który przynajmniej dostarczał mnóstwo opału, tych dwoje starzejących się uciekinierów nie miało na co narzekać. Czesia napomknęła im, że moje dni jeńca wojennego mam daleko za sobą i razem z Eną bardzo niepokoiły się o moje bezpieczeństwo.

Po uzyskaniu uspokajających wiadomości co do bezpieczeństwa w Klembowie zdumionych staruszków poinformowałem o moich zamiarach ożenku i prosiłem o przysługę. Oczywiście natychmiast otrzymałem zgodę na przywiezienie mojej nowej żony i spędzenie tu miesiąca miodowego przez kilka tygodni. Ena szybko wypisała listę rzeczy, które Ojczulek miał wykonać dla wygody przyszłych gości. Ten wspaniały człowiek natychmiast zgodził się z dużym wdziękiem.

Po powrocie z Klembowa czekało na mnie pilne wezwanie od Karola. Wyczuwałem intuicyjnie, zmierzając na spotkanie, że powinienem spodziewać się kłopotów. Miasto, budynki, ruchliwość ulic, strasznie to wszystko kontrastowało ze spokojem sosnowego lasu Eny. Starłem się szczególnie omijać patrole niemieckiej policji i wreszcie wprowadzono mnie przed oblicze Karola, ale jeszcze przed przywitaniem się wiedziałem, że coś jest nie tak. Operacja Wiedeń milczy podejrzanie długo. Kurier wysłany, żeby zbadać, co się dzieje, znikł bez śladu. Miałem natychmiast udać się do Wiednia z poleceniem powrotu najszybciej jak to możliwe po zapoznaniu się z sytuacją. Marysia szeroko otworzyła oczy z niepokoju na wiadomość o podróży. Jak zwykle nie padła nazwa miasta, do którego mam się udać, ani nie było wzmianki, że wyjazd ma inny niż tylko rutynowy charakter. Wesoło, podkreślając, że to ostatni mój wyjazd przed ślubem, podjęła mój entuzjazm, nagradzając najśliczniejszym, serce topiącym uśmiechem ślicznych najczerwieńszych ust i perłowych ząbków.

Od czasu rozpoczęcia mojej działalności w ruchu oporu nie raz najadłem się strachu i przeżyłem wiele ryzykownych sytuacji, stałem się w pewnym stopniu nałogowcem tych wzruszeń. Miałem więcej niż zwykle do stracenia w tej podróży do Wiednia, więcej też było w niej ryzyka, na masochizm więc zakrawał sposób, w jaki tę nagłą podróż traktowałem. Moja słabość do tego rodzaju wzruszeń pozostała do dziś. Chociaż nigdy już nie osiągnąłem takiego stopnia podniecenia wynikającego z kombinacji strachu, poczucia niebezpieczeństwa i patriotyzmu, jak w czasie wojny, później podwodne polowanie z dzidą na rekiny albo polowanie na dziki tylko z nożem dawało coś w rodzaju namiastki tych wzruszeń. Inspirowała mnie polska odwaga. Zaraziłem się łagodną formą tej choroby, ale w stopniu nieporównywalnie mniejszym, niż byli nią porażeni moi wspaniali słowiańscy kamraci.

Na czas austriackiej podróży przyjąłem znów personalia Herr Schneidera z warszawskiego oddziału Koncernu Transportowego Schenkera. Karol sprawdził, czy prawdziwy Schneider ciągle tam pracuje, i pamiętając, że przeżyłem już Stichprobe, należało przypuszczać, że dokumentów tych można znów używać ze względny bezpieczeństwa. Zebrano szybko mój sprzęt zawodowy, nie zapominając o pliku kartek na mięso dla Blaui, olbrzymiego psa profesora, i ruszałem z Warszawy nocnym pociągiem do Wiednia.

Pasażerami byli zarówno żołnierze, jak i cywile. Rozwahałem o podróży i oczekujących mnie zadaniach zupełnie na luzie i po raz pierwszy, po dotknięciu mnie przez niemiecką bezpiekę, naprawdę się obudziłem i bez przestachu, chłodno odpowiadałem na pytania, kiedy przeglądano moje dokumenty. Mój nastrój był zaraźliwy. Przepraszono mnie za przebudzenie, na koniec usłyszałem Schlaf weiter i jak człowiek o czystym sumieniu zapadłem z powrotem w spokojny sen.

Szedłem rankiem ulicami Wiednia, błogo nieświadom, co mi najbliższa przyszłość przyniesie, zadowolony, że miałem taką spokojną podróż.

Zimna wiosna nie poprawiła nastroju miasta i ludzi. Przygniatające wieści o niemieckich porażkach i wycofywaniu się na froncie wschodnim pogłębiały jeszcze ponurość, jaka zapanowała po klęsce stalingradzkiej. Już miałem zameldować się w hotelu, gdy coś mnie ostrzegło, by zmienić zamiar. Zamiast wziąć pokój, powiedziałem recepcjonistce, że akurat przybyłem w interesie, który być może uda mi się szybko załatwić i złapać jeszcze wieczorny pociąg do Berlina. Austriak, jeszcze ze starej konserwatywnej szkoły, był przykładem kurtuazji. Nie widział trudności w tym, by zaopiekować się moją walizką przez popołudnie, i jeśli nie uda mi się załatwić mojej sprawy, obiecał zarezerwować pokój w hotelu. Przedstawiłem się tylko ustnie i niewyraźnie jako Schneider i powędrowałem na miasto.

Trzy osoby w Wiedniu, których adresy i telefony miałem i z którymi mogłem się skontaktować, to Lila, profesor von Englisch i ten austriacki inżynier wciągnięty do współpracy w czasie mojej pierwszej misji. Nie czując potrzeby pośpiechu, zdecydowałem się działać o pełnym żołądku. Wstąpiłem więc do piwiarni popić porządne danie austriackim piwem i rozważyć sytuację. Najprościej zadzwonić do tych trzech osób i przekonać się, czy są na wolności, czy też nie. Jeżeli ktokolwiek z nich był w rękach gestapo, wszelkie dopytywanie się wyjawia, że ktoś szuka kontaktu, prawdopodobnie sonduje sytuację, a z czyjego polecenia może to robić, jak nie polskiego centrum szpiegowskiego w Warszawie. Sprawa wyglądała śmierdząco i jeśli nasi agenci zostali zaaresztowani, nie było sposobu dowiedzieć się o ich sytuacji bez zdradzenia, że ktoś na miejscu węszy w tej sprawie. Jeśli to najgorsze jest prawdą nocowanie w hotelu oznaczało samobójstwo i sztuczka z pozostawieniem tylko bagażu była sensowna. Wróciłem w pobliże hotelu, aby w razie konieczności móc walizkę szybko odebrać, i byłem gotów wciągnąć niemieckie telefony w służbę aliantów. Jakies pół kilometra od hotelu znalazłem budkę telefoniczną i zadzwoniłem do domu owego austriackiego inżyniera.

Powinien być teraz w pracy, nic dziwnego więc, że usłyszałem głos jego żony. Przekonawszy się, że poznała, kto dzwoni, oświadczyłem, że przejeżdżając przez Wiedeń, chciałem po prostu pozdrowić pana inżyniera oraz jego rodzinę i spytać, jak się wiedzie. Ucieszyłem się, słysząc spokojny głos z zapewnieniem, że wszyscy mają się dobrze, połączony z upomnieniem, żebym wpadł do nich następnym razem. Opuściłem budkę telefoniczną dla sprawdzenia okolicy i nie znajdując niczego niepokojącego, wróciłem po kwadransie, by jeszcze raz zadzwonić, tym razem do profesora. Odpowiedział obcy męski głos, na pewno nie głos profesora von Englischa ani jego gospodyni. Zjeżyłem się. Wróg był na drugim końcu linii. Zostałem poinformowany, że profesor jest w ogrodzie i zaraz zostanie zawołany. Bez odkładania słuchawki po kilku sekundach byłem na drugiej stronie ruchliwej ulicy paręset metrów od budki, miesząc się z przechodniami w podcieniach handlowych. Przez szybę wystawową w głębi arkad obserwowałem starannie, czy coś się będzie działo dookoła budki. Być może profesor był rzeczywiście w ogrodzie i mogłem minutę lub dwie poczekać bezpiecznie bez takiej nerwowości. Wkrótce jednak nie miałem już wątpliwości, że postąpiłem słusznie. Duża, ciemna limuzyna zatrzymała się koło budki i wyskoczyło z niej trzech mężczyzn. Szybko ruszyłem do hotelu. Recepcjonista na wiadomość, że załatwiłem swoje sprawy i zdążę złapać pociąg do Berlina, grzecznie oddał mi walizkę.

Z powrotem w piwiarni, z walizką pod opieką przyjaznego barmana, rozważałem sytuację. Gestapo złapało profesora. Biedak. Współczując starszawemu Austriakowi, pomyślałem także o psie olbrzymie, teraz bez pana i bez mięsa od polskiego wywiadu. Gestapo wiedziało, że ktoś sprawdza sytuację, i domyśla się, skąd ten ktoś przybył. Wszystkie hotele zostaną przeszukane tej nocy, jeśli nie wcześniej, ale na szczęście dzięki ostrożności i niezarejestrowaniu się zostawiłem nazistów na lodzie. Nic nie zostało zapisane w hotelu, a ten uprzejmy stary recepcjonista nie będzie na służbie nocą by mu się coś przypomniało, gdyby był pytany przez policję. Teraz najważniejsze natychmiast wydostać się z Wiednia.

Pociąg do Warszawy wyjeżdżał z Wiednia codziennie o ósmej rano, ale przedtem jeszcze musiałem sprawdzić, co dzieje się z Lilą Niemile zadanie. Żeński głos po niemiecku odpowiedział z telefonu Lili, że niestety nie może nic pomóc. Wyglądało to normalnie, ale ponieważ Lili nie było pod adresem kontaktowym, dałem nogę. Raport z Wiednia sprowadzał się do tego, że nie miałem co raportować. Istotny więc był szybki powrót. Bóg wie jaki nacisk wywarło gestapo na nowych więźniów, by wydusić z nich szczegóły dotyczące warszawskiej organizacji. Brutalne traktowanie aresztowanej kobiety posłużyło pewnie do wymuszenia współpracy mężczyzn. Ponieważ kurier, który był tu przede mną na pewno siedzi, a ja nie znałem okoliczności jego aresztowania, moja sytuacja stawała się bardziej ponura z minuty na minutę.

Ani hotelowy, ani prywatny nocleg w tej sytuacji nie był dobrym pomysłem. Należało zdecydować, jak spędzić noc. Kiedyś podczas któregoś spaceru z profesorem zabrnęliśmy do pięknego parku dosyć daleko od knajpy, w której miałem walizkę. Park mocno zadrzewiony i gęsto zakrzewiony, choć o tej porze roku niezbyt atrakcyjny na długie wycieczki. Sprawdziłem wszystko okiem wytrawnego trampa poszukującego miejsca na przespanie się. Był tam dosyć duży staw, choć bez kaczek, bo pewnie wyjedli je wygłodzeni wojennym zaopatrzeniem Austriacy. Jakie to dziwne skojarzenia chodzą człowiekowi po głowie. Gęste krzaki otaczały staw z trzech stron, dochodząc do samego brzegu. Zakwaterowanie zostało znalezione.

Wróciłem do piwiarni po bagaż, dałem dobry napiwek barmanowi. Wymyśliłem z miejsca historyjkę, że akurat zaproszono mnie na party do przyjaciół, i licząc na skutki napiwku, wyłudziłem od niego dwie butelki sznapsa. Wracając do wynajętego pokoju w parku, kupiłem plik gazet. Goebbels z

trudem by się zgodził na używanie jego szmatławców propagandowych na oddzielenie tyłka brytyjskiego szpiega od zimnej i wilgotnej ziemi.

Było już ciemno, kiedy dotarłem do wybranego miejsca wśród krzewów w środku parku. Ulokowałem się kilka zaledwie stóp od brzegu stawu, by osłonić tę stronę przed niespodzianym gościem, niewidoczny w posępnym i grubym poszyciu, poczułem się prawie wygodnie i bezpiecznie. Rozkładając gazety i utwierdzając je w gruncie gałęziami, ułożyłem się z walizką zamiast poduszki i gapiłem się w ciemność nieba. Było bardzo zimno, szczególnie w nogi i kolana, czemu starałem się zapobiec, owijając się gazetami. W pełni wykorzystałem tej obrzydliwej nocy znieczulające właściwości sznapsa. Dużą cześć niewygód i zimna złagodziło częste pociąganie z dwóch butelek, które bym chętnie odstąpił za porządny śpiwór. Nigdy mi czas nie mijał tak wolno. Co dwie, trzy godziny patrzyłem na zegarek, by się przekonać, że minęło zaledwie dziesięć minut od ostatniego sprawdzania.

Na godzinę przed świtem, zmarznięty i sztywny, musiałem się zdrowo wytrząść, zanim wygramoliłem się na brzeg stawu. Umyłem się i jakoś postarałem się ogolić w ciemności i wykończyć toaletę w tej krzaczastej sypialni. Opuściłem swoje spartańskie schronienie o siódmej i już w pełnym świetle dnia zmierzałem na stację, skąd ruszał zbawczy pociąg do Warszawy. Z dużego dworca wiedeńskiego idą pociągi podmiejskie i dalekobieżne. Sznur chętnych do podróży ciągnął w stronę wejścia. Liczba umundurowanych policjantów była większa niż zwykle, całe hordy. Stawało się jasne, że sytuacja jest niecodzienna. Rozsądek zakazywał iść dalej. Jeżeli szukali mnie, a na to wyglądało, nie miałem szans dostać się do pociągu. Prawdopodobne, że mieli już mój rysopis, ale jeśli nawet nie, Warszawa na moim bilecie lub dokumentach będzie klęską. W tej sytuacji nazwa miasta, w którym jest siedziba największego alianckiego wywiadu europejskiego, spowoduje ostre przesłuchanie bez szans na przeżycie. Odwróciłem się na pięcie z coraz większym niepokojem.

Myśl o spędzeniu następnej nocy przy stawie była przerażająca. Wobec tego, co działo się na stacji, jeśli sytuacja się nie poprawi, trzeba będzie poważnie zastanowić się, co dalej. Walizki nie mogę zostawiać dzień po dniu w tej samej knajpie bez wzbudzenia podejrzeń barmana. Uprzejmy jak zwykle, wygadał się jednak, że jego syn służy we Francji, i mogłem sobie wyobrazić, jakie miał nastawienie do takich jak ja. Wypiliśmy po piwie i znów wydostałem od niego dwie butelki sznapsa, ale już po zwiększonym napiwku.

Zanim wybrałem się po raz drugi na swoją kwaterę w parku, zjadłem obiad w trzech restauracjach, wszystko na fałszywe kartki. Obżarcie się miało na celu odpędzić zimno nadchodzącej nocy.

Do późnego rana chodziłem specjalnie głównymi ulicami z walizką w rękę jak człowiek załatwiający swoje sprawy. Nikt pewnie się nie domyślał, że w rzeczywistości nie miałem dokąd iść, aż wreszcie jeszcze raz zasiadłem w odwiedzanej już poprzednio knajpie. Z serdecznym Guten Tag mój przyjaciel barman podał piwo. Nie było kłopotu z pozostawieniem walizki, po czym natychmiast wróciłem w okolice dworca kolejowego. Ciągłe było wielu przechodniów, ale poranna gorączka minęła. Dawało się też zauważyć, że policja znikła prawie zupełnie. Bardziej niż pewne, że to pociąg do Warszawy był głównym przedmiotem zainteresowania, a jego pasażer, wasz sługa, głównym łupem. Na szczęście pogoda się nieco poprawiła, i choć nie sprzyjała spaniu pod gołym niebem w parku bez przykrycia, było dosyć przyjemnie szwendać się przez cały dzień po Wiedniu. Nie mając pewności, czy policja ma mój rysopis, przemykałem się z knajpy do knajpy, popijałem piwo z twarzą starannie osłoniętą gazetą udając, że czytam z pełnym zainteresowaniem.

Zastosowałem tę samą metodę. Usłałem sobie łożę nową porcją gazet, a za pomocą kupionego za dnia sznurka owinałem stopy i nogi grubą warstwą papieru i solidnie wszystko obwiązałem. Śpiący i

fizycznie zmęczony, zanim jeszcze zapanował chłód przeszkadzający w zaśnięciu, powolutku wpuściłem w gardło butelczynę sznapsa. Mając nadzieję, że chrapanie nie rozgłosi mojej obecności, zasnąłem kamiennym snem.

Przemarznięty do szpiku kości, z lekkim kacem i bólem we wszystkich stawach, przebudziłem się w nocy o smarkatej godzinie. Druga butelka sznapsa zelżyła nieco ból, ale nie pomogła zasnąć i jeszcze kilka godzin minęło ślimaczo do golenia, czyszczenia i ruszenia się z legowiska. Ze-sztywnienie, gorsze niż poprzedniego ranka, czyniło dobrnięcie do łazienki w stawie bolesnym przedsięwzięciem. Jeszcze kilka nocy tego rodzaju, a się wykończę. Dziwne jednak, że przy tym wszystkim wcale nie upadałem na duchu i chociaż to może sznaps wpływał na ten nastrój, najważniejszą sprawą było jednak walczyć z przeciwnościami, nie dać się.

Dzięki niemieckiemu Gott za jeszcze jeden piękny ranek, a przede wszystkim za to, że nie było deszczu. Znalazłem się znowu w tłumie Austriaków spieszących na dworzec. Już z daleka widać było tak samo liczną umundurowaną policję jak poprzedniego ranka. Zatrzymywano wszystkich wchodzących na dworzec i pomagali w tym także cywile w butach z cholewami. Gestapo!

W podcieniu, zasłonięty otwartą na całą szerokość gazetą której wcale nie czytałem, desperacko wysilałem zmęczoną mózgownicę, jak tu wymknąć się nadchodzącemu nieszczęściu. Gdybym miał się gdzie wygodnie zatrzymać i przeczekać, aż gorączka opadnie i czujność niemiecka dookoła stacji zmaleje, nie byłoby się czym martwić. Pomyślałem o domu austriackiego naukowca, ale wciąganie go wraz z rodziną jak dotąd niezagrożonych przez gestapo, i prośba o schronienie na tym etapie mogły podważyć zaufanie, jakim ten austriacki patriota darzył alianckich współpracowników, i zepsuć dalszą robotę.

Obserwowałem stację dyskretnie z bezpiecznej odległości. Odjazd pociągu w kierunku wschodnim do Warszawy powiązany był wyraźnie ze spadkiem liczby policji przy dworcu. Około południa oprócz kilku obojętnych, umundurowanych kolejowych funkcjonariuszy nie było widać żadnych policjantów kontrolujących podróżnych. Normalny spokój typowy dla niemieckich dworców w Reichu zapanował i tu i dostęp do stacji był otwarty dla wszystkich. Przekonałem się, że uwaga Niemców skoncentrowana była wyłącznie na pasażerach udających się na wschód i jeśli będzie trwała dalej, uniemożliwi wyjazd do Warszawy pociągami udającymi się tą trasą. Zmusiło mnie to do zmiany taktyki. Nie wiadomo, jak długo taka sytuacja potrwa, i jeśli będę oczekiwał na jej zawieszenie, narażony na nocne chłody oraz reumatyczną gorączkę, nie uniknę wpadki.

Nie miałem szans wymknąć się na wschód z miasta, które wyglądało jak więzienie, pozostało więc ruszyć w innym kierunku i to w takim, którego ci, co tak bardzo chcą mnie złapać, najwyraźniej nie biorą pod uwagę.

Były słabe punkty w tym planie, bo Szwaby mogły zastawić pułapkę na mnie przy próbie opuszczania Wiednia w innych kierunkach. W nadziei, że ich uwaga zwrócona jest tylko na trasę wschodnią podjąłem decyzję. Nie było zbyt wiele artykułów w sklepach wiedeńskich, ale na szczęście można było kupić walizki. Wstąpiłem do takiego sklepu, wybrałem coś pośredniego między teczką a walizką. Nabytek ten był mniej więcej o połowę mniejszy od mojej walizki, którą musiałem porzucić, bo osoba niosąca taki bagaż od razu zdradza, że udaje się w daleką podróż, a takiego wrażenia w żadnym razie nie powinienem robić. Płacąc za tę mniejszą walizkę, spytałem, czy mogę na jakiś czas zostawić w sklepie swój nowy nabytek, i mój dotychczasowy bagaż, na co sprzedawczyni chętnie się zgodziła.

Poszedłem na stację, teraz znacznie mniej zatłoczoną i bez kłopotu kupiłem bilet do Berlina przez Pragę. Nowa trasa oznaczała przekroczenie jednej granicy z Austrii do okupowanej Czechosłowacji i

drugiej dalej na północ z Czechosłowacji do Reichu w kierunku Berlina. Z poprzednich osobistych doświadczeń wiedziałem, że te dwie granice wchodzące teraz w rachubę były bardzo luźno kontrolowane. Bez dokumentów zaświadczających, że jako pracownik Schenkera mam sprawy do załatwienia w Berlinie, mogłem tylko liczyć na łagodniejszą kontrolę graniczną, jakoś wślizgnąć się do Czechosłowacji i potem z niej się wydobyć. Bez przeszkód przyłożyłem na stację swój bagaż, zamknąłem się w toalecie i w tym sanktuarium przeniósłem minimum niezbędnych rzeczy do małej walizeczki, zatrzymując tylko kartki żywnościowe na jakiś tydzień, a reszta poszła do sedesu splukana wodą. Sprawdziłem dokładnie, czy ubrania, jakie musiałem porzucić, nie mają jakichś naszywek czy znaków, które by pozwoliły wykryć ich warszawskie pochodzenie, i zadowolony z kontroli wpakowałem to do walizy i zostawiłem ją w przechowalni bagażu, starannie niszcząc pokwitowanie.

Na dworcu było spokojnie. Parę nudnych godzin spędziłem, szwendając się pomiędzy toaletą, co bardziej mrocznymi kątami poczekalni i peronami, i sytuacja się polepszyła, kiedy zapadł zmrok. Na parę minut przed odjazdem pociągu starannie obejrzałem całą scenerię, siedząc na ławce w nieoświetlonym miejscu na końcu peronu, by się przekonać czy przypadkiem do wagonu nie wsiada policjant lub jakiś podejrzan cywil wyglądający na tajniaka. Nie było powodu do alarmu i już miałem się ruszyć z miejsca, kiedy grupa umundurowanych i uzbrojonych policjantów wkroczyła na peron, zmierzając w moim kierunku. Podniosłem się, zebrałem się na odwagę i z nerwami napiętymi jak postronki ruszyłem w ich stronę, by z ulgą zauważyć, że strach był bezpodstawny, a taktyka moja niepotrzebna. Policjanci stanowili eskortę, w środku pomiędzy maszerującymi mundurowymi było kilku cywilnych więźniów, w tym dwie kobiety, skutych parami w kajdanki. Poczekalem, aż ci późni przybysze zajmą miejsce kilka wagonów dalej, wsiadłem do wagonu na parę sekund przed ruszeniem pociągu. Byłem kompletnie psychicznie i fizycznie wykończony.

Czułem dojmujący ból nad oczami i nie pomagało otwieranie oczu szeroko ani ich zaciskanie. Skrajnie przemęczony, w napięciu do granic wytrzymałości, przy najmniejszym przepytaniu z latarką skierowaną w oczy zdradziłbym swój beznadziejny stan. Jako że niedługo mieliśmy przekraczać granicę czechosłowacką poprawienie stanu moich oczu było rzeczą zasadniczą i musiałem choć trochę się przespać. Udało mi się to i po chwili zapadłem w mocną drzemkę. Pociąg zatrzymał się, otworzono drzwi przedziału. Granica. Błysnęła latarka.

„Czy ktoś wysiada w Czechosłowacji?“, padło pytanie. Nikt się nie odezwał. „Wszyscy więc jadą do Reichu?, In Ordnung, możecie spać dalej“. Drzwi się zamknęły i po dziesięciu minutach koła zaczęły się znów toczyć.

O północy byliśmy w Pradze. Nikt się w przedziale nie ruszał i kiedy pociąg zatrzymał się na granicy między Czechosłowacją a Reichem, tylko jeden pasażer wykazywał ślady życia. Drzwi otworzyły się powtórnie i strumień światła latarki obmacał podróżnych. „My wszyscy z Austrii do Reichu“, ktoś powiedział. Drzwi zamknęły się z powrotem. Rozczulony szczęśliwym przebiegiem przekraczania granicy zapadłem znów w sen.

Po kilku godzinach czekania w Berlinie miałem połączenie do Poznania. Ogolony, wyszykowany, pewny siebie Brytyjczyk wsiadł do tego pociągu. Szczytem nierozsądku byłoby kupować bilet do Warszawy. Poznań leżał jeszcze w Niemczech i jako cel podróży wyglądał mniej podejrzanie niż polska stolica ze wszystkimi skojarzeniami z ruchem oporu. W czasie bezprzygodowej podróży do Poznania znów się przespałem. Nic dziwnego, że w czasie śledztwa nie pozwala się ofiarom spać. Bez odpoczynku po opuszczeniu Wiednia nawet najdrobniejszej przeciwności nie potrafiłbym sprostać. Miałem przed sobą ostatni krok tej długiej podróży, który mógł być połączony z najpoważniejszą kontrolą. Liczyłem na to, że afera wiedeńska nie postawiła w stan alarmu policji tak daleko na północ,

a ja tylko ustnie mogłem się tłumaczyć, szczegółowszy (!) przegląd moich dokumentów na pewno wzbudziłby podejrzenia. Jazda w czasie dnia była mniej korzystna. Jest jakiś czynnik psychologiczny w tym, by kontrolę dokumentów i przepytywanie nocą prowadzić szybciej, za dnia natomiast wszystko, co pomaga policjantom przepękać czas, jest mile widziane.

Stacja na granicy z Generalną Gubernią gdzie pociąg zwolnił ciężko i się zatrzymał, roiała się od policji. Jak tylko koła stanęły, wpakowali się do pociągu z całej długości peronu. Wyglądało to bardziej na szturm wojskowy niż kontrolę podróżnych. Dwaj bryłowaci Niemcy, w hełmach, wtargnęli do przedziału.

„Wszyscy wstać i pokazać dokumenty”. Starszy Niemiec był umundurowanym zbirem i bardzo mało miał między uszami. Było jasne, że mój paszport i plik dokumentów od Schenkera przekraczają jego zdolność pojmwania.

„Po odwiedzeniu Warszawy w sprawach Wehrmachtu jadę dalej na wschód z podobnym zadaniem i następnie wracam do Wiednia”. Informację tę przekazałem łaskawie napuszonym niemieckim. Rozbroiłem goryla, spuścił z tonu, zapomniał agresywnych manier i bez dalszych pytań zwrócił grzecznie moje dokumenty. Pusty wyraz twarzy świadczył, że nie miał pojęcia, kim jestem, dokąd jadę ani skąd. Co więcej, żeby ukryć zmieszanie, porzucił zamiar sprawdzania, warknął tylko coś do kilku innych pasażerów i wyszedł. Wiele małych przebierało się w mundury. Spotkanie klasycznego przykładu tego zjawiska w tym delikatnym momencie było dla mnie uśmiechem losu.

Kiedy wysiadłem na stacji w Warszawie i złapałem dorożkę, był już ciemny wieczór, po godzinie policyjnej. Dotarłem do Nowego Świata i przejechawszy daleko za dom doktorostwa, wróciłem piechotą sprawdzając dokładnie, czy nie ma niebezpieczeństwa, zanim wszedłem do bloku. Była to niezapomniana podróż!

Pamięć o tych skrajnych próbach psychicznych i fizycznych, jakim zostałem poddany w ciągu tych krótkich kilku dni, pozostanie mi do końca życia.

Rodzina jeszcze była na nogach. Zapukałem delikatnie. Smuga światła w szparze pod drzwiami tylnego wejścia wyglądała normalnie. „Kto tam?”. Odpowiadam cicho: „Paweł”.

Wiktoria w fartuchu zmywała po późnej kolacji. Aż jej się ręce trzęsły z podniecenia, kiedy zwalniała zamek i otwierała drzwi.

„Moja Żabusia!”. W mieszkaniu rozbrzmiewał jej radosny głos: „Paweł wrócił!”.

Króla nie witano by bardziej entuzjastycznie. Zdumienie na widok mojego zmęczenia skwitowałem, mówiąc tylko, że jestem bardzo niewyspany. Wpakowałem się szybko do łóżka na piętrze i dopiero następnego dnia koło południa wytknąłem nos na ulice drogiej, starej Warszawy, by zdać raport Karolowi.

Marysia, promieniejąc radością z okazji mojego szczęśliwego powrotu, znalazła dla nas pierwsze mieszkanie i zabrała mnie na oględziny. Jej stara przyjaciółka szkolna wyszła za inżyniera warszawskich wodociągów i za miesiąc młodzi przeprowadzą się do nowego mieszkania przy stacji filtrów, które im zaoferowano. Ich mieszkanie, składające się z trzech pokoiów i kuchni przy ulicy Elektoralfnej, w nie najbardziej eleganckim otoczeniu, możemy wziąć. Z zasobów rodzinnych, z typową polską hojnością nowe mieszkanie otrzyma wygodne umeblowanie, a po przemyśleniu sprawy i współpracy wydziału dokumentów kierowanego przez Karola uda się wyrobić nawet bardziej bezpieczne papiery do zameldowania, niż u Floriana na Nowym Świecie. Posiadałem już komplet

papierów, wedle których byłem Polakiem Stanisławem Jasińskim, pracującym dla Kolei Wschodniej. Do tego dołożono nowy polski paszport cywilny na to samo nazwisko, poparty autentycznym świadectwem urodzenia. Nie należy pytać jak, ale to świadectwo urodzenia było oficjalnie wstawione do odpowiedniego przedwojennego rejestru w Urzędzie Stanu Cywilnego. Dało się to w każdej chwili sprawdzić, i pod tym nazwiskiem miałem brać ślub. Byłoby teraz trudnym zadaniem udowodnić, że nie jestem rdzennym Polakiem. Nazwisko Jasiński, razem z Marią jego żoną zostało także zarejestrowane w niemieckich aktach z miejscem zamieszkania na Elektoralnej. Wydawało się, że solidniejszej asekuracji nie można było wymyślić. Niebezpieczeństwo przypadkowego aresztowania na ulicy zostało zminimalizowane, chociaż bycie Polakiem było niebezpieczne samo w sobie.

Teraz już z całą pewnością można było sądzić, że gestapo miało z akt jeńców wojennych i z innych źródeł bardzo dokładne dane o mnie i mój rysopis. Przestrzegałem zasad konspiracyjnych bardzo dokładnie. Od tego czasu, wychodząc na ulicę czy to na Nowym Świecie, czy Elektoralnej, czy gdziekolwiek, na dobrą sprawę przechodziłem zawsze kawał dalej niż miejsce, do którego się udawałem, sprawdzając po drodze, czy coś podejrzanego się nie dzieje, i wracając, robiłem to samo.

Dzień ślubu był już wiadomy. By ułatwić wyjazd z Warszawy na miodowy miesiąc, nowy komplet dokumentów został przygotowany specjalnie na tę jedną okazję. Narodził się jeszcze jeden inżynier niemiecki pracujący dla Kolei Wschodnich. Stałem się wedle paszportu i papierów służbowych, Herr Spornem wszystko odpowiednio ze swastykami i kolejowymi pieczętkami Herr Sporna wyposażono także w dokumenty urlopowe, które miałem przyjemność sam wypitrasić, informujące również, iż jego żona Frau Maria Sporn towarzyszy mężowi w czasie urlopu.

W dzień przed ślubem, w naszym przypadku 4 maja 1943 roku, pan młody zwykle urządza bibkę kawalerską dla swoich kumpli. Miałem teraz dostateczną liczbę kolegów w Warszawie, by zorganizować taką uroczystość, ale udało mi się, mimo namowom kilku miłych chłopaków, wykręcić od zorganizowania historycznego ochłaju. W małej restauracyjce, niedaleko Nowego Świata, zjedliśmy z Marysią spokojną kolację, ostatnią w wolnym stanie. Wielokrotnie sprawdzaliśmy i powtarzaliśmy sprawdzanie wszystkich okoliczności, od których zależało nasze bezpieczeństwo po ślubie. Biorąc pod uwagę czasy, w jakich żyliśmy, normalne kłopoty młodych małżeństw były niczym.

Wielki dzień dla nas, piąty maja, rozpoczął się słonecznym, spokojnym wiosennym rankiem. Wstałem wcześniej obudzony krzątanią Florianów, którzy trzęśli się nade mną jak kura nad kurczakiem, i ubrałem się w uroczysty strój. Czarny garnitur, dopasowane do tego buty, skarpety, krawat i goździk w klapie. Pół godziny przed udaniem się do kościoła zszedłem na dół w eskorcie dumnych Floriana i Anny, gdzie powitany zostałem przez Marysię całą w pąsach, promieniejącą w białej sukni ślubnej, otoczoną niepokojącą liczbą życzliwego towarzystwa. Oczywiście cichy ślub z kilku gośćmi lub wcale bez gości byłby rozsądniejszy w tej sytuacji, ale nie wedle Kazia wyobrażeń o ślubie jego starszej córki, wojna czy nie wojna.

Krystyna, która odprawiła już wielu wielbicieli, teraz była trwalej związana z miłym, przystojnym chłopakiem, Zbyszkim Nowakowskim, który chętnie zgodził się pełnić funkcję drużby, co u nas nazywa się best man. Zbyszek był w ruchu oporu, kiedyś pochwalił mi się swoim pistoletem belgijskim, dziewięciomilimetrową FN-ką a jeszcze bardziej ujął mnie, kiedy potem podarował mi taką samą zabawkę wraz z dużym zapasem amunicji. Jako drużba Zbyszek postarał się o dorożkę z koniem w girlandach, w której on, Krystyna, Marysia i ja ruszyliśmy do kościoła Świętego Krzyża odległego zaledwie o parę minut drogi. Jakaś setka ludzi kręciła się pod kościołem. Większość to byli nieznajomi, ale także liczna była grupa osób z rodziny Kazia, jego znajomych, przyjaciół i kolegów z

ruchu oporu. Zaraz koło kościoła był jakiś niemiecki urząd z budką przy wejściu pomalowaną w pasy, w której stał żołnierz z karabinem i hełmem na głowie i przypatrywał się biernie, co się dzieje*. Cały świat kocha kochanków, i jeśli tylko nie wywęszyli czegoś związanego z ruchem oporu mającego związek z tym zbiegowiskiem

PRZYPISY AUTORA:

* Prawdopodobnie chodzi ni mniej ni więcej, tylko o Komendę Policji, która mieściła się przy ulicy Krakowskie Przedmieście 1 (przyp. red.).

to czemu nawet naziści mieliby przeszkadzać? To otwarte zgromadzenie z całym swoim nieplanowanym zuchwalstwem mogłoby wzbudzić dreszcz zgrozy, gdyby nie fakt, że tylu uczestników po prostu miało zaufanie do szczęśliwego losu. Gdyby był jakiś przeciek, gdyby gestapo domyśliło się, co się tu święci, Podziemie i wielu jego członków mogłoby doznać dotkliwej porażki. Zosia, Halina, cała rodzina Lorenzów, wszyscy w najlepszych strojach świątecznych, i mnóstwo członków ruchu oporu znalazło się wśród zebranych. Kręciło się też wielu młodzieńców i czuło się, że mieli przy sobie ukrytą broń i granaty.

Tłum się rozstał, kiedy wychodziliśmy z dorożki, wkroczyliśmy do kościoła, a za nami całe podniecone zgromadzenie. W akompaniamencie szumu wypełniających się ławek kościelnych klękaliśmy, przeżegnaliśmy się i na stojąco oczekiwaliśmy rozpoczęcia ceremonii. Pistolet, który towarzyszył mi przy ślubie, był trochę nie na miejscu zatknięty pod lewą pachą a zapasowy magazynek tak samo ulokowany pod prawą pachą. Był bardzo gorący dzień i niebieski pulower, który miałem na sobie, mógłbym spokojnie zostawić w domu, gdyby nie jego rola jako fetysza ochronnego.

Ksiądz przyjaciel, który zaprzysięgał mnie do ruchu oporu, uzupełnił moje przystąpienie do wiary katolickiej przez wysłuchanie pierwszej, i muszę tu powiedzieć, ostatniej spowiedzi, która się wlokła i wlokła. Popatrzyłem na Marysię i jej spojrzenie powiedziało mi, że im szybciej będziemy mieli rzecz z głowy, tym lepiej. Czy nikt nie zdawał sobie sprawy, że tkwimy tu jak wystawieni na odstrzał? W pewnym momencie, przy dosyć napiętej cierpliwości, usłyszałem, jak głośniejsze niż zaklęcia księdza otworzyły się duże kościelne drzwi. Powstrzymując się, by się nie odwrócić i nie sprawdzić, czy to przypadkiem nie Niemcy, zmieniłem tylko postawę, by w razie czego łatwiej chwycić za pistolet.

Ksiądz napawał się każdą minutą ceremonii i ciągnął ją długo. Intonował moje nazwisko kilka razy jako Stanisław Jasiński i za każdym razem pochylał się i szeptał konspiracyjnie „Ronald Jeffery”, ale tak, by słyszeli to stojący najbliżej koło nas. Marysi prawdziwe nazwisko słyszeć było w całym kościele. Nastąpiły potem śpiewy kościelne, jeszcze więcej zaklęć i wreszcie uroczystość się skończyła. Ucałowanie żony i uciekać jak szybko się da, już chciałem napisać, „i do diabła z tym wszystkim”, ale lepiej nie napiszę.

Ale to jeszcze nie koniec! Musiałem podpisać akt ślubu jako Stanisław Jasiński, a podpis poświadczyły osoby, które potem podpiszą tajne oświadczenie, że moje prawdziwe nazwisko jest Jeffery i że nie mogłem go używać ze względu na bezpieczeństwo. Kiedy to się skończyło, miałem nadzieję, że wymkniemy się dyskretnie bocznymi drzwiami, ale nic z tego! Młodzi musieli przejść przez cały kościół na główną ulicę, gdzie natychmiast otoczył ich tłum. Ściskano mnie i całowano, oblepiono twarz szminką, choć starałem się bronić, chwytając jak maniak rękę każdej kobiety, która się na mnie rzuciła do ucałowania. Niemiecki wartownik pełniący służbę kilka metrów od nas traktował obojętnie tę masę podekscytowanych Polaków, nie wiedząc na szczęście, że ośrodkiem całego zamieszania są Anglik i jego małżonka. Zbyszek i Krystyna wzięli nas w obronę, pomagając młodożencom dostać się do dorożki, i ruszyliśmy w stronę domu na Nowym Świecie. Mieszkanie

Kazia zmieniło się całkowicie. Dwa największe pokoje, jadalny i gabinet lekarski, zastawione były stołami uginającymi się odjadła i napojów. Było też mnóstwo kwiatów. Po pozbyciu się szminki dołączyłem do Marysi, która też musiała się uładzić, włożono mi w rękę duży kielich wódki, z konieczności musiałem trzymać go w lewej ręce, ponieważ prawą potrząsali bez przerwy goście ustawieni w kolejce, którzy kolejno zabierali się za urwanie mi ramienia. Moja wdzięczność całej rodzinie Kazia, która tak serdecznie przyjęła obcego, nie miała granic. Hałaśliwy dobry humor, podniecenie i beztroska o władnęła wszystkimi, z wyjątkiem młodożeńców. Moja żona także przechodziła ogniową próbę gratulacji. Co chwila wymienialiśmy zaniepokojone spojrzenia, czując odpowiedzialność za narastający zgłęb przekraczający zamieszanie, jakie mogło spowodować poślubne śniadanie. Teraz było to już patriotyczne zebranie Polaków, którzy akurat byli świadkami, jak jedna z ich dziewczyn, pod nosem Niemców, wyszła za mąż za zamorskiego alianta, który przyłączył się do nich w ich walce. Demonstrowali raz jeszcze lojalność, wiarę w ostateczne zwycięstwo i odwagę w obliczu przeciwności, jakie ich dotknęły.

Zbyszek, wspomagany przez Krystynę, umiejętnie zdołał uciszyć nieco towarzystwo i wygłoszono szereg toastów i odpowiedzi na toasty. Kiedy na mnie przyszła kolej, hałas przycichł znacznie, ale cały budynek wydawał się płonąć patriotycznym ferworem. W swoim toaście dziękowałem przede wszystkim za przyjęcie i życzliwość, jaką mnie tu otoczono, ale także za wspaniałą odwagę, jaką widać tu na każdym kroku. Spontanycznym wyrażeniem wzruszenia było głośne odśpiewanie emocjonalnej polskiej pieśni *Sto lat, sto lat, niech żyje nam*. Pewnie bezpieczniej byłoby wygłosić mniej wzruszający toast.

Marysia i ja byliśmy coraz bardziej zaniepokojeni rozwojem sytuacji. Ostatecznie to my ponosiliśmy odpowiedzialność za to, co się dzieje. Wymieniliśmy szybko parę zdań i zdecydowaliśmy się rozładować sytuację, która zaczynała zamieniać się w głośne wyzwanie. Przy obfitości alkoholu łatwo było stracić kontrolę, a nie mogliśmy pozwolić za żadną cenę, by zwrócić uwagę Niemców. Marysia wyrwała się by zmienić strój ślubny, a ja, ostrożnie, tylnymi schodami, udałem się do Florianów, by zdjąć czarny garnitur i przebrać się Herr Franz Sporn i Frau Maria Sporn byli gotowi udać się w podróż poślubną. Marysia w gustownym żakiecie i spódniczce przyszła po mnie na górę, a ja czułem się znacznie swobodniej w wysokich butach i bryczesach.

Pożegnaliśmy się z zebranymi na dole we wzruszającej scenerii po emocjach tego dnia. Członkowie rodziny z trudem wstrzymywali łzy, wszyscy mieli oczy na mokrym miejscu. Marysia Polka i Paweł Anglik zaręczyli się. Jako państwo Jasińscy dziś wzięli ślub. Nikt z gości ślubnych składających życzenia pomyślniej drogi nie wiedział, że akurat zmienili nazwiska i narodowość i stali się na czas miodowego miesiąca niemieckim małżeństwem, Franzem i Marią Sporn.

Wreszcie siedzieliśmy oboje w dorożce w drodze na stację. Powstrzymywałem się przez cały czas, nie pijąc więcej niż symbolicznie w czasie śniadania, ale teraz, mając wszystko za sobą postanowiłem skończyć z suszą. Pojawiła się butelka wódki, i lekceważąc obowiązujące maniery picia z kieliszka, postępując w ślad za Marysią pociągnąłem sobie zdrowy haust.

Stacja była jak zwykle przepełniona podróżnymi zmierzającymi na wschód. Cywilów było znacznie więcej niż mundurowych i nie widzieliśmy niczego specjalnego, co by stanowiło większe zagrożenie niż zwykle. Kilka uzbrojonych dwuosobowych patroli niemieckiej policji spacerowało wzdłuż peronów. Para idąca pod rękę, jak my, budziła mniejszą uwagę niż samotny mężczyzna, który by się pałętał po peronie. Czekaliśmy jakieś pół godziny na pociąg do Klembowa i nie wzbudziliśmy żadnych podejrzeń, wchodząc do wagonu *Nur für Deutsche*, podczas gdy tłum Polaków wojował o miejsce w przepełnionych przedziałach zarezerwowanych dla nich.

Nasz wagon był przestronny. Za towarzyszy podróży mieliśmy trzech niemieckich żołnierzy piechoty, którzy miło odpowiedzieli na Heil Hitler swojego krajana. Pokrzepiony drinkami na przyjęciu i poprawką w dorożce byłem w jowialnym raczej nastroju. Marysia czuła się znacznie mniej pewnie. Widziałem w jej oczach niepokój, kiedy patrzyła z tak małej odległości na nienawistne mundury. Ratując sytuację, zdradziłem wrogowi, jaki to dla nas szczęśliwy dzień. Posypały się gratulacje i wypiliśmy parę wódek na zdrowie.

Nasze dobre samopoczucie nie popsuło się, kiedy para umundurowanych szwabskich policjantów kolejowych weszła do przedziału. Szukając polskich podróżnych nieupoważnionych do jazdy w wagonach Nur für Deutsche, chwilę tylko zatrzymali się przy żołnierzach niemieckich, kiedy jeden z nich zwrócił się do mnie:

„Jesteście Niemcami?”.

„Tak jest, proszę, oto moje dokumenty” - wyciągnąłem plik papierów Herr Sporna, wszystkie pełne swastyk w pełnej gali, na co policjant ledwie rzuciwszy okiem, powiedział: Danke.

Oddał mi dokumenty i z kolei zwrócił się do Marysi: Sind Sie Deutsche?

Proszę się przygotować do niespodzianki. Mnie przynajmniej taka spotkała. Moja droga, nowo poślubiona, słodka żona bez przerwy, jak tylko mnie poznała, uczyła się angielskiego przy każdej okazji. Niemieckiego znała tylko kilka słów bez zamiaru uczenia się tego parszywego języka za żadne skarby.

Sind Sie Deutsche? - powtórzył policjant.

Poprawnym angielskim Marysia odpowiedziała Y' yes. Wkroczyłem natychmiast w akcję, zwłaszcza że byłem po paru głębszych. „Przepraszam, ale to jest moja żona”.

„Och, w porządku”, powiedział policjant i obaj opuścili przedział.

Parę wykrzykników przemknęło mi się przez myśl. Ale byliśmy bliźniutko, byle więcej takiego szczęścia. Twarze trzech niemieckich pasażerów zdradzały, że niczego nie zauważyli.

Wziąłem głęboki oddech i spojrzałem na winowajczynię. Biedna Marysia z twarzą zwróconą do podłogi przedziału rozumiała nauczkę, jeśli jej potrzebowała. W jednej minucie pełni radości i kpiący sobie z wrogów, w następnej, przez nieostrożne słowo, na granicy przepaści i śmiertelnego niebezpieczeństwa. Marysia spojrzała na mnie niepewnie. Jej oczy, zawsze pełne ciepła i uczucia, zdradzały teraz przerażenie świadomością tragedii, jaka mogła nas dotknąć przez jej przejęzyczenie. Męczyło mnie poczucie winy. Kogo miałem krytykować, wystawiając młodą kobietę bez przygotowania na tryb życia taki jak nasz, gdzie niezbędna była długa nauka, by pełnić służbę i przeżyć.

Wylewnie życząc nam wszelakiego szczęścia, trzech żołnierze wysiedli na jakiejś małej stacyjce. Jak tylko pociąg ruszył i pozostaliśmy sami, głowa Marysi znalazła się na moim ramieniu. Objęła mnie mocno.

„Paweł, och, Paweł” - łkała.

„E tam, nie przejmuj się, kochanie”.

Łatwo powiedzieć! Zajmie nam wieczność, by zapomnieć o tym wstrząsającym przytaknięciu złożonym zaledwie z trzech liter.

Pociąg przybył na małą stację w Klembowie. Na peronie rozglądając się bacznie, stał starszy wysoki pan, którego poznaliśmy od razu. To nasz drogi Ojczulek przyszedł na nasze powitanie. Przywitał się z Marysią z całą galanterią byłego oficera cesarskiej armii austriackiej. Mniej formalnie przywitał się ze mną. Objął mnie i spojrzał mi głęboko w oczy. Było to bardziej wymowne niż jakiekolwiek słowa. Odebrał nam bagaże i poprowadził do chłopskiego wozu zaprzęgniętego w starego konia, stojącego sobie skromnie z boku. Marysi zaimponowały starania męża, który nawet pomyślał o transporcie odpowiednim do pokonania tej piaszczystej drogi. W rzeczywistości nie była to moja zasługa, co wyszło na jaw, jak tylko Ojczulek, uwolniony od słownej dominacji Eny, skorzystał z okazji, by powiedzieć kilka słów.

To leciwe małżeństwo wżyło się już w małą społeczność leśnej osady i chętnie wypożyczono im wóz z koniem dla przywiezienia specjalnych gości. Zdziwiliśmy się, usłyszawszy, że Ena była na naszym ślubie i zaraz po uroczystości wróciła do Klembowa, a teraz czyniła ostatnie przygotowania na nasze przyjęcie. Ojczulek był po nią na stacji, po czym wcielił się w szofera młodożeńców.

Cisza sosnowego lasu wpływała uspokajająco na ducha i ciało. Przez tydzień czy dwa, dopóki nie musieliśmy wrócić do Warszawy, byliśmy jakby poza wojną także poza widokiem Szwabów. Niech się dzieje potem co chce, te dwa tygodnie muszą być w pełni i radośnie wykorzystane. Taka okazja może się więcej nie pojawić. Z zewnątrz mała chata w niczym się nie zmieniła. Wewnątrz jednak była zmieniona bardzo. Kwiaty różnego rodzaju ozdabiały wszystkie pokoje, a życzliwość i serdeczność w stosunku do nowo przybyłych przejawiała się w każdym szczególe.

Nie widzieliśmy Eny w kościele w tym tłumie. „Sam Hitler by mnie nie powstrzymał - oświadczyła ta dzielna szkocka dama. - Ale na Boga, Ronnie, chybaś oszalał, organizując tak wielkie i publiczne weselisko”.

Wyjaśniłem pokrótce, że nie miałem żadnego wpływu na przygotowania ślubne. Ena marudziła jednak dalej: „Mimo wszystko, jeśli ci Polacy nie potrafią kontrolować swoich emocji i są zwariowani na tyle, by dać się po głupiemu pozabijać, to przecież nie oznacza, że ty musisz być takim samym idiotą”.

Po tym wybuchu szczerości w najlepszej intencji, którego na szczęście Marysia nie rozumiała, cała nasza czwórka zasiadła do stołu na jeszcze jeden obfity posiłek urozmaicony napojami. Toasty dla nas samych, toasty narodowe, wreszcie sprośne piosenki antyniemieckie rozbrzmiewały w chacie.

Przez dwa wspaniałe tygodnie Marysia i ja szwendaliśmy się bezpiecznie po sosnowych lasach. Nie spotkaliśmy nigdy żywej duszy, która by nam przeszkadzała w radosnym przebywaniu ze sobą. Marysia była wręcz przerażona tym, że można być tak szczęśliwym. Pogoda była ciepła i słoneczna. Znaleźliśmy małe jezioro z najczystszą wodą chłodną i orzeźwiającą wspaniałe miejsce do pływania. Oddzieleni milami sosnowego lasu od całego świata, urządzaliśmy sobie tam piknik prawie codziennie. Trudno sobie wyobrazić więcej szczęścia niż doświadczyliśmy w tych klembowskich lasach. Czas dla nas mógł się tu zatrzymać. Niestety, nasz miesiąc miodowy kończył się i trzeba było się szykować do powrotu do Warszawy.

Ena i Ojczulek, przynajmniej na razie, byli bezpieczni. Na wschodzie rozpoczęło się wypieranie Niemców i jak burzliwe będzie ich wyrzucanie stąd,

większość ludzi po prostu bała się myśleć. Miałem urlop do końca maja i po tym terminie powinienem zgłosić się do Karola. Parę dni jeszcze posiedzieliśmy w sosnowym lesie, ale konieczność zajęcia się

nowym mieszkaniem przy Elektoralnej jeszcze przed końcem urlopu spowodowała, że Herr i Frau Sporn zjawili się w Warszawie, by mieć nieco ponad tydzień na zorganizowanie nowego życia.

Krystyna i Zbyszek umiejętnie wywiązali się z zadań, jakie na siebie wzięli w naszym imieniu. Do mieszkania przy Elektoralnej zgromadzono różnego rodzaju meble z różnych źródeł i zdeponowano pod Zbyszka nadzorem w wolnym pomieszczeniu w fabryce Lorenza. Człowiek, który miał być moim szwagrem, zajął się przenoszeniem cięższych rzeczy, jak tapczany, stoły i krzesła, podczas gdy Marysia z siostrą brały lżejsze przedmioty, jak zastawę stołową i bieliznę pościelową i wiozły dorożkami do mieszkania.

Podczas całej tej krzątany ja trzymałem się z dala, głównie czytając i pisząc w moim pokoju u Florianów. Teraz już na pewno gestapo miało pełne moje dossier, obejmujące całą karierę wojskową wygląd zewnętrzny i zdolności językowe. Postanowiłem więc pokazywać się jak najmniej w okolicy mieszkania przy Elektoralnej. Kiedy wszystko było gotowe, tylko Krystyna i Zbyszek znali miejsce naszej nowej siedziby i obławianie nowego mieszkania odbyło się tylko we czwórkę. Bezpieczeństwo było rzeczą najważniejszą. Zbyszek, choć służył w ruchu oporu, w żaden sposób nie był ze mną oficjalnie powiązany. Krystyna studiowała w tajnej szkole medycznej i innych powiązań, poza byciem siostrą Marysi, z nami nie miała.

Wszystko na Elektoralnej urządzono bardzo wygodnie. Marysia była doskonałą kucharką. Zapaliwszy sobie przed obiadem, usadowiwszy się wygodnie, można było prawie zapomnieć o niespokojnym i okrutnym świecie na zewnątrz. Gadaliśmy o wszystkim pod słońcem, ale ciągle mieliśmy na myśli, by nie dać się złapać, a rozmowy koncentrowały się dookoła szczęśliwego świata po wojnie. Poza miłymi zawsze odwiedzinami Zbyszka i Krystyny, byliśmy bardzo zadowoleni z tego osamotnienia. Ale pewnego wieczoru z niepokojem usłyszeliśmy akurat około godziny policyjnej, że ktoś inny puka do naszych drzwi. Marysia otworzyła i natychmiast z ulgą poznała nowych gości.

Na naszym pięttrze było jeszcze jedno mieszkanie i spotykając sąsiadów na schodach, uśmiechaliśmy się do siebie. Teraz sąsiedzi, z butelką wódki w ręku, złożyli nam sąsiedzką wizytę. Po kilku toastach okazało się, że także byli świeżo po ślubie i tak samo serdecznie nie znosili wszystkiego, co niemieckie. Na dodatek sąsiad był maszynistą pracującym na Kolei Wschodniej. Znał wszystkie sztuczki związane ze swoim zawodem i doskonale wiedział, jak szmugluje się te olbrzymie ilości czarnorynkowej żywności i trunków z prowincji. W tej sytuacji uznałem, że nie należy przedstawiać się jako Stanisław Jasiński zatrudniony na kolei, ale skromnie oświadczyłem, że jestem chwilowo bezrobotny. Na wszelki wypadek powiedziałem też, że chociaż jestem rodowitym warszawiakiem, wychowałem się w Stanach Zjednoczonych i wróciłem akurat przed wybuchem wojny. To wyjaśnienie miało wyjaśnić niedociągnięcia językowe i szkolne, i zostało przyjęte przez sąsiadów bez problemu. Było wtedy wielu Polaków w Warszawie, nazywano ich „Polakami z Ameryki”, którzy wrócili do ojczyzny w momencie rozpoczęcia się konfliktu.

Sąsiedzi byli bardzo zajmującym małżeństwem. Szczególnie żona tryskała humorem i wyraźnie miała do mnie słabość. Kiedy opuścili nas po pierwszej wizycie, Marysia sucho ochrzciła ją jako „Pani Zielone Światło”, co nie było całkiem pozbawione racji. Odwiedziny powtarzały się podczas naszego zamieszkiwania na Elektoralnej i z przyjemnością napawaliśmy się złymi dla Niemców wiadomościami, które docierały do nas teraz prawie codziennie.

Wiedeńska próba, a potem zajęcie się przygotowaniami do ślubu, sprawiły, że nie miałem czasu na bieżąco śledzić, co się dzieje na świecie. Teraz, na swoich śmieciach, obłożony gazetami i czasopismami niemieckimi i polskimi, a także naszym własnym „Biuletynem Podziemnym”*, mogłem

nadrobić zaległości i połąpać się co się działo, kiedy wykołowywałem Niemców w Wiedniu, żeniłem się i spędzałem miodowy miesiąc w Polsce.

W tym czasie pełnym zajęć armia niemiecka podała wiadomość o tysiącach zwłok Polaków odkrytych w masowych grobach w Katyniu, w głębi Związku Radzieckiego, i sprawie tej nazistowskie media nadawały wiele rozgłosu. (O masakrze katyńskiej patrz w załączniku). Mowa była o blisko piętnastu tysiącach Polskich żołnierzy zawodowych różnych stopni, i od dawna w Polsce krążyło wiele niepokojących wiadomości i obaw co do ich losu. Siedemnastego września 1939 roku Rosjanie wtargnęli do wschodniej Polski, by spotkać się z Niemcami i wspólnie okupować całą Polskę. Setki tysięcy polskich żołnierzy dostało się w ręce sowieckie. Nie mogli być oni traktowani jako jeńcy wojenni, bo formalnie nie było wojny między Rosją a Polską. Te piętnaście tysięcy polskich oficerów znajdowało się w rękach sowieckich przynajmniej do kwietnia 1940 roku, na co są dowody w postaci listów z Rosji, które docierały do krewnych i przyjaciół w Polsce. Karty pocztowe i listy nosiły stemple pocztowe z rejonu moskiewskiego i uważano, że tam mieści się obóz internowanych. Niepokojące wieści co do miejsca

PRZYPISY AUTORA:

* Prawdopodobnie chodzi o „Biuletyn Informacyjny Armii Krajowej”, który ukazywał się przez cały niemal okres okupacji (przyp. red.)

ich pobytu krążyły po Polsce aż do momentu, kiedy powiadomiono, że znaleziono około pięciu tysięcy ciał. Okazało się, że wszelka korespondencja przerywała się nagle w kwietniu 1940 roku. Pytania kierowane do rządu sowieckiego po linii oficjalnej ani prywatnej nie dały w wyniku żadnej rozsądnej racji dla tego nagłego wstrzymania wszelkiej korespondencji. Na zapytania kierowane przez polskie Podziemie i Rząd polski na uchodźstwie w Londynie nie było żadnej odpowiedzi ze strony Rosji. Przeszukiwano także niemieckie obozy jeńców wojennych, w których również było wielu polskich oficerów wziętych do niewoli w kampanii 1939 roku, podejrzewając, że zaginieni oficerowie mogli zostać przekazani Niemcom w wyniku jakichś niemiecko-rosyjskich umów, jednak bez skutku.

Ogłoszenie opublikowane przez nazistów kończyło więc trzy lata niepewności co do losu zaginionych. Że nie żyli, to było pewne. Niemcy twierdzili, że sprawcami byli Rosjanie, i przedstawiali na to wiarygodne dowody. Rosjanie natomiast twierdzili, że Niemcy są odpowiedzialni za te morderstwa. W moim odosobnieniu w mieszkaniu na Elektoralnej wypowiedzi obu obwiniających się stron studiowałem bardzo starannie. W tym czasie brak było szczegółowych informacji, które by umożliwiły wyrobienie sobie przekonującej opinii co do winy czy to nazistów, czy komunistów. Jedna rzecz była oczywista. Piętnaście tysięcy polskich dowódców zostało zamordowanych z zimną krwią. Nie wiedziałem wtedy, analizując te sprzeczne wersje przedstawiane przez obie strony, że niezadługo zapoznam się sam z pewnymi materialnymi dowodami, które udało się ruchowi oporu wydostać z grobów w Katyniu.

Lato przyszło nagle. Ciepło i słońce ożywiło ludzi, nadało nowego życia pogruchotanym domom i zakamarkom Warszawy. Lekko i barwnie ubrane kobiety różnego wieku wręcz prowokacyjnie krzątały się za swoimi sprawami. Mężczyźni, teraz w koszulach z rozpiętymi kołnierzykami, wyglądali przystojniej, pozbywszy się ciężkich zimowych ubrań. Nawet groźne pary niemieckiej policji, zimą ubrane w szare płaszcze do kolan, wyglądały teraz bardziej po ludzku, patrolując ulice.

Minał ponad miesiąc od ostatniego spotkania z Karolem i w pogodnym nastroju wybrałem się pieszo z Elektoralnej do restauracji „Mewa Morska”. W powietrzu czuło się jakby radosne napięcie i równocześnie zagrożenie. Szedłem pełen ufności i gotów wrócić do roboty ze świadomością że

wracam z urlopu wypoczynkowego na tyłach do roboty frontowej, ale jakoś nie niepokoiłem się tym. Świadomość, że gestapo ma mój dokładny opis, była nieco niepokojąca, bo teraz lekkie ubranie nie dawało takiej możliwości zmiany osobowości, jak to jest w zimie. Kapelusze, nauszniki, płaszcze z podniesionym kołnierzem, chociaż czasem głupio było się tak ubierać, miały tę zaletę, że nie pozwalały rozpoznać człowieka, jeśli się go nie widziało twarzą w twarz z bliskiej odległości.

W pobliżu restauracji nic nie wskazywało na żadne niebezpieczeństwo. Radosne powitanie z szefem było dobrą zapowiedzią. Wymieniliśmy uprzejmości o moim ślubie, Karol wraz z żoną byli w tłumie pod kościołem, Karol zwrócił uwagę na mój zdrowy wygląd i przeszliśmy do rzeczy. Raporty z Wiednia były złe. By użyć wyrażenia konspiracyjnego, wszyscy z austriackiej grupy, z którymi się spotykałem, na ile można być pewnym w takiej sytuacji, „siedzieli”. Tylko ten austriacki naukowiec pozostał nietknięty i jedyny agent w tym rejonie był bardzo ostrożny w podejmowaniu na nowo kontaktów z tym antynazistowskim patriotą austriackim. Moim następnym miejscem akcji był Stettin, miasto nad Bałtykiem, blisko ośrodków, w których czyniono ostatnie przygotowania do wyprodukowania tajnej broni niemieckiej. Dobrą wiadomością było to, że teraz nie jadę tam w charakterze kuriera, ale przez jakieś dwa miesiące mam pełnić funkcję koordynatora tego regionu. Robota wyglądała dobrze, ale myśl, że przez tak długi czas będę z dala od Marysi, nie była miła. Mam ruszyć za dwa tygodnie po szczegółowej odprawie, co oznacza wpakowanie do głowy wszystkiego, co dotyczy tamtej sytuacji, oraz szczegółów o wszystkich agentach ulokowanych na różnych pozycjach strategicznych.

Po wywiązaniu się z operacji szczecińskiej i powrocie do Warszawy przygotowania do mojego wyjazdu do Zjednoczonego Królestwa powinny być zakończone. Potwierdzono, że odpowiednie kroki zostały poczynione, by zapewnić mój powrót do służby w ruchu oporu, i Karol, przekazał mi wiadomość, która czyniła mój powrót jeszcze pewniejszym. Otóż polska armia uznała za stosowne odznaczyć mnie Krzyżem Walecznych w dowód uznania mojej roboty w Wiedniu w czasie ostatniej misji, a decyzja ta została poparta bardzo pochlebną opinią. Generał Rowecki, naczelny dowódca armii podziemnej, wysłał telegram do Queen's Own Royal West Kent Regiment z powiadomieniem, jaki to że mnie porządny chłop, i prosił o nadanie mi stopnia porucznika armii brytyjskiej. To samo zostało załatwione w armii polskiej. Lata później, podczas oficjalnej uroczystości w Londynie, przypięto mi do piersi medal za operację wiedeńską. Wtedy miałem już emocje z tym związane za sobą ale w 1943 roku, w tej małej restauracyjce w służbie polskiego wywiadu trudno mi było powstrzymać łzy wzruszenia. Moją pierwotną ambicją było wydostać się z niemieckiego kicia i wrócić do domu. Co wydarzyło się po drodze, było nie do ominięcia z bardzo małymi możliwościami wyboru, było w tym coś z losu, do sprostania któremu byłem w pewnym stopniu przygotowany, fizycznie i psychicznie, by przeżyć. Wracalem na Elektorálną rozpromieniony i niewiele miałem w życiu przeżyć bardziej przyjemnych niż ta pochwała i uznanie.

Miałem jeszcze wiele roboty przed wyjazdem do Szczecina. Marysia była bardzo niezadowolona, kiedy dowiedziała się o mojej dwumiesięcznej nieobecności w domu, z drugiej strony, gdyby nie okazała tego niezadowolenia, to ja byłbym z kolei niezadowolony. Starannie unikałem rozmowy o dalszych planach wyjazdu do Anglii. Karola widywałem teraz prawie codziennie. Mnóstwo było spraw związanych z moją rolą jako koordynatora regionu szczecińskiego. Oprócz przygotowywania nowych dokumentów, musiałem zapoznać się z wieloma sprawami leżącymi w gestii koordynatora, przy tym nie mogłem niczego zapisywać, było to więc duże obciążenie pamięci. W ciszy mieszkania na Elektorálnej zakopałem się w mapach, przyswajałem nazwy fabryk, miejsca pobytu agentów itp. z entuzjazmem człowieka wybierającego się po raz pierwszy we własnych sprawach. Odprawy, jak dotąd, tylko w nieznacznym stopniu dotyczyły bezpośrednich zadań wywiadowczych. Wkrótce jednak i to trafiło na warsztat. Najważniejsze były dla nas pociski o napędzie rakietowym, ich montażownie

jako cel bombardowań, detale konstrukcyjne, siła niszcząca i mnóstwo innych szczegółów szpiegowskich. Samo w sobie było to bardzo podniecające. Mojej roboty nie miały komplikować niepewne spotkania z lokalnymi agentami, jak to było w Wiedniu, Pradze i Hamburgu.

W tym okresie wiele czasu spędzałem w domu na przygotowaniach, ciesząc się obecnością Marysi. Któregoś popołudnia siedziałem w mieszkaniu na Elektoralnej i przeglądałem cały stóg materiałów, gdy nagle nieco silniejsze zastukanie w drzwi kazało mi wzmóc czujność. Szybko schowałem notatki za tapetę. Nie było podstaw do alarmu, przynajmniej ze względu na osobę samego gościa. Była to Krystyna, szwagierka, z szeroko otwartymi oczyma, dysząca z pośpiechu po pokonaniu pędem czterech pięter schodów do naszego mieszkania. Coś niedobrego się stało.

Krystyna była strasznie zdenerwowana.

„Paweł - z trudem łapała powietrze. - Wiadomość dla ciebie od Zosi -ona twierdzi, że to sprawa życia i śmierci”. Schwyciłem kawałek papieru, rozpoznając pismo Zosi i kod. Bomba spadła na nasz mały świat.

„Karol i wszyscy z «Jamy» aresztowani. Muszę cię natychmiast zobaczyć”.

Przyszedłem na spotkanie nieco wcześniej i musiałem trochę poczekać, zanim ta ulubiona moja dama warszawska weszła do małej kawiarenki wraz ze starszą nieco kobietą obie bardzo smutne. Koleżanka Zosi została przedstawiona jako starsza sekretarka Karola, następczyni Lili, która wpadła w Wiedniu. Kobieta o poważnej twarzy obserwowała mnie z zainteresowaniem, jakby chciała porównać swoje o mnie wyobrażenie z tym, co teraz widziała. Dwa dni temu w drodze na spotkanie z Karolem ostrzeżono ją i zatrzymano, zanim dotarła do „Jamy”, i w ten sposób uratowała się przed aresztowaniem przez gestapowców, których dziesiątki roły się przed restauracją. Od tego momentu cały wywiad został zaalarmowany i ktokolwiek miał kontakt z Karolem, zniknął.

Nie tylko poprzez swoją córkę Halinę, dzięki której poznałem Kaziów, ale będąc na naszym ślubie, Zosia musiała wiedzieć o rezydencji na Nowym Świecie. Ale Zosia nic nie wiedziała o moim mieszkaniu piętro wyżej u Florianów, a Karol z kolei nie znał adresu Zosi. Był to pomyślny zbieg okoliczności. Siedzieliśmy we trójkę i analizowaliśmy na zimno wzrastające zagrożenie w wyniku aresztowań. Wyglądało na to, że nasze mieszkanie na Elektoralnej nie jest zagrożone. Przez zastosowanie tortur czy inaczej trudno będzie Niemcom wymóc zeznania od więźniów prowadzące do Florianów lub Kaziów przy Nowym Świecie. To pewne. Świadomość, że Elektoralna jest bezpieczna, podnosiła na duchu, ale biorąc pod uwagę życie towarzyskie, jakie kwitło zawsze u doktorostwa, mieliśmy się o co niepokoić.

Częste wizyty różnych osób na Nowym Świecie w połączeniu z konsekwencjami wpadki w Wiedniu i Pradze mogły w sumie naprowadzić Szwabów na mój trop, a co gorsza, narazić też Marysię.

Sekretarka Karola poważnie omawiała poszczególne aspekty sytuacji, a Zosia przysłuchiwała się z zaciśniętymi wargami. Podziemny kontrwywiad donosił o wściekłym zainteresowaniu w komendzie gestapo osobą Jeffery'ego. Niemcy wiedzieli, można było zakładać, że wiadomości te mieli z wielu różnych źródeł, nie tylko po aresztowaniach w Wiedniu, że przekształciłem się w szpiega. Ceniony przez Polaków ze względu na możliwość uchodzenia za Niemca Jeffery uważany był teraz za oddanego bojownika ruchu oporu. Miło było o tym wiedzieć, ale byłoby znacznie lepiej, gdyby sprawy te znało tylko Podziemie, a nie gestapo. Gestapo, opanowane ambicją złapania mnie, zorganizowało nawet zmotoryzowane patrole kursujące po Warszawie z moim dokładnym rysopisem.

Zacząłem być sławny, co pochlebia człowiekowi, ale w tej sytuacji była to sława niezbyt mile widziana.

Obie kobiety patrzyły na mnie, jakby już było jasne, że jestem w drodze do celi w gestapo, co pogarszało samopoczucie.

„Pawełek, mój drogi - mówiła Zosia - musisz uciekać z Warszawy i ukryć się. Posiedź parę miesięcy na wsi, aż gorączka przejdzie”. Sekretarka Karola przytaknęła.

„Tak, panie Pawle. Tylko okazyjne wizyty w Warszawie po pieniądze i zaopatrzenie, co zorganizujemy. Będzie miał pan pełno roboty, jak to wszystko się przewali, ale za żadną cenę nie możemy ryzykować, żeby teraz pana złapali. A oprócz tego niech pan pomyśli, co oni z panem zrobią”.

Nie trzeba mi było tego przypominać. Bez żadnych złudzeń co do powagi sytuacji spędziłem kilka dni na Elektoralnej, starając się nie martwić Marysi.

Niepokoilią się o mnie i tak bez przerwy. Dyskretnie wysłałem ją do rodziny na Nowym Świecie, by im powiedziała, że od teraz będziemy mieszkać poza Warszawą rzadko tylko odwiedzając stolicę.

Zosię też poprosiłem, by powiadomiła sekretarkę Karola w celu dalszego rozgłoszenia w konspiracji, że Pawłowie udają się na dobrowolne uchodźstwo, typowa wiadomość zmyłkowa w kręgach ruchu oporu. Na razie nie miałem ochoty opuszczać Warszawy, ale sytuacja mogła się pogorszyć w każdej chwili. Chociaż bardzo wytrącony z równowagi z powodu Karola, wolałem siedzieć cicho w mieszkaniu na Elektoralnej niż w celi gestapo, jak mój szef.

Marysia użyła wszystkich swoich umiejętności artystycznych do zmiany mojego wyglądu. Okulary oraz inna fryzura nie poprawiły niewątpliwego piękna Jeffery'ego, nie uczynił też tego wąsik w stylu Hitlera. Przeanalizowaliśmy ryzyko. Jak dobrze pójdzie, zarówno grono przyjaciół, jak i wrogowie pochwycą plotkę o naszym zniknięciu z lokalnej sceny. Zdecydowaliśmy więc, że pozostanę w Warszawie z nową twarzą w nadziei wmieszczenia się w sposób niezauważalny w tłum uliczny miasta. W ciągu kilku miesięcy powinniśmy się przekonać, czy postępowanie moje jest słuszne, i po odczekaniu jakiegoś czasu, aby plotka się rozeszła, skontaktowałem się z Krystyną i Zbyskiem, a potem osobno z Zosią. Nie było trudno przekonać rodzinę o trafności wybranej strategii i pomoc jej miałem zapewnioną. Zosię, członka Podziemia, musiałem przekonywać dłużej i uzasadniać tego rodzaju fortel, ale także zgodziła się na rozgłoszenie plotki, żeśmy znikli z Warszawy. Ustaliliśmy także sposoby porozumiewania się w tej sytuacji. Przez trzy miesiące postanowiłem siedzieć cicho, być szczególnie czujny, obserwować, co się dzieje, i odczekać, aż sprawa przyschnie, a także opiekować się Marysią której ciąży już nie dało się ukrywać.

Wreszcie, ociągając się nieco, postanowiłem poddać się próbie. W drodze na spotkanie z Zosią wysiadłem pewnego ranka z tramwaju na Marszałkowskiej i zostałem zatrzymany przez dwóch policjantów pełniących strategiczną służbę przy przystanku. Sprawdzili cały plik dokumentów wystawionych na Jasińskiego, Polaka, pracownika Kolei Wschodniej, najważniejszy był tu paszport i dowód z miejsca pracy. Szwabowi trzeba było okularów. Sprawdził dokumenty z moją fotografią zdjętą jeszcze przed zmianami twarzy, oddał mi je i machnął na mnie ręką. Dla niego twarz na zdjęciu i w oryginale zgadzały się. Przykry test wyszedł pozytywnie.

Któregoś popołudnia, siedząc w mieszkaniu, zajęty byłem czytaniem, kiedy zapukano do drzwi. Oczywiście przedsięwziąłem odpowiednie środki ostrożności, ale nie spodziewałem się niczego szczególnego. Był to czas, kiedy nasza sąsiadka, „Pani Zielone Światło”, zwykła była wpadać na

drinka albo z drinkiem. Tym razem była to Krystyna, blada i zdenerwowana, z bardzo niepokojącymi wiadomościami. O szóstej nad ranem gestapo przyszło na Nowy Świat. Dwie grupy obstawily schody frontowe i kuchenne bloku, minęli wejście do mieszkania doktora w drodze na górę i wtargnęły do mojego niedawnego mieszkania. Zabrano Floriana. Anna, jego żona, dotknięta nieszczęściem, prawie że zemdląła. Nie powiedziano, dlaczego Florian został aresztowany, ale dwaj Niemcy zostali w mieszkaniu i przeprowadzali rewizję przez cały dzień. Krystyna wymknęła się, by przynieść nam tę wiadomość, dopiero kiedy ci dwaj opuścili dom przy Nowym Świecie.

Można było domniemywać, że to ja byłem przyczyną tej wizyty i rewizji. Biedni Florianostwo! Nie było lepszych przyjaciół. Zaofiarowali mi schronienie w tak niebezpiecznym czasie, okazali tyle starań i życzliwości, żeby mi było wygodnie. Nie mogłem powstrzymać smutku.

W śmiertelnej walce można porwać się z szablą i rewolwerem i starać się uratować przyjaciela. Myśl o odbiciu Floriana z gestapo nie wchodziła jednak w rachubę. Polacy, jak i Anglik, mogli tylko czekać i mieć nadzieję. Kiedy Krystyna wyszła, siedliśmy załamani. Nie trzeba było wiele wyobraźni, żeby zdać sobie sprawę, jakiemu śledztwu nasz przyjaciel zostanie poddany w znienawidzonej Kwaterze Głównej Gestapo w Alei Szucha. Byliśmy sparaliżowani nieszczęściem. Chodziły mi po głowie myśli o jakiejś pomocy z zupełnym zlekceważeniem bezpieczeństwa osobistego, oczywiście pomysły bez żadnej szansy sukcesu. Główna siedziba gestapo na Szucha była fortecą. Trzeba zachować spokój, brzmiała trzeźwa, choć trudna rada dana samemu sobie. Jeżeli Floriana zmuszą do mówienia, nie będzie umiał nic powiedzieć o Elektorальной. Dobijała nas jednak okropna myśl, że mogą wyjść na jaw powiązania Kazia z aferą Jeffery 'ego, co oznaczałoby koniec dla całej rodziny. Marysia modliła się i byliśmy jak nigdy pogrążeni w rozpacz.

Wybrałem się, by porozmawiać z Zosią i Haliną. Kolorowo ubrane tłumy warszawiaków wręcz buchały zaraźliwym duchem odwagi i wiary, w wyraźnym kontraście do mojego ponurego nastroju. Innych wiadomości, poza tym, że Florian siedzi na Szucha, Zosia nie miała. Minęły już trzy dni od aresztowania i nie było widać żadnej dalszej akcji podjętej przez gestapo. Brak wiadomości to dobra wiadomość. Być może Niemcy nie wydobyli niczego od Floriana. A może jednak? A może tylko grają na czas?

Podniesiony nieco na duchu już miałem wychodzić, kiedy wszedł Jurek. Nie widziałem go prawie rok, kiedy to był groźnym świadkiem spotkania z Zosią zaaranżowanego przez Enę. Przeniósł się z powrotem do pokoju, który przez długi czas był moim mieszkaniem, i Zosia wytłumaczyła mu przyczynę mojego przygnębienia, kiedy nieco drętwą odpowiedziałem na jego wylewne powitanie.

„Kłopoty zwały się na głowę naszego biednego Pawła” - wyjaśniła smutno.

Smutek panujący na Elektorальной nieco zelżał. Bez dalszych złych wiadomości następnego dnia moja biedna żona nawet wysiliła się na uśmiech. Być może jej zadanie się z brytyjskim żołnierzem nie przyniesie zguby całej rodzinie. Odwiedził nas jeszcze jeden gość, tym razem był to Zbyszek, po twarzy widać było, że pełen jest nowin, nie złych, ale dziwnych i nieco niepokojących. Florian wrócił i chce się pilnie ze mną zobaczyć.

Przy obskurnej ulicy równoległej do Nowego Światu, w pobliżu Wisły, był pojedynczy pokój w czynszowej kamienicy. Znałem ten dom od samego początku mojej pracy nad „Echem”, podziemnym biuletynem. Używany był wtedy do przechowywania bibuły i wszystkiego, co wymagało bezpiecznego schowania, a także jako lokalna kryjówka na wypadek nagłej potrzeby. Nigdy nie oddałem klucza i na wszelki wypadek miałem oko na to miejsce, będąc w okolicy, biorąc pod uwagę właśnie takie okazje, jak ta.

Chciałem porozmawiać z Florianem, ale przed spotkaniem z kimś, kto przez cztery czy pięć dni był gościem gestapo, trzeba było przedsięwziąć kilka środków ostrożności. Wy tłumaczyłem mój zamiar Zbyszkowi, który był już oblatany w sprawach konspiracji i szybko zrozumiał, jaką rolę ma pełnić w tej sprawie.

Następnego dnia Florian wyszedł z domu na Nowym Świecie, żeby niby przypadkiem spotkać się ze Zbyszkim. Ci dwaj szli sobie niewinnie razem, a ja dyskretnie postępowałem za nimi w znacznej odległości, gdy tak zmierzali w kierunku umówionego miejsca spotkania. Musiałem się upewnić, że nikt ich nie śledzi, i Zbyszek z zadania wywiązywał się bardzo dobrze. Niedaleko miejsca naszego rendez-vous wsunął Florianowi w rękę klucz, podał adres pokoju i znikł w tłumie. Nie było widać, żeby ktoś śledził Floriana, kiedy wchodził do wskazanego domu. Po odczekaniu chwili, ciągle obserwując, wszedłem do domu i zostałem wpuszczony do pokoju przez Floriana.

Tylko prawe oko miał otwarte. Lewe oko miał zamknięte i cała ta strona twarzy była opuchnięta, pełna sińców i okaleczeń. To zrobił mojemu przyjacielowi jakiś praworęczny bydlak. Siedząc naprzeciwko Floriana przy wąskim drewnianym stoliku, podałem mu butelkę wódki i po chwili, w ślad za nim, pociągnąłem zdrowy łyk. Mój były gospodarz uśmiechnął się poprzez uszkodzenia twarzy, w miarę jak ognista woda zaczęła działać. Rankiem tego dnia akurat się budził, kiedy do pełnej przytomności przywołały go ciężkie kroki na schodach, po których nastąpiło walenie w drzwi. Aufmachen!

Policja mundurowa i tajniacy wpadli do mieszkania z pistoletami w rękę, dopadli tylnych drzwi i wpuścili następną watahę Szwabów. Przelecieli całe mieszkanie, jasne, że w poszukiwaniu kogoś innego poza Florianem i jego żoną. Kazano mu ubierać się szybko i wyprowadzono do czekającego samochodu. Tymczasem przewrócili całe mieszkanie do góry nogami. Anna, ciągle w łóżku, patrzyła, skamieniała ze strachu, jak obuci w oficerki intruzi rozrabiają w mieszkaniu.

Na Szucha wrzucili go do małej celi w piwnicy z dwoma strażnikami pod drzwiami. Minęły całe dwa dni bez wody i jedła w ciągłym jaskrawym świetle elektrycznym. Sen był niemożliwością. Jak tylko próbował się zdrzemnąć, otwierały się drzwi i przywoływano go do przytomności. Trzeciego dnia rano olbrzymi strażnik wszedł do celi i spuścił mu manto pięściami, poprawiając kopniakami. Oszołomionego Floriana wywleczono z celi i znalazł się w okazałym biurze, gdzie kazano mu sięść naprzeciw gestapowca w pełnej gali.

„Oni przyszli po ciebie, Pawełku” - powiedział Florian. Następnie był przepytany całymi godzinami. Przesłuchujący się zmieniali i całe śledztwo dotyczyło Kawali, w rzeczywistości Jeffery'ego, czasem prowadzone w tonie pogodnym, czasem groźnym. Florian trzymał się twardo wersji uprzednio umówionej na taki wypadek. Miał duże mieszkanie i wynajęcie jednego pokoju przyniosłoby dodatkowy dochód, akurat bardzo potrzebny. Dano ogłoszenie do prasy, które można sprawdzić, zgłosił się młody polski biznesmen, Kawała, którego chętnie przyjęli. Był wzorowym lokatorem, płacił dobrze i poza rzadkim udziałem w kolacji mieli z nim bardzo mało do czynienia. Kawała mówił płynnie po niemiecku, i Florian, który także znał niemiecki, z przyjemnością czasem posługiwał się w rozmowie ze swoim lokatorem rym językiem. Że jego prawdziwe nazwisko brzmiało Jeffery i że był członkiem brytyjskiego wywiadu, były to zdumiewające wiadomości. Wiercili i wiercili. Uparte powtarzanie, że ani on, ani jego żona nie mieli pojęcia, kim naprawdę jest Kawała, doprowadzało śledczego do wściekłości, w wyniku czego bito go mocno po twarzy. Po szczególnie bestialskim uderzeniu zawleczono go pod pachy po schodach do piwnicy i znów wrzucono do celi, pozostawiając w bolesnym zamroczeniu. Przyznanie się i tak nie uchroniłoby go przed śmiercią i postanowił trzymać się umówionej linii zeznań, udając kompletną niewinność.

Jeszcze raz posadzono go przed tym pierwszym śledczym. Gestapowiec podniósł się zza biurka i chodził po pokoju tam i z powrotem. Głęboko zamyślony, powiedział raczej do siebie, niż do Floriana: „Ten Jeffery to szczerwana sztuka. A ty pójdziesz teraz do domu i masz zachowywać się, jakby nigdy nic. A jak go zobaczysz albo usłyszysz o nim cokolwiek, natychmiast zatelefonujesz pod ten numer telefonu, nieważnie, dniem czy nocą. W każdym razie, mój polski przyjacielu, nie jesteśmy z ciebie zadowoleni ani nie skończyliśmy z tobą. Oboje, ty i twoja żona, jesteście blisko niemiłego końca”. Potem zawieźli Floriana do domu samochodem.

Było o czym rozmyślać i być wdzięcznym Florianowi za jego upór w zeznaniach i postawę w tej próbie. Byłem wtedy pewien, przebywając w sercu okupowanej Polski, jak jestem i teraz, że jak długo choć jeden Polak czy Polka żyją na tej ziemi, ich ukochany kraj będzie cieszył się wolnością o którą tak zażarcie walczyli.

Moje podziękowanie Florianowi wyrażało mój wielki dług wdzięczności. Słowa wypowiedziane po polsku, w tym barwnym języku słowiańskim, w tym przypadku lepiej wyrażały moje uczucia. Uściskaliśmy się na pożegnanie.

„Do widzenia, Florian, Bóg z tobą”.

„Do widzenia, Paweł, i z tobą”.

Moje życzenia nie spełniły się. Bóg nie był z Florianem ani z jego żoną. Anna zginęła w Powstaniu, a po jej wspaniałym mężu wszelki ślad zaginął.

Wracalem na Elektorálną pieszo. Tak więc gestapo zaszczyliło mnie tytułem Ein gerissener Bursch! (szczerwany lis), tytuł, na który chciałem zasłużyć i na nich go wypróbować.

Po powrocie do domu i Marysi uspokoiłem się i zacząłem rozważać sytuację. Zdenerwowanej żonie przekazałem uspokajającą wersję spotkania z Florianem, zalecając jak najwyższą ostrożność, gdziekolwiek by szła. Odwiedzanie mieszkania na Nowym Świecie należy kompletnie wykluczyć.

Postępowanie gestapo z Florianem, którego mieli już w łapach, było nadspodziewanie nietypowe. Dziwne, że go zwolnili. Czyżby fakt, że sprawa powiązana jest z brytyjskim wywiadem, stępiał ich barbarzyństwo tak charakterystyczne wobec wszystkiego, co dotyczyło polskiej działalności wywrotowej? Tyle różnych czynników należało uwzględnić dla wyjaśnienia tej dziwnej sprawy. Przywoływałem na myśl wszelkie najmniejsze dowody i fakty, i choć starałem się jak tylko mogłem, nie przychodziło mi na myśl nic, co by mogło stanowić wskazówkę, jakim cudem gestapo wpadło prosto na mój trop właśnie na Nowym Świecie u Florianów. Dzięki Bogu mieszkanie na Elektorálnej było prawie kompletnie odizolowane od zewnętrznego świata. Graniczyło wprost z cudem, że pozostawiono mieszkanie Kaziów w spokoju. A może i nie? Było nad czym myśleć.

Piękna słoneczna pogoda dodawała uroku spokojnemu, rodzinnemu życiu. Brzegi Wisły były wspaniałym miejscem leniuchowania w upalne dni. Spędziliśmy wiele miłych godzin rozciągnięci obok siebie na piasku plaży tej szerokiej, bystrej rzeki, w której można było pływać i podokazywać sobie. Czasami udawaliśmy się tramwajem przez most Poniatowskiego na wschodni brzeg rzeki na Saską Kępę i spotykaliśmy się tam z Tommiem, Stenią i Janką wszystkimi opalonymi na czarno dzięki mieszkaniu tak blisko plaży i ciągłemu przebywaniu na słońcu. Wyglądało na to, że każdy w tym kraju o surowym klimacie naładowywał swoje baterie wewnętrznego ciepła, żeby przeżyć mroźną zimę.

Jako zwierzę, na które polowano i któremu udało się chwilowo zmylić nagonkę, powinienem być zadowolony. Ale gdzie tam. Ryzykując, że zostanę nazwany malkontentem, muszę się przyznać, że zacząłem się nudzić z niczym do roboty, tylko gapieniem się po mieście. Życie domowe było nieustannym źródłem radości. Myślałem sobie, że prawdziwa radość życia mężczyzny to powrót do domowej jaskini po zdobyciu dla rodziny plastra bekonu. Dni niezasłużonego dobrobytu zaczęły mi ciążyć na sumieniu. Mężczyzna nie może po prostu siedzieć i nic nie robić, kiedy na świecie jest tyle celów do strzelania.

Marysia była bardziej zadowolona z siedzenia w mieszkaniu i odwiedzania różnych znajomych po całym mieście, zresztą wiele wizyt miało związek ze spodziewanym dzieckiem. Regularnie co tydzień odwiedzała swojego wujka, znanego pediatrę, i nie było zapowiedzi żadnych komplikacji przedporodowych. Marysi spacerowały więc jakiś cel i sens, moje szwendanie się po mieście natomiast takiego sensu nie miało. Żyłem ciągle w oczekiwaniu, żeby coś się wydarzyło, i rzeczywiście, wkrótce wyłoniło się coś nawet grubszego, niż mogłem się spodziewać. Że Niemcy ciągle za mną węszyli, to już nie było dostateczną podniętą coś w rodzaju „Hajda, za nim”, jakiegoś okrzyku łowieckiego było mi brak, który by znów nadał sens mojemu życiu.

W tym czasie miało miejsce pewne wydarzenie, dość zabawne, ale tylko jak się na nie patrzy z perspektywy czasu.

Pewnego wieczoru, po całodziennym samotnym chodzeniu po Warszawie, zbliżałem się ostrożnie, klucząc jak zwykle, do mieszkania na Elektoralej. Przekraczałem duży plac, z którego wybiegało kilka ulic, między innymi Elektoralna. Wyglądało, że wszystko jest w porządku, kiedy nagle w połowie placu zaalarmował mnie widok dwóch mężczyzn w cywilu, którzy mi się intensywnie przypatrywali. To jest wróg! Czyżby mnie rozpoznali, czy po prostu tak się tylko mną zainteresowali?

W centrum skwerku był sześciokątny pisuar, takiego samego typu, jakie spotyka się we Francji. Mężczyzna, który z niego korzysta, może obserwować, co się dookoła dzieje, pod warunkiem, że jest dość wysoki, by wyglądać ponad metalową ściankę chroniącą go przed widokiem publicznym. Może to nie miejsce na krotocwilne uwagi, ale jeśli będziecie mieć okazję, warto zwrócić uwagę na wyraz twarzy pełen udawanego braku zakłopotania wykonywaną czynnością. Wstąpiłem do owego pisuaru, szukając jakiejś osłony, i przypatrywałem się z filozoficznym spokojem tym dwóm, którzy jeszcze intensywniej gapili się na mnie. Wreszcie powoli zaczęli się zbliżać do mojego chwilowego schronienia. Miałem pewność. Sposób, w jaki szli i patrzyli na mnie, nie pozostawiał żadnych wątpliwości. To ja byłem przedmiotem ich zainteresowania. Miałem szczęście, że ich zauważyłem, zanim wszedłem do budynku. Mały pistolet FN byłby bardzo na miejscu, ale skąd te dranie, jak ich zwać, wiedziały, że akurat nie mam go ze sobą w pisuarze? Nagle przyszła mi do głowy myśl, nie jakieś olśnienie, ale lepsze to niż nic. Obaj mężczyźni byli o jakieś dwadzieścia metrów od pisuaru, kiedy wyszedłem im naprzeciw, stając twarzą w twarz. Widziałem przestraszenie w ich oczach. Trzymałem prawą rękę głęboko w kieszeni marynarki i skierowaną odpowiednio, zatrzymali się więc, rozumiejąc, że są na muszce. Jeżeli mnie poznali, a wszystko na to wskazywało, moja poza z ręką w kieszeni sugerowała, że mam broń, a ktoś z ruchu oporu nie zawahałby się jej użyć w takiej sytuacji. Zaskoczeni, wyraźnie nie wiedzieli, co robić. Doszedłem do chodnika na skraju skwerku. Obaj mężczyźni, teraz odlegli ode mnie o jakieś pięćdziesiąt metrów, rozmawiali ze sobą cicho. Wreszcie jeden z nich oddalił się, pewnie po pomoc, dając mi jakieś pięć minut, zanim pojawią się niemieckie posiłki. Na rogu skwerku przebiegało parę linii tramwajowych i trzymając ciągle prawą rękę w kieszeni, zbliżałem się do rogu, gdzie tramwaje zakręcały ostro, zmierzając w kierunku centrum. Mijały minuty i musiałem uciekać, zanim przybędzie szwabska policja, a ten drugi facet nie zbliżał się. Po co zresztą miał się zbliżać, skoro jego kumpel powinien być lada chwila z powrotem.

Do rogu podjeżdżał tramwaj, pobrzękując, zwolnił nieco, biorąc zakręt jakieś dwadzieścia metrów ode mnie, i prawie się zatrzymał.

Nabrałem rozpędu i wskoczyłem na schodki tylnego wagonu. Mój prześladowca pojawił się na rogu, pędząc jak szalony. Już chciałem mu triumfalnie pokiwać ręką na pożegnanie, kiedy musiałem szybko rozłożyć się na płasko na tylnym pomoście tramwaju. Facet, który pędził za uciekającą ofiarą zatrzymał się, wyciągnął rewolwer i zaczął zeń walić. Wszystko przebiegało pomyślnie. Pierwszy wagon, jak zwykle, był tylko Nur für Deutsche, a w tylnym byli tylko Polacy, od których poza pomocą niczego innego nie potrzebowałem się spodziewać. Był też hałas, bo akurat tramwaj wjechał na złącza szyn, tak że pewnie nikt z pasażerów nawet nie zauważył, co się dzieje. Najważniejsze jednak, że strzelec był marny, nawet pewnie nie trafił w tył tramwaju, nie mówiąc już o celu. Zawsze człowiek odczuwa pewne podniecenie, kiedy do niego strzelają tym przyjemniejsze, jeżeli strzelec spudłuje. Po kilku minutach mogłem już wysiąść i wmieszać się tłum przyjaznych warszawiaków.

Panował zupełny spokój, kiedy wróciłem na Elektoralną i dostałem się w domowe pielesze bez dalszych incydentów.

„Miałeś ciekawy dzień, mój drogi?“, zapytała Marysia.

„Tak, dzięki, nawet bardzo, kochanie“, odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

W tym okresie nieróbstwa często odwiedzałem Zosię. Dzięki rozmowie z nią i z jej córką Haliną wiedziałem, co się dzieje w Podziemiu. Jurek, ciągle w domu w moim dawnym pokoju, też był często obecny. Sprawa obserwowania bestialstwa pijanych esesmanów, jak to sobie poczynali z grupami pracujących dla nich Żydów, należała do przeszłości. Wybuchło powstanie w getcie, dla którego stłumienia Niemcy prowadzili krwawą walkę, musieli się więc obchodzić bez pomocy żydowskich niewolników.

Nudziłem się bez przerwy. Kiedy opowiedziałem Zosi i Halinie, jak to delektowałem się podnieceniem, kiedy ten niemiecki tajniak do mnie strzelał i spudłował, patrzyły na mnie, jakbym kompletnie zwariował. Były bliskie prawdy, zakładając, że przez złe zrządzenie losu będę skazany na szwendanie się po Warszawie tylko po to, by przepękać czas i nie dać się złapać aż do końca wojny. Mimo że oficjalnie ukrywałem się poza Warszawą poprosiłem, żeby znaleziono mi jakieś zajęcie, w wyniku czego doszło do rozmowy z Jurkiem. Od czasu do czasu pomoc kogoś mówiącego płynnie po niemiecku będzie bardzo przydatna.

Jurek był członkiem podziemnej grupy likwidacyjnej. Tajne sądy działały w ruchu oporu bez przerwy i sądzono w nich zarówno Niemców, jak i Polaków. Wydawano wyroki za różnego rodzaju przestępstwa, a największym przestępstwem, jakiego mógł dopuścić się Polak, była współpraca z Niemcami.

W porównaniu do innych okupowanych przez Szwabów krajów w Polsce było niewiele zdradzieckiej działalności, ale przypadki takie miały miejsce wśród osób o mieszanym pochodzeniu polsko-niemieckim, u których dochodziło do pewnego pomieszania pojęć o lojalności, i stąd wynikała konieczność kontroli i karania. Kara śmierci była zwykłym wyrokiem wydawanym za oczywistą zdradę i za szczególnie obrzydliwe zachowanie się sił okupacyjnych, zarówno mundurowych, jak i tajniaków. Wykonywano ją rękami odważnych polskich patriotów, takich jak Jurek. Jurek miał mnie powiadomić, kiedy taka okazja nastąpi i kiedy będę mógł być potrzebny.

Ten nagły koniec podniecających przeżyć, które wypełniały mi osiemnaście miesięcy od czasu mojej ucieczki, stworzył pustkę w moim życiu, a narastające napięcie przejawiało się głupimi, wybuchowymi reakcjami, które mogły skończyć się nieobliczalnymi skutkami, gdyby nie mój Anioł Stróż, który opiekował się mną od samego początku.

Pewnego pięknego dnia Marysia, w bardzo już zaawansowanej ciąży, i ja znaleźliśmy się w tramwaju w drodze do jej rodziców. Niemcy zasiadali wygodnie w pierwszym wagonie, a my ściśnięci jechaliśmy w drugim dla Polaków. Izolacja od rodziny na Nowym Świecie była nie do wytrzymania dla mojej żony i od czasu do czasu, stosując różne fortele, aranżowaliśmy jej odwiedziny u rodziców. Łapaliśmy wtedy zwykle tramwaj idący wzdłuż Nowego Świata. Oboje wysiadaliśmy w odległości kilku przystanków od mieszkania Kaziów, wtapialiśmy się w tłum i po dokładnym sprawdzeniu, czy nie ma jakiegoś niebezpieczeństwa, dawałem znak Marysi, że wszystko jest w porządku i może wejść do domu rodziców. Niemcy, wedle naszego rozeznania, nie śledzili Marysi. Nie wiedzieli o powiązaniach między Florianami i doktorostwem na parterze, być może więc przedsięwzięte środki ostrożności były przesadne, ale stawką była śmierć i tortury, dokładnie zdawaliśmy sobie z tego sprawę.

Owego dnia zdecydowaliśmy, że przedsięwzięmy normalne środki ostrożności i wysiadziemy jakieś cztery przystanki przed mieszkaniem jej rodziców. Dojechaliśmy do właściwego przystanku i ja się jakoś przepchnąłem przez ten ścisk i wysiadłem z wagonu. Nie udało się to biednej Marysi. Uwięziona w środku wagonu, rób co chcesz, nie mogła się wydostać. Jej ciąża uniemożliwiała rozpychanie się i mocowanie, a że tramwaj ruszał, nic innego nie mogłem zrobić, jak wsiąść z powrotem, co było tak samo trudne jak wysiadanie. Na następnym przystanku podobna sytuacja. Ku mojej wściekłości nasza przygoda wydawała się niektórym zabawna i wyraźnie przeszkadzali jej wysiąść. Minęliśmy już mieszkanie Kaziów w narastającej desperacji. Tramwaj dojechał do skrzyżowania Alej Jerozolimskich i Nowego Świata, gdzie to parę miesięcy temu miałem tę przygodę z niemieckim olbrzymem - policjantem kontrolującym ruch drogowy. Poczucie ojcowskiej odpowiedzialności i frustracja na widok już wyraźnie rozbawionych niektórych pasażerów rozświeciły mnie. Marysia ciągle nie mogła wydostać się z wagonu. Wybuchłem. Wyskoczyłem z tylnego pomostu, pobiegłem po ulicy do pierwszego wagonu zajętego przez Niemców z polskim motorniczym i wskoczywszy do wagonu, stanąłem obok niego.

„Halt! - wrzasnąłem. - Wszyscy Polacy wysiadać! Takiego świństwa jeszcze nigdy nie widziałem!”.

Szarpiąc za linkę sygnałową i nie przestając wrzeszczeć na motorniczego, by nie ośmielił się jechać dalej, wróciłem do wagonu dla Polaków. Nie potrzeba było powtarzać mojego polecenia. Ostra niemiecka komenda i zatrzymanie się tramwaju wywołało wrażenie. Lepiej nie igrzać z niebezpieczeństwem. Tramwaj szybko opustoszał, a pasażerowie czmychnęli w tłum uliczny. Marysia, z szeroko otwartymi oczyma, była zaszokowana, a ja pomogłem jej wysiąść z tramwaju.

„Idź do rodziców - szepnąłem. - Ja będę w domu trochę później”. Prawie pobiegła Nowym Światem. Niemcy z pierwszego wagonu wyglądali teraz oknem, zastanawiając się, co było przyczyną tego zamieszania. Znajdowali się na wrogim terytorium i nigdy nie byli pewni, czego spodziewać się po tych buntowniczych Polakach.

Zbliżyłem się do motorniczego i „Jechać dalej!” - rozkazałem, natomiast do Niemców: „Przepraszam za to zakłócenie i za kłopot, jaki mogłem państwu sprawić”. Komentarzy nie było i każdy wyglądał na uspokojonego. Czując, że lepiej teraz zniknąć, po szybkim Heil Hitler z nazistowskim pozdrowieniem wyskoczyłem z jadącego już tramwaju i błyskawicznie wtopiłem się w uliczny tłum.

Wszelkie frywolne myśli na temat tej brawury zostały szybko rozwiane przez Marysię. Prawie zemdląła u rodziców w wyniku zdenerwowania. Reakcja Kaziów na Marysiną wersję opowiadania o zdarzeniu wywołała mieszane uczucia. Byli przerażeni, że ośmieliłem się zatrzymać tramwaj, z drugiej jednak strony podziwiali mnie, widzieli w tym dowód mężowskiego poczucia odpowiedzialności i uczucia. Wedle Marysi, moje zachowanie, było spokojne i wyważone. Analizując jednak sprawę, doszedłem do wniosku, że to wynik narastającego napięcia, i postanowiłem brać życie bardziej spokojnie. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

Pamięć, a moja pamięć na pewno, to dość giętka i nie zawsze wiarygodny rejestr, magazyn doświadczeń życiowych od pierwszych dni. Przerwanie wybranej przeze mnie kariery nakreślonej w sekcji wywiadu przez Karola powinno pociągnąć za sobą zaangażowanie mnie w inne ryzykowne przedsięwzięcia. Nic nie wskazywało na to, że kiedyś coś takiego nastąpi. W tej niepewności myśl, że mogę resztę wojny albo większą jej część spędzić na spowszedniałym już wymigiwaniu się Szwabom, była nieznośna. Siedziałem całymi dniami w mieszkaniu na Elektoralnej pełen frustracji i znudzenia. Wylegiwanie się w słońcu na plaży także straciło na atrakcyjności, a Marysia tylko częściowo potrafiła mnie przekonać, że powinienem dziękować za względne bezpieczeństwo osobiste i spokój, siedząc w czterech ścianach małego mieszkanka. Długie spacerzy z unikaniem szwabskich patroli i raczenie się codziennymi warszawskimi okropnościami nie były w stanie zmniejszyć zniechęcenia związanego z bezrobociem. W okresie kompletnego zawieszenia znalazłem sobie rozrywkę terapeutyczną i gastronomiczną jednocześnie.

Po pewnym bardzo udanym posiłku zjedzonym w niemieckiej restauracji w centrum miasta zacząłem tam jadać regularnie. Chociaż większość gości to byli mundurowi, moje ubranie cywilne dostatecznie nazistowskie w stylu pasowało do tego środowiska. Oczywiście robiący wrażenie pakiet dokumentów niemieckich i paszport uzupełniały tę maskaradę. Przy wejściu do restauracji mały czerwono-biało-czarny znaczek ze swastyką oznajmiał, że jestem partyjny, do czego nie należało się przyznawać, kiedy przebywało się wśród Polaków poza restauracją. Ani razu w czasie tych gastronomicznych eskapad nie było kontroli ani nawet podejrzliwych spojrzeń w moją stronę. Swoją postawę i zachowanie wzorowałem na zachowaniu się tajniaków, i w najgorszym razie traktowany byłem jak jeden z moich szwabskich kompanów restauracyjnych. Niemiecki główny kelner, otrzymawszy na samym początku moich wizyt hojny napiwek, witał mnie kordialnie podczas następnych odwiedzin. Pamiętał moje ulubione miejsce i z pełną rewerencją prowadził mnie do skromnego, małego stolika w przyciemnionej, tylnej części sali jadalnej, skąd mogłem napawać się widokiem nienawistnych mundurów. Nawet kiedy delektowałem się dreszczykiem biesiadowania we wrogim towarzystwie i wcinania ich jedzenia, rozkoszne myśli chodziły mi po głowie, podnosząc atrakcyjność sytuacji. Myśli o wpakowaniu trucizny do restauracyjnej kuchni albo podłożeniu kilku bombek z zapalnikami zegarowymi dodawały pikanterii tym wyprawom.

Te drobne podniety, w moim przypadku polegające na chęci dobrego jedzenia, pozwalały mi trzymać się jakoś w garści. Z perspektywy czasu widzę, że byłem wtedy dotknięty powszechną wśród wojskowych dolegliwością żądz wálki. Niektórzy żołnierze po dokonaniu trudnych zadań, po napatrzeniu się na krew, narażaniu na bagnety i bomby ulegają pewnej aberracji psychicznej polegającej na nie do pokonania niechęci do jakiegokolwiek działania. Inni, tacy jak ja, przejawiają tendencje wprost przeciwne, prześladowani są nieopanowaną żądzą wariackiego nadstawiania karku.

Rozwinęła się we mnie pasja czyszczenia i pielęgnowania (wręcz pieszczenia) mojego pistoletu, który często wyjmowałem ze schowka w sypialni i wielokrotnie sprawdzałem sprawność jego działania. W naszym mieszkaniu nie było kuchennych drzwi i jedynym dojściem były drzwi frontowe. Wobec ciągle jeszcze niewyjaśnionej sprawy nalotu gestapo na mieszkanie Florianów nie było żadnej

pewności, że i nasze schronienie nie zostanie któregoś dnia czy którejś nocy zburzone buciorami i gardłowymi wrzaskami. Każdego wieczoru, zaraz po godzinie policyjnej, kładłem mojego FN-a i zapasowy magazynek na półce w przedpokoju. Smętne to były rozważania, ale wniosek oczywisty, że na wypadek osaczenia w domu nie byłoby sensu i dla mnie, i dla ruchu oporu dać się wziąć żywcem. To samo stosowało się do Marysi, i osoby, które nie żyły pod takim naciskiem, mogą mieć trudności w zrozumieniu podjęcia desperackiej decyzji przez szczęśliwego i kochającego małżonka myślącego o strzelaninie do wroga zakończonej odebraniem życia żonie i popełnieniem samobójstwa.

Ten ponury nastrój zelżał nagle w wyniku nowego obrotu sprawy. Z punktu kontaktowego odebrałem wiadomość, żebym jak najszybciej zgłosił się do Zosi. Kiedy przybyłem, był tam już Jurek.

Dwójka volksdeutscheów, kobieta i mężczyzna o mieszanym polsko-niemieckim pochodzeniu, współpracowała ze Szwabami po wniesieniu w szeregi ruchu oporu i trzeba było ich załatwić, zanim narobią większych szkód. Ich вина została ustalona i wyrok śmierci wydany. Mieszkali w okolicy pełnej Niemców i odwiedzali ich głównie Niemcy. Rzadko opuszczali mieszkanie, a jeśli już, to pod osłoną niemieckiej obstawy. Wywnioskowano, że łatwiej będzie się z nimi rozprawić w ich własnym mieszkaniu. I właśnie dostanie się do ich mieszkania to było zadanie, w którym Jurek widział moją rolę. Polacy poczynili wszystkie przygotowania i moja rola została mi dokładnie przedstawiona. Skazani małżonkowie odbierali wiele wizyt, czasami były to ważne osobistości niemieckie, i ja jako posłaniec takich grubych ryb nie powinienem mieć trudności, by otworzono mi drzwi frontowe ich mieszkania. Jak tylko drzwi zostaną otwarte, inicjatywę przejmuje Jurek i jego grupa.

Nadszedł dzień zapłaty dla tych dwojga niemieckich agentów. Spotkałem się z Jurkiem w kawiarni w Śródmieściu, gdzie dołączył do nas nieco nerwowy młody człowiek o dzikich oczach i czarnym wąsie, przedstawiony mi jako Roman. Wprawdzie nie było mowy o moim uzbrojeniu, ale wziąłem ze sobą mojego FN-a, i dziękować Bogu, że tak zrobiłem. Nie tylko ocaliliśmy dzięki niemu skórę, jego dyskretna obecność otworzyła nowy wymiar mojej dalszej kariery w Podziemiu. Dotychczas, napotykać na przeciwności ze strony wroga, ratowałem się silnymi nerwami, blefowaniem, wdziękiem osobistym, dobrym kompletem fałszywych dokumentów, wysiłkami lingwistycznymi, no i szczęściem.

Dobry szpieg rzadko potrzebuje broni. A jeśli jej potrzebuje, to nie jest dobrym szpiegiem. Popijając kawę, wałkowaliśmy aż do znużenia plan mieszkania i samą robotę. Jurek nie podawał dokładnego adresu miejsca akcji i wyglądało na to, że wedle jego planu mamy trzymać się razem i dopiero kiedy nasze drogi będą się rozchodzić dla wykonania poszczególnych zadań, dowiemy się reszty.

Domagałem się nazwy ulicy i dokładnego adresu ofiar, wyjaśniając spokojnie, acz zdecydowanie, że udam się tam samodzielnie i spotkam się z kompanami na miejscu. Obaj, a szczególnie Roman, boczyli się nieco, ale ucichli, widząc, że obstaję przy swoim. Naginanie się do indywidualnych zachcianek w takich sytuacjach tolerowano w Podziemiu od dawna. Byłem przekonany, że mam rację, nie przyłączając się do trójki poszukiwanych bojowników Podziemia, tam gdzie liczba wzrasta, bezpieczeństwo maleje. Zsynchronizowaliśmy zegarki, ustaliliśmy dokładnie czas spotkania i wzięwszy dorożkę, udałem się na miejsce akcji.

A życie w Warszawie toczyło się jak zwykle, słońce przygrzewało i przyjaciołom, i wrogom. Zatłoczone chodniki i ożywiony ruch samochodowy mieszały się przedziwnie, tworząc obraz jakiejś nierealności. Jak może śmierć zabierać jakąkolwiek żywą istotę w tak piękny dzień? Że jednak Kostucha była wśród nas i szykowała się do zniwa, miałem na to żywy dowód. Oto pod ścianą stoją czterej młodzi mężczyźni, twarzami do muru, z rękoma podniesionymi wysoko, a za nimi dwaj

niemieccy policjanci z pistoletami maszynowymi. Dwa inne umundurowane Szwaby z bronią w pogotowiu uzupełniały tę scenę.

Spotkałem Jurka i Romana w umówionym miejscu. Nie było o czym dyskutować. Swoją rolę posłańca przybywającego z siedziby gestapo w Warszawie wykułem na blachę. Jurek i ja weszliśmy frontowym wejściem do eleganckiego bloku mieszkalnego, a Roman obstawiał wyjście z tyłu budynku. Na czwartym piętrze Jurek zasygnalizował, że jesteśmy na miejscu, stanął z boku i poklepał mnie po plecach, dając znak rozpoczęcia akcji. Na ostre zapukanie do drzwi odezwał się z głębi damski głos, zapytując po polsku, kto tam. Słodkim głosem po niemiecku oznajmiłem, że przyniosłem wiadomość i paczuszkę od pewnego Szwaba, którego nazwisko i tytuł Jurek mocno wbił mi w pamięć. Momentalnie usłyszałem odpowiedź, teraz po niemiecku, i usłyszałem, jak zwalnia się łańcuch blokujący drzwi. Drzwi się otworzyły.

Kobieta ledwie zdążyła otworzyć usta ze strachu i zdumienia, kiedy Jurek z szybkością atakującego kota rzucił się przede mnie i chwycił ją. W sekundzie kobieta była odwrócona, a Jurek z tyłu zasłaniał jej buzię ręką. Wraził brutalnie lufę pistoletu w bok karku, a ja, który sceny takie widziałem wyłącznie na filmach, z trudem uświadamiałem sobie, że na moich oczach rozgrywa się prawdziwe życie, a nie czyjaś fantazja. Zbierając się jakoś do kupy, postąpiłem za Jurkiem w głąb mieszkania, zamknąwszy za sobą drzwi. Byliśmy w salonie, w którym pojawił się mężczyzna w piżamie, z wąsikami a la Hitler. Jurek skierował w jego stronę pistolet znad pleców kobiety. „Ręce do góry!”. Facet nie mógł nic więcej zrobić i ręce powoli, acz zdecydowanie podniosły się w górę, tym bardziej że Jurek niedwuznacznie wskazywał pistoletem, o co chodzi.

Jurek ustawił kobietę obok męża pod ścianą twarzą do siebie z rękoma do góry i poinformował o ich winie jako kolaborantów wroga. Naród polski nie może tolerować takiego postępowania, kontynuował mój przyjaciel. Świadomość beznadziejności sytuacji i prawdopodobnego jej wyniku widać było w wyrazie twarzy skazańców. Ci ludzie niewątpliwie korzystali z dobrodziejstw oferowanych im przez wroga, ale niezależnie od tego, jak silna była moja chęć tępienia Niemców i ich sympatyków, nie mogłem wzbudzić w sobie najmniejszego entuzjazmu do tego, co miało za chwilę nastąpić. Być może są ludzie, na których sceny takie nie robią większego wrażenia, ale ja do nich nie należę. Przywołując na pamięć okrucieństwa dokonane przez Niemców, zebrałem siły, by opanować ogarniające mnie obrzydzenie i zachować spokój, który jak dotąd pozwolił mi wybrnąć bez szwanku z niejednego niebezpieczeństwa.

Jurek podniósł pistolet, wycelował i nacisnął spust. Nic. Nacisnął jeszcze raz. Znów nie ma strzału. Broń się zacięła. W pierwszym momencie poczułem, nielogicznie, jakby ulgę, natychmiast zamienioną w poczucie najwyższego zagrożenia. Mężczyzna w piżamie rzucił się przez pokój na Jurka i zaczął się z nim mocować. Obaj upadli na podłogę. Meble się przewracały, a oni naparziali się na podłodze. Wywołany hałas nie mógł pozostawać długo niezauważony, co gorsza, Jurek tracił wyraźnie przewagę w walce. Jezus Maria! Cała sytuacja przybrała zupełnie wariacki obrót i coś trzeba było zrobić. Wyciągnąłem swojego FN-a i z odległości kilku centymetrów zastrzeliłem tego faceta w piżamie, który już obezwładnił Jurka i siedząc na nim, walił weń jak w bęben. Strzelałem z tak bliskiej odległości, że mała dziurka od pocisku z boku głowy wyraźnie obwiedziona była czarną obwódką prochu. Kobieta w tym czasie stała jak sparaliżowana z szeroko otwartymi oczyma. Mój strzał, który zabrzmiał jak uderzenie pioruna w tym małym pomieszczeniu, wywołał w niej gwałtowną reakcję. Pomagałem Jurkowi wykaraskać się spod martwego Niemca, gdy nagle poczucie śmiertelnego zagrożenia kazało mi rzucić okiem dookoła siebie i w górę. Ciężka, metalowa figura czy jakiś postument za chwilę rąbnie mnie w łeb! Uchyliłem się błyskawicznie i dostałem obezwładniający cios w ramię. Metalowy postument, teraz mocno trzymany w prawej ręce kobiety, już lądował na moim

czole. Jeszcze jedno pociągnięcie spustu, i kobieta rozciągnęła się koło mnie. Paskudna sytuacja! Jeszcze parę minut temu byłem prawie zadowolony, że cała misja spali na panewce i obejdzie się bez krwawych zajść. Teraz nie tylko miały miejsce, ale los sprawił, że stałem się ich głównym sprawcą. Jurek, ciągle nieco zamroczony, powoli stawał na nogi. Delikatnie ujął mnie za rękę i powiedział: „Dobra robota, Paweł”. Moje odczucia były akurat przeciwne.

Jurek wyciągnął z kieszeni kilka zadrukowanych nalepek. Jedną zostawił w mieszkaniu, drugą przypiął na drzwiach wejściowych, wychodząc. Kiedy to tylko było możliwe, po wykonaniu wyroku śmierci powiadamiano zwykle Niemców o oficjalnym stanowisku Podziemia w sprawie kolaboracji i czego mogą spodziewać się kolaboranci.

Po powrocie na Elektoralną w bardzo trzeźwym i refleksyjnym nastroju fajka i kieliszek wódki pozwoliły mi jakoś przyjść do siebie. Podczas wojny zniszczenie lub unieszkodliwienie wroga, czy to indywidualnie, czy zbiorowo to zadanie zasadnicze. Osiągnąć taki cel można różnymi sposobami, które pociągają za sobą rozmaite reakcje osobiste, w zależności od tego, w jaki sposób zabijający rozdaje swoje karty śmierci. Lotnik, który zrzuca bomby, ten, który naciska spust, ten, który ładuje pociski, śledzą potem z satysfakcją lub rozczarowaniem wyniki swojej roboty. Skutki wybuchów bomb, pocisków czy torped są dalekie od sprawcy i zniwo śmierci, krew i ból docierają do niego nie bezpośrednio. Nie pozostaną mu na sumieniu nieusuwalne, przyprawiające o mdłości obrazy okaleczonych ciał czy poskręcanych członków. W przeciwieństwie do tego zabójca z bliska, za pomocą noża, kulki, bagnetu lub gołej ręki, na zawsze zachowa w swej pamięci ostatni widok ofiary czy odgłosy przez nią wydawane. Nigdy w życiu nawet nie myślałem o podniesieniu ręki na kobietę, a jednak zastrzeliłem jedną w piękny, słoneczny dzień w Polsce.

Ukrywałem jak tylko mogłem ciągle widoczne siniaki i potłuczenia na moim ramieniu, żeby uchronić się przed pytaniami Marysi.

Parę dni potem odwiedziłem Zosię. Jurek powiedział jej o moim udziale w akcji i uratowaniu mu życia, a wdzięczność Zosi wskazywała na głębię łączących ich uczuć. Dałem jasno do zrozumienia, że jeśli Jurek będzie potrzebował jeszcze mojej pomocy, tylko umundurowany wróg wchodzi w rachubę. Zosia rozumiała moje stanowisko w tej sprawie.

Przed podjęciem na nowo moich szpiegowskich zadań zdarzył się bolesny wypadek, niestety nie do uniknięcia w ruchu oporu. Otrzymałem znów wezwanie na spotkanie z Zosią. Drzwi otworzyła Halina z oczyma napuchniętymi od łez. Stało się coś bardzo niedobrego. Zosia pojawiła się za córką z dużą chustką zasłaniającą twarz. Jurek nie żył. Został zatrzymany przez niemiecki patrol, który wykrył, że ma przy sobie broń. Zastrzelił jednego z policjantów i uciekł po schodach bloku mieszkalnego na sam dach. Szybko przywołany szwabski oddział otoczył budynek i przypieczętował jego los. Na widok uciekiniera na dachu zawsze otwierano ogień, na co Jurek odpowiadał aż do momentu, kiedy skończyła mu się amunicja. Wtedy ostatni pocisk skierował w swoją stronę i roztrzaskał się o bruk, spadając. Matka i córka były niepocieszone, a ja także wróciłem na Elektoralną roztrzęsiony. Wojna stawała się coraz krwawsza, ale jeżeli Jurek mógł zginąć tak bohatersko, koniecznie chciałem pokazać Polakom, że jeśli zajdzie podobna okoliczność, Brytyjczyk robi to samo, będzie czujny i odważny. W tej kolejności, jeśli pamięć mnie nie myli. Nie ma się nigdy pewności, w jaki sposób człowiek zareaguje w podobnej sytuacji, ale w głębokim smutku z powodu straty dzielnego i wspaniałego kompana patrzyłem w przyszłość z jeszcze większą determinacją.

PONAD POŁOWA DROGI

W pierwszym momencie wydaje się to niemożliwe, a jednak rok 1943 oznaczał ciągle wzmaganie się niemieckich okrucieństw w Polsce. Przy politycznej niedojrzałości partyzantów swastyka szalała nad krajem od samego początku blitzkriegu w 1939 roku. Nienawiść okupantów narastała. Wyzbycie się przez Szwabów wszelkich zasad moralnych nie pozostawiało Polakom żadnych złudzeń co do losu, jaki czeka ich i cały kraj z rąk hitlerowskich barbarzyńców. Udział w ruchu oporu stał się jedynym wyjściem. Nie mieli nic do stracenia prócz życia i to fatalistyczne przeświadczenie wzmagало fanatyczną nienawiść do wszystkiego co niemieckie, przejawiając się wybuchami dzikiej wrogości przy jakimkolwiek kontakcie między dotychczasowymi zwycięzcami i zwyciężonymi.

Odwroty i wycofywanie się w obliczu ożywających armii rosyjskich na wschodzie i nasilające się bombardowania alianckie na zachodzie skłaniały Niemców do kurczowego trzymania tego, co zdobyli, a straty nadrabiali sobie przez zadawanie następnych cierpień i sianie śmierci wśród pokonanych. W żadnym innym kraju okrucieństwo i nienawiść nie rozwinęły się na taką skalę jak w Polsce na tym etapie wojny. Terror pociągał za sobą kontrterror, to wywoływało następne działania terrorystyczne. W pierwszej połowie tego krwawego roku tysiące Żydów, ciągle mieszkających w warszawskim getcie, podjęło decyzję walki w miejsce pokornej zgody na transporty do komór śmierci. Tygodniami całe miasto słuchało strzelaniny, kiedy niemieckie oddziały równały dzielnice żydowskie z ziemią i wyrzynały obrońców. To nasilenie prześladowań pociągnęło za sobą liczne zamachy i próby zamachów na personel niemiecki, szczególnie na osoby bezpośrednio winne nieludzkiemu traktowaniu Polaków i Żydów. Szwaby przyjęły zasadę zbiorowej odpowiedzialności. Jedno zabójstwo Niemca w wyniku zamachu pociągało za sobą natychmiastowe aresztowanie cywilów na ulicy. Zbiorowe egzekucje pod ścianą przeprowadzane przez specjalne liczne oddziały egzekucyjne, pozostawiały na chodnikach stosy ciał ofiar różnego wieku i płci, a krew strumieniami spływała rynsztokiem. Poczynania takie wzmacniały tylko polską stanowczość i nienawiść. Nastroje przekroczyły wszelkie granice i szaleństwo zabijania opanowało Niemców i Polaków, stanowiąc jakby sadystyczny zawór bezpieczeństwa dający upust wewnętrznym, narastającym napięciom.

Polacy wydawali się znajdować pewne ukojenie w tym męczeństwie. Miejsca, gdzie dokonywano egzekucji ulicznych, obsypywano kwiatami, zostawiano palące się świeczki dla wyrażenia, że duch narodu i patriotyzm jest niezniszczalny i zatriumfuje. Tysiące warszawiaków było świadkami tych brutalnych prześladowań. Sam na szczęście nie byłem przy takim ponurym zajściu, ale zdarzyło mi się być na miejscu w parę minut po tym, jak padły kule. Ofiary ustawione przed plutonem egzekucyjnym zaczęły śpiewać hymn polski, na co szwabski oficer kazał przyspieszyć egzekucję. Szlochająca Polka opowiadała mi o tym heroicznym odruchu oporu. Zrobiło mi się niedobrze na widok tych okropności. Ciepła krew spływała z chodnika wzdłuż rynsztoków.

Mówiono o powstaniu. Zbierano broń, szkolono ludzi. Później czy później Niemcy zbliżą się do klęski i wtedy Polacy rzucą się na nich i posiekają na kawałki. Wszyscy z niecierpliwością oczekiwali tego wspaniałego dnia i modlili się, żeby przynajmniej dożyć zemsty i osobiście w niej uczestniczyć. Moje współczucie też już należało do przeszłości. Teraz chciałem zabijać.

Aresztowanie Karola sprawiło, że zaniechano planów wysłania mnie do Zjednoczonego Królestwa. Sprawa jednak niespodziewanie odżyła w zupełnie innych okolicznościach.

W okresie mojego przymusowego wycofania się ze szpiegowskiej działalności spotykałem się częściej ze współuciecznikiem Tommim Muirem. Obaj teraz mówiliśmy płynnie po polsku. Przeżycie w warszawskiej dżungli spowodowało, że mieliśmy wiele ze sobą wspólnego i lubiliśmy przebywać w swoim towarzystwie. Dodatkową przyjemnością była możliwość rozmawiania w ojczystym języku. Tommie nie czuł się dotknięty moją uwagą że jego polski jest tak wspaniały, iż nawet rodowity akcent

z Glasgow trąci teraz słowiańskimi naleciałościami. Tommie uczył angielskiego pewnego młodego uczestnika ruchu oporu, a ten, słysząc o mnie, poprosił go o zorganizowanie spotkania. W ten sposób poznałem, a potem zostałem bliskim przyjacielem bardzo zdolnego człowieka, którego nazwisko, znane wszystkim, stało się synonimem odwagi i miłości ojczyzny. Bohater ten, z którym Tommie mnie zapoznał w małej kawiarence, używał pseudonimu konspiracyjnego Jan Nowak. Taka aura urosła dookoła tego imienia, że jego prawdziwe nazwisko popadło w zapomnienie, a przyczynił się do tego zapewne fakt, że dla Anglików jest to nazwisko nie do wypowiedzenia - Zdzisław Jeziorański. Janem Nowakiem stał się w ruchu oporu i pod tym nazwiskiem znany jest nawet w Ameryce, która dla niego i jego rodziny stała się drugim domem. Jest tyle Janów w mojej historii, że na dalszych stronach będę się odwoływał tylko do jego przyjętego nazwiska.

Nowak był szczupły, wysoki i bardzo przystojny. Nosił zawsze krótko przystryżone włosy. Najbardziej mnie w nim pociągały odwaga i upór w zmierzaniu do celu, widoczne nawet w jego oczach, gotowość do poświęceń dla sprawy, którą wybrał. Wiedział o mnie wiele i uczestniczył w planowaniu innej wersji mojego powrotu do Zjednoczonego Królestwa przed załamaniem się całej sprawy w wyniku wiedeńskiej wpadki. Kwestię mojej repatriacji poruszono po raz drugi w dowództwie Podziemia po tym spotkaniu. Widać było wyraźnie, że Nowak, starając się nie wprowadzać w zakłopotanie Tommiego, chce przekazać mi jakieś poufne informacje. Po kilku minutach zdawkowej rozmowy Tommie zrozumiał i zaakceptował sytuację, bardzo zresztą powszechną w spotkaniach konspiracyjnych, i bez urazy przeprosił nas i wyszedł. Nowak nie tracił czasu, wyjaśnił natychmiast, że jest kurierem Armii Krajowej podróżującym z Warszawy do Londynu i z powrotem. Kilka miesięcy przedtem zaproponowano, by Jeffery, którego podróż do Reichu oceniona została bardzo pozytywnie, złożył raport w Londynie o sytuacji armii podziemnej. Moje wymuszone oficjalne zniknięcie ze sceny warszawskiej do czasu przycichnięcia sprawy aresztowania Karola było powodem odłożenia projektu, by wrócić do niego teraz.

Tymczasem jednak Nowak zażyczył sobie, bym osobiście napisał raport o sytuacji panującej w okupowanej Polsce, który zostanie zmikrofilmowany i przewieziony przez niego do Wielkiej Brytanii. Rzecz była pilna, bo Nowak miał wyruszyć do Londynu w ciągu tygodnia. Po dokładnym wysłuchaniu tego, co kurier miał do powiedzenia, i ograniczony czasem, pospieszyłem na Elektorálną by przygotować pierwsze ogólne doniesienie. Do kogo raport ma być skierowany i komu przekazany, pozostawiono mi do wyboru. Zakładając, że raport dotrze do Anglii, wybrałem redaktora „Timesa”.

Nie miałem czasu, by przygotować coś, z czego mógłbym być w pełni zadowolony, ale Nowak otrzymał mój list po kilku dniach, podpisany przeze mnie, z moją przynależnością do jednostki wojskowej i numerem służbowym. Polacy byli zachwyceni. Ich zdaniem żaden, nawet najlepiej napisany raport Polaka nie byłby tak znaczący, jak raport napisany przez naocznego, brytyjskiego świadka.

Przyszło mi na myśl, jak Niemcy zareagują na wiadomość, że prasa brytyjska ma swojego reprezentanta w Polsce. Że bardzo mnie nie znosili, było już widać po sprawie Floriana, teraz z wściekłością dołożą do moich akt personalnych tę literacką próbę. Mój udział w akcji, odznaczenie mnie Krzyżem Walecznych wraz z nową rolą korespondenta wojennego podniesie moją pozycję na szwabskiej drabinie wrogów publicznych. Może nawet kiedyś dotrę do szczytu.

W liście do „Timesa”, który zabrał Nowak (patrz załącznik), mówiłem o dzielnym oporze stawianym Niemcom przez wszystkich Polaków, o lojalności i uprzejmości, jaka spotyka wszystkich takich jak ja, i o straszliwych represjach Szwabów, a w szczególności o nieludzkim, planowym likwidowaniu Żydów. Błagałem o międzynarodowe potępienie bestialstw dokonywanych w Polsce i o to, by alianci

zachodni ostrzegli, że wszyscy Niemcy odpowiedzialni są za te nieludzkie przestępstwa i ponoszą za to pełną odpowiedzialność po pokonaniu nazistów. List zabrany przez Nowaka dotarł nietknięty do „Timesa”. Jego treść podana jest niżej (w załączniku) wraz z opisem przeszkód nie do pokonania, na jakie moje wysiłki natrafiły.

Życie domowe na Elektoralnej ułożyliśmy sobie jak szczute zwierzęta, które znalazły nowe legowisko po zmyleniu myśliwych. Marysia, której ciąża przebiegała zdrowo i spokojnie, robiła to wszystko, co robią przyszłe matki, aby zapewnić swojemu potomkowi najlepsze szanse przybycia na ten świat bez specjalnych kłopotów.

Malując sobie różowy obraz życia po wojnie, starając się trzymać z dala od kłopotów, które nas osaczały, uspokoiłem się wyraźnie, co zawdzięczałem na pewno szczęśliwemu pożyciu małżeńskiemu. Był też czynnik dodatkowy. W sprawach osobistych zaistniały nowe okoliczności z mnóstwem implikacji, możliwości, perspektyw, które mogły przyprawić o zawrót głowy.

Nie pamiętam dokładnie, jak i kiedy usłyszałem o Horatio Williamie Cooku. W rozmowach z Podziemiem poszukiwałem możliwości powtórnego podjęcia pełnego zatrudnienia, i wtedy padło jego nazwisko. Powiedziano mi, że pewien starszy Anglik pod nazwiskiem Cybulski mieszka przy ulicy Widok. Sama wiadomość nie była zbyt interesująca, ale jak się jeszcze dowiedziałem, że udziela on lekcji angielskiego jako zasłony, a w rzeczywistości jest brytyjskim agentem wywiadu, zainteresowanie moje wzrosło. Starannie sprawdzwszy autentyczność i wiarygodność informacji, odwiedziłem go w domu. Od samego początku wyglądało, że wizyta jest wzajemną stratą czasu. Cook miał około sześćdziesiątki - siwowłosa, wyjątkowo wygadany, wysoki i dostoyny, przyjemny starszy dżentelmen, nieszkodliwie zajmujący się nauczaniem angielskiego przy małej znajomości polskiego. Nie widać było żadnego śladu, by miał związek z działalnością wywrotową. Już miałem wychodzić, kiedy Cook napomknął o czymś, co natychmiast zwróciło moją uwagę.

Dumny był z pozycji społecznej swoich polskich uczniów, kilka nazwisk znanych warszawiaków ozdabiało potok jego wymowy, między innymi padło utytułowane nazwisko mojego dobroczyńcy, Geni Umińskiej, skrzypaczki. Wymienił też inne nazwisko, a że było mi nieznane, zapytałem, kto zacz.

Okazało się, że był to stary, jeszcze z przedwojennych czasów, przyjaciel niemieckiego pułkownika stacjonującego w Warszawie, teraz w regularnej służbie Wehrmachtu, ale z białogwardyjską przeszłością. Pułkownik jako młody człowiek uciekł z Rosji przed bolszewikami i znalazł schronienie w Niemczech po pierwszej wojnie światowej. Pułkownik, kontynuował Cook, był fanatycznie antysowiecki, a równocześnie był anglofilem i skrycie pragnął skontaktować się wywiadem brytyjskim. Cook, relacjonując plotki z drugiej ręki, nie zdawał sobie sprawy z wagi pytań, jakie mu zadawałem. Bez związku ze szpiegostwem nie miał nawet możliwości wniknąć w te sprawy. Jedno tylko mogłem zrobić, musiałem rzecz wysondować samodzielnie, i to bez zwrócenia na siebie uwagi.

Cook wyczuł moje rosnące zainteresowanie pułkownikiem i zgodził się na proponowany plan działania. Pułkownik zostanie powiadomiony, że jego aluzje co do kontaktów mogą znaleźć chętne ucho. Zdając sobie sprawę ze swojego braku doświadczenia w takich sprawach i żeby nie przedobrzyć, postanowiłem kwestię dobrze przemyśleć i poczekać na wynik pierwszej przynęty. Myślałem o możliwej pułapce gestapo. Cook nie wchodził w rachubę jako uczestnik ewentualnego podstępu, ale mógł być niewinnie wciągnięty w szersze zamiary rozpracowania Podziemia. Zanim pożegnałem się po pierwszej wizycie, poprosiłem Cooka o zebranie informacji o pułkowniku w ciągu dwóch dni. Stary Anglik poczuł się zaangażowany w akcję, objawiając to konspiracyjnym

zachowaniem się i teatralnymi, tajemniczymi spojrzeniami. Na tym etapie Cook wykazał, jeśli nic więcej, to przynajmniej życzliwą gorliwość.

Wkrótce otrzymałem raport ustny o tym słowiańsko-szwabskim pułkowniku, zatelefonowałem do Cooka, podając mu czas i miejsce spotkania, sam natomiast ukryłem się w pobliskiej bramie, by sprawdzić, czy spotkanie z Anglikiem jest czyste. Przekonawszy się, że nikt nie siedzi mu na ogonie, niecierpliwy wiadomości, uciałem z nim długą pogawędkę przy kawie. Polski uczeń Cooka potwierdził w pełni, że pułkownik ma szczere życzenie działać przeciwko komunistom, jak i nazistom.

Pułkownik dotarłszy na Zachód, zmienił swoje rodowe nazwisko Smisłowski. Wyzbywając się powoli carskich tradycji, pułkownik nasz wciągnął się gładko do armii niemieckiej pod wodzą Hitlera i teraz nazywał się Boris von Regenau.

Z dużej liczby rosyjskich żołnierzy wziętych do niewoli, zwłaszcza w pierwszych etapach walk niemiecko-sowieckich, nie było trudno Niemcom zebrać liczną formację nazwaną Rosyjską Armią Wyzwoleńczą*

PRZYPISY AUTORA:

* Russkaja Oswoboditielnaja Armija (ROA) tworzona od 1942 roku (przyp. red.).

dowodzoną przez także wziętego do niewoli sowieckiego generała Własowa. Jak już wspominałem poprzednio, gdyby naziści wykazali większe zrozumienie nastrojów panujących wśród rosyjskiej ludności i ich niezadowolenia ze Stalina i jego rządu, wojska ich mogłyby być witane jako wyzwoliciele. Mimo tego głupiego i brutalnego zachowania się nazistów, kilka setek tysięcy pojmanych Rosjan zmieniło status z niemieckich jeńców wojennych na zmobilizowane jednostki wojskowe stanowiące dosyć istotne wsparcie sił niemieckich rozrzuconych na olbrzymich zagarniętych terenach.

Nie mając pełnego zaufania Niemców, jeśli chodzi o działania frontowe przeciwko swoim rodakom, Rosyjska Armia Wyzwoleńcza była bardzo przydatna w wielu miejscach okupowanej Europy. Niezliczone masy niemieckich żołnierzy zwolnione zostały w ten sposób od roboty pozafrontowej i mogły wziąć udział w walce. Wielu rosyjskich jeńców na ochotnika zgłaszało się do tej nowej armii, by wydostać się z niewiarygodnie surowych warunków panujących w obozach dla Rosjan.

Straszliwe warunki, w jakich ci ludzie żyli i masowo umierali, są nie do wyobrażenia nawet dla najbardziej zdeprawowanego człowieka. Rosjanie w obozach ostrzegali, do jakiego stopnia lepiej się żyje na zachodzie, nawet poprzez więzienne kraty. Ci ludzie szczerze chcieli walczyć, by doprowadzić do upadku rząd sowiecki i przynieść poprawę narodowi, który żył w bezustannym strachu, bez żadnej nadziei od czasu komunistycznej rewolucji. Kto lepiej, jak nie swego czasu Boris Smisłowski z Moskwy, a teraz zawodowy oficer niemiecki, był predestynowany do wywarcia wpływu na te masy niezadowolonego żołnierstwa rosyjskiego?

Naziści zdecydowali się na oddanie dowództwa tej nowej Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej chętnemu do współpracy pojmanemu generałowi Andriejowi Własowowi, a szefostwo sztabu przekazano w ręce naszego pułkownika Borisa von Regenau, wypróbowanego antykomunisty, obecnie szanowanego szwabskiego oficera.

Boris zajmował luksusowe mieszkanie przy Belwederskiej, w modnej, zasiedlonej przez Niemców dzielnicy, gdzie mieszkał z żoną i adiutantem. Przebywał często służbowo poza domem, zwykle w kwaterze głównej Hitlera w Prusach Wschodnich daleko na północ od Warszawy.

Całymi dniami siedziałem cicho na Elektoralnej i biłem się z myślami na temat Borisa, nie mogąc dojść do sensownej konkluzji, co robić. Jeżeli czujka wysunięta w moją stronę była inspirowana przez gestapo, dalsze postępowanie oznaczało nieszczęście.

Ale jeśli intencje były szczere?

Oficer sztabowy w kwaterze głównej Führera otwierałby dla szpiegostwa i innych działań możliwości wręcz o katastrofalnych skutkach dla wroga. Tu wychodziła zasadnicza różnica między robotą wywiadowczą prowadzoną poza linią frontu na terytorium wroga a wywiadem kierowanym z zacisza biura na własnym terytorium. Jeśli podejmę fałszywą decyzję, moja śmierć będzie oczywista i okrutna, podczas gdy podobny błąd w ocenie, popełniony z dala od wroga, mógłby być łatwo zapomniany, najwyżej skropiony krokodylami łzami przy butelce dżinu.

Biedząc się nad podjęciem decyzji, otrzymałem niespodziewaną pomoc. Moje rozpowiadanie o chęci powrotu do służby przyniosło efekty. Sekcja szpiegowska prowadzona przez Karola rozpadła się po jego aresztowaniu i w to miejsce zorganizowano zupełnie nową komórkę.

Dowódcą został major Stefański i szczegółowo przedyskutowano moją rolę w tym układzie. Jakaż była różnica między Karolem a nim! Karol miał ciepły i życzliwy sposób zachowania się, niezależnie od sytuacji. Zawsze czułem się swobodnie przy nim i wesoło, na moje ośle wygłupy radośnie śmiał mu się oczy. U Stefańskiego - nic z tych rzeczy. Chował się bez przerwy pod maską niezłomnego spokoju i chłodu. Nie było po nim nigdy widać nawet śladu uśmiechu, który by zmiękczał jego postawę, zastanawiałem się nawet, jakiego rodzaju wychowanie czy losy mogły tak ukształtować człowieka. Wątpiłem, czy był kiedykolwiek chłopcem albo miał matkę darzącą go miłością i uczuciem. Stefański był warszawskim koordynatorem zreorganizowanej operacji wiedeńskiej, która rozsypała się w początku tego roku. Ja miałem przejąć za nią odpowiedzialność w terenie, przenieść się do Wiednia z wolną ręką co do wprowadzenia zasad ostrożności zalecanych zarówno dla kuriera, jak i szpiega-rezydenta. Taki chłód emanował ze Stefańskiego w odniesieniu do tego nowego przedsięwzięcia, że nie miałem wyrzutów sumienia, odmawiając udziału w tej akcji na parę miesięcy, to jest do początku 1944 roku. Mój przyszły szef wyraził niezadowolony z powodu niemożliwości natychmiastowego podjęcia tej roboty.

Musiałem mu przypomnieć uprzejmie o moim niezachwianym oddaniu sprawie ruchu oporu udokumentowanym zaliczeniem mnie do kadry, przyjęciem przysięgi wierności, z uwzględnieniem jednak specjalnych okoliczności mojej służby, co zostało dobrze zrozumiane i zaakceptowane. Zastrzegłem sobie wtedy prawo własnej interpretacji moich obowiązków jako Brytyjczyka i dopóki nie zakończę pewnych działań należących do tej kategorii, nie jestem w stanie opuścić Warszawy. Stefański był wyraźnie niezadowolony.

Sprawy Marysi stawiałem na pierwszym miejscu. Wobec jej zaawansowanej ciąży - oczekiwaliśmy dziecka w początku grudnia - i z naszym zakwaterowaniem na Elektoralnej nieznanym nikomu, moja nieobecność była nie do pomyślenia. Stefański zdawał się nie nic nie wiedzieć o mojej sytuacji domowej, a zasady bezpieczeństwa zalecające jak najmniejsze wciąganie osób trzecich w takie sprawy kazały mi nie powiadamiać go o tym. Padły pytania dotyczące mojej działalności po wpadce Karola, którą to działalność przedstawiłem szeroko, do granic rozsądku. Opowiedziałem o moich stałych kontaktach z Zosią o akcji przeprowadzonej razem z Jurkiem i jego śmierci po ucieczce na dach w wyniku wypadki. Wspomniałem o zmikrofilmowanym liście zabranym do Londynu przez jednego z kurierów, a także opisałem nieco mgliście projekty mojego powrotu do Zjednoczonego Królestwa. Stefański, choć nie zmienił swoich okropnych manier, wydawał się nieco pod wrażeniem mojej pracy przeciwko Szwabom i przyjął nieco bardziej wyrozumiały ton.

Drugą przyczyną odmowy podjęcia w pełni współpracy ze Stefańskim była sprawa Borisa. Jeśli nie jest to pułapka gestapo, szansa posiadania wtyczki w głównej kwaterze Hitlera w ramach naszego wywiadu miałyby znacznie większe znaczenie w porównaniu do tego, co można by osiągnąć przy pomocy kilku świeżych agentów zainstalowanych w Austrii.

Zdradziłem także, że jestem akurat zaangażowany w zbyt zawikłaną sprawę, żeby wyjawiać szczegóły, ale chodzi o możliwość wciągnięcia do współpracy pułkownika stacjonującego w Prusach Wschodnich, podałem Stefańskiemu nazwisko Borisa i jego stopień wojskowy i poprosiłem o wszystkie dostępne szczegóły dotyczące jego osoby. Stefański z pewnym zaniepokojeniem i niechęcią powiedział, że słyszał o tym osobniku, i pytał mnie o rodzaj moich kontaktów, ale wymigałem się od wyjaśnień. Odmówiłem podania szczegółów tej akcji, dopóki nie otrzymam i nie przestudiuję wszystkich materiałów, jakie Podziemie ma o pułkowniku. Po zapewnieniu, że będzie on wiedział o postępach, ta polska góra lodowa nieco zmiękła i chyba bardziej jako sposób na zapewnienie sobie kontaktu ze mną zażądała, bym składał raporty co dwa tygodnie, co dzieje się na polskiej scenie w tej materii.

Moje przypuszczenie, że kontrwywiad Podziemia za pośrednictwem Stefańskiego nie będzie miał o Borisie nic dobrego do powiedzenia, sprawdziło się. Nie tracąc czasu, major za dzień czy dwa przedstawił mi materiały potępiające niemieckiego pułkownika. Boris przejawiał już pewną inicjatywę pod adresem ruchu oporu, sugerując jakieś formy współpracy, ale natychmiast zostały odrzucone. Jego przeszłość była podejrzana i z góry wykluczała kontakty w obawie przed infiltracją gestapo. Tego nie mogłem kwestionować. Na pewno mieli więcej dowodów niż ja dla podjęcia decyzji, niemniej żywiłem jakieś wewnętrzne przeświadczenie, że zbyt lekko odrzucono wielką szansę.

Atmosfera intryg i straszne konsekwencje grożące w przypadku popełnienia błędu w ocenie często były przyczyną automatycznej reakcji odmownej, i mogło to mieć miejsce w przypadku Borisa. Coś mówiło mi w środku, że oferta została odrzucona bez dostatecznego sprawdzenia jej uczciwości. Stefański domyślał się mojej reakcji i prawie że rozkazał, bym trzymał się z daleka od sprawy Borisa; było też jasne, kiedy się z nim żegnałem, dziękując za rady, że nie podziela mojego stanowiska „nie spróbujesz, nie wygrasz”.

Ustaliliśmy termin następnego spotkania za tydzień w tej samej małej restauracyjce i pożegnaliśmy się w niezbyt ciepłym nastroju. Zresztą nie spodziewałem się ciepła po Stefańskim, ale jego chłód był odstręczający, z nutką osobistej niechęci, braku zaufania, a może i nieco zazdrości. To mogłem zrozumieć. Moja niezależność była sprzeczna z jego stanowiskiem. Otrzymał podwładnego, którego talent, cokolwiek by to znaczyło, należało zmobilizować do sprawy, i miałem podstawy przypuszczać, że następca Karola gotów jest robić różne niemiłe rzeczy, by skłonić do przyginania się do jego woli. Takie delikatne kwestie na pewno załatwiłoby się z Karolem.

Wygodnie tkwiąc na Elektoralnej, ciesząc się towarzystwem Marysi, porządkowałem w myślach narastające problemy i nawet dawało mi to pewną satysfakcję. Zbliżała się wczesna zima i zająłem się pisanem materiałów antyniemieckich i propolskich, które, miałem nadzieję, dotrą do Zjednoczonego Królestwa i wyjaśnią wiele problemów anglojęzycznej publice. Był październik i wiedziałem dobrze, że jeśli nie pojawią się ważne preteksty dla opóźnienia mojego wyjazdu z Warszawy, w styczniu 1944 roku udam się pewnie do Wiednia, by z dużą niechęcią zamieszkać samotnie.

Dziecka spodziewaliśmy się w początku grudnia. Szczęśliwy poród usunie jedną z przyczyn mojego ociągania się przed wyjazdem. Dwie inne sprawy mogły jeszcze wyniknąć, dzięki którym mógłbym zaprzestać współpracy ze Stefańskim. Bez intencji porzucania mojej służby wyłącznie ze względów osobistych miałem nadzieję, że albo powrót Nowaka, albo podjęcie na nowo sprawy Borisa pozwoli

na wycofanie się ze współpracy z przełożonym, który nieraz dał chłodno do zrozumienia, że niezbyt by się tym zmartwił. Niestety niczego nie można było zrobić, by przyspieszyć współpracę z Nowakiem. Kiedy kurier wróci - jeśli wróci - pewnie udam się do Zjednoczonego Królestwa lub zostanę mianowany brytyjskim korespondentem wojennym na Rzeszę i tereny okupowane.

Czując intuicyjnie, że kwestia Borisa została porzucona przedwcześnie, zdawałem sobie równocześnie sprawę, że ruch oporu i tak by nie pozwolił prowadzić jej dalej w wyniku przedstawienia jej przez Stefańskiego. Jedynym sposobem na przekonanie się, czy trop Borisa jest dobry, czy zły, było poddać go osobistemu sprawdzeniu. Im więcej jednak o tym myślałem, tym bardziej dochodziłem do wniosku, że w podejściu ruchu oporu i Stefańskiego było wiele racji. Jeżeli moja intuicja i sposób testowania sprawy były fałszywe, złapią mnie i wpadnę jak mucha w pajęczynę. Innym czynnikiem wpływającym na decyzję w tej sprawie była wzrastająca wola przetrwania, by radować się pięknem życia, jakie nas oczekuje po wojnie. Razem z Marysią i dziećmi czegoś nie dokonamy po takich doświadczeniach. Świat stanie przed nami otworem. Wiele razy w czasie bezsennych nocy, nadstawiając uszu, czy nie zbliża się niebezpieczeństwo, moja polska żona wysłuchiwała opowiadań o tych cudach, które nas oczekują. Pełne kolorów opisy nieba na ziemi, jakie się przed nami otworzy po uwolnieniu świata od nazistów, miały na celu podniesienie samopoczucia i odwrócenie myśli o panującym terrorze. Moje fantazje o świecie, który nadejdzie, mnie samego podnosiły na duchu. Oprócz więc niepokoju o skutki, jakie niepowodzenie sprawy by miało dla wielu Polaków i samego ruchu oporu, przemożna wola dożycia czasów, kiedy zostaniemy wynagrodzeni za te cierpienia, odgrywała rolę w podjęciu decyzji o sposobie postępowania.

Z drugiej strony, jeśli trop Borisa był uczciwy, zrezygnowanie zeń oznaczałoby zarzucenie ważnej sprawy. Dochodziła jeszcze niechęć do współpracy ze Stefańskim, który widział we mnie królika doświadczalnego w Wiedniu.

I tak zdecydowałem, że na własną rękę podejmę jednak trop Borisa. Musiałem jeszcze poważnie przemyśleć wszystko, by nie wpaść w pułapkę, jeśli taka była zastawiona. Znów trzeba będzie odwołać się do zasady prawdopodobieństwa.

Polski uczeń Cooka miał pełne zaufanie do Borisa von Regenau. Utrzymywał z nim stały kontakt i nigdy nie zauważył, by czy to w słowach, czy czynach pułkownik zachowywał się niestosownie. Wszystkie uwagi na temat wpływowego oficera były pozytywne i pozwoliły wnioskować, że to bardzo porządny człowiek. Cook także nie czuł żadnego niebezpieczeństwa, spotykając Borisa w obecności swego ucznia, a o tymże uczniu miał z nim wysokie mniemanie, ugruntowane w ciągu długotrwałej znajomości.

Stawało się coraz bardziej oczywiste, że Cook pochodził z dobrej, patriotycznej rodziny angielskiej, ale na pewno nigdy nie pracował na serio w wywiadzie, jeśli w ogóle miał z nim do czynienia. Jego naiwność wskazywała, że nie miał pojęcia o tego rodzaju robocie, ale z mojego punktu widzenia czyniło go to dobrym współnikiem w pierwszej części mojego planu, nad którego złożonościami biedziłem bez przerwy swoją głowę. Poprosiłem Cooka, by spotkał się z Borisem w towarzystwie swojego ucznia, na co Cook chętnie się zgodził. Powiedziałem też Cookowi, aby nie było niejasności i aby Brytyjczyk podjął decyzję w pełni świadom niebezpieczeństwa, że istnieje możliwość, iż wszystko to jest pułapką zastawioną przez gestapo, z czego Cook zdawał sobie sprawę. Zgodził się na proponowane przeze mnie podejście do pułkownika i przekonany o poprawnym potraktowaniu sprawy, pożegnałem się z nim, dziękując mu za udział i życząc powodzenia.

Po trzech dniach spotkałem się z Cookiem przy kawie. Przez ponad godzinę przed spotkaniem nic szczególnego nie działo się dookoła miejsca naszego spotkania.

Boris mieszkał przy Belwederskiej 32, zajmował mieszkanie numer 14 na jednym z pięter. Wiele nazwisk, miejsc, dat i numerów uciekło mi z głowy przez lata jako nieistotne, inne zostały zmienione celowo. Adres Borisa zapamiętałem dokładnie i podaję go prawdziwie. Być może świadczy to, że sprawa Borisa miała większe znaczenie w moim życiu, niż mi się wtedy wydawało.

Przybywszy do mieszkania przy Belwederskiej, Cook został przedstawiony pułkownikowi przez swojego ucznia, który najwyraźniej pozostawał z pułkownikiem na bardzo dobrej stopie. Boris, ubrany po cywilnemu, był pełen życzliwości i uprzejmości, zarówno w stosunku do Anglika, jak i Polaka. W elegancko umeblowanym salonie przez jakiś czas prowadzono rozmowę towarzyską, a pułkownik wydobył nawet butelkę szkockiej, co było wręcz symbolem statusu towarzyskiego. Rozmowę prowadzono po polsku i Cook zauważył, że Boris mówi z wyraźnym rosyjskim akcentem. Cook wytłumaczył pułkownikowi, że jako nauczyciel angielskiego zaprzyjaźnił się ze swoim uczniem. Słyszając o chęci nawiązania współpracy z wywiadem brytyjskim, poczynił próby, by przekazać tak cenną ofertę, po odpowiednim sprawdzeniu, do właściwego adresata. Ostrożne wysiłki doprowadziły do spotkania brytyjskiego agenta wywiadu. Agent ten bardzo uważa, żeby nie wpaść w nastawioną pułapkę, czemu pułkownik przytaknął ze zrozumieniem. Cook wspominał też o poprzednich bezowocnych wysiłkach pułkownika nawiązania współpracy z generałem Roweckim, który był swego czasu dowódcą polskiej armii podziemnej. Powiedział, że kontakt z Polakami w tej chwili, zdaniem Anglików, jeszcze nie będzie miał miejsca, ale Brytyjczycy nie wykluczają możliwości podjęcia bezpośredniej współpracy, jeśli rzecz okaże się wykonalna. Zrobiło to pozytywne wrażenie na pułkowniku. Jeśli zostaną przedsięwzięte środki ostrożności, agent brytyjski jest gotów podjąć tajne rozmowy. Pułkownik następnie zwrócił się do swojego polskiego przyjaciela o coś w rodzaju opinii o nim, co Polak chętnie i wylewnie uczynił. Po tym wszystkim Cook został poproszony o przekazanie mi jego słowa rosyjskiego dżentelmena, że jego motywy są szczerze.

Te dosyć głośne zapewnienia nie wystarczały, by ryzykować głowę, zmieniłem jednak nieco zdanie, kiedy Cook mimochodem powiedział coś bardzo istotnego. Boris oświadczył, że jest masonem, tak jak i Cook, i udowodniwszy, że rzeczywiście należy do tego bractwa, zapewniał jak jeden mason zapewnić może innego o uczciwości swoich propozycji. Mój ojciec też był masonem, jak i jego ojciec. Chociaż nie znałem głębiej tajników braci masońskiej, znając zachowanie się moich przodków, miałem wysokie mniemanie o ich uczciwości i wierzyłem, że na słowie wolnomularzy można polegać, zwłaszcza jeśli dane zostało innemu wolnomularzowi. Wiarygodne stwierdzenie Borisa, że należy do stowarzyszenia zabronionego i prześladowanego przez nazistów, stanowiło jeszcze jeden argument za podjęciem decyzji o moich działaniach. Doszedłem do wniosku, że powinienem spotkać się z pułkownikiem, i wypadało tylko polecić się opiece dobrej wróżki, żeby naprowadziła mnie na właściwą drogę działania.

Obiecałem Cookowi, tak przydatnemu w dotychczasowych posunięciach, że wkrótce się z nim skontaktuję. Zdecydowałem się iść dalej. Wynik będzie dobry czy zły, ale konkretny, i nie powinno się stracić tak wspaniałej okazji, jak posiadanie w kwaterze Führera człowieka chcącego z nami współpracować.

Poprosiłem Cooka jeszcze raz o wyjaśnienie pewnych szczegółów dyskutowanych z Borisem. Ten poczciwy, starszy, czarujący Anglik był ciągle pod urokiem wolnomularskich wynurzeń Borisa i nie dopuszczał myśli, że niemiecki pułkownik nie jest wzorem uczciwości i szczerych motywacji. Od momentu, kiedy tylko sprawa kontaktu z Borisem zaczęła wchodzić w rachubę, zdawałem sobie sprawę, że będzie strasznie trudno tak zaplanować to spotkanie, bym uniknął złapania, gdyby się okazało, że jest to pułapka. W obliczu zdrady wszystko od razu obróciłoby się przeciwko mnie i dlatego wymagałem od Cooka zachowania absolutnej tajemnicy, a to miało obejmować nawet

polskiego ucznia, który spełnił dotąd tak ważną rolę. Poprosiłem Cooka o jeszcze jedną przysługę, na co on się chętnie zgodził. Staruszek przejął się bardzo swoją rolą jakby nie rozumiejąc, że obaj ryzykujemy życiem.

Zwróciłem się mianowicie do Cooka, by jeszcze raz skontaktował się z Borisem i umówił spotkanie z agentem brytyjskim za trzy dni o godzinie piątej trzydzieści po południu, i żeby rozmowy z Borisem ograniczył wyłącznie do tej tylko kwestii. Nie miałem zastrzeżeń co do patriotyzmu Cooka, ale obawiałem się, że wobec braku doświadczenia i romantycznego wyobrażenia o swoim udziale w całej aferze, sprowokowany do pogaduszek, zostanie na łasce niemieckiego pułkownika, który zapewne jest cwańszy od Cooka.

Zobowiązany do ścisłego przestrzegania tematu rozmowy Cook udał się do Borisa dla ustalenia spotkania ze mną od czego tyle miało zależeć. Wracając do domu na Elektorálną musiałem z powrotem zejść na ziemię i pamiętać, że podróżując tramwajem lub chodząc po Warszawie, nawet jeśli mam zamiar akurat wskoczyć w ogień, ciągle żyję na gorącej patelni.

Od Cooka dowiedziałem się telefonicznie, że Boris chętnie spotka się ze mną w swoim mieszkaniu w zaproponowanym terminie. Biorąc pod uwagę znaczną odległość od Elektorálnej do Belwederskiej, postanowiłem chwilowo przenieść się gdzieś bliżej miejsca negocjacji, bo gdyby spotkania przeciągały się ponad godzinę policyjną nawet z niemieckimi papierami i paszportem nie było rozsądnie kręcić się nocą po opustoszałych ulicach. Udało mi się załatwić chwilową kwaterę bez problemu. Jakoś zdołałem wytłumaczyć Marysi, że czasami będę poza domem noc czy dwie. Wiadomość przyjęła ze smutkiem, ale pytań nie stawiała, wiedząc, że prawdy i tak się nie dowie. Przygotowując ją na to, co może ewentualnie nastąpić, zacząłem się krygować, że jej zmartwienia wynikają ze związania się ze mną czemu ona zaprzeczała, co znów wzbudzało mój niepokój, i tak w kółko. To paradoks, ale szczęście naszego pożycia, które w innych okolicznościach byłoby wręcz doskonałe, ciągle zakłócała wzajemna obawa jednego o drugie. A zbliżające się macierzyństwo Marysi pogłębiało tylko ten paradoks.

Nie wszystkie życzliwe i przyjazne mi osoby, które poznałem w czasie mojego mieszkania na Żoliborzu, zostały dotąd opisane. Jednego Polaka z tej grupy muszę teraz przedstawić bardziej szczegółowo. Stasia Lorenza poznałem, kiedy odwiedził na Żoliborzu swojego brata Gustawa. Znajomość ta miała dalsze konsekwencje, istotne w omawianej teraz sprawie.

Staś miał koło czterdziestki, elegant i w słowie, i stroju, był ozdobą każdego towarzystwa. Przed wojną był znanym dziennikarzem sportowym, popularnym jako pisarz i ulubieniec kobiet. Staś nie był czarną owcą rodziny Lorenzów, ale budził pewną niechęć ze względu na swój styl życia i zachowanie, często szokujące dla konserwatywnej w gruncie rzeczy rodziny. Pieniądze nie stanowiły dlań problemu. Z takich czy innych źródeł, przy tym kobiety odgrywały tu niepoślednią rolę, był zawsze bogaty. Przed wojną posiadał elegancką willę w modnej dzielnicy Warszawy, teraz przejętej na dzielnicę mieszkaniową dla elity niemieckiej administracji. Większość Polaków z tej dzielnicy wyrzucono, a ich reprezentacyjne domy wraz całą ceną zawartością skonfiskowano. Inaczej było jednak ze Stasiem, którego wprawdzie wywłaszczono z domu, jak i innych Polaków, ale udało mu się w jakiś sposób w nim pozostać i go nie wysiedlono. Obszerny, piętrowy dom stojący na własnej działce był teraz rezydencją niemieckiego urzędnika wysokiej rangi. Urzędnik i jego żona uznali, że w pełni umeblowane mieszkanie na piętrze im wystarczy. Na parterze było kilka pokoi, między innymi dobrze zaopatrzona biblioteka, która teraz stanowiła zupełnie oddzielną część dużego domostwa, i Staś zorganizował sobie tam zupełnie wygodne mieszkanie, a jego obecność w domu uzasadniona była tym, że pełnił funkcję dozorca. Staś zaakceptował tę pozycję na wesoło i w sumie musiał się

uważać za szczęściarza w porównaniu do innych Polaków. Choć niemieccy lokatorzy nie płacili czynszu, samo to, że tam mieszkali, miało wiele zalet, którymi nie mogli cieszyć się inni mieszkańcy Warszawy.

W ten sposób willa, obecnie niemiecka własność, była rezydencją ważnego niemieckiego oficjela, który zatrudniał polskiego dozorcę i dawał mu mieszkanie. Taka rezydencja była więc wolna od nocnych wizyt gestapo, które to wizyty bez żadnych ostrzeżeń zawsze mogły być tragiczne w skutkach dla każdego polskiego domostwa. Ten patriotyczny polski playboy i były dziennikarz sportowy spał więc spokojnie w wygodnym łóżu, bezpieczny i chroniony niemieckim nazwiskiem na tablicy umieszczonej na frontowym wejściu, ozdobionej w dodatku orłem trzymającym swastykę w szponach. Było to dostateczne ostrzeżenie, że wejście na ten teren mogło być zgubne w skutkach.

Staś zapraszał mnie często i choć nieczęsto z tego korzystałem, spędziliśmy niejedną huczną noc pod ochroną lokatorów na piętrze. Podczas jednej takiej nocy akurat niemieccy lokatorzy byli w Berlinie i Polak wraz z Anglikiem mieli cały dom dla siebie, nikt im nie przeszkadzał, a błyszczący orzeł na bramie stanowił doskonałą ochronę. Niemcy, dosyć rozsądni, polubili Stasia. Spodziewając się, że pozostaną poza domem z górą tydzień, zwrócili się do niego, by zaopiekował się ich mieszkaniem, wręczając mu pęk kluczy, które poprzednio należały do niego. Zjedliśmy porządny obiad i Staś zaprosił mnie na inspekcję mieszkania Niemców na piętrze. W charakterze szpiega przeszukałem wszystkie szuflady, niestety nie znalazłszy żadnych materiałów interesujących zawodowo.

Jak w przypadku wielu wysokich niemieckich urzędników cywilnych, facet, w którego rzeczach wesoło sobie grzebaliśmy, był honorowym oficerem SS. W jego szafie wisiał czarny mundur z czapką ozdobioną trupa głową symbolem wojskowej przynależności. Czapka akurat pasowała na moją głowę. Zachęcony przez Stasia założyłem czapkę i esesmańską kurtkę, przyłożyłem pod nos kawałek czarnego grzebienia przypominającego znany wąsik Hitlera i z wyciągniętą ręką w hitlerowskim Heil szalałem po mieszkaniu, głośno naśladując tyrady Führera wygłaszane na partyjnych zjazdach. Pokaz się skończył, jak kompletnie zachryłem. Padliśmy ze śmiechu na luksusowe łóżo dające odpoczynek ciałom nadludzi.

Zabrało nam nieco czasu, by przywrócić mieszkanie do porządku, po czym wróciliśmy na dół uczcić tę okazję.

Bez znajomości szczegółów, obaj doskonale wiedzieliśmy o naszym udziale w ruchu oporu. Staś miał doskonałe schronienie jako dozorca, a ja domyślałem się, że robi on użytek ze swoich zdolności pisarskich w dobrej sprawie. Jego mieszkanie służyło jako doskonała kryjówka w sytuacjach krytycznych, głównie dzięki położeniu w zniemczonyj części Warszawy, i w tym charakterze okazało się bardzo przydatne w sprawie, o której piszę. Otóż Staś mieszkał w odległości rzutu kamieniem od domu Borisa, z którym spotkanie stało się teraz moją obsesją. Staś chętnie zgodził się, nie pytając o przyczynę, bym pozostał u niego na noc po zaplanowanej wizycie u Borisa. Spotkanie miało nastąpić o wpół do szóstej.

Wczesnym rankiem tego dnia zjadłem obfitsze niż zwykle śniadanie. Być może mój wilczy apetyt wynikał z emocji właściwych skazańcom, ale ta refleksja nie przytłumiła mojego optymizmu. Marysia w milczeniu przygotowywała niezbędne rzeczy potrzebne do przenocowania poza domem. Ponury i zimny dzień jesienny pasował do twarzy mojej żony, kiedy siadłem w szlafroku z nonsensowną fajką w zębach i starannie sprawdzałem funkcjonowanie swojej FN-ki. Ta mała zabawka pójdzie ze mną miejmy nadzieję, jako obserwator niebiorący udziału w akcji.

Marysia, która poznała kiedyś Stasia, miała następnego ranka zadzwonić do niego z neutralnego miejsca. Staś powie, czy wróciłem bezpiecznie, czy też nie. Jeżeli bym nie wrócił, ogólne ostrzeżenie zostanie rozesłane, a Marysia natychmiast opuści mieszkanie i przeniesie się do krewnych, ale nie będę wiedział, do kogo. Nie było łatwo czynić te przygotowania i żegnać się z żoną zdając sobie sprawę, że może już jej nigdy nie zobaczę.

Siadłem w wagonie Nur für Deutsche, robiąc wrażenie gorliwego młodego niemieckiego urzędnika. Inni niemieccy pasażerowie, czasowo zaadoptowani krajanie, z uznaniem patrzyli na elegancko ubrany przykład teutońskiego stylu ze zgrabną walizeczką podający pogardliwie bilet miesięczny do skasowania uniżonemu polskiemu konduktorowi.

Cudowna, niezniszczalna Warszawa, jej piosi i ruch samochodowy, przesuwiała się przed moimi oczyma. Od pierwszego zetknięcia się z tymi wspaniałymi ludźmi w całości poddałem się fali polskiego oporu. Tego popołudnia, siedząc wśród wrogów, zdecydowany byłem działać mimo wszystko, opanowany legendarnym, zaraźliwym duchem narodu - działać lub umrzeć.

Wysiadłem na Marszałkowskiej i przeszedłem kawałek, by przyjrzeć się wystawie jednej z naszych aptek. Kolorowe butelki ustawione były w pozycji „bezpiecznie”, upewniwszy się w ten sposób nieco, że w tym sektorze nie ma sytuacji alarmowej, złapałem dorożkę.

Staś, w odpowiedzi na moje pukanie, otworzył mi drzwi tylnego wejścia. Do Borisa miałem stąd zaledwie kilka minut drogi. Mój gospodarz tego wieczoru przyjął bardzo niemiecki wygląd, niezbyt typowa rzecz w kręgach Podziemia, kiedy zasiedliśmy w wygodnych skórzanych fotelach w bibliotece, przy butelce wódki. Wyraźnie dziennikarska żyłka opanowała Stasia, kiedy patrzył na mnie badawczo.

„Coś ciekawego na tapecie?”.

„Bardzo” - odpowiedziałem krótko. „Niebezpiecznie?”.

„Nie sądzę - odparłem, dając do zrozumienia, że niewiele się ode mnie dowie. Niemniej chętnie zgodził się na współpracę.

Jeśli nie wrócę tego wieczoru, rano ogłosi się generalny alarm Podziemia z wiadomością że jestem w niemieckich rękach. Marysia zadzwoni koło śniadania, i jeśli to będzie niezbędne, otrzyma instrukcje do wykonania pewnych zadań. Kiedy dziękowałem Stasiowi za pomoc i za podejmowanie tak często ryzyka, tylko wzruszył ramionami fatalistycznie.

Przebrałem się w najlepsze ubranie i pożyczyłem elegantszy od mojego krawat. Do prawej kieszeni marynarki wsadziłem swojego FN-a, a ponieważ płaszcz utrudniałby szybkie sięgnięcie po broń w razie konieczności, wyciąłem jego wewnętrzną kieszeń, tak by mieć bezpośrednie dojście do kieszeni marynarki. Przed wyjściem powiedziałem jeszcze, że może będę wracał po godzinie policyjnej, i poprosiłem, żeby w razie czego był gotów otworzyć mi tylne drzwi. Z dokładnością co do minuty stanąłem przed drzwiami mieszkania numer 14 przy Belwederskiej 32.

Dzwonek odezwał się głośno.

„Nazwisko, proszę”.

„Jestem umówiony z pułkownikiem von Regenau”.

Zabezpieczone łańcuchem drzwi rozchyliły się nieco. Przez kilkunasto-centymetrową szparę mężczyzna przyjrzał mi się od stóp do głów, drzwi powoli otworzyły się do środka i zostałem uprzejmie zaproszony przez niemieckiego umundurowanego żołnierza z insygniami Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej na obu epoletach. Znalazłem się w eleganckim, wyłożonym dywanem holu. Drzwi zamknęły się z hałasem i szcęk łańcucha i zamka napiął mi nerwy do ostatnich granic.

„Pański płaszcz, proszę” - płynnie po niemiecku.

Otworzyły się drzwi wewnętrznego pokoju. Pojawił się w drzwiach dobrze zbudowany, w średnim wieku cywil, elegancko ubrany, i z wyciągniętą ręką zbliżył się do mnie. Podaliśmy sobie ręce, potrząsał moją ręką aż z nadmiernym wyrazem ciepła i kordialności. Nic w jego otwartej, jowialnej twarzy ani w zachowaniu nie wskazywało na bezpośrednie zagrożenie. Kiedy skończyło się potrząsanie rąk, które wydawało się trwać w nieskończoność, pułkownik lekko, prawie tklawie, poklepał mnie lewą ręką. Zauważyłem jakby chwilowy cień na jego twarzy i sytuacja skwitowana została wymianą spojrzeń z wyrazem pewnego respektu. Lody zostały przełamane. Gospodarz bez wątpliwości wyczuł żelazny przedmiot w mojej kieszeni i domyślał się, co to znaczy. FN to była mała, ale solidna broń.

Zostałem wprowadzony do luksusowo i ze smakiem urządzonego salonu, w oczach gospodarza ujrzałem coś jakby wyraz podziwu, co nie było złym początkiem.

Głęboko tkwiąca obawa, mimo narzuconej sobie pewności siebie, powoli jakby zelżała. Pułkownik poprosił, bym siadł. Siadłem tyłem do ściany i twarzą do drzwi, ruch, który został zauważony przez pułkownika. Ręką dotknąłem broni w kieszeni.

„Przepraszam, panie pułkowniku, ale lepiej zabezpieczę tę małą rzecz” -zażartowałem. Obaj pochwyciliśmy żart i pułkownik siadł swobodnie w fotelu. Patrzyliśmy na siebie. Jakoś trudno było zacząć.

„Mówi pan doskonale po niemiecku”, powiedział. Przytaknąłem.

„Po polsku także”. Znowu lekko przytaknąłem.

„Po rosyjsku” - ruch głowy - nie.

„Francusku?”.

„Nieco”.

Przeszedł na dobry polski z miękkim akcentem rosyjskim i od tego momentu mówiliśmy tylko po polsku. „Napijemy się czegoś?”. „Tak, proszę”.

Na kłaśnięcie rąk pojawił się adiutant. Przyniósł na srebrnej tacy butelkę Johnnie Walkera i dwa kryształowe kieliszki i postawił na małym stoliku, który nas oddzielał.

„A to dzięki uprzejmości Armii Brytyjskiej we Francji 1940 roku”, powiedział Boris widząc moje zdziwienie. Zaprosił gestem. Nalałem sobie porządnego drinka, nalałem i jemu.

„Wody?”.

„Nie, dziękuję”. Biorąc kieliszek z dalszego końca tacy, byłem ciągle ostrożny, co nie umknęło uwagi bystrego gospodarza. „Niech żyje nam!”.

„Na zdrowie”. Po toaście i powrocie do ulubionego napoju po długotrwałym flircie z wódką powrót był zawstydzający. Obaj czekaliśmy, aż ten drugi poruszy temat, dla którego się tu spotkaliśmy. Pułkownik był o jakieś dwadzieścia lat ode mnie starszy i zapewne dość doświadczony, by mieć nade mną przewagę taktyczną. Zwaląłem ciężar na oponenta, za jakiego ciągle na siłę go uważałem.

„Panie pułkowniku - zacząłem bardzo poważnie - doszła do nas wiadomość, że wyraził pan zainteresowanie, by porozmawiać z kimś z wywiadu brytyjskiego. Jestem angielskim wojskowym działającym na terenie Europy i ciekawi mnie, co chciałby pan powiedzieć na ten temat, mam na myśli podjęcie wzajemnie korzystnej współpracy. Jeśli się pan nie zdecyduje, może pan liczyć na naszą zupełną dyskrecję i uszanowanie pana stanowiska w tej sprawie”. Wyraziłem uczciwość zamiarów i dałem do zrozumienia, że oczekuję odpowiedzi Borisa. „Mój przyjacielu”, zaczął pułkownik.

Czy byłem, czy też nie byłem jego przyjacielem, rzecz ta nie została ustalona, ponieważ jednak nie padło moje nazwisko, musiał się do mnie jakoś zwracać. Starałem się maksymalnie skupić i zapamiętać wszystko, nie przerywałem, nie zadawałem pytań. Postanowiłem zebrać wszelkie możliwe informacje dla spokojnego przetrwania i przeanalizowania sprawy w spokoju na Elektoralnej. Trudno było nie ulec szczerości, z jaką Boris mówił. Młode jego lata pełne były smutku i cierpienia związanych z wojną śmiercią ucieczkami spowodowanymi rewolucją bolszewicką 1917 roku. W Rosji nazywał się Smisłowski, a ktoś w rodzinie, po stronie babki, nosił nazwisko von Regenaus. To teutońskie nazwisko przyjął na stałe po ucieczce z Sowietów, gdy znalazł się jako wygnaniec przyjęty przez Niemców i wstąpił do wojska. Z natury rzeczy wciągnął się do rosyjskiej sekcji wywiadu niemieckiego, a właściwie nie tyle zajmował się sprawami rosyjskimi, ile bolszewickimi, jak to ujmował, przy tym czuć było odrazę, nawet w słowach, w stosunku do bolszewików.

Logiczną kolejną rzeczą został szefem sztabu nowej Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej sformowanej z jeńców rosyjskich wziętych do niewoli po wybuchu wojny w 1941 roku między Niemcami i Sowietami w 1941 r. Ze względów propagandowych dowódcą tej licznej formacji był wzięty do niewoli rosyjski generał Własow. Boris jednak, nie chwając się, przyznawał się, że to on jest szarą eminencją ze względu na wieloletnie powiązania z Niemcami i zaufanie, jakie zdobył przez ciągłe potępienie Stalina za cierpienia narodu rosyjskiego.

Niemiecki blitzkrieg przeciw Rosji, kontynuował Boris, był dobrą wróżbą na zniszczenie bolszewizmu i istniała możliwość stworzenia bardziej liberalnych rządów w jego rodzinnym kraju po zniszczeniu stalinistów przez hitlerowców. Obserwując jednak sytuację zaraz po przybyciu do Europy Wschodniej, jeszcze bardziej przekonał się o kretynstwie nazistów, o ich poczynaniach prowadzących do kompletnej alienacji, podczas gdy była szansa, gdyby traktowano Rosjan inaczej, że Niemców witano by jako wyzwolicieli. Bestialskie zachowanie się okupantów, którzy zamiast chytrze zjednać sobie potencjalnie chętnych do współpracy Sowietów, stosowali terror, okazało się skrajnym taktycznym nonsensem.

Boris mówił szczegółowo o okrucieństwach, jakich dopuszczali się Niemcy w stosunku do olbrzymiej liczby jeńców wojennych. Zwłaszcza potworną fotografię sowieckiego jeńcy wojennego zajętego gotowaniem czegoś, co okazało się ludzką nogą trudno mu było zapomnieć. Zgodził się jednak, że wiele tysięcy ochotników w nowej Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej zgłosiło się w szeregi, bardziej by uciec od okropności niemieckich obozów, niż z chęci podjęcia aktywnej walki z bolszewikami. Widać było, że mając po raz pierwszy możliwość popatrzenia na świat zachodni, zaczęli sobie uświadamiać, że zostali oszukani. Ich krajanie pod władzą sowiecką znosili znacznie większe cierpienia, niż to, co widzieli w Europie.

Polacy, zdaniem Borisa, w podobny sposób zostali wciągnięci do zawziętej i trwałej walki przeciwko nazistom. Obecny powszechny i zjednoczony zryw Podziemia stanowi dla Niemców poważny problem i także by pewnie nie eskalował do takiego poziomu, gdyby naziści byli w stanie bardziej humanitarnie traktować ludność po opanowaniu połowy kraju w 1939 roku. Wzmianka o wzięciu połowy Polski przez niemiecką dżicę w 1939 roku skłoniła go z kolei do rozważań o zachowaniu się Sowietów, którzy zaatakowali Polskę od tyłu i wspólnie doprowadzili do jej ujarznienia przez dwóch dyktatorów w ciągu kilku tygodni. Traktowanie miejscowych Polaków przez Rosjan we wschodniej, okupowanej przez nich części było zupełnie takie samo, jak Niemców w zachodniej połowie Polski. Boris oceniał, że liczba Polaków ze wszystkich grup społecznych deportowanych w głąb Sowietów przekraczała milion osób. Słyszałem podobne wersje opisu deportacji, a późniejsze dowody wskazywały nawet, że około dwóch milionów Polaków wywieziono na wschód. Wręcz przykro było słuchać takich opowiadań i Boris też mówił o tym z wyraźną przykrością. Pod wrażeniem tych opowiadań z wdzięcznością myślałem o tym, że wychowałem się w kochanej starej Anglii. Wojaczka była zawsze częścią brytyjskiego dziedzictwa, ale rozmiar sadyzmu i perwersji zadawanej bezbronnym ludziom tutaj przechodził wyobraźnię.

Boris wspomniał także o wykryciu przez Niemców ciał tysięcy polskich oficerów, skutych kajdanami, jeszcze w mundurach, z rozwalonymi czaszkami. Chodziło o masakerę w Katyniu. Pułkownik potwierdził, że to Rosjanie odpowiadają za to przestępstwo. Naziści zbili kapitał propagandowy na tym ponurym odkryciu w lesie katyńskim, a Rosjanie w swoich protestach i zapewnianiu o niewinności byli zupełnie nieprzekonujący. W niemieckich kręgach wojskowych, twierdził Boris, potępienie tak haniebnego mordu było powszechne. Gdyby nie to, że postanowiłem nie komentować wypowiedzi tego wieczoru, pewnie bym wspomniał o przykrych sprawach obciążających także Niemców.

Niektóre z tych uwag dotyczących zachowania się Niemców i Rosjan w stosunku do jeńców wojennych oraz do ludności cywilnej w okupowanych krajach opisywałem już poprzednio, ale potwierdzenie tego ze źródła takiego jak Boris powinno uświadomić naiwnym w swej nieświadomości, jak bezbronność wzmacnia okrucieństwo dyktatorów.

Niemieckie zasoby, ludzkie i materialne, topniały na olbrzymich terenach Matki Rosji, wyniszczane na dodatek przez surowy klimat. Działalność partyzancka na wszystkich terenach okupowanych, podsycana idiotyczną taktyką nazistów, wzmacniała się z dnia na dzień. Materiały wojenne z zachodu płynęły do Rosji bez przerwy, szczególnie północną drogą morską i jakoś ich bez przerwy się podnosiła. Na froncie domowym siła Niemiec i zdolności produkcyjne paraliżowane były ciągłymi atakami powietrznymi oraz koniecznością utrzymywania znacznej liczby wojska na Wale Atlantycznym w obawie przed inwazją brytyjską Boris nie przeczył, że zwycięstwo aliantów przy znacznym udziale Sowietów oznacza nieszczęście dla każdego Rosjanina, czy to jeńca wojennego, czy kolaboranta, każdego, kto miał możliwość zobaczyć na własne oczy wyższość Zachodu nad systemem bolszewickim. Nadzieje, jakie kiedyś pokładał w szybkim upadku Związku Radzieckiego, okazały się płonne. Upadek hitlerowskiego Reichu był nieunikniony. Całej Europie zagrażał komunizm i traktowanie w rodzaju Katynia. Wolny świat, którego chciał być członkiem, cofnie się w mroki średniowiecza.

Nie miałem wątpliwości co do motywów, jakimi kierował się mój rozmówca, zarówno ogólnych, jak i prywatnych. Jego szczerość w czasie tej rozmowy była oczywista i zaczynałem go lubić.

Faktyczny przebieg wojny i wnioski co do jej ewentualnego wyniku zmobilizowały go, by walczyć o zwycięstwo aliantów nad Niemcami, zanim hordy sowieckie zaleją Europę. W tej intencji poczynił szereg bezskutecznych prób nawiązania współpracy z polskim ruchem podziemnym i za jego

pośrednictwem z aliantami zachodnimi. Generał Stefan Rowecki, pseudonim Kalina, przywódca ruchu oporu, aresztowany wcześniej w 1943 roku przez gestapo, z podejrzliwością odrzucił wszelkie próby tego rodzaju i odmówił podjęcia jakichkolwiek negocjacji. Pamiętając podejście Stefańskiego do moich sugestii, nie dziwiłem się trudnościom, jakie napotkał Boris. Boris zarzucał sieć na wszystkie wody, gdzie mógł spodziewać się połowu, i mówił, jak bardzo się cieszy z nawiązanego kontaktu ze mną. To, że niemiecki kontrwywiad nie wyniuchał żadnych machinacji pułkownika, byłego Rosjanina, mogło wskazywać, że sprawa jest głębsza, niż na to wygląda, albo że Niemcy nie są aż tak sprawni, jak można by sądzić. Niezależnie co było tego przyczyną wszechstronnie analizowałem wszystkie wypowiedzi pułkownika.

Boris powiedział mi także, że w 1939 roku w Paryżu udzielał informacji wywiadowi brytyjskiemu, będąc w kontakcie z Anglikiem używającym nazwiska Sharp. Czemu akurat to nazwisko spośród wielu zapomnianych nazwisk, dat i miejsc utkwilo mi w pamięci? Chyba jest to związane z wagą jaką przywiązywałem do każdego szczegółu wtedy, w tym tak pełnym napięcia okresie mojego życia. Po prostu chciałem przeżyć.

Czas płynął i pułkownik zrobił małą przerwę, zwracając mi uwagę, że zbliża się godzina policyjna i mogę mieć kłopoty, przebywając po tym czasie na ulicy. Jakby to nie miało dla mnie znaczenia, odpowiedziałem, że moje poruszanie się po mieście nie jest ograniczone przepisami dotyczącymi Polaków. Na pewno Boris był ciekaw, jak to się dzieje, że Anglik może poruszać się bez ograniczeń w mieście pod tak ostrą kontrolą policyjną. Wiedział jednak, że nie ma po co pytać, bo i tak niczego by się nie dowiedział. Ta obojętność na restrykcje policyjne intrygowała go widocznie i podnosiła mój prestiż w jego oczach, o co właśnie mi chodziło, kiedy organizowałem sobie nocleg w pobliżu domu pułkownika. Boris nie mógł wiedzieć, że kilka sekund szybkiego marszu oddziela mnie od schronienia u Polaka pod niemieckim dachem. Godzina policyjna dawno minęła, a Boris ciągle mówił, przerwał tylko, by zaoferować kolację. Grzecznie odmówiłem, ale w rzeczywistości miałem wielką ochotę wrzucić coś na ruszt i z przyjemnością zasiadłem nad tacą smakowitych mięs i innych smakowitości zaprawionych dużą największą tego wieczoru szkocką.

Czułem się spokojnie, jeśli idzie o własne bezpieczeństwo. Chęci do służenia sprawie alianckiej, jakie wyrażał pułkownik, były szczere i uczciwe, dałbym za to głowę. Co też właśnie czyniłem.

Trudno mi było utrzymywać w ryzach, jak to sobie obiecałem, wewnętrzne podniecenie. Możliwości dla działalności szpiegowskiej wynikające z propozycji Borisa wprost szokowały, choć nie będzie to prosta robota.

Boris podkreślał, że odrzucenie wszelkich propozycji przez Polaków odebrało mu chęć współpracy z nimi. We współpracy z Brytyjczykami gotów jest podjąć walkę w jakiejkolwiek roli przy założeniu, że będzie to przede wszystkim walka przeciwko bolszewikom. Ciągłe nie komentowałem jego wypowiedzi i czekałem, aż wszystko sobie spokojnie przemyślę na Elektoralnej, a Boris przeszedł do przekazywania jeszcze bardziej fascynujących informacji.

Boris, oprócz piastowania funkcji szefa sztabu Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej, kierował pracą czterystu zajmujących się różnymi sprawami agentów operujących na całym terenie Rosji okupowanej przez Niemców. Niektórzy z tych agentów ulokowani byli w samym Związku Radzieckim. Utrzymywał prywatne i służbowe kontakty z kierownikami większości wydziałów wywiadu niemieckiego, a niektórzy z nich, w wyniku ponad-dwudziestoletniej współpracy, byli jego zaufanymi przyjaciółmi. Wielu z tych wysokiej rangi wojskowych rozczarowały rządy Führera i jego kliki.

Boris był przekonany, że dla obrony przed bolszewickim zagrożeniem wielu z nich dałoby się wciągnąć do działania na rzecz aliantów w imię przetrwania ucziwych Niemiec.

Boris wybierał się na jakieś dziesięć dni do kwatery Hitlera w Prusach Wschodnich. Rad z tego czasu, który pozwoli mi uporządkować wszystko, obiecałem skontaktować się z nim zaraz po jego powrocie do Warszawy i ustosunkować się do wszystkich poruszonych spraw. Serdeczny uścisk dłoni zakończył to pierwsze spotkanie.

Ulica Belwederska była ciemna i cicha. Buty z gumowymi zelówkami pozwalały mi bezszelestnie i szybko dotrzeć do mojej nocnej kryjówki w pobliżu. Nie było słychać ani widać na ulicy żywej duszy. Bez wątplenia Boris był szczery, i choć widziałem mnóstwo komplikacji, najważniejsze było uczucie satysfakcji, że nie wpadłem w zasadzkę gestapo. Przynajmniej nie teraz. Przy współpracy polskiego ruchu oporu lub bez niej, wciągnę pułkownika do sprawy. Jeśli Polacy odmówią pomocy, pomogę sobie sam, podejmując brytyjską prywatną inicjatywę. Takie myśli kłębiły mi się w głowie, kiedy zapukałem do tylnych drzwi mieszkania Stasia i znów znalazłem się bezpiecznie pod niemieckim dachem.

„Jezus Maria, Paweł! - powiedział Staś - już zaczynałem się o ciebie bać”.

„Diabeł ma swoich pod opieką. Stasiu, daj mi solidnego drinka”. O nic nie pytał, ale widziałem, że mój przyjaciel wyraźnie się uspokoił, kiedy wychyliliśmy drugiego, najlepszego po szkockiej, drinka. Ululany spałem zdrowo bardziej niż zadowolony z osiągnięć dnia.

Mój bezpieczny powrót umożliwił odwołanie stanu alarmowego przygotowanego na wypadek niepowodzenia. Marysia zadzwoniła rano do Stasia od sąsiadów, tego państwa „Zielone Światło”, ciągle mieszkających obok nas i nam przyjaznych. Kiedy wróciłem do domu, powitała mnie promiennie, na jej twarzy widniała ogromna ulga. Rozluźniony i bezpieczny, w miłym otoczeniu siedziałem wiele godzin, rozważając sytuację. Trudno było pozbyć się wrażenia, że moja działalność wykroczy poza zakres ograniczony polskim ruchem oporu. Biorąc pod uwagę moje zobowiązania w stosunku do mchu oporu, i w ogóle do wszystkich Polaków, z którymi się zaprzyjaźniłem, musiałem znaleźć sposób na wykorzystanie nadarzającej się okazji bez urażenia kogokolwiek czy narażenia na kłopoty i niebezpieczeństwo, włączając w to mnie samego. W czasie spotkania ze Stefańskim w kawiarence w pobliżu Jasnej zostałem przedstawiony po raz pierwszy jego podwładnemu, chudemu Polakowi o pseudonimie Nord, który niedawno został zrzucony na spadochronie z Anglii. Nord miał być moim łącznikiem z wywiadem polskim i Stefański wrócił do sprawy pilnego mojego powrotu do podjęcia akcji wiedeńskiej.

Niezadowolenie Stefańskiego z mojej powściągliwości w zabieraniu się do wiedeńskiej operacji przekazane zostało Nordowi, i choć nie był on tak lodowaty jak szef, odniosłem wrażenie, że traktuje mnie jako osobę trudną w postępowaniu. Nie miałbym z nimi żadnych nieporozumień i ruszylbym do samobójczej roboty w stolicy Austrii, gdyby nie chęć powitania na tym świecie naszego dziecka, a także wykorzystania w pełni możliwości zarysowujących się w wyniku kontaktu z Borisem.

Zastanawiałem się, czy powiedzieć o moich dalszych kontaktach z Borisem, i zdecydowałem, że jest to jednak mój obowiązek. Bez podawania szczegółów, jak i kiedy się kontaktowałem, zarówno Stefański jak i Nord zostali powiadomieni, że sprawa Borisa warta jest, by poświęcić jej więcej uwagi niż dotąd. Wyeksponowałem fakt, że Boris ma pod sobą czterystu agentów, a jeszcze bardziej podkreślałem, jakie znaczenie może mieć posiadanie swojej wtyczki w kwaterze Hitlera. Mówiłem też o długotrwałych powiązaniach i kontaktach, jakie Boris miał w armii, co przy narastającym niezadowoleniu może doprowadzić do dalszej rekrutacji ludzi dla naszej sprawy. Stefański pozostał

obojętny i było widać, że ani emocjonalne, ani racjonalne argumenty nie zmieniają nastawienia tego nieugiętego faceta.

Boris wspomniał także o infiltracji ruchu oporu przez elementy prosowieckie, co przy mojej wysokiej opinii o polskim patriotyzmie nie przychodziło mi dotąd na myśl. Później żałowałem tego braku spostrzegawczości, nie dotyczyło to akurat konkretnie Stefańskiego, ale już wtedy Zachód zalewany był komunistycznymi wpływami. Widać było złość na twarzy Stefańskiego, kiedy w rozmowie przejawiała się różnica w opiniach. Zasugerował, żebym napisał raport w tej sprawie i przekazał go Nordowi możliwie szybko. Kiedy się żegnaliśmy, Nord jak gdyby zmienił nieco swoje stanowisko i okazał się bardziej przychylny całej sprawie. Wyglądało na to, że inaczej patrzy na rzecz, niż major.

Miałem wiele wątpliwości, do jakiego stopnia wyjawić kwestię Stefańskiemu. Gdybym współpracował jeszcze z Karolem, przedstawiłbym całą sprawę ustnie z zaufaniem, że znajdę życzliwe zrozumienie nawet w przypadku, gdyby nie nastąpiła pełna akceptacja. Prześladowały mnie dokuczliwe myśli, że Stefański zrobi wszystko, by uniemożliwić rekrutację Borisa, i niezależnie jaką wybiorę drogę i jakie przedsięwzmem środki ostrożności, będzie temu zdecydowanie przeciwny. Jego motywów nie rozumiałem, ale byłem pewien, że w żadnym razie nie chodziło tu o moją skórę. Może popełniam niesprawiedliwość, podejrzewając Stefańskiego, że w pewnych okolicznościach nie miałby skrupułów, by skazać Borisa na śmierć. Przekazanie jakichś dowodów co do zamierzeń Borisa do gestapo kończyłoby, oczywiście, sprawę. Niepokoiło mnie to.

Spotkałem Norda tak jak się umawialiśmy i przekazałem mu następny opis sytuacji w okupowanej Polsce widzianej oczyma Brytyjczyka. Od czasu kiedy Nowak zabrał mój list do „Timesa”, napisałem szereg podobnych artykułów. Nie dowiedziałem się nigdy, co się z nimi stało, i brak jakichkolwiek komentarzy po tym entuzjastycznym raporcie zabranym przez Nowaka osłabił mój zapał w tej sprawie. Nord schował artykuł do kieszeni i spytał, czy przygotowałem raport o Borisie, jak to ustalono. Następną koperta powędrowała nad stołem kawiarnianym przy Jasnej. Nord rzucił okiem na tekst, a że raport napisałem z rozmysłem po angielsku, wiedząc, że Nord nie zna tego języka, zwrócił mi go i zażądał polskiego tłumaczenia. Dałem mu, też z rozmysłem, przekształconą mocno wersję, w której Boris sam by się nie rozpoznał jako główna postać w tej aferze. Nord zapytał jeszcze o Austrię i wyjawiał mi, że sam w tej akcji weźmie udział, przyjął też z zadowoleniem wiadomość, że będę gotów w początku 1944 roku, kiedy wyklarują się moje sprawy, między innymi narodziny dziecka, co było jeszcze tajemnicą.

Stefański, powiedział Nord, niezbyt był ze mnie zadowolony. Nie wspomniałem o wzajemnych odczuciach. Rozstaliśmy się w bardzo dobrym nastroju, poprawionym niewątpliwie wiadomością że moja pensja wzrosła do czterech tysięcy miesięcznie. Pieniądze nie są wszystkim, ale pomoże to w pieluszkowych sprawach, niezbędnych nawet dla dzieci ruchu oporu.

Boris nie wrócił jeszcze z Prus Wschodnich, a ja kręciłem się po Warszawie. Wpadłem także do starego Cooka, nie tyle dla towarzyskiej przyjemności, ile dla sprawdzenia, czy nie przydarzyło się coś niespodziewanego. Pogadaliśmy sobie o wszystkim i o niczym.

Minęło kilka miesięcy od czasu, kiedy to gestapo wywlokło Floriana z jego mieszkania z powodu mojego tam przebywania. Naziści nie dowiedzieli się o powiązaniach między piętrami i Marysia ostrożnie, teraz już z brzuchem pod brodą znów zaczęła odwiedzać rodzinę. Sprawy związane z oczekiwanym dzieckiem dzięki temu uprościły się dla nas znacznie. Jej wujek, pediatra, i wszyscy inni specjaliści, nie wyłączając Kazia, przyszłego dziadka, postawieni zostali w stan gotowości na przyjęcie małego Jeffery'ego. Cała rodzina trzęsła się nad Marysią jak kura nad jajem. Ja tylko od czasu do czasu, potajemnie pokazywałem się wśród rodziniki i fetowano mnie jak bohatera. Nie było

nic z męstwa, by zostać ojcem, ale w tych ciężkich i ponurych czasach radość opanowała wszystkich w oczekiwaniu nowego przybysza. Moja podwyżka wcale nie była potrzebna na pokrycie dodatkowych wydatków. Zgromadzono dostateczną ilość ubranek dziecięcych i akcesoriów, by pokryć zapotrzebowanie mnóstwa dzieci. Zarezerwowano też pokój w czynnej ciagle, prywatnej izbie porodowej i na kilka tygodni przed dniem „B”. Marysia wróciła do rodziców, oficjalnie przynajmniej, jako niezamężna córka, której macierzyństwo nie pociągnęło za sobą przepędzenia jej na ulicę.

Warszawa znów znalazła się pod głębokim śniegiem i zbliżał się początek piątego roku mojego pobytu poza domem. Byłem dosyć pewien tego, że dożyję ojcostwa, co uczyni moich i Marysi rodziców dziadkami, ale jeśli wojna trwać będzie zbyt długo, los prawdopodobnie pozbawi mnie i moją żonę szans na podobny status.

Z przeniesieniem się Marysi pod dach rodzinny do czasu porodu powstała taka sytuacja, że musiałem sam prowadzić dom. Nie było to jednak zbyt straszne. Najeliśmy służącą. Janina, tak, jeszcze jedna Janina, zamieszkała z nami. Ulokowała się wygodnie w małym wolnym pokoiku. Małeńki to był pokoić, ledwo dało się w nim obrócić. Panna Brantwein, takie nosiła nazwisko, była Żydówką córką doktora, której udało się przeżyć. Większość rodziny wymordowali naziści w ramach programu, który nazywali ostatecznym rozwiązaniem, a ta młoda Żydówka, koło dwudziestki, bez wyraźnych cech semickich, zdołała uciec z getta. Znalazła w biedzie schronienie u jakichś przedwojennych przyjaciół, ale z różnych przyczyn zmuszona była do dalszej ucieczki. W desperacji udała się do doktora Kazia, byłego kolegi jej ojca. Marysia została też w to wciągnięta i liczba mieszkańców w mieszkaniu na Elektoralnej wzrosła o jedną osobę, kiedy stwierdzono, w jakim położeniu znajduje się Janina. Oficjalnie była naszą pomocą domową pod fałszywym nazwiskiem i fałszywym zameldowaniem. Nigdy jednak nie była gospożą i nie oczekiwaliśmy tego od niej, niemniej okazała się bardzo przydatna i robiła więcej, niż można było się tego spodziewać. Janina była bardzo miła w obejściu, pogodna mimo tragicznych przeżyć, kulturalna, inteligentna i ładna.

Gdyby Niemcy w tym czasie zrobili najazd na lokal, to po zamieszkaniu tu Janiny nakryliby po prostu jeszcze jedno przestępstwo, za które karano śmiercią. Mieliliśmy już w domu nielegalne radio, broń, komplet fałszywych paszportów i dostateczną liczbę fałszywych kartek żywnościowych, by wyżywić całą armię. Wszystko to, razem z moimi przestępstwami odnotowanymi w aktach gestapo, już oznaczało jedenastokrotny wyrok śmierci, teraz obecność Żydówki panny Brantwein zwiększyła tę liczbę do dwunastu. Nasz kontakt z Janiną skończył się, kiedy opuściliśmy mieszkanie na Elektoralnej, co zresztą nastąpiło niespodzianie szybko. Nasze drogi, które skrzyżowały się na krótko, rozeszły się w nieznanych nam kierunkach w walce o przeżycie. Nachodziły nas bardzo pesymistyczne myśli co do jej losu, kiedy po wielu latach po wojnie doszła nas miła wiadomość od przyjaciela. Właściwie trzeba było cudu, żeby nasza, jedyna zresztą pomoc domowa przeżyła wojnę. A oto w lokalnej gazecie, w dziale spraw osobistych ukazało się ogłoszenie, że Janina o panińskim nazwisku Brantwein poszukuje wiadomości o miejscu pobytu rodziny Jeffery, która teraz mieszka prawdopodobnie w Nowej Zelandii. Odnowiliśmy kontakt i dowiedzieliśmy się, że Janina, teraz szczęśliwa małżonka, mieszka w Izraelu, jej żydowskiej ojczyźnie. Powojenne osiągnięcia Izraela w dziedzinie szkolnictwa pozwoliły jej zarabiać na chleb codzienny, jeszcze jedna ilustracja wytrwałości tego tak wielce umęczonego narodu.

Boris pozostawał poza Warszawą ponad dwa tygodnie. Dzwoniłem kilka razy do jego mieszkania z różnych kawiarni, niecierpliwiłem się jego długą nieobecnością bo chciałem już zabrać się do roboty. Następne spotkanie z Nordem nie poprawiło sytuacji i jak przewidywałem, nie pojawiła się zapowiedź oficjalnej współpracy lub zgody ze strony ruchu oporu na jakiegokolwiek powiązania z pułkownikiem, z drugiej strony nie było też wyraźnego rozkazu, żeby zakończyć sprawę, co usuwało bezpośrednią

konfrontację ze Stefańskim. Pożegnaliśmy się znów przyjaźnie, a Nord nalegał na jak najszybsze podjęcie obowiązków w Austrii. „Nie przed Nowym Rokiem”, odpowiedziałem.

Boris wrócił. Przywitał mnie jak starego przyjaciela i żaden z nas nie okazywał ostrożności i oporów, jakie charakteryzowały nasze pierwsze spotkanie. Spędziłem z tym byłym Rosjaninem, który pragnął pracować dla aliantów, długi i przyjemny wieczór, załatwiwszy ze Stasiem nocleg jak poprzednio, żeby nie uciekać przed godziną policyjną. Żona Borisa, dostojnie i gustownie ubrana, weszła do pokoju podać rękę do ucałowania i widać było, że wie kim jestem. Tak samo jak Boris, emanowała szczerością. Widocznie jednak Stefański się mylił. A może nie? Może kierowały nim jakieś inne motywy, że tak sprzeciwiał się wszelkiej współpracy z tym bardzo antykomunistycznym białogwardzistą obstawianym teraz przez angielskiego członka ruchu oporu. Pani pułkownikowa usiadła z nami na kilka drinków, życzyła mi powodzenia w najbardziej przyjacielskim tonie i wyszła, pozostawiając nas samych.

W czasie pierwszego spotkania mówił przede wszystkim Boris. Teraz była moja kolej i przeszedłem bezpośrednio do sedna sprawy, przepraszając za sytuację, która zaistniała. W ramach dopuszczalnych ze względu na ostrożność i bezpieczeństwo z punktu widzenia ruchu oporu i moje własne, starałem się być otwarty jak tylko mogłem. Poinformowałem Borisa o moim oficjalnym powiązaniu z polskim wywiadem podziemnym i o tym, że wystąpiłem o pozytywne ustosunkowanie się do propozycji współpracy. Niestety, nie możemy się spodziewać pomocy ani pobłażania, jeśli chodzi o samodzielne współdziałanie pułkownika i niezależnego Brytyjczyka. Wyraz niezadowolenia pojawił się na twarzy pułkownika, kiedy mówiłem o tym z niejakim ubolewaniem. Aby natychmiast nie zrezygnował z planów współpracy, wyraziłem chęć rozpoczęcia na swoją rękę brytyjskich negocjacji, początkowo bez udziału Polaków. Boris zaakceptował tę sugestię, pochylił się w moją stronę i powtórzył to, co już słyszałem od niego w czasie pierwszej wizyty.

„Sowiecka infiltracja w ruchu oporu będzie sabotowała wszelką współpracę ze mną”. Niestety, wagę tego po raz drugi powtózonego ostrzeżenia zrozumiałem dopiero znacznie później.

Do spraw poruszanych tu skrótowo jeszcze wrócimy w dalszej narracji. Nie uszło mojej uwagi, że Boris nie rozwodził się nad jednym aspektem współpracy z aliantami zachodnimi. Sowietci nadchodzili i Niemcy były na drodze do klęski. Wpadnięcie w ręce Rosjan oznaczałoby koniec dla Borisa, jego rodziny i jakichkolwiek możliwości dokonania zmian rządu w jego pierwotnej ojczyźnie. Praca z aliantami w czasie wojny dawałaby mu moralną asekurację i w ramach takiego ubezpieczenia, jak posiadacz polisy, mógł się spodziewać, że przychylnie rozpatrzy się jego wniosek o wybawienie z mściwych rąk Rosjan. Nie owijając w bawełnę, ale rozumiejąc jego sytuację, wygarnąłem, że jedynym rozwiązaniem dla wspólnych naszych problemów jest mój powrót do Londynu, przedstawienie jego sprawy i prośenie o pomoc, choć bez współpracy ruchu oporu moja podróż do Anglii była niemożliwa. Gdybym dotarł do Zjednoczonego Królestwa z pomocą Borisa, racje nasze byłyby wzmocnione, a mój raport o sposobie dostania się tam dowiódł by prawości pułkownika. Być może Londyn wyda instrukcję polskiemu wywiadowi, żeby traktować pułkownika jako partnera, albo podejmie decyzję bezpośredniego kontaktu z Anglikami.

Boris był przykładem umiejętności koncentrowania się. Jeśli coś da się zrobić, trzeba to zrobić, powiedział z determinacją. Znów udał się do kwatery Hitlera w Prusach Wschodnich i jako szef czterystu agentów nawiązał serdeczne stosunki z grubymi rybami w wywiadzie. Zaczął sobie układać w głowie plan i po powrocie do Warszawy w grudniu na święta był przekonany, że zdoła zorganizować podróż do Anglii. Przed samym wyjściem zasugerowałem, że być może dałoby się oficjalnie włączyć mnie do jego zespołu niemieckich agentów. Nikt bardziej niż pułkownik nie potrafi

docenić wagi oficjalnej rejestracji i wystawienia autoryzowanych dokumentów nazistowskiej kwatery głównej.

„Dla ciebie załatwię to bez żadnego problemu - powiedział Boris, podając mi z uśmiechem rękę na pożegnanie. - Masz znakomity talent, jak na swój młody wiek". Trudno mi było sobie wyobrazić po przeżyciach ostatnich dwóch czy trzech lat, że kiedykolwiek byłem młody.

Po powtórным wyjeździe Borisa, kiedy Marysia mieszkała u rodziców, nie miałem nic innego do roboty, jak tylko czekać. Wywiad ruchu oporu nie chciał o mnie słyszeć aż do podjęcia sprawy wiedeńskiej, ale wiedział doskonale o moim istnieniu, jako że otrzymywałem regularnie pensję z punktów kontaktowych.

Wczesny mrok zapadający zimą i anonimowość, jaką zapewniało zimowe ubranie chroniące przed dotkliwym mrozem, pozwalały mi na wpadanie od czasu do czasu, posługując się kuchennymi schodami, do mieszkania doktorostwa przy Nowym Świecie. Wiktoria, służąca, ciągle troszcząc się o swoją żabusię, jak mnie nazywała, wpuszczała mnie do mieszkania, gdzie mogliśmy się radować z Marysią jej kwitnącą ciążą. Moja żona zapomniała o kłopotach wojny w radosnym oczekiwaniu macierzyństwa.

Florianowie ciągle mieszkali piętro wyżej, ale mając na uwadze możliwość wizyty gestapo, dla mnie było to miejsce zakazane. Odwiedziłem też wielu przyjaciół, których poprzednio nie mogłem spotykać ze względu na okoliczności. Zaabsorbowany dwiema ściśle tajnymi sprawami - tajnym ojcostwem i tak samo kwestią z Borisem, spotykanie się z przyjaciółmi traktowałem prawie jak terapię. Poruszając się po Warszawie, byłem jeszcze bardziej czujny niż poprzednio. Nie tyle bałem się wpadki, ile konsekwencji, jakie mogła ona mieć dla moich bliskich i dla prowadzonych przeze mnie spraw.

Wpadłem też na Saską Kępę do Tommiego, jakimś cudem ciągle mieszkającego spokojnie ze Stenią i Janką. Pies inżyniera Szkot był z nimi. Jego pan przebywał w Reichu w sprawach związanych z ruchem oporu. Odwiedziłem ku wzajemnej radości Zosię i jej córkę Halinę, a także rodzinę Lorenzów, z którymi spędziłem tyle czasu poprzednio. Te wszystkie spotkania towarzyskie, bo tylko taki był ich charakter, nie dostarczały jednak dostatecznej ilości adrenaliny takiej osobie, jaką się stałem. Podróżowanie po Warszawie tramwajem czy dorożką chodzenie po ruchliwej, pełnej krzątaniny i niebezpiecznej stolicy wiązało się z pewnym dreszczykiem emocji, ale było to niczym w porównaniu do spraw, które miałem przed sobą. Otuchy dodawał mi wciąż nieprany niebieski pulower, ręcznie dziany i подарowany mi przez drobną Halinę, który ciągle nade mną czuwał.

Większość wieczorów spędzałem w domu na Elektoralnej, paląc, sącząc wódkę, czytając podziemną prasę lub słuchając zagranicznych programów radiowych. Sprawami domowymi zajmowała się wspaniale Janina, ukrywająca się u nas Żydówka. Krystyna, siostra Marysi, która ciągle mieszkała przy Nowym Świecie, jak i moja żona, teraz była jedynym bezpośrednim łącznikiem Elektoralnej ze światem zewnętrznym. Pewnego ranka wpadła, drżąc z podniecenia. Marysię zabrano tego ranka do porodówki ze wszystkimi oznakami, że rodzina Jefferych powiększy się o jedną osobę, o ile nie o więcej. Był 10 grudnia 1943 roku. Zgodnie z zasadami adresu porodówki mi nie podano. Krystyna pojawiła się znowu następnego ranka z wielką wiadomością, że na świat bez specjalnych problemów przyszła śliczna dziewczynka, matka i dziecko czują się dobrze i za parę dni wrócą na Elektoralną. Wyłopałem więcej niż kilka wódek tego dnia. Janina wychodziła parę razy, by uzupełnić malejące zapasy, do czego w niemałym stopniu przyczyniła się inwazja sąsiadów z życzeniami, państwa „Zielone Światło". Wedle Krystyny, która wpadała z codziennymi raportami, dziecko odwiedzane było przez mnóstwo osób, głównie z licznej rodziny Kazików. Krewni różnej płci i wieku z uszanowaniem oglądali ten niewątpliwy dowód angielsko-polskiej jedności. Zasady bezpieczeństwa w

dalszym ciągu nie pozwalały, bym wiedział, gdzie mieści się porodówka, i oczywiście nie mogłem przyłączyć się do kolejki odwiedzających. Dziewczynka wkroczy do tajnego świata i niewielu tylko członków rodziny Kazika będzie o niej słyszało przez długi jeszcze czas.

W domu zapanowała uroczysta atmosfera, kiedy Zbyszek i Krystyna przyjechali dorożką jako obstawa dla mojej małej rodziny. Pierwszy rzut oka na naszą córkę był dla mnie zaskoczeniem. Jak dotąd, najmłodsze dziewczynki, jakie znałem, były rozkosznymi, krzątającymi się po pokoju, mówiącymi lalkami z warkoczykami. Wobec okrzyków w rodzaju „Czy ona nie jest piękna, Paweł?” musiałem się zdobyć na wiele dyplomacji, by po dokładnym przyjrzeniu się, przyznać rację. Nie było jednak o co się kłopotać. Mała Patrycja, potem nazywana Punią podrosła i pierwsze zastrzeżenia znikły na zawsze. Stała się i jest bardzo piękna. Trzeba oddać sprawiedliwość i odnotować, że państwo „Zielone Światło”, którzy zapili mnie niemożliwie, kiedy przyszła pierwsza wiadomość o urodzinach Puni, zrobili teraz solidne poprawiny. Przyszli już na bańce, a potem z trudem przebrnęli te kilka metrów, jakie musieli pokonać od nas do drzwi swojego mieszkania. Marysia nie wypila nawet kieliszka. Matki karmiące piersią powinny powstrzymać się od spożywania silnych trunków. Jest ono szkodliwe dla dziecka. Świeżo upieczony ojciec okazał się w tym względzie służbistą.

Następnego dnia niespodziewanie wróciła Krystyna z wiadomością która nie poprawiła naszego samopoczucia po oblewaniu urodzin poprzedniego dnia. W noc, kiedy urodziła się Puni, duże siły gestapo otoczyły blok mieszkalny, w którym na pierwszym piętrze mieszkały Zosia i Halina. Matkę i córkę wyciągnięto brutalnie z łóżka i trzymano pod pistoletem. Następnie naziści wpadli do pokoju, który poprzednio zajmowałem i z którego obserwowałem, jak pijani esesmani masakrowali karną grupę roboczą Żydów na sąsiednim podwórku latem 1942 roku. Teraz pokój ten zajmował Bolek, daleki krewny rodziny, który potrzebował tymczasowego mieszkania. Wedle tego, co wiedziała Krystyna, Bolek nie miał nic do czynienia z ruchem oporu, ale dostało mu się tak, jakby do niego należał. Zapakowano go brutalnie do ciężarówki i wywieziono. Dziwne, że nie czepiano się do Zosi i Haliny, nawet nie były o nic pytane, nie traciły więc czasu, by ogłosić alarm. Nie rozumieliśmy przyczyny tego najazdu. Było wiele poszlak, dlaczego gestapo wybrało ten dom i to mieszkanie, ale nie mieliśmy pojęcia, w jaki sposób wpadło znów na mój trop. Na szczęście nie było podstaw, by sądzić, że nasze schronienie na Elektoralnej jest w jakiś sposób zagrożone teraz czy w najbliższej przyszłości, niemniej trzeba było współczuć niewinnemu Bolkowi, który miał nieszczęście znaleźć się w moim łóżku u Zosi. Losy jego jednak nie potoczyły się tak źle, jak można było oczekiwać.

Bolek był bardzo jasnym blondynem. „Aha - powiedział jeden gestapowiec, jak go zabierali - ufarbowałeś sobie włosy na białe, Jeffery”. W celi przy Szucha bito go, ale niezbyt mocno. Oczywiście zdecydowanie zaprzeczał, jakoby nazywał się Jeffery, i niczego nie zdradził. Biedny chłopak, nie miał zresztą i tak nic do zdradzania. Zgolono mu dokładnie wszystkie białe włosy. Z blondasa stał się łysielcem. Niemcy czekali, aż mu odrosną nowe, wiedząc doskonale, że moje włosy są prawie czarne. Gestapowcy zmartwili się, kiedy Bolkowi włosy odrosły w naturalnym kolorze, to znaczy białe, i natychmiast go wypuścili. Nic dziwnego, że chłopak jak tylko wrócił do Zosi, spakował natychmiast swoje manatki i wyniósł się z mieszkania.

Widziałem się z Zosią i Haliną parę dni przed urodzeniem się Puni. Było to nasze ostatnie spotkanie, a wiadomość o Bolku była też ostatnią wiadomością o nich. Potem wojenne zamieszanie, jakie na nas spadło, porwało nas w różne strony. Teraz Zosia jest już zapewne w zaświatach. Być może długonoga Halina, która udzielała lekcji polskiego w niebezpiecznej klasie nad Wisłą gdzieś przeżyła. Być może imię jej zagubionego ucznia, Pawła Anglika, porusza czasem nostalgiczną strunę wspomnień o czasach, kiedy przeżyły choćby jeden cały dzień był szczęśliwym zwycięstwem nad śmiercią.

Zaszyty z Marysią dzieckiem i Janiną na Elektoralnej, w mieszkaniu obwieszonym suszącymi się pieluszkami, oczekiwałem niecierpliwie na powrót pułkownika z kwatery Führera. Z przyjemnością obserwowałem te dwie kobiety, Marysię, Polkę i Janinę, Żydówkę, obdarzające takim uczuciem i opieką to dziecko. Podczas gdy ja pozostawałem zawsze świadom okropności tego świata, ich instynkt macierzyński nie wykraczał poza zaspokajanie potrzeb małej. Dziwna, wręcz smutna sytuacja.

Krystyna przyniosła więcej złych wiadomości. Geoffrey Hickman, ten angielski pilot, który uciekł razem z Chisholmem i MacDonaldem, znalazł się w rękach gestapo. Przypomniało mi się eskortowanie z Krakowa trzech lotników z towarzyszącym im Carterem, nieszczęsnym Żydem. Carter już nie żył, a MacDonald, dzięki uprzejmości ruchu oporu, został przerzucony do Anglii poprzez Pireneje. Chisholm, Australijczyk, ukrywał się ciągle gdzieś w Warszawie. Geoff, mój krajan, poszedł moim śladem, ożenił się z polską dziewczyną, Julią i mieszkali gdzieś w Warszawie.

Złe przeczucia związane z brakami lingwistycznymi alianckich uciekinierów, którzy dotarli aż do Warszawy, trapiły nas ciągle. Chodzenie po mieście ze słabą znajomością niemieckiego czy polskiego i legitymowanie się sfałszowanymi polskimi papierami było słabą ochroną łatwą do wykrycia w każdej chwili. Było w tym nieco mojej winy, że nie radziłem dostatecznie mocno, by zorganizowano coś w rodzaju kursu językowego i nauczania sztuki przeżycia dla wszystkich aliantów przybywających do Warszawy. Na myśl przychodziły mi tylko dwie osoby, które przystosowały się do ryzyka w okupowanej przez Niemców Polsce. Tą drugą był Tommie. Moje obawy niestety okazały się słuszne, kiedy Krystyna opowiedziała, że właśnie kłopoty językowe były przyczyną wpadki Geoffa. Nie tylko młody pilot znalazł się w gestapo na Szucha, ale jego żona także. Ponure plotki, potem potwierdzone, mówiły, że była ona w ciąży. Biedna dziewczyna! Nasze przygnębienie i współczucie pogłębiało się. Bardzo nieszczęśliwy, jak każdy, z powodu nieszczęścia Geoffa i jego żony, dostrzegałem jednak szczęście w nieszczęściu w tym, że nie było żadnego bezpośredniego kontaktu między aresztowanymi a Elektoralną. Obawy o Tommiego i dziewczyny, gdyby aresztowani małżonkowie torturami zostali zmuszeni do mówienia, nie dały nam spać tej nocy. Minęło prawie osiemnaście miesięcy od czasu, kiedy Geoff i jego koledzy przybyli do Warszawy z Krakowa. Przystojny i miły młody człowiek ukrywający się prawie półtora roku w polskich domach nagromadził wiele ważnych dla Niemców informacji i na pewno uczynią oni wszystko, by wydobyć z niego wszelkie dane o miejscach i znanych mu ludziach. Łańcuch tortur, zeznań, po których idą następne tortury, mógł spowodować serię kolejnych obław i aresztowań. Ci, którzy nie stosowali bez przerwy przebiegłych sztuczek dla zmylenia za sobą śladów, znajdą się wkrótce na Szucha jako goście gestapo. Z ulgą myślałem, że moje zabiegi ostrożności skutecznie ochraniały moje obecne mieszkanie. Nieszczęśnicy, którzy znaleźli się w rękach gestapo, w żadnym razie nie zdradzą miejsca mojego pobytu, bo go nie znają chociaż moje dossier w aktach gestapo poszerzy się znacznie, gwarantując mi tytuł szczwanego lisa.

Pewien promyk nadziei rozświeślał tę ponurość. Kiedy naziści zamknęli Floriana wcześniej tego roku za to, że u niego mieszkalem, traktowano go nadspodziewanie łagodnie. Mogli przecież zastosować średniowieczne tortury. Szczęśliwie dla człowieka, który tak odważnie udzielił schronienia ich wrogowi, postępowanie gestapo odbiegało od normy. Floriana nie tylko zwolniono i nie prześladowano potem, ale w czasie aresztowania bito go tylko lekko, jak na polską dumę i wytrzymałość. Ostatnie aresztowanie jasnowłosego Bolka, który zajmował moją kwaterę u Zosi, miało podobny przebieg. Ostrzyżono go, ale kiedy mu odrosły blond włosy, wypuszczono, poddając tylko zwykłym próbom wyciągnięcia informacji. Były to rozważania po linii pobożnych życzeń, ale wносиły nieco optymizmu. Wyglądało na to, że z tych czy innych względów naziści hamują nieco swój sadyzm w stosunku do więźniów mających bezpośredni związek z Anglikami. Przedstawiciele innych narodowości, a szczególnie Polacy z ruchu oporu, mogli oczekiwać bezlitosnych cierpień. Z

Hickmana, przy jego szczerym patriotyzmie, o ile Niemcy nie zastosują ostrzejszych metod niż w stosunku do Floriana czy Bolka, nic nie wydobędą. Nie było prawdopodobne, że Geoff lub Julia zostaną uwolnieni, można było tylko liczyć na to, że traktowanie ich zgodne będzie z moją teorią. Gdyby Julia nie była aresztowana i trzymana w tym samym miejscu co jej angielski mąż, sytuacja przedstawiałaby się nieco lepiej. A tak trzeba brać pod uwagę, że gestapowcy będą ją męczyć na oczach Geoffa, aby go złamać. Wyobrażanie sobie, że Marysia i ja, co gorsza, nasze dziecko, zostalibyśmy skazani na łaskę i niełaskę Niemców, było udręką spędzającą sen z oczu.

Zdając sobie sprawę z odległości i milionów wrogów oddzielających Warszawę od domu rodzinnego, trudno było pozbyć się uczucia klaustrofobii. Starając się opanować pesymizm, spędziłem następny tydzień, sprawdzając dokładnie, co dzieje się ze znajomymi, którzy kontaktowali się z Geoffem i Julią. Uchodziłem za Niemca albo za Polaka i nosiłem ubrania, których nie znali oboje uwięzieni, zakładając, że poddawani są oni ostrym przesłuchaniom. Tommie rozsądnie wyniósł się z Saskiej Kępy, Stenia i Janka także. Wielu innych znikło z zajmowanych kryjówek czy mieszkań. Lepiej przespąć noc czy dwie w obcym łóżku, niż narazić się na wieczny spoczynek. Mimo niebezpieczeństw związanych z poruszaniem się po Warszawie w tej atmosferze napięcia częstsze spotkanie się z Tommiem było jedynym jaśniejszym punktem. Spotykaliśmy się często w niezagrożonych domach wspólnych znajomych lub kawiarniach, gdzie uchodziliśmy bez kłopotu za dwóch cywilnych Polaków. Prowadzenie konwersacji po polsku było zupełnie możliwe, akcent i gramatyka Tommiego stały się wspaniałe. Jedno, jeśli idzie o Tommiego, było oczywiste. Jeżeli ktokolwiek przeżyje, to na pewno on. Niedojrzałe spojrzenie pełne zaciekawienia i zdumienia zastąpione zostało surowym i czujnym wzrokiem penetrującym każdy kąt i szparę. Ja także nabyłem w wyniku prowadzenia konspiracyjnego trybu życia umiejętności wieloogniskowego patrzenia, co widać na zdjęciu załączonym dalej, a zrobionym pod koniec 1943 roku. Czasy swobodnego hasania, tak jak i nasza młodość, przeminęły, niestety, za szybko.

Kiedy tak szperałem po Warszawie, starając się wywieźć o losach Geoffa, spędziłem kilka dni poza mieszkaniem na Elektoralnej. Marysia i Janina, która ciągle z nami mieszkała, wedle mojej oceny nie były zagrożone więcej niż inni mieszkańcy podziemnej Warszawy. Wraz z przyjściem dziecka na świat moja obecność w domu okazała się zbędna. Władcę zdetronizowano.

Zawsze gościnny i pozostający pod opieką Niemców dach nad głową u Stasia był miejscem na odpoczynek, przemyślenia i spokojny sen. Boris wrócił do Warszawy przed świętami i nasza rozmowa telefoniczna była pełna ciepła i zaufania, wskazywała, że nic nie zagraża naszym planom. Umówiliśmy się na spotkanie przed przerwą świąteczną i Staś bez najmniejszych oporów zgodził się, że pozostanę u niego na noc.

Tragedia Hickmana zbiegła się chronologicznie z negocjacjami z Borisem. Ponieważ sprawy te nie mają ze sobą najmniejszego związku, omówię najpierw epizod z Hickmanem, który i tak znalazł swój koniec w pierwszych tygodniach stycznia, by potem wrócić do spraw związanych z Borisem, które zajmą więcej czasu.

Żadne źródła nie donosiły, żeby gestapo wszczęło jakieś postępowanie związane z aresztowaniem Geoffa i jego żony. Tommiego i dziewczętą z Saskiej Kępy odwiedzał często, byli więc na pierwszej linii zagrożenia, jeśliby się coś wydało. Mijał czas bez żadnych oznak zmuszających do wzmożonego alarmu. Postanowiłem jednak zniknąć ludziom z oczu na czas świąt i nie zgodziłem się na propozycję Marysi, by wziąć udział w rodzinnym spotkaniu z okazji Bożego Narodzenia w mieszkaniu jej rodziców. Chociaż napięcie opadło po ostatnim kryzysie, ciągła czujność była niezbędną i

jakiegokolwiek świętowanie poza mieszkaniem na Elektoralnej, i tak już pełnym jedzenia czarnorynkowego, napojów i tytoniu, było wystawianiem się na kłopot.

Wspominając te obawy i reakcje po aresztowaniu Hickmana, powtarzam się. Nie chcę się z tego tłumaczyć, bo tak było. Obawy i reakcje też się ciągle powtarzały. Żadna książka nie starczyłaby na przedstawienie w szczegółach myślowej gimnastyki człowieka zdecydowanego na przetrwanie na tym padole, a równocześnie wystawionego na tak ciężkie koleje losu. Ci, którzy nie doświadczyli takich przeżyć, mogą się uważać za szczęściarzy.

Mała Punia była zdrowa, doskonale zadbana i rozwijała się wspaniale, mając najlepszy, naturalny pokarm. Marysia, Janina i ja przestaliśmy się bać za zamkniętymi drzwiami na Elektoralnej, gdzie naładowany pistolet ciągle stał na warcie, jedliśmy, pili i byliśmy prawie weseli, chociaż nic nie mogło nas powstrzymać od wyobrażania sobie Geoffa i Julii, którzy o milę czy dwie od nas giną w gestapowskiej celi. Obie dziewczyny śpiewały słodko polskie i żydowskie piosenki pod bożonarodzeniową choinką ubraną pieluszkami. Przez te cztery czy pięć dni dobrowolnego zamknięcia jedynymi naszymi gośćmi z zewnątrz byli Zbyszek i Krystyna. Mój przyszły szwagier to doświadczony bojownik Podziemia i na środkach ostrożności przedsięwziętych przez niego przy odwiedzaniu osób znajdujących się na niemieckiej czarnej liście można było polegać. Był zbyt cwany, by nie rozpoznać, czy jest śledzony, a biorąc pod uwagę, że nie było między nami żadnych związków w działalności podziemnej, nawet jego aresztowanie nie prowadziło do przesłuchań w mojej sprawie. Państwo „Zielone Światło”, nasi sąsiedzi, byli ciągłymi naszymi gośćmi. On, patriotyczny Polak, ciągle jeszcze pracował dla Niemieckich Kolei Wschodnich. Mnóstwo smacznego towaru przewożonego na niemiecki front wschodni, kiełbasy, szynki, sery i sznaps, dziwnym trafem trafiały na stoły obu naszych rodzin. Jak to trafnie ujmował nasz kolejarz, „Z najlepszymi życzeniami od Hitlera”.

Nowy Rok powitaliśmy z najbardziej szczerym zdecydowaniem, by przeżyć rok 1944 i przetrwać. Styczeń znów niósł dwudziestoczworogodzinny stan zagrożenia na dobę. Tylko Punia nawet wedle polskich norm była zbyt mała, by bać się Niemców, nie mówiąc już o nienawiści. Wiadomości od Hickmana nie było, aż któregoś dnia Krystyna okazała się znów nosicielką złych wieści. Geoffrey Hickman nie żył. Wiadomość była pewna, prosto z podziemnych źródeł ulokowanych w kwaterze gestapo. Wyniesiono go martwego z celi. Julia, jego żona, została przeniesiona do innego więzienia, ale miejsca jej pobytu nikt nie znał.

Minęło wiele lat od śmierci Geoffa, pierwsze ciosy zadawał wrogowi jeszcze z zielonych pól południowej Anglii jako pilot myśliwca i oboje byliśmy z tego bardzo dumni. Odwaga, umiejętności i olbrzymie poświęcenie to niezbędne cechy pilota w walce. Nie potrafię ocenić jego umiejętności jako pilota, a o jego odwadze i poświęceniu dla alianckiej sprawy z całą odpowiedzialnością mogę napisać, że Geoff Hickman zmarł, nie zdradzając gestapo żadnej tajemnicy, która kosztowałaby życie wielu osób, i bohaterski ten czyn znalazł potwierdzenie w każdym skrawku informacji, jaki do nas dotarł. Nie nastąpiły żadne aresztowania, które można by w najmniejszym stopniu powiązać z wiadomościami, jakie ewentualnie Geoff mógł być wyjawiać. Ile przecierpiał, nigdy się w pełni nie dowiemy, a kilka szczegółów jego śmierci, które dotarły do mnie drogą prywatną podaję w dowód szacunku i wdzięczności dla tego dzielnego człowieka. Julia, jego żona, jakoś przeżyła tę ciężką próbę i z całym szacunkiem powiedzieć trzeba, iż wykazała niezmierną odwagę, by nie puścić pary z ust. Gdzieś pojawiło się jej zdjęcie jako pani Hickman z jej powitania w Londynie po wojnie i nie ma potrzeby na jej użytek upiększać szczegółów śmierci Geoffa. Doskonale wiedziała na podstawie swojego własnego doświadczenia, co się zdarzyło lub mogło

zdarzyć. Jeżeli Julia jeszcze żyje, niech mój hołd będzie dla niej pociechą. Rodzice Geoffa najprawdopodobniej już nie żyją i szczegóły śmierci Geoffa nie przyniosą im już bólu. Ta krótka notka o Geoffie Hickmanie zmniejszy nieco liczbę nieopisanych i niezanotowanych bohaterów, którzy z Polski powędrowali do gwiazd lub Walhalli w wyniku straszliwych walk, jakie przecierpiał ten kraj w czasie całej drugiej wojny światowej.

Dopiero w połowie 1947 roku otrzymałem zdumiewający list (patrz załącznik). Był to list od człowieka, którego od dawna uważałem za zmarłego. Wysłany został z Hildesheim w Niemczech Zachodnich, a autorem jego był mój stary przyjaciel i szef w służbie wywiadowczej - Karol. O moich bliskich z nim kontaktach przed jego aresztowaniem pisałem już poprzednio. Nie było wiadomości o Karolu od czasu, jak złapało go gestapo w Warszawie w połowie 1943 roku po wpadce wiedeńskiej. Jego aresztowanie pociągnęło za sobą wielkie zmiany w Wywiadzie ruchu oporu i przerwało moją własną karierę. Z listu wynikało, że Karol był na Szucha, kiedy wsadzono też tam Hickmana. Na pewno wiedział on o istnieniu Geoffa, jako że moja wyprawa do Krakowa dla zbadania sprawy i sprowadzenia tych czterech uciekinierów do Warszawy leżała w jego gestii.

Ulokowany w celi bezpośrednio przylegającej do celi Hickmana Karol był przesłuchiwany w związku ze sprawą schwytanych angielskich pilotów. Słyszał też, jak ostremu przesłuchiwaniu poddawano Hickmana, i kiedy przeprowadzono konfrontację w ramach dochodzeń, widział, jak ciężko go bito. Wydawało się, że gestapowcy pomylili imię Geoffrey z moim nazwiskiem Jeffery, które fonetycznie brzmi bardzo podobnie. Chcieli wyciągnąć od nowego więźnia przyznanie się, że jest on Ronaldem Jeffery, członkiem wywiadu brytyjskiego działającym pod pseudonimem Paweł. W tym czasie gestapo doszło do błędnego wniosku, że szpiedzy wywiadu alianckiego infiltrowali różne terytoria, dając się wziąć do niewoli jako zwykli jeńcy wojenni, by w pełni wyszkoleni uciec i działać w wyznaczonych im regionach Niemiec lub krajów okupowanych. List Karola z 1947 roku kończył się opinią, że Hickmana powiesili gestapowcy i upozorowali samobójstwo. Czy Geoff popełnił samobójstwo, czy został zamordowany, nie ma już większego znaczenia dla tej tragicznej sprawy. Jeżeli temu młodemu pilotowi nie zostało przyznane pośmiertne odznaczenie, zawdzięczać to należy klice Philby'ego i jest to niewybaczalny błąd. Moja odpowiedź na list Karola nie doczekała się odpowiedzi, prawdopodobnie, biorąc pod uwagę okoliczności, jakie zaistniały, mój list do niego nie dotarł. Czy gdyby było inaczej, mój dawny szef i przyjaciel nie zechciał odpowiedzieć na mój list?

Aresztowanie i śmierć Geoffa Hickmana w żaden sposób nie związała się ze sprawą Borisa i nie opóźniała naszych działań. Zanim wiadomość o śmierci młodego pilota do nas dotarła, odbyło się jeszcze kilka spotkań z pułkownikiem i plan zwerbowania go na brytyjskiego agenta nawet bez pomocy Polaków dojrzewał szybko.

Boris też miał swoje kłopoty. Uznawany był przez Sztab Generalny za faktycznego dowódcę prawie milionowej Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej, ale jego prestiż w nazistowskiej hierarchii ciągle nadwerężały czynniki od niego niezależne. Sukcesy wojsk sowieckich na wschodzie, ich ruch w kierunku zachodnim, do Europy, wpłynęły na tok myślenia wielu Rosjan, którzy z różnych względów nie walczyli nawet ramię w ramię z Niemcami, ale pozostawali na ich służbie. Dezercja z powrotem do Sowietów z szeregów Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej, której tytularnym dowódcą był dawny sowiecki generał Własow, wzmacniała się w miarę zbliżania się sił Stalina. W związku z tymi tendencjami przybył do Polski Himmler i dyskutował te sprawy z Borisem i Własowem. Himmler widział jako rozwiązanie przeniesienie trzech dywizji rosyjskich do Włoch i Jugosławii do pomocy w zwalczaniu rosnącego zagrożenia partyzanckiego w tych rejonach. Inne pomocnicze siły rosyjskie, którym nie można było dowierzać na linii frontu, zamierzał wysłać do Francji do pomocy w

fortyfikowaniu Wału Zachodniego przygotowywanego gorączkowo w oczekiwaniu inwazji przez kanał La Manche.

Boris twierdził, że powiedział Himmlerowi całkiem wyraźnie, iż woli - i ma do tego kwalifikacje - osobiście kontynuować antysowiecką działalność na froncie wschodnim i we wschodniej Europie. Himmler, ku zdziwieniu Borisa, dał się przekonać, ale pułkownik nie miał zbyt wielkiego zaufania co do szczerości jego stanowiska w tej kwestii.

Boris wyznał, że bardziej niż kiedykolwiek zależy mu na dojściu do jakiegoś roboczego porozumienia z Brytyjczykami. Ponieważ niemiecka sytuacja wojskowa pogarszała się, a polityczne komplikacje w całej okupowanej Europie wywierały nacisk na nazistów, jego niepokój i pośpiech były zupełnie zrozumiałe. Niewątpliwie w roku 1944 nastąpi próba przekroczenia kanału przez aliantów zachodnich, z drugiej strony Sowietów przebiegała na niemieckie granice ze wschodu, było więc dość przyczyn, by niepokoić się o przyszłość.

Ustosunkowanie się pułkownika do projektów wszechmocnego Himmlera, które równało się prawie odmowie wzięcia udziału w aktywnej walce przeciwko aliantom zachodnim, było aktem odwagi. Mogło też pomóc przekonać aliantów o szczerości propozycji współpracy, jeżeli kiedykolwiek przyjdzie mi bronić sprawę Borisa przed moimi zwierzchnikami w Londynie. Oczywiście nie było pewne, czy Himmler wykaże tolerancję w stosunku do stanowiska Borisa. Ważniejsze głowy spadały w wyniku ataków wściekłości Hitlera czy Himmlera i za mniejsze sprawy niż podejrzenie o podwójną lojalność. Nasze stosunki osobiste stały się bardzo serdeczne wraz ze wzrastającą pilnością podjęcia szybkiej i zdecydowanej akcji. Nie można było bez końca stosować w stosunku do Podziemia taktyki wymijającej i gdyby sprawa Borisa upadła, nie miałem zamiaru rezygnować ze swojej pozycji w wywiadzie. Takie zachowanie się miało posmak dezercji albo oznaczało strach przed podjęciem zadania w Austrii, a jako odpowiedzialna głowa rodziny nie mogłem sobie pozwolić na bezrobocie bez możliwości uzyskania zapomogi dla bezrobotnych.

Pod moim prawdziwym nazwiskiem pisałem artykuły o sytuacji w Polsce, podkreślając zawsze oddanie Polaków sprawie aliantów i cierpienia, jakie znoszą w wyniku bohaterkiej opozycji w stosunku do nazistowskich okupantów. Pod wpływem przeżyć Janiny w getcie pisałem też wiele o cierpieniach Żydów i ich bohaterstwie. Artykuły te zabierał Nord i na żądanie Stefańskiego padało zawsze pytanie co do mojej gotowości podjęcia obowiązków w Austrii. Nord, który niewiele wiedział, co się dzieje, odnosił się do mnie przychylnie i zgodził się na odłożenie terminu rozpoczęcia operacji austriackiej do marca 1944 roku. Można było przypuszczać, w miarę jak nasza znajomość się pogłębiała, że nie wierzy zbyt w sukces organizacyjny całego przedsięwzięcia austriackiego. Moje przeżycie w tym świetle nie zanosilo się na długo. Stefański prawdopodobnie myślał tak samo.

Dyskusje z Borisem koncentrowały się teraz na tym, jakie metody zastosować, bym wrócił do Anglii i dostał się do Ministerstwa Wojny. Podróż przez Niemcy, całą Francję i Pireneje do Hiszpanii albo przejście do Szwajcarii przez zieloną granicę z Niemcami wydawały się możliwe, tak jak przepłynięcie kanału z Francji do Anglii na jakiejś łodzi. Te trasy dyskutowaliśmy w szczegółach, ale potrzebne było spełnienie wielu warunków. Podróż taka narażona była na wiele niespodzianek, nad którymi tylko los miał kontrolę, a kredyt jego łaskawości został w moim przypadku już dawno przekroczony. Wreszcie wybraliśmy stolicę neutralnej Szwecji, Sztokholm, jako najlepsze miejsce z doskonałymi szansami na osiągnięcie dalszych zamierzonych celów. Teoretycznie neutralna Szwecja, na tym etapie wojny przynajmniej, stała zdecydowanie po stronie aliantów i pomagała ich sprawie jak tylko mogła. Regularnie kursowały samoloty w obie strony między Szkocją i Sztokholmem, przelatując nad okupowaną Norwegią na znacznej wysokości w ciemnościach nocy. Nieoznakowane

samoloty RAF prowadzone przez pilotów w cywilnych ubraniach obsługiwały tę bardzo przydatną linię lotniczą. Naziści, zdaniem Borisa, doskonale wiedzieli o tej tajnej komunikacji i nocnym myśliwcom Luftwaffe operującym nad Norwegią należy przypisać niewyjaśnioną stratę jednej z maszyn wraz z załogą. Wystawiając się tak długo na niebezpieczeństwa, dziecinne ryzyko zestrzelenia przez nocne myśliwce nad Norwegią nie brałem nawet pod uwagę, co nie oznacza, że myśl o tym nie przeszła mi przez głowę już wtedy.

Po wspólnie podjętej decyzji podróżowania przez Szwecję, by dotrzeć do Anglii w stanie nieuszkodzonym, Boris zajął się niezbędnymi przygotowaniem. W loteriach, grach losowych i podobnych próbach miałem zawsze pecha, a to, co mnie oczekiwało, zależało tylko i wyłącznie od losu szczęścia.

Z jednej z częstych teraz wypraw do kwatery głównej Führera Boris przyniósł krzepiącą wiadomość. Pułkownik miał dobre kontakty przyjacielskie i zawodowe z pewnym generałem stacjonującym w kwaterze w Prusach Wschodnich oraz cieszył się jego zaufaniem. W sercu wojennej maszyny niemieckiej dokonywano wielkich przetasowań personalnych w związku z oczekiwaniami na znaczną poprawę pozycji militarnej Niemiec po wprowadzeniu w akcję nowej tajnej broni, która lada chwila miała być gotowa do użytku w walce. Generał, od którego Boris otrzymał tę w zasadzie niezbyt dobrą wiadomość, sam był dotknięty tym przetasowaniem, ale obrót sprawy nagle okazał się zbawienny dla naszych planów. Ten stary towarzysz broni był teraz odpowiedzialny za działalność szpiegowską nazistów w rejonie Skandynawii obejmującym Danię, Norwegię i Szwecję. Z roztropnością zdobytą dzięki wieloletniej pracy w tym zawodzie Boris dokonał pewnych wzajemnych uzgodnień między tymi dwoma wydziałami niemieckiego wywiadu.

Zaproponował mianowicie swemu koledze po fachu kierującemu robotą szpiegowską w Skandynawii rzecz wzajemnie korzystną. Powiedział mu, że zatrudnia pewnego lojalnego i zdolnego Estończyka, który teraz nie może spełniać u niego swojej funkcji, bo został zdemaskowany przez sowiecki kontrwywiad.

Ten Estończyk był ostatnim z rodziny niegdyś o wielkich wpływach i powiązaniach, która została wymordowana przez bolszewików, kiedy to w 1940 roku zajęli oni trzy kraje bałtyckie, Estonię, Łotwę i Litwę. To było doskonale ustawienie sprawy, ponieważ mało kto w kwaterze głównej Führera miał pojęcie o tych trzech małych państwach nad Bałtykiem, o ich mieszkańcach, obyczajach czy języku. Boris wyraził swoje niezadowolenie z powodu utraty najlepszego swego antysowieckiego agenta i tym podstępem zyskał przyjęcie owego Estończyka do pracy w skandynawskim wydziale nazistowskiej służby wywiadowczej.

Rola Estończyka zapewniała mi równocześnie ważne kontakty w Szwecji, co było czymś naturalnym dla bałtyckich posiadaczy ziemskich i szlachty, do których należałem wedle przypisanego mi pochodzenia. Manewrując sprytnie, Boris zapewnił mi akceptację mojego przyszłego zatrudnienia w charakterze niezależnego agenta niemieckiego stacjonującego w Szwecji i nakreślił, też bardzo korzystnie, szeroki i elastyczny plan działalności. Umożliwi mi się przejazd do neutralnej Szwecji, formalnie dla rozpoczęcia działalności w niezbyt precyzyjnie określonym charakterze niemieckiego obserwatora wykorzystującego osobiste kontakty z wieloma wysoko postawionymi personami szwedzkimi. Boris miał być moim szefem od strony niemieckiej, co przyjąłem jako dobrą wiadomość. Ewentualne mieszanie się do sprawy przez jakiegoś nadgorliwca z niemieckiego kontrwywiadu storpeduje stała czujność. Moje nowe estońskie nazwisko, o nieokreślonej europejskiej proveniencji, zostało zarejestrowane oficjalnie w kwaterze Führera jako Felix Botkin. Walt Disney przychodzi na myśl...

Po przerzuceniu do Szwecji Botkin będzie miał tylko jeden kontakt z Niemcami, czyli z Borisem, i to dzięki uprzejmości, ściśle tajnej, oczywiście, niemieckich dyplomatów pracujących w Szwecji. Fakt, że Botkin będzie też otrzymywał regularne raporty bezpośrednio z kwatery głównej Führera, zrobił na mnie wręcz oszałamiające wrażenie. Wykorzystanie choć części zarysowujących się możliwości mogłoby mieć niewyobrażalne konsekwencje, widziałem to coraz dokładniej. Należycie wykorzystana tego rodzaju wtyczka w dowództwie naczelnym Hitlera mogła przynieść nazistom olbrzymie straty zarówno w sensie ilościowym, jak i jakościowym.

Przedostanie się do Szwecji było teraz sprawą pierwszorzędnej wagi. Te parę słów nie daje należytego wyobrażenia o liczbie przeprowadzonych rozmów, w których uwzględniano, w miarę dogłębnie, wszelkie możliwe aspekty przedsięwzięcia. Podejrzenie, że Boris mógłby działać jako dobrze założona pułapka mająca na celu zniszczenie ruchu oporu, było prawie nie do pomyślenia, jednak nie mogłem wykluczyć go z absolutną pewnością. W związku z tym, na wszelki wypadek, nie poruszałem z nim spraw innych niż to, co było związane z podróżą z Warszawy do Szwecji i robotą do wykonania na miejscu. Nie wyjawiałem żadnych moich powiązań z ruchem oporu ani jego działań. W żadnym wypadku, w wyniku wszystkich naszych kontaktów, Boris nie potrafiłby dorzucić do mojego dossier w gestapo czegokolwiek nowego, czego już tam nie było.

Dla mnie pułkownik był człowiekiem odważnym, choć wyrachowanym, wiernym swoim politycznym przekonaniom, dla których gotów był ponieść pewną i to bardzo nieprzyjemną ciężką śmierć, w przypadku gdyby młodego Anglika złapano podczas wykonywania wspólnie podjętego przedsięwzięcia. Konsekwencji wpadki staraliśmy się w rozmowach nie poruszać. Że ja poszedłbym pierwszy na tortury, a mój partner wkrótce by do mnie dołączył, nie wymagało komentarzy.

Zasadniczym elementem dla pomyślnego przeprowadzenia planów była nieposzlakowana opinia Borisa jako wroga bolszewizmu. Zapewniało mu to prawie ślełą współpracę skandynawskiego wydziału niemieckiego wywiadu.

Jednej lekcji można nauczyć się z całego tego oszukaństwa. Tajność sekretów może stać się tak absolutna, że tworzy się cała sieć nieprzenikalnego kamuflażu wokół działalności wywrotowej, czyniąc ją niedostępną nawet dla własnego kontrwywiadu, który nie jest w stanie spenetrować zaakceptowanego kokonu tajności.

Boris, w naszym przypadku, zarzucił nazistowskiemu wywiadowi zasłony na oczy, uniemożliwiając mu dostrzeżenie tego, co przedsięwzięliśmy. Moje przeświadczenie o tym wzmocniło się, kiedy sam zagrałem w tę ruletkę, i mogę o niej deliberować, zachowawszy całą skórę.

W styczniu Boris poinformował, że jego partnerzy w wywiadzie nazistowskim zaakceptowali wszystkie warunki, o jakie występował, by załatwić mój przerzut do Szwecji. Podróż z Warszawy do Oslo, stolicy okupowanej Norwegii, miała się odbyć w eskorcie oficera będącego kurierem skandynawskiej sekcji wywiadu niemieckiego jako podróż ściśle wojskowa. Z Oslo przerzucił Botkina do Szwecji pod opieką lokalnej komórki wywiadu nazistowskiego. Dla wszystkich misja Botkina była ściśle tajna, wiedzieli o niej tylko Boris i generał w kwaterze głównej Hitlera, z którym całą sprawę zaaranżowano. Nazwisko Botkin dawało gwarancję, że jeśli zajdzie potrzeba niemieckiego wsparcia lub pomocy, czy to w Reichu, czy poza jego granicami, sprawa dostanie natychmiast sankcje z samej kwatery Führera. Zdecydowano, że podróż przez Europę odbędzie jako wojskowy, musiałem więc zostać oficjalnie wciągnięty do niemieckich sił zbrojnych, odpowiednią rangę i funkcję miano mi wkrótce przydzielić. W związku z tym niezbędny był mundur niemiecki i z tej okazji, w przeddzień kolejnej podróży Borisa do Prus Wschodnich, dość niezwykle zdarzenie miało miejsce w mieszkaniu na Belwederskiej.

Wydział krawiecki w kwaterze Hitlera miał przygotować odpowiedni mundur i aby go dopasować, potrzebne były szczegóły dotyczące mojej życiowej statystyki. Boris, w pełnej pułkownikowskiej mundurowej gali, zaczął mnie obmierzzać wedle formularza, a cyfry podawał adiutantowi, który je notował. Wszystko odbywało się z należytą powagą prawie do ostatniego momentu. Akurat Boris klęczał przede mną z okropnie błyszczącą głacą. Spojrzałem w dół na tę błyszczącą glacę i z całej mocy, desperacko próbowałem powstrzymać się od śmiechu, co tylko spowodowało, że trzęsłem się całym ciałem. Zauważył Boris tę trzęsionkę, spojrzał na mnie z dołu i odgadł przyczynę mojej radochy. Adiutant, zbyt niskiej rangi, by marzyć o dzieleniu z nami tej wesołości, patrzył zbaraniały, jak jego pułkownik podnosi się z kolan i pada na kanapę obok młodego cywila, obaj pękając ze śmiechu.

Czasy były ciężkie, ale ani białogwardzista, ani Anglik nie byli na tyle upodleni, żeby nie stać ich było na poczucie humoru.

Na czas wizyt u Borisa Staś Lorenz niezawodnie oferował nocleg, co skracало moje nocne eskapady i czyniło je bezpieczniejszymi. Pękał z ciekawości, co się dzieje, i gdybym mógł, opowiedziałbym mu wszystko. Jego zmysł dziennikarski kusił go nieznośnie, ale wiedział, że bez skutku.

Pewnego późnego wieczoru wróciłem z mieszkania pułkownika, trzymając pod pachą dużą paczkę, jaką Boris przywiózł z Prus Wschodnich. Staś patrzył ze zdumieniem na to, co było w paczce, a zbaraniał zupełnie po kilku minutach. Po pokoju paradował dumnie elegancko i nienagannie umundurowany sonderführer niemieckich służb specjalnych, Felix Botkin, ostatni żyjący przedstawiciel szlacheckiego rodu estońskiego. Poinformowałem Stasia, że pokaz stanowi część przedsięwzięcia, o którym dowie się więcej wkrótce. Mój polski przyjaciel zadowolili się tym, a ponieważ był tak pomocny i odważny, z przyjemnością myślałem o zadaniu, w którym zapewne weźmie on udział.

Teraz, kiedy opuszczenie Warszawy było już pewne, należało załatwić mnóstwo spraw, przede wszystkim związanych z odpowiedzialnością wobec Marysi i w stosunku do ruchu oporu. Trzeba było brać pod uwagę możliwość zniknięcia z powierzchni tej ziemi bez śladu w drodze do Szwecji, i kto jak kto, ale Marysia powinna mieć pojęcie, gdzie się z tym światem pożegnałem. Z Borisem miałem się spotkać już tylko raz, musiałem pozałatwiać wiele spraw na mieście. Najważniejsze to zatrzeć wszelkie ślady, po których gestapowskie psy gończe mogłyby dojść do mojej rodziny czy znajomych nawet na długo po pożegnaniu się z tą dżunglą. Dostarczając mundur i dokumenty sonderführera, Boris przekazał także plan działania na najbliższą przyszłość. Szef niemieckiego wywiadu na Skandynawię, z którym Boris załatwiał sprawę, poczynił niezbędne przygotowania, by przyjąć estońskiego rekruta na swoim terytorium. Oficer przybędzie do Warszawy i zgłosi się do Borisa, a ten mu przekaze nowego agenta, ot, uprzejmość jednego wydziału szpiegowskiego świadczona innemu wydziałowi. Nie ustalono dokładnej daty opuszczenia Warszawy. Żeby czegoś nie przegapić, miałem codziennie dzwonić do mieszkania Borisa, by zasięgnąć wiadomości co do wycieczki z przewodnikiem do Norwegii. Boris postanowił pozostać w Warszawie aż do mojego ruszenia do Oslo, co świadczyło, że ta faza oszukiwania wywiadu niemieckiego ma się ku końcowi.

Pozostawiwszy kompletny mundur sonderführera u Stasia, wróciłem na Elektorálną mając mnóstwo do zrobienia i bardzo mało czasu. Do afery z Borisem miałem stałą pracę w ruchu oporu, wspinałą żonę, dobre mieszkanie dla rodziny i nawet służącą. Mój dochód gwarantowany był przez rząd. Poza tym, że byłem poszukiwany przez gestapo za co najmniej dziesięć gardłowych przestępstw, i poza koniecznością używania oczu nawet z tyłu głowy, można powiedzieć, że życie miałem usłane różami. Nie musiałem sobie przypominać, że rodzę się każdego dnia w tym krótkim czasie, jaki mi w Polsce

pozostał, i że wkroczyłem na drogę bez odwrotu. W tym okresie gorączkowej aktywności na mieście nosiłem przy sobie niemieckie dokumenty wojskowe wystawione na sonderführera Botkina, rejestrowanego członka nazistowskich służb specjalnych. Było w tym nieco ironii losu, że teraz, na sam koniec mojego pobytu w Warszawie, dysponowałem najpewniejszymi dokumentami w porównaniu do tych, jakich używałem przez lata ucieczki przed wpadką. Nieznajomość estońskiego nie była żadną sprawą. Jak dotąd nie spotkałem nikogo z tą umiejętnością. Poza ewentualnym rozpoznaniem mnie po cechach zewnętrznych przez jakiegoś agenta czy gestapowca specjalnie poszukującego Jeffery'ego, była mała szansa, że mnie złapią w tym ostatnim momencie gorączkowych przygotowań.

Przez jakiś czas nie było potrzeby mówienia Marysi, że szykuje się radykalna zmiana. Zajęta głównie matczyną troską i opieką nad naszą córeczką patrzyła na mnie smutnie i pytająco, jak siedziałem milczący i niekomunikatywny. Stwierdziwszy, że spostrzegam jej spojrzenia, odpowiadała takim promiennym uśmiechem pełnym uczucia, że odczuwałem ból i niepokój trudny do zrozumienia dla kogoś, komu nie dane było przeżywać tak śmiertelnej udręki. Wiedziała, że przez najbliższe miesiące czeka ją wiele trudności, i to podnosiło tylko moje wyobrażenie o ofiarności i dzielności mojej młodej żony. Cechy te, wedle mojego doświadczenia, są bardziej pospolite wśród Polaków niż wśród przedstawicieli innych narodowości.

Żal Marysi spowodowany bliską rozłąką łagodziła ulga na myśl, że może śmierć - kostucha przestanie być moją nieodłączną towarzyszką. Ani słowa nie powiedziała o swoich kłopotach w czasie mojej nieobecności, i choć pochłaniała mnie sprawa zadania ciosu Niemcom, nie mogłem pozostać obojętny wobec takiego poświęcenia. Wszystkie reakcje Marysi, zarówno w sensie duchowym jak i fizycznym, świadczyły, że była ona przygotowana na każdy kryzys od momentu, kiedyśmy się po raz pierwszy spotkali.

Pamiętając, jak gestapo zjawiało się znikąd, poszukując mnie u Floriana i Zosi, nie miałem pewności, czy któreś nocy nie zaczną walić w drzwi do mieszkania na Elektoralnej. Takie nieszczęście wydawało się mało prawdopodobne, i moja decyzja opuszczenia naszego pierwszego mieszkania była pewnie nieuzasadniona.

I jeszcze raz Lorenzowie, którzy w dalszym ciągu prowadzili kontrolowaną przez Niemców fabrykę, przyszlizli nam z pomocą. Utrzymywałem bliską przyjaźń z Jankiem, najstarszym synem, którego wiele ubrań jeszcze nosiłem, i choć ze względu na wiele zajęć związanych z ruchem oporu nasze drogi nieco się rozeszły, spotykaliśmy się od czasu do czasu i nasza przyjaźń trwała. Janek Lorenz ożenił się w 1943 roku i zaczął brać większy udział w prowadzeniu rodzinnej fabryki, wyniósł się z domu rodziców na Żoliborzu do obszernego mieszkania przy zakładach na Grzybowskiej, gdzie od czasu do czasu go odwiedzałem. Oprócz mieszkania zajmowanego przez Janka był tam jeszcze jeden wolny lokal na wyższym piętrze. Natychmiast Janek i jego ojciec Gustaw zgodzili się na naszą prośbę, byśmy tam zamieszkali. Było to dowodem ich wielkoduszości i odwagi.

Mieszkanie przyfabryczne było częściowo umeblowane i poza rzeczami osobistymi nie mieliśmy wiele do przenoszenia z Elektoralnej, by zamieszkać pod nowym, bezpieczniejszym adresem. Do budynku fabrycznego było boczne wejście, a kilka pięter wyżej znajdowała się niepokazna i niewinna tabliczka „Warsztat” na drzwiach, za którymi znajdowało się nasze mieszkanie. Autorytatywnie, być może autorytetu nabyłem wraz z nowym wojskowym stanowiskiem niemieckim, powiedziałem Marysi, że się przenosimy. Szybciutko spakowała wszystko, rozumiejąc, że sprawa jest pilna. Nasza mała Żydóweczka może wziąć nasze mieszkanie na Elektoralnej. Janinie powiedzieliśmy, że

mieszkanie nie jest zagrożone wedle naszych wiadomości, a nasze przenosiny wiążą się ze zmianą mojej pracy, co było dosyć sensownie przekłamaną interpretacją sytuacji.

Ulubione i typowe powiedzenie mojego świętej pamięci drogiego ojca przychodzi mi często na myśl. „Mów prawdę i zawstydz diabła”. W szkole prawdomówność była wysoko ceniona jako właściwość prawdziwego mężczyzny, ale w wywiadzie nie zawsze się sprawdzała.

Rankiem w dniu przenosin byłem już w fabryce Lorenzów na Grzybowskiej. Pożyczyłem wózek ręczny, przypominający Covent Garden, i jak polski odpowiednik londyńskiego barrow boy (kramarza) ruszyłem w stronę Elektoralnej pustym pojazdem dudniącym niemiłosiernie na kocich łbach. Ubrałem się na tę okazję w mój garnitur z pumpkami, na głowę czapka z nausznikami, rezygnując z wojskowego stylu sonderführera na rzecz beztróskiego, młodzieńczego przedsiębiorcy. Znoszenie różnych pudeł i pakunków nie uszło uwagi naszej sąsiadki, która pojawiła się na korytarzu chętna do pomocy, ale także zaniepokojona, co się dzieje u sąsiadów. Trzeba było uciec się znów do kłamstewka i uspokoić ją że wynosimy się tylko czasowo na wieś, a rzeczy przenosimy do czarnorynkowej ciężarówki, która nas przewiezie dalej. Pani „Zielone Światło” stała wiernie przy wózku, pilnując rzeczy, a ja biegałem po schodach, znosząc tyle gratów, że ledwie było spod nich widać wózek. Należało wszystko dokładnie poprzywiązywać, a że nie miałem praktyki w takich sprawach, dwukółka wyglądała, jakby miały się jej załamać koła pod ciężarem ładunku.

Marysia z Punią pozostała w mieszkaniu, a ja, naprężając wszystkie mięśnie, ruszyłem w drogę. Z tej trzęsącej podróży z całym moim ziemskim dobytkiem po kocich łbach z Elektoralnej do fabryki Lorenza śmiać się można dopiero po latach. Jakakolwiek myśl o uruchomieniu biznesu przewozowego opuściła mnie na zawsze po tym doświadczeniu styczniowego warszawskiego ranka 1944 roku.

W drodze do fabryki jakiś patrol policyjny mógł się zainteresować i sprawdzić zawartość tak przeładowanego wózka. Paru spacerujących mundurowych patrzyło z zainteresowaniem i zapewne chłopięcy wygląd i niewinne pumpki uchroniły mnie przed rewizją. Gdyby tak się mną zainteresowali, zatrzymali mnie i chcieli przejrzeć papiery i ładunek wózka, byłbym w nie lada kłopotcie nie tylko ze względu na trudność w rozpakowaniu tylu gratów na przepełnionej tłumem ulicy. Głupio byłoby tłumaczyć, po co sonderführer, nawet wypełniając zadania specjalne, wlecze się po ulicach Warszawy wózkiem pełnym pieluszek i innych dzieciennych fatalaszków.

Po męczącym rozładowywaniu i wielokrotnym wspinaniu się na nasze piętro zostawiłem wózek na podwórku fabrycznym i wróciłem dorożką na Elektoralną. Było już dobrze po południu. Pani „Zielone Światło”, wraz z małżonkiem, pożegnali nas wódką z przekąskami.

Pojawiła się skądś nasza uciekinierka Żydówka, przejęła klucze, zegnaliśmy się z obustronnym żalem. Było to nasze ostatnie z nią pożegnanie.

Nigdy już nie spotkaliśmy się ani z sąsiadami, ani z naszą lokatorką. Państwo „Zielone Światło” być może nie przeżyli, ale przyszła wiadomość od Janiny, jak już wspomniałem, która cudem pojawiła się w Izraelu. Kiedy skończę tę książkę, będę miał zaszczyt spotkać się z tą dzielną i utalentowaną dziewczyną. Biorąc pod uwagę czas, jaki minął, trzeba mówić o niej jako o kobiecie i damie. Była i jedną i drugą bez wątpienia.

Trójka Jefferych przybyła do fabryki dorożką i Marysia wyraziła zadowolenie z nowego lokum, ale nasze pierwsze mieszkanie smutno jej było opuszczać. Janek Lorenz wraz z żoną odwiedzili nas na powitanie. Nie wymieniam nazwiska żony Janka, choć go nie zapomniałem. To była jeszcze jedna Marysia. Przez pierwszy dzień moja Marysia zajęta była urządzeniem mieszkania. Skarb w każdym

calu, a swoje talenty dała już poznać, urządzając mieszkanie na Elektoralnej, teraz widać było jej entuzjazm, by żyć i przeżyć. Piękna i pełna wdzięku, nie bała się żadnej roboty i po mistrzowsku potrafiła wykonywać wiele zawodów. Studiowała w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych malarstwo i rysunek na poziomie zawodowym. Doskonały fotograf, potrafiła rozebrać kamerę na kawałki, zreperować i złożyć bez kłopotu. Naprawiała zegary i zegarki, nie były jej obce roboty jubilerskie, a urządzenia elektryczne nie miały dla niej tajemnic. Doskonale gotowała, z najprostszych środków potrafiła robić kulinarne arcydzieła. Droga do serca mężczyzny, wiadomo, wiedzie przez żołądek, ale nawet bez tych innych cech, które wymieniłem, samo jej gotowanie opanowałyby każdym mężczyzną który by miał okazję skosztować jej specjałów.

Mimo nagłego porzucenia naszego pierwszego mieszkania, świadomość, że zamieniliśmy je na jedno z najbezpieczniejszych schronień w Warszawie, łagodziła nieco żal z powodu wyprowadzenia się z Elektoralnej, gdzie tak szczęśliwie rozpoczęło się nasze małżeńskie życie. Nikt w Warszawie, przyjaciel czy wróg, oprócz naszego odważnego gospodarza i jego żony, nie miał pojęcia o naszym nowym miejscu zamieszkania.

W dzień po naszej przeprowadzce odwiedziłem starego przyjaciela, jeszcze jednego Janka. Nie będę tu znów bajdurzył o polskich imionach, powiem tylko, że imię Janek dla chłopców jest tak samo popularne jak Marysia dla dziewcząt. Mógłbym wymyślić dla niego inne imię, ale że już o nim wspomniałem poprzednio, pozostajmy przy Janku. To był ten Janek, z którym obserwowaliśmy wymordowanie żydowskiego oddziału karnego przez SS w 1942 roku, kiedy zajmowałem pokój w domu, gdzie mieszkała Zosia. Wymknąwszy się o włos z różnych pieepalek z gestapowcami, pracował w dalszym ciągu na pełnym etacie dla Podziemia w Wydziale Technicznym. Jego specjalnością były fałszywe dokumenty i natychmiast zabrał się za przygotowanie papierów dla Marysi i Puni. Moja żona i dziecko będą oficjalnie wpisane na listę mieszkańców budynku przyfabrycznego. Pod panieńskim nazwiskiem Marysia zostanie zarejestrowana jako pracownica fabryki i z tymi nowymi dokumentami będzie bezpieczna, jak tylko mogą być bezpieczni wszyscy inni Polacy mający za panów tysiące szwabskich krwiopijców.

W świetle nowych dokumentów Marysia jest niezamężną matką. Pozycja mojej córeczki spadła więc bardzo na drabinie społecznej owych czasów, ale posiadanie nieznanego ojca było lepsze, niż posiadanie za ojca kogoś, kto jest na liście gestapo.

Janek był wciągnięty we wszystkie sprawy Podziemia wymagające usług technicznych i mało akcji nie wymagało fachowego przygotowania ze strony jego grupy. Polegając na wzajemnym szacunku i zaufaniu, zdecydowałem, że mogę mu się zwierzyć z pewnych spraw związanych z moją przeszłością teraźniejszością i przyszłością. Bez niepotrzebnych szczegółów powiedziałem Jankowi, że moja podróż do domu została zaaranżowana bez zgody mojego wydziału wywiadowczego. Nie potrzebowalem go przekonywać, że moje działanie jest zgodne z obowiązkami brytyjskiego żołnierza, który złożył przysięgę wierności ruchowi oporu.

Powspominaliśmy przyjemnie o kilku udanych akcjach przeprowadzonych dotąd i bez ogródek Janek niezbyt pozytywnie wyrażał się o kompetencji i działalności obecnego kierownictwa sekcji wywiadu po jego reorganizacji w wyniku aresztowania Karola. Te uwagi i niektóre inne, które zasłyszałem w 1944 roku, nabrały potem ważności w mojej karierze, z czego nie zdawałem sobie wówczas w pełni sprawy. Powiedziałem wiele szczegółów o moich zamierzeniach, nie wymieniając jednak nazwiska, w ten sposób Janek był osobą najlepiej poinformowaną w sprawach dotyczących Borisa. Moja wiara w tego wspaniałego i patriotycznego Polaka, zaledwie o rok czy dwa starszego ode mnie, okazała się w pełni uzasadniona. Janek uznał, w przeciwieństwie do Stefańskiego, że moje kontakty z wysokiej

rangi niemieckim przeciwnikiem bolszewizmu to wyłącznie moja sprawa. Wykazywał tyle zrozumienia, że aż niesmacznie było oszukiwać, że trasa mojej podróży do kraju wiedzie przez Szwajcarię.

Napisałem list do Stefańskiego, powiadamiając go o swojej tymczasowej rezygnacji z Podziemia i że zgłoszę się, jak tylko to będzie możliwe. Raport, napisany bardzo formalnie, wręczyłem Marysi z poleceniem, by przekazała go za pośrednictwem Norda, ale nie wcześniej niż po dwóch tygodniach od mojego wyjazdu z Warszawy. Upieranie się przy tym terminie doręczenia trudno teraz wyjaśnić. Dochodziły jakieś niepokojące sygnały z Podziemia wskazujące na bliżej nieokreślone niebezpieczeństwo. Intuicyjnie czułem jakieś niebezpieczeństwo od samego początku afery z Borisem. Może przesadzałem, ale szósty zmysł szczerzego zwierzęcia węszył jakieś niesnaski, jakąś dysharmonie w tym wszystkim.

Odwiedziłem Tommiego, który znowu zamieszkał wraz ze Stenią i Janką na Saskiej Kępie. Powitanie przez obie dziewczyny i mojego starego kompana było jak zwykle gorące. Entuzjastycznie witał mnie też Szkot, kudłaty terier inżyniera. Sam inżynier ciągle w służbie Podziemia przebywał gdzieś poza Warszawą. Wedle Steni i Janki nowa kariera nadała inżynierowi prawdziwy sens życia, a także drastycznie zmniejszyła jego wagę. Rozumiałem dobrze zmniejszenie wagi inżyniera, bo życie ciągle w nerwach, jakie prowadzi agent Podziemia, ma takie właśnie skutki, ale jeśli chodzi o sposób na osiągnięcie tego celu, polecałbym znacznie mniej radykalne i bardziej pokojowe sposoby.

W stosunku do Tommiego, jednego z najlepszych przyjaciół, jakich miałem zaszczyt spotkać, zrobiłem pewien wyjątek od zasad obowiązujących w konspiracji, rozmawiając mgliście o mojej podróży do Anglii. „To nie jest moja prawdziwa trasa, Tom - powiedziałem - ale rzecz jest upozorowana, że jadę przez Szwajcarię”. Gdybym powiedział jeszcze wyraźniej, byłoby to złamaniem wszelkich reguł. Stenia i Janka czuły, że podróż jest ostatecznie zadecydowana, a moje pytanie o adres domowy rodziców Tommiego w Glasgow upewniło je tylko, że kończy się pewna era w naszym życiu.

Telefonowałem regularnie do Borisa, dowiadując się, iż przybycie mojej eskorty zostało potwierdzone i ma nastąpić w ciągu tygodnia, a termin otrzymania ostatecznych instrukcji i spotkania wysłannika został zsynchronizowany. Przekazałem wiadomość do Eny i Ojczulka. Po prostu nie miałem czasu, by odwiedzić ich w Klembowie, co miało i tę dobrą stronę, że nie mogło mi się stać nic złego w czasie jazdy pociągiem w taki mróz.

Przechodnie, liczni jak zawsze, krzatali się i spieszyli na chodnikach ze zwiększoną jakby liczbą policyjnych dwójek wśród nich, tak samo ruchliwe były ulice pełne tramwajów, dorożek i pojazdów wojskowych.

Chociaż dysponowałem pierwszej klasy dokumentami, w obliczu zasadniczej zmiany w moim życiu byłem jeszcze bardziej uczulony na wszelkie nazistowskie zagrożenie. Gestapo przecież nie zapomniało swojego ulubionego brytyjskiego uciekiniera. Ale mimo wszystko podczas ostatniej gorączkowej bieżączki po Warszawie, widząc może po raz ostatni te zrujnowane i walką okaleczone budynki okryte miękkim płaszczem zimy, czułem smutek. Stare domy, które nie leżały w gruzach lub nie groziły runięciem, stały niewzruszenie, pulsujące ludzką aktywnością. Kiedy patrzyłem na nie, a one na mnie, zęgały mnie jak wielkoduszni gospodarze, mnie, wdzięcznego gościa, który je opuszcza, zanim gra została skończona. Wobec mojej sytuacji osobistej i postawy jako patrioty miałem bardzo mieszane uczucia co do wyjazdu. W oczach przechodniów widać było gniew, który pewnego dnia wybuchnie i ogarnie miasto ogniem, kiedy zacznie się otwarta walka o wolność i

zapadnie postanowienie wypędzenia okupanta. Godzina zemsty była bliska i smutno robiło mi się na myśl, że nie będzie mnie tu w decydującym momencie.

O wczesnym zmroku, po uprzednim sprawdzeniu Nowego Świata, wślizgnąłem się tylnymi schodami do teściów, by się pożegnać. Zastałem wszystkich w domu, była też Krystyna z narzeczonym Zbyszkim. Przyjęto wiadomość o moim wyjeździe z Polski na kilka miesięcy ze smutkiem, ale filozoficznie. Przekazałem też wiadomość Florianom, którzy ciągle mieszkali nieniekajeni piętro wyżej, i byłbym może zaryzykował odwiedzić ich osobiście, gdybym wiedział, że nigdy ich nie zobaczę. Wyglądało na to, że nic nie zagraża Kaziom na Nowym Świecie, gestapo ich nie odwiedziło, nie wykryto ich, choć był to jeden z najbardziej podatnych na niebezpieczeństwo adresów.

To spostrzeżenie było tym bardziej miłe, że Marysia i Punia będą mogły ich odwiedzać od czasu do czasu. Odizolowane i bezpieczne w fabryce, bez możliwości kontaktowania się z rodziną byłyby jeszcze bardziej skazane na przygnębiające osamotnienie. Z zapewnieniami całej rodziny, że zawsze i wszędzie udzielą pomocy, nastąpiło wzruszające pożegnanie i z lżejszym sercem udałem się na ciemny i zimny Nowy Świat, by złapać dorożkę i zdążyć do domu przed godziną policyjną.

Telefon do Borisa potwierdził dokładny czas przybycia mojej eskorty. Za cztery dni, jeżeli wszystko dobrze pójdzie, oficer, któremu powierzono moje bezpieczne przybycie do Norwegii, a potem do Szwecji, spotka się ze mną w mieszkaniu Borisa. Po kolacji ruszymy na początek samochodem, by pokonać pierwszy odcinek naszej podróży. Chociaż wiele ostatnich wieczorów przychodziło mi na myśl, były one już zbyt pospolite, by się nimi przejmować.

Oczekiwanie na dzień zero bez niczego do roboty byłoby przykre, gdy-bym sam nie podjął się jeszcze jednego zadania. Odwiedziłem Stasia Lorenza i uzgodniłem z nim, że w dniu odjazdu przyjdę do niego na lunch i przebiorę się w niemiecki mundur, by stamtąd mieć krótką drogę na spotkanie z Borisem i eskortą. Po pożegnaniu się z zawsze pomocnym Stasiem odwiedziłem jeszcze Janka i jego żonę Basię, by się pożegnać, omówić możliwą pomoc dla Marysi i podziękować Jankowi za wszelkie wsparcie, jakiego doznałem od niego od mojego przybycia do Warszawy. To nowe zadanie, o którym wspominałem, wiązało się z niepokojącymi wiadomościami, jakie małżonkowie otrzymywali o zachowaniu się sił sowieckich wkraczających na terytorium Polski. Pewien stary przyjaciel, pułkownik w ruchu oporu dowodzący jednostką partyzancką stacjonującą od dawna w ostępach wschodniej Polski, odwiedził ich, przynosząc istic minorowe wieści.

Nękanie niemieckich linii zaopatrzenia i komunikacji z frontem wschodnim było ciągłą i krwawą robotą ale w miarę jak wojska rosyjskie oswobadzały terytorium sowieckie od Szwabów i przemieszczały się na zachód do wschodniej Polski, zaistniała zupełnie inna sytuacja dla partyzantów w ich własnym kraju. Aby pomagać Rosjanom w zwalczaniu wspólnego wroga, nawiązano łączność i kiedy Rosjanie nacierali ze wschodu, Polacy z zachodu przypuszczali skoordynowane ataki na tyły niemieckie. Takie akcje pociągały za sobą wiele ofiar w ludziach, ale były skuteczne. Po zakończeniu takich udanych akcji Rosjanie zwykle zmieniali swój stosunek do polskich partyzantów. Ten polski pułkownik wrócił do Warszawy, by złożyć raport o zachowaniu się armii rosyjskiej, jak tylko udział Polaków w walce zbrojnej przestawał być potrzebny. Polski pułkownik bardzo obrazowo opisał Jankowi i Basi, jak jego własna jednostka zdobyła niemieckie pozycje niespodziewanym atakiem od tyłu, zapewniając Rosjanom atakującym frontalnie łatwe zwycięstwo. Akcja zakończyła się oczyszczaniem terenu od wroga wspólnymi siłami polskimi i rosyjskimi.

Gdy walka ustała, całą jednostkę otoczyły rosyjskie pojazdy opancerzone z lufami skierowanymi na obłożonych. Polacy nie mieli wyboru, musieli usłuchać rozkazu złożenia broni, bo opór z ich mizerną bronią osobistą przeciwko tak przeważającej sile byłby samobójstwem. Polscy oficerowie i

podoficerowie zostali oddzieleni od swoich ludzi i załadowani na samochody. Polskim żołnierzom niższych stopni dano na miejscu do wyboru, albo wraz z wojskami rosyjskimi kontynuować marsz na zachód przez Polskę, albo dołączyć do dowódców i pojechać na wschód w nieznane. Rozdarci między nadziejami i obawami, w większości wybrali walkę przeciwko Szwabom razem z Rosjanami. Oficerom i podoficerom nie dano takiego wyboru, a pułkownik uciekł, żeby przekazać o tym wiadomość. Janek zdając sobie sprawę ze znaczenia brytyjskiego wystąpienia z informacją o zdarzeniach na polskiej scenie, domagał się, bym osobiście spotkał się z partyzanckim dowódcą i z pierwszej ręki zasięgnął wiadomości. Z jednym tylko dniem wolnym przed wyjazdem i słysząc, że pułkownik ukrywa się na Saskiej Kępie, więc niedaleko od mieszkania Tommiego, Steni i Janki, przygotowałem się błyskawicznie. Dziewczęta, zapytane telefonicznie, natychmiast zgodziły się na zorganizowanie spotkania u nich następnego dnia w południe. Janek natomiast zapewnić miał obecność partyzanta.

Od czasu masakry w lesie katyńskim, gdzie zamordowano piętnaście tysięcy polskich przywódców i postępujący w głąb Rosji Niemcy odkryli około jednej trzeciej ciał pomordowanych, dzieliłem z większością Polaków przekonanie, że ta straszna zbrodnia jest najlepszym dowodem intencji Sowietów w stosunku do Polski i Polaków. Mimo że wcale nie życzyłem sobie, ze względu na mój sentyment, słyszeć jeszcze więcej o cierpieniach Polaków zadawanych przez wschodniego sąsiada, było jednak moim obowiązkiem skorzystać z tej okazji i z pierwszej ręki zapoznać się z oceną i wysłuchać ostatnich wieści o stosunkach sowiecko-polskich w relacji walczącego pułkownika partyzanckiego.

Następnego dnia, mając jeszcze dużo czasu, pojechałem zapełnionym tramwajem w tylnym wagonie dla Polaków na Saską Kępę przez most Poniatowskiego. Z papierami nazistowskiego sonderführera, w butach z cholewami pasujących do roli, pojawiłem się dobrze przed południem po drugiej stronie Wisły i udałem się do mieszkania Steni i Janki na Berezyńskiej. Ulica biegła pod kątem prostym do drogi głównej i z jeszcze dosyć dużej odległości zobaczyłem szereg niemieckich ciężarówek i wielu niemieckich żołnierzy pomiędzy mną a uliczką do której zmierzałem. Normalnie wybrałbym okrężną drogę lub się wycofał, ale pewny siebie z powodu dokumentów i świadom ważności spotkania niełatwo dałbym się sprowadzić z drogi. A oprócz tego co mógł sobie pomyśleć polski pułkownik partyzancki o Brytyjczyku, który nie pojawi się na spotkaniu z powodu kilku nędznych Niemców?

Na wszelki wypadek jednak przeszedłem na drugą stronę ulicy, by wyminąć kolumnę samochodową niezaczepianą przez dziesiątki Niemców obserwujących coś, co działo się poza ogródkami w miejscu dla mnie niewidocznym. Nie od razu skręciłem w Berezyńską ale widziałem, że nie było śladu Niemców, ani zresztą nikogo. Niemcy zainteresowani byli czymś, co działo się w ogródkach po przeciwnej stronie. Ani dom dziewczyn, ani Berezyńską nie były przedmiotem ich zainteresowania.

Przekroczyłem główną ulicę, cofnąłem się i już po chwili cicho pukałem do drzwi frontowych. Drzwi się otworzyły. To była Janka. „Paweł - wysapała - co, u diabła, ty tu robisz?”. Nieprzywykły to takiego nie damskiego powitania przez ulubioną dziewczynę, zacząłem coś niepewnie wyjaśniać, że ja w sprawie spotkania, jakie tu zorganizowano, kiedy rozległa się seria z pistoletu maszynowego, jakby strzelano w mieszkaniu, co ucięło natychmiast rozmowę. Janka złapała mnie i wciągnęła do środka. Strzelanina rozpoczęła się znów, tym razem z większej liczby broni. Hałas był ogłuszający. Oboje padliśmy na podłogę, gdzie już leżało wiele osób, same kobiety, między nimi Stenia. Odgłosy strzelaniny wpadały przez okno dużego pokoju i nie mogłem się powstrzymać, żeby nie zerknąć, co się dzieje. Drzwi balkonowe, które wychodziły na tylny ogród, były zamknięte. Przez koronkowe firanki widać było trzech żołnierzy niemieckich strzelających ponad płotem w kierunku dwupiętrowego domu odległego o jakieś pięćdziesiąt metrów. Inne ogrody stanowiły podobną osłonę

dla większej liczby Szwabów z pistoletami maszynowymi walącymi przed siebie. Z oblężonego domu słyszał było strzały broniących się, co natychmiast uśmierzyło moją ciekawość, a ponieważ pociski zaczęły latać wszędzie, szybko wycofałem się do korytarza tylnego mieszkania, i jak wszyscy, przykleiłem się do dywanu. Tommie, rozsądnie, nie był w domu. Trąciłem łokciem Stenię. Popatrzyła na mnie z przestrachem. „Czy ten pułkownik się pojawił?”, spytałem. Nie zareagowała na tak nonsensowne pytanie. Jej spojrzenie i prychnięcie wystarczyło za odpowiedź. Poczułem się jak osioł. Walka na zewnątrz się zakończyła. Przestano strzelać i hałas broni zastąpiły gardłowe głosy niemieckich komend. Nie było wątpliwości, że była to walka z ruchem oporu, i nie było też żadnej wątpliwości, kto wygrał, z naszymi albo zabitymi, albo pojmanymi. Po zwycięstwie, mając pod ręką tyle wojska, Szwaby mogły wpaść na pomysł dokładnego przeszukania każdego mieszkania w sąsiedztwie i nikt nie byłby pewny, że nie zostanie odprowadzony na przesłuchanie lub co gorszego.

Wróg był zbyt blisko i choć papiery sonderführera chroniły mnie dosyć dobrze przed nieprzyjemnościami, jakiś niemiecki policjant służbista mógł niezdrowo zainteresować się Stenią i Janką z powodu mojej obecności. W sekundzie, bez pożegnania się, byłem z powrotem na wciąż pustej Berezyńskiej i skierowałem się do drogi głównej. Ciężarówki stały zaparkowane, a na ulicy kręciło się pełno grup policji i żołnierzy z tym charakterystycznym wyglądem watahy psów gończych rozradowanych rozdartym akurat w strzepy lisem. Skierowałem się w stronę przepełnionego chodnika i przedzierałem się przez tłum żołdactwa, jedyny cywil wśród nich.

Niemiecki sierżant spojrzał na mnie agresywnie. Was machen Sie hier?, warknął. Pokazałem swoje papiery i ten podoficer popatrzył na mnie w zdumieniu. Stał twarzą w twarz z tajnym agentem, jasne że jednym z tajniaków, dzięki którym przeprowadzono tę zwycięską akcję przeciwko ruchowi podziemnemu. Sierżant zaszutował, na co odpowiedziałem nonszalancko Heil Hitler, chociaż zdarzenia ostatniej godziny nie nastrajały mnie nonszalancko. Nie było już czasu na spotkanie z pułkownikiem, ale ja przynajmniej stawiałem się na spotkanie.

Niewiele rozmawialiśmy tego ostatniego wieczoru w domu. Milczenie mówiło znacznie więcej niż cicha rozmowa. Wpadłem na chwilę do Janka i jego Marysi, by im powiedzieć o mojej zamierzonej nieobecności przez parę miesięcy, znów upewniłem się, że jeszcze jedna typowa para Polaków oferuje wszelkiego rodzaju pomoc Marysi i dziecku, jeśli zajdzie taka potrzeba.

ŻEGNAJ, WARSZAWO

W mroźny i posepny ranek, w butach z cholewami, ubrany w płaszcz trzy czwarte, w wiernym tyrolskim kapeluszu wciśniętym na głowę, gotowy byłem do drogi. W dużej, eleganckiej walizce miałem ubranie cywilne, buty i lekki płaszcz, skarpetki, chusteczki i inne niezbędne drobiazgi potrzebne do właściwego prezentowania się w Szwecji. Wszystko wyprane, wyczyszczone, wyprasowane i starannie ułożone przez Marysię. Długie, czułe i serdeczne pożegnanie, niekończące się błagania, żeby na siebie uważać, przedłużają męczarnie nieodwołalnej rozłąki. Emocje i głębia uczuć tego ranka wzmocnione zostały niejako krótkością naszego pożegnania. Bez słowa ucałowałem z szacunkiem żonę i dziecko. „Niech nam Bóg pozwoli spotkać się znów, Paweł - powiedziała Marysia - ale niezależnie, co się wydarzy, dziękujemy Bogu, że pozwolił nam zaznać tyle radości przez ten krótki czas”. Odwróciłem się i ze ściśniętym gardłem popędziłem po schodach na ulicę Warszawy, szybkim krokiem przemierzyłem jakiś kilometr i przekonawszy się, że nie jestem śledzony, złapałem dorożkę do centrum. Łzy zamarały mi na policzkach. Nie musiałem się spieszyć. Miałem jeszcze dużo czasu do umówionego spotkania ze Stasiem Lorenzem na lunch.

Na Jasnej, w suterenie starego domu, do której schodziło się po kamiennych schodkach, młode polskie małżeństwo, oboje członkowie ruchu podziemnego, ale nie w moim oddziale, prowadzili małe

przedsiębiorstwo handlowe. Ich sklepik był tylko fasadą dla kwitnącego przedsiębiorstwa czarnego rynku, od którego zależała egzystencja Generalnej Guberni, który stwarzał wiele problemów nazistowskiej administracji, a którego nie udało się wytepić. Powitano mnie serdecznie. Z przyjemnością wzięli moją walizkę na przechowanie, co było celem mojej wizyty.

Spytano mnie o zdrowie mojego przyjaciela kanarka, co przypomniało mi wydarzenie z 1943 roku, dzięki któremu się z nimi zaprzyjaźniłem. Przed poślubieniem Marysi spotkałem się u Kaziów z osobą której kłopoty zainteresowały mnie szczerze jako miłośnika ptaków. Otóż ta pani miała kanarka, a kłopot polegał na tym, że zostało dla niego ziaren na kilka zaledwie dni, a potem jeszcze jedna śmierć z głodu obciąży Hitlera. Tych dwoje przyjaciół, u których zostawiałem teraz walizkę, poinformowano o żywieniowych kłopotach kanarka i z podziemnego domu towarowego zdobyli cały wór nasion specjalnie dla kanarków. Oboje urosli w moich oczach, jak też owa właścicielka kanarka, dzięki ich ornitologicznym sympatiom. Pani owa nabrała przekonania, że Brytyjczycy to najznakomitszy naród na świecie - rzecz oczywista, z tym tylko, że po namyśle dochodzę do wniosku, iż Polacy prawie wcale nam nie ustępują.

Pozbywszy się walizki, która zwracała niepotrzebnie uwagę, spacerowałem swobodnie wzdłuż Jasnej dla dokonania ostatnich zakupów przed podróżą. Chodziło mi o dwa artykuły kosmetyczne i tytoń do fajki. Komuś artykuły te mogą się wydać mało ważne, ale w 1944 roku w Warszawie można było takie luksusy zdobyć tylko po znajomości. Pierwszy artykuł to krem Nivea w płaskim metalowym pudełku, ciemnoniebieskim, z białym napisem. Surowy klimat Warszawy z jej upałami i mrozami niszczył mi skórę twarzy, szczególnie po goleniu. Z angielską karnacją trudno było mi to znosić, nie miałem też ochoty wędrować po Europie w tym przykrym sezonie bez tego środka. Stwierdzenie po wojnie, że krem Nivea dostępny jest w Europie, a nawet w Nowej Zelandii, przyniosło mi prawdziwą ulgę. Ciągłe go używam. Przepraszam za tę spontaniczną reklamę.

Drugim zakupem było kilka paczuszek niemieckich żyletek, bardzo trudnych do dostania. Z zarostem jak drut kolczasty przywykłem polegać na żyletkach Gerlach, by jakoś wyglądać po ludzku. Nie słyszałem nigdy o nich po opuszczeniu Polski, a to, co o nich teraz piszę, może być uznane za niepotrzebną reklamę. Mogę oczekiwać przesłania darmowych próbek handlowych z krajów komunistycznych z instrukcją jak poderżnąć sobie nimi gardło. Gatunek tytoniu pozostanie bez nazwy. Fajkę paliłem od moich wczesnych dni pracy na morzu. Palenie fajki jest bardziej popularne w Anglii niż gdziekolwiek indziej, także na kontynencie. Mimo że palenie fajki groziło mi dekonspiracją jako Brytyjczyka, pykałem przez całą wojnę aż do nieprzyzwoitości. Uważałem, kierując się zresztą bardziej upodobaniami, niż rozsądkiem, że nawykowi palenia nie można nic zarzucić. Palenie fajki było wielką pomocą szczególnie w czasie jazdy pociągiem. Zapowiadająca się jakakolwiek kontrola, choćby nawet konduktora sprawdzającego bilety, zastawała mnie zawsze na procederze zapalania fajki. Powstaje jakaś atmosfera spokoju w momencie prostego potarcia zapalniczki i pilnowania rytuału zapalenia się zielska w zagłębieniu cybucha. Czasem jednak spokój nie przychodził. W takich sytuacjach fajka działała kojąco. Otrzymałem parę paczek najlepszego niemieckiego tytoniu bez nazwy. Reklamujący zapewne wierzył w jakość reklamowanego produktu, ale według mnie jego jedyną zaletą było to, że miał tak drańskie pochodzenie. Niemiecki tytoń był nieco, ale to doprawdy bardzo niewiele, lepszy niż nic i fakt ten na pewno, obok niezliczonych innych, przyczynił się do tego, że Niemcy zasłużyli na przegranej wojnę.

Opowiadanie o tych kilku drobnych zakupach wygląda na dosyć frywolną dygresję w relacji o tym doniosłym dniu. Ale tak właśnie było. Zmusiłem się do skoncentrowania się na sprawach drobnych, by oddalić myśli o gorzkim rozstaniu z Marysią i małą Punią a także by stłamsić w sobie tysiące obaw przed podróżą która miała rozpocząć się tego wieczoru.

Coś innego jednak kazało mi skoncentrować się na poważnych sprawach. Wracając z zakupów, skręciłem w Jasną po walizkę. Jakies dwadzieścia metrów przede mną dwaj niemieccy policjanci kontrolowali papiery cywila, pospolity to widok w całym mieście. Bez specjalnego poczucia zagrożenia szedłem dalej, sprawdzając na wszelki wypadek, czy mam papiery w kieszeni. Były. Akurat kiedy policjanci oddawali dokumenty nieznanemu mi cywilowi, jeden z nich spojrzał na mnie, kiedy byłem dwa-trzy metry od niego. Normalnie policjanci po dokonaniu jednej kontroli przechadzali się trochę, zanim zaczepiali innego nieszczęśnika. Tym razem jednak coś skłoniło Szwaba, może była to moja bezpośrednia bliskość, a może intuicja, do skontrolowania mnie.

„Halt! - powiedział dość uprzejmie. - Papiery”.

Byłem prawie niezawodnie kryty moimi autentycznymi dokumentami niemieckich służb specjalnych, kiedy jednak wyciągałem portfel, trudno mi się było oprzeć myśli, że może przydarzyć się jakieś nieszczęście. Jeden policjant bacznie mnie obserwował, podczas gdy drugi przeglądał paszport sondeführera i inne dokumenty. Początkowo nie docenił ważności tego, co przeglądał. Kiedy się zorientował, z kim ma do czynienia, z szacunkiem złożył wszystko z powrotem i mi zwrócił. Nie mógł zaskutować, bo miał karabin na ramieniu, stuknął tylko podkówkami, a kolega poszedł w jego ślady.

„Przepraszam pana bardzo, dziękuję”.

„Nie ma za co, Heil Hitler”, mruknąłem, zamykając incydent lekkim podniesieniem ręki znad nadgarstka, co było bardzo niedbałym nazistowskim podziękowaniem. Szedłem dalej Jasną po moją walizkę. Po raz drugi moje dokumenty sprowokowały niemieckie pozdrowienie. Czego więcej można było oczekiwać?

Poprzednio już prosiłem o wyrozumiałość za niedokładności w rękopisie spowodowane przyczynami, o których sam decydowałem. Muszę wspomnieć, czemu tyle drobiazgów, które normalnie szybko się zapomina, akurat zostało zapamiętanych i opisanych. Po wojnie, kiedy zarabiałem na chleb codzienny jako handlowiec, dostąpiłem zaszczytu posiadania sekretarki. Mogłem więc wracać do dni wojny i dyktować zapiski o różnych zdarzeniach, które przypominałem sobie z odległych czasów. Mogłem pisać o drobnych, choć moim zdaniem niezupełnie nieistotnych sprawach, omijając jednak, przynajmniej pewne ważniejsze wydarzenia. Wiele z tego niewątpliwie wypadło z pamięci kompletnie. Podróży, jaką miałem akurat zacząć, poświęcam tu wiele miejsca i będzie tak do samego końca książki.

Mijając centrum Warszawy, być może po raz ostatni, odniosłem wrażenie, że wygląd zewnętrzny miasta nie zmienił się od czasu, kiedyśmy z Tommiem tak dawno temu tu przybyli. Cywile, mundurowi, tramwaje, dorożki, riksze i pojazdy wojskowe, wszystko to poruszało się na tle tych samych starych i ponurych domów przedzielanych kupami gruzu, ceglanego pyłu i poprzewracanymi murami, szkieletami z roku 1939, jakby wołały do nieba. Temperatura spadła dobrze poniżej zera i lekki lodowaty śnieg pokrywał rany wojny, kiedy wchodziłem przez bramę, by dotrzeć do drzwi frontowych domu, w którym mieszkał mój przyjaciel. Nic nie wskazywało, że jestem śledzony, nic też nie wskazywało na to, że operacja nie będzie przebiegała gładko. Osiągnąłem miejsce przedostatnie przed wylotem, zaczęło się wsteczne odliczanie.

Staś przygotował obfity lunch, wiele z jadła i napojów ściągnął, przypuszczam, Niemcom, którzy ciągle królowali na gorze. Odprężyliśmy się nieco po kilku wódkach i winie, rozsiedliśmy się wygodnie w fotelach i paliliśmy cygara, pochodzące pewnie z tego samego miejsca co i wiktuały. Wtajemniczyłem go częściowo w sprawę. Udaję się do domu poprzez Szwajcarię, gdzie będę szukał możliwości dalszych kontaktów. Tak jak trafnie przypuszczałem, mój przyjaciel współpracował z mediami ruchu oporu i wyszła sprawa pomocy w tym zakresie. Jak i kiedy ewentualnie dotrę do

Zjednoczonego Królestwa, nadam wiadomość lub całą serię informacji z każdej dostępnej radiostacji. Jeszcze kiedy pracowałem w „Echu”, zdobyłem dokładną wiedzę o zakresie monitorowania radiowego, jakie ma miejsce w Warszawie. Nie miałem wątpliwości, że nawet jeśli tylko jeden przekaz będzie możliwy, ktoś z ruchu oporu pochwyci go i poda dalej. Prosiłem Stasia, by w tydzień po tym wydarzeniu powiadomił wszystkie możliwe stacje i podziemne redakcje o informacji, jaką przypuszczałem, będę mógł przekazać z Londynu. Ucieszył się słysząc ten tekst, i przejął się tym, że wymieniałem jego imię, wciągając go niejako do mojej prywatnej konspiracji.

„Niech Staś powie Marysi, że Paweł jest u siebie”.

Stasio obiecał, że będzie starannie nasłuchiwał tych słów w audycjach z Anglii i przekaże je do podziemnej prasy. Staś miał, poza tym, kontakty z innymi członkami rodziny Lorenzów, między innymi z gospodarzami Marysi, przy czym nie wiedział, że moja żona u nich właśnie mieszka. Inżynier z Saskiej Kępy także był osiągalny poprzez fabrykę Lorenza, co z kolei zapewniało kontakt z Tommiem, Stenią i Janką i tak dalej. Była więc niewielka szansa, że Marysia nie otrzyma dobrej wiadomości o moim szczęśliwym dotarciu do Wielkiej Brytanii, zakładając, że dotrę tam w jednym kawałku.

Uchyliwszy nieco zasłony okrywającej jego powiązania z prasą podziemną, Staś skomentował tragedię, jaka rozegrała się wczoraj na Saskiej Kępie. Gestapo wykryło jedną z wielu tajnych drukarni ruchu oporu. Niemiecka policja i wojsko otoczyły budynek. Małżeństwo pracujące w drukarni znalazło się w pułapce, nie mając żadnej nadziei na uniknięcie schwytania i tortur. Zniszczyli najpierw maszyny i urządzenia oraz wszystkie materiały, z których wróg mógłby mieć jakikolwiek pożytek, a potem bohatera para pojawiła się na balkonie pierwszego piętra domu, w którego piwnicy mieścił się zakład drukarski, i otworzyła otwarty ogień do Niemców z lekkiego karabinu maszynowego. Niemiecka odpowiedź była druzgocąca, fala pocisków pocięła tych dwoje Polaków na strzępy. Tak zmarło jeszcze dwoje warszawiaków. Nie wspominałem o niezbyt przyjemnej okoliczności bycia świadkiem tego wydarzenia. Nie było racji, by o tym mówić, zgodnie ze wszelkimi tradycjami obowiązującymi w konspiracji. Poświęcenie tych dwojga Polaków w tak małej odległości od miejsca mojego pobytu w tym czasie pomogło mi umieścić moje drobne wysiłki we właściwej, skromnej perspektywie.

Przysnąłem chyba ze zmęczenia. Ocknąłem się, by pozbierać mocno rozbiegane myśli. Był czas przygotować się i przebrać w niemiecki mundur. Nie pozostało zbyt wiele miejsca w walizce, wcisnąłem jednak na siłę mój tyrolski kapelusz, choć pomiął się niemiłosiernie. Prezent Haliny, niebieski wełniany sweter, mój fetysz, który bronił mnie przez ponad dwa lata, stawał się coraz trudniejszy do noszenia. Powyciągał się i w niektórych miejscach puściły oczka, tak że poszarpane frędzelki wisiały mi wokół dolnej części ciała, i niezbyt elegancki, dziwny zapaszek przesycił moją bieliznę. Był naprawdę w marnym stanie, ale jak długo trzymał się kupy, zdecydowany byłem się z nim nie rozstawać. Przeszliśmy razem długą drogę, a na tym etapie mojej kariery pomoc z jakiegokolwiek źródła była mile widziana.

Sonderführer Felix Botkin przestał być cywilem. Elegancki mundur, wysoka czapka z daszkiem, srebrem obszywane epolety, to wszystko zdało egzamin po sprawdzeniu przez pełnego uznania Stasia. Założyłem jeszcze ostatnią część ekwipunku - pas z Gott mit Uns, a na nim kaburę z moją naładowaną FN-ką. Ucisnąłem dłoń mojego przyjaciela. Ucałowaliśmy się z dubeltówki, zaskliły się nam oczy, złapałem walizkę i pochłonęła mnie ciemna teraz jak smoła, przykra noc.

WIĘCEJ KONSPIRACJI

Pod domem, gdzie mieszkał Boris, stała duża czarna limuzyna. Kiedy przechodziłem obok, wchodząc do budynku, widziałem na parterze umundurowanego szofera z papierosem, rozmawiającego z jakimś cywilem. Domyślając się, kto to może być, szybko wspiałem się na właściwe piętro. Wpuszczono mnie do eleganckiego holu, odebrano ode mnie płaszcz i za chwilę pojawił się promieniejący Boris, uścisnęliśmy sobie serdecznie dłonie, po czym wprowadził mnie do salonu. Bardzo dobrze prezentujący się oficer powstał na moje przywitanie. Ukłoniliśmy się, stuknęliśmy obcasami i podaliśmy sobie dłonie, jak tego wymagały niemieckie obyczaje wojskowe. Porucznik Gerhard Dahlmann był o jakieś pięć czy sześć lat starszy ode mnie, mojego wzrostu, o blond włosach. Był bardzo sympatyczny, o miłym uśmiechu, i jakiś ujmujący w obejściu. Poczułem ulgę od pierwszego momentu. Nieważne, jakie były zalety jego umysłu, robił wrażenie bardzo uprzejmego człowieka obdarzonego poczuciem humoru. Nie widać było w jego zachowaniu jakiegokolwiek niepokoju w czasie tego pierwszego spotkania. Jego praca polegała na eskortowaniu ludzi wedle instrukcji. Oprócz chęci jak najlepszego wywiązywania się ze swoich obowiązków i wyciągania przy tym możliwie największej przyjemności, nie miał żadnych zainteresowań militarnych związanych ze swoją funkcją.

Potwierdził, że samochód pod domem jest do naszej dyspozycji, i zdenerwował się wyraźnie, kiedy mu, wyrażając nieznaczne zaniepokojenie, powiedziałem, że kierowca rozmawia na dole z cywilem, który w tej części świata raczej nie jest po naszej stronie. Przeprosił nas i pospieszył na dół. Przez otwarte drzwi frontowe słyszeliśmy, jak szofera porządnie łaje.

Pani pułkownikowa przysiadła z nami na krótko na rozpoczęcie kolacji i odpowiadając na toast męża „za sukces!”, nie umiała ukryć niepokoju w spojrzeniu. Zrozumiałe. Boris teraz tak zależał od mojego właściwego, bezbłędnego postępowania, jak ja zależałem od niego. Po odejściu od stołu pani domu piliśmy bardziej swobodnie. Boris grał swoją rolę dobrze i fachowo przelewał swój prestiż czerpany z kwatery głównej Hitlera na rzecz mojej misji, co robiło duże wrażenie na jowialnym poruczniku Dahlmannie. Ku mojej satysfakcji porucznik odznaczał się raczej słabą głową sądząc po skutkach tej niewielkiej ilości alkoholu, jaką wypiliśmy. Nie chcąc przeciągać struny tego pierwszego wieczoru, by nie wywołać kaca, co mogłoby w przyszłości spowodować u Dahlmanna jakieś wyrzuty sumienia i nieprzychylnie reakcje, zasugerowałem przyhamowanie w piciu, choć i tak porucznik był już mile zalany.

Zapytałem Borisa dyskretnie, czy był w stanie zrobić coś dla Cooka, tego starszego Anglika, któremu jesteśmy winni wdzięczność za jego udział w tej operacji. Omawialiśmy tę sprawę już przedtem, myśląc o udzieleniu mu pomocy, zanim jego styl życia w Warszawie i wszystkie trudności ciężące nad Polską nie zaczęły stanowić dlań niebezpieczeństwa. Boris, również wdzięczny Cookowi, zapewnił mnie, że w każdym razie poczuje się lepiej, jak ta stara gaduła zniknie z kraju. Cook otrzymał już pieniądze i poczyniono odpowiednie przygotowania wraz z węgierskim attache wojskowym w Warszawie do urządzenia go w bardziej uległym i bezpieczniejszym mieście, jakim jest Budapeszt.

Kiedy powstaliśmy od stołu, pułkownik i jego żona wyszli z nami przed drzwi, by się pożegnać. Ucałowałem rękę pułkownikowej, zapewniając pod nosem po polsku, że wszystko będzie w porządku. Bardziej do Dahlmanna niż do mnie Boris mówił po niemiecku, podkreślając znaczenie, jakie przypisuje się mojej misji w kwaterze głównej. Jeszcze więcej potrząsania rąk, pocałunek z dubeltowy z Borisem, mój pierwszy z niemieckim oficerem, ale nie ostatni, mogę dodać.

Dahlmann siadł przy kierowcy na przednim siedzeniu, ja zająłem wygodne miejsce w tyle. Samochód ruszył w noc. Zdałem się zupełnie na nich. Dahlmann zachowywał się uprzejmie i przyjaźnie i czuliśmy się ze sobą bardzo swobodnie. W samochodzie nie było ogrzewania i zaczęło łąpać zimno, kiedy Dahlmann rozwiązał sytuację, podając mi kilka niemieckich koców wojskowych, co okazało się

dobrodziejstwem. Samochód mknął przez ciemne, wyludnione centrum Warszawy, prawie nie słyszało się silnika poprzez odgłosy ciężkich opon łamiących zlodowaciały świeży śnieg. Było stosunkowo jasno, na niebie wysoko nieco chmur, choć księżyc nie był widoczny, wszystko pojawiało się jakimś widmowym światłem odbijanym od bieli śniegu. Drżące ruiny i budynki pozostały za nami niewzruszone. Nie mogę tego powiedzieć o sobie. Miałem bardzo mieszane uczucia wobec kalejdoskopu emocji, jakie mną targały. Mimo tych wewnętrznych niepokojów zdawałem sobie sprawę, że już nie ma wyboru, trzeba siedzieć pod tymi kocami i niech się dzieje wola nieba. Samochód kierował się na północ, nabrał szybkości, mijał coraz bardziej rzednące przedmieścia, pędząc wśród równinnych pól pokrytych śniegiem.

Dahlmann poszperał pod przednim siedzeniem i kiedy się wyprostował, obrócił się do mnie i podał mi jakiś duży przedmiot, luźno owinięty w koc. „Trzymaj to lepiej pod ręką było parę przypadków z partyzantami na tej drodze”. Rozwinąłem z koca po ciemku pistolet maszynowy. Czułem, że to był bergmann, i natychmiast, ze złości prawie, pieściłem go palcami i sprawdzałem pełen jego magazynek, bezpiecznik i łożysko. Sytuacja była jednak skomplikowana. Jeżeli polscy partyzanci zaatakują samochód, nie będzie czasu na rozmówki, by im wyjaśnić, po czyjej jestem stronie. Nawet gdybym załatwił tych dwóch na przednim siedzeniu, nie mógłbym się spodziewać, że Polacy rozeznają się w sytuacji na tyle, by mnie zaoszczędzić. Jedyne, co można było robić, to liczyć, że taki atak nie nastąpi.

Minęliśmy ostatnie przedmieścia Warszawy, kiedy kilkaset metrów przed nami zapalił się reflektor i zostaliśmy skąpani silnym strumieniem światła. Zbliżyliśmy się do reflektora i zatrzymaliśmy. Samochód stał w oślepiającym świetle z kierowcą i pasażerami doskonale widocznymi z zewnątrz. Przez jakieś pół minuty pozostawaliśmy bez ruchu, nie widząc tych, którzy dokładnie obserwowali nowych przybyszów. Z ciemności pojawili się żołnierze w hełmach z pistoletami maszynowymi gotowymi do strzału. Podoficer pokazał się w okienku po stronie kierowcy. Dahlmann wyciągnął paszport. Niemiecki starszy sierżant przeczytał dokument, popatrzył na kierowcę i na mnie w tylnym siedzeniu i oczyma przeleciał po moim bergmannie na kolanach. „Dziękuję, panie poruczniku, możecie jechać dalej. Wszystkiego dobrego”. Jechaliśmy dalej, ale było bardzo zimno, mimo koców. Nieco później Dahlmann kazał się zatrzymać, na chwilę. Wyszedłem, by odlać się na skraju szosy razem z moimi niemieckimi kompanami. Mnie nie szło tak łatwo jak dwóm pozostałym. Takie były niebezpieczne czasy dla nas, Niemców, że czułem się pewniej, używając jednej tylko ręki. Bergmanna trzymałem w drugiej. Wiele godzin później przekraczaliśmy granicę z Prus Wschodnich po bardzo powierzchownej kontroli papierów.

Pamiętam bez specjalnych wrażeń małe miasteczko Soldau (Działdowo) z jego staromodnymi budynkami i domami. Zatrzymaliśmy się w hotelu, by się odświeżyć. O piątej trzydzieści rano byliśmy na stacji, by złapać pociąg na północny zachód do Marienburga (Malborka) odległego o jakieś cztery godziny jazdy. Kierowca z samochodem pozostał w Działdowie, a w zachowaniu się Dahlmanna, kiedy zostaliśmy we dwójkę, zaszła pewna zmiana. W wygodnym przedziale w pociągu do Malborka drzemaliśmy, mój kompan solidnie, ja czujnie. Takie spędzanie czasu podczas podróży we właściwym kierunku bardzo mi odpowiadało. Chociaż stosunki z łatwym w obejściu Dahlmannem były dość przyjemne, każdy rodzaj konwersacji między nami trzymał mnie w bezustannym napięciu, musiałem się mieć na baczności. Moja eskorta wydawała się nieszkodliwym facetem i chętnym do gadania, w tej sytuacji jednak milczenie było przeze mnie milej widziane.

Większość konwersacji, jak dotąd, była z natury rzeczy jednostronna. Nie musiałem zachęcać porucznika do opowiadania głównie o sobie, o tym, co lubi, a czego nie. Sprzedawca szampana przed wojną przejął nieco cech trunku, który reprezentował w cywilu, co stwarzało w sumie dosyć zajmującą przyjazną osobowość. Przydzielony w początku 1943 roku do kwatery głównej Führera

jako szef eskorty był zadowolony i służbowo objechał całe Niemcy i okupowaną Francję. Mężczyźni i kobiety, których spotykał, wzmagali jego zainteresowanie światem wywiadu i zaczął przejawiać chęć większego zaangażowania się w taki rodzaj roboty. Było wczesne przedpołudnie, kiedy przybyliśmy do Malborka. W przerwach między drzemkami wdzięczny byłem gwiazdom, że mi takiego miłego i łatwego w obejściu kompana podróży przydzielili.

Coś ze dwie godziny czekaliśmy na połączenie do Berlina. W restauracji dworcowej Dahlmann dał dalsze dowody swoich umiejętności i czaru osobistego, zdobywając butelkę sznapsa dla ozdoby stołu obficie zastawionego dobrze przyprawioną kielbasą i chlebem. Kelnerka, którą poraził swoją osobowością nie zdobyłaby świata ani swoją twarzą ani figurą niemniej rozkwitała pod wpływem pięknych słówek i uśmiechów czarującego porucznika. Poklepał ją przyjacielsko po tyłku, kiedy opychaliśmy się jadłem i napojami tak chętnie podanymi. Wobec zainteresowań Dahlmanna skierowanymi na wino, kobiety i śpiew, a takiemu spędzaniu czasu sam nieraz się oddawałem, nasza zgodność była zapewniona. Zachęcanie go do folgowania sobie słabostkom zapewniało podróż przyjemną i bez kłopotów, przynajmniej do Oslo.

Pociąg do Berlina nie był zbyt przepełniony. Pasażerowie, dosyć wyrównana mieszanina cywilów i mundurowych wszelkich barw, nie zwracali na siebie wzajem uwagi. Wielu mężczyzn w mundurach, w przeciwieństwie do tego, co widziałem podczas moich poprzednich podróży po Reichu, to byli ludzie podstarzali, często zbliżający się do sześćdziesiątki. Niektórzy z tych starych żołnierzy, noszący medale z pierwszej wojny światowej, byli zdezorientowani i zagubieni w źle dopasowanych, bezbarwnych uniformach, a ich bezkształtne furażerki nadawałyby się do opery komicznej. Młodszy członkowie niemieckich sił zbrojnych stracili wiele ze swojej bez troski, silne poczucie jasności celu, które inspirowało ich poprzednio, znikło. Cywile siedzący w pociągu lub stojący smętnie na peronach mieli otwarte oczy, ale nimi nie patrzyli. Cenny zmysł wzroku przytępiony został wewnętrzną desperacją i rezygnacją.

Ta melancholia i ponurość radowała moje serce. W porównaniu z nimi ludzie w Polsce, którzy tak cierpieli, byli ożywieni i pełni nadziei - nie bez racji, jeśli moje obserwacje z początku 1944 roku były poprawne. Na większości peronów siostry Niemieckiego Czerwonego Krzyża rozdawały zupe, chleb i obowiązkową kielbasę każdemu w mundurze, kto tylko się pokazał i chciał z tego skorzystać. Pewna ponurość cywilów mogła być też spowodowana faktem, że im to dobrodziejstwo nie przysługiwało. Napychałem się zupą i kielbasami, kiedy tylko nadarzała się okazja. Nazistowskie jedło zawsze było moim pierwszym celem przy wilczym apetycie, traktowałem to jako niszczenie przeciwnika, choć skutek był i tak mizerny. Ciągłe się rozwijałem, nie miałem jeszcze dwudziestu siedmiu lat, psychicznie czułem się młodo, byłem świetnie przygotowany do walki z wrogiem na froncie pożywienia.

Było już późne popołudnie, pociąg ciągle turkotał, a mieliśmy przed sobą jeszcze kawał drogi. Pogawędki z Dahlmannem nie dało się uniknąć. Powracał do swoich zainteresowań sprawami świata szpiegowskiego i tajnych agentów i poczuł się nieco dotknięty, kiedy przystopowałem go, gdy zaczął zbyt wnikliwie mnie wypytywać o niezbyt wygodne dla mnie tematy. Tę konwersację obróciłem na swoją korzyść, wyrażając się z uznaniem o jego 'umiejętnościach postępowania z ludźmi i sugerując, że talent, który on niewątpliwie posiadał, szkoda zmarnować. Porucznikowi bardzo to pochwaliło. I tak nasz kontakt zaczął mieć posmak stosunku mistrza do przyszłego ucznia. Dahlmann pochłaniał z zapałem całą masę bzdur o tym, jakie cechy powinien mieć dobry agent. Jego uwaga była tak intensywna, że przypominał ambitnego młodzieniaszka starającego się przypodobać trenerowi, aby wejść do przodującej drużyny. Ukoronowaniem całej sprawy przypieczętowującym nasz kontakt była

moja wzmianka, że jeśli cała ta ważna operacja skończy się pomyślnie, nie omieszkam wspomnieć o nim pozytywnie pułkownikowi Borisowi.

Dahlmann zapytał mimochodem, czy bardzo mi się spieszy, żeby dostać się do Norwegii. Okazało się, że ma w niemieckiej stolicy dyskretne sercowe sprawy, którym by chętnie poświęcił nieco czasu. Zgodziłem się ochoczo na zatrzymanie się na kilka nocy w Berlinie, pod warunkiem że załatwi mi odpowiedni hotel na czas, kiedy on będzie załatwiał swoje miłosne sprawy. Nie miałem specjalnej ochoty na tracenie czasu, wydawało mi się jednak, że taki gest umocni moje serdeczne partnerstwo z porucznikiem. Pomyślałem także, że pobyt w stolicy jako gość nazistów z możliwością bez specjalnego ryzyka, wtykania nosa w sprawy, do których mało kto z Brytyjczyków ma dostęp, to rzecz sama w sobie bardzo intrygująca. Po przybyciu do Berlina Dahlmann, popędzany swoimi planami na noc, złapał taksówkę i błyskawicznie ulokował mnie wygodnie w hotelu National, zaraz obok Kurfürstendamm w centrum miasta. Przyobiecał wpaść do mnie o dziesiątej następnego dnia i znikł z niewiarygodnym pośpiechem. Po spokojnie spędzonej nocy, w czasie której spałem jak niewinne dziecko, wstałem rano i ogolony, wykapany, udałem się na parter na śniadanie. Jadalnia była pełna gości siedzących przy licznych małych stolikach. Wielu z gości, po epoletach to poznawałem, było wysokiej rangi wojskowymi. Główny kelner zaprowadził mnie do stolika, przy którym siedział starszawy generał Wehrmachtu wraz z dobrze ubraną i atrakcyjną kobietą, mniej więcej o połowę młodszą od niego. Nie bardzo wiedząc, jak się w takiej sytuacji zachować, zajmując miejsce, stuknąłem lekko obcasami i ukloniłem się z szacunkiem pani, a potem generałowi. W sytuacji, do której nie byłem przygotowany, i uważając, żeby nie zwrócić na siebie zbytnej uwagi, zacząłem skubać jedzenie, by rzecz sama potoczyła się dalej.

Owa pani, która po bliższym przypatrzeniu się okazała się bardziej atrakcyjna, niż wydawało mi się w pierwszej chwili, zapytała, czy jestem z Berlina i zadała szereg innych zdawkowych pytań. Przez jakieś dziesięć minut starałem się nie zrobić i nie powiedzieć niczego, co mogłoby zdenerwować dość gniewnie spoglądającego starego generała, który się nie odzywał, tylko patrzył groźnie na młodego intruza. Daleki byłem od paniki, poczułem jednak ulgę, wstając i żegnając odchodzącą od stołu parę. Kobieta spojrzała mi głęboko w oczy, jakby chciała przekazać jakąś skrytą wiadomość, i choć wręcz urzekła mnie jej uroda, dobrze było ich oglądać z tyłu. Postanowiłem więcej nie korzystać z hotelowej restauracji i po śniadaniu, mając wiele czasu do przyjścia Dahlmanna, udałem się na spacer.

Widać było wiele zniszczeń spowodowanych bombami, ale nie dość, by czuć satysfakcję. Przechodnie, bez wyjątku, zdradzali wyglądem tę samą rezygnację, którą zaobserwowałem już w czasie podróży. Był szary, zimowy ranek, padał lekki śnieg z mroźnym deszczem, co nie dodawało wdzięku ludziom i ich przygnębionemu miastu. Od tamtych czasów odrodziła się we mnie sympatia do współmieszkańców tej ziemi, ale tego odległego ranka w stolicy wroga widok nędznych Szwabów pałających się po wstrętnym mieście sprawiał mi zadowolenie.

W tak triumfującym nastroju zobaczyłem wysokiego oficera niemieckiego krocącego ulicą i udawałem, że go nie dostrzegam. W armii niemieckiej żołnierze niższej rangi, od szeregowych w górę, salutują spotykanych żołnierzy wyższej rangi. I tak kapral zwyczajowo pierwszy pozdrawia sierżanta, sierżant porucznika, porucznik kapitana i tak dalej. Nie byłem wtedy pewien, czy obowiązuje to we wszystkich sytuacjach, ale przekonany o nadchodzącym zwycięstwie aliantów, nie miałem ochoty salutować jakiegoś przeklętego Szwaba, niezależnie od jego rangi. Czekala mnie nieprzyjemna niespodzianka, kiedy ów pułkownik podszedł do mnie blisko, wyraźnie rozeźlony.

Jego gardłowy głos poraził mi bębenki uszne. „Stoicie tu, a nie oddajecie honorów wojskowych”, wrzasnął.

Żaden brytyjski oficer nie wykonał tak szybko tak wspaniałego salutu, jaki oddałem tej masywnej niemieckiej kreaturze pochylającej się nade mną.

„Najmocniej przepraszam, panie pułkowniku - wypaliłem - tysięczne przeprosiny za niezauważenie pana!”.

„Masz szczęście, że cię nie każę aresztować”, warknął w odpowiedzi i poszedł dalej z poczuciem człowieka, który udzielił dobrze zasłużonej reprimendy. Miał pełne podstawy, by tak się czuć, a przeraził mnie śmiertelnie. Nawet moje papiery wystawione przez kwaterę główną Führera nie uchroniłyby mnie przed zgubnym oskarżeniem o niestosowanie się do zasad dyscypliny wojskowej. Bardzo czuli są Niemcy na takie sprawy i od tego momentu żaden mundur, nawet w przybliżeniu wymagający oddania honorów wojskowych, nie został przeze mnie ominięty bez przykładowego zasalutowania.

Dahlmann, wyglądający teraz znacznie mniej kwitnąco, pojawił się w hotelu na czas. Pochwaliłem jego wygląd, wyrażając zazdrość, na co on uśmiechnął się z wdzięcznością. Udaliśmy się do Ministerstwa Spraw Za-granicznych na placu Poczdamskim. Duży budynek używany był tylko do trzeciego piętra, cała góra, uszkodzona bombardowaniem, nie nadawała się do użytku. Chociaż ambasady neutralne w Berlinie dostarczały prawdopodobnie dokładnych informacji Brytyjczykom co do skutków i szkód wyrządzanych przez naloty alianckie, zachowałem w pamięci to, co widziałem wraz z nazwami ulic. W ministerstwie wykręcałem się Dahlmannowi, który koniecznie chciał, bym poszedł z nim załatwiać pewne formalności związane z moją podróżą. Uzasadniałem to racjami bezpieczeństwa. Starając się mnie zadowolić, pozałatwiał wszystko sam, podkreślił jednak, że urzędnik, z którym rozmawiał, wręcz nalegał, by się ze mną spotkać.

Poruszano sprawę przydzielenia pieniędzy na rozpoczęcie operacji w Szwecji, zaakceptowano i autoryzowano moją sugestię, bym otrzymał w Oslo dwa tysiące amerykańskich dolarów w drobnych banknotach oraz kilkaset szwedzkich koron. Pieniądze, powiedział Dahlmann, są łatwe do zdobycia. Mogłem domagać się więcej, choć i tak zapewniono mnie, że ambasada nazistowska w Sztokholmie będzie mnie finansować, jeśli zajdzie potrzeba. Podczas kiedy Dahlmann był zajęty, załatwiając moje sprawy gdzieś na wyższym piętrze ministerstwa, rozległy się syreny alarmu lotniczego. Zarówno odwiedzający ministerstwo interesanci, jak i urzędnicy zostali odprowadzeni do podziemnego schronu. Przez głośniki przyszła informacja, że duża liczba amerykańskich bombowców zbliża się do Berlina z północnego zachodu. Naloty dzienne dokonywane przez Ósmą Amerykańską Flotę Powietrzną rosły w liczbie i częstotliwości i po zniszczeniu Hamburga powodowały silny niepokój. Z ulgą usłyszeliśmy przez interkom w schronie, że zagrażające formacje zmieniły kierunek lotu i zeszły z drogi powietrznej prowadzącej na Berlin. „Chytre dranie, starają się wytrącić z równowagi nasz system obronny”, skomentował jakiś starszy Szwab.

Pod koniec wojny mogłem powiedzieć, że byłem bombardowany przez Brytyjczyków, Francuzów, Rosjan i Niemców, włącznie z ich nowymi V-1 i V-2. Byłby to niezwykle rekord, jeślibym mógł dorzucić do tej listy jeszcze Amerykanów, ale chyba nie ma jednak czego żałować, że ani ich, ani Japończyków nie zaliczyłem.

Dahlmann wziął mnie do przyjemnej, małej restauracji urządzonej pod ziemią kiedyś piwnicy budynku. Była tak słabo oświetlona i podzielona na małe alkowki, że nie dało się rozpoznać, kto w niej przebywał. Z przymrużeniem oka porucznik wytłumaczył mi, że jadają tu grube ryby nazistowskie i bardzo chcą występować anonimowo niepoznani przez szerszą publiczność. Korzystają w ten sposób z czarnorynkowego zaopatrzenia, jakim to miejsce dysponuje. Restauracja ma zapewnione na bardzo wysokim szczeblu zaopatrzenie w środki podstawowe potrzebne do przygotowywania doskonałego

menu i podawania najlepszych win. Jedliśmy i pili wedle standardów przedwojennych. Dahlmann płacił. Podczas tego doskonałego posiłku Dahlmann powiedział, że ten urzędnik w ministerstwie miał specjalne racje, by życzyć sobie spotkania ze mną jako że jego departament jest szczególnie zainteresowany sprawami szwedzkimi poprzez ich własną sekcję wywiadowczą. Nie mogąc wymóc na Dahlmannie ustępstwa co do mojego osobistego spotkania się z nim dzięki autorytetowi kwatery głównej, urzędnik prosił porucznika, by wyraził mi jego uznanie za chęć pozostania incognito. Będzie jednak niezmiernie wdzięczny, jeśli byłbym łaskaw, po urządzeniu się w Szwecji, wykonać pewne zadania także dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które w żadnym razie nie będą kolidowały z podjętymi przeze mnie obowiązkami.

Po wojnie dowiedziałem się, że prawie każdy odcinek nazistowskiej działalności militarnej i wojskowej dysponował swoim wywiadem. Izolowane co do celu i organizacji, podejmowały wiele nieskoordynowanych wysiłków, które kolidowały ze sobą wręcz humorystycznie. Rywalizacja między poszczególnymi departamentami, zawiść i przepychanki panujące między podwładnymi dla uznania osobistych zasług i otrzymania nagród, być może podsycane były przez Hitlera i jego bandę, aby utrudnić formowanie jednolitej i zorganizowanej opozycji. Nie znałem wtedy nazistowskiej struktury wewnętrznej ani nie miałem doświadczenia, by zauważyć dowody braku niemieckiej jedności administracyjnej, ale miło było o tym słyszeć od porucznika.

Boris bardzo solidnie przygotował akcję i z tego, co dowiedziałem się w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, wynikało, że nie było żadnych podejrzeń co do naszych wspólnych motywów działania. Mój przejazd do Szwecji zainteresował biurokratów sekcji wywiadu Ministerstwa Spraw Zagranicznych i próba rekrutowania mnie do ich spraw była dowodem, że nie mają pojęcia, co jest grane. Możliwości szkolenia Niemcom były wielkie i skomplikowane, żałowałem, że nie mogłem im poświęcić tyle uwagi, na ile zasługiwały.

Tymczasem jednak musiałem pogodzić się z tym, żeby nie ruszać tej kopalni złota. W przeciwnym razie mógłbym pokusić się o działanie przerastające możliwości dwojga rąk. Jak dotąd wszystko szło dobrze i zanosilo się - na to, że uda nam się wprząc Niemców w służbę fladze brytyjskiej.

Po wspańiałym lunchu pojawiła się okazja wspańiałego upamiętnienia mojego pobytu w Berlinie. Dahlmann otrzymał do swojej dyspozycji samochód z kierowcą osiągnięcie niebywałe w wojennym Berlinie. Przedwojenny jego kolega, teraz wysokiej rangi gestapowiec, oddał jeden z samochodów policyjnych wraz z szoferem do wyłącznej dyspozycji porucznika. Samo w sobie było to tylko przykładem wykorzystania osobistych koneksji na wysokich stanowiskach, ale dzięki szczęśliwym okolicznościom i ja skorzystałem z tych układów.

Na resztę popołudnia Dahlmann zaplanował zakończenie jakichś półoficjalnych spraw w centrum Berlina, samochód był mu niepotrzebny i w pewnym sensie nawet przeszkadzał. Czy nie zechciałbym zwiedzić miasta, a potem się spotkamy i wzmocnimy w tej samej restauracji, gdzie jedliśmy ostatnio ten wspańiały lunch? Dahlmann udał się na przedmieście dla jeszcze jednej sprawy sercowej, a ja pozostanę w hotelu na porządną nocny spoczynek przed dalszą drogą.

Wspańiałomyślna oferta została oczywiście przyjęta.

Kierowca gestapowskiego samochodu był cywilem w średnim wieku o trudnym do opisanie wyglądzie, jedynym znakiem jego związku ze służbą wojskową była czapka z lśniącem czarnym daszkiem, spod którego widać było wydatny wąsik a la Hitler. Dahlmann przedstawił mnie imponująco szoferowi jako gościa, który ma tylko kilka godzin wolnego czasu i któremu trzeba pokazać miasto. Jakiegokolwiek podejrzenia co do prawdziwej rangi kierowcy znikły, kiedy

obserwowałem jego wręcz służalczość w stosunku do porucznika, szczególnie na wspomnienie wysoko postawionego przyjaciela - owego generała policji. Wraziłem życzenie, by się z przodu koło kierowcy i mieć możliwość rozmawiania z nim w czasie wycieczki. Kiedy ruszyliśmy, podziękowałem kierowcy za jego chęć pomocy. Po kilku tego rodzaju słownych uprzejmościach rozluźnił się i pozbył strachu przed wysokim autorytetem pośrednio reprezentowanym przez Dahlmanna. I już po chwili był przyjacielskim przewodnikiem chętnym do pomocy przyjacielskiemu gościowi.

Przejażdżka po Berlinie wykazała, że miejscami zniszczenia są znacznie większe. Obraz był umiarkowanie zadowalający i szereg notek pamięciowych o destrukcji i zniszczonych miejscach po długim czasie trudno sobie dokładnie przypomnieć. Poruszanie się powoli w pełnym świetle dziennym pozwoliło także lepiej przyjrzeć się Niemcom podczas ich normalnych zajęć. Ich wygląd potwierdzał opinię, że jeśli jeszcze nie patrzą z pełną rezygnacją na klęskę, to wola walki i wiara w zwycięstwo szybko słabną. Moje współczucie na widok co bardziej spektakularnych skutków nalotów stopniowo wyciągało od kierowcy coraz więcej nieskrępowanych komentarzy o życiu i trudnościach, jakie znoszą zwykli mieszkańcy Berlina przez te pięć lat wojny. Jego uwagi o ciągłym zagrożeniu nalotami, alarmach lotniczych, niszczeniu domów i wynikającym z tego zatłoczeniu mieszkań i strasznym zapotrzebowaniu na dach nad głową były dla mnie najpiękniejszą muzyką. Z równą przyjemnością słuchałem też na dodatek wiadomości o coraz gorszym zaopatrzeniu w pożywienie, które wiele rodzin prowadzi do głodu czy wyniszczenia.

Naprowadziłem rozmowę na temat frontu rosyjskiego, z którego rzekomo niedawno przybyłem. I tu mój kierowca z oburzeniem zalał mnie potokiem słów antybolszewickiej tyrady. Barbarzyńcy ze wschodu zniszczą Europę i jaki to nonsens, że Niemcy bronią cywilizacji przed czerwonymi hordami z Azji, podczas gdy ci idioci na zachodzie wbijają nam nóż w plecy. Goebbels zrobił dobrą robotę. Gdyby nie to rozdmuchane straszdyło sowieckiej zarazy i wszystkich straszliwych konsekwencji, jakie klęska przyniesie, Niemcy najwyraźniej przyznaliby się do przegranej. Szczególnie przerażone były, i to nie bez powodu, kobiety.

Trudno było nie przyznać racji tej propagandzie, która wcale nie podnosiła na duchu. Wracając zawsze myślami do masakry katyńskiej z 1940 roku, kiedy to piętnaście tysięcy przedstawicieli polskiej elity uwięzionych pod Moskwą wymordowano z zimną krwią.

Dahlmann znalazł mnie w tej samej restauracji, gdzie jedliśmy lunch. Znowu zajęliśmy zaciszny suto zastawiony stolik na dwie osoby. Kiedy porucznik przybył do restauracji, był już rozanielony na tyle, by mówić nie-co niewyraźnie, i jeszcze bardziej przyjacielski niż zwykle. Rozmowa nie przedstawiała żadnego niebezpieczeństwa. W połowie obiadu z trudem zdawał sobie sprawę, o czym mówi, a moje uwagi nie odnosiły skutku. Kiedy skończyliśmy napychać się i pić, Dahlmann bełkotał coś o dozgonnej przyjaźni, i muszę też przyznać, że choć panowałem nad sobą i swoim językiem,

moja porcja alkoholu też przekraczała nieco granice roztropności. Porucznik znowu upierał się, żeby płacić. Kim byłem, żeby protestować? Pieniądze i tak pochodziły prawdopodobnie z tłustych nazistowskich funduszy służbowych.

Mój gospodarz spał głęboko na tylnym siedzeniu samochodu i podwieziono nas do mojego hotelu. Chociaż jako prawdziwy przyjaciel miałem szczerą ochotę towarzyszyć mu w dalszej drodze, żeby zobaczyć co nieco, wysiadłem jednak, wdrapałem się na swoje piętro i uwaliłem się na łóżko, jak stałem, w mundurze i w butach. Nie tylko sobie zdrowo pojadłem i popiłem dwa razy w jednym dniu, te takie owakie będą mieli jeszcze dodatkową przyjemność w praniu porządnie zabrudzonej bielizny pościelowej. Wydawało mi się, że spałem nie więcej niż pięć minut, kiedy o wczesnej godzinie

brutalnie obudził mnie hałas syren alarmowych. Poczyłem parę krytycznych komentarzy pod adresem swoich krajanów z Royal Air Force, których przybycie zapowiedziane zostało tym alarmem. To byli oni, na pewno. Oni przylatywali nocą a Amerykanie za dnia.

Głośne pukanie w drzwi. „Natychmiast do schronu, proszę pana!“. Leżałem dalej na łóżku, by po kilku minutach usłyszeć głośne walenie w drzwi. „Niech pan się spieszy, nie ma wyjątków od reguły!“. Schodzę po schodach w towarzystwie mnóstwa innych gości, wojskowych, cywilów, mężczyzn i kobiet, do obszernego betonowego pomieszczenia o niskim suficie zastawionego długimi drewnianymi ławami. Miejsce było jaskrawo oświetlone gołymi żarówkami i w tak spartańskich warunkach ważne było znalezienie sobie strategicznego miejsca. Nagle zauważyłem, że gapię się na tę samą młodą kobietę, która była tamtego ranka na śniadaniu z generałem. Ona też przykleiła się do mnie wzrokiem. Już chciałem odejść, ale nie widząc generała, zmieniłem zdanie i przybliżyłem się do niej, otrzymawszy powitalny uśmiech i zaproszenie do zajęcia miejsca obok. Ukłoniłem się, a kiedy wyciągnęła rękę na powitanie, moja umiejętność całowania rąček przydała się bardzo. Delikatne muśnięcie wargami oznaczało umiejętność obchodzenia się z paniami. Jej włosy, poprzedniego ranka uczesane w coś w rodzaju teutońskiego koka, teraz były rozpuszczone w całej buduarowej krasie na długim futrze, którego rodzaju nie mogłem określić przy mojej ograniczonej znajomości takich spraw.

Zanim odpowiedziałem na zaproszenie, żeby się do niej przysiąść, wy-mamrotałem, zgodnie ze zwyczajem, swoje nazwisko, starając się jednak wypowiedzieć je na tyle niewyraźnie, żeby nie była w stanie poprawnie go zapamiętać. Po sekundzie już wiedziałem, że generał wyjechał na parę dni w sprawach wojskowych. Miałem zawsze skłonność do pobożnych życzeń, a teraz było jasne, że wzajemna więź, jaką poculiśmy od pierwszego wejrzenia, była szczera. Trzeba pamiętać, że już dziesięć lat minęło, jak opuściłem dom, udając się na morze. Wiedza o ptaszkach i motylkach jakby wyblakła. Te piękne oczy świdrowały mnie, a wyobrażenia podsuwała rozmaite projekty.' Zgoda na życzenie Dahlmanna, by przedłużyć podróż o jeden dzień i noc, dawała mi podstawę, by zaproponować jeszcze nieco opóźnienia. Te marzenia o spędzeniu dnia i nocy w towarzystwie wartej grzechu i najwyraźniej chętniej damy przerwane zostały nagle wejściem do schronu grupy jakichś dwudziestu jeńców francuskich w ubraniach wojskowych. Pamięć o obozie jenieckim szybko sprowadziła mnie z myślowych chmurek na ziemię. Na wspomnienie dni głodu, brudu i upodlenia ogarnęła mnie fala współczucia, tym bardziej że ci biedacy są w łapach nazistów od 1940 roku. Byli śmiertelnie bladzi, wychudzeni, i wszyscy wyglądali bardzo źle, jak tak przechodzili koło nas, powłócząc nogami. Wśród siedzących w schronie nie widać było ani śladu jakiegokolwiek zainteresowania tymi mizernie wyglądającymi nieszczęśnikami, wszyscy siedzieli zupełnie obojętnie. Byłem ich dłużnikiem, dzięki nim nie zrobiłem z siebie, być może, jeszcze raz osła. Moja natężona obserwacja więźniów francuskich wywołała komentarz generałowej. „Patrz - powiedziała - jak my dbamy o naszych więźniów. Kiedy się pomyśli, jak nasi chłopcy są traktowani przez Rosjan i Brytyjczyków, wszystko się we mnie gotuje, że mimo trudności, tak się z nimi cackamy". Tak szczera była ta jej opinia, że mimo zapewne tylko z pozoru wyglądała na ciepłą i serdeczną. Moje zainteresowanie nią natychmiast zgasło.

Z niezbyt dużej odległości doszedł do nas łomot silnej, przytłumionej eksplozji. Cały schron się zatrzęsł. Każdy przykuli! się nieco i parę płatków tynku opadło z sufitu, a równocześnie z podłogi uniósł się kurz. Nagle zgasły światła. Zapanowała kompletna ciemność i kiedy zastanawiałem się, co będzie dalej, przynajmniej jedna sprawa się wyjaśniła. Pewna damska ręka znalazła moją trzymała ją mocno, z pasją a może w strachu, ale na pewno oczekiwała ukojenia. Światła znów się zapaliły i zabrzmiał sygnał odwołania alarmu. Głowy się podniosły, mrugano oczyma w jaskrawym świetle. Wszyscy wstali i zanim ta diaboliczna znów zaczęła kampanię mającą mnie sprowadzić na złą drogę zarówno w sensie militarnym, jak i moralnym, ukłoniłem się, stuknąłem obcasami, ucałowałem rękę

pani generałowej i oddaliłem się. Poczułem się nieco zraniony wcale nieeleganckim, pogardliwym spojrzeniem, jakim mnie obrzuciła, równocześnie jednak byłem wdzięczny nieszczęsnym Francuzom, których obecność spowodowała, że wywinąłem się ze szponów tej bardzo kobiecej nazistki.

Następnego ranka trwająca ciągle ponura i zimna pogoda kontrastowała wyraźnie z moim słonecznym i ufnym nastrojem.

Byłem dumny z tego, że wykazałem się zdecydowaniem, uczciwością i wiernością. Jakoś zmaląła rola, jaką odegrali w tym francuscy więźniowie, przyćmiona jasnością mojej własnej aureoli. Nie mając ochoty wpaść na młodą żonkę pana generała, postanowiłem pozostać w swoim pokoju aż do przybycia porucznika i wyjazdu z Berlina. Minęła godzina czy dwie, a Dahlmann nie przybywał. Sprawdziłem dokładnie foyer, a gdy przyszła i minęła jedenasta, trudno było mi opanować niepokój. Nie znałem dokładnego czasu odjazdu pociągu. Wydawało mi się, że mieliśmy wyjechać w południe, siedzenie i irytowanie się w pokoju hotelowym stało się nieznośne. Jeżeli coś naprawdę złego się stało, mogą zwyczajnie wejść do pokoju i mają mnie w łapach. Spakowałem się i udałem się na dół, zapłaciłem rachunek i wymeldowałem się z hotelu. W pobliżu był salon fryzjerski. Pozostawiłem tam walizkę wojskową niby szukając noclegu. Z bezpiecznej odległości, nie zwracając na siebie uwagi, obserwowałem bacznie wejście hotelowe. Nadeszło południe. Zacząłem obmyślać desperackie plany, jak wydostać się z tego ambarasu, w którym być może się znalazłem. Najbliższym miejscem ucieczki była Warszawa, i jeśli po południu Dahlmann się nie pojawi, jedynym wyjściem będzie próbować wrócić do stolicy Polski, co może się okazać niełatwe, skoro naziści wpadli na mój trop.

Dochodziła pierwsza, kiedy Dahlmann, który mnie nie widział, zbliżył się do hotelu szybkim krokiem i wpadł przez drzwi wejściowe. Był sam! Wyszedł szybko i zaczął rozglądać się niespokojnie po ulicy. Nie było innego wyjścia jak tylko zaryzykować i mu się pokazać. Widziałem, jak mu ulżyło, kiedy odezwał się pierwszy. „Mój drogi Botkin, starałem się złapać cię przez cały ranek, ale te przekłete telefony w hotelu nie funkcjonują”. Nastąpiło potem długaśne opowiadanie, co mu się przydarzyło, powodując ten niewybaczalny brak punktualności. Jego przyjaciółka złamała nogę, akurat kiedy miano go odwieźć do mnie. Wypadek wymagał pójścia do szpitala, stąd to opóźnienie. Nie obchodziło mnie, czy to była prawda, czy nie. Uspokoilem się, że się pojawił, by kontynuować eskortę bez żadnych podejrzeń, a z jeszcze większym oddaniem. Wyraziłem opinię, że jedyną osobą poszkodowaną jest ta biedna ofiara ze złamaną nogą i dodałem nieco kwaśno, że porucznik miał szczęście, iż wypadek zdarzył się pod koniec wizyty, a nie na początku, co przywróciło harmonię w naszych stosunkach.

Spóźniliśmy się na pociąg. Następne połączenie mieliśmy o północy. Sprawy mogły przybrać znacznie gorszy obrót. Odebrałem swoją walizkę od fryzjera i zapewniliśmy sobie miejsce w hotelowym salonie aż do opuszczenia Berlina. Zanim porucznik i sonderführer dotarli późnym wieczorem na Dworzec Szczeciński (Stettinerbahnhof), jeśli dobrze pamiętam, nawet przypadkowy obserwator mógł zauważyć, jak sonderführer robi co może, by wesprzeć porucznika, który sobie zdrowo pofolgował. Pilnowanie, by Dahlmann pił więcej niż ja, było coraz łatwiejszym zadaniem. Kiedy nasz pociąg opuszczał zdemolowany dworzec, zabrzmiały znów syreny alarmowe. Dahlmann, też nieco zdemolowany, już spał. Alarm odwołano, a ja cieszyłem się, że jestem znów na kursie do Anglii.

Tuż przed świtem pociąg zatrzymał się na małej wiejskiej stacji Güstrow. Dało się słyszeć okrzyki nakazujące wszystkim opuścić pociąg i na peronie panował duży ruch. Nie wysiadł ani jeden cywil. Okazało się, że pociąg był wyłącznie dla służb pomocniczych. Niemiecki sierżant uprzejmie prosił o zdanie bagażu i uformowanie kolumny na krótki przemarsz do Offieziersheim (Domu Oficerskiego).

Dahlmann wrócił do siebie po berlińskim maratonie i maszerował u mego boku ze stacji drogą przez las sosnowy. Nie wiedząc, co się dzieje, zacząłem się niepokoić. Stałem się jakoś bardzo bojaźliwy. Duża stawka podnosiła napięcie nerwowe.

Wedle Dahlmanna, znajdowaliśmy się w wojskowym punkcie kontrolnym dla wszystkich sił niemieckich udających się do Norwegii. Pamiętając o inwazji brytyjskiej, Niemcy wzmacniali intensywnie garnizony w Norwegii, a ponadto wysyłano też dużo wojska do Francji. Przed imponującym ceglanyim budynkiem odebraliśmy nasze bagaże i weszliśmy do równie wystawnego wnętrza. Flagi wojskowe, nazistowskie sztandary i całe stada orłów ozdabiały wszystkie ściany dużego holu, w którym się zebraliśmy. Jako Anglik mogłem się nieco niepokoić, siedząc w centrum niemieckiej Wal-halli. Porucznik nieomylnie skierował się do bocznego pokoju, a ja za nim. Poczuliśmy napoje orzeźwiające i o ile porucznik szukał klina po ostatnich dwóch dniach, ja rozsądnie wziąłem filiżankę erzac-kawy. Ogoliliśmy się, wzięliśmy prysznic, zjedliśmy chleb z kiełbasą na śniadanie. Gdyby podawano jaja na szynce, Hitlerowi łatwiej byłoby wygrać wojnę. Te trzy czy cztery setki oficerów zajadających w holu, to były ptaki przelotne, tak jak i porucznik z sonderführerem. Po śniadaniu uformowała się kolejka przed szeregiem siedzących policjantów kolejowych, którzy sprawdzali papiery, wydawali dokumenty podróży i udzielali rad co do zakwaterowania. Była to pewna drobna przeszkoda, na której groziło potknięcie, i już się zastanawiałem, czy nie poprosić Dahlmanna, żeby to załatwił dla nas obu, kiedy on sam z tym wystąpił. Wziął moje dokumenty i ustawił się w kolejce oczekujących oficerów. Spodziewał się wrócić za jakieś dwadzieścia minut, wykorzystałem ten czas, by pochodzić sobie i popatrzeć dookoła.

Udając, że zajęty jestem kolorowymi sztandarami i emblematami ozdabiającymi wszystkie ściany, wyslizgnąłem się bocznymi drzwiami na zewnątrz. Nie widząc znaków zakazu poruszania się, spacerowałem sobie wzdłuż szerokiej drogi w lesie i stwierdziłem, że ta Walhalla była zaledwie małą częścią dużego zespołu wojskowego. Schowane między drzewami, zakamuflowane dobrze zwisającymi gałęziami i sztuczną zielenią stały długie baraki, które nie mogły być niczym innym, jak zabudowaniami wojskowymi. Zajrzałem przez okno - choć nie było widać mieszkańców, na pewno wszystkie pomieszczenia były zajęte. Całe miejsce najwyraźniej pobudowano bardzo niedawno, a że nie doznało jeszcze żadnych zniszczeń wojennych, aż się prosiło o uwagę aliantów.

Po zakończeniu formalności w dużym holu pomaszerowaliśmy wszyscy z powrotem na stację. Podniecony tym, co zauważyłem, zapamiętałem położenie miejsca na podstawie odległości między stacjami kolejowymi w kilometrach i kiedy wsiadaliśmy do pociągu, zebrałem dosyć dokładne dane, by mieć dla Dowództwa Lotnictwa Bombowego podarunek na powrót do domu.

Przekroczyliśmy granicę duńską we Flensburgu. Nie było kontroli granicznej i gdy zapadł mrok, pogaduszki między nami skończyły się, dzięki Bogu. Pociąg zmierzał na północ. Następnego ranka dotarliśmy do małego portu morskiego na północnym krańcu Danii. Dahlmann szybko załatwił formalności w urzędzie transportowym. Nasz statek wojskowy miał wypłynąć tego wieczoru, nie mieliśmy nic do roboty i czekało nas kilka niezbyt miłych godzin. Porucznik przemieszczał się z jednej knajpy do drugiej i ochoczo towarzyszyli nam w tym dwaj oficerowie z pociągu z Güstrow. Postanowiliśmy zjeść wczesną kolację przed zaokrętowaniem.

Restauracja była zatłoczona. Wielu oficerów płynących tej nocy także postanowiło najpierw posilić się na lądzie. Atmosfera była swobodna i przyjemna i bardzo szybko zrobiono nam miejsce przy przepełnionym stole.

Alkoholu nie brakowało i zaczęliśmy wznosić toasty, szczególnie jak dołączył do nas inny stół, gdzie już zakwitała radość i alkoholowe szczęście. Niedaleko siedzieli czterej oficerowie w mundurach

piechoty. Naramienniki wskazywały na ich przynależności do Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej, której Boris był szefem sztabu. Rozmawiali po rosyjsku i jeden z nich akurat patrzył w naszą stronę. Spontanicznie podniosłem kieliszek sznapsa. „Na zdrowie” - niewinne polskie życzenie zdrowia, ale nie był to mądry gest. Rosjanin podniósł się trochę niepewnie, stanął przy naszym stole i odezwał się do mnie czysto po polsku, choć z pewnym akcentem.

„Polak?”.

Staram się mówić prawdę, jeśli mogę, odpowiedziałem więc: „Nie, ale znam ten język”. Facet nie wiedział, co powiedzieć i patrzyliśmy tylko na siebie bez wyrazu, aż wrócił do swojego stołu. Był bardziej zalany, niż myślałem, i wydawało mi się, że nasza znajomość się na tym skończyła, dzięki Bogu. Rosjanin wkrótce udowodnił, że się omyliłem. Złapał ze stołu pełną butelkę wódki i wrócił z prezentem w ręku, który mi wręczył. „Na twoje zdrowie też”, powiedział, chwiejąc się lekko przy stole.

O mojej ograniczonej znajomości Rosjan i spraw rosyjskich pisałem już poprzednio. W oparciu o prawdę i fakty stanowisko moje jest wobec nich krytyczne. Rosyjskie przestępstwa jednak to nie uczynki pojedynczych Rosjan, z którymi kontaktu dotąd nie miałem. Mówiąc o polityce przywódców sowieckich, trudno nie współczuć zwykłym ludziom tego olbrzymiego narodu, zagubionym w systemie, który przestali rozumieć. Zostali oszukani, poprowadzeni w złym kierunku i okrutnie eksploatowani przez ustrój fałszywie nazywany komunizmem.

Podarowana butelka wódki została otwarta i wypiliśmy szczerze toast wzniesiony przeze mnie: „Za wolność Rosji!”. Łzy pociekły po twarzy żołnierza. Członek Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej także kochał swój kraj i płakał nad jego nieszczęściem. Była noc, rześka i ciemna, kiedy Dahlmann i ja wdrapywaliśmy się na trap byłego norweskiego statku. Statek około dwóch tysięcy ton, jego rozmaite zapachy buchnęły mi w nozdrza i przypomniały nostalgicznie dni spędzone na morzu. Minęły, za wcześnie, jak nasza młodość. Wprowadzono nas do małej kabiny z dwiema kojami, i kiedy urządzaliśmy się, porucznik mnie zaszokował.

„Botkin, mój przyjacielu - powiedział bardzo poważnie - mam dla ciebie niespodziankę”. W tej sytuacji oczekiwać mogłem tylko niespodzianki nieprzyjemnej, wziąłem się więc w garść. Po pierwszych słowach mojego kompana okazało się, że obawy były zbyteczne.

„Kiedy załatwiałem dokumenty podróży przed zaokrętowaniem w biurze - kontynuował Dahlmann - udało mi się załatwić naszą podróż właśnie tym statkiem”.

„Czy ten drugi był taki marny?”.

„Nie, mój drogi, ale ten ma pewną zaletę, o której z przyjemnością cię powiadomię. - Niepokój mój minął, gdy porucznik podzielił się ze mną swoją dobrą wiadomością. - Jesteśmy jedynymi mężczyznami na pokładzie tego statku”.

Waga tego doniesienia nie dotarła do mnie, dopóki Dahlmann nie wyjaśnił mi przyczyn swojego podniecenia. Reszta pasażerów na statku to kobiety z nazistowskich sił pomocniczych, popularnie nazywane Blitzmädel („Błyskawiczne Dziewczyny”). Żeby potwierdzić, czy mówi prawdę, spojrzałem przez luk. Nawet słabe światło wystarczało, by się przekonać, że nabrzeże pełne jest umundurowanych kobiet, hałaśliwie zapełniały też cały trap. Chwilę potem słysząc było na metalowym pokładzie stukot obcasów i głosy, na pewno nie męskie, przenikały do kabiny. I choć moim planom nie zagrażało to, w co mnie porucznik wmanewrował, było zupełnie jasne, że przygotowywał się do radosnej roboty, w której oczekiwał mojego pełnego udziału.

Dahlmann zniknął, udając się schodkami w dół, i po chwili wrócił, trzymając klucz. Kapitan dał nam prawo używania jego prywatnej łazienki. Kiedy mój kompan wrócił z ablucji, przyszła kolej na mnie. W czasie luksusowego moczenia się statek ruszył i kiedy wróciłem do kabiny, byliśmy już kawał w morzu, zmierzając do południowej Norwegii.

Starannie przygotowani na oczekującą nas batalię wkroczyliśmy do okrętowego salonu. Kiedy weszliśmy, zapadła nagle cisza. Oczy wszystkich kobiet zwróciły się w naszą stronę, a my grzecznie zmierzaliśmy do baru. Entuzjastyczna hojność kręcących się dookoła nas kobiet nie pozwoliła przez dłuższy czas, byśmy sami sobie kupili drinka. Kilka patrzyło na nas w taki sposób, jakbyśmy byli pierwszymi mężczyznami, których widziały w życiu. Statek pruł dalej. Noc była spokojna. Czego nie dało się powiedzieć o salonie. Jedna z dziewczyn zaczęła grać wesoło na harmonijce ustnej. Nie brakowało partnerek do tańca i obracano nami, taniec po tańcu, z przerwami pozwalającymi na wychylenie następnego drinka. Porucznik walcował w takim objęciu, że bardziej sugestywnego jeszcze nie widziałem.

„Nie przemęcz się zbytnio, Felix” - zażartował głupawo. Jego bardzo chętna dziewczyna zamknęła oczy i nawet nie usiłowała ukryć oczekiwania na ciąg dalszy, kiedy tak Dahlmann nią obracał. Jeszcze przed chwilą para tu była, a teraz nagle znikła. Absolutnym nietaktem byłoby wracać teraz do kabiny. W czasie nieobecności porucznika kręciłem się bez przerwy. Niektóre damskie żołnierki zmęczyły się oczekiwaniem na moje słabnące usługi i zaczynały tańczyć same ze sobą. Harmonijka brzmiała bez przerwy. Alkohol płynął, a nazistowskie dziewczęta stawały się jeszcze bardziej ponętne, gdy rozpuściły włosy. Po jakiejś pół godzinie Dahlmann wrócił, a za nim, jakby w transie, wróciła bardzo widać usatysfakcjonowana mundurowa dziewczyna. „Twoja kolej, Felix”, powiedział i klucz do naszej kabiny znalazł się w mojej kieszeni. Dziewczyna, która towarzyszyła porucznikowi, była powściągliwa w porównaniu do mojej partnerki. Z oznakami pożądania niezupełnie mi obcego trzymała mnie w objęciach ośmiornicy osóbką z całą pewnością atrakcyjną.

Proszę wybaczyć te rozważania Anglika patrioty, w dodatku pozostającego w bardzo szczęśliwym stadle małżeńskim. Sprawa była tak skomplikowana, że podjęcie decyzji, której by się potem nie żałowało, graniczyło z cudem. Skądś słyszałem, że zajście w ciążę przez członkinię żeńskiego personelu wojskowego sądy wojskowe traktowały jako przestępstwo karalne. Zrozumiałe było to urzędowe podejście, jeśli weźmie się pod uwagę wpływ ciąży na wywiązywanie się z obowiązków żołnierskich przez przyszłą matkę. Zaistniała więc możliwość unieszkodliwienia kilku wrogów. Być może trzeba by nieco oszukać daną panią aby uzyskać właściwy skutek ataku na wroga ale oszukiwanie było moim zajęciem codziennym od długiego czasu. Pierwszy możliwy cel, wciąż ściśle do mnie przytulony, dawał nieomyślne znaki, że jego siła obronna już nie istnieje.

Czy trafi mi się lepsza okazja do zadania wrogowi ciosu dla dobra własnego kraju? Z żołnierskim wstydem muszę wyznać, że nie starczyło mi odwagi i determinacji, by wykorzystać swoją przewagę, nawet mając na uwadze korzyści starej Anglii. Wszystko jest fair w miłości i w wojnie, tak powiadają ale tej nocy na morzu w początku 1944 roku, prując w stronę Norwegii, sprzeniewierzyłem się obu równocześnie. Zastanawiam się czasem, czy postąpiłem właściwie, ponieważ jednak nie wpłynęłoby to na zakończenie wojny, moje sumienie pozostaje czyste.

Mały port w południowej Norwegii skrzył się w zimnym słońcu i roił od dobrze uzbrojonych i mocno obciążonych żołnierzy. Reprezentowany był każdy rodzaj broni i wiele statków musiało przewozić to ludzkie cargo wojenne. Trudno było dostać miejsce w pociągu do Oslo i w tłoku musieliśmy z Dahlmannem się rozdzielić. Zdobyłem stojące miejsce w korytarzu i widziałem porucznika dającego mi znak z drugiego wagonu, że jedziemy ciągle razem. Siadłem na swoich gratach, zakurzyłem fajkę i

przyglądałem się okolicy i innym żołnierzom. Spoglądając za siebie, teraz dopiero zauważyłem napis na drzwiach zamkniętego przedziału. Ostrzeżenie napisane było wyraźnie i jasno - „Tylko dla oficerów sztabowych”. Ukradkiem zajrzałem do wnętrza przedziału, który był dosyć pusty. Czterech generałów rozpięrało się wygodnie, każdy w swoim rogu, w odosobnieniu i splendorze. Pociąg rozpędzał się, a ja, zwrócony do nich plecami, kontemplowałem ponurość południowej Norwegii przesuającą się w rytm stukom kół pociągu. Było już popołudnie i zaraz po zapadnięciu zmroku powinniśmy dojechać do Oslo. Aż trudno uwierzyć, że jak wszystko dobrze pójdzie, wkrótce będę z powrotem w Anglii, a minęło już ponad dwa lata od naszej ucieczki i losy wojny się odwróciły. Naziści dostawali ciągi na wschodzie i drugi front na zachodzie zapowiadany przez wzmożone naloty przyspieszy ich upadek. Mimo że naprawdę lubiłem Borisa i jak dotąd miałem podstawy wierzyć w uczciwość jego zamiarów i możliwości, nie ulegało wątpliwości, że by uratować głowę przed Sowietami, musiał zmienić konia, zanim będzie za późno. Tak dumając, zadowolony, że jestem wolny od stałej konieczności podtrzymywania konwersacji z porucznikiem, zdrzemnąłem się, ukołyszany hipnotycznym hałasem kół na szynach.

Nagle drzwi od generalskiego przedziału wychodzące na korytarz rozsunęły się. Ktoś położył mi delikatnie rękę na plecach. Obejrzałem się przez ramię i podskoczyłem, przyjmując wymaganą postawę wojskowego szacunku.

„Panie generale?”. Fajka w rękę i brak czapki na głowie zwalniały mnie od obowiązku salutowania należnego wyższym oficerom sztabowym wroga. Czując moje zaskoczenie i zmieszanie, stary, siwowłosy generał kwatermistrzostwa patrzył po ojcowsku w młodą i zapewne niewinną twarz.

„Nie ma sprawy, młody żołnierzu - powiedział przyjaznym głosem - ale tam u nas jest wolne miejsce, pewnie bardziej wygodne niż to na korytarzu”. Wojskowe zachowanie wymagało przyjęcia tak łaskawego, choć niechcianego zaproszenia. Wstąpiłem do środka z należnym, ale nie przesadnym stuknięciem obcasami, bagaż powędrował na półkę, a sam siadłem sztywno w tym niebezpiecznym towarzystwie.

Starszy generał kwatermistrz, którego uprzejmość była przyczyną mojego kłopotliwego położenia, patrzył na mnie z pewną czułością przypominając sobie być może czasy, kiedy był młodym żołnierzem w czasie pierwszej wojny światowej i dosłużył się tych baretek, które widniały na jego mundurze. Pozostali trzej oficerowie sztabowi nie drgnęli. W przeciwieństwie do mojego śnieżnowłosego niechcianego dobroczyńcy, byli kompletnie łysi lub tak wygoleni, że na łysych wyglądali. Z masywnymi, okrągłymi głowami i olbrzymimi karkami, typowymi dla wielu Szwabów, bez mundurów, w cywilu pasowaliby akurat do ringu zapaśniczego. To groźne trio dobrze wiedziało o mojej obecności i czułem ich niechęć, kiedy pocziwy kwatermistrz wydał wargi, zanim rozpoczął ze mną rozmowę. Zamieniłem się w słuch. Cokolwiek powiem, zostanie w milczeniu trawione przez uważną trójkę, konotowane, by posłużyć jako dowód lub sprowokować jakieś działanie przeciwko mnie. Chociaż nie czułem się zbyt pewnie, nie oczekiwałem jednak, że wpadnę w pułapkę w pędzącym pociągu. Na wszelki wypadek przesunąłem pas w ten sposób, by szybciej dostać się do kabury. Chociaż ten miły śnieżnowłosy generał był odpowiedzialny za ten kłopot, najpierw wezmę na muszkę te trzy kwadratowe łby, a potem starego. Jak biedny Jurek, sam będę na własnej liście.

„Pierwszy raz w Norwegii?” - zagadnął kwatermistrz.

„Tak jest, panie generale”.

„Gdzie służyliście przedtem?”. Trzymając się swojego podwórka, spokojnie odpowiedziałem, że służyłem, walcząc z partyzantami głównie we wschodniej Generalnej Guberni, i jakoś się wyłgałem.

Bez trudu gadałem o znanych mi sprawach z tym ujmującym starym żołnierzem, który zadawał niewinne pytania i przyjmował moje wypowiedzi z oznakami zadowolenia. Zacząłem swobodniej oddychać. Pozostali trzej generałowie, choć udawali brak zainteresowania i nie brali udziału w rozmowie, słuchali jednak każdego naszego słowa i niechęć ich, tak widoczna początkowo, wyraźnie zmaląła. Jak to często bywa, kiedy się jest w przebraniu wśród wrogów, kiedy już

Str.278

wydawało się, że jestem po bezpiecznej stronie, rzecz się nagle odwróciła, zapowiadając zgubę. Ta miła rozmowa przebiegała swobodnie, gdy nagle, ni stąd, ni zowąd, stary kwatermistrz postawił pytanie naładowane dynamitem.

„Wiecie - powiedział - interesuję się bardzo sposobem mówienia i akcentami różnych regionów. Jakoś nie mogę określić, skąd pochodzicie”.

Może mi się tak tylko wydawało, ale trzej oficerowie z byczymi karkami wydawali się przysłuchiwać mojej odpowiedzi z większą uwagą. Gdyby Dahlmann był tu, jego interwencja jako eskorty odpowiedzialnej za bezpieczeństwo podbudowana dokumentami wystawionymi przez kwaterę główną Hitlera uchroniłaby mnie przed dalszymi próbami identyfikowania. Znow więc wskoczyłem na sprawy polskie dające pewne bezpieczeństwo.

„Jestem rodowitym Niemcem, panie generale, ale mieszkalem z rodzicami przed wybuchem wojny w dawniej polskim Korytarzu”.

„Aha - odpowiedział generał - to wyjaśnia trudności w określeniu miejsca, skąd pochodzicie. Mówicie po polsku, oczywiście”.

„Płynnie, panie generale”.

Zadowolony z siebie, że wyjaśnił problem, który go nurtował, zaspokoivszy swoje ego, generał rozluźnił się i popadł w milczenie. Ja też.

Moje zaskutkowanie ze stuknięciem obcasami, kiedy zegnałem czterech oficerów sztabowych, opuszczając przedział, uradowałoby serce najbardziej rozmiłowanego w drylu starszego sierżanta.

Na stacji w Oslo Dahlmann szybko zorganizował samochód i pojechaliśmy do komendantury w centrum miasta. Jak w całej podróży, tak i teraz załatwianie wszystkich spraw należało do porucznika, a ja czekałem w samochodzie. Bez trudności ulokowaliśmy się wkrótce w solidnym hotelu na Karljohannsgatte. Chyba nazywał się Parkhospitz lub podobnie, tak mi zostało w pamięci.

Porucznik poszedł zraportować w niemieckim wywiadzie o naszym przybyciu, miano zorganizować tam nasze przedostanie się do Szwecji. Wrócił zadowolony, instrukcje z kwatery głównej Hitlera już dotarły, nakazując wszelką współpracę i pomoc na moje żądanie. Dahlmann obiecał im, że naradzi się ze mną wieczorem i przedstawi rano listę potrzeb.

Okazało się, że miejscowy szef wywiadu wolałby mieć do czynienia ze mną osobiście i wyraził pewne niezadowolenie. Polecenia jego przełożonych jednak, polecające respektowanie moich życzeń, były jednoznaczne i moja postawa została zaakceptowana.

Podejście starszego oficera było zrozumiałe, biorąc pod uwagę autorytet Borisa i jego przyjaciół. Z każdym dniem wzrastał mój podziw dla Borisa za sposób załatwiania spraw, w rezultacie czego mój powrót do domu

powinien przebiegać gładko. Cała strategia, jak dotąd, okazała się niezawodna, z kilkoma tylko, nie do ominięcia, taktycznymi momentami ryzykownymi, których każdy agent musi się spodziewać, działając na terytorium wroga. Namacalne dowody skuteczności działań Borisa wróżyły dobrze na przyszłość.

Teraz byliśmy już tylko kilka kilometrów od przyjaznej aliantom Szwecji i choć nie należy dzielić skóry na niedźwiedziu, wiadomo jednak już było, że niedźwiedź wkrótce wpadnie w nasze ręce.

Dahlmann zgłosił się do generała von Kirchenstroma, czy o podobnym nazwisku, który dał mu przepustki upoważniające nas do pójścia na obiad do Domu Niemieckiego, znanego rzekomo z najlepszej kuchni w Oslo. Na pozostały czas pobytu mieliśmy prawo do syta i bezpłatnie jeść oraz korzystać z innych usług w niemieckim Domu Oficerskim, zaraz w bezpośrednim sąsiedztwie naszego hotelu. Jego specjalnością, jeśli chodzi o kuchnię w Oslo, były homary, do których mam podejrzaną wręcz słabość. Tego wieczoru w Deutsches Haus, mimo mnóstwa mięs, obaj pochłanialiśmy duże porcje tych skorupiakowych wspaniałości, których nie kosztowałem od przedwojennych czasów. Całe jedzenie było doskonałe. Jadło, wina i służba zasługiwały na najwyższe pochwały (co jedno, to lepsze). Musiałem jakoś ograniczyć wpływ, jaki wywierało na mnie towarzystwo Dahlmanna. Stawało się coraz przyjemniejsze. Gdyby on znał prawdę, kim jestem, wątpliwe, czy jego szacunek dla mnie przybrałby takie rozmiary. Z powrotem w hotelu, zadowoleni i w dobrym humorze, pozbawieni odpoczynku od podróży z Danii z ładunkiem owych Blitzmädel, nadawaliśmy się tylko do łóżka. Wydawało się, że minęły wieki, tyle rzeczy się wydarzyło w tym czasie.

Korzystając z przywileju, jaki przysługuje szpiegom, następnego pięknego, słonecznego, choć mroźnego ranka byłem w ubraniu cywilnym. Śniadaliśmy w Domu Oficerskim, w dalszym ciągu delektując się owocami morza, które podano w obfitości. Kiedy weszliśmy do jadalni, moje umiarkowane Heil Hitler wypowiedziane do kierownika sali spowodowało, że zostaliśmy z szacunkiem zaprowadzeni do stołu, który nam przyznano na cały czas pobytu. Niemieccy oficerowie wszelkich stopni, kształtów i wymiarów wcinali zawzięcie.

Nadszedł czas dokładnego określenia moich życzeń w stosunku do lokalnego biura szpiegowskiego i Dahlmanna. Jak ustalono, miały zostać przekazane generałowi kierującemu biurem, który otrzymał rozkazy, by je wypełniać bez pytania. W czasie długiej podróży z Warszawy do Oslo często rozmyślałem o tej decydującej fazie pożegnania się z nazistami. Przekonany byłem, że obmyśliłem właściwy sposób. W Warszawie walcując tę rzecz z Borisem, musieliśmy jednak zostawić decyzję co do ostatecznych posunięć mnie po dokładnym rozeznaniu, jak rzeczy stoją w Oslo. Sytuacja była w zasadzie prosta i nieskomplikowana. Nie było widać, by miano jakieś podejrzenia co do mojej osoby czy motywów. W dalszym ciągu występowałem jako antysowiecki Estończyk i było ważne, by zachować ten pozór i nie dać żadnych podstaw, żeby ktokolwiek zaczął weń powątpiewać czy spostrzegł, że dzieje się coś dziwnego.

Dahlmann starał się, jak zawsze, robić na mnie wrażenie. Zasiadliśmy zapalić i z całą uwagą zaczął notować moje życzenia. Teraz, kiedy jego pozycja łącznika między mną a władzami w Oslo została ustalona i zaakceptowana, pozostawałem w cieniu, wolny od wścibskich oczu i pytań, niewystawiony na bezpośrednie osobiste naciski. Subtelne wyniesienie pozycji porucznika do rangi prawie że młodszego partnera w całym przedsięwzięciu było jakby przypadkowe. W ten sposób pomoc, o jaką prosiłem, wynikała zawsze z dyskusji, jaką prowadziliśmy przed podjęciem wspólnej decyzji. Wiele rozmyślałem nad tym, jak zdobyć nieświadomego istoty rzeczy współnika. Zdawałem sobie sprawę, że gdyby lokalna hierarchia poczuła się urażona niemożliwością kontrolowania poczynań borisowego intruza, tutejsi bonzowie mogliby stworzyć wiele trudności. Dobrze się stało, iż miejscowi

wywnioskowali, że jesteśmy pod bezpośrednią kontrolą kwatery Hitlera. Pomagało to Dahlmannowi opierać się wszelkim zakusom wtrącania się w nasze sprawy, co mi było bardzo na rękę.

Potwierdzono, że mogę zabrać ze sobą tysiąc dolarów amerykańskich w drobnych banknotach i kilkaset koron szwedzkich. Kiedy dam o sobie znać po dotarciu do Sztokholmu i podam sposób przekazywania pieniędzy, potrzebne sumy będą przesyłane w okrągłych tysiącach. Po namyśle powiadomiłem też Dahlmanna, że mój zegarek coś źle chodzi i byłbym wdzięczny za jeszcze jedną przysługę. W rzeczywistości mój zegarek chodził zupełnie dobrze, chodziło mi o sprawdzenie nastawienia porucznika do mnie i dodanie pewnego ludzkiego wymiaru temu nieznanemu im Botkinowi. Porucznik wiedział już, że Felix Botkin to nie jest moje prawdziwe nazwisko estońskie, i stopniowo, krok po kroku wprowadzałem go w pozorowane racje moich poczyną. Współdziałał i udawał, że rozumie, co może do pewnego stopnia było i prawdą. Najważniejsze, aby żadne kłopoty, jakie mogą mnie w Szwecji spotkać, nie prowadziły z powrotem do Oslo ani do kwatery Hitlera i nie kompromitowały Borisa. Niestety mogłoby się wydarzyć, gdyby w takich okolicznościach padło nazwisko Feliksa Botkina.

Porucznik miał wystąpić o dokumenty dla mnie na inne, nowe nazwisko, jako Polaka pracującego w Norwegii dla Organizacji Todta, i dałem mu kilka fotografii, żeby lokalni Niemcy rzecz przygotowali. Organizacja Todta, nazwana tak od nazwiska jej założyciela i głównego dyrektora, była paramilitarną jednostką nazistowską zajmującą się głównie robotami budowlanymi dla wojska w Niemczech i na terenie całej okupowanej Europy. W przewidywaniu alianckiego drugiego frontu na wybrzeżach kanału i Morza Północnego zwróconych w kierunku Wielkiej Brytanii trwały gorączkowe prace fortyfikacyjne. Trzon załogi technicznej i administracyjnej stanowili Niemcy, ale tysiące osób innej narodowości z całej Europy, w tym Polaków, najczęściej przymusowo, także zatrudniano. Z odpowiednimi dokumentami Polaka pracującego w Organizacji Todta byłbym dezerterskim przybyłym z jednostki w Oslo po okresie pracy niewolniczej w Warszawie. Takie krycie trudne byłoby do przełamania, a że nazwisko Botkin nie będzie figurować nigdzie w Szwecji, ewentualne więc informacje o nowym osobniku nie zwrócą uwagi wywiadu w Oslo. Dahlmannowi zaimponowałem taką przemyślną taktyką i z całym zapalem zabrał się do przygotowania wszystkiego, co było potrzebne.

Dobrze poinstruowany, ze wzmocnionym przeświadczeniem, że kwatera Hitlera jest za nami i że żadne mieszanie się w nasze sprawy nie będzie tolerowane, Dahlmann ruszył do akcji, promieniując autorytetem. Ja pozostałem w hotelu, paląc fajkę, podczas gdy Dahlmann zajmował się brudną robotą. Wobec takiego obrotu spraw trudno mi było powstrzymać się od umiarkowanego optymizmu, chociaż chwila próby jeszcze nie nadeszła.

Po powrocie porucznik oświadczył, że zgodzono się na wszystkie żądania. Wynikało z tego, oczywiście, że to jego prowadzenie sprawy jest tak skuteczne. Dokumenty dla polskiego pracownika Organizacji Todta, pieniądze, a także zegarek, wszystko będzie gotowe za dwa dni, do tego czasu załatwione zostaną też wszystkie sprawy związane z przekroczeniem granicy szwedzkiej. Bezpośrednim skutkiem wizyty w kierownictwie wywiadu w Oslo były następne dwa bilety na obiad w Domu Niemieckim, niewątpliwy dowód, że gwiazda moja nie gaśnie. Tego dnia niemieckie radio w Oslo zapowiedziało, że będziemy mieli wielką przyjemność wysłuchać przemówienia pewnego Anglika, pana Juliana Amery'ego, syna byłego brytyjskiego wysokiego urzędnika w Indiach. Przybyliśmy do Domu Niemieckiego, akurat kiedy miało się rozpocząć przemówienie, siedliśmy z Dahlmannem w salonie i ciekaw byłem co to gorsze wydanie Lorda Haw Haw ma do powiedzenia. Porucznik uważał moje zainteresowanie za coś oczywistego, wiedząc już, że mówię nieco po angielsku i rozumiem ten język zupełnie dobrze. Zamówiliśmy drinki i zajęliśmy miejsce przy stole

wśród licznych niemieckich oficerów i cywilów, którzy przyszli najwyraźniej także zainteresowani pronazistowskim przemówieniem Anglika. Kiedy Amery zaczął, rozmowy nieco przycichły, ale z szumu, jaki ciągle było słychać, dało się wywnioskować, że większość obecnych nie rozumie, co on mówi. Jako Anglik słuchający Anglika odebrałem jego wypowiedź jako obrzydliwą całe podejście było antybrytyjskie, a szczególnie Churchill został poddany zjadliwej krytyce. Byłbym wielce rad, gdyby Amery odwiedził Warszawę, kiedy ja tam byłem. Mając dosyć słuchania powtarzanych nonsensów, dałem znak Dahlmannowi, który nie rozumiał ani słowa i nudził się okropnie, przenieśliśmy się do jadalni i kazaliśmy sobie podać jeszcze jedną wspaniałą wyzerkę.

Następnego dnia, była to chyba niedziela, bo wszystkie sklepy zamknięte - pogoda zapanowała słoneczna i mroźna. Załatwianie wszystkich spraw było na dobrej drodze i nie wymagało nic innego, tylko czekania, moim celem było utrzymywać porucznika w radosnym nastroju i z dala od wszelkich spraw służbowych. Z wesołkowatym facetem jak Dahlmann nietrudno było zorganizować coś w rodzaju kilku dni wesołych wakacji przed powrotem osobnymi ścieżkami do spraw wojennych. Jego sugestię, byśmy wpadli do słynnego zimowego ośrodka wypoczynkowego leżącego kilka kilometrów pod Oslo, przyjąłem z przyjemnością. Jeśli dobrze pamiętam, miejsce to nazywa się Holmkollen.

Przed południem znaleźliśmy się w pociągu idącym z małej lokalnej stacji. Panował tłok. Żołnierze niemieccy na przepustkach zmieszani z tłumem młodych Norwegów ze sprzętem sportowym. Mnóstwo nart, saneczek, łyżew, ale najbardziej zapamiętałem piękne dziane czapki wełniane i pulowery we wspaniałe wzory. Dla towarzystwa porucznikowi włożyłem swój niemiecki mundur i ta zmiana ułatwiła mi zapoznanie się ze stosunkiem Norwegów do okupanta. Wszędzie dookoła nas norweska młodzież płci obojga tryskała humorem i niecierpliwie oczekiwała tych kilku godzin bliskiego kontaktu z ich umiłowanym światem iskrzącego się śniegu i lodu. Największym komplementem, jakim mogę ich obdarzyć, jest stwierdzenie, że byli tak samo urodziwi, jak młodzi Polacy. Dahlmann był tego samego zdania lustrując bezwstydnie wszystkie atrakcyjne młode buzie, które nas otaczały.

Wycieczka dała mi pewien wgląd w naturę norweskiego ruchu oporu. Być może straty ludzkie i materialne były mniejsze. Być może naziści byli mniej barbarzyńscy niż w Polsce. Być może Norwegowie walczyli mniej emocjonalnie, ale za to bardziej inteligentnie niż Polacy. Dowód, że Norwegowie walczyli, znalazłem tego ranka w tym małym pociągu pod Oslo.

Z bezczelnością młodych mężczyzn, osamotnionych w niemieckich mundurach, Dahlmann i ja patrzyliśmy prawie żałośnie w oczy młodych Norwegów, którzy nas otaczali. Dahlmann być może nie spostrzegał, w jaki sposób reagowano na nasze spojrzenia, Botkin spostrzegał. Takimi spojrzeniami pełnymi nienawiści obrzucano też niemieckich oficerów w okupowanej Polsce. Jak tylko jakiś Norweg czy Norweżka zauważyli, że porucznik i ja przypatrujemy się im pytająco i przyjaźnie w sposób typowy dla wszystkich młodych stworzeń, natychmiast znikła radość i życzliwość, tak wyrazista w kontaktach między nimi. Jak tylko spostrzeżono nasze niemieckie mundury, spojrzenia stawały się odpychające i nienawistne. Głowy odwracały się z pogardą i nasza obecność była ignorowana, oznaczało to dla mnie istnienie ruchu oporu, z którym z przyjemnością bym się chciał zapoznać czy w zabawie, czy we wspólnym boju. Jeśli spojrzenia Norwegów na Niemców mogłyby zabijać, historia ta nigdy by nie została opowiedziana. Dahlmann też by został zlikwidowany.

Spacerowaliśmy wśród tłumu w Holmkollen, potem wstąpiliśmy do wygodnego schroniska, żeby coś zjeść, wypić piwo i popatrzeć na kolorowe sceny na śnieżnym tle. Młodzi ludzie kręcili się przed schroniskiem, oddawali się sportom, niepomni na kłopoty tego świata, lekceważący obserwujących ich dwóch młodych Niemców, którzy bardzo by się chcieli do nich przyłączyć i dzielić z nimi radość.

Życie towarzyskie, za którym wzdychaliśmy, oddzielone było od nas murem nienawiści. I po wypiciu bez specjalnej nawet ochoty jeszcze pewnej ilości alkoholu, co wcale nie podniosło nas na duchu, za obopólną zgodą wsiedliśmy do pociągu i wróciliśmy do Oslo.

W sposób bardzo nietypowy dla siebie porucznik popadł w jakiś milczący stan zamyślenia. Zwykle im mniej konwersacji, tym dla mnie lepiej, ale tak się przyzwyczailem do jego dobrego humoru i gadania, że czegoś mi było brak bez jego wesołości. Dahlmann zaczął się zwierzać ze smutnej historii swojego życia, z różnych przeżyć. Od początku naszej podróży z Warszawy im porucznik więcej mówił, tym chciwiej słuchałem, bo taka sytuacja zmniejszała margines popełnienia błędu w rozmowie. Teraz akurat melancholijny monolog połączony z rozczulaniem się nad sobą samym skończył się nagłą niepohamowaną potrzebą zalania robaka. Środki zaradcze były pod ręką. Bar pękał od niemieckich żołnierzy czujących także potrzebę utopienia w alkoholu wszystkiego, na co nie było innej rady. Niektórzy z obecnych zażyli już tego środka i byli dobrze schłani. Dahlmann popadł w trans alkoholowy. Chcąc w sobie znieczulić ból, postanowił i mnie w taki nastrój wprowadzić. Wódka, anyżówka chyba, tworząca białą emulsję po dolaniu wody, być może był to francuski Pernod, płynęła w gardła z niewiarygodną szybkością nawet nie było czasu na toasty. Powstrzymać Dahlmanna przed ucieczką w krainę alkoholowego zamroczenia się nie dało. Kiedy osiągnął ten stan, sam byłem niedaleko w tyle, z trudem starając się trzymać kontrolę nad sobą.

Porucznik przestał chlać i zaczął śpiewać. Inne opuszczone dusze, zalani i umundurowani Niemcy, powstali od swoich stołów i przyłączyli się do nas. Gott mit Uns, mówiły ich klamry na pasach, i nagle przestałem się nad sobą rozczulać. Bóg na pewno nie był z nimi. On był z nami i nasza strona zwyciężała. Ci wszyscy byli w drodze do piekła razem z ich parszywym Hitlerem, i dobrze im tak. Mój Bóg bierze mnie z powrotem do Anglii.

Austriacki tenor Richard Tauber przed wojną zaszczycał brytyjską scenę i ekran, wzruszając tysiące angielską wersją *You are my heart's delight*. Śpiewałem to wiele razy, zarówno po angielsku, jak i po niemiecku. Choć nie tak dobry ze mnie tenor, jak mój ojciec, mówiono, że mojego głosu da się słuchać. Pijany Szwab (przyganiał kociół garnkowi...) zaczął śpiewać właśnie to. *Dein ist mein ganzes Herz, wo du nicht bist, kann ich nicht sein, so wie die Blume, usw., etc...* Goście przyłączyli się ochryple, ale mój udział w śpiewie miał ten efekt, że wszyscy umilkli. Zatkanęło mnie i także zamilkłem. Lepiej nie przedobrzyć. Nagle ożywił się entuzjastycznie Dahlmann.

„Dalej, Felix, włącz na stół!”.

„Na stół!” - zawtórowała reszta i nie pozostało mi nic innego, jak tylko poddać się woli gości.

Wohin ich immer gehe, ich fühle deine Nähe usw., etc., a potem znów chórem - *Dein ist mein ganzes Herz, wo du nicht bist, kann ich nicht sein, usw., etc.* Aplauz całej restauracji był ogłuszający. Dahlmann i ja szybko wycofaliśmy się, choć słychać było entuzjastyczne wrzaski *Encore, Encore*.

Kiedy Dahlmann przyszedł następnego ranka do mojego pokoju, widać było wyraźnie, że spał w mundurze. Ja zresztą też. Fala samokrytycyzmu przebiegła mi przez myśl na przypomnienie sobie, co działo się ostatniego wieczoru. Kac dołożył swoje. Żaden szanujący się agent na terytorium wroga nie zachowywałby się w tak dumny sposób. Wyglądało jednak na to, że nic złego się nie stało, i z Dahlmannem w jego zwykłym, wesołym nastroju zabraliśmy się do spraw bieżących. Poczułem się nieco mniej idiotycznie.

Dahlmann skontaktował się z wywiadem w Oslo. Wszystko szło dobrze. Pieniądze i papiery będą do odebrania następnego ranka, a granicę szwedzką przekroczyć możemy tego samego dnia. Zmarnowani

wczorajszym wieczornym wyskokiem spędziłyśmy dzień spokojnie, zajęci tylko uważnym studiowaniem niemieckich dokumentów i starannym przeglądem mojego ubrania, które miałem wkrótce zdać. Dahlmann już zorganizował plecak na rzeczy, które zabiorę do Szwecji, a mój niemiecki mundur pozostanie z Dahlmannem, który odeśle go Borisowi, by czekał niby na mój powrót.

Dopatrując ostatnich drobiazgów, trudno mi było sobie uświadomić, że od prawdziwej wolności dzielą mnie tylko godziny. Oczywiście to właśnie było celem ucieczki, ale w najdzikszych marzeniach nie umiałem sobie wyobrazić tak długiej podróży po wyrwaniu się z obozu ponad dwa lata temu. Gdyby droga z więzienia do wolności trwała tyle co podróż z Warszawy do Szwecji, powrót do domu polegałby na radosnym spotkaniu z rodziną powrocie

do jednostki i zabranii się od nowa za wojaczkę. Ucieczka jednak trwała tak długo, że wydarzenia tych dwóch lat, niezwiązane ze zwykłymi próbami oswobodzenia się, zmieniły zupełnie moje obecne życie i całą przyszłość.

Stałem się ojcem rodziny, do mojego dobrego niemieckiego i znośnego francuskiego doszedł jeszcze jeden obcy język, brałem udział w różnych akcjach antynazistowskich i w dodatku za działania bojowe zostałem przedstawiony do odznaczenia. Skóry mojej chronił przed wszelkimi niebezpieczeństwami zniszczony, nigdy nieprany, przesycony potem i strachem niebieski wełniany pulower, dziany przez jednego z milionów aniołów stróżów, w jakie bogata jest Polska.

Najważniejszy był jednak ten niezwykły łut szczęścia, jaki był moim udziałem, bez którego aż strach pomyśleć, co by się ze mną stać mogło do tego czasu. Nie czas było o tym rozmyślać, ciągle byłem w Oslo otoczony przez Niemców. Nie mogłem zasnąć tej nocy.

Rozpoczął się wielki dzień. Włożyłem mundur niemiecki po raz ostatni i zjedliśmy śniadanie, jak zwykle, w Domu Oficerskim.

Porucznikowi też było smutno z powodu mającego wkrótce nastąpić rozstania, a ja na próżno mówiłem sobie, że nie powinienem żywić zbyt ciepłych uczuć do tego miłego sprzedawcy szampana i playboya, który okazał mi tyle pomocy i był wspaniałym kompanem. Używał nazwiska Gerhard Dahlmann i jeśli ktokolwiek ma jakieś wiadomości o nim lub o jego losie, rad byłbym je usłyszeć.

Czekałem niecierpliwie w hotelu, pykając fajkę, kiedy Dahlmann wybrał się po odbiór tych wszystkich artykułów z naszej listy, którą złożyliśmy nazistom w Oslo. Przypuszczałem, że potrwa to długo, i zostałem mile zaskoczony, widząc porucznika z powrotem jeszcze przed lunchem. Podpisałem pokwitowanie na tysiąc amerykańskich dolarów i dwieście koron szwedzkich. Nawet tajne służby mają swoich księgowych. Dahlmann wyciągnął z walizki zegarek naręczny z nierdzewnej stali i długi płaszcz cywilny, taki, jaki noszą wyżsi promineneci Organizacji Todta. Służbowy paszport organizacji, pełen swastyk, podpisany przez głównego inżyniera kierującego operacjami na terenie Norwegii, wyglądał bardzo imponująco. Z teutońską skłonnością do zwracania uwagi na szczegóły do paszportu dołożono wiele materiałów dodatkowych, które uważałem za bardzo ważne, ale nie chciałem się ich zbyt jawnie domagać. Były tam adresy wszystkich zespołów budowlanych dookoła Oslo, lista hoteli dla rezydentów wraz z numerami telefonów oraz teczka z instrukcjami roboczymi. Moje nowe nazwisko z Todta zostało oficjalnie wprowadzone na listę członków organizacji. Po tygodniu od mojego zniknięcia z Oslo policja zostanie zawiadomiona o ucieczce polskiego pracownika i dostanie jego opis.

Mały kompas, jaki Dahlmann także przyniósł, cofnął mnie myślami do pierwszej, nieudanej próby ucieczki z Szubina latem 1940 roku. Chodziło wtedy o proste i bezpośrednie wyrwanie się na wolność. Planem jedynym było zmierzanie na wschód, a jedynymi narzędziami kompas i język niemiecki. I teraz kierunek był ten sam, na wschód do Szwecji, i kompas znów był narzędziem. Ale były to jednak zupełnie różne przedsięwzięcia. Ucieczka pomyślnie zakończyła moje dotarcie do Warszawy i oficjalne włączenie mnie do armii podziemnej, jednostki bojowej, i po tym wszystkim nie byłem już żadnym zbiegłym jeńcem. Dostanie się do Szwecji było tylko częścią dużego zadania, które prawie że odsuwało w cień samą sprawę wolności. Ten mały fosforyzujący kompas, który cofnął mnie w przeszłość, był też przypomnieniem, że nocne wędrówki po skandynawskim górzystym kraju zimą mogą wymagać nie tylko orientowania się co do właściwego kierunku, zwłaszcza jeśli pogoda nas zaskoczy. Napchałem się olbrzymim lunchem, podczas którego Dahlmann był strasznie markotny. Niemiecki policjant zawiadujący patrolem granicznym w rejonie, w którym miałem przekraczać granicę, został powiadomiony i miał przyjść po mnie o trzeciej po południu. Jakby prosząc o przysługę, porucznik spytał, czy może podjechać ze mną samochodem do miejsca mojego startu. Zgodziłem się, jako że już nie miałem żadnych podejrzeń co do jego intencji. Dahlmann ciągle reprezentował wzbudzający grozę autorytet kwatery głównej Führera, która mogła się przydać, gdyby zaistniały jakieś przeszkody w ostatniej minucie.

Zostało jeszcze około godziny do wyruszenia w drogę. Przeprosiłem Dahlmanna i czas ten poświęciłem zapamiętywaniu szczegółów mojego nowego przeobrażenia w Polaka z Organizacji Todta. Przyswajałem wszystkie drobiazgi, które mogły być ważne w moim nowym fałszywym wcieleniu. Nazwisko jako Polaka w służbie Todta wybrał urząd niemiecki. Pełne jego brzmienie nie jest tu istotne, ale warto wspomnieć, że nawet naziści obdarzyli mnie tym popularnym, słowiańskim imieniem Jan.

Podjechał duży, zwyczajny sedan z policjantem w cywilu za kierownicą. Razem z Dahlmannem siadłem z tyłu. Po ponaddwugodzinnej jeździe zatrzymaliśmy się przed budynkiem policji w małej wsi norweskiej ulokowanej w dolinie górskiej. Znak swastyki mówił wyraźnie, kto jest gospodarzem posterunku. Nasz kierowca wszedł do środka i po chwili pojawił się z innym cywilem. W półmroku ten nowy był zupełnie podobny do naszego kierowcy zarówno co do sylwetki, jak ubrania i postawy, i zasiadł na przednim siedzeniu obok kierowcy. Jechaliśmy kilka mil w stronę widniejących gór. Droga wkrótce przeszła w trakt wyłożony głazami pnący się stromo poprzez ciemny, iglasty, śniegiem pokryty las. W tak ciemnej nocy dalsza droga, nawet pieszo, bez posługiwania się latarką była niemożliwa. Kierowca pozostał w samochodzie, a Dahlmann, ja i ten nowy wysiedliśmy. Rozłożono dużą mapę sztabową na masce samochodu i w świetle miniaturowej latarki dostałem instrukcje co do pozycji i dalszej trasy. Wyglądało na to, że pokonanie tych kilku kilometrów do granicy szwedzkiej w terenie bardziej zaśnieżonym niż w niższej części gór nie będzie łatwym marszem. Prosto na wschód, po szwedzkiej stronie leżało małe miasteczko Strömstad, które było moim celem. Pożegnałem się z kierowcą podaliśmy sobie ręce i podziękowałem mu za pomoc, coś w rodzaju inwestycji na wypadek, gdybym musiał szybko wracać. Przewodnik, Olaf, Norweg mówiący po niemiecku, poprowadził mnie i Dahlmanna w górę szlaku górskiego. Pokonywanie w ciemności szlaku pełnego lodu, śniegu i głazów nie było łatwe. Szliśmy wolno, z wysiłkiem i każdemu z nas zdarzało się wywrócić. Czy nie ma końca tych przeszkód? Wystarczy zwichnięcie nogi w kostce. Po dwóch godzinach męczącej wspinaczki, zadyszani, ku naszej radości dostaliśmy znak od przewodnika, by się zatrzymać. Stąd granica była mniej niż godzinę marszu i nie zapowiadało się, by droga była lżejsza. Wprost przeciwnie, pofalowane szczyty ciągle widoczne przed nami na tle nocnego nieba wydawały się jeszcze trudniejsze do pokonania i mniej przyjazne. Za górami przed nami widać było jakby

rozproszone światło na niebie. Pochodziło ono ze Strömstad i będzie niezastąpionym wskaźnikiem kierunku. Wszystko niby jasne, ale samotna wędrówka będzie jeszcze trudniejsza.

Po spełnieniu swojej roboty przewodnik życzył mi powodzenia i znikł w ciemności. Porucznik, ledwie widoczny, także życzył mi szczęśliwej drogi. Nie było potrzeby, by Dahlmann szedł ze mną tak daleko. Jego obowiązki kończyły się po przybyciu do Oslo i byłem mu wdzięczny, że trzymał mnie z dala od Niemców. To nie obowiązek skłaniał go do pokonania tej męczącej drogi do granicy szwedzkiej, dalej niż jakikolwiek żołnierz niemiecki śmiał się zapuścić. Dobrze spędziliśmy ten czas razem i gdyby nie okoliczności, mogłaby się rozwinąć między nami prawdziwa przyjaźń.

Alles gutes, Felix. Sehen wir uns wieder. Podaliśmy sobie obie dłonie, a porucznik uściśkał mnie, serdecznie ucałował w oba policzki i znikł. Już wspominałem, że Boris nie był ostatnim oficerem niemieckim, z którym się ucałowałem. Dahlmann był.

Słyszałem, jak moi dwaj kompani schodzą w dół zdradliwą ścieżką. Jak tylko przestałem ich słyszeć, podciągnąłem paski plecaka, wziąłem głęboki oddech i zacząłem wspinać się w stronę grzebieniastego horyzontu. Nie było śladu szlaku. Jedynym wskaźnikiem drogi była luna widoczna nad Strömstad. Teren stał się jeszcze trudniejszy. Męczące było omijanie niemożliwych do pokonania przejść, skał i śniegu, opadały siły, przybyło też nieco siniaków. Zmordowany, mimo najszczerszych w świecie chęci, by przeć przed siebie, musiałem odpocząć i zwinąwszy się wygodnie w śniegu, poczułem, jak rozkoszny jest sen. Przyjmując przez sen jeszcze wygodniejszą pozycję, nie wiem po jakim czasie, otworzyłem jedno zaspane oko. Gdybym nie zauważył blasku nad Strömstad, byłbym znów zasnął. Nie miałem pojęcia, gdzie jestem, jedyne czego chciałem, to spać dalej, ale podświadomie rozejrzałem się po otoczeniu, co na szczęście rozbudziło wewnętrzny alarm. Jeszcze zajęło mi nieco czasu zebranie myśli, ale po chwili wysiliłem się, by stanąć, i wtedy zdałem sobie sprawę, co mogłoby się przydarzyć. Czytałem gdzieś o spaniu w śniegu snem, z którego nie ma przebudzenia. Ostrożnie i powoli zacząłem znów się gramolić w górę. Pierwsze oznaki wschodu zamajaczyły na niebie prosto przede mną i jako że było jaśniej, maszerowałem nieco szybciej. Kiedy na wschodzie słońce zajaśniało, dotarłem do małej drogi wiodącej w dół. Wiedziałem już, że jestem w Szwecji.

Siadłem na kamieniu przydrożnym i patrzyłem na ten neutralny raj. Za-ciśniętą pięścią wałęnałem w powietrze - wreszcie, do cholery, się udało!

Prawie zapomniałem o bólu, zmęczeniu i siniakach, kiedy spieszyłem po lodzie i śniegu w stronę miasteczka w ten piękny, jasny i mroźny poranek. Minałem kilka luźno stojących willi i chat, potem były bardziej zabudowane przedmieścia, wreszcie miasteczko, spokojne i pogodne. Widać parę osób. Nikt nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi. Nie sądziłem, że uda mi się dotrzeć do samego Sztokholmu bez zatrzymania przez jakieś władze, ale sam nie miałem zamiaru się poddawać. Im dalej będę od granicy, tym lepiej na wypadek przepytywania. Jeśli Szwedzi zgotują mi jakieś bardziej skomplikowane przyjęcie połączone ze śledztwem w pobliżu granicy norweskiej, może się okazać, że odkryją prawdziwą osobowość Botkina i rzecz przecieknie do Niemców w Oslo. Małe to niebezpieczeństwo dla mnie, ale rzecz fatalna dla Borisa, no i koniec wszystkich naszych planów.

Przed długi czas znajomość niemieckiego i polskiego była dla mnie pierwszą linią obrony chroniącą mnie przed ponownym złapaniem przy różnych okazjach. Teraz byłem w beznadziejnie gorszej sytuacji bez znajomości szwedzkiego. Śmiało jednak wszedłem do skromnego budynku stacji kolejowej i w okienku biletowym zażądałem spokojnie, po niemiecku, biletu do Sztokholmu. Urzędnik zrozumiał i odpowiedział zupełnie jasno w tym samym języku. Powiedział też, że trasa wiedzie przez Göteborg, znany port szwedzki. Odjazd za godzinę. Nie miałem nic innego do roboty,

jak czekać na pustej stacji. Marzyłem o warszawskim tłumie dającym zawsze takie wygodne schronienie.

Jak dotąd wszystko szło gładko, zbyt gładko, co wkrótce okazało się prawdą. Kiedy oporządziłem się w toalecie i wyszedłem, dwaj policjanci rozmawiali ze sprzedawcą biletów w okienku. Bezzwłocznie, bez wrzawy i hałasu czy jakichś nieprzyjemności, znalazłem się na tylnym siedzeniu w wyglądającym urzędowo samochodzie pomiędzy dwoma policjantami, którzy bardzo uprzejmie poprosili mnie po niemiecku o towarzyszenie im na posterunek.

Dopóki nie stanąłem przed jakimś wyższym rangą policjantem, padło zaledwie parę słów. Poproszony zostałem, by sięść, i ze sposobu, w jaki patrzył na mnie ten Szwed zza biurka, wywnioskowałem, że bez wątpienia wielu takich gości eskortowano do tego urzędu w wyniku informacji telefonicznej przekazanej przez owego sprzedawcę biletów.

Pomyślałem, że rozsądek nakazuje oddać pierwszy strzał, i spokojnie zwróciłem się do niego po polsku.

„Czy pan mówi po polsku?”. Zaprzeczenie głową. Sprechen Sie Deutsch? Skromne przytaknięcie. Sprawdzono moje dokumenty jako Jana, Polaka pracującego dla Organizacji Todta. Płaszcz, znany ubiór pracowników tej organizacji, potwierdzał moje oświadczenie. Powiedziałem, że zostałem schwytany w Warszawie w czasie łapanki w 1942 roku i mam nieopanowaną ambicję przedostać się na terytorium alianckie, by przyłączyć się do tysięcy Polaków walczących z hitlerowcami na lądzie, morzu i w powietrzu. Po spisaniu danych personalnych z dokumentów, które mi zwrócono, wystukano na maszynie protokół z tego, co mówiłem.

W czasie lunchu inspektor powiedział mi, że kontaktował się z przełożonymi. Tego popołudnia zabiorą mnie do Göteborga, a jutro do Sztokholmu. Szwedzki policjant, który wziął mnie na pociąg do Göteborga, nie mówił po niemiecku, a nie czas jeszcze było próbować z angielskim. Po męczących próbach porozumienia się za pomocą obu rąk i min, zrezygnowaliśmy z nawiązywania kontaktu. Po dziwacznej wymianie przyjacielskich grymasów twarzy i serdecznym zgodzeniu się, że Hitler kaputt, nie mogłbym powiedzieć, że nasza wzajemna znajomość poczyniła jakieś postępy do czasu, kiedy zostałem doprowadzony do znacznie większego budynku policyjnego w Göteborgu. Policjant w Göteborgu nie mówił ani po niemiecku, ani po polsku. Zrozumieliśmy jednak zupełnie dobrze jeden drugiego. Jego znajomość angielskiego była znacznie lepsza niż to było potrzebne, biorąc pod uwagę moje wysiłki posługiwania się łamanym angielskim. Nie podejmowano prób prowadzenia dalszych inwigilacji ani dodania czegokolwiek do protokołu, jaki wręczono jeszcze w Strömstad eskortującemu żandarmowi. Sumitując się, powiedziano mi także, że przed dotarciem do Sztokholmu muszę pozostać pod kluczem, ale byłem tak zmęczony, że gdyby nawet zaoferowano mi zupełną wolność, moim pierwszym życzeniem byłoby znaleźć jakieś miejsce, uwalić się i spać. Czekala już na mnie wygodnie urządzona cela z równie wygodnie zasłanym łóżkiem. Po dobrym jedzeniu i kąpieli udręki górskiej wędrówki wraz z epizodem zaśnięcia w śniegu wzięły górę. Jeszcze następnego ranka czułem się zmęczony i zesztywniały. Zjadłem podane na tacy śniadanie i nadal jeszcze czułem niechęć do dalszego podróżowania do szwedzkiej stolicy.

Przyjęcie w sztokholmskim odpowiedniku Scotland Yardu było grzeczne i rzeczowe, jak przystało na biurokratyczny autorytet. Następnego ranka, po jeszcze jednej dobrze przespanej nocy, poza siniakami na całym ciele czułem się odmłodzony i gotowy do dalszej akcji. Po dokładnym przebadaniu celi było jasne, że oswobodzić się stąd zdołam tylko przy pomocy z zewnątrz. Wyglądało na to, że ucieczka indywidualna jest niemożliwa. Białe ściany celi były twarde jak kamień i grube. Nie przedostawał się żaden dźwięk z zewnątrz. Dochodziła jeszcze ciężka metalowa krata pod sam sufit, daleko poza

zasięgiem. Co ucinano wszelkie plany ucieczki więźnia, to widok masywnych drzwi celi, zamykających się głośno z jakimś posepnym fatalizmem po każdej wizycie strażnika, któremu na dodatek zawsze towarzyszył kolega czekający na korytarzu. Pamiętam dokładnie te drzwi. Ciężkie i grube na pół stopy zamykające się w jaskółczy ogon. Hałas zamka i zasuw brzmiał jak zderzające się bufory przetaczanego pociągu. W samym środku drzwi zamontowany był głęboko osadzony judasz. Szkło w nim było tak grube, że nic nie było przez nie widać poza śladem światła z korytarza.

Najważniejszą sprawą było ochronić Borisa przed nazistowskimi podejrzeniami o zamiary nawiązania kontaktu z Brytyjczykami. W kontaktach z moimi rodakami nazwisko Jeffery nie może paść, by nie przedostało się do nazistów w Oslo przez jakąś ich tutejszą wtyczkę. Narobiłoby się bigosu, gdyby Szwabę wyniuchały związek między Jefferym, Botkinem, Borisem i Polakiem z Organizacji Todta. Machinacje samej policji w Sztokholmie były tak skryte, że prawdopodobnie nikt w świecie nie wiedział, gdzie ja jestem i kim jestem naprawdę w tym grobowcu bez możliwości ucieczki. Bardzo otrzeźwiające myśli. W wyniku długiego i fachowego przesłuchania, którego teraz mogłem oczekiwać, moje twierdzenie, że jestem polskim uciekinierem z Organizacji Todta wkrótce zostanie rozpoznane jako fałsz. Jeżeli będę się upierał i nie przyznam, skąd jestem, Szwedzi aresztują mnie z pełnym prawnym i moralnym uzasadnieniem. Była jedna pociecha w tym wszystkim, o której dawno już odzwyczaiłem się myśleć. W szwedzkich rękach nie musiałem zastanawiać się, jak przetrzymać tortury, co dla każdego więźnia gestapo było oczywiste.

Poprowadzono mnie korytarzem, na pewno na przesłuchanie, nad którego wynikiem tyle się głowiłem. Wszystkie te sprzeczne pomysły wprowadzały w mojej głowie jeszcze większe zamieszanie. W imponującym biurze wskazano mi krzesło przy biurku, za którym siedział ważnie wyglądający szwedzki policjant. Nie wiedział, że pozostaję pod opieką mojej dobrej wróżki i mam przy sobie swój fetysz. Początek był dobry. W średnim wieku, ubrany po cywilnemu urzędnik miał miły głos pozostający w zgodzie z jego wyglądem. Z przyjaznym uśmiechem dobrym niemieckim zapytał mnie o zdrowie i samopoczucie. Uprzejmie podziękowałem za życzliwe pytanie i powstrzymałem się od dalszych wynurzeń. Mogłem wspomnieć, że myśl o dalszym pozostawianiu w zamknięciu w tej ponurej celi z cyklopowymi drzwiami spowoduje atak klaustrofobii, choroby, na którą byłem kiedyś bardzo podatny, a która już prawie zanikła. Paszport Organizacji Todta i inne dokumenty leżały na biurku. Przerzucając różne papiery, Szwed spojrzał na mnie i zapytał w sposób zdradzający pewne zdziwienie:

„Czemu przybył pan do Szwecji?”.

„W nadziei, że dotrę tam, gdzie będę mógł bić Niemców”.

„Czemu?”.

„Jeśliby Szwecja opanowana była przez nazistów i okupowana tak brutalnie jak Polska, większość Szwedów miałyby te same ambicje”.

Pełen zrozumienia i sympatii policjant kiwnął głową.

Zachęcony w ten sposób opisałem walkę Polaków spokojnie i przystępnie, powiedziałem też o ponurym losie Polaków. Nie zapomniałem powiedzieć o traktowaniu Żydów. Reakcja jego wskazywała, że był to człowiek który wiele o tych okropnościach słyszał i wierzył, że są one prawdziwe. Padło więcej pytań co do mojej przeszłości, i jak przewidywałem, choć w bardzo przyjazny sposób, były one bardziej wnikliwe niż dosyć powierzchowna inwigilacja w poprzednich

dwóch urzędach policji przed przybyciem do Sztokholmu. Prędzej czy później to się stanie. Poznają się, że moja historia jest fałszywa.

Głos dobrej wróżki był głośny i wyraźny. „Teraz twój ruch, Ronnie,” poleciła mi z wysokości.

W sposób bardzo uprzejmy poprosiłem o zgodę na dygresję od tej sesji pytań i odpowiedzi. Mój rozmówca zgodził się chętnie, zresztą równie humanitarnie traktowano mnie od momentu przybycia do Szwecji. Nie mogłem oczekiwać jakiegoś entuzjastycznego przyjęcia mojej prośby, ale przychylne spojrzenie i skinienie głową stanowiło dostateczną zachętę do zwierzeń. Ten facet na pewno nie był głupcem, ale trudno powiedzieć, czy moje dotychczasowe opowiadanie wzbudziło jego podejrzenia. W każdym razie propozycja moja padła we właściwym czasie, sądząc po sposobie jej przyjęcia. Szwed słuchał uważnie, choć nie było reakcji na moją prośbę, by skontaktował się z Ambasadą Brytyjską i zażądał natychmiastowej wizyty attache wojskowego lub kogoś z jego ludzi. Oczekiwałem odpowiedzi w napięciu.

„Oczywiście, da się to zrobić”. Natychmiast przeprowadził rozmowę telefoniczną z której rozpoznałem tylko słowo British, i uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo.

„Ktoś zjawi się natychmiast”.

Mogło to oznaczać, że urzędnik nie kupił mojej opowiastki. Przestałem się jednak martwić, zakładając optymistycznie, że naziści nie dowiedzą się niczego od Szwedów, co pozwoliłoby im na rozszyfrowanie mistyfikacji. Nazwisko Botkin nie padło. Mimo tego obiecującego obrotu sprawy nie wyjawię niczego więcej, niż to potrzebne dla trzymania kursu na Londyn.

Moja zaduma została nagle przerwana. „Pan mówi po angielsku, oczywiście”, powiedział policjant nienaganną angielszczyzną. „Płynnie, sir”, odpowiedziałem natychmiast w tym języku.

Jego uśmiech zadowolenia był jeszcze szerszy niż przedtem, prawie się roześmiał. Wstał, przeszedł dookoła biurka i podał mi rękę. „Jesteś wśród przyjaciół”. Wydawało się, że borisowa konspiracja nie jest zagrożona.

Wprowadzono miłego i kompetentnego na oko młodego człowieka. Znał policjanta, przywitał się z nim uprzejmie po angielsku i zwrócił się do mnie, witając mocnym uściskiem dłoni. Szwed jakby mimochodem powiedział, że chętnie dowie się szczegółów później, i zostawił mnie z przybyszem, jak się okazało, z ambasady. Odgadując moje myśli, przedstawił on legitymację potwierdzającą jego status urzędowy. Nawet moje dokładne obeznanie z fałszywymi dokumentami nie dawało mi żadnych podstaw, by wątpić w prawdziwość jego dokumentu. Zauważyłem wtedy, jak nabiera się ufności po opuszczeniu terytorium nazistowskiego, co wynikało z mniejszego ryzyka poniesienia ciężkiej kary. Podejrzewając, że może być założony podsłuch, poprosiłem o papier i pióro. Napisałem moje nazwisko, stopień i numer wojskowy wraz z jednostką oraz datami wzięcia mnie do niewoli i ucieczki. Poprosiłem o możliwie szybki transport do Ministerstwa Wojny w Londynie przy zachowaniu pełnej tajności całej sprawy.

Tego popołudnia piłem herbatę z pułkownikiem Cliftonem Brownem, albo Browne'em, nigdy tego nie pamiętam, wojskowym attache Ambasady Brytyjskiej.

Szwedzki policjant pożegnał się ze mną bardzo ciepło. Nie rozmawialiśmy o tym, ile i co o mnie wiedział. Jeszcze jedna ciekawa znajomość. Nazywał się Daniellson.

Skontaktowano się z Londynem i oczekiwano odpowiedzi następnego dnia. Nieoznakowane samoloty Royal Air Force latały często ze Zjednoczonego Królestwa i z powrotem i w zasadzie tylko zła pogoda utrudniała funkcjonowanie tej dobrze zorganizowanej komunikacji.

Urządzono mnie bardzo wygodnie na noc w ambasadzie, a że nie miałem nic specjalnego do roboty następnego ranka, pewna bystra, młoda pracownica ambasady dostała polecenie, by pokazać mi co nieco Sztokholm. Zanim ruszyliśmy na tę wycieczkę, pobrałem za pokwitowaniem równowartość dwustu funtów szterlingów jako dodatek do koron przywiezionych z Oslo. Przekazałem także ten tysiąc dolarów amerykańskich, dotację nazistów w Oslo. I tyle je widziałem. Później zastanawiałem się czasami, że pospieszyłem się nieco, myśląc, że będzie można prześledzić pochodzenie tych pieniędzy. Na pytanie w Ministerstwie Wojny, co się stało z nimi, powiedziano, że zostały skonfiskowane jako zdobycz wojenna. Nawet jeśli mój gest został zmarnowany, mam nadzieję, że transakcję zanotowano legalnie w księgowości armii. Powinienem był domagać się pokwitowania.

Zwiedzanie miasta w warunkach pokoju było dla mnie zdumiewającym przeżyciem. Tryb życia i warunki, w jakich przebywałem przez lata i które przyjąłem już jako normalne w takich miejscach jak Warszawa czy Berlin, kontrastowały na wszystkie możliwe sposoby z dostatkiem, porządkiem i dobrobytem widzianym w Sztokholmie. Później tego popołudnia po lunchu w uczęszczanej restauracji udaliśmy się przez klinicznie czyste, prawie sterylne miasto na herbatkę z pułkownikiem Brownem, albo Browne'em, wraz z tą młodą pracownicą ambasady.

Przyszła odpowiedź z Londynu. Samolot przyleci tego wieczoru i następnego dnia, jak zapadnie ciemność, znajdę się na jego pokładzie.

Przedstawiono mi młodego kapitana brytyjskiego w cywilu. Oświadczył, że wedle przyjętej procedury przed ruszeniem w drogę spisuje się możliwie wiele danych o pasażerach. Chodziło o to, żeby zapobiec nieprzewidzianym skutkom na wypadek kraksy lub zestrzelenia nad Norwegią przed dotarciem na odprawę w Anglii. Uspokoiło mnie to nieco, ale ciągle mając na względzie plan Borisa, podyktowałem bardzo krótkie dane o sobie i swojej karierze po ucieczce, podkreślając mój ożenek i narodziny Puni. Kapitan wziął mnie na kolację tego wieczoru, pokazując mi swoich niemieckich odpowiedników, także w cywilnych ubraniach siedzących przy innych stołach. Jasność panująca w budynkach i na ulicach była wręcz oślepiająca po latach obowiązującego zaciemnienia.

Następny dzień przyniósł znów przyjemną wycieczkę z miłą przewodniczką z ambasady. Była poważnie zakochana w pewnym młodym oficerze polskim stacjonującym w Londynie i dla dobra tego romansu starała się, choć z nie najlepszym skutkiem, podłapać nieco polskiego z podręcznika gramatyki. Dużą część ostatniego dnia w Szwecji spędziłem z tą zakochaną młodą damą która tak samo jak ja kiedyś, pilnie chciała nauczyć się polskiego. Ale jej motywem była miłość, kiedy w moim przypadku była to sprawa przeżycia. Z tych dwóch motywacji jej niewątpliwie była miłsza. Zanim doszło do pożegnania, w uzupełnieniu pewnych osiągnięć w polskiej gramatyce i wymowie nauczyła się papuzim sposobem śpiewać polską rubaszną piosenczkę wojskową. Żałowałem tylko, że nie będę świadkiem pierwszego wykonania tej śpiewki naładowanej sprośnym liryzmem w obecności jej ukochanego.

Zapadał wczesny zimowy wieczór. Pułkownik Brown był samą uprzejmością. Młody kapitan, który notował moją ostatnią wolę i testament, odwoził mnie na lotnisko. Samolot ze Zjednoczonego Królestwa przyleciał nocą wedle planu, prognoza pogody była pomyślna, i następnego dnia, zapowiadał pułkownik, będę w Londynie. Podróż na lotnisko znów oszałamiała jasnością ulic, ruchem i domowymi światłami.

Daleko poza normalnie oświetlonym terenem lotniska stał zaparkowany dyskretnie w cieniu niechłujnie wyglądający douglas DC3. Założyłem kombinezon, przypiąłem się pasami do jednego z prymitywnych siedzeń. Dwaj piloci RAF w cywilu powitali mnie i wkrótce światła pasów startowych były za nami i stromo nabieraliśmy wysokości, by potem równie stromo zniżyć lot. Ból w uszach przy opadaniu był taki, że z ulgą przyjąłbym zestrzelenie przez niemieckie myśliwce nocne.

Dotarłszy do Zatoki Norweskiej, Morze Północne pokonywaliśmy na wysokości grzbietów fal. Wreszcie zatrzymaliśmy się przy słabo oświetlonym budynku, którego jedynym mieszkańcem był jakiś urzędnik wojskowy.

Musiałem wypełnić formularz dla przybywających. Nazwisko, stopień i numer wojskowy oraz inne szczegóły zostały dokładnie sprawdzone i porównane z listą którą ów urzędnik miał przed sobą. Zwrócił baczną uwagę na siódmkę, która znajduje się w moim numerze wojskowym. Napisałem tę siódmkę w taki sposób, jaki musiałem pisać od chwili mojej ucieczki. Moja siódmka miała poprzeczną kreskę, jak to się pisze w Europie, a więc wyglądała inaczej niż siódmka angielska. Domyślałem się, w czym rzecz, i wyjaśniłem, uprzedzając podejrzenia, że to siła przyzwyczajenia europejskiego.

Miejscowość w Zjednoczonym Królestwie, do której wreszcie przybyłem, to Leuchars. Leży niedaleko Edynburga, ale dla mnie ważniejszym odnośnikiem był St. Andrews, ojczyzna golfa. Małe lotnisko leżące blisko wybrzeży Szkocji specjalizowało się w obsłudze lotów tego rodzaju właśnie, jakim przybyłem. Przed wyjazdem wczesnym rankiem następnego dnia wydarzeniem było śniadanie z długo oczekiwanymi jajkami na bekonie. Poczułem się prawdziwie wolny.

Z przepustką na podróż i kilkoma funtami w kieszeni odwieziono mnie na stację kolejową skąd miałem złapać bezpośredni pociąg do Londynu.

Resztę tego wspaniałego dnia spędziłem, pędząc spokojnie na południe i pochłaniając widoki dawno niewidzianego kraju rodzinnego. W wyraźnym kontraście w porównaniu do niemieckich cywilów, których niedawno obserwowałem, ludność brytyjska w pociągu i na peronach stacji, gdzie się zatrzymywaliśmy, była energiczna i pełna werwy. Po raz pierwszy w czasie tej wojny byłem po stronie wygranych. Francja w 1940 roku to była druzgocąca klęska wojsk brytyjskich, choćby nie wiem co mówić o Dunkierce. Jeniec wojenny to niezbyt podbudowująca moralnie pozycja żołnierza, a walka w okupowanej Polsce była w zasadzie masakrą heroicznych patriotów. Teraz wszystko szło dobrze i w czasie długiej podróży pociągiem do Londynu myśl o walce zwycięskiej zamiast wycofywania się była przyjemnym oczekiwaniem zmiany. Wspomnienie o Marysi i Puni tkwiło mi w głowie bez przerwy. Jutro zapowiedź „Niech Staś powie Marysi, że Paweł jest u siebie” będzie priorytetową informacją dla Warszawy. Dla wciąż otoczonej przez Szwabów rodziny wiadomość o moim pomyślnym dotarciu na miejsce będzie dużym wsparciem duchowym.

DOM

Było już ciemno, kiedy wczesnym wieczorem pociąg wtoczył się na stację Euston. Bez kłopotu złapałem taksówkę. Taksiarz, usłyszawszy o ulicy na odległym przedmieściu New Cross, najpierw nie chciał wziąć takiego kursu po nieoświetlonych ulicach miasta. Pomogło dopiero, gdy powiedziałem, że wracam do domu po czterech latach nieobecności, oraz wręczyłem argument pieniężny, i tak znalazłem się na Pepys Road, ulicy nazwanej tak od nazwiska słynnego pamiętnikarza, który tu kiedyś mieszkał. Drżąc z podniecenia, stanąłem pod domem numer 54. Trudno było cokolwiek zobaczyć w ciemności, ale zwracał uwagę brak metalowego ogrodzenia, jakie kiedyś otaczało mały ogródek przed naszym średniej wielkości domem z tarasem. Przez kolorowe szybki w drzwiach na szczycie schodów

widać było słabutkie światło. W odpowiedzi na dzwonek światło wewnątrz pojaśniało i otworzyły się wewnętrzne drzwi, oświetlając hol.

„Kto tam?“, usłyszałem głos mojego ojca, który się wcale nie zmienił.

„Ron“.

„Kto?“.

Głośniejsze: „Ron!“. Drzwi się otworzyły. „Ojciec“.

„Mój drogi chłopcze! Zawsze mówiłem, że wrócisz“.

„Matka! Eileen!“. Jego wołanie rozlegało się po domu.

Zanim doszedłem do naszej przedwojennej kuchni, która teraz służyła za salon, zostałem dosłownie rozerwany na kawałki przez oboje rodziców i siostrę. Cała nasza czwórka przejęta wzruszeniem oniemiała. Rozmowa początkowo toczyła się wolno, ale jak już zaczęła, nabrała tempa. Ostatnia wiadomość, jaką otrzymali ode mnie, była to jeniecka karta pocztowa z 1941 roku, wysłana akurat przed moją ucieczką. Karta stała na kominku, a obok niej inna, napisana parę tygodni po ucieczce, w której była mowa o mojej nadziei spotkania się z Iwanem. To napomknienie uszło uwagi niemieckiego cenzora a zostało napisane do moich rodziców przez współwięźnia, który także dał do zrozumienia w sposób zakamuflowany, że brak wiadomości to dobre wiadomości. Mama szalała z niepokoju i przed załamaniem chronił ją tylko niezłomny optymizm mojego ojca i siostry Eileen. Włosy dobrze jej już posiwiały, to wynik ciągłej niepewności, trudniejszej do zniesienia niż nagła wiadomość o śmierci. Mama cierpiała więcej niż ktokolwiek. Rozmawialiśmy o losach i miejscach pobytu wielu znajomych, o których nie słyszałem od lat. Ciężki smutek pojawiał się często na twarzach moich bliskich, kiedy przekazywali mi smutną wiadomość. Wiele osób, które wspominaliśmy, poległo lub zaginęło.

Nie było końca tych rozmów, dopóki wczesnym rankiem nie rozległy się syreny alarmowe. Mama i Eileen należały do cywilnej obrony przeciwlotniczej, wyszły więc na ciemne ulice w metalowych nakryciach głowy, pozostawiając w niepokoju mnie i ojca, który był doskonale obeznany z wydarzeniami. Czarne niebo na południe od Londynu i nad dokami przy Tamizie poprzekreślane było snopami światła reflektorów przeciwlotniczych i niepokój nasz zmalał dopiero, jak alarm odwołano i obie strażniczki wróciły do domu. Pojawiła się butelka Gordona i nadszedł czas, by podzielić się nowościami o polskiej rodzinie.

„Eileen. - Moja ukochana siostra pochyliła się w moją stronę z wyrazem niedowierzania na twarzy, kiedy usłyszała: - Jesteś ciocią! A wy, mamó i ojczu, macie wnuczkę“. Zapanowała ogólna wrzawa. Mój ojciec podniósł się i otworzył drzwi szafy.

„To ostatnia butelka dzinu - powiedział, odwracając się z pełną butelką Gordona w rękę - ale wiadomość warta jest jeszcze jednego drinka“.

Od New Cross było dosyć daleko do Ministerstwa Wojny i zjawiłem się tam około południa następnego dnia. Zgodnie z instrukcjami, jakie otrzymałem na lotnisku w Leuchars, zgłosiłem się do departamentu znanego powszechnie jako SOE, Wydział Operacji Specjalnych [Special Operations Executive]. Główną funkcją SOE było wyrządzać jak największą szkodę nazistom. Popierali i wspomagali wszelkie ruchy oporu ludźmi, pieniędzmi i uzbrojeniem, i w ogólności robili wszystko, co utrudniało życie okupantom. Mając tak szerokie zadania, zarówno co do programu, jak i rozległości

terenu, współpracowali ściśle z innymi organizacjami wywiadowczymi. W ich szeregach znajdowali się najbardziej drańscy, paskudni i najbardziej utalentowani mężczyźni i kobiety działający po stronie aliantów, była to opinia Churchilla. Od pierwszego podania ręki i powitania tego ranka polubiłem ich i myślę o nich bardzo życzliwie. Oni także, jak mniemam, mnie polubili i czułem się jak w domu.

Po tym, co nastąpiło w Anglii po moim pierwszym spotkaniu z ludźmi SOE, opowiadanie moje przyjmuje nowy, inny wymiar. Od teraz nazwiska i funkcje osób, o których będę mówił, są prawdziwe lub takie, jakie mi podawano. Rozumiem, że wypowiadając się o służbach wywiadowczych, należy uszanować ich tajność. Jedną z przyczyn pozwalających mi na mówienie teraz o ludziach bez osłonek jest fakt, że nazwiska ich pojawiły się w wielu anglojęzycznych publikacjach powojennych. A także dokumentacja w języku ojczystym zdarzeń, które rozegrały się w moim rodzinnym mieście, z dala od konspiracji i tortur okupowanej Europy, była mniej skomplikowana i zachęcała do autentyczności. Miejsowości i daty mogą być, przez zwykłą zawodność pamięci, nieścisłe, ale nie ma to większego znaczenia dla opisywanych spraw.

Następnych parę dni zajęły mi niekończące się rozmowy i przepytywania przez urzędników i oficerów SOE. Pułkownik Perkins i major Pickles to nazwiska, które przychodzą mi na myśl z tego czasu, ale najlepiej zapamiętałem majora Dicka Truscoe, małą postać, ale wielką osobowość. Dick Truscoe mówił dosyć dobrze po polsku, a jego nazwisko było angielską wersją nazwiska Truszkowski. Dick i jego brat Adam urodzili się i wychowali w Londynie, byli dziećmi polskich rodziców od dawna osiedlonych w Anglii. Adam, który także mówił po polsku, ale z wyraźnym angielskim akcentem, wrócił do Polski i pracował w Podziemiu w Warszawie, ale nie wiem, w jakim charakterze. Dick, jakby z natury rzeczy, znalazł się w polskiej sekcji SOE i stał się moim bliskim przyjacielem. Mówił precyzyjnym i dobrze modulowanym angielskim, który był jego językiem macierzystym, chociaż pewne ślady słowiańskich wpływów dało się w jego wymowie zauważyć. Wiele dni trwały rozmowy i wywiady, by odpowiedzieć na mnóstwo pytań, z których wiele wychodziło poza zakres moich wiadomości. Niemniej wyrażano zadowolenie z otrzymywanych odpowiedzi. Major Pickles często uczestniczył w tych rozmowach i od niego dowiedziałem się, że śledzono moją karierę z zainteresowaniem od dłuższego czasu, a nawet wzbudzała ona pewne zdumienie. Zdumienie do tego stopnia, że jakiś miesiąc temu zdecydowano się wyciągnąć mnie z Polski, zanim niewątpliwie, ich zdaniem, wpadnę w ręce Niemców.

Najwyraźniej nie doceniano w SOE mojej dobrej wróżki i pulowerowego fetyszu. Poczyniono przygotowania do sprowadzenia mnie z powrotem do Zjednoczonego Królestwa, kiedy właśnie zaoszczędziłem im wiele kłopotów, wracając z własnej inicjatywy.

Najniższą rangą z jaką wtedy się kumałem i byłem na przyjaznej stopie, był kapitan. Chodziłem w cywilnym ubraniu - ciągle przebywanie w Ministerstwie Wojny w mundurze kaprała, zgodnie z moim statusem, zmniejszałoby niejako wagę informacji, jakich udzielałem, a były to osobistości coraz wyższej rangi. Dick Truscoe załatwił w jakiś sposób pozwolenie dla mnie na używanie ciągle cywilnego ubrania. Postanowiono jednak wkrótce rozwiązać sprawę niestosowności mojego stopnia wojskowego. Załatwiono w trybie natychmiastowym awans oficerski, zresztą na skutek kablogramu wysłanego w 1943 roku przez dowódcę polskiego podziemia. Kablogram adresowany był do mojej jednostki macierzystej Queen's Own Royal West Kents poprzez Ministerstwo Wojny. Wnoszono wtedy o promowanie mnie do stopnia porucznika i mówiono, jakim to ja jestem użytecznym i wspinałym członkiem tego regimentu w pracy Podziemia.

W trakcie intensywnych rozmów i przesłuchań przez SOE nie omieszkalem napomknąć o mojej znajomości z Janem Nowakiem, kurierem Podziemia, który zabrał mój pierwszy list do dziennika

„Times” w Londynie. Wraz z Dickiem Truscoe i innym oficerem złożyliśmy wizytę w dużym budynku na Upper Belgrave Street przejętym na kwaterę główną polskiego Oddziału Szóstego. Kierownikiem tej jednostki był pułkownik Protasewicz i zespół jego odpowiadał za łączność SOE z Podziemiem w okupowanej Polsce. Okazało się, że zgromadzono tam wiele informacji o mnie. Z natury rzeczy polskie i brytyjskie organizacje współpracowały ze sobą bardzo harmonijnie. Protasewicz był samą uprzejmością i kiedy potrząsaliśmy po słowiańsku rękoma, zwierzył się, że był zdumiony raportami, jakie o mnie przysłała Warszawa. Na dany znak otworzyły się drzwi i wszedł polski major lotnictwa w mundurze nieodróżnialnym od munduru RAF, z wyjątkiem naszywki na ramieniu „Poland”. Tak spotkałem po raz pierwszy Józefa Koziarskiego, i kiedy padło nazwisko zaskoczonego majora, zdałem sobie sprawę z wagi tego spotkania. Choć nie w ramach oficjalnego raportu, wspomniałem Dickowi Truscoe o przyjaciółce, którą spotkała w Warszawie Marysia na długo przed moim wyjazdem do Zjednoczonego Królestwa. Ta przyjaciółka Marysi, spikerka radiowa o najprzyjemniejszym głosie, powiedziała mi, że nie widziała swojego męża lotnika od początku wojny, ale wiedziała, że przeżył i dotarł do Anglii. Nazywała się Ola Koziarska. Wszyscy uradowali się na wspaniałą wiadomość, że jeszcze bardzo niedawno jego żona była zdrowa i miała się dobrze, choć nie wspomniano o jej niebezpiecznej działalności w Podziemiu. Zaprzyjaźniłem się bardzo z Joem Koziarskim i przyjaźń ta trwa do dziś. Major, bardzo wzruszony, wyszedł, a pułkownik Protasewicz poprosił do gabinetu nie kogo innego, a Jana Nowaka, tego kuriera warszawskiego, który objął mnie a la Polonaise. Była to wielka i przyjemna niespodzianka dla nas obu. Truscoe powiedział mi potem, że Nowak doręczył ten list do „Timesa” i sporządził bardzo pozytywny raport na temat moich dokonań w Podziemiu. Dumny jestem, że ten dzielny Polak wspomina o mnie bardzo dobrze w swej świetnej książce Kurier z Warszawy napisanej i opublikowanej po wojnie. Chociaż nie wspomniał o tym wówczas, ale Nowak już wtedy wpadł w Londynie w tarapaty, w które wplątały go brytyjskie osobistości ze sfer rządowych. W książce podaje szczegóły spraw, dotąd jeszcze niewyjaśnionych, a dotyczących prób i nacisków mających na celu zdyskredytowanie go.

Na mnie także z czasem przyszła kolej, i choć Nowak opisuje swoje wysiłki w mojej obronie przed oskarżeniem o dywersję, nie mieliśmy dostatecznej siły przebicia, by odwrócić bieg wydarzeń sterowanych przez brytyjskich sabotażystów działających, jak mogę to ocenić, i wtedy, i teraz*.

Pod koniec tych dwu pamiętnych spotkań tego ranka Protasewicz z dużą przyjemnością potwierdził, że Warszawa otrzymała wiadomość radiową o którą prosiłem, a dotyczącą mojego przybycia do Londynu. Wiadomość „Niech Staś powie Marysi, że Paweł jest u siebie” figurowała w prasie podziemnej jako „Biuletyn Specjalny” i kopię tego tajnego pisma otrzymano w Londynie. Koło połowy marca miałem jeszcze jedno ważne spotkanie. Major Dick Truscoe zorganizował je prawdopodobnie z własnej inicjatywy. Dick był Brytyjczykiem, ale polskiego pochodzenia, i nie było żadnych wątpliwości co do jego polskich sympatii. Moje propolskie stanowisko inspirowało go do dania mi jeszcze jednej możliwości przedstawienia najistotniejszych spraw związanych z walką Polaków przeciwko Niemcom oraz ze zbliżającym się poważnym zagrożeniem ze wschodu.

Sir Owen O'Malley, ambasador brytyjski przy polskim Rządzie Emigracyjnym w Anglii, zaprosił mnie na rozmowę przy herbacie. Był to Irlandczyk, sędzę, o dużym wdzięku osobistym. Bardzo był brytyjski. Przejawiał ogromną sympatię do Polaków i miał wiele uznania zarówno dla ludzi, jak i dla narodu. Zadawał wiele pytań na temat tego, co działo się w Polsce, i bardzo życzliwie słuchał o sprawach Podziemia i ludności cywilnej. Poruszył też sprawę rosyjską. Mogłem tylko powiedzieć, że każdy ma nadzieję na najlepszy rozwój wypadków, ale boi się najgorszego. Bezpośrednie pytanie, czy Niemcy, czy Rosjanie są odpowiedzialni za wymordowanie piętnastu tysięcy polskich oficerów w Katyniu, pozwoliło mi na rozwinięcie tematu i przedstawienie mojej jednoznacznej opinii opartej na wnikliwych studiach tego ponurego zagadnienia. Istniały niezaprzeczalne dowody, że Rosjanie byli

winni wymordowania tych bezbronnych ludzi, ale były również niezaprzeczalne dowody, że Niemcy nie mogli tego dokonać. Padło wiele pytań natury osobistej i było jasne, że ambasador miał już wiele informacji o mnie, mojej przeszłości i moich przejściach. Myślę, że chodziło o podsumowanie spraw przed podjęciem działań, które zamierzano podjąć po otrzymaniu moich informacji.

W wyniku tego spotkania z sir Owenem O'Malleyem zaproszono mnie na następną rozmowę. Otóż ten uprzejmy ambasador wystosował list o naszym spotkaniu do Franka Robertsa, wysokiej rangi dyplomaty w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. W liście tym sir Owen stwierdził, że ma zaufanie do tego, co ode mnie usłyszał, do tego stopnia, że jego zdaniem powinienem

PRZYPISY AUTORA:

* Pamiętajmy, że niektóre oceny autora, pochodzące z 1985 roku, wskutek zmian w Polsce i świecie, jakie zaszły od tego czasu, nieco się zdezaktualizowały (przyp. red.).

uzyskać audiencję u premiera Churchilla i ministra Edena. W dodatku na końcu tej książki znajduje się kopia listu sir Owena do pana Robertsa. Uważałem za stosowne zamieścić ten list i niektóre inne materiały, których nie mogę w tym miejscu szczegółowo omawiać.

Spotkałem pana Robertsa i rozmawialiśmy w czasie lunchu w eleganckiej restauracji w West Endzie, dokąd, wydawało się, nie dotarły ograniczenia związane z kartkami żywnościowymi. Mój gospodarz był uprzejmy, układny i wytworny i miał dar trafiania w sedno spraw. Czytał moje sprawozdanie przedstawione w SOE, w którym oskarżałem Sowietów o wymordowanie piętnastu tysięcy polskich oficerów w Katyniu w 1940 roku. Niemcy zbili na tej masakrze wielki kapitał propagandowy i moim zdaniem słusznie obwinili Rosjan. Wszyscy Polacy uznali tę zbrodnię za politycznie motywowany akt mający na celu zniszczenie znacznej części siły przywódczej, która mogłaby pokierować oporem narodu przed komunizacją.

Materiał zawarty w osobistym raporcie o Katyniu także był szczegółowo dyskutowany. Roberts wydawał się zgadzać z moją oceną i chociaż spodziewałem się mniej więcej, co powie, nie było mi łatwo zaakceptować to, co nastąpiło, jako że moje osobiste przekonania były w tej sprawie nadzwyczaj jasne i silne.

Całą tę sprawę trzeba jakoś wyciszyć, oświadczył Roberts. Dla reszty aliantów zgodzić się z Niemcami, że to Rosja, wschodni partner, jest winna dokonania jednego z najgorszych przestępstw wojennych w historii, mogłoby oznaczać podważenie sił sprzymierzonych w najbardziej istotnym momencie wojny. Enigmatyczni Rosjanie mogliby nawet zerwać przymierze. Widziałem niemiecką maszynę wojenną z bliska i nie miałem żadnych złudzeń, co to by była za tragedia, jeśliby ta cała rosyjska potężna masa ludzka przestała naciskać na nazistów. Musiałem przyznać rację słuszności tego rozumowania, ale wcale nie ukrywałem mojego wstrętu do Rosjan w ogólności, a szczególnie za Katyń. W rzeczywistości moje stanowisko było tak antyrosyjskie, że mogło być zrozumiane jako niechęć do współpracy.

Przedstawiono mi ultimatum. Jeśli nie będę trzymał zamkniętej buzi na temat Katynia lub spraw pokrewnych, ściągnę na siebie wiele kłopotów. Nie musieli mnie straszyć. Dobrze rozumiałem konieczność zachowania antyniemieckiej militarnej jedności, choć może niechęć zrobiłem przeciwne wrażenie w rozmowie z Robertsem. Jak tylko wojna się skończy, prawda wyjdzie na jaw. Jednak nigdy tak się nie stało, albo tylko w nieznacznym stopniu. Konspiracja milczenia panuje ciągle*, zarówno co do sprawców,

PRZYPISY AUTORA:

* Książka została wydana w 1985 r. i ten tekst odzwierciedla ówczesną sytuację polityczną oraz stan ducha autora (przypis red.).

jak i ofiar. Co więcej, ignorancja w sprawach Katynia dziwnie popierana jest przez te rządy, które by najwięcej skorzystały na rozgłoszeniu, czego mogą oczekiwać oponenci polityczni, którzy wpadną w ręce komunistów. Militarne racje, by nie podważać przymierza, które przedstawił Roberts w początku 1944 roku, nie wymagają komentarzy. Dlaczego jednak prawdy nie ujawnia się ludziom w krajach demokratycznych po wojnie? Pewnie jest to skutek z jednej strony trwałości zdradzieckich wpływów, a z drugiej wrodzonej naiwności. Od zakończenia wojny diabelski potencjał tej najbardziej śmiertelnej broni, jaką jest działalność wywrotowa wszelkiego rodzaju, wcale nie zmalał, a wprost przeciwnie, rozszerza się, wykorzystując uczciwe podstawy demokracji w służbie hipokryzji i ideologii tyraństwa.

SOE wykazało duże zainteresowanie raportem i propozycją Borisa. Dick Truscoe wyjaśnił, że sprawa ta leży nieco poza normalnym polem działania, ale odpowiedni wydział analizuje rzecz szczegółowo. Dla mnie wszelkie opóźnienia w podjęciu oferty Borisa graniczyły z obłędem. W tym czasie nie mogłem przedsięwziąć żadnej akcji. Na dodatek był jeszcze ważny czynnik osobisty w całej tej sprawie. Trzymając się rozsądku, sercem modliłem się o poparcie takiego militarnego rozwoju wypadków, które by mój szybki powrót do Warszawy uczynił niezbędnym. Te niekończące się rozmowy, rozmowy i rozmowy stały się nudne i mało podniecające. Nie brano pod uwagę, że czas znaczy wiele ludzkich istnień.

Okazało się, że wprawdzie polska sekcja SOE zastrzegła dla siebie wszystko, co mogłem zaoferować, to jednak, nie tracąc kontroli, stawiała mnie do dyspozycji innych agend rządowych i wydziałów zajmujących się różnymi specjalnymi zadaniami. Czasami sam, czasem wraz z Dickiem Truscoe szedłem na kolejną rundę spotkań i niekończących się rozmów. Brytyjczycy interesowali się najdrobniejszymi szczegółami na temat działania Niemców w krajach, w których byłem, co wyrażało się w rodzaju pytań, jakie mi zadawano. Znacznie więcej by można osiągnąć, gdyby po prostu wysłano listę spraw, którymi Londyn jest zainteresowany, na miejsce.

Moja nowa runda obejmowała Ministerstwo Uzbrojenia i BBC. Któregoś popołudnia wylądowałem nawet w londyńskim, z przepychem urządzonym apartamencie księżnej Athol, zaproszony na podwieczorek. Grupa pań, którym zostałem przedstawiony przez Jej Księżęcą Mość pod fałszywym nazwiskiem, członkiń organizacji zajmującej się zbieraniem funduszy i przekazywaniem paczek dla jeńców wojennych w niemieckich obozach jenieckich, z zainteresowaniem słuchała o życiu w obozach. Na terenie SOE i w instytucjach o, miejmy nadzieję, zapewnionej tajności, używałem swojego nazwiska Jeffery. Teraz jednak, stykając się z szerszą publicznością zasugerowałem Dickowi Truscoe, by uniemożliwić Niemcom dowiedzenie się, że pojawiłem się w Zjednoczonym Królestwie. Nigdy nie mieliśmy pewności, do jakiego stopnia Niemcy są na tropie sprawy Borisa i czy jest o coś podejrzewany. Należało więc za wszelką cenę utrzymać w tajemnicy powiązania między nami, szczególnie teraz, kiedy byłem w Anglii, a nie w Szwecji, jak to aranżowano pierwotnie. Dla tego celu otrzymałem cywilną przepustkę upoważniającą mnie do wstępu do wszelkich wydziałów, była to też wizytówka przedstawiana przy wszystkich wywiadach. Moje nowe, znów fałszywe nazwisko brzmiało Ron Kenton.

Tak więc jako pan Kenton zostałem przedstawiony paniom na ich zebraniu. Wszystkie miały wyraz twarzy, jaki ich zdaniem wypadało mieć na spotkaniach z tajnymi agentami. Frustracja, jaką wtedy przeżywałem, sprawiła, że nie wypadłem chyba na bohatera. Świętym obowiązkiem każdego jeńca

wojennego, podkreślałem, jest uważać się za żołnierza w czynnej służbie i powodować najwięcej jak można szkód przeciwnikowi, zwłaszcza przez wszelkie próby ucieczki. Dzięki wspaniałej robocie Międzynarodowego Czerwonego Krzyża ciężkie warunki, w jakich przebywali jeńcy w pierwszym roku wojny, poprawiły się bardzo, szczególnie w odniesieniu do naszych ludzi. Istniało nawet przypuszczenie, konkludowałem, że dla niektórych jeńców warunki są tak bezpieczne i przyjemne, iż nawet zasadniczy motyw bycia wolnym może okazać się niedostateczny dla podjęcia ucieczki, szczególnie biorąc pod uwagę szansę przeczekań wojny w stosunkowo wygodnym więzieniu.

Księżna Athol stała się gorącą orędowniczką Polaków, zorganizowała Brytyjską Ligę Wolności dla Europy (British League for European Freedom) i stanęła na jej czele. Liga stawiała sobie za zadanie walkę o naprawienie krzywd, jakich doznały kraje Europy Wschodniej, które zostały militarnie i politycznie zniewolone przez rosyjskich komunistów w wyniku nieudolności zachodnich przywódców.

Polska była i pozostaje bezprzykładną ofiarą niesprawiedliwości we współczesnej historii.

Wiele razy miałem przyjemność być głównym mówcą na dużych zebraniach publicznych, jakie Liga organizowała, by protestować przeciwko upadku wolności w Europie Wschodniej. Nie rozluźniało to jednak sowieckiej pętli. Pobyt w Blair Athol w Szkocji, rodowej siedzibie Jej Księżęcej Mości, w małym tylko stopniu pomógł mi znieść smutki, jakie przygniatały mnie w tym czasie. W BBC spotkałem pannę Brigid Maas, pełną życia realizatorkę popularnej radiowej serii wojennej *Into Battle* (Do walki). Niektóre moje spostrzeżenia dotyczące życia w okupowanej Europie zostały włączone do jej regularnych audycji i ona też zaaranżowała nagranie, bardzo lubiane przez tysiące Polaków pracujących i walczących po stronie aliantów. Z dokładnymi szczegółami i efektami dźwiękowymi w tle wyprodukowano też płytę z młodym Polakiem śpiewającym w warszawskim tramwaju bardzo antyniemiecką piosenkę. Takie zdarzenia były czymś codziennym. Szczególnie interesujące były moje wspomnienia, kiedy jechałem warszawskim tramwajem przepełnionym Niemcami i Polakami, a młody chłopak zaczął śpiewać głośno i z talentem po polsku rubaszną antynazistowską śpiewkę. Niemcy, którzy nie rozumieli, o co chodzi, słuchali obojętnie, jak śpiewano o ich niezamężnych matkach i Führerze, i patrzyli, jak rozradowana reszta pasażerów szczerze wrzuca monety do kapelusza przekazywanego z ręki do ręki po zakończeniu występu. Podziemni słuchacze w Polsce także byli wzruszeni tą transmisją.

Od przybycia do Londynu większość nocy spędzałem w domu przy Pepys Road w New Cross. Zdarzyło się tyle spraw, o których chciałem się dowiedzieć, a że najczęściej byłem za dnia bardzo zajęty, wyjeżdżając do miasta codziennie rano, wspaniale było wrócić wieczorem i grzać się w ciepłe znowu połączonej rodziny. Wiadomość o moim powrocie szybko rozeszła się w okolicy. Krewni i znajomi okupowali dom i cieszyliśmy się razem jak bardzo zwarta rodzina. Jeden tylko cień padał na te spotkania. Niepokój o losy Marysi i Puni był jakby lżejszy, kiedy dzielili go ze mną matka, ojciec i siostra. Stopniowo też miałem mniej zajęć urzędowych, mogłem więc przyjrzeć się zniszczeniom wojennym Londynu i pochodzić sobie po różnych dzielnicach, które dobrze znałem. Kilku starszych mężczyzn, zatrudnionych u ojca przed wojną ciągle jeszcze pracowało w małym zakładzie mleczarskim. Zakład był czynny przez siedem dni w tygodniu i faktycznie dzień i noc. Duże zniszczenia od bomb i pożarów w pobliżu oddziaływały wręcz paraliżująco. Mężczyźni i kobiety, którzy zarabiali na chleb w zakładach produkcyjnych i usługowych, umożliwiając w ten sposób życie codzienne wojującej Anglii, właściwie obsługiwali równie ważną i często nawet bardziej niebezpieczną linię frontu, jak ci w mundurach. Mając więcej wolnego czasu oczywiście zrobiliśmy, ojciec i syn, turę po miejscowych barach. Nieupiększone opowiadania o poświęceniu strażaków, członków cywilnej obrony przeciwlotniczej, policjantów uczyły skromności. Ludzie w Londynie byli

podobni do warszawiaków. W obu miastach panował ten sam duch, „nigdy się nie poddamy”, widać było na smutnych twarzach, ale nie na tyle smutnych, by nie wybuchnąć serdecznym śmiechem wobec oczywistego jakiegoś absurdu.

Minął już ponad miesiąc od mojego powrotu do Anglii i stopniowo różne przesłuchania, czasem ostre pojedynki słowne, ciągle odwiedziny biur i urzędów osłabły. Niektóre z wielu osób, które spotykałem urzędowo, wydawały się lubić moje towarzystwo i musiałem nawet przyhamowywać czasem ich gościnność, żeby obowiązki towarzyskie nie stały się całodziennym zajęciem. Większość moich nowych przyjaciół, jestem pewien, jeżeli nawet nie interesowała się mną osobiście, była szczerze zainteresowana wojną i chciała się dzielić doświadczeniami i radować osiągnięciami, w takim przynajmniej stopniu, w jakim można było o tych sprawach dyskutować. Pewne osoby, które poszukiwały mojego towarzystwa z różnych oficjalnych i nieoficjalnych okazji, były członkami zespołu wywiadowczego i miały własne tego motywy.

Któregoś dnia przyszła do SOE bardzo podniecająca wiadomość. Pan Winston Churchill zaprasza mnie do swojego domu w Chartwell. Weź piżamę, żartowano. Premier miał zwyczaj przetrzymywać swoich gości, nie licząc się z czasem, jeśli go interesowali. Jeszcze bardziej przejąłem się tą sprawą kiedy dowiedziałem się, że sekretarz stanu Eden także był na liście gości. Oczekiwałem na samochód, który miał mnie wziąć do Cartwell, w Ministerstwie Wojny, ubrany prawie po wojskowemu, w moim nowo nabytym szwedzkim płaszczu. Weszła blondynka z Wojskowych Oddziałów Kobiety i pokazała umundurowanemu urzędnikowi za biurkiem jakieś papiery. Już prawie wychodziliśmy, kiedy przybył następny gość, w dużym pośpiechu. Był to goniec wojskowy, który przekazał jakąś wiadomość. Podeszedł do mnie ten urzędnik. „Bardzo mi przykro, sir, ale wyjazd został odwołany”.

Mogło być wiele przyczyn odwołania wizyty u pana Churchilla i wróciłem do SOE tylko trochę niezadowolony. Dick Truscoe wyglądał ponuro, dowiedziawszy się, co się stało. Coś poszło nie tak, coś złego się stało, powiedział i dodał, że wszystko się załatwi. Obaj byliśmy zbytnimi optymistami.

Począwszy od następnego dnia i przez wiele następnych, przychodziłem codziennie do oddziału Ministerstwa Wojny mieszczącego się w dużym biurowcu w centrum Londynu. W pokoju, w którym było tylko parę nijakich stołów i krzeseł, siedzieli dwaj nienagannie umundurowani majorzy, ten mały, niebieskooki był bardziej obmierzły. Na zmianę bombardowali mnie pytaniami o każdy mój krok od momentu ucieczki, wracali do każdego szczegółu podanego w moim raporcie do SOE. Traktowali mnie protekcjonalnie, czasem wręcz szyderczo. Godzinami grzebali się w drobiazgach mojego raportu dla SOE, którego kopia leżała przed nimi na stole. Obaj może i byli oficerami, ale po braku baretek zorientowałem się, że prawdziwego prochu nie wǳchali. Nie dokonali też pewno nic takiego, jak podróż w czasie wojny z Warszawy do Wiednia i z powrotem. Dodatkowe wyjaśnienia i szczegóły dotyczące moich działań, które im przedstawiałem, wywołały ich obrzydliwe i pogardliwe komentarze, że cała historia jest zmyśleniem. Ich stosunek do sprawy mógł być narzucony odgórnie, ale sprzeczności, w jakie popadali w swoich insynuacjach, nie pozostawiały żadnej wątpliwości co do tego, że moja opinia o ich głupocie była słuszna. Biorąc po uwagę, że w raporcie wytłumaczyłem przyczyny każdego posunięcia bez najmniejszych odchyień od prawdy, moją reakcję łatwo sobie wyobrazić. Każde moje stwierdzenie było przedmiotem potwarzy i akurat odwrotnej oceny tych dwóch ołowianych żołnierzyków. Robiło mi się niedobrze. Do wściekłości doprowadziły mnie uwagi dotyczące Marysi i jej rodziny, która jakoby zmusiła mnie, pod pistoletem, do żeniaczki, ponieważ Marysia była w ciąży. Ich zdaniem także wydałem operację wiedeńską w ręce gestapo. Pułkownik Boris miał mnie rzekomo na swojej liście jako niemieckiego agenta, którego zwerbował. Rzygać mi się chciało. Te wszystkie zmyślane oskarżenia były tym bardziej bolesne, że nie znałem w Wielkiej Brytanii ani jednej osoby, którą mógłbym powołać na obronę i potwierdzenie prawdziwości każdej

mojej wypowiedzi. Rozmowa z takimi ludźmi jak ci dwaj majorzy, którzy męczyli mnie całymi dniami, była oczywistą stratą czasu bez dodatkowych dowodów świadczących o mojej niewinności. Coraz częściej po prostu wzruszałem ramionami - „no i co z tego” - na te wściekłe ataki na wszystko, co tylko powiedziałem i zrobiłem, kiedy przysłała mi do głowy pewna myśl. Był ktoś w Londynie, kto mógł mi pomóc. Jeżeli SIS (Tajna Służba Wywiadowcza - Secret Intelligence Service) chce dowodów potwierdzających, może będą łaskawi zwrócić się do Jana Nowaka, tego kuriera podziemnej Warszawy, który był w Londynie. Oba majorów, tak jak przewidywałem, stawiając to żądanie, podrzuciło. Skąd wiem, że są z SIS? Miałem frajdę, widząc wymianę ich pytających spojrzeń, i wyjaśniłem nie bez przyjemności, że każdy szanujący się agent musi umieć czytać pismo do góry nogami, a przecież nagłówki na papierach leżących przed nimi były tego dowodem, świadczyły też o ich braku doświadczenia. Nie byli tym ubawieni. Przestało mi się robić niedobrze, ale moja irytacja rosła.

Nowaka, powiedziano mi szorstko, już proszono o skomentowanie mojego raportu i jego opinia, że jest to zmyślenie, zgadza się z ich własnym zdaniem. Wiedziałem wtedy na pewno, że obaj powodowani wrogością czy też z innych względów, kłamią. To mnie z kolei oburzyło. Nowak wiedział zbyt wiele, żeby mogła mu się choćby przyśnić opinia potwierdzająca te nonsensy. Nawet przecież przewiozł mój list pisany w Warszawie do „Timesa” w Londynie, co moi prześladowcy też wykpiłi jako nieistotne.

Oni, albo klika, która ich kontrolowała, byli odpowiedzialni za nieopublikowanie mojego raportu o postępowaniu Niemców w Polsce. Wyraźnie pomniejszano polskie wysiłki, a nawet dyskredytowano. Zażądałem w związku z tym osobistego spotkania z Nowakiem dla sprawdzenia stawianych mi zarzutów oraz dodałem, że odmowa oznaczać będzie, iż ci dwaj oficerowie są kłamcami. Cisza, jaka po tym zapadła, świadczyła, że nietaktownie trafiłem, w sowieckie podziemie w Wielkiej Brytanii.

Po wojnie Nowak opowiadał o żądaniu brytyjskiego wywiadu, by skomentował mój raport dla SOE. Wydał orzeczenie w Londynie przed tym przesłuchaniem, które akurat opisałem, i określił moje przygody jako niezwykle, ale leżące w granicach możliwości. Trudno to uważać za oskarżenie. W załączniku mówię więcej na ten temat.

Dalsze protesty, wobec dowodów niedostępnych w dalekiej Europie miały się z celem. Dni przesłuchań skończyły się konkluzją jednego z oficerów, mógł to być Kim Philby, który oświadczył, że nie daje wiary ani słowu z tego, co powiedziałem. Takie stanowisko, zauważył, ucina wszelką pomoc władz brytyjskich dla mojej żony i córki. SOE, a specjalnie Dick Truscoe, było zaszokowane takim rozwojem wypadków. A ja żałowałem, że opuściłem Polskę po to, by dać się zaszczyć takim lalusiowatym fircykom.

Tymczasem opowiem o wydarzeniach wedle ich kolejności, a potem wrócę, by skomentować przyczyny, dla których SIS tak postępował. Nietrudno dojść do wniosku, że jedną z ponurych konsekwencji takiego przebiegu wypadków było zaprzepaszczenie wszelkich szans przeprowadzenia planów Borisa, które miały tak obiecujące perspektywy. Osobiście jednak bardziej niepokoiła mnie groźba dla Marysi i dziecka, jaka z tego wynikała. Targały mną skrajne uczucia, od wściekłości do rozpacz, i znów do wściekłości, ale starałem się jakoś trzymać w ryzach. Rozpamiętując tę oszałamiającą porażkę w Ministerstwie Wojny, czułem, że walka dopiero się zaczęła. I trzeba będzie ją kończyć.

Żeby jakoś zebrać rozbiegane i pełne niepokoju myśli, z pomocą Dicka Truscoe otrzymałem parę tygodni urlopu. Gdyby wszystkie moje marzenia się spełniły, trudno byłoby sobie wyobrazić szczęśliwszą sytuację - londyński domowy komfort przed powrotem do Polski i do tego, co było dla

mnie najważniejsze. Ale stało się tak, że nie miałem się z czego cieszyć. I moi rodzice, i siostra uważali, że mój ponury nastrój wynika z niepokoju o domowe sprawy w Warszawie. W czasie urlopu jadałem często w West End. Moja siostra Eileen zwykle mi towarzyszyła i jej wpływ na męskie towarzystwo w naszym gronie był dowodem, jak wydorosłała moja mała siostrzyczka. Dawny wykładowca uniwersytecki, na czas wojny skierowany do urzędu, w którym prowadzono wszystkie przesłuchania, tak często przebywał w naszym towarzystwie, kiedy tylko była siostra, że zacząłem poważnie podejrzewać, iż zamierza zostać moim szwagrem. Nie winię go za to, ale być może łączył on w ten sposób swoje obowiązki urzędowe z przyjemnością. To uosobienie akademickości bez przerwy zbierało informacje o mnie, nie mogę powiedzieć, czy dla przyjaciół, czy dla wrogów.

Otrzymałem rozkaz zgłoszenia się do koszar w Maidstone, gdzie rozpoczęła się moja wojna w 1939 roku. Nie było to już pułkowe centrum szkoleniowe Queen's Own Royal West Kents, tytuł zredukowano do zwykłego Centrum Szkolenia Piechoty. Ubranie cywilne wkrótce zamieniłem na mundur szeregowego kompanii obsługi. Kompania składała się z wojskowych nieudaczników i żołnierzy skierowanych tu przejściowo, a także rekonwalescentów czekających na przydział do jednostek liniowych. Ci niewydarzeńcy pracowali przy obieraniu ziemniaków, czyszczeniu latryn i innych zajęciach niezbędnych do sprawnego funkcjonowania koszar. Na szczęście nie straciłem umiejętności dostrzegania humorystycznej strony całej tej sytuacji, inaczej byłbym nie wytrzymał i załamał się psychicznie.

Obowiązki o takiej wadze militarnej sprzykrzyły mi się po kilku tygodniach i złożyłem wniosek do dowódcy kompanii majora Trumpera, dumnie noszącego baczki, o przeniesienie mnie do jednostki liniowej, zwłaszcza że niewątpliwie zbliżał się D-Day.

Mój wniosek został odrzucony i w dalszym ciągu czyściłem latryny, co było torturą wobec tego wszystkiego, co zaprzętało mi bez przerwy głowę. Ale kampania przeciwko mnie się wzmaciała. Wspominanie przeszłości, wybujała młodość pozwalały mi dostrzegać śmieszne strony mojej sytuacji. Nieustanne myśli o Marysi i dziecku też pomagały mi trzymać się przy życiu, rzecz warta polecenia, niezależnie od trudności życiowych, jakie się napotyka.

Co robił w kompanii obsługi szeregowy Dennis Baker, pozostaje dla mnie tajemnicą. Bardzo przyjacielski, dobry kompan wspierał mnie w odpychaniu od siebie wielu przygnębiających spraw. Był wygadany i trafił do Maidstone, jak twierdził, poprzez jednostkę fotograficzną. Najgorszy żołnierz brytyjskiej armii był bystry i spostrzegawczy. Słusznie czy nie, podejrzewałem, że wsadzono go tu, żeby miał mnie na oku. Nie dałem po sobie poznać nic z tych domysłów, a że był zapalonym cyklistą jego zwyczaj objeżdżania Kent i Maidstone skłonił mnie do kupienia roweru, by mu towarzyszyć. Trzymając się na uboczu i rozmawiając tylko z Bakerem, tą ofertą batalionową byłem wolny od kpinek, nie zawsze życzliwych, którymi żyła kompania. Ci, którzy już byli w akcji i nosili baretki z jakichś kampanii wojennych, uchodzili za istoty wyższe w porównaniu do pozostałych, nieodznaczonych śmiertelników. Goły mundur mówił o braku doświadczenia bojowego i lokował mnie bardzo nisko w wojskowej hierarchii dziobania w stosunku do moich kompanów. Zajęty toaletowymi obowiązkami zrywałem się w duchu i pocieszałem się myślą że rok temu dowódca w polskim Podziemiu wysłał telegram do pułku z zaleceniem, by mnie mianowano na stopień oficerski, wraz z potwierdzeniem odznaczenia mnie polskim Krzyżem Walecznych.

Zdaje się, że w 1944 wiadomość taka, wysłana do Ministerstwa Wojny, jeszcze nie wydobyła się z biurokratycznego labiryntu.

Historia Queen's Own Royal West Kents, napisana i opublikowana w 1954 roku przez podpułkownika Chaplina, to obszerne tomisko i do szczegółowych wiadomości o różnych akcjach dołączony jest

wykaz wszystkich odznaczeń zagranicznych, jakie zdobyli żołnierze naszej jednostki. Mojego polskiego odznaczenia nie wymienia się tam. Czemu? Niewątpliwie stoi za tym klika Philby'ego. Pod koniec książki czytelnik dojdzie do tego samego wniosku.

Szóstego czerwca nadszedł D-Day, słychać było szum silników a błękitne niebo nad Kentem pokryło się smugami pozostawianymi przez samoloty. Patrząc na tę uskrzydloną armadę, czułem bezgraniczny smutek. Gdyby choć w małej części w tym uczestniczyć!

Kilka dni po udanym lądowaniu w Normandii pojawiły się pierwsze bomby latające nad Londynem. V-1 albo broń odwetowa, jak nazywali je Niemcy, były to bezpilotowe samoloty o napędzie raketowym, małe rakiety zaopatrzone w głowicę wybuchową. Jak tylko skończyło się paliwo i zamilkł szum silnika latającej bomby, samolot spadał i następowała eksplozja. Poszczególne bomby latające różniły się nieco co do czasu, po jakim samolot spadał, gdy wyczerpało się paliwo. Pewnego pięknego ranka pożyczyłem motocykl, by przejechać te trzydzieści kilka mil i odwiedzić rodzinę. Mijając ruchliwy Lewisham, duże przedmieście w drodze do New Cross, zauważyłem, że piesi się zatrzymali i bacznie obserwowali coś na niebie.

Nie słyszałem nic poprzez szum mojego silnika, ale żeby móc popatrzeć w górę i sprawdzić, co jest przyczyną tego zainteresowania, zwiniełem, co było rozsądnym posunięciem. Okazało się, że jechałem z tą samą szybkością i po tej samej linii, co latająca bomba nad dachami domów. Silnik zamarł, a samolot zamiast spaść, szybował cicho dalej, powoli obniżając lot akurat nade mną. Natychmiast zawróciłem. Rozległ się okropny hałas, bo samolot w coś rąbnął i nastąpił wybuch. Skutki tej rażącej na ośle, zarówno V-1, jak i później V-2, to przede wszystkim zaostrenie wrogości Brytyjczyków w stosunku do nazistów.

Utrzymywałem kontakt z Dickiem Truscoe i polskim Szóstym Oddziałem. Każdy żałował tego, co się stało i obiecano mi natychmiast przekazać na adres koszar w Maidstone jakiegokolwiek wiadomości o Marysi i Puni, które do nich dotrą.

Armie rosyjskie goniły Niemców już w głębi Polski i wkrótce pojawią się nad Wisłą u bram Warszawy. Oswobodzenie Francji postępowało powoli, ale uparcie i niezawodnie. Mimo głębokiego bólu i niezadowolenia z przebiegu moich spraw, pewność, że wojna osiągnęła początek końca, łagodziła nieco psychiczne urazy, jakimi poczęstowali mnie rodacy. Połączenie sowieckiego ataku frontalnego przez Wisłę oraz powstania z udziałem czterdziestu czy pięćdziesięciu tysięcy bojowników polskiego Podziemia w Warszawie z pewnością spowoduje, że Niemcy opuszczą miasto, tak przynajmniej sądzono i takiego rozwoju wypadków z upragnieniem oczekiwano.

W przekonaniu, że moja dobra wróżka działa na swój cudowny sposób, z początkiem czerwca, w połowie lata w pięknej Wielkiej Brytanii, z wojną zdecydowanie zmierzającą do zwycięstwa, życie stało się znośne. Jeżdżenie wieczorami rowerem po zielonych drózkach w Kent po wydajnym dniu w toaletach byłoby piękne, gdyby jednak móc to robić z lekkim sercem, lekką głową i bez ciągłego smrodu w godzinach pracy. Niektórzy czytają z fusów. Ja stałem się specjalistą od wróżenia ze śladów w wychodku.

Wojna nie przebiegała dostatecznie szybko i chociaż wynik końcowy był oczywisty, aliancka polityka zaakceptowania wyłącznie bezwarunkowej kapitulacji nie zachęcała Niemców do złożenia broni. Wytrwała ich obrona była rzeczą zrozumiałą. Po takim barbarzyńskim postępowaniu nie spodziewali się litości i opóźniali jak mogli oczekujący ich stryczek, zachęcani do tego propagandą Goebbelsa prowadzoną do samego końca.

Nie przeczuwając nieszczęścia, wróciłem późno do koszar po długiej przejażdżce rowerem do ulubionego baru. Przechodząc przez bramę zostałem poinstruowany że mam natychmiast zgłosić się w wartowni. Oczekiwałem jakichś dobrych wiadomości. Nadzieje okazały się płonne, wróg zadał straszliwy cios. Moja matka, ojciec i siostra są w szpitalu w Beckenham, przedmieściu Londynu od strony Kent, ranni w wyniku ataku latającej bomby. Okolicznościowa przepustka była już wystawiona. Ponieważ nie jechał żaden autobus, ani pociąg natychmiast ruszyłem w drogę rowerem, pedałując wariacko, po nocy, stromymi, opustoszałymi drogami w kierunku Londynu. Niepokój, jaki mnie opanował, był trudniejszy do zniesienia niż wszystko, co mi się do tej pory przydarzyło. Po tylu latach rodzina właśnie szczęśliwie się połączyła. Młodzieńcza siła i desperacka chęć dowiedzenia się, co się stało, pędziły mnie przez opustoszałą główną szosę do Londynu i o wczesnym letnim świcie byłem już w szpitalu. Pielęgniarki były szalenie uprzejme i ich współczujące spojrzenia powiedziały mi więcej niż słowa. Wiadomości były złe.

Moja matka i ojciec byli w stanie krytycznym i zostali przeniesieni oddzielnie do innych szpitali, a moja siostra leżała piętro wyżej. Martwa.

Ogarnął mnie ogromny ból i w szoku siadłem na kanapie z twarzą w dłoniach. W drodze z Maidstone łudziłem się nadzieją że wszystko będzie dobrze. Ale to! Sąsiad z Pepys Road położył mi rękę na ramieniu. To on zadbał, by zawiadomiono mnie w Maidstone, i przyszedł, by mi pomóc.

Tom Pettigrew był żołnierzem z pierwszej wojny światowej i wielkim przyjacielem rodziny. Był też szefem oddziału cywilnej obrony przeciwlotniczej, do którego należały moja matka i siostra. Chciałem zobaczyć ciało siostry, ale mi to wyperswadowano. Tom dokonał już formalnej identyfikacji i zapamiętam Eillen taką, jaka była za życia. Zadzwoniliśmy do szpitali, do których przeniesiono matkę i ojca. Oboje byli bardzo poparzeni z wieloma ranami. Dziś akurat wymieniano ich jako pacjentów intensywnej terapii. Stan ich był bardzo ciężki i nie zezwalano na wizyty.

Powoli dochodziły do mnie szczegóły tej tragedii. Zdecydowano, żeby pozostać na noc w naszym domku wiejskim w Kent, jeśli ataki bomb latających się wzmożą. Ojciec zdobył jakoś dość benzyny dla małego samochodu i poprzedniego popołudnia wraz z matką i siostrą byli gotowi do wyjazdu, by przygotować miejsce do zamieszkania. Bomba latająca wybuchła koło samochodu, wywróciła go i samochód się zapalił. Ojciec, mimo że sam był bardzo poparzony i poraniony, zdołał wyciągnąć z płonącego samochodu najpierw matkę, a potem Eileen. Kościół w New Cross, gdzie moi pradiadkowie modlili się w czasie pierwszej wojny światowej, nie mieścił ludzi, którzy przyszli na pogrzeb siostry, łzy płynęły po wielu policzkach, na moich także. Wszyscy zgromadzeni zatopieni byli w wielkim żalu z powodu tej tragedii całej rodziny, i choć ja także prawie traciłem zmysły z powodu tego, co zaszło, pamięć o tym współczuciu i życzliwości ludzkiej trwa do dziś dnia. Na Southern Hills w południowym Londynie jest cmentarz, zadrzewiony teren, gdzie jako chłopiec nieraz wagarowałem i dokąd wybierałem się na wycieczki obserwować ptaki. Tam moja piękna siostra znalazła wieczny spoczynek.

Ojciec leżał w szpitalu wojskowym w Kent, niedaleko od cywilnego szpitala w Farnborough, gdzie umieszczono matkę. Oboje byli poważnie poparzeni i poranieni. Ojciec oprócz fatalnego poparzenia miał pękniętą czaszkę, stracił jedno oko, miał złamane kolano i nadgarstek i doznał wielu głębokich ran ciętych. Matka była w takim samym stopniu poparzona, ale nie odniosła tylu ran, co ojciec. Żeby widzieć ich jak najczęściej, kupiłem motocykl i robiłem codzienne wyprawy do obu szpitali. Cywilne przydziały benzyny na motocykl były dalece niedostateczne i musiałem polegać na nielegalnym zaopatrzeniu w rozpuszczalnik, który dostarczał mi pełen zrozumienia właściciel fabryki. Pozwoliłem sobie na to małe wykroczenie, biorąc pod uwagę radość, jaką sprawiałem moim rodzicom.

Rozpuszczalnik miał jedną wadę, trzeba było się trzymać z daleka od przedstawicieli prawa przy zapalaniu silnika, bo wydzielał bardzo ostre gazy wydechowe łatwo wykrywalne nosem.

Wspaniały, pełen współczucia i bardzo fachowy personel obu szpitali pomagał mi na wszystkie możliwe sposoby. Miałem w tym wszystkim pewien bardzo przykry obowiązek. Jako że oboje rodzice byli zbyt chorzy, żeby znieść wiadomość o śmierci siostry, przez całe miesiące przygotowywałem codziennie dwa odrębne raporty dla matki i ojca o szczęśliwym powracaniu do zdrowia Eileen.

Fabrykowane biuletyny pomagały w uzdrawianiu rodziców, ale musiałem pilnować się, by wyglądały na prawdziwe, i odpowiadać na wiele pytań, dotyczących zdrowia ich córki. Zadanie stawało się coraz trudniejsze. Wszyscy troje będziemy bardzo cierpieć, kiedy prawda wyjdzie na jaw.

Prowadzenie przedsiębiorstwa rodzinnego, które pozostawało teraz bez kierownictwa ojca i siostry, było dla mnie błogosławieństwem. Nie tylko umożliwiało ucieczkę myśli od tej tragedii, ale dawało też podstawy do zwolnienia z wojska z uwagi na okoliczności losowe. Wcale jednak nie było łatwo uzyskać takie zwolnienie. Urlop okolicznościowy przedłużono mi kilkakrotnie, ale na krótko. Nie traciłem czasu i gromadziłem mnóstwo zaświadczeń od cywilnych dygnitarzy i członków Komitetu do spraw Żywności, którego członkiem był mój ojciec, by wnieść sprawę do możliwych w sprawach zasobów ludzkich. Ostatecznie otrzymałem bezterminowe zwolnienie z wojska na podstawie okoliczności losowych, ale jeśli weźmie się pod uwagę, że mój wkład w wysiłek wojenny został zredukowany do czyszczenia latryn, zdumiewa, jak wielką wagę przykładano do mojej służby Maidstone, mimo sytuacji, jaka powstała w tragedią dotkniętej rodzinie.

Jakby nie dość tych kłopotów, doszło mi nowe zmartwienie. Co działo się z Marysią i Punią w Polsce?

Pierwszego sierpnia 1944 roku po południu rozpoczęło się Powstanie Warszawskie. Podziemie wystąpiło do otwartej walki z Niemcami. Miasto stało się polem walki, a moja żona i córka znajdowały się prawdopodobnie w jego centrum. BBC dokładnie informowało o sytuacji, szczegółowe wiadomości dochodziły też z SOE i polskiego Szóstego Oddziału. Wiadomości o zajadłych walkach, jakie ogarnęły znane mi dzielnice Warszawy, powodowały, że bez fałszywej zuchowatości po prostu chciałem w nich brać udział. Każda dzielnica Warszawy była sceną krwawych akcji i miejsca, o których mówiono, nazwiska wielu osób związanych z tymi akurat okolicami żywo tkwiły w mojej wyobraźni. Myśli o Tommiem, Steni, Jance, rodzinie Lorenzów, licznej rodzinie Kaziów i mnóstwie innych rzadko mnie opuszczały, były tak silne, że prawie przesłaniały cierpienia związane z siostrą matką i ojcem, a także z krzywdami, jakie dotknęły mnie w Brytanii. Cały rok 1944 był dla mnie tragedią jedną po drugiej. I wytrzymałem to chyba tylko dzięki osobistej dyscyplinie, jakiej nauczyłem się w okresie próby.

W lipcu 1944 roku nieudany zamach na Hitlera zdradził głęboką niezgodę wśród przywódców niemieckich. Po lądowaniu w D-Day powstała we Francji bezpieczna i mocna baza sił alianckich. Front wschodni rozpadał się w wyniku nacisku Sowietów. Rosyjskie wojska zbliżały się do przedmieść Warszawy na wschodnim brzegu Wisły, a po lewej stronie rzeki znajduje się główna część polskiej stolicy. Sowietkie lotnictwo było w odległości minut od brzegu zachodniego i grzmoty artylerii z nadciągającego frontu było dobrze słychać w mieście.

Czterdzieści tysięcy bojowników polskiego Podziemia znajdowało się w Warszawie, w sercu niemieckiego systemu obronnego. Rosyjskie uderzenie czołowe skoordynowane z równoczesną polską rewoltą w mieście, choć słabo uzbrojoną było oczywiście najlepszą opcją w wojskowym punkcie widzenia. Wiele powiedzieli Rosjanie o nierozsądnym i w niewłaściwym czasie zorganizowanym

Powstaniu. Niezależnie od tego, czy decyzja o ataku pierwszego sierpnia była słuszną, czy nie, wynik tych długich i zawziętych walk był tragedią dla Polski. Wiosną 1940 roku piętnaście tysięcy polskich dowódców, głównie oficerów wojskowych będących w rosyjskich rękach, zostało wymordowanych w Katyniu na zachód od Moskwy. To wyrachowane morderstwo nie zostawiało wątpliwości co do politycznej afiliacji wymordowanych. Być może piętnaście razy więcej Polaków miało umrzeć w Powstaniu Warszawskim. I znowu nie ma wątpliwości, że motywy sowieckie były takie same w Warszawie, jak i w Katyniu. W czasie tego Powstania Rosjanie tak zaaranżowali przebieg spraw, by Niemcy zlikwidowali ich potencjalnego przeciwnika. Niemcy nie mogli zrobić nic innego w odpowiedzi na insurekcję, do której Rosjanie zachęcali.

Rosyjskie radiowe nawoływania do powstania odegrały ważną rolę w decyzji podjęcia przez warszawską armię podziemną otwartej walki. Po kilku dniach stało się jasne, że Polaków nic nie uratuje. Początkowe ataki powstańców, choć niedozbrojonych i dysponujących bronią znacznie lżejszą niż Niemcy, dzięki zawziętości i zaskoczeniu były skuteczne. Nazistowskie punkty oporu na mieście zostały izolowane lub opanowane w wyniku zażartych walk, przy czym żołnierzy Podziemia wspierali cywilni mieszkańcy Warszawy, biorący udział w każdej fazie operacji. Bez rosyjskiej interwencji Niemcy, dzięki znacznie cięższemu uzbrojeniu oraz szybkiemu otrzymywaniu posiłków i uzupełnień, kontratakowali i odzyskali wiele uprzednio straconych pozycji. Gdyby Rosjanie udzielili nieznacznej choćby pomocy od początku, walka zakończyłaby się szybko i Niemcy zostaliby wyparci z Warszawy. Jednak intensywny wysiłek wojenny i współdziałanie z powstańcami, byłyby sprzeczne z planami Moskwy i Sowietów wykorzystali okazję. O ile poprzedzającego tygodnia radio rosyjskie podniecało wrzaskliwie do powstania, o tyle atak polskiego Podziemia na pozycje niemieckie w Warszawie i dookoła miasta spowodował zaprzestanie sowieckiej aktywności militarnej zarówno na lądzie, jak i w powietrzu. I jakimikolwiek by argumentami szafowali politycy różnej maści na temat niesamowitej rzezi dokonanej na Polakach i zniszczenia ich miasta w Powstaniu 1944 roku, jedna sprawa jest jasna i oczywista. Rosjanie zasiedli dookoła olbrzymiej areny wojennej jak widzowie dookoła ringu i podnosili krytyczny wrzask, podczas kiedy ich wojskowy sprzymierzeniec, Polska, wykrwawiała się śmiertelnie walcząc przez ponad dwa miesiące ze wspólnym wrogiem.

Po miesiącach odwrotów, w których wyniku niemieckie siły zepchnięte zostały do wschodniego brzegu Wisły naprzeciw Warszawy, niemieckie dowództwo zastanawiało się zapewne nad przyczyną spokoju, jaki nagle zapanował na tym froncie. Naziści podsumowali jednak szybko sytuację. Doszli do takiego samego wniosku, do jakiego doszło polskie Podziemie i ci z nas, którzy bezsilnie obserwowali sytuację z daleka. Powojenni badacze taktyki komunistycznej wydali jednogłośnie werdykt co do politycznej motywacji Stalina, by zlikwidować powstańców warszawskich niemieckimi rękoma. Niemcy szybko wzmocnili garnizony i rozpoczęli silną ofensywę z użyciem najcięższej broni, z czołgami włącznie. Wypchnęli Polaków z wielu opanowanych przez nich pozycji. Rządy Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych Ameryki apelowały do Stalina, by udzielił wszelkiej możliwej pomocy powstańcom. Churchill i Roosevelt wystosowali osobisty telegram do Stalina z prośbą o wysłanie z baz rosyjskich znajdujących się w małej stosunkowo odległości amunicji i zaopatrzenia słabo uzbrojonym Polakom w Warszawie. Mając już swoje plany sprecyzowane, Stalin odpowiedział na te pilne prośby o pomoc, że polska armia podziemna to grupa kryminalistów, która wywołała powstanie dla własnych interesów, nie licząc się ze stratami polskiej krwi. I ciągle nie było widać rosyjskich samolotów, a frontowe radio rosyjskie zamilkło. Zachodni alianci w obliczu odmowy Stalina udzielenia pomocy z jednej strony Wisły na drugą zgodnie podjęli decyzję zorganizowania zrzutów zaopatrzenia z tak odległych baz, jak Wielka Brytania i Włochy. Eskadry czterosilnikowych bombowców wykonywały nocne loty w obie strony, trwające wiele godzin, do stolicy Polski z najróżniejszego rodzaju bronią amunicją żywnością i środkami leczniczymi. Załogi i maszyny

wszystkich prawie krajów alianckich brały w tym udział, ponosząc cięższe straty niż w jakiegokolwiek prowadzonej dotąd operacji powietrznej.

Straty niektórych polskich dywizjonów dochodziły do stu procent. Nocne loty ułatwiały olbrzymie łuny nad płonąca Warszawą widoczne z odległości setek mil. Pewien doświadczony pilot bombowca z Afryki Południowej, który brał w nich udział, żywo opisał mi piekło nad którym musieli latać, nisko i wolno, by odszukać miejsce zrzutów. Wiele lat po wojnie słyszałem jego wypowiedź o Powstaniu, którą warto tu zanotować.

Loty do Warszawy były bardzo ryzykowne, a przyczyna, dla której musiano ich dokonywać, by przyjść z pomocą Polakom, z takiej odległości, podczas gdy Rosjanie byli tak blisko, wywoływała coraz częstsze komentarze załóg, zwłaszcza że straty były olbrzymie. Polityczne przyczyny masakry, jaką widzieli, przelatując nad płonąca Warszawą zostały szybko zrozumiane. Jak mówił mi mój przyjaciel, pilot południowoafrykański, który mieszka teraz w Nowej Zelandii, za jego zgodą i przeproszając za brzydkie słowa, mogę powtórzyć, że Rosjan po Powstaniu nie nazywano wśród lotników nigdy Rosjanami czy Sowietami, ale po prostu skurwysynami. Ci, którzy widzieli Powstanie z bliska ze swoich samolotów, uważali, że komunistyczni przywódcy zasłużyli w pełni na takie tytułowanie.

Gdzie podziła się aliancka jedność? Wielu lotników niepotrzebnie zginęło, pełniąc tę niebezpieczną misję zaopatrzeniową dla warszawskich powstańców. Pokonywanie czarnego wrogiego nieba całymi godzinami, przedzieranie się pod ostrzałem artylerii przeciwlotniczej i ciągłymi atakami myśliwców nocnych prowadziło do jasno oświetlonej płomieniami strefy zrzutów, bezbronnej wobec przewagi nazistów. Proszono Sowietów, żeby pozwolono samolotom biorącym udział w misjach po dokonaniu zrzutów przelecieć ponad linią frontu na lotniska sowieckie, tam dokonać niezbędnego przeglądu i działać na sposób wahadłowy. Wydawałoby się, że prośbie o taką przysługę sprzymierzeńca wojennego to nic strasznego. Trudno jednak pojąć, że prośba została kategorycznie odrzucona! Wiele uszkodzonych samolotów alianckich i wielu zestrzelonych lotników mogłoby się uratować, dzięki takiej zgodzie na lądowanie. Bez takiej zgody trzeba było podejmować próbę przelotu powrotnego czasem z zerowymi szansami przeżycia załogi.

Jeszcze raz „hurra!” dla przyjaźni sowieckiej.

Ten pilot z Afryki Południowej, który przeżył, by opowiedzieć o wysiłkach zaopatrzenia Warszawy z powietrza, oprócz opisu prawdopodobnie najtrudniejszych misji powietrznych, które kiedykolwiek dokonano, wspominał też o innej strasznej sprawie. Okazuje się, że oprócz znalezienia odpowiedniej nazwy dla rosyjskich przywódców za traktowanie w tak okrutny sposób Polaków w czasie Powstania Warszawskiego, także inny temat był często poruszany w kasynach lotniczych wśród pilotów biorących udział w tych misjach. Brak zgody na lądowanie samolotów po opanowanej przez Rosjan stronie Wisły niezależnie od okoliczności przyjmowano z odrazą ale niezgadzanie się na udzielenie schronienia na pobliskim sowieckim lotnisku samolotom uszkodzonym lub z ranną załogą na pokładzie spotykało się z jeszcze gorszą oceną. Wierzano przy tym powszechnie, choć nie było lotników, którzy przeżyli i mogli to potwierdzić, że wiele uszkodzonych alianckich samolotów, których piloci nie mieli wyboru i musieli próbować lądowania po rosyjskiej stronie Wisły, ostrzeliwały i strącały rosyjskie myśliwce i baterie lądowe.

Powstrzymanie się Rosjan od współpracy, szczególnie w czasie pierwszych dwóch tygodni Powstania, było decydującym czynnikiem w całej tej kampanii. Los bojowników ruchu oporu w Warszawie został ostatecznie przypieczętowany dopiero po dziewięciu tygodniach zawziętej walki, po olbrzymich stratach w ludziach i zniszczeniu miasta. Drugiego października 1944 roku podziemna armia, to

znaczy ci, którzy przeżyli, złożyła broń. Tego co ci słabo uzbrojeni i często niedoszkoleni żołnierze i cywile osiągnęli i przecierpieli, nie doceni nikt, kto przez to nie przeszedł.

Po wojnie, alianci zachodni może ze względu na poczucie wstydu za swoje błędy, militarne i polityczne, nie potrafili wyrazić należytego uznania dla jednej z najzacieklejszych narodowych walk o wolność. Sama Warszawa była nie do poznania, kiedy ucichły wybuchy i przygasły pożary. Główne drogi przejazdowe były zablokowane gruzem, a budynki, zarówno małe, jak i duże zburzone i opuszczone. Tylko ceglane szkielety domów zasłaniały horyzont. Straty same w sobie były szokujące, ale jeszcze bardziej zdumiewający był fakt, że ktokolwiek mógł w ogóle przeżyć wobec takich zniszczeń. Niemcy zarzucili miasto bombami z powietrza, tysiące ciężkich pocisków padało ze wszystkich stron, w tym także ze statków pływających po Wiśle. Odcięto zaopatrzenie w wodę, co uniemożliwiało walkę z szalejącymi pożarami. Zabici byli grzebani w pośpiechu, często tam, gdzie polegli, w ogrodach, na działkach, a nawet na chodnikach, z których zdjęto płyty i kamienie do budowania barykad. Kiedy po zmasowanym bombardowaniu i zawziętej walce padło Stare Miasto, osiemdziesiąt procent powstańców zostało zabitych lub ciężko rannych.

Podziemie walczyło także w dosłownym tego znaczeniu pod ziemią. Często jedyną drogą umożliwiającą przemieszczanie się pomiędzy poszczególnymi odcinkami walki były kanały. W brudzie i szlamie mężczyźni, kobiety i dzieci walczyli o wolność swojego miasta. Naziści wrzucali silne ładunki wybuchowe do włączów, jedynych wyjść dla półmartwych ludzi starających się ratować i dotrzeć do przyjaciół walczących na ulicach. Polacy, niezależnie od wieku i płci, krwawili, topili się, byli paleni i miażdżeni w labiryncie kanałów miejskich.

W połowie września, sześć tygodni od wezwania Polaków do powstania, Sowietci dali symboliczny znak życia o znikomym militarnym znaczeniu. O to właśnie chodziło. Padły strzały i ich wojska zajęły Pragę przedmieście Warszawy leżące na prawym brzegu Wisły nie przynosząc żadnej ulgi czy pomocy powstańcom, którzy w tym czasie byli mordowani tysiącami. Stosunek człowieka do człowieka nieraz na kanwie historii zapisywany był krwią. Nigdy jednak mistrzowie zbrodni nie zbeczczęścili sceny świata większym sadyzmem i pogardą ludzkiego cierpienia, jak to zrobili rosyjscy komuniści, którzy przyspieszyli to powstanie, i niemieccy naziści, którzy uczestniczyli w rzezi powstańców Warszawy.

Hitlerowcy należą już do przeszłości. Komuniści są i będą groźni. Z około czterdziestu tysięcy bojowników polskiego Podziemia, którzy brali udział w Powstaniu, było dwadzieścia dwa tysiące ofiar, wliczając w to pięć tysięcy ciężko rannych. Około szesnastu tysięcy znalazło się w niemieckich obozach jenieckich. Niemieckie straty, o podobnej proporcji zabitych do rannych, wynosiły dwadzieścia sześć tysięcy osób. Straty cywilne, które w tych warunkach trudno ocenić, wynosiły od dwustu tysięcy osób do ćwierć miliona zabitych. Choć oficjalnie niezwiązani z siłami Podziemia, tysiące cywilów poległo w najprawdziwszych akcjach militarnych przeciwko nazistom.

W prasie zachodniej i radiu pojawiły się zaledwie wzmianki o tych olbrzymich ofiarach, jakie poniosła ludność cywilna Warszawy w wyniku sowieckich manipulacji. Japońskie straty w wyniku wybuchu bomb atomowych nad Hiroszimą i Nagasaki razem wzięte były znacznie mniejsze.

Ocenia się, że trzy czwarte miliona polskich cywilów zmuszona została do opuszczenia zniszczonej Warszawy w czasie Powstania i po jego upadku. Ci nieszczęśnicy, z bagażem ręcznym lub na wózkach, który stanowił cały ich dobytek, uciekali nie mając żadnego miejsca docelowego i to w początku mroźnej wschodnioeuropejskiej zimy. Ile jeszcze tysięcy, szczególnie tych bardzo młodych i starszych wiekiem, pozbawionych odpowiedniego pożywienia, dachu nad głową i opieki medycznej, zginęło z winy Związku Sowieckiego?

Stalin był niewątpliwie jednym z największych oportunistów w skali światowej, był skrajnym hipokrytą plagą wszystkich narodów, w tym i swojego. Jego sowieccy spadkobiercy podtrzymują tę tradycję, ale w sposób bardziej subtelny. Niszczą zarówno ciała, jak i umysły.

W zależności od punktu widzenia, miałem szczęście, albo wprost przeciwnie, że nie uczestniczyłem w Powstaniu. Moje uwagi o tej tragedii pochodzą wyłącznie z drugiej ręki. Marysia tam była. (Patrz załącznik - Proces Marysi). Z osobistą znajomością miejsca akcji, terenu i ludzi w nią zaangażowanych, z możliwością nasłuchu bezpośrednich wiadomości o walce, wyrobiłem sobie w Londynie jasny i przerażający obraz sytuacji, który z upływem czasu poparty został osobistymi relacjami Marysi.

Dzięki Bogu w czasie Powstania i kilka miesięcy po jego upadku musiałem wieść bardzo aktywny tryb życia. Prowadzenie przedsiębiorstwa, by zapewnić chleb codzienny rodzinie, było już pełnoetatowym zajęciem. Oprócz starań, by londyńczycy mogli dodawać mleka do herbaty, miałem jeszcze inne zajęcia, które zajmowały wiele czasu. Bardzo ważne były codzienne motocyklowe jazdy z wizytą do rodziców, którzy z trudem i powoli odzyskiwali zdrowie. Zbliżał się też czas przerażającej misji - powiadomienia rodziców o śmierci Eileen.

Bywałem często w polskim Szóstym Oddziale zaniedbując nieco SOE, ponieważ Polacy mieli bezpośredni kontakt z Warszawą i chętnie dzielili się ze mną informacjami. Nie docierały do mnie wiadomości o Marysi i dziecku przez cały czas Powstania i po kapitulacji, wraz z rozsypką Podziemia kontakty były sporadyczne. Pozostawało tylko łączyć w jakąś całość wiadomości, jakie przenikały do Londynu. Należało oczekiwać takiego rozwoju wypadków, co nie zwalniało mnie od starannego studiowania każdego raportu z Polski, jaki tylko wpadł mi w ręce.

Sprawy Powstania oraz wypadków w Polsce po kapitulacji interesowały mnie bardzo nie tylko ze względów rodzinnych. Trapiły mnie coraz częściej ukryte podejrzenia. Brytyjczycy, zarówno ci na wysokich stanowiskach, jak i zwykli ludzie byli bardziej prosowieccy, niżby tego wymagał zwykły sojusz wojskowy. W porządku, jeśli oficjalnie i prywatnie wyrażano uznanie dla roli Sowietów w wysiłku wojennym, ale słyszało się, jak rosyjskiego przywódcę nazywano czule „Wujaszkiem Józiem” („Uncle Joe”), co u osób takich jak ja wzbudzało wątpliwości, czy aby nie obdarza się tego nowego członka brytyjskiej rodziny zbyt wielkim zaufaniem. Nie można było zapomnieć mordów katyńskich i Powstania Warszawskiego. Dziwne, ale moje życie towarzyskie też było bardzo żywe, choć nie tak miłe, jakie by zapewne było w mniej uciążliwych czasach. Wielu starych przyjaciół rodziny wyciągało gościnną rękę, a także nowi, jak państwo Truscoe, księżna Athol i wielu innych, pozwalało mi odwracać uwagę od kłopotów, dopóki nie wydarzyło się znów coś bardzo bolesnego.

Nasi sąsiedzi, państwo Pettigrew byli zawsze bardzo życzliwi. Gdy przyjeżdżałem do domu, wystarczyło, bym podszedł do płotu w ogrodzie, a już wciągano mnie w ciepłe grono rodzinne. Margaret Pettigrew, córka Toma, była pielęgniarką w miejscowym szpitalu i wydawało się, że większość jej kolegów z pracy spędzała u nich mnóstwo czasu. Rowland, syn Toma, jakieś dwa lata młodszy ode mnie, służył w wojsku w pobliżu Londynu i często otrzymywał przepustki. Był doskonałym kompanem. Rowland niechcący zepsuł pewien wieczór, przekazując mi zupełnie prywatnie, z życzliwym niedowierzaniem, plotkę, jaką zasłyszał w Londynie.

Wyszła ona od naszego byłego wspólnego przyjaciela szkolnego, teraz służącego w wojsku i pełniącego jakieś funkcje w budynku Ministerstwa Wojny, w którym to budynku byłem niefortunnie przesłuchiwany przez dwóch majorów z SIS. Dla zasady nie wymieniam nazwiska tego kolegi, ale młody Pettigrew dowiedział się od niego, że ich wspólny przyjaciel szkolny Jeffery kolaborował z Niemcami. Bardzo się tym zdenerwowałem. Kiedy wreszcie te draństwa się skończą? Te zmyślenia

były oburzające, ale wobec ciągle toczącej się wojny nie miałem sposobu obronienia się przed nimi. Osobiście odczuwałem to bardzo boleśnie. Na dodatek jeszcze wszystkie plany Borisa wzięły w łeb. Z jakichś względów Polacy przedstawiani byli w najgorszym świetle.

Często w czasie wojny rozgryzałem różne trudne problemy, ale za żadne skarby nie mogłem się połapać, co działo się po moim powrocie do domu, i nie umiałem dojść do żadnych wniosków. Już wtedy pewna możliwość przyszła mi na myśl, ale szybko ją odrzuciłem. Czyżby to było możliwe, w naszym Ministerstwie Wojny? Albo w Ministerstwie Spraw Zagranicznych? Ale gdzieś to się działo!

Po V-1 przyszły V-2 i w dalszym ciągu trwały masowe ataki na Londyn i okolice. Nowych przybyszów wyposażono w większe głowice z ładunkiem wybuchowym, byli więc znacznie bardziej groźni niż ich poprzedniczki, latające bomby V-1. V-2 były typowymi rakietami zaopatrzonymi w głowice wybuchowe. Startując jak zwykłe rakiety wystrzelane z okazji Guy Fawkes Night*, kierowane były na Londyn, gdzie miały spadać i detonować. O ile latające bomby można było zestrzeliwać myśliwcami, blokować balonami zaporowymi lub niszczyć artylerią przeciwlotniczą nowa broń w locie nie napotykała na żadne przeszkody. Eksplozje były znacznie większe niż V-1, a pociski przylatywały z szybkością ponaddźwiękową tak więc po każdej detonacji słychać było przenikliwy dźwięk pędzącej rakiety-pocisku. Najgorsze w tym wszystkim było uderzenie i zniszczenie bez żadnego uprzedzenia, jak pociski snajperów.

Pewnej soboty koło południa, pamiętam, wskoczyłem na motocykl i popędziłem przez New Cross Gate do szpitala w Farnborough, by odwiedzić mamę. Głośniejsza eksplozja zatrzęsała powietrzem, a po niej nastąpił hałas przelatującej rakiety. V-2 padła w miejscu, do którego się zbliżałem. Stacja kolejowa New Cross Gate, pub naprzeciwko stacji sąsiadujący ze sklepem Woolworths, którego byłem częstym gościem, przepełnione kupującymi, teraz

PRZYPISY AUTORA:

* Guy Fawkes' Night - 5 listopada, hucznie obchodzona rocznica nieudanego spisku prochowego z 1605 r., kiedy to grupa wyznawców religii rzymskokatolickiej zamierzała wysadzić w powietrze Izbę Lordów wraz z rządem i królem (przyp. tłum.).

raz pełne było krwi i śmierci. Rozbity tramwaj dodawał grozy. Zatrzymałem się, chyba po raz pierwszy w czasie wojny wstrząśnięty sceną rzezi, w odległości zaledwie kilometra od naszego domu.

Dzięki pełnej poświęcenia opiece i umiejętnościom zawodowym lekarzy, rodzice moi powoli przychodzili do siebie. Żadne z nich nie powróci już do pełnego zdrowia i życiowej aktywności. Do tego stopnia zostali poszkodowani, że tylko cudowny kompromis z Matką Naturą pozwoli im któregoś dnia stanąć na nogi i podjąć nie normalne życie, ale znośne, lepsze od grobu. Nie było już moralnych racji, by nie powiedzieć im o śmierci Eileen. Przebywali jeszcze w oddzielnych szpitalach i oboje dowiedzieli się tego samego dnia. Cała nasza trójka cierpiała strasznie. Łzy ciekły im po policzkach, kiedy dowiedzieli się o naszej stracie. Wiadomość otworzyła na nowo ledwie gojące się rany. Widok rodziców torturowanych smutkiem po tych wszystkich cierpieniach fizycznych, które przeszli, kazał mi wątpić w istnienie jakiegokolwiek sprawiedliwości. Podupały na duchu i roztrzęsiony, wróciłem na Pepys Road i cicho wszedłem do domu. Tej nocy nie miałem najmniejszej ochoty widzieć się nawet z najbardziej życzliwymi sąsiadami. Ale i tak nie mogłem spać, tak kotłowały się myśli w mojej głowie.

Jeżeli jest gdzieś wielki architekt tego świata i takie niezawinione cierpienia i tortury spotykają moich zmaltretowanych rodziców, na jaką sprawiedliwość może liczyć Marysia, nasze dziecko i ja sam, czy w ogóle ktokolwiek?

Ostatnie trzy miesiące 1944 roku przyniosły mnożące się zwycięstwa aliantów na lądzie, morzu i w powietrzu. Nie tylko w Europie naziści wpadali w potrzask i łatwiej było ich niszczyć; na Dalekim Wschodzie podobny los spotykał Japończyków, którzy poznali straszliwą potęgę Stanów Zjednoczonych. Miliony ludzi oczekiwało niecierpliwie końca trwającego jeszcze ciągle rozlewu krwi. W Londynie panowała atmosfera niejakiego rozczarowania. Znikło niebezpieczeństwo z powietrza. Nazistowskie flotylle powietrzne zostały już dawno zdziesiątkowane, a pasy startowe latających bomb i rakiet zniszczone lub opanowane przez wojska alianckie.

Moi rodzice dzielnie znieśli stratę jedynej córki i coraz częściej dopytywali się o moją polską żonę i dziecko, ale niestety nie miałem nic do powiedzenia na ten temat. Dopiero w styczniu 1945 roku wojska sowieckie przekroczyły Wisłę i zajęły Warszawę, ponad pięć miesięcy od propagowania, a potem sabotowania tragicznego Powstania. Nagle przyszła dobra wiadomość, w której otrzymanie już zwątpiłem, a była nią kartka z niemieckiego obozu jeńców wojennych. To pisał wujek Marysi Władek, brat Kazia, ten lekarz, który opiekował się Punią w Warszawie przed jej urodzeniem i zaraz po nim. Przeżył Powstanie, otrzymał status jeńca wojennego i został przewieziony do Niemiec. Wedle jego ostatnich informacji, Marysia i Punia są bezpieczne i mają się dobrze i była to chyba najlepsza wiadomość, jaką w życiu usłyszałem. Znów łzy pociekły po policzkach moich rodziców, kiedy powiedziałem im o tym w szpitalu, tym razem jednak były to łzy radości, wspaniałe wsparcie naszych nadziei na przyszłość.

Może pozostała jednak jakaś sprawiedliwość, i choć było jeszcze za wcześnie na pełną radość, nadzieje nasze wzrosły. Potem przyszła następna wiadomość od Władka. Alianci opanowali tereny, gdzie był więziony, i podejmuje wszelkie starania, by powrócić do Warszawy. Biedaczyna, także miał żonę i dzieci. Podnoszące na duchu wiadomości od Władka, że nie wszystko zostało stracone, i ufność, że Marysia przeżyła i zniosła te cierpienia, bardzo poprawiły samopoczucie moich rodziców i moje.

Wiadomości o przebiegu wojny, i tak obserwowane z uwagą teraz przyciągały jeszcze większe zainteresowanie. Porywające relacje o zwycięstwach aliantów zapowiadały głośno i jasno, że wojna wkrótce się skończy. Oswobodzenie Paryża w sierpniu 1944 roku, właśnie kiedy Warszawa znalazła się w śmiertelnej agonii, skłaniało do smutnych porównań. Francuski ruch oporu nie był nawoływany do krwawego oswobodzenia swojej okrażonej stolicy. Roztropny Eisenhower, bez niepotrzebnych ofiar ze strony sił ruchu oporu, otoczył stolicę. Straty i zniszczenia w Paryżu w porównaniu do katastrofy w Warszawie były minimalne, trzeba jednak pamiętać, że alianckie naczelne dowództwo na Zachodzie miało czysto militarne zadanie oswobodzenia stolicy demokratycznego sprzymierzeńca. Siły rosyjskie natomiast kierowane były w działaniach przez Kreml z jego własnymi, okrutnymi politycznymi ambicjami. Armie sowieckie, jak tylko wydostały się ze wschodu, otrzymały dwojakie zadanie. Terytorium demokratycznej Polski miało być oswobodzone w taki sposób, by ułatwić równocześnie skomunizowanie kraju na siłę. Przelana krew nie stanowiła problemu, szczególnie polska krew miała być przelewana, gdzie to tylko możliwe i wszelkimi sposobami.

Jesienią 1944 i zimą 1945 roku, dzięki lepszym wiadomościom, które do nas docierały, życie i sprawy domowe nabrały sensu. Stan zdrowia obojga rodziców stale się polepszał. W 1945 wyjdą ze szpitala. Mama zostanie zwolniona pierwsza. Mocno poparzona i z głębokimi ranami opuściła szpital na kilka miesięcy przed moim ojcem, który musiał się jeszcze uporać z połamanymi kośćmi. Wiadomość, że ojciec pewnie znów zacznie chodzić, była jeszcze jedną pociechą.

Niezadowolenie ze sposobu, w jaki mnie potraktowano po moim powrocie do Anglii, ciągle mnie nurtowało i czasem przechodziło w bezsilną złość. Specjalnie denerwowała mnie sprawa Borisa, która

rokowała tyle nadziei, ale nawet przy największych wysiłkach i skromności nie mogłem znaleźć racji, by winić samego siebie. Zwyczaj wyuczony w Podziemiu, by analizować każdy problem po drobiazgowym wnikięciu w szczegóły, zastosowałem i do tego problemu, ale choć miałem pewne podejrzenia co do przyczyn, do rozsądnych wniosków doszedłem dopiero po zakończeniu wojny. Wtedy to doniesienia o zachowaniu się Rosjan, szczególnie o wypadkach w Polsce, były tak jednostronne, że wskazywały na bardzo dziwne polityczne powiązania wielu Brytyjczyków. Ciągłe znajdowało się wiele osób w Londynie, członków SOE i Polaków, którzy przedstawiali zupełnie inne wersje wydarzeń w Polsce, niż te, które podawały oficjalne media brytyjskie. Powoli, lecz niezawodnie dochodziłem do wniosku, że nie ma podstaw do wątpliwości. Zdrada była powszechna.

Śledzenie przebiegu wojny z domu było czymś wręcz żenującym i oznaczało abstrakcyjną kontemplację przegranej nazistów. Żałując, że sam nie mogę brać udziału w akcji i zgarnąć kilku nazistowskich skalpów, zrozumiałem, że wojna zostanie wygrana, z moim udziałem, czy też bez niego. Poza powracającym żalem, że sprawa Borisa spełza na niczym, wielkim pocieszeniem i radosnym oczekiwaniem była pewność, że wreszcie połączę się z moją wojenną małżonką.

Niemiecka ofensywa w Ardenach, która wybuchła nagle w grudniu 1944 roku wytrąciła mnie z błęgiego spokoju. Tylko ci, co nie mają zrozumienia dla wojskowej gorliwości i wojskowego ducha, dla zwania się armii i ludzi w walce, mogą nie czuć uznania dla tego ostatniego zrywu nazistów. Uderzenie silnych ciągle i operatywnych dywizji pancernych i dywizji piechoty omal nie skończyło się sukcesem. Gdyby Niemcy dotarli do Mozeli, zwrócili się na północ i odcięli alianckie arterie zaopatrzenia w Antwerpii, mogłoby to wymusić odwrót aliantów. Ostateczny wynik wojny na pewno nie zostałby odwrócony, ale na pewno opóźniony. Trzeba tu uznać rolę sił amerykańskich, które utrzymały stanowiska, stępiły atak wojsk pancernych i nie dopuściły do zwrotu Niemców na północ. Na tym etapie nazistów nie stać było na prowadzenie wojny na wyczerpanie i ta olbrzymia kampania ardeńska z wielkimi stratami w ludziach, materiałach wojennych i lotnictwie w ostatecznym rachunku stała się korzystna dla aliantów. Postępy Niemców wkrótce zamarły i w wyniku kontrataków brytyjskich i amerykańskich z północy i południa utracone tereny odzyskano.

Mając duże uznanie dla niemieckiej dzielności, siedząc bezpiecznie w Londynie, z ulgą odetchnąłem po wiadomościach o takim przebiegu wypadków. Nic nie mogło powstrzymać postępów alianckich na zachodzie. W marcu przekroczony został Ren, Niemcy stały otworem. Ciężkie i desperackie walki trwały. Brytyjczycy nacierali z północy, a Amerykanie na odcinkach południowych. Straty były wysokie po obu stronach. Niemiecki opór przeciwko Rosjanom na froncie wschodnim został przełamany także po desperackich zmaganiach. Goebbels wykonał swoje zadanie dobrze. W obronie Vaterlandu przez czerwonymi hordami barbarzyńców krew przelewali nastolatki i siedemdziesięcioletni starcy, bez większego jednak skutku poza nieznacznym opóźnieniem ostatecznego wyniku. Pod koniec kwietnia sowieckie wojska walczyły na ulicach Berlina. Hitler popełnił samobójstwo.

Tysiącletnią Rzeszę spotkał przedwczesny koniec. Strzały umilkły ós-mego maja 1945 roku. Nie było oznak, że nadszedł nowy wspaniały świat, w którym będą mogli żyć bohaterowie. Od Renu do Moskwy rozciągało się cmentarzysko budowli i ludzi. Ci którzy przeżyli, pozostawali w stanie oszołomienia.

Technicznie wojna została wygrana, ale nie można powiedzieć, żeby nastał pokój. Przeciwnych sobie ideologii komunizmu i demokracji nie wiązała już wspólna walka z wrogiem. Największe armie, jakie dotąd zgromadzono, przestały mieć wspólny cel.

Kiedy wojna w Europie się skończyła, moja matka już wyszła ze szpitala i była w domu od kilku miesięcy. Wspaniale przychodziła do zdrowia. Musiałem się z nią przekomarzać o jej wygodę, bo przeciwstawiała się nadmiernemu okazywaniu starań o nią co większość ludzi tak ciężko poszkodowanych brałoby jako rzecz oczywistą. Blizny na twarzy były prawie niewidoczne, a włosy jej odrosły po uszkodzeniach głowy. Jedynym skutkiem silnych blizn po poparzeniach na ramionach i nogach było noszenie bluzek z długimi rękawami i grubszych pończoch. Na wiadomość o jej rychłym wyjściu ze szpitala kupiłem samochód. Kosztował tyle, ile wynosiła moja czteroletnia gaża wojskowa. Motocykl służył mi dobrze, ale żadne z moich rodziców nie pasowało jakoś na pasażera na tylnym siedelku, szczególnie w okresie rekonwalescencji, a na dodatek wedle opinii przypadkowych pasażerów, których czasem podwoziłem, moja jazda pozostawiała wiele do życzenia i działała im na nerwy. W dniu, w którym w Londynie wybuchła powszechna radość, zabrałem mamę do West Endu by celebrować VE*. Znaleźliśmy się na Picadilly Circus stłoczeni w wesołym śpiewającym tłumie. Wypito nieco, ale odurzenie nie było wynikiem picia alkoholu. Ustąpiło wielkie przygnębienie. Ludzie, którzy od lat nie widzieli powodu, by śpiewać w przygnębionym wojną kraju, wysilali swoje gardła do granic możliwości. Następnego dnia, po nocy, która szybko minęła, wielu londyńczyków zachrypło lub straciło mowę, niektórzy bali się nawet, że na stałe.

Przewidywania co do sytuacji w Polsce okazały się aż nazbyt prawdziwe. Wiadomości były złe. Sowieci ustanowili w Polsce marionetkowy, komunistyczny

PRZYPISY AUTORA:

* VE-Day - Victory in Europe Day, Dzień Zwycięstwa (przyp. tłum.).

rząd, który początkowo nazywano tymczasową administracją a potem stopniowo opuszczano słowo „tymczasowy”. W maju 1945 roku przywódcy zreorganizowanej armii podziemnej w Polsce zostali zaproszeni na pertraktacje z Rosjanami. Co ich opętało, by zawierzyć Rosjanom, nieba tylko wiedzą. Nie tylko Katyń i Powstanie Warszawskie, ale dziesiątki innych incydentów powinny ich ostrzec, że rosyjscy komuniści nie kierują się normalnymi, godziwymi zasadami. Generał Okulicki, który przejął dowództwo po generale Borze-Komorowskim, i około dziesięciu innych przywódców narodowych, udali się na rozmowy. Wszyscy zostali zaaresztowani i osadzeni w więzieniu na Łubiance w Moskwie. Kosztowało to ich życie. Wiadomości o takim traktowaniu, potwierdzone przez nowych władców komunistycznych w Polsce, zaniepokoiły mnie osobiście, zwłaszcza, że moja rodzina warszawska była w te sprawy mocno zamieszana.

Marysia i Punia, polska matka bez męża i dziecko, nie powinny budzić specjalnego zainteresowania tak zwanych wyzwolicielei, jak siebie nazywali, jako że byli zajęci dalszym likwidowaniem wszelkiego rodzaju politycznych przeciwników. Modliłem się, by Marysia zachowała zdrowy rozsądek i nie ujawniała się jako poddana brytyjska nosząca nazwisko Jeffery z tytułu wyjścia za mąż za Brytyjczyka, przynajmniej do czasu, aż w Warszawie pojawi się jakaś opiekuńcza reprezentacja Zjednoczonego Królestwa. Dick Truscoe z SOE zgadzał się z moimi obawami o bezpieczeństwo Marysi. Podkreślał, że nazwisko Jeffery figuruje oficjalnie w wykazach polskiego Podziemia zarówno w Warszawie, jak i w Londynie. Przypominał o masakrze katyńskiej. Byłem prawdopodobnie jedynym żyjącym Brytyjczykiem blisko zaznajomionym z dowodami nie do obalenia o sowieckiej winie za te morderstwa i Rosjanie mogli już teraz dobrze o tym wiedzieć.

Dick wspominał także o przeciekach mających miejsce w Londynie, o ponurym podejrzeniu, którego pełnego znaczenia jeszcze wtedy nie doceniano. Bez względu na to, z jakich źródeł Sowieci dowiedzieliby się o moim raporcie na temat Katynia, jeśli Marysia i Punia pod moim nazwiskiem wpadną w ich ręce, ich nieobecność może potrwać długo, nawet całą wieczność.

Kiedy wojna minie, należy oczekiwać ustanowienia w Polsce Ambasady Brytyjskiej. Chociaż zbyt bliskie przypatrywanie się poczynaniom rosyjskim w Polsce nie było im na rękę, Rosjanom nie udało się w nieskończoność opóźniać wpuszczenia brytyjskiej dyplomacji. Mając to na względzie, skontaktowałem się z szeregiem urzędów w Londynie, podając szczegóły dotyczące mojego małżeństwa i urodzenia się córki. Wy tłumaczyłem także, dlaczego brałem ślub pod nazwiskiem Jasiński. Wtedy jeszcze nie wiadano, że dwaj świadkowie na moim ślubie w 1943 roku przeżyli i będą mogli świadczyć w mojej sprawie. Korespondencja dotycząca Marysi i Puni została uprzejmie i sprawnie potwierdzona przez zainteresowane urzędy. Zapewniono mnie także, że zrobią wszystko, co będzie możliwe w tej sprawie. Gdyby moja kariera nie została tak strasznie zniszczona przez rosyjską działalność wywrotową w Londynie, pewnie byłbym już teraz w Polsce albo znajdował się w pierwszej grupie funkcjonariuszy państwowych, którzy tam przybędą by jak najszybciej odnaleźć moją rodzinę.

Zapomniałem już, w jakiej kolejności zaczęli pojawiać się na New Cross przyjaciele z czasów wojny, wszyscy witani z wielkim wzruszeniem. Chyba pierwszy był Peter Winton, ten uciekinier, który mieszkał w Warszawie i został złapany przez Niemców. Potem pojawił się Tommie Muir, potem Janek, mój wielki polski przyjaciel, który wykonał dla mnie wiele fałszywych dokumentów, i wreszcie też Ena, teraz Ena Walker, a nie Ena Makowska, jak nazywała się w Polsce. Peter, za cierpienia w niemieckich rękach i wytrwałość w zachowaniu tajemnicy co do innych uciekinierów i polskich przyjaciół, odznaczony został Krzyżem Wojskowym. Był on stałym gościem u Steni i Janki i jego milczenie w czasie niemieckich przesłuchań uratowało im życie. Tommie walczył w grupie partyzantów w lesie. Janek dostał się do Niemiec jako niewolnik po upadku Powstania. Ena jakoś zgubiła Ojczulka w całym tym zamieszaniu zanim, dostała się z powrotem do Warszawy przed powrotem do Wielkiej Brytanii. Nie chciała jakoś mówić o jego losie i nie naciskaliśmy. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę bałagan, jaki panował w Polsce, że nikt z przybyłych nie wiedział, co się stało z Marysią i Punią.

Cała ta mała grupa przyjaciół miała jedną cechę wspólną. Dowiedzieli się od wywiadu brytyjskiego, przez który byli długo przesłuchiwanymi, że Jeffery podejrzany jest o współpracę z Niemcami. Nikt z nich nie krył swojego oburzenia na takie śmieszne i nonsensowne zarzuty. Tommie, Peter i Ena wybuchli gniewem. Janek napisał do swojego Polskiego Oddziału Szóstego nie tylko broniąc mnie mocno, ale dodając też uzupełniające uwagi. Wyraził także wątpliwość co do zaufania, jakim można darzyć niektóre „polskie” grupy Podziemia. Ciągle mam kopię tego listu.

Janek wrócił do Polski, by zająć się swoją żoną Basią. Peter mieszkał w północnym Londynie. Widywałem go często i poznałem także jego uroczych rodziców. Popierał moją sprawę przeciwstawiając się niesprawiedliwości, jako wojenny rezydent warszawski, a teraz obznajomiony także z moim raportem dla SOE, wiedział, jak bardzo byłem zaangażowany w sprawy Podziemia. Podobnie jak i Dick Truscoe, miał podejrzenia, że coś złego dzieje się w niektórych sekcjach brytyjskiego wywiadu. Nieco później major Winton M.C. został attache wojskowym w Warszawie. W dalszym ciągu się przyjaźniłem, a będąc w Polsce, oddał mnie i mojej rodzinie wiele przysług osobistych. Wrócił do Londynu porzuciwszy służbę wojskową i straciwszy wszelkie iluzje co do losu, jaki spotkał Polskę.

Pozostawaliśmy w kontakcie. Podobnie jak Tommie i ja, ożenił się z Polką jeszcze jedną Krystyną która dzielnie się nim opiekowała jako uciekinierem w Warszawie w czasie nazistowskiej okupacji. Tommie ożenił się ze Stenią która także przybyła w swoim czasie.

Przez całe lato 1945 roku bombardowałem każdy możliwy urząd o pomoc w odszukaniu żony i dziecka i muszę powiedzieć z pełnym uznaniem, że podejście wszystkich rządowych placówek, do których się zwracałem, było bardzo poprawne i niezwykle pomocne. Prowadziłem obszerną korespondencję, odbyłem wiele rozmów telefonicznych i złożyłem wiele wizyt urzędowych. Polacy docierali do Anglii różnymi drogami. Niektórzy przybywali z niemieckich obozów jenieckich, a wielu też bezpośrednio z Polski, uciekając przed wzmagającymi się represjami komunistycznymi. Kierowałem pytania do wszystkich możliwych osób, bez skutku, aż dopiero w sierpniu 1945 roku dotarła wspaniała wiadomość. Marysia i Punia odnalazły się pod Krakowem, daleko na południe od Warszawy, i mają być wysłane do Anglii jak tylko to będzie możliwe. Był pewien ton nagłący z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Brytyjska biurokracja w Polsce wyraźnie chciała się pozbyć brytyjskich poddanych z tego kraju z wielu różnych powodów, w przypadku Jefferych powodem byli przede wszystkim Rosjanie.

Wreszcie nadszedł długo oczekiwany dzień. Mój ojciec akurat wyszedł ze szpitala, mocno pokiereszowany, ale mogący się poruszać, prawie z dumą obnoszący swoje nie do odróżnienia, szklane oko. Oboje, on i mama, szczęśliwi żegnali mnie, kiedy ruszyłem na lotnisko w Croydon parę godzin wcześniej niż to było niezbędne. Przybywał najważniejszy samolot, a było to szóstego września 1945 roku, akurat w moje dwudzieste ósme urodziny. Co za wspaniały prezent. Czekałem cierpliwie w napięciu na lotnisku. Samolot z Warszawy wylądował, minęła co najmniej cała godzina, wieczność.

Człowiek w niebieskim mundurze lotniczym niosący małe dziecko zbliżył się do samochodu. „To pana córka, przypuszczam”. Tak więc Punia była ze mną. Miała już prawie dwadzieścia dwa miesiące. Oniemiałem, chwyciłem ją kurczowo, podczas gdy ona tak samo kurczowo trzymała swoją szmacianą lalkę.

„Wiesz, kto ja jestem?”.

„Mój tatuś. Mamusia powiedziała że lalka jest dla ciebie”.

Ta rozkoszna mała dziewczynka poznała mnie! Słyszac, że lalka jest dla mnie, nie traciłem czasu i zabrałem się za sprawdzanie. „Tatusiu, psujesz moja lalkę” - powiedziała Punia po polsku. Dobrze wypchana lalka zawierała w sobie nie tylko szmatki. Ukrytych w niej było wiele moich fałszywych dokumentów. Był pewien metalowy przedmiot, dobrze naoliwiony i zawinięty, niebezpieczny, ale bez ładunku. Jeden z najzdolniejszych w skali światowej i najpodlejszy zdrajca brytyjski, który akurat przesłuchiwał Marysię, został bezbłędnie wykołowany przez młodą dziewczynę z polskiego ruchu oporu (patrz Załącznik o procesie Marysi). Dopiero długo po wojnie Marysia dowiedziała się, że facet, który ją przesłuchiwał na lotnisku w Croydon, to był Philby. Poznała tego degenerata na zdjęciach, jakie pojawiły się w prasie. Legenda Robin Hooda, jaką przypisywały niektóre media temu nikczemnikowi doprowadza do młodości, równocześnie skłania do podejrzeń. Jacy inni mocodawcy takiego drania mogą siedzieć w brytyjskich instytucjach.

Godziny mijały. Byłem na granicy wybuchu z niecierpliwości. Jazda z Croydon do New Cross odbywała się prawie w milczeniu. Punia gaworzyła nieco po polsku, ale Marysia i ja milczeliśmy. Mieliśmy sobie tyle do powiedzenia, ale słowa były niepotrzebne. Prowadziłem samochód jedną ręką drugą trzymała mocno Marysia w swoim uścisku. Przesłaliśmy sobie w ten sposób całe tomy wiadomości i całą radość.

Byliśmy bezpieczni. Przeżyliśmy. Śmiech i rozmowy przyjdą potem, kiedy obrzydliwe wspomnienia o tym, co mogło nas rozdzielić, nas opuszczą. Kiedy podjechaliśmy samochodem pod dom, dwie postaci ukazały się w dużym oknie wykuszowym.

Zanim zdążyliśmy wysiąść, drzwi frontowe otworzyły się i podnieceni, świeżo upieczeni dziadek i babcia ledwie zdążyli się opanować. Powitanie ich było po polsku serdeczne. Twarze moich rodziców promieniały życzliwością kiedy obejmowali dwoje nowych Jefferych. „Zajmiesz puste miejsce w moim sercu” - powiedziała matka do swojej nowej synowej.

Nie uszło niczyjej uwagi, że uwaga odnosiła się do nieżyjącej siostry.

Marysia i Punia podniesione zostały do godności głów rodziny. Pojawiło się jedzenie, picie i ubrania w ilościach zdumiewających, jak na czasy powojenne. Rozpaliła się na nowo domowa atmosfera ku radości nas wszystkich i wielu gości, którzy nas odwiedzali, by spotkać się z nowo przybyłymi, ale przede wszystkim by przyjrzeć się mojej wojennej żonie. Pewien przyjaciel z czasów chłopięcych, który akurat wrócił z marynarki, kiedy po raz pierwszy zobaczył Marysię, podsumował rzecz następująco:

„Ty, Ron, draniu, zawsze byłeś szczęściarzem” - oświadczył.

Punia, nasza córka, była śliczna, ujmująca i mądra. Na początku mówiła bardzo mało po angielsku, ale tak szybkie robiła postępy w opanowaniu języka jej nowego domu, aż zachodziła obawa, że przestanie mówić po polsku. Groźbie tej zapobiegliśmy w ten sposób, że nasza trójka mówiła po polsku, jak tylko byliśmy sami. Marysia zapraszana była na wywiady przez różne organizacje, ale nigdy nie poddano jej już takim przykrym przesłuchaniom, jakie miały miejsce na lotnisku, gdzie Philby głównie interesował się moją osobą. Powitano ją mile w SOE, i poza tym jednym wyjątkiem, radziła sobie doskonale z angielskimi oficjelami. Robiono pewne aluzje, podobne do tych, o których mówiłem poprzednio, ale Marysia nawet nie zamierzała wdawać się w te bzdury.

Marysia nie chciała opowiadać szczegółów, co działo się z nią i z Punią przez ten okres przymusowej separacji. Rozumiejąc, że wspomnienia są zbyt bolesne, przyjęliśmy zasadę, żeby tymczasem nie poruszać tych spraw, postanowiliśmy patrzeć w przyszłość, która miała być lepsza niż to, co przeżyliśmy. Los odmówił przyszłości tak wielu naszym przyjaciółom z czasów wojny, co było jeszcze jedną przyczyną zapomniania o przeszłości. Wzmianki o tym, co działo się w czasie naszej rozłąki powtarzały się w następnych latach. W przekonaniu, że losy Marysi, Puni i członków jej rodziny mają istotne znaczenie w tej relacji, nakłoniłem żonę znacznie później do opowiedzenia o tym wszystkim. Stwierdziła jednak, że będzie jej łatwiej podyktować wspomnienia o tym, co działo się od chwili, kiedy opuściłem Warszawę udając się do Anglii, aż do czasu jej przybycia do Croydon. Dla utrzymania prostoty narracji transkrypt jej wypowiedzi zamieszczony został na końcu jako załącznik.

Pojawienie się Marysi i Puni stało się sygnałem do odrzucenia przez oboje moich rodziców ograniczeń związanych z ich okaleczeniami fizycznymi i psychicznymi, jakie ciążyły im po wybuchu latających bomb. Mama, ciągle jeszcze młoda kobieta pod pięćdziesiątkę, ukrywała swoje blizny, ale znowu była bardzo czynna i pełna radości. Ojciec, posługując się jednym tylko okiem, jedną ręką i jedną nogą zaczął znów prowadzić samochód. Do tego stopnia wrócił mu dobry nastrój, że był w stanie przyjmować jako żart moje uwagi, kiedy zdarzało mi się być odważnym jego pasażerem.

Nasze przedsiębiorstwo przynosiło mały dochód bez większego naszego zaangażowania i zimą po przybyciu Marysi większość poranków popijaliśmy sobie z ojcem piwko przy kominku w naszym

ulubionym pubie. Nie muszę wspominać, że był to Guinness. Oczywiście paliliśmy fajki i rozkoszny dymek i zapach Lloyd Dondam radował serce.

Prawie rok mieszkaliśmy wszyscy wygodnie i harmonijnie na Pepys Road. Mama i Marysia zajęte były spełnianiem życzeń Puni, mojego ojca i moich. Co więcej potrzebne było do szczęścia dwóm kochającym kobietom?

Gdyby w czasie wojny moja dobra wróżka zaoferowała mi komfort życia, jaki teraz miałem, bez chwili zastanowienia, przyjąłbym taką propozycję. Ile jednak sprzeczności tkwi w człowieku! Nie ośmielając się tego okazywać, czułem jednak jakiś niepokój. Nie było niczego podniecającego w moim życiu. Marysia korespondowała regularnie z rodziną w Polsce. Za pomocą paczek z żywnością i ubraniami dostarczanych przez wielu naszych znajomych i krewnych byliśmy w stanie nieco ułatwić życie ludziom w poszkodowanej Warszawie.

Kiedyś w początku 1946 zaproszony zostałem na jakieś przyjęcie do Dowództwa Armii Polskiej w Londynie. Po raz pierwszy osobiście spotkałem tam generała Bora-Komorowskiego, dowódcę polskiej armii podziemnej, który przewodził Powstaniu Warszawskiemu, a potem został wyzwolony z niemieckiego więzienia. Bardzo wzruszyło mnie wręczenie mi Krzyża Walecznych, który otrzymałem za operację wiedeńską w 1943 roku. Sam generał i jego ludzie bardzo dobrze się o mnie wyrażali. Marysia i ja staliśmy się bliskimi przyjaciółmi zarówno Bora, jak i jego żony Ireny, byli oni na tyle uprzejmi, że zgodzili się podawać do chrztu naszego syna Marcina, który przyszedł na świat we wrześniu 1946 roku. Polacy mieli absolutną pewność, że nie kolaborowałem z Niemcami, wbrew insynuacjom kliku Philbye'go.

Komorowscy wyszli na tym gorzej. Ja przynajmniej mogłem żyć w swoim kraju.

W tym czasie kupiliśmy małą gospodarkę we Wrotham w hrabstwie Kent, jakieś dwadzieścia mil od Londynu. Malownicza, mała posiadłość miała wybieg dla zwierząt, mały lasek, polanę ze wspaniałymi brzoźami, pod którymi na wiosnę pełno było dzwonków. Gospodarka położona była na wzniesieniu i pod samą bramą wjazdową przebiegał stromy, brukowany kamieniami, nieużywany już trakt wiodący z Londynu do Dover. Labour in Vain Lane to był nasz oficjalny adres. Wyobrażałem sobie pasażerów dyliżansów, którzy musieli opuszczać pojazd, gdy konie, spocone, popędzane biczem woźnicy mozolnie pokonywały stromy trakt. We Wrotham mogłem znów kultywować przerwane wojną zamięłowania przyrodnicze. Farma Butts Hill stanowiła dom dla Marysi, Puni, a potem, od września 1946 roku, także Marcina, oraz dla psów, kotów, kaczek, indyków, kóz, królików, różnego ptactwa i wielu oswojonych przedstawicieli ulubionych przeze mnie wron. Pralnia domowa była sypialnią trzech kolorowych sójek, których poranne upominanie się, by je wypuścić, wykluczało wszelkie wylegiwanie się w łóżku.

Marysia, urodzona i wychowana w Warszawie, szybko przyzwyczajała się do wsi. Podobał się jej ten nowy tryb życia, przynajmniej robiła bardzo przekonujące wrażenie, że tak było. Zatrzymywali się u nas liczni goście, także Polacy. Byli Borowie i Joe Koziarski, a także wielu naszych angielskich przyjaciół, którzy nawiedzali nas, racząc się smakiem prowincji. Moi rodzice przenieśli się do mniejszego i wygodniejszego mieszkania w Etham w Londynie Południowym. Uwielbiali przejażdżki do Wrotham, co też czynili często. Nasze rodzinne stosunki ułożyły się bardzo szczęśliwie, mimo moich ciągłych podnieć z lat wojny. Było wiele jeszcze spraw, o które należało walczyć, ale zostałem z nich na zimno wymanewrowany.

Tommie i Stenia mieszkali w Berlinie, gdzie mój stary przyjaciel pracował dla Alianckiej Komisji Kontrolnej wykorzystując swoje wojenne doświadczenia. Peter Winton był attache wojskowym w

Warszawie. Janek, mój ekspert od fałszywych dokumentów i kolega z Podziemia wrócił do Warszawy, by uciec potem z Basią do Kanady. Ena, doskonała niania, przebywała u nas od czasu do czasu.

Rozumiała moją frustrację i radziła, jak zwykle, zachować spokój i zimną krew. Łatwiej jej to przychodziło, była dwa razy starsza ode mnie i nie prześladowały jej takie wewnętrzne niepokoje, jakie stały się moim udziałem. Pobudzony nieco wręczeniem mi osobiście przez generała Bora polskiego odznaczenia, poczyniłem kilka prób, by wyjaśnić, jakie były przyczyny moich niepowodzeń, które prześladowały mnie od samego przybycia do Anglii. Niestety, nie było żadnej szczeliny w brytyjskiej biurokracji, poprzez którą można by się czegoś dowiedzieć. Zniechęcony, tłamsiłem to w sobie skrycie i zajęło całe wieki, zanim udało mi się co nieco wyjaśnić, działając z mojej niekorzystnej pozycji.

Naziści znikli. Druga wojna, która rozpoczęła się, by wyzwolić Polskę, skończyła się, pozostawiając Polaków wciąż walczących o wolność. Listy i telefony od Polaków przebywających w Anglii prawie codziennie przychodziły do Butts Hill Farm. Wiele z nich to były po prostu wzbudzające współczucie zapytania o losy bliskich, którzy brali udział w walce podziemnej, a o których ja mogłem mieć jakieś wiadomości. Wyjątkiem była informacja z Polskiej Agencji Telegraficznej, działającej wtedy w Londynie. Agencja prowadziła akcję podobną do Reutera, rozprowadzając poprzez polskie dzienniki i czasopisma wiadomości o Polakach rozsianych po całym świecie. Prawo brytyjskie wymagało, by działalność takiej agencji na terenie Zjednoczonego Królestwa odbywała się pod kierownictwem brytyjskiego poddanego. Mimo wielokrotnego podstawiania mi nogi zaoferowano mi przyjęcie stanowiska dyrektora tej agencji i chętnie się na to zgodziłem. Bardziej się tą sprawą zajmowałem, niż wymagały tego czysto administracyjne obowiązki, była to też doskonała wymówka uzasadniająca częste wyjazdy do Londynu, które pozwalały mi być na bieżąco w sprawach dotyczących polskiej tragedii politycznej.

Wróciłem także do rugby, w późnym już nieco wieku, jako trzydziestolatek. W czasie wojny nie można było uprawiać tego sportu, teraz jednak było to coś w rodzaju zaworu bezpieczeństwa. Marysia często przychodziła w sobotnie popołudnia przypatrywać się rozgrywkom i starała się okazywać zainteresowanie, choć dla niej nie był to najprzyjemniejszy sposób spędzania wolnego czasu. Pewnego sobotniego wieczoru w sezonie rozgrywek zostaliśmy zaproszeni na jakieś przyjęcie zorganizowane dla polskich grubych ryb w londyńskim Klubie Orła Białego. Marysia postanowiła wybrać się osobno, odpowiednio ubrana, a ja miałem udać się tam zaraz po sobotnich popołudniowych rozgrywkach rugby. I tu miał miejsce ciąg przypadkowych, nieprzewidywalnych zdarzeń. W ostatnich minutach gry rozłożyłem się na boisku. Kiedy wróciłem do przytomności w szatni, okazało się, że mam okropnie opuchnięte i posiniaczone oko. Kiedy doszedłem do siebie na tyle, by wziąć prysznic, przebrać się w garnitur wizytowy i wypić tradycyjne piwo, było już nieco późno. Na dodatek z takim okiem nie mogłem zbyt pędzić samochodem i na przyjęcie stawilem się z dużym opóźnieniem. Wszyscy już siedzieli przy stole i Marysia wyglądała na zagniewaną kiedy usiadł koło niej facet z podsiniaczonym okiem. Co jednak było najbardziej bolesne, to fakt, że obecni Polacy niesłusznie wywnioskowali, że Jeffery wdał się w jakąś bójkę. O parę gier później zламаłem sobie, lub ktoś mi zламаł, obojczyk. Do małżeńskiego nieporozumienia doszła jeszcze konieczność zawieszenia gry.

Młodszy brat, Marysi, Jędreka, teraz o zanglicyzowanym imieniu Andrew, także przybył do Anglii. Był to teraz nieco dziki, ale bardzo sympatyczny chłopak. Zmuszony do zabijania w wieku czternastu lat w czasie Powstania, a potem tułając się po Włoszech i Niemczech, nie wyglądał na człowieka, który spędził młodość w domowej atmosferze szanowanego lekarza. Ja na szczęście osiągnąłem

dwudziestkę w stosunkowo cywilizowanych warunkach, zanim świat się rozwalił i mój osobisty światek razem z nim.

Na farmie Butts Hill przeżyłem pierwszy z wielu nocnych koszmarów, które prześladowały mnie jeszcze całymi latami. Śniło mi się ciągle, że złapał mnie nazistowski patrol na ulicach Warszawy i znalazłem się w podziemnej, zupełnie ciemnej celi na słomianym sienniku w kazamatach gestapo. Gdzieś z góry dochodziły wrzaski torturowanego. Zdając sobie sprawę, że wkrótce będzie moja kolej, leżałem zdrętwiały pocąc się ze strachu i wyobrażając sobie, co za chwilę nastąpi. Te majaki mijały czasem szybciej, czasem wolniej. Po poceniu się w majakach, następowały czasem zimne dreszcze, zanim powoli przychodziła świadomość, że to tylko zły sen. Przeżyłem jeden taki wkrótce po przybyciu do Nowej Zelandii. Mieszkaliśmy wtedy w wynajętym, umeblowanym domu w Auckland. Nasze duże łóżko miało ciężkie mosiężne szczyty u głowy i w nogach. Tak mocno przeżywałem wtedy tę zmore, że przez sen chciałem przedostać się przez szczyt u nóg by wyskoczyć przez okno. Moje okrzyki obudziły Marysię, która uchroniła mnie przed tymi niekontrolowanymi poczynaniami. Przez cały czas wojny nie przeżywałem takich nieprzyjemnych majaków, ale parę razy jeszcze rzecz się powtórzyła w czasie pisania tej książki.

Zbieg różnych przyczyn i okoliczności spowodował, że zdecydowałem się opuścić Anglię. Nie pojawiły się żadne oficjalne oznaki, że zniewagi i szkody, jakie mi wyrządzono, zostaną w jakiś sposób odwołane czy naprawione. A jeszcze ważniejsze, że w takiej atmosferze nie mogłem oczekiwać, iż dostanę pracę, w której moje skromne kwalifikacje i zdolności językowe mogłyby być odpowiednio wykorzystane. Jak chętnie podjąłbym się wtedy czegoś, co by pomogło Polsce i uchroniło ją przed rozbiorami, do których doprowadzali komuniści!

Nie czułem się w Zjednoczonym Królestwie jak w ojczyźnie. Moi współplemieńcy wyrzekli się mnie na podstawie oskarżeń, których nigdy nie odwołano. Z wielkim bólem opuszczałem kraj, który kochałem, ale który przestał kochać mnie. Mój ojciec, dobrze urządzony na powrót w swoim przedsiębiorstwie, już mnie nie potrzebował. Rozważaliśmy sprzedaż własności i wkrótce korzystnie załatwiliśmy sprawę. Decyzja wycofania się z przedsiębiorstwa nastąpiła szybko i w 1948 roku Marysia, Punia, późniejszy przybysz Marcin i ja lecieliśmy do Nowej Zelandii. Moi rodzice dobili później. Często powtarzane przez ojca określenie naszego nowego kraju, jako miejsca u Pana Boga za piecem, sprawdziło się.

ZAŁĄCZNIK

Główną inspiracją do napisania tej książki była chęć złożenia hołdu Polakom, a szczególnie ich wspaniałym, nieopisanym zmaganiom w latach nazistowskiej okupacji.

W ramach przez siebie samego nałożonych ograniczeń i innych racji tu wyjaśnionych ta opowieść o mojej tułaczce jest skromnym wyrazem uznania dla zalet tych wspaniałych ludzi ze wschodniej Europy. Dla niektórych zdanie sobie sprawy, jak Polacy walczyli i jaki ich potem spotkał los, może być gorzką pigułką do przełknięcia. By ułatwić zapoznanie się z tymi smutnymi faktami, dodałem coś w rodzaju lukru - historię mojego własnego udziału w tych wydarzeniach, opowiedzianą mam nadzieję, w sposób interesujący i przyswajalny. Prawda jest często dziwniejsza od fikcji, i w obawie, by hołd złożony Polakom nie wydawał się choćby częściowo fikcyjnym opisem moich własnych przeżyć, dołączam materiały dowodowe związane ze sprawą uwierzytelniające to, co mogłoby uchodzić za zmyślenie.

Dołączone materiały mogą mieć znaczenie ogólniejsze i nadać ton autentyczności temu, co zostało opisane. Powtórzyć muszę jeszcze raz, że zniekształcenie wielu nazwisk i miejsc, w związku z

ciągłymi represjami komunistycznymi*, jest ciągle sprawą istotną ze względu na bezpieczeństwo ludzi opisanych w tej książce. Takie zamierzone niedokładności oraz nieścisłości związane z zawodnością pamięci w żadnym razie nie zmniejszają hołdu, jaki składam Polakom.

W warunkach wojennych dokumenty dotyczące tajnej działalności często się niszczy albo zachowanie ich bywa uniemożliwione. Szczęśliwie się stało, że mogę dostarczyć takie dokumenty, których nie da się podać w wątpliwość.

PRZYPISY AUTORA:

* Uwaga: książka została wydana w 1985 r. (por. przypis od redakcji na s. 302)

ZAŁĄCZNIK

Doświadczenia Marysi

Minęło wiele czasu, zanim Marysia zdała relację ze swoich przeżyć od momentu opuszczenia przeze mnie Warszawy na początku 1944 roku aż do jej przyjazdu z Punią na londyńskie lotnisko w Croydon we wrześniu 1945 roku. Od czasu do czasu wspominała o różnych wydarzeniach, jakie miały miejsce w tym czasie, ale dopiero moja prośba pod koniec pisania tych wspomnień skłoniła ją do całościowego przedstawienia tego, co się jej przydarzyło. Prosiłem o pełne, nieprzesłuchiwane nagranie na taśmie magnetofonowej. Materiał ustny został nieco skrócony, ale poza tym jest to kompletny zapis jej wypowiedzi. Muszę tu jednak podkreślić, że przelanie na papier patosu i emocji jej opowieści, przekazanej po angielsku, ale z polskim akcentem, przekracza moje możliwości. Żeby odczuć i ocenić ten dokument - wypowiedź młodej matki wystawionej na tego rodzaju doświadczenia wojenne - trzeba tego samemu posłuchać. Taśma z nagraniem wypowiedzi Marysi Jeffery jest ciągle w moim posiadaniu.

Pamiętam, widziałam Rona przed wyjazdem w lutym w niemieckim mundurze oficerskim i pod koniec miesiąca, po smutnym pożegnaniu, poczułam się zupełnie zagubiona. Jego skuteczne starania o zdobycie bezpiecznego mieszkania na górnym piętrze w fabryce Lorenza okazały się po kilku tygodniach bardzo kłopotliwe w skutkach. Byłam nie tylko odizolowana od wroga, ale także od krewnych i przyjaciół, musiałam więc przenieść się do bardziej towarzyskiego środowiska.

Moja ciotka miała pustą willę w Konstancinie niedaleko Warszawy, dokąd przeprowadziłam się wraz z dzieckiem. Wzięłam wszystkie swoje rzeczy włącznie z małym radiem, które było zakamuflowane w małej skrzyneczce przypominającej skrzynkę na nici. Słuchałam dokładnie wiadomości BBC, aż pewnego dnia, i przez dwa następne dni, długo i niecierpliwie oczekiwana wiadomość zabrzmiiała w moich uszach. Był to biuletyn specjalny „Niech Staś powie Marysi, że Paweł jest u siebie”. Nie miałam nikogo, oprócz trzymiesięcznego dziecka, by podzielić się tą dobrą nowiną niemniej płakałam ze szczęścia i mówiłam do nic nierozumiejącej córeczki: „Mówią o twoim ojcu. Jest bezpieczny w domu i nie mamy co się o niego martwić”.

Zadzwoiłam do Stasia (Lorenza) w Warszawie, który akurat chciał mnie o tym powiadomić, bo też słyszał tę informację.

Staś nalegał, bym się natychmiast wyniosła z Konstancina. Wojsko niemieckie na siłę kwaterowało się w tym rejonie i nie mogłam oczekiwać, że pozostawi mnie dłużej w spokoju. Staś był bardzo życzliwy i przyjechał do Konstancina, by pomóc przenieść się mnie i dziecku z powrotem do Warszawy. Znalazłam czasowe pomieszczenie w domu moich rodziców na Nowym Świecie, gdzie mieszkalam przed wyjściem za mąż. Chociaż był obszerny pokój w mieszkaniu ojca, pozostanie tam na dłużej nie

wchodziło w rachubę. Wedle Stasia gestapo nie miało pojęcia, że Ronnie dotarł do Londynu, i ciągle go poszukiwało w Warszawie.

Cała nasza liczna rodzina została zmobilizowana do pomocy. Po paru dniach Punia i ja, w towarzystwie cioci i jej małego syna, zamieszkaliśmy w dużej willi w Józefowie, około półtorej godziny pociągiem od Warszawy.

Życie w towarzystwie krewnych stało się bardziej znośne, a zdobycie małego, ale silnego radia, które zastąpiło tę dawną dużą skrzynię, podniosło nasze bezpieczeństwo.

Wiadomość, że Ronnie dotarł do bezpiecznego miejsca, była wielką dla mnie pociechą w tym czasie. Oprócz konieczności niepokazywania się na oczy coraz liczniejszemu wojsku niemieckiemu życie płynęło względnie spokojnie aż do lipca, kiedy to zaczęła zapowiadać się następna zmiana sytuacji. Z tego małego radia dowiedzieliśmy się, że należy oczekiwać, iż Podziemie wystąpi otwarcie przeciwko Niemcom w skoordynowanej akcji z Rosjanami nadchodzącymi ze wschodu. Odgłosy walk słychać było na wiele kilometrów. Ciężkie eksplozje i ogień broni maszynowej dobiegały ze wschodu lub zza Wisły, w miarę jak wojska niemieckie wycofywały się lub przygotowywały pozycje obronne. Mając na uwadze zbliżające się powstanie i przypuszczając, że Józefów stanie się polem walki, zdecydowałyśmy wrócić do Warszawy. Moja ciotka i ja wraz z dwojgiem dzieci znalazłyśmy jakoś miejsce w niesamowicie przepełnionym pociągu, by jeszcze raz znaleźć schronienie u moich rodziców na Nowym Świecie.

Przed powrotem z Józefowa do Warszawy zrobiłam coś, co okazało się potem bardzo dobrym pociągnięciem. Opuszczając Warszawę, Ronnie poukrywał w różnych miejscach szereg fałszywych dokumentów, które umożliwiały mu szybką zmianę personaliów, gdy zachodziła potrzeba. Kilka fałszywych dokumentów zostało przeniesionych z Elektoralnej do nowego mieszkania w fabryce Lorenzów. Taka liczba dowodów świadczących o działalności podziemnej miałaby niewyobrażalne skutki w przypadku, gdyby gestapo znalazło je w moim posiadaniu. Rozumiejąc jednak, że taka pamiątka z tych czasów może okazać się kiedyś bardzo ważna, schowałam te dokumenty celem wydobycia ich później. Aż do opuszczenia Józefowa uparcie nosiłam ten śmiertelny bagaż ze sobą. Wreszcie zwyciężył rozsądek, by się tego pozbyć, zapakowałam więc wszystko do dużego szklanego słoja i zakopałam w ogrodzie przy willi w Józefowie. Oznaczyłam dokładnie miejsce schowka, pamiętając drzewa i umieszczając słupki. Dużo później, kiedy już nawała wojenna przewalała się przez Polskę i zmierzała w kierunku Reichu, pojechałam z powrotem do ogrodu w Józefowie, by odszukać zakopany skarb. Willa była zniszczona, a ogród był pobojuwiskiem pełnym okopów, na którym toczyły się ostre walki. Chodziłam po zniszczonych i zapadających się okopach. Zapamiętane starannie znaki, które miały naprowadzić mnie na miejsce, gdzie umieściłam słoje, nie istniały. Nagle coś zauważyłam. Coś błyszczało. Gołymi rękoma wygrzebałam z ziemi to, po co specjalnie przyjechałam z Warszawy do Józefowa.

W Warszawie plotki o nieuchronnym powstaniu narastały. Rosjanie prawie że osiągnęli wschodni brzeg Wisły. Panowała napięta atmosfera. Sowieckie radio nawoływało Polaków do broni, by przepędzić wspólnego wroga. Mieszkanie na Nowym Świecie pełne było krewnych i przyjaciół. Wyglądało to na instynktowne gromadzenie się przed zagrażającą burzą. Mimo pewności co do powstania, strzały, które padły z rejonu Poczty Głównej po południu 1 sierpnia 1944 roku, przyszły prawie jak niespodzianka. Przez pierwsze dni walki były bardzo intensywne, panowało zamieszanie i hałas trudny do opisu. Lokalne polskie radio, które zaczęło działać po rozpoczęciu walk, wkrótce zamilkło - nadawanie przerwano akurat podczas marszu Chopina - bombardowano z powietrza. Czołgi nieprzyjacielskie, myślę, że tygrysy, ostrzeliwały nas z bardzo bliskiej odległości.

Strzelanina stawała się coraz intensywniejsza i pod ogniem pocisków karabinowych i armatnich zaczęto budować barykadę z kamieni brukowych i wszystkiego, co wpadło w rękę, akurat pod naszym domem na Nowym Świecie. Przez pierwszych kilka dni większość Warszawy była w naszych rękach. Zabito wielu Niemców i z wielu okien wywieszono polskie flagi. Nasza grupa wywieszała w każdym widocznym miejscu flagi o barwach narodowych zrobione z poszewek na poduszki i prześcieradeł, i umocowane na kijach od szczotek. Niedaleko od naszego domu Podziemie wyparło Niemców z fabryki kosmetyków. Pełno było w niej beczek z pudrem do twarzy, słoików z lakierem do paznokci i zmywaczy. Wiele było też węgla drzewnego, mączki ryżowej i różnych innych surowców. Szybko przekształcono ją w polski ośrodek produkcji granatów i bomb. Pobliski sklep żelazny, dobrze zaopatrzony w gwoździe i inne żelastwo, również dostarczył ważnych składników dla naszych celów. Zostawiałam córeczkę pod dobrą opieką naszej starej cioci, która się u nas zatrzymała, codziennie chodziłam do pracy w tej nowej fabryce, do której wkrótce Podziemie skierowało niezbędnych techników nadzorujących szaleńczą wytężoną pracę w większości kobiecej załogi. Jak tylko amunicja była gotowa, młodzi chłopcy obładowani do niemożliwości dostarczali ją różnym jednostkom ruchu oporu, czołgając się między budynkami pod gradem kul.

Sąsiedni dom przy fabryce pełen był uciekinierów, którzy schronili się w piwnicach. Mały chłopiec, mniej więcej w wieku mojej córki, był śmiertelnie zagłodzony. Codziennie rano dawałam mu trochę jedzenia, głównie kaszki manny, i wracałam do pracy. Olbrzymia bomba spadła na ten dom i zniszczyła go, a ludzie zginęli. Nasza fabryka także się zawaliła i wszyscy zostaliśmy żywcem pogrzebani. Gruz i cegły zablokowały wyjście, na szczęście mieliśmy czym oddychać, choć pełne pyłu powietrze zatykało dech w piersiach. Nasze surowce, głównie pudry, rozpylone zostały wszędzie i byliśmy pokryci grubą warstwą bieli. Zostaliśmy pogrzebani w południe i wszystko co mogliśmy robić, to tylko modlić się o ratunek. Modlitwy nasze zostały wysłuchane, usłyszeliśmy dochodzące skądś z zewnątrz głosy, którym towarzyszył rumor gruzu usuwanego przez drużynę ratowniczą. Dopiero późnym wieczorem udało się wykopać otwór do naszego żywego grobu i ujrzeliśmy światło latarek. Pojedynczo, ostrożnie wyczołgiwaliśmy się na zewnątrz. Dom sąsiedni był zniszczony kompletnie bez szans, że ktoś w nim przeżył, włączając w to oczywiście tego małego chłopca, dla którego przynosiłam kaszkę mannę.

Drżąc cała, wracałam do domu rodziców i matka otworzyła drzwi. „Kim pani jest i co mogę dla pani zrobić?“, spytała. „Nie poznajesz mnie?“, spytałam, bo rzeczywiście moja matka nie miała pojęcia, że to jej własna córka stoi przed nią tak byłą zmieniona. Mieszkanie na Nowym Świecie zatłoczone było do niemożliwości. Były w nim dziesiątki osób. Spały w jadalni i w holu. Niektórzy przybyli podziemnymi kanałami ściekowymi ze Starego Miasta, w którym nie można było wytrzymać ze względu na niemieckie bombardowanie. Niewiele mogliśmy zaoferować tym niewyobrażalnie zabrudzonym ludziom poza możliwością umycia się w jedynym źródle wody, jakim było uszkodzone główne doprowadzenie wodociągu na podwórku.

Ostrzeliwanie i bombardowanie trwało nadal, i teraz, kiedy nie pracowałam w fabryce, mogłam poświęcić nieco czasu małej Puni. Przeważnie leżałyśmy pod łóżkiem, mała to ochrona, ale dawała pewne poczucie bezpieczeństwa. Dotarła do nas wiadomość, że w odległości kilkuset metrów leży zabity koń.

Zorganizowano wypad z dobrze wyostrzonymi nożami i zdobyto mnóstwo mięsa. Jedna starsza ciotka z bardziej wyszukany gustem odmawiała jedzenia koniny, dopóki apetyczny zapach smażonego mięsa nie dotarł do jej nosa, wtedy dopiero przyłączyła się do naszej uczty.

Kazio, mój ojciec, miał pełne ręce roboty, zajmując się nieustannie przybywającymi rannymi, i zmobilizował Krystynę jako pielęgniarkę. Krystyna, moja siostra, choć jeszcze bez pełnych kwalifikacji medycznych, była odpowiedzialna za szpital niedaleko Nowego Świata na brzegu Wisły. Szpital został zbombardowany i się palił. Ewakuowano pacjentów pod ostrzałem i Krystyna wykazała wielką odwagę, wyciągając przez płomienie butle z alkoholem metylowym do celów chirurgicznych. Po zniszczeniu jej szpitala wróciła do domu pomagać ojcu w jego robocie.

Mój młodszy brat Jędrzek zdobył pistolet i plądrował okolice wraz z innymi rówieśnikami, zabijając Niemców gdzie popadło i zdobywając pożywienie i broń.

W tym czasie Polacy już się zorientowali, że Rosjanie zgrupowani po drugiej stronie Wisły nie mają zamiaru im pomagać. Nic innego nie pozostało, jak tylko zawzięcie walczyć dalej. Niemcy skorzystali z okazji stworzonej przez Sowietów i wzmoгли napór. Robota, jaka spadła na barki Kazia, była olbrzymia. Obie, Krystyna i ja, wychodziłyśmy z nim na ulice pod gradem pocisków, by ratować rannych. Nasze improwizowano z wyjętych z zawiasów drzwi. Znoszono ludzi do miejsc dających choćby najslabsze schronienie, gdzie operowano rannych w straszliwie prymitywnych warunkach.

W pierwszych dniach września, jakieś pięć tygodni po rozpoczęciu Po-wstania, Niemcy z powrotem opanowali centrum Warszawy. By uchronić się przed pewnym rozstrzelaniem, doktor Kazio i mój brat Jędrzek opuścili nas i dołączyli do jednostek walczących gdzie indziej. Kiedy Niemcy we-szli, były tylko same kobiety. Wzięli nas z domu. „Szybko, brać tylko to, co można wziąć w ręce”. Co można było wziąć? Walizkę pełną kaszki manny i cukru, mały piecyk spirytusowy, żebym mogła coś ugotować dla Puni. Dookoła było mnóstwo Niemców. Starali się oddzielić mnie od dziecka, wyrwali mi je z ramion, ale krzyczałam i wrzeszczałam, że muszą mnie najpierw zabić. Wtedy nas wzięli, moją matkę, ciocię Zosię i małego psa - Figę, i mnie z Punią ale Krystyna została. Chciał ją niemiecki porucznik, i choć nie ukrywała, co na ten temat myśli, musiała zostać. Znacznie później opowiedziała mi o swoich przejściach, jak zostali w mieszkaniu przez trzy dni i jak on chciał się z nią żenić, ale został zabity, kiedy próbował uratować ranną Polkę. Błąkała się po ulicach i została zgarnięta przez niemieckich żołnierzy, którzy ją zgwałcili. Popadła w depresję i nawet myślała o samobójstwie, ale go nie popełniła. W końcu dostała się do jednego z obozów dla uchodźców. Pozostali, starsi mężczyźni i kobiety, chorzy i ranni, kobiety z dziećmi na rękach, jak ja, prowadzeni byli pod bagnetami i bezlitośnie wypędzeni na piechotę z Warszawy. Trzy dni trwał ten mozolny marsz, pomagaliśmy sobie wzajemnie jak mogliśmy, resztkami sił nieśliśmy to, co pozostało z naszego dobytku. Na noc zatrzymywaliśmy się przy szosie i nocowaliśmy pod gołym niebem. Wielu z najstarszych i tych bardzo młodych rankiem znajdowało wieczny spoczynek.

Uciekinierzy w końcu dotarli do stacji kolejowej w Radzyminie*. Był to prawie luksus, upchani do pustych wagonów znaleźliśmy przynajmniej schronienie przed dokuczliwym deszczem. Niemcy przeprowadzili następną inspekcję pojmanych i przeżyłam kolejną próbę rozdzielenia mnie z Punią która miała zostać z babcią.

Tym razem straciłam jedynie złoty zegarek, mój prezent maturalny, który zerwał mi niemiecki doktor.

Zamknięto nas w wagonach i wagony zapieczętowano. Były to wagony do przewozu koni i bydła, nie było w nich miejsca, by sięść czy się położyć, dało się tylko stać. Moja biedna matka była przerażona, przyciskała małego pieska do piersi, a ludzie dookoła wrzeszczeli, jak śmiała przynieść tu pieska?! Ale był to taki mały piesek i nie robił nikomu żadnej krzywdy. Punia miała biegunkę, bo nie dostawała właściwego pożywienia, a mnie już zabrakło pieluch. Musiałam używać zamiast tego majtek, halki i biustonosza. Nie było żadnej toalety. Jak chciałyśmy się wysiusiać, używałyśmy ćwierćlitrowego garnuszka, który przekazywano z rąk do rąk i wypróżniałam go, wylewając poza

wagon. Każdego ranka wyrzucano zmarłych z wagonu. Raz, kiedy pociąg się zatrzymał, weszłam komuś na ramiona. Ujrzałam siostry zakonne. Rzuciły nam chleb i wołały „Niech was Bóg błogosławi”. Dzieliłyśmy chleb na małeńkie kawałeczki. Byłyśmy w tym pociągu przez cztery dni i cztery noce. Wreszcie drzwi wagonu się otworzyły i padł rozkaz Raus.

Od licznych chłopów, którzy otoczyli pociąg, dowiedzieliśmy się, że przybyliśmy do Łowicza pod Krakowem (sic!) w południowej połowie Polski. Chłopi podjechali konnymi wozami i okazywali pomoc dotkniętym nieszczęściem uciekinierom. Punia i ja z matką i ciotką zostałyśmy przewiezione niedaleko do wygodnej chaty z dużym ogrodem. Okazano wszelkiego rodzaju pomoc nowo przybyłym i szybko zostaliśmy nakarmieni, oczyściliśmy się, dano nam ubrania. Połowę domu dano do dyspozycji nowo przybyłym i nic nie sprawiało gospodarzom kłopotu, traktowali to zarówno jako przyjemność, jak i swój patriotyczny obowiązek. „Gość w dom, Bóg w dom” jak mówi stare polskie przysłowie, wedle którego postępowali.

PRZYPISY AUTORA:

* Autor prawdopodobnie źle zrozumiał albo źle zapamiętał nazwy miejscowości podane przez żonę. Niemożliwe jest, by Niemcy wyprowadzili ludność Warszawy pod Radzymin, który leży na prawym, zajętym wówczas przez Armię Czerwoną, brzegu Wisły, ani Łowicz nie leży pod Krakowem. Ustalenie rzeczywistej trasy przekracza nasze możliwości (przyp. red.).

Od Czerwonego Krzyża dowiedzieliśmy się, że doktor Kazio został wzięty do niewoli przez Niemców i zwolniony ze względu na podeszły wiek. Jędrzek, mój brat, trzymany był jako jeniec wojenny w miejscu nieznanym.

Rozległy klan rodzinny Kaziów znów przystąpił do akcji i pojawił się jeszcze jeden wujek, który w jakiś sposób nas odszukał. Przybył wozem konnym. Szybko pożegnaliśmy się z naszymi wspaniałymi gospodarzami i dołączyliśmy do chyba ze czterdziestki innych bliższych i dalszych krewniaków, którzy zgromadzili się pod dachem tego samarytańskiego wujka. Jak wielu innych Polaków, robił co tylko mógł dla warszawiaków, którzy dzielnie walczyli ze Szwabami w stolicy.

Przybył też doktor Kazio, i nieco później Krystyna. Z czterdziestką osób w małym domu miejsce było problemem, specjalnie w nocy. Karmiłam Punię na każde zawołanie, żeby nie przeszkadzała innym w spaniu. Ciężko było, to prawda, ale dziękowaliśmy losowi, że tylu członków rodziny przeżyło Powstanie.

W listopadzie 1944 roku grupa najbliższych Kazia, do której należały teraz, oprócz samego doktora, dziecka i mnie, także Krystyna, mama Stefka i starsza ciotka Zosia, znalazła mały domek niedaleko Krakowa, w którym zamieszkano. Zbyszek, narzeczony Krystyny, który został ciężko ranny w ramię w czasie Powstania, także się pojawił i nasza mała, mniej więcej połączona rodzina zaczęła się przygotowywać do nadchodzącej ostrej zimy. Opał był rzeczą najważniejszą. Gromadziliśmy wszystko ruchome i palne, bo jak temperatura spadła poniżej zera, ogrzewanie było konieczne. Płaszcz nosiliśmy przez dwadzieścia cztery godziny, dniem i nocą. W środku białej i lodowatej zimy pod koniec grudnia 1944 roku niemiecki pociąg pancerny wtoczył się na pobliską stację. Widoczny był poprzez bezlistne drzewa.

Pojawiło się około dwudziestu młodych niemieckich żołnierzy, przyszli do naszego domu i domagali się schronienia. Na jutro zapowiadała się bitwa z Rosjanami, a większość nowo przybyłych żołnierzy, brudnych i zmęczonych jak pies, rozłożyła się na podłodze. Jeden czy dwóch zasiadło przy wódce i

wdało się w dyskusję z moim niepokonanym ojcem, który twardo dowodził, że Niemcy już przegrały wojnę.

Przed świtem Niemcy wrócili do swojego pociągu. Prawie natychmiast rozpoczęła się bitwa. Eksplozje i ogień z broni maszynowej trzęsły całą okolicą. Rozmawianie w tym hałasie było niemożliwe i wszyscy pokładaliśmy się na podłogę, chowając się pod czymkolwiek, co dawało pozory schronienia. Punię przykryłam swoim własnym ciałem. Szyby powypadały z okien, leciały na nas kawałki podziurawionego dachu i sufitu, przelatowały zabłąkane pociski. Leżeliśmy przywarci do podłogi. Powoli hałas bitwy oddalał się, ostrożnie otworzyłam tylne drzwi i wyslizgnęłam się do ogrodu. Po-ciąg pancerny stał w tym samym miejscu. Nie było śladu życia w wagonach, chociaż dym walił z lokomotywy. Wydawało się, że wszystko się uspokoiło, kiedy nagle podskoczyłam - patrzyłam prosto w mały otwór lufy pistoletu maszynowego trzymanego w rękach najbardziej dziko wyglądającego stworzenia, które w jakiś sposób niespodziewanie tu się pojawiło. Złapana z tyłu przez doktora Kazia, który także wymknął się do ogrodu, wpadłam wraz z nim z powrotem do domu, jakimś cudem nie zostaliśmy trafieni pociskami, które zostały wystrzelone w naszym kierunku. Wkroczyli Rosjanie. Byli to Kałmucy, członkowie ludów mongolskich z Kaukazu. Ciemnoskórzy, o włosach bez połysku, skośnych oczach, długich pazurach, ich wygląd i zachowanie przypominały raczej dzikie zwierzęta niż ludzi. Brudni, ubrani w łachmany trzymające się na nich za pomocą sznurków, cali byli chodzącymi arsenałami pełnymi pistoletów maszynowych, noży i amunicji. Zaroił się nimi cały dom, domagali się tabaki, jedzenia i zegarków. Przerażone, że wkrótce zaczną domagać się kobiet, my, szczególnie Krystyna i ja, zamarłyśmy ze strachu, co nas czeka od tych potworów.

Mój ojciec podjął się obrony swoich damskich podopiecznych, przypuszczając słowny atak w płynnym rosyjskim. „Co, u diabła, sobie wyobrażacie, wdzierając się do prywatnego domu i stawiając takie obrzydliwe żądania?” - grzmiał na tę hałastę. Takie upomnienie wygłoszone w języku, który tylko słabo rozumieli, dało tym Kałmukom do zrozumienia, że rabunek, na jaki liczyli, może nie być wcale taką łatwą sprawą i źle się dla nich skończyć przez tego cywilnego faceta, co tak władczo przemawia po rosyjsku. Szczęściem Kałmucy nie byli jeszcze uchłani, co by zamąciło ich rozsądek, i widać było, że rozważają sytuację. Przycichli. Wyciągnięto herbatę i zaparzano. Dym z najokropniejszej tabaki, takiej, że wszyscy zaczęliśmy kaszleć, zapowiadał spokój i harmonię. Dowiedzieliśmy się, że żołnierze niemieccy, którzy przed świtem wrócili do pociągu pancernego, zostali wybici przez Kałmuków, którzy po herbacie i popaleniu szykowali się do drogi, by szukać mniej kłopotliwych ofiar.

Kałmucy nie wpadli na pomysł, by złupić pociąg pancerny, co zachęciło nas, by zorganizować wieczorem wypad rodzinny do opuszczonych wagonów. Matka, Krystyna i ja wykryłyśmy wiele nietkniętego smalcu, pasztetu i innej żywności, a także skrzynki czerwonego wina. Obładowane tymi skarbami ukradkiem wróciłyśmy do domu, a potem wyprawiłyśmy się jeszcze raz po bogatsze nawet łupy.

Mały domek, który był naszym schronieniem przez parę miesięcy, nie miał teraz okien. Było też wiele innych uszkodzeń spowodowanych w czasie walki, szczególnie zniszczony był dach, przez który widziało się niebo.

Doszliśmy do wniosku, że taki budynek nie nadaje się na zimową rezydencję polskiej rodziny. Zdecydowaliśmy się na przenosiny. Rodzina zorganizowała wóz konny i z całym naszym skromnym dobytkiem, nie zapominając o łupach z pociągu pancernego, przenieśliśmy się do małego miasteczka pod Krakowem. Droga zasłana była zmasakrowanymi, zamarzniętymi, rozebranymi do naga trupami leżącymi w groteskowych pozach. Po hełmach można było poznać, że to Niemcy.

Przyjemna zmiana losu oczekiwała nas w Wodzisławiu. Miejscowy szpital cierpiał na brak pracowników. Doktora Kazia powitano z otwartymi ramionami i został jego dyrektorem. W odległości kilku minut spacerkiem udostępniono nam obszerną willę i cała rodzinka rozkoszowała się warunkami, które dla nas prawie że przestały istnieć gdziekolwiek indziej w całej Polsce.

Wraz ze zbliżającym się końcem wojennej strzelaniny całe rzeki sowieckiego wojska przelewały się przez Polskę na wschód. Wielką liczbę niemieckich jeńców pędzono w tym samym kierunku. Większość tych jeńców znajdowała się w pożałowania godnym stanie. Rany ich nie były zabandażowane i wielu z nich nie mogło poruszać się inaczej po zmarzniętym gruncie, jak tylko czołgając się. Nie było widać nawet śladu litości czy współczucia. Żołnierze rosyjscy zaczęli być zmęczeni tachaniem ze sobą nakradzionej zdobyczy z Niemiec i można było od nich dostać różne rzeczy za bezcen. Nie mieliśmy zbyt wiele, właściwie tylko ubrania, w których uciekaliśmy. Ja ciągle nosiłam buty z cholewami i mój zielony płaszcz, ale niewiele miałam pod nim.

W zamian za maminy stary złoty zegarek dostaliśmy trzy worki pantofli, kozaków, zasłon, kocy i najpiękniejszą ze wszystkiego - pierzynę - olbrzymi wór wypełniony piórami. Spaliśmy pod nią na zmianę. Zasłony były z ciężkiego czerwonego brokatu. Uszyłam z nich ubrania dla całej rodziny z moją córką włącznie. Dali nam także nieco cukru i herbaty.

Pewien rosyjski pułkownik, niosąc kilka butelek wódki i obficie zaopatrzony w dobre papierosy, wprosił się na obiad. Był bardzo grzeczny i miał tylko dwie prośby do doktora Kazia. Pierwsza jego prośba, to by pozwolono mu zabrać ze sobą do Rosji Krystynę, a druga - by doktor zgodził się udzielić pomocy lekarskiej jego ludziom, którzy jego zdaniem byli bardzo chorzy. Kazio, który i tak nie miał wyboru, zgodził się przyjąć żołnierzy w szpitalu następnego dnia rano, ale postawił się twardo, odmawiając zgody na przejęcie dłuższej opieki nad młodszą córką przez naszego wieczornego gościa. Oficer rosyjski był zdumiony, a nawet dotknięty, ale przyjął odmowę z prawdziwym żalem. Przed odejściem podarował mojej siostrze elegancką złotą papierośnicę. Grawerunek na papierośnicy był, oczywiście, niemiecki.

Żołnierze, których Kazio zgodził się zbadać, przybyli następnego dnia rano. Nie cierpieli oni na choroby związane z wojną nie mieli wojennych ran postrzałowych czy poparzeń. Ci ludzie byli po prostu ślepi lub prawie niewidomi. Zapijaczyli się alkoholem metylowym. Czy mieli zalane ropą i lekceważenie ich stanu przyniosło opłakane skutki. Kazio robił co mógł.

Wojna w Europie się skończyła i w Wodzisławiu, który stał się naszą rodzinną siedzibą życie biegło bez zmian. Wojska rosyjskie ciągnęły przez Polskę w drodze do domu, żerując ile tylko się dało na miejscowej ludności. Żołnierze zachowywali się raczej jak bandy maruderów najeźdźczej armii, niż jak alianci wracający ze zwycięskiej wojny.

W miarę jak Sowieci umacniali swoje wpływy w Polsce, bardzo przykre wypadki pozwoliły Polakom utwierdzić się w przekonaniu, że alianci poświęcili ich na rzecz barbarzyńskiej, wschodniej ideologii.

W atmosferze terroru i podejrzeń nie mówiłam nic o moich powiązaniach z Ronem. Zbyt wielkie było ryzyko, biorąc pod uwagę, w jaki sposób Rosjanie mogliby mnie i Punię potraktować. Komuniści wyłapywali byłych członków Podziemia i likwidowali w akompaniamencie wrzasków, że byli to faszysti i współpracowali z nazistami.

Wiosna przechodziła w lato. Zaopatrzenie w żywność i komunikacja ustabilizowały się, ale narastająca kontrola komunistyczna i represje, szczególnie w głównych ośrodkach polskich,

powodowały, że cała rodzina Kaziów zadowolona była ze względnej izolacji, jaką mieliśmy w małym prowincjonalnym miasteczku, które teraz stało się naszą siedzibą.

Dobre wiadomości dotarły do naszej rodziny, i to aż w trojakićj formie. Nadszedł list z Ambasady Brytyjskiej, którą akurat otworzono w Warszawie. Zaadresowany był do mnie na moje nazwisko panińskie, drugi na fałszywe nazwisko Jasińska przybrane na okazję ślubu, i trzeci do Mrs Mary Jeffery. Proszono mnie o pilne zgłoszenie się do ambasady w Warszawie celem załatwienia formalności związanych z moją podróżą do Zjednoczonego Królestwa. Ambasada otrzymała mój adres od Władka, brata doktora Kazia, który wrócił do Warszawy, jak o tym powiadał Ronniego w liście z obozu jenieckiego w Niemczech. Krystyna i ja zdecydowałyśmy się pojechać do Warszawy. Punia została pod opieką babci i tej oddanej starej cioci Zosi.

Nie było transportu publicznego, ani kolejowego, ani drogowego. Udało się nam zdobyć miejsce w dużej rosyjskiej ciężarówce wiozącej do Warszawy puste beczki po paliwie. Dwóm sowieckim kierowcom dałyśmy grubą zaliczkę. W czasie jazdy stałyśmy na platformie pomiędzy metalowymi beczkami. Podróż trwała trzy dni i trzy noce w ciągłej niewygodzie. Stanie przez cały dzień i spędzanie nocy w prymitywnych, tanich przydrożnych domach noclegowych to tylko część naszej ryzykownej podróży. Obaj rosyjscy żołnierze byli ciągle uchłani i zbyt wiele mieli w czubie, żeby stanowić dla nas jakieś zagrożenie. Prawdziwą zmorą było prowadzenie w tym stanie wielkiego pojazdu, który rwał do przodu, nie zważając na ludzi czy zwierzęta.

Wreszcie dotarliśmy do Warszawy i tu stało się to, co było do przewidzenia. Akurat na ulicy przed naszym zniszczonym blokiem mieszkalnym przy Nowym Świecie był olbrzymi lej po bombie. W ten to lej wpadła nasza ciężarówka z całym ładunkiem beczek, dwoma pijanymi szoferami i nami dwiema. Ciężarówka leżała wywrócona na jednym boku. Pierwsza wydobyła się z krateru Krysia. „Marysiu, gdzie jesteś?”, krzyczała. Polscy przechodnie szybko wywlekli mnie spod beczek, którymi byłam przytłoczona. Byłam mocno posiniaczona, ale mogłam iść bez odczuwania bólu. Podtrzymując się wzajemnie, znikłyśmy z miejsca wypadku, co też zrobili polscy świadkowie. Obaj kierowcy pozostali w kabinie bez ruchu jak trupy, albo zalani w trupa. Najpilniejszą sprawą było zniknąć z miejsca wypadku, by nie mieć kłopotu, jak przybędą sowieckie władze.

Zapadła noc. Powoli, w strachu, by nie złapał nas jakiś sowiecki patrol, zmierzałyśmy przez most Poniatowskiego na Saską Kępę, by zatrzymać się chwilowo u Steni i Janki. Dopiero we wczesnych godzinach rannych, przemoczzone do suchej nitki od ciągle padającego deszczu, zapukałyśmy do drzwi naszych przyjaciół. Stenia i Janka powitały nas bardzo serdecznie, ale pozostanie w ich, o dziwo, niezniszczonym mieszkaniu nie wchodziło w rachubę. Sowiecka policja akurat opuściła ich dom po długim przesłuchiowaniu i obietnicy szybkiego powrotu.

Teraz, z trudem trzymając się na nogach, uwiesiłam się Krystyny i tak razem znów wędrowałyśmy przez most Poniatowskiego w stronę centrum miasta.

W pewnym kiosku otwartym przez całą noc dostałyśmy gorącej kawy, a właścicielka łaskawie zezwoliła nam przespać się na stole. Już zupełnie na ostatnich nogach Krystyna jakoś pomogła mi, teraz już całkiem sztywną i obolałą, dowlec się do pewnej starszej ciotki, która zaprosiła nas do tego, co było resztką jej dawnego mieszkania. Ta starsza kobieta przyjęła nas serdecznie, a my obie, padające ze zmęczenia, spałyśmy u niej przez dwadzieścia cztery godziny. Kiedy wróciłyśmy jakoś do siebie, zgłosiłam się do Ambasady Brytyjskiej, która mieściła się akurat bliźutko mieszkania ciotki. Niejaki pan Holiday wykazywał szczyty uprzejmości i oświadczył, że samolot odlata następnego dnia i ja mam nim lecieć. Bez dziecka, oczywiście, nie było o tym mowy. Holiday podkreślał konieczność natychmiastowego opuszczenia Polski i zaznaczał, że gdybym wpadła w ręce Rosjan,

moja przyszłość wyglądać będzie bardzo ponuro. Obie, Krystyna i ja, odbyłyśmy podobnie makabryczną, ale skuteczną podróż nocną do Wodzisławia. Zabrałam Punię po szybkim, pełnym płaczu pożegnaniu się z rodziną. Krystyna znów towarzyszyła mi do Warszawy, tym razem z Punią na dodatek. Podróż była tak okropna, że trudno to wyrazić. Mieszkanie ciotki jeszcze raz wykorzystaliśmy do przenocowania i następnego ranka samochód ambasady zawiózł nas na warszawskie lotnisko. Wylot był opóźniony o dwadzieścia cztery godziny z powodu złej pogody, ale następnego dnia wyleciałyśmy wreszcie dwumotorowym, niezawodnym samolotem DC3. Tego dnia po południu, we wrześniu 1945 roku, w dwudzieste ósme urodziny Ronniego wylądowałyśmy na lotnisku w Croydon.

Koniec taśmy Marysi.

Opisałem już poprzednio spotkanie z Punią wkrótce po wylądowaniu samolotu, którym przyleciały z Warszawy. Dopiero po latach zrozumieliśmy znaczenie tego, co Marysia powiedziała mi o przykrych godzinach spędzonych na przesłuchaniu, jakim ją poddano zaraz po przylocie, kiedy to ja czekałem w samochodzie na lotnisku. Człowiek, który ją wtedy doprowadził do wściekłości zarzutami skierowanymi przeciwko mnie, nazywał się Philby! To był ten degenerat i zdrajca, sowiecki agent wysoko ustawiony w brytyjskim wywiadzie. Żyje i mieszka w Moskwie*.

PRZYPISY AUTORA:

* Harold Adrian Russel „Kim” Philby, pracownik brytyjskich tajnych służb, współpracował z wywiadem sowieckim prawdopodobnie od 1934 roku. Po zdemaskowaniu go w 1963 roku uciekł do Moskwy, gdzie w 1988 roku zmarł (przyp. red.).

ZAŁĄCZNIK

Żydzi

Poniższy list napisałem do „The Times” w 1943 roku, wyrażając uznanie dla niewiarygodnej odwagi i opisując cierpienia, jakim poddano Żydów wszędzie tam, gdzie tylko nazistowski potwór położył swoją łapę w czasie drugiej wojny światowej.

Nie miałem zbyt wielu osobistych kontaktów z Żydami, jak Polacy. W czasie mojej ucieczki z obozu jeńców wojennych większość prześladowanej rasy była już wyłapana i bezlitośnie zamknięta w gettach i obozach koncentracyjnych. Nie tylko z Polski, ofiary pochodziły z każdego okupowanego kraju. Niektóre z przypadkowych kontaktów z Żydami w czasie mojej tułaczki wojennej opisałem poprzednio, ale będąc przez tak długi czas blisko miejsc ich największych tragedii, uważam, że mam nie tylko podstawy, ale też obowiązek wypowiedzenia się na ten temat. Jest to rzecz niezbędna dla prawdy i oddania sprawiedliwości, a także aby zaprzeczyć twierdzeniom wywodzącym się z niektórych kręgów politycznych, że opisy traktowania Żydów przez nazistów są przesadzone.

W kwietniu 1943 roku, kiedy już w pełni byłem obywatelem Warszawy, widziałem początek głównej rewolty żydowskiej w warszawskim getcie. Ciężki dym, eksplozje, ogień karabinów maszynowych i ciągłe ruchy niemieckiego wojska nie były działalnością propagandową.

Getto warszawskie zamknięte było wysokim murem z cegieł. Przy wszystkich bramach trzymali straż umundurowani Niemcy. Na szczycie murów strażnicy obserwowali ruch po obu stronach. Droga na Żoliborz, gdzie mieszkała większość rodziny Lorenzów, miejsce moich częstych wypadów, przebiegała obok tego przeraźliwego muru i poczucie bezpieczeństwa polegało tylko na tym, że jest się na zewnątrz tego straszliwego miejsca.

Oficjalny przydział żywności na osobę wynosił łącznie około sześciu funtów chleba na miesiąc. Żydowskie rodziny, głównie te, które miały jeszcze jakieś rzeczy do sprzedania, trzymały się jakoś przy życiu. Szmuglowana z zewnątrz żywność sprzedawana na czarnym rynku była jedynym sposobem na przetrwanie. Poprzez połączenia w piwnicach, kanały, a także przez bramy po wręczeniu dużych łapówek strumyczek żywności utrzymywał małą część mieszkańców getta przy życiu. Dla tych bez środków życia, jak długo trwało, było nieustannym głodem, chłodem i nędzą. Nieznaczną liczbą miała się nieco lepiej, byli to ci, którzy zatrudnieni zostali przez różne niemieckie przedsiębiorstwa działające w getcie. Niektórzy Polacy spoza getta, jak mój przyjaciel inżynier z Saskiej Kępy, mieli służbowy dostęp do tych zakładów. I jemu to zawdzięczam moje wiadomości o życiu Żydów w tym czasie.

Zatłoczenie mieszkań dochodziło do niewyobrażalnych rozmiarów. Piętnaście osób na pokój to była rzecz zwyczajna. Choroby były powszechne. Złapanie poza murami getta oznaczało natychmiastową śmierć. Wiele żydowskich dzieci udających się na poszukiwania żywności dla całej rodziny nigdy nie wróciło. Małe dzieci miały lepsze możliwości wydostania się przez ukryte przejścia, trudne do pokonania dla dorosłych. Często padali ofiarą semickiego wyglądu, na który taką uwagę zwracali niemieccy żołnierze, policja i cywile. Spotkanie Szwaba którejkolwiek z tych trzech kategorii oznaczało wyrok śmierci na miejscu.

Ciała, najczęściej nagie, leżały w rynsztokach getta i zbierane były codziennie na wózki ręczne przez żydowskie grupy karne, zupełnie zadowolone z takiego stałego zajęcia, za które otrzymywały dodatkowy kawałek chleba. Samobójstwa były w getcie powszechne. Całe rodziny zasiadały do ostatniej pożegnalnej wieczerzy, a potem wszyscy leżeli martwi dookoła stołu w wyniku zażycia trucizny.

W czasie mojego zamieszkiwania u Floriana i jego żony na Nowym Świecie pod koniec 1942 roku gościli oni u siebie przez kilka tygodni śliczną ciemnowłosą dziewczynę o wielkim uroku osobistym. Wyczulony już byłem wtedy na cechy rasowe i natychmiast zauważyłem, że to Żydówka. Ani Florian, ani jego żona nie rozwodzili się na temat pochodzenia tej nastolatki, co było oczywiste w tych czasach, i ja także nie pytałem i nie robiłem żadnych uwag.

Smutek patrzył z jej kasztanowych oczu, które normalnie powinny były iskrzyć się radością i przyznaję, że nieraz próbowałem ją skłonić do śmiechu. Bezskutecznie. Zapomniałem jej imienia, prawdziwego imienia i tak zresztą by nie podała, i kiedy któregoś dnia wieczorem wróciwszy do domu jej nie zastałem, zapytałem, dlaczego jej nie ma. Florian i Anna zbyt byli zdenerwowani, by udzielić rzeczowej odpowiedzi, i odesłali mnie do doktora Kazia piętro niżej, który podzielił się ze mną wiadomością. Ta dziewczyna była rzeczywiście Żydówką córką zamożnej rodziny zamkniętej w getcie. Czyniono plany ucieczki całej rodziny i młody gość Floriana stanowił początek realizacji tego zamierzenia. Przekupstwo, podstawa tego planu, jak niestety to się często zdarza, spaliło na panewce przez zdradę. Niemiecka policja urządziła rajd na mieszkanie tej rodziny i wszystkich mieszkańców wymordowano. Przybita tą wiadomością dziewczyna zażyła truciznę.

Kazio postarał się, żeby przyjęto ją do polskiego szpitala, a w odpowiedzi na moje pytanie co do jej szans, ten doświadczony polski doktor, który widział tyle życia i śmierci, spojrzał na mnie ze łzami w oczach i powiedział „Ona umrze, Paweł”.

Następnego ranka, niezbyt to było rozsądne, wybrałem się przez zatłoczoną Warszawę do tego szpitala. Nie mogłem znieść myśli, że opuści ten świat w samotności. Nie mogła już mówić, chwyciła mnie tylko za rękę i patrzyła z poduszki najsmutniejszymi oczyma, nie mogłem opanować smutku. Ze łzami w oczach pożegnałem to piękne dziecko. Wstrząśnięty niesprawiedliwością i tragedią

wyszedłem ze szpitala pełen smutku i bezradności, nie tylko z powodu tej dziewczyny, ale z powodu wszystkich nas w Polsce. Gdybym wtedy usłyszał *Kommen Sie mit*, co by kończyło wreszcie to wszystko, przyjąłbym to chyba z ulgą.

Ponad rok później Marysia i ja udzieliliśmy schronienia innej Żydówce, także uciekinierce warszawskiej, w naszym pierwszym mieszkaniu na Elektoralfiej. Janina Brannntwein cierpiała z tego samego powodu co ta dziewczyna, która popełniła samobójstwo, ale jej losy przyjęły szczęśliwszy obrót. Jak już opowiadałem, Janina przeżyła i osiedliła się w Izraelu. Nic dziwnego, że Żydzi z takim uporem i zawziętością bronią Izraela, jedyne miejsce na ziemi, które określili jako swoje. Niektóre demokracje zrobią dobrze, jeśli pójdą w ich ślady.

W pierwszej połowie 1942 roku naziści zaczęli wprowadzać w życie program ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej. Pociągi pełne Żydów opuszczały Warszawę. Większość pasażerów wierzyła Niemcom, że organizuje się im program przesiedlania. Oczekiwała ich praca, jedzenie, dach nad głową i nowe życie. Ci, którzy z trudem mogli mieć nadzieję na przeżycie w getcie dłużej niż miesiąc czy dwa, nie mieli czasu na zastanawianie się nad plotkami, które przedostawały się z powrotem do Warszawy co do losu, jaki ich oczekuje. Nie była to sprawa, nie zagrasz, nie wygrasz. Nie zagrasz oznaczało pewną śmierć.

Mimo obaw tysiące, do pięciu tysięcy dziennie, wyjeżdżały pociągami z Warszawy. Do września 1942 roku prawie dwieście tysięcy przetransportowano na wschód w ramach przesiedlania.

Wzrastająca ciągle liczba potencjalnych ofiar żydowskich napływających ze wszystkich stron i chęć przyspieszenia rozwiązania „kwestii żydowskiej” zainspirowały niemiecką pomysłowość. Prymitywne samochody wiozące ludzi zagazowywanych w drodze do masowych grobów zastąpiono czymś sprawniejszym. Coraz to większe komory gazowe załatwiały zabijanie. Coraz to większe piece pochłaniały ludzkie ciała i pozwalały na zrezygnowanie z nieprzyjemnego i marnotrawnego organizowania miejsc grzebania zabitych.

Niemieckie siły zbrojne myły się mydłem zrobionym w części z ciał skazanych na śmierć przez ich politycznych przywódców.

Niezbyt długo potrafili Niemcy ukrywać przed Polakami dowody, które potwierdzały obawy co do prawdziwej istoty przesiedlania Żydów. Wagony pełne ludzkich włosów transportowano do Reichu z tak zwanych centrów przesiedleniowych. Analiza zdobytych włosów ludzkich przeprowadzona przez Podziemie wykazała, że osoba, do której należały te włosy, zginęła w wyniku zatrucia. Dowiedziano się także o innych wagonach, pełnych używanych ubrań noszonych przez Żydów, które także poddano analizie. Podaję tylko pojedyncze dowody systematycznego niszczenia Żydów europejskich przez nazistów. Wystarczy powiedzieć, że samo uświadomienie sobie, iż żyłem w tak bliskim kontakcie z tego rodzaju barbarzyństwem, a opowiadanie o tym nie odda głębi ludzkich cierpień, sprawia mi ból. Ani moja wypowiedź, nacechowana żalem i desperacją, ani szereg łatwo dostępnych naukowych opracowań historycznych tego czasu dokumentujących holokaust, nie oddaje jednak tych okropności, jakie miały miejsce.

Składam ten skromny hołd członkom narodu żydowskiego ze wszystkich okupowanych przez nazistów krajów, którzy tyle przecierpieli i przeżyli, w intencji uciszenia głosów sceptycyzmu i ignorancji na temat bestialstw, jakie miały miejsce.

Wywożenie Żydów z getta trwało do końca 1942 roku, choć zmieniały się okoliczności i Żydzi nie wierzyli już niemieckim kłamstwom o przesiedlaniu. Niemcy musieli na siłę wyłapywać ofiary i

oprócz Żydów ginących codziennie w wyniku wycieńczenia i ubóstwa, inni ginęli w wyniku masakry dokonywanej w czasie polowania koniecznego dla wypełnienia wagonów śmierci. Wielu niemieckich cywilów przyłączało się na ochotnika do tych łapanek i radośnie uczestniczyło w orgii mordowania przed wywózką.

Żydzi zastosowali środki ochrony, na jakie było ich stać. Powiększano piwnice i przekształcano je w ufortyfikowane bunkry. Wykopywano podziemne przejścia. Z początkiem 1943 roku Niemcy stwierdzili, że przyjętą metodą nie zdołają wypełniać transportów zaplanowaną liczbą ludzi, i zdecydowano się wszcząć akcję militarną przeciwko Żydom na pełną skalę. W styczniu 1943 roku podjęto tego rodzaju akcję dla ostatecznego rozwiązania problemu żydowskiego.

Ciężko uzbrojone wojsko niemieckie wkroczyło wojowniczo do getta i powitane zostało gradem kul i granatami. Szwabzy stracili dwudziestu zabitych i zaskoczeni wycofali się bezładnie.

Wiadomość rozniosła się po Warszawie. Żydzi walczą. Około osiemdziesięciu tysięcy Żydów pozostałych w getcie nie miało zamiaru się poddać. Nie można było wierzyć nazistowskim obietnicom, że będą traktowani humanitarnie, i sprawa była jasna. Walczyć i umrzeć, lub poddać się i umrzeć. I walczyli, zapewniając sobie chwalebą kartę w historii wojskowości.

Po kilku tygodniach jeszcze ciężiej uzbrojone patrole niemieckie znów rozpoczęły polowanie w getcie.

Żydowska Organizacja Bojowa znów podjęła skoordynowaną obronę, i znowu Niemcy ponieśli straty, które zmusiły ich do odwrotu. Niemcy wprowadzili do akcji jeszcze większe siły i w kwietniu zdołali złapać pięć tysięcy Żydów do transportu. Ci ostatni schwytani też zostali poinformowani, że mogą się spodziewać humanitarnego traktowania i czeka na nich praca w fabrykach niedaleko Warszawy. Kilka osób z tych pięciu tysięcy zdołało wrócić do getta i opowiedzieć, co stało się z grupą która zawierzyła wbrew wszelkim szansom, że nazistowskie obietnice humanitarnego traktowania zostaną dotrzymane. Wyładowano ich z wagonów niedaleko Warszawy. Rozdzieleni na małe grupy otrzymali polecenie kopania rowów. Kiedy rowy wykopano, Niemcy skosili wszystkich ogniem karabinów maszynowych z bliskiej odległości. Rowy wypełniano zabitymi i umierającymi na oczach tych, którzy czekali na swoją kolej, aż wszyscy zginęli. Jednemu czy dwóm udało się uciec, wrócić do Warszawy i opowiedzieć, co się stało.

Zdając sobie sprawę, że wiele osób z tego ostatniego masowego wymordowanego transportu dało się wziąć na lep nazistowskich obietnic o humanitarnym traktowaniu, żydowski ruch oporu wzmocnił kontrolę nad swoimi ludźmi. „Nikt nie zostanie wzięty przez Niemców bez walki” stało się hasłem dnia. Wróg, zdając sobie sprawę, że oszukiwanie co do prawdziwych zamierzeń hitlerowców zupełnej eksterminacji każdego Żyda nie skłoni ofiar do współdziałania, rozpoczęli kampanię zrównania getta z ziemią i wymordowania wszystkich, którzy jeszcze pozostali przy życiu.

Dwudziestego dziewiątego kwietnia 1943 roku, po ciężkim bombardowaniu, Niemcy rozpoczęli szturm poprzez mury i wdarli się głęboko na teren getta. Wystawieni jednak na grad pocisków oddawanych z broni lekkiej, jakim zasypiano ich z żydowskich punktów obserwacyjnych, naziści jeszcze raz zmuszeni byli się wycofać. Weszły w akcję czołgi. Postanowiono zrównać z ziemią każdy budynek. Ciężka artyleria waliła z bliskiej odległości. Obrzucano budynki bombami zapalającymi. Bunkry zamieniły się w piece, a obrońcy w popiół. Atakowani nie otrzymali żadnej pomocy. Żydzi walczyli w izolowanych grupach. Walczono do ostatniej kropli krwi. O poddaniu się nikt nie myślał, ale koniec był oczywisty. Ci, którzy wpadli żywcem w ręce niemieckie, po prostu stracili zmysły w wyniku masowego bombardowania. Jeżeli nie zostali zamordowani na miejscu, spędzano ich brutalnie i odprowadzono na miejsce kaźni.

Pod koniec maja Warszawa już nie rozbrzmiewała eksplozjami i odgłosami ognia karabinowego. Dymy opadły. Walka się skończyła. Warszawskie getto i jego mieszkańcy przestali istnieć.

Po wojnie dochodziły głosy, że Żydzi nie otrzymywali dostatecznej pomocy od Polaków w Warszawie w czasie okupacji, szczególnie w czasie powstania w getcie. Masa szczegółów, jakie potrzebne by były, żeby choć częściowo ustosunkować się do tej sprawy, w większości przepadła. Gruzy, jakimi stała się cała Warszawa pod koniec wojny, włącznie z gettem, świadczą o zakresie i zaciętości walki. Kluczowi uczestnicy holokaustu, Żydzi, Polacy i Niemcy, albo zginęli w czasie wojny, albo rozsypali się po całym świecie. Ich wiedza o zdarzeniach, niemożliwa do zebrania, przepadła razem z nimi lub rozproszyła się. Wśród milionów ludzi, którzy zginęli w drugiej wojnie światowej, Żydzi muszą stać na tym samym piedestale bohaterskich ofiar, co i Polacy. Siły, które wymyśliły lub sfałszowały historię tych czasów i tych dwóch narodów dla swoich celów, nie oferują nic, z czego ludzkość mogłaby być dumna.

ZAŁĄCZNIK

Trzy listy

List 1 — poprzez kuriera Podziemia.

Polska Sierpień 1943

Do Wydawcy „The Times” Londyn

Szanowny Panie,

W maju 1940 roku zostałem wzięty do niemieckiej niewoli we Francji. Po dziewiętnastu miesiącach spędzonych w obozach jako jeńiec wojenny moja druga ucieczka zakończyła się pomyślnie i przybyłem do Warszawy, stolicy Polski, w styczniu 1942 roku. Od tego czasu korzystałem z prywatnego i oficjalnego wsparcia Polaków, okazywano mi moc życzliwości i pomocy, jaka tylko było możliwa w tych warunkach.

FRAGMENTY:

(...) Miałem szerokie możliwości jako cywil podróżować po Niemczech i Polsce (...) byłem świadkiem setek niegodziwości i sadyzmu popełnianego przez Niemców w stosunku do mieszkańców okupowanych krajów (...). Żydowskie robotnicy zabijani dla zabawy (...) Żydzi są batożeni i kopani na śmierć przez SS (...). Wydarzenia takie są porządkiem dziennym, nie żadnymi wyjątkami (...). Każdy mężczyzna, kobieta czy dziecko może powiedzieć o jeszcze gorszych i bardziej krwawych przypadkach, niż te krótko relacjonowane (...). Uciekinierzy z obozów koncentracyjnych opowiadają historie, które można porównywać tylko z naszymi wiadomościami o hiszpańskiej inkwizycji (...). Jest sprawą wątpliwą czy wiadomo choćby w słabym przybliżeniu o skali zabójstw (...). W Polsce około pięćdziesięciu tysięcy Żydów, którzy przeżyli z milionów, zamkniętych w okropnych warunkach oczekuje nieuniknionej likwidacji (...). Kilka tysięcy zdołało wymknąć się nazistowskiej sieci i żyją ukryci po całym kraju (...) chociaż z pewnością są wyjątki, ale można śmiało powiedzieć, że wszyscy naziści są Niemcami i wszyscy Niemcy nazistami (...). Młodsze pokolenie wychowane zostało na roboty, poddając się nazistowskiemu ruchowi młodzieżowemu, i jest fanatycznie hitlerowskie (...). Codzienne bestialstwa nie powinny być traktowane jako działanie niemieckich degeneratów, ale zdecydowanie i publicznie określane przez brytyjskie i alianckie media jako działalność całego narodu niemieckiego (...). Duch narodu polskiego jest ciągle wysoki (...). Cały kraj oczekuje cierpliwie wyzwolenia i działalność antynazistowska wręcz wrze (...).

Konkluzja listu

Należy Niemcom jasno uświadomić, że jeśli nie skończą się represje w Polsce i innych okupowanych krajach, alianci przedsięwzmaczają środki teraz i po wojnie, które będą miały bardzo nieprzyjemne skutki dla każdego członka narodu niemieckiego. Chociaż bieżące wiadomości wojenne podnoszą na duchu, potrzebna jest jakaś kampania, która by zapobiegła nieopisanym cierpieniom zadawanym w tej części świata, i jeśli mój list zwróci czyjąkolwiek uwagę na konieczność podjęcia natychmiastowego działania, pisanie moje nie pójdzie na marne.

Z poważaniem - (podpis) R.C. Jeffery — Warszawa

6347292

The Queen's Own Royal West Kent Regiment.

List 2

Nowa Zelandia Maj 1981

Wydawca „The Times”

Londyn

Szanowny Panie,

W czasie drugiej wojny światowej spędziłem rok czy dwa, współpracując z dowództwem polskiej armii podziemnej w Warszawie.

Latem 1943 roku napisałem list do Was, zwracając uwagę na bestialstwa niemieckie dokonywane na okupowanych terenach w Europie. List w postaci mikrofilmu dotarł do Was dzięki naszej tajnej służbie kurierskiej z Warszawy do Londynu. W tym przypadku kurierem był kapitan Jan Nowak. Nie byliście w stanie listu opublikować ze względu na restrykcje dyktowane bezpieczeństwem, głupio, ale nie moja sprawa w to wnikać. Ówczesny arcybiskup Canterbury bezskutecznie apelował w imieniu Polaków o zmianę tej wojskowej decyzji. Pisał o tym do „Timesa” w liście z Lambeth Palace. Piszę autobiografię i rozumiem Państwo, jak ważna byłaby fotokopia oryginału, którą bym włączył do tej książki. Żywię nadzieję, że macie jeszcze ten list, i będę bardzo zobowiązany za spełnienie mej prośby, za co z góry dziękuję.

Z poważaniem –

Ron Jeffery

List 3

„THE TIMES”

Londyn czerwiec 1981

Drogi Panie Jeffery,

Dziękuję za list z 28 maja. Tak wielka jest liczba listów otrzymywanych przez „The Times”, że mogą być one przechowywane w naszych aktach tylko przez bardzo krótki okres. Listy z 1943 roku zostały zniszczone jakiś czas temu. Przykro mi, że nie możemy pomóc w tej sprawie.

Z poważaniem –

J. Lonsdale, Archiwista

Wysłałem kopię powyższego listu od „The Times” do Jana Nowaka, kuriera, który wziął oryginał mojego listu z Warszawy do Londynu w sierpniu 1943 roku. Jan mieszka teraz w Stanach Zjednoczonych* i dopisałem na kopii do niego taką uwagę:

23 czerwca 1981

Janie,

Wydaje się dziwne, że nie trzymano takiego listu. Może jakieś kolejne „lepkie palce” się do tego przyczyniły.

Ron

PRZYPISY AUTORA:

* Jan Nowak Jeziorański (właściwie Zdzisław Antoni Jeziorański) zmarł w 2005 roku w Warszawie i przyp. red.).

ZAŁĄCZNIK

Masakra katyńska

Propaganda przybiera dwie główne formy. Rozgłaszanie informacji przychylnych, zarówno zmyślonych, jak i prawdziwych lub częściowo prawdziwych, odgrywa zasadniczą rolę w kształtowaniu opinii ludzi i ich działania. Druga metoda, omijanie lub zniekształcanie informacji nieprzychylnych, aby powstrzymać lub zakłócić podstawy światłego sądu, jest tak samo ważna. Związek Radziecki przoduje niewątpliwie na obu tych polach. Nie ma lepszego przykładu tak przewrotnego geniuszu niż owocna taktyka uchylania się od odpowiedzialności za jedno z największych w skali historii rosyjskich zaplanowanych z premedytacją przestępstw wojennych.

W kwietniu 1943 roku Niemcy, którzy już wkroczyli w głąb terytorium rosyjskiego, szeroko rozgłaszali wykrycie ciał czterech tysięcy polskich oficerów, wszystkich zamordowanych w jednakowy sposób strzałem w głowę i pochowanych w masowych grobach. Mężczyźni, których ciała odnaleziono i przebadano, oraz inne dziesięć tysięcy polskich oficerów, o których wiadano, że byli trzymeni w obozach na wschód od terenów kontrolowanych przez nazistów, nie dawali znaku życia od

momentu, kiedy nagle przerwała się korespondencja jeniecka w kwietniu 1940 roku. Niemcy ogłosili swoją wersję masakry w 1943 roku. Sowieci twierdzili natomiast, i nieugięcie przy tym stali, że są za to odpowiedzialne nazistowskie wojska. Ta ohydna sprawa stała się przedmiotem oskarżeń i kontroskarżeń między tymi dwoma państwami dyktatorskimi.

Bez najmniejszych oporów i jakiegokolwiek dwuznaczności, ze szczerością jaką kierowałem się w momencie zaprzysięgania wierności sprawom polskiej armii podziemnej, moim niewzruszonym przeświadczeniem jest, że dokonali tego Rosjanie.

Mojej obecności w Warszawie w 1943 roku nie można kwestionować. W tym czasie, jako aktywny członek polskiego Podziemia, wtajemniczony byłem w wiele dokumentów, które Podziemie postanowiło zebrać celem określenia stanowiska w kontrowersyjnej, zasadniczej sprawie. Moje stanowisko w sprawie Katynia oparte jest na dowodach, które osobiście zebrałem i które są dostatecznie przekonujące. Hitler zaatakował Rosję w czerwcu 1941 roku. Dzienniki znalezione przy zamordowanych, które udało się wyciągnąć z masowych grobów, dotarły do Warszawy w 1943 roku, kiedy tam byłem. Ani jeden z nich nie zawierał notatki datowanej później niż kwiecień 1940 roku, to jest ponad rok przed niemiecką inwazją nie licząc terminu dotarcia do Katynia.

Podziemie otrzymało fachowe ekspertyzy stwierdzające, że drzewa i inna roślinność na terenie grobów pochodzi z roku 1940. Niemcy, później w 1943 roku, zainspirowali możliwie szerokie i obiektywne badania wszystkich aspektów zbrodni prowadzone przez ekspertów i wyniki tych badań musiały czekać do zakończenia wojny, zanim stały się ogólnie dostępne do wglądu. Louis Fitzgibbon w książce opublikowanej w 1977 roku podaje dowody zebrane z mnóstwa źródeł. Katyn Massacre Fitzgibbona przedstawia sprawę szczegółowo i z pełną dokumentacją z jednym tylko wnioskiem: zrobili to Rosjanie. Zgadzam się z tym absolutnie.

Poprzednio wspomniałem już o ostrzeżeniu, jakie otrzymałem w 1944 roku od Franka Robertsa w brytyjskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych, abym nie angażował się publicznie w sprawy Katynia.

Z Niemcami stale daleko od klęski i wciągniętymi w walki na wschodnim froncie było celowe i zrozumiałe z wojskowego punktu widzenia unikać wszelkich możliwych zadrażnień między Rosją a zachodnimi aliantami. Ale nawet wtedy rzadko ktoś żywił złudzenia co do znaczenia informacji szeroko rozgłaszanych przez propagandę nazistowską obwiniającą Sowieców o dokonanie tej zbrodni. Oprócz rozmów z Frankiem Robertsem, rozmawiałem o sprawie katyńskiej zaraz po powrocie z kontynentu z sir Owenem O'Malleyem, naszym ambasadorem przy Rządzie Polskim na uchodźstwie, i z wieloma członkami SOE [Special Operations Executive], z którymi utrzymywałem dobre stosunki. Nikt nie miał żadnych wątpliwości co do sowieckiej winy.

W czasie obrad Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w Norymberdze w 1946 roku padło oskarżenie, że polscy jeńcy wojenni zostali wymordowani w Katyniu. Obszerny raport w tej sprawie przedłożony został trybunałowi przez Rząd Polski na uchodźstwie w Londynie. Stwierdzenie trybunału, że nie ma podstaw postępowania przeciwko oskarżonym niemieckim zbrodniarzom wojennym z tytułu masakry katyńskiej, stanowiło poważny problem dla narodów członkowskich. Byłby to wstrząs dla całego postępowania, gdyby Związek Radziecki umieszczono na ławie oskarżonych, jak na to zresztą w pełni zasługiwał.

Co jednak nie przestaje zdumiewać, że do dziś media zachodnich aliantów rzadko i dwuznacznie mówią o tych morderstwach. Praktycznie nie było na tyle jasnej i rzeczowej wypowiedzi, by na trwałe sprawę tę umieścić w demokratycznych umysłach.

Zachodnie nadzieje na odprężenie rozwiały się szybko w okresie powojennym. Zimna wojna, a następnie krzykliwa, ogólnoswiatowa rosyjska wrogość i agresywność, nie wywołały odpowiedniej zachodniej kontrpropagandy.

Gotowe materiały o wydarzeniach, takich jak Katyń czy Powstanie Warszawskie, to niewyczerpane źródło amunicji, której niewiele wystrzelono w kierunku Sowietów. Nasze armaty zostały i pozostają w dalszym ciągu zagwożdżone.

Zwykli obywatele krajów demokratycznych, z jakichś względów, a kilka tych względów przychodzi na myśl, pozostają w nieświadomości i dezorientacji na temat Katynia z winy własnych rządów. Los oponentów politycznych, bezbronnych w sowieckich rękach, ilustrowany był nieskończenie wiele razy zwłaszcza podczas ujarzmiania Polski. Zachodni organizatorzy propagandy, szczególnie w Ameryce i Wspólnocie Brytyjskiej, którzy przemilczali lub spaczali informacje na rzecz Sowietów, to osobistości bardzo wpływowe w krajach zachodnich do dziś.

Demonstrujący robotnicy w czasie fali protestów publicznych w Polsce przeciwko represjonowaniu ruchu związkowego „Solidarność” dostarczyli dowodów powściągliwości w publikowaniu wszelkich materiałów o posmaku antysowieckim. Wiadomości telewizyjne w tym czasie pokazywały wielkie tłumy polskich górników niosących transparenty z różnymi hasłami. Wiele z nich domagało się, by marionetkowy rząd polski ujawnił Polakom prawdę o Katyniu. Napisane po polsku żądania te były niezrozumiałe dla zwykłego widza telewizyjnego na Zachodzie. Można by oczekiwać, że niektórzy komentatorzy w krajach demokratycznych objaśnią albo że pozwoli im się objaśnić i przetłumaczyć słuchaczom nieznającym języków obcych, znaczenie tych żądań. Nie miało to miejsca i w dużym stopniu protesty polskie pozostały przemilczane. Sowiecki upór w zwalaniu winy za Katyń na Niemców i przytakiwanie temu zafałszowaniu prawdy przez rząd polski to obelga dla każdego i nie prowadzi do żadnej ugody społecznej z reżimem komunistycznym w Polsce.

Można zrozumieć, dlaczego Rosjanie, kiedy zmarł Stalin, nie przyznali się do zbrodni i nie zrzucili winy na gruzińskiego barbarzyńcę. Nie zachodziła taka potrzeba, zachodnie media były już kontrolowane, a społeczeństwo trzymane w nieświadomości.

Po zamordowaniu piętnastu tysięcy polskich oficerów, umundurowanych i w kajdankach, i wrzuceniu ciał do masowych grobów w kwietniu 1940 roku Rosjanie nie wyobrażali sobie, że za dwa lata miejsca pochówku zostaną odkryte przez Niemców. Odkrycie w Katyniu rozgłaszali wtedy naziści na cały świat. W zawierusze wojennej nasi sowieccy partnerzy nie byli niepokojeni i opinia publiczna zaakceptowała, że to SS było sprawcą.

Sowiecka niewinność w sprawie Katynia jest mitem i media zdecydowały się przy nim tkwić. Pozbawienie demokratycznego elektoratu prawdy o sowieckiej odpowiedzialności za politycznie motywowane masowe morderstwa oznacza pozbawienie go wiedzy tak bardzo potrzebnej, by bronić się przed takim samym losem. Czy ktoś odważy się zażądać pełnego śledztwa w tej sprawie i opublikowania wyników? Czy mocarstwa zachodnie mają kompleks winy w sprawie polskiej? Powinny go mieć. Termin przyznania się już dawno minął!! W 1981 prestiżowy dziennik opublikował artykuł pewnego korespondenta o sowieckiej roli w morderstwach katyńskich.

Poniżej przytaczam fragmenty odpowiedzi lokalnego przedstawiciela Ambasady Rosyjskiej na te zarzuty, opublikowane w tej samej gazecie pod dużym tytułem - Rosja niewinna:

„Specjalna komisja powołana przez rząd sowiecki dla zbadania masowego rozstrzeliwania jeńców przez faszystów w lesie katyńskim została powołana we wrześniu 1943 roku po wyzwoleniu Smoleńska przez Armię Czerwoną”.

„W skład komisji wchodził czterech znani rosyjscy promieniści”.

„Komisja doszła do niepodważalnej konkluzji. Ustalono, posługując się medycznymi metodami stosowanymi w kryminalistyce, że ludzie zostali zabici jesienią 1941 roku strzałami w tył głowy - metodą stosowaną przez nazistów w masowym zabijaniu obywateli sowieckich (...). Wymordowanie polskich jeńców w lesie katyńskim było jeszcze jednym przejawem nazistowskiej konsekwentnej polityki”.

„Wnioski komisji zostały potwierdzone jako poprawne w czasie norymberskiego procesu przestępców wojennych w 1946 roku”.

„Młodsza generacja na Zachodzie za mało wie o drugiej wojnie światowej. Prowokatorzy zniekształcają prawdę o chwalebnej walce ludów przeciwko faszyzmowi - walce, którą Sowiet, Polacy, Brytyjczycy i wiele innych narodów podjęli o wolność i zwycięstwo prawdy”.

List był podpisany przez pierwszego sekretarza ambasady.

Zapoznałem się z potępiającymi dowodami o rosyjskiej odpowiedzialności za to ogromne przestępstwo na wiele miesięcy przed tym, zanim sowiecka komisja dotarła do miejsc, gdzie były groby.

Ten list to zwyczajne bzdury.

Aby jeszcze bardziej znieważać Polaków, wzniesiono w Katyniu pomnik i szeroko rozgłoszono, że to upamiętnienie obywateli sowieckich zamordowanych w 1941 roku przez oddziały SS.

Ten pomnik to monumentalna bzdura!!

ZAŁĄCZNIK

Machinacje

Powściągliwość w ujawnianiu sowieckich przestępstw w krajach demokratycznych, podczas gdy ich ujawnienie byłoby w interesie społecznym tych krajów, nie zdumiewa zbytnio, jeśli uwzględnimy zakres sowieckiej infiltracji. Wielu zdrajców w rządzie brytyjskim zostało wykrytych po wyłuskaniu ich z ochronnych kokonów przez dziennikarzy z detektywistycznym zacięciem. Nie ma wątpliwości, że w innych szafach rządowych.

Nazwiska takich zdrajców jak Antony Blunt ujawniono szerszej publiczności dopiero po latach od oficjalnego stwierdzenia ich winy. Ile innych osób było w to zamieszanych? Gorzej jeszcze, jeśli pomyśleć o liczbie tych niewykrytych. Niektórzy z nich są emerytami, niektórzy zmarli. Prawdziwie niepokojące pytanie brzmi: ilu namnożyło się ich wysoko postawionych następców, by pełnić destrukcyjną służbę na korzyść sierpa i młota?

Dla większości lojalnych patriotów, zarówno cywilnych jak i wojskowych, powstała nieznośna sytuacja. Należałoby powołać komisję z rozległymi uprawnieniami dla przebadania sprawy. Dałoby się zapobiec w ten sposób dezorientacji panującej w zakresie przeszłej i obecnej lojalności.

Takie dochodzenie, ujawniając inspirowaną z zagranicy penetrację, mogłoby zaszarżyć reputację niektórych otaczanych wciąż Brytyjczyków i brytyjskich instytucji. Pranie brudnej brytyjskiej bielizny na forum międzynarodowym może spowodować zacieśnienie więzów między starymi wiarusami, którzy nagle wyjdą na głupków.

Poczucie wstydu za los, jaki spotkał wielu wolnych ludzi z powodu tych nietykalnych w brytyjskim establishmentie, może pociągnąć za sobą przyjęcie strategii zatajania. Jest wiele spraw, za które powinni odpowiadać.

Moim zdaniem każda korzyść wynikająca z polityki wybielania niesie za sobą bardzo przykre konsekwencje. Wobec tak wielkich prosowieckich machinacji oczywistych we wszystkich krajach demokratycznych, komu można ufać? Infiltracja jawna i skryta trwa nadal. Na dodatek wiele celów i strategii pozostaje nieznanych. Zapowiedź ataku - oszukaństwo i przekręcanie faktów kwitnie.

Przyczyny mojego braku zaufania do elit są jasne.

Zwłaszcza w 1944, roku mojej osobistej wielkiej tragedii i popadnięciu w niełaskę, poznałem wielu Brytyjczyków ze świecznika.

Trójka z nich zwróciła szczególnie moją uwagę. Wprawdzie moje podejrzania rozciągały się z czasem na coraz większą liczbę osób, były one jednak oparte na uzasadnionych domniemaniach i nigdy nie zostały wyjaśnione ze względu na oficjalną politykę tajności.

Te trzy osoby w normalnych warunkach pozostałyby zupełnie anonimowe, ale pełnej skali otwarte dochodzenie w sprawie o zdradę na pewno oczyściłoby atmosferę dookoła jednego z nich, którego teraz wymienię.

Nazwisko to ukazywało się w druku wielokrotnie w Anglii w doniesieniach zagranicznych.

W publikacji napisanej przez znanego żołnierza alianckiego, który miał z nim osobisty kontakt, czytamy:

„Motywy majora Desmonda Mortona pozostały dla mnie największą nierozwiązaną tajemnicą w całym moim doświadczeniu wojennym. Dowiedziałem się później, że Ronald Jeffery i ja nie byliśmy jedynymi jego ofiarami”.

Nie jest żadną przyjemnością pisać, że Desmond Morton, potem sir Desmond, był oficerem wywiadu i najbliższym doradcą osobistym Winstona Churchilla w czasie wojny.

Nic dziwnego, że nie daje mi to spokoju. Przemyślenia w bezsenne noce przydałyby się wielu osobom. Zastanawiam się często, jak wiele osób kierowało poczynaniami Philby'ego i pomagało mu w działaniu.

Co warto wiedzieć!

W marcu 1944 roku byłem na podwieczorku u sir Owena O'Malleya, brytyjskiego ambasadora przy londyńskim Rządzie Polskim na uchodźstwie.

Lubiłem O'Malleya, uroczego Irlandczyka, bardzo brytyjskiego, i mieliśmy dobre kontakty. Pytał mnie życzliwie o polskie Podziemie i był dobrze poinformowany o mojej działalności od czasu ucieczki.

Nalegał, bym osobiście poinformował Churchilla i Edena o sprawach Polski i innych rejonów Europy.

Z niejakimi trudnościami udało mi się zdobyć kopię listu, jaki O'Malley napisał do Roberta, wysokiego urzędnika w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, z którym miałem dziwną rozmowę na temat mojego raportu o zbrodni katyńskiej. Oto pewne fragmenty tego listu:

„Drogi Franku (...), Jeffery (West Kents) był u mnie wczoraj na podwieczorku. Został wzięty do niewoli pod Doullens w 1940 roku, dwukrotnie uciekał, za drugim razem dotarł aż do Warszawy i przyłączył się do ruchu podziemnego. Pracował z nimi przez dwa lata, wydawał pismo, brał udział w grupie egzekucyjnej w ich służbie wywiadowczej. Podróżował do Czechosłowacji, Austrii, Hamburga i do innych miejsc w Niemczech, Danii i Norwegii i ma interesujące obserwacje o tych krajach, jak również o ruchu podziemnym w Polsce.

Ma on, można rzec, mleko pod nosem, ale jest inteligentny, nauczył się niemieckiego do tego stopnia, że mógł uchodzić za Niemca. Uczył się także polskiego.

Sekretarz Stanu (Antony Eden) skorzysta wiele z informacji tego człowieka, co umożliwi mu rozmawianie z kolegami o Polsce z większą wiedzą i bardziej autorytatywnie.

Wedle obszernego sprawozdania, ich rozmowa (Desmonda Mortona i Jana Nowaka) doprowadziła, wydaje się, do wielu nieporozumień i niechęci. Nie wiem, jak dalece opinie Desmonda zostały przekazane i zaakceptowane przez PM. (Churchilla).

Szczerze oddany - Owen O'Malley".

Uwagi O'Malleya o rozmowie Desmonda Mortona z Janem Nowakiem wskazywały, jaki wpływ mógł wywierać osobisty sekretarz na brytyjskiego premiera w sprawach Polski. Nowak później oskarżał Mortona o wiele przeinaczeń tego, co powiedział.

„Ma on, można rzec, mleko pod nosem" - jakież to piękne określenie!

Mojego wniosku o publiczne dochodzenie wcale nie osłabiło zdobycie tej kopii listu O'Malleya do Franka Roberta.

ZAŁĄCZNIK

Zaprzepaszczone okazja

Mając z jednej strony rosyjskich komunistów, z drugiej ich współpracowników wśród brytyjskiego establishmentu, dziwne, że pozostałem takim Brytyjczykiem patriotą biorąc pod uwagę, jaki czuję niesmak.

Gdyby Polacy nie stracili swojego kraju i wolności po zakończeniu wojny przeciwko Niemcom, może byłbym gotów przejść do porządku dziennego nad tymi czynnikami w Wielkiej Brytanii, które pośrednio przyczyniły się do ujarzmienia lojalnego sprzymierzeńca przez niewiarygodnego i zachłannego partnera, jakim był Związek Radziecki.

Gdyby brytyjscy zdrajcy nie zorganizowali i nie wygrali walki w imieniu swoich rosyjskich mocodawców, obrzucając mnie dyskredytującym śmieciem, też bym rzecz potraktował jako coś poniżej mojej godności. Mam jednak nadzieję, że to krótkie opracowanie o cierpieniach Polaków i moich własnych wzbudzi dostateczne zainteresowanie i zachęci innych do podania do publicznej

wiadomości spraw, co do których demokratyczny elektorat trzymany był w niebezpiecznej nieświadomości.

Jeśli idzie o walkę przeciwko Niemcom, stracono zdradziecko wielką okazję w 1944 roku. Moja zaaranżowana klęska spowodowała, że zaprzepaszczonego został mój bezpośredni kontakt z kwaterą główną Führera poprzez Borisa. Można tylko spekulować o możliwych konsekwencjach, skoro rzecz nie została zaprzepaszczona na samym początku.

O efektach sabotażu sprawy Borisa można spekulować akademicko, ale byłoby bardzo pożyteczne, gdyby przeprowadzono otwarte dochodzenie. Wojna dla Europejczyków mogła być się skończyć wcześniej z wielu różnych względów, żeby tylko wymienić wcześniejszy i skuteczniejszy zamach na Hitlera. Sowiecka penetracja Europy Zachodniej byłaby mniejsza i znacznie słabsza, niż była negatywna presja polityczna.

Boris przeżył wojnę. Był przesłuchiwany na Zachodzie i ostatecznie dotarł do Ameryki Południowej. Biorąc pod uwagę, że moje starania o zdobycie dokumentów z Biura Archiwów Państwowych okazały się bezskuteczne, można być pewnym, że raport mojego niemieckiego generała (Boris otrzymał awans) będzie trzymany daleko poza moim zasięgiem.

Może coś się zmieni, gdy ta książka się rozejdzie. Moim zdaniem prawda nie do przełknięcia się ujawni. Zorganizowana zdrada i wojskowa naiwność doprowadziła do zniszczenia demokratycznej Polski. W zwycięskiej drodze na zachód i ujarzmieniu milionów dumnych ludzi wschodniej Europy pozwolono Sowiecom z pełnym sukcesem zakończyć ważny etap ich walki o dominację nad światem. Nic od tamtego czasu się nie zdarzyło, co by zmieniło moją opinię: „Bezbronni ludzie stojący na drodze sowieckim ambicjom są zabijani!!!”. Zapamiętajcie to sobie.

Str.364

ZAŁĄCZNIK

Odznaczenie, o którym nie wolno mówić

Wspomniałem już o długiej liście zagranicznych odznaczeń przyznanych członkom Queen's Own Royal West Kent Regiment w czasie drugiej wojny światowej. Podpułkownik Chaplin, autor wyczerpującego dzieła o historii regimentu opublikowanego w 1954 roku, nie wymienia mojego polskiego Krzyża Walecznych, choć podaje wiele innych zagranicznych odznaczeń. Jeżeli ktokolwiek zdecydował się pozbawić mnie tego odznaczenia, którego legitymację jeszcze posiadam, z pewnością nie byli to Polacy. Parę lat temu miałem przyjemność otrzymać od nich Krzyż Armii Krajowej przesłany pocztą do Nowej Zelandii do towarzystwa otrzymanemu w 1943 roku. Jak to się stało?

ZAŁĄCZNIK

Bardzo dziwne

W listopadzie 1981 roku napisałem do Biura Archiwów Państwowych Jej Królewskiej Mości w Londynie, podając krótko szczegóły mojej służby wojskowej. Z przyjaznego źródła w Londynie otrzymałem notatkę, że Biuro miało w aktach dane dotyczące mojej działalności w czasie wojny.

Prosiłem w moim liście o informacje, co należy zrobić, żeby otrzymać te dokumenty. Nie dostałem odpowiedzi z Biura Archiwów, ale odpowiedź przyszła z archiwum Ministerstwa Obrony, dokąd mój list został skierowany.

6347292 RONALD CLARENCE JEFFERY

Dziękuję za list datowany 2 listopada 1981 roku, skierowany do Biura Archiwów Państwowych Jej Królewskiej Mości w Londynie, który został przekazany do nas 6 listopada 1981 roku. Akta wojskowe dotyczące wyżej wymienionej osoby nie zawierają żadnych innych szczegółów, oprócz tych, które zostały Panu przekazane w liście z 13 maja 1981 roku. Przykro mi, że nie mogę pomóc.

(podpis) L. Stachowicz.

„Przykro mi, że nie mogę pomóc”, zdanie napisane przez autora listu, pana Stachowicza, to raczej niezwykły zwrot urzędowy. Zastanawiałem się, czy nie chciał mi czegoś zasugerować. Nazwisko wygląda na polskie. Dziwne, że Biuro Archiwów nie odpowiedziało bezpośrednio na mój list. Dowody wskazują że to oni powinni mieć materiały, o które pytałem, i można się zastanawiać, dlaczego nie odpowiedzieli i jakie mogą być tego implikacje. Co lub kto odpowiedzialny jest za ograniczenie moich legalnych uprawnień do udostępnienia mi dokumentów? Jak to wytłumaczyć tym razem?

Str.366

ZAŁĄCZNIK

Wierzchołek góry lodowej*

Nową Zelandię, kraj wielkiego i różnorodnego piękna, wybraliśmy jako nasz nowy kraj zamieszkania. W przeciągu kilku krótkich lat urządziliśmy się tu finansowo i towarzysko, pracując i bawiąc się intensywnie.

Mimo szczerych chęci, by puścić w zapomnienie wojnę i cieszyć się nowym życiem, okazało się niemożliwe uchronienie się przed nawrotami myśli o przeszłości.

Praca w rozwijającym się przedsiębiorstwie handlowym umożliwiła mi podróżowanie po całej Nowej Zelandii, a także Australii i wyspach Pacyfiku. Nie traciłem żadnej okazji, by zapoznać się z nieskażonymi odludziami, dokąd często zaglądałem w czasie podróży służbowych. Często, na mile od kogokolwiek i czegokolwiek, siedząc na pustych plażach, patrząc na szumiące Morze Tasmana czy niebieski Pacyfik, zdarzało się, że nie widziałem niczego, mając oczy zasłonięte wizjami prześladowającymi mnie na temat Europy. Czasami, akurat podczas najważniejszych przetargów handlowych, czy w czasie podwodnego polowania na ryby, w momencie brania rozmachu w golfie i w innych podobnych sytuacjach, pojawiały się sceny wojenne niweczące koncentrację.

Śledziłem pilnie wiadomości nadchodzące z Europy i z przykrością widziałem, jak rozpada się Polska i inne, dawniej wolne narody na wschodzie, w miarę jak Sowieci na siłę i z przebiegłością narzucali marionetkowe komunistyczne rządy, których trwałość zależała wyłącznie od obecności rosyjskich formacji wojskowych i tajnej policji.

Świadomość, że zniszczono politycznie taki naród, jak Polacy, najwierniejszych sprzymierzeńców Aliantów w walce z Niemcami, była bardzo bolesna. Obserwowanie podobnego łamania praw człowieka w małych krajach bałtyckich, jak: Łotwa, Estonia i Litwa, i innych, jak: Bułgaria, Rumunia, Węgry i Czechosłowacja, było też niezmiernie przykre. Zdając sobie sprawę

PRZYPISY AUTORA:

* Książka została wydana w 1985 r. i ten załącznik odzwierciedla ówczesną sytuację polityczną oraz stan ducha autora (przypis red).

z rosyjskiej sprawności w mordowaniu, kłamstwach i oszustwach czułem się, jakbym był dezterem i że powinienem zostać w Europie i walczyć.

W dodatku widać było nieomylnie oznaki, że apetyt bestii się zaostrzył. Komuniści weszli na drogę kampanii zmiękczenia skierowanej przeciwko woli i możliwościom oporu wszystkich narodów. Kampania działań wywrotowych i infiltracji miała światowy zasięg i była właściwie wojną prowadzoną na społecznym, rasowym i ekonomicznym froncie. Gdzie było to korzystne dla sprawy, w uzupełnieniu oszustw nie wahano się użyć środków zbrojnych i w połowie lat pięćdziesiątych trzecia wojna światowa wisiała na włosku. Jednym wielkim zwycięstwem Rosjan było to, że przez tak długi okres czasu potrafili utrzymać ludność krajów demokratycznych w nieświadomości, że trwa wojna i że narody miłujące pokój powinny oglądać się za prochem (przygotowywać do walki).

Intruz, który zanim zbezcześci świętość domowego ogniska potrafi w taki czy inny sposób zaradzić szczekaniu i atakowi psa, w bardzo istotny sposób ułatwia sobie zadanie. Jeszcze bardziej korzystne dla przyszłego przestępcy jest urobienie sobie mieszkańców domu tak, by sami uciszyli psa bez wzbudzania podejrzeń reszty rodziny.

Tak działają komuniści.

Działania wywrotowe na tle rasowym, najbardziej podatnym gruncie do konfrontacji fizycznej, jest w pełnym toku. Dobrze zorganizowane kampanie prowadzące do społecznej i ekonomicznej dezorganizacji, z wykorzystaniem mediów publicznych, ruchów związkowych, środowisk nauczycielskich są subsydiowane przez Kreml zarówno w skali lokalnej, jak i międzynarodowej.

Atak ten jest finansowany kosztem standardu życia ludzi w Rosji i krajach satelitarnych. Ci nieszczęśnicy, przykuci do systemu, który nie może konkurować z Zachodem w wydajności produkcji na jednego robotnika, wpychani są w jeszcze głębszą nędzę wskutek przeznaczania przez komunistów wszystkich dochodów na zbrojenia i cele wywrotowe. Surowo kontrolowane media utrzymują ofiary w nieświadomości co do ich fizycznej i moralnej eksploatacji w ZSRR, przedstawiając jednocześnie rzekomo jeszcze gorsze warunki, w których żyje się na Zachodzie. Mając na uwadze odpowiedzialność za powiększającą się rodzinę oraz rozwijające się przedsiębiorstwo umożliwiające życie w komforcie, wróciłbym do Anglii przynajmniej po to, aby pomóc w walce o sprawę, co do której byłem przekonany, że była słuszna, (sic!)

Jeszcze bardziej gryzło mnie sumienie o sprawy Polaków. Charakter komunizmu wyjaśnia w pełni przyczynę zniszczenia mojej własnej kariery. To co wyjawiałem na temat spraw sowieckich i masakry katyńskiej oraz mojego bardzo pro polskiego stanowiska wystarczyło do usunięcia mnie ze sceny.

Wywrotowcy musieli zrobić wszystko, żeby Mr Churchill i Gabinet Wojenny nie uzyskali prawdziwszego obrazu, na podstawie którego mogliby podejmować decyzje. Udało się im to wspaniale. Zbadanie sprawy, nawet na tak późnym etapie, jeśli dotychczas nie miało miejsca, nie zrobi szkody, szczególnie jeśli wyniki badań byłyby dostępne publicznie.

Związane z tym sabotowanie sprawy Borysa, bezpośredni wynik komunistycznych machinacji kosztem kogoś, kto wie, jakich strat Brytanii, ciągle jest przedmiotem rozgoryczenia. A co gorsze, o draniu takim jak Philby przeważa opinia, że był to ktoś w rodzaju Robin-Hooda. Obrzydliwość! Ten angielski zboczeniec być może zostawił więcej przyjaciół na naszym podwórku, niż podejrzewamy.

Warto jednak zauważyć, że mimo wewnętrznego bólu z powodu tego, co stało się ze mną, gdyby doszedł do mnie choć szept zachęty, by wracać do Zjednoczonego Królestwa, pewnie bym się spakował, zabrał ze sobą rodzinę i wrócił do domu do Anglii. Patriotyzm to mocne drzewo i moje wytrzymałoby powrotną transplantację do rodzinnej gleby. Przeproszenie „kogoś, kogo byśmy mogli nazwać inteligentnym gimnazjalistą” nigdy nie nadeszło. Sprawa zbyt kłopotliwa?

Mijały lata pod kojącym słońcem Polinezji. Sumienie mi ciągle doskwierało z powodu porzucenia polskiej walki z własnej inicjatywy, podczas gdy ona ciągle się toczyła.

Normalna ucieczka żołnierska zapewniła mi fizyczną swobodę, ale na drodze wolności spotkałem dostateczną liczbę ludzi wspianych, jak i podłych, by pozostawać w psychicznym i duchowym z nimi powiązaniu.

Podzielenie się moimi doświadczeniami, mam nadzieję, zwróci uwagę na niektóre aspekty drugiej wojny światowej, które dotąd jeszcze niedostatecznie zostały naświetlone. To skromne podejście ułatwi poprawną ocenę galimatiasu i oszałamiająco różnych informacji o ludzkich sprawach, jakie spadają na każdego zawsze i wszędzie. Zdaję sobie sprawę, że powtarzam się mówiąc o niektórych sprawach. Świadome powtarzanie kłamstw dobrze służyło kampaniom komunistycznym, dlatego więc nie powtarzać, by uświadomić prawdę ludziom w krajach demokratycznych? O Katyniu na przykład.

W czasie tej sobie samemu narzuconej przyjemnej terapii polinezyjskiej odbyłem kilka podróży do Stanów Zjednoczonych i do Europy. Te podróże i starannie przesiewane wiadomości, które docierały do mnie drogą korespondencyjną, dały mi jeszcze jaśniejszy obraz perfidii, jaka opanowała wolny świat, od kiedy niechcący zostałem w to diabelstwo wpętany.

W miarę rozwoju wypadków wychodzą na jaw ogromne koszty ponoszone przez wszystkich z powodu kłamstwa i oszustwa. Wiodący adwersarze różnych odcieni politycznych stosują taktykę pozbawioną wszelkich skrupułów w stosunku do współbratymców. Jest także jasne, że przeciwstawne systemy starające się zdobyć kontrolę, nie liczą się wcale ze zwykłymi ludźmi, choć udają, że im o to właśnie chodzi. Demokracje, trzeba to zauważyć, mają w tym duży udział, co niezbyt dobrze rokuje na przyszłość, jeżeli ziemia, ludzie i zasoby kiedyś się zjednoczą w dobrej intencji. Niemniej sponiewierana i podatna na ciosy demokracja oferuje bardziej dobroczynną bazę, na której można budować nowy wspianych świat, niż systemy dyktatorskie, bazujące na strachu, nienawiści i kontrolowanej ignorancji.

Trzeba jednak być ostrożnym w tych nadziejach pokrzyżowania planów komunistycznym zakusom, patrząc w przyszłość, jeśli taka będzie. Jeżeli komuniści zapewniliby sobie zwycięstwo, gorsza strona natury ludzkiej zawładnie na dłużej.

Kluczem do zwycięstwa na tym etapie walki o naszą godność i wolność jest czujność. Istotne jest, by przesiewać w umyśle różne wersje wiadomości, jakie do nas dochodzą i wykorzystać doświadczenia, jakie stały się naszym udziałem.

Nie ukrywam motywów, jakie mną kierują. Chciałbym zachęcić innych do głębszego przemyślenia problemu.

Ziemię można przyrównać do góry lodowej pływającej na szerokim morzu i goszczącej wszystkie stworzenia, które zdołały przeżyć. Walka panująca na powierzchni przeszkadza w zwracaniu dostatecznej uwagi na erozję zachodzącą od dołu.

Być może niewiele można zrobić, żeby odwrócić to co jest nieuniknione, ale dryfowanie z dnia na dzień to apatia, która jest najbardziej niebezpieczna.

Siedzimy wszyscy na wierzchołku tej góry lodowej. Zanim się to wszystko zawali, mam nadzieję, że będę w drodze do gwiazd pocieszając się, że wygłosiłem ziemskie ostrzeżenie, które miało pomóc w opóźnieniu lub odwróceniu bolesnych konsekwencji.

ZAŁĄCZNIK

Epilog*

Jeśli już czegoś nauczyła mnie druga wojna światowa, to przede wszystkim dała mi lekcję okrucieństwa natury ludzkiej, a zwłaszcza wstrząsające wprowadzenie do sowieckiego komunizmu.

Naziści zajęli Polskę w 1939 r., a wypędzenie hitlerowców zajęło lata i pozbawiło życia miliony ludzi. Pierwotną racją przystąpienia do wojny było oswobodzenie Polski od dyktatorów - cel, który jest jeszcze do osiągnięcia. Staliński przybyli do Warszawy w 1944 r. i ciągle tam są.

W czasie walki na śmierć i życie ci, którzy wytrzymali wojenne namiętności wywołujące niehumanitarne i kryminalne zachowania po każdej stronie, są bardziej przygotowani do zrozumienia i wybaczenia sprawcom wojennych ekscesów, zwłaszcza jeśli ci sprawcy po ustaniu działań wojennych wykazują skruchę i wracają do cywilizacyjnych zachowań.

To smutne, że ludzie tacy jak ja, a na Zachodzie są nas miliony, nie znajdują podstaw do wybaczenia Sowietom ich przestępstw, z którymi bezpośrednio zapoznaliśmy się w czasie wojny. Co gorsza, Rosjanie w dalszym ciągu bez przerwy kłamią i wypierają się odpowiedzialności za ich nieskończoną liczbę morderstw i zrad dokonanych w tym czasie. Powstanie Warszawskie jest tego największym przykładem.

Obecnie, w tak zwanym czasie pokoju, nie widać, by komuniści przerwali swoją ekspansję prowadzoną za pomocą przelewu krwi lub podstępów. Wielkie niebezpieczeństwo dla Zachodu polega na tym, że opinia publiczna, a szczególnie opinia młodego pokolenia, najczęściej nie wie o sowieckich przestępstwach. Ta ignorancja, wraz z bardzo skuteczną propagandą mającą na celu ukrycie taktyki indoktrynacji wskazuje, jak mało odporna jest demokracja na wszelką dywersję. Formalnie nie kwestionuje się wolnych wyborów i wolności wyrażania opinii, ale wynik, decyzje oparte na

PRZYPISY AUTORA:

* Książka została wydana w 1985 r. i ten załącznik odzwierciedla ówczesną sytuację polityczną i stan ducha autora (przypis red.).

formacji, błędnej, przeinaczonej czy niedostatecznej informacji działają na korzyść wroga, w tym przypadku Sowietów.

Pokolenie staroświeckiego pióra, prostej sztuki i umiejętności przemawiania ma większą moc, niż miecz ich straszliwych następców.

Powstała potężna broń, nowoczesne media manipulowane przez chytrego wroga. Jeżeli demokracje nie dostrzegą tego i nie będą przeciwdziałać temu zagrożeniu, we wszystkich środowiskach, niezależnie od pozycji społecznej, koloru skóry czy miejsca zamieszkania, nasze zachodnie społeczeństwo indywidualnie i zbiorowo da się rozerwać na strzępy.

Wówczas komuniści wyrzną wszystkich. Touché.

POSŁOWIE

Osobiście znałem Rona Jefferyego i jego żonę Marysię

W piękne, słoneczne, wojenne przedpołudnie szedłem z moją Mamą ulicą Nowy Świat w kierunku Starego Miasta. Nagle uprzedzono nas, byśmy dalej nie szli, bo w okolicy ul. Wareckiej zatrzymują mężczyzn. Z oddali zobaczyliśmy palące się na chodniku świece i leżące kwiaty. Na jezdni stał samochód ciężarowy otoczony przez Niemców. Łapanka!

Mama bezradnie rozglądała się nie wiedząc co robić, ale po chwili z radością i ulgą powiedziała: „Jesteśmy na rogu Foksal i Nowego Światu, przecież w tym domu mieszkają Uszyccy”.

Uszyccy byli serdecznymi przyjaciółmi naszej rodziny - dr Kazimierz Uszycki był kolegą ze studiów mojego Taty i moim Ojcem Chrzestnym. Nasze rodziny odwiedzały się wzajemnie w Warszawie i Błoni, gdzie my mieszkaliśmy.

W mieszkaniu na drugim piętrze zastaliśmy w całą rodzinę: rodziców, córki Krystynę i Marię oraz syna Andrzeja. Pijąc napój o dziwnym smaku, nazywanym w czasie okupacji „herbatą”, opowiadaliśmy o strzelaninie na Nowym Świecie i „łapance”. Po chwili do pokoju, w którym siedzieliśmy, wszedł młody mężczyzna, lat około 25-27, niezbyt wysoki, dobrze zbudowany, o twarzy pociągłej, włosach ciemnych, nieco kręconych. Przedstawił się jako „Kawała”. Przysłuchiwał się naszej rozmowie bardzo uważnie, nie zabierając głosu. W pewnym momencie powiedział z dużym przekonaniem, ale obcym akcentem: „Ci Polacy to bohaterski i dzielny naród”.

Od razu zyskał naszą sympatię. Rozmowa toczyła się dalej wokół bieżących wydarzeń: o aresztowaniach, łapaniach, strzelaninie na ulicy, o prasie podziemnej, tajnym nauczaniu. Młodzieniec ten bardzo uważnie przysłuchiwał się naszej rozmowie. Widać było, że stara się jak najwięcej zanotować w swojej pamięci. Po pewnym czasie wstał, przeprosił, że musi już wyjść, pożegnał się i opuścił nasze towarzystwo.

Wtedy od Stefanii Uszyckiej, żony Kazimierza, dowiedzieliśmy się, iż jest on Anglikiem, ściśle współpracującym z Armią Krajową z którą nawiązał kontakty będąc jeszcze w obozie jeńców wojennych na terenie Polski, w rejonie

Łodzi czy też Bydgoszczy (tego nie pamiętam). Po ucieczce z obozu Kawała przebywał w kilku miejscowościach, aby w końcu przyjechać do Warszawy, w której też kilkakrotnie zmieniał adresy. Ostatecznie, w porozumieniu z komendą AK, w Warszawie został skierowany do dra Kazimierza Uszyckiego.

Rodzina Uszyckich była bardzo patriotyczna, przepełniona polskością katolicyzmem i zaangażowana od samego początku w działalność konspiracyjną. Ich mieszkanie zostało uznane ze względów konspiracyjnych za bardzo dobre, ponieważ duża liczba pacjentów pozwalała na wejście w sposób nie

zwracający uwagi, a ponadto z domu były dwa wyjścia, co miało duże znaczenie w przypadku nagłej ucieczki.

Podczas wielokrotnych spotkań w domu Uszyckich z Pawełkiem, takiego bowiem imienia wówczas na co dzień używał, rozmawialiśmy o wydarzeniach w Polsce, działalności AK i podziemnego Państwa Polskiego. Przejawiał on duże zainteresowanie funkcjonowaniem armii podziemnej, dywersją prasą podziemną i tajnym szkolnictwem.

Pamiętam, jakim było dla niego zaskoczeniem, gdy powiedziałem mu, że na maturze, którą będę zdawał, będzie przedstawiciel Ministerstwa Oświaty. Z jakiego ministerstwa? - spytał, przecież jest okupacja. „Podziemnego”, odpowiedziałem. Trudno było mu to zrozumieć.

Ze względów konspiracyjnych nie pytałem Pawełka o jego działalność konspiracyjną w AK i praktycznie nic mi nie jest wiadomym w tej sprawie.

O ile dobrze wiem, to był on jedynym Anglikiem współpracującym w czasie okupacji z Armią Krajową.

Kawała do końca swojego pobytu w Warszawie mieszkał u Uszyckich i tutaj doskonale poznał Polskę, Polaków i dziewczyny na tyle, że zakochał się z wzajemnością w Marysi Uszyckiej. W maju 1943 r. w kościele pod wezwaniem Św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu, w kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej, odbył się ich ślub. Ze względu na bezpieczeństwo liczba osób uczestniczących w tej uroczystości była tak bardzo ograniczona, że nikt z naszej rodziny nie był tam obecny. Po roku urodziła się im córka Patrycja.

Nie jestem pewien, czy Pawełek ją widział, ponieważ w tym czasie wyjechał z Warszawy samochodem do Danii w towarzystwie niemieckiego oficera, sam będąc też w mundurze niemieckiego oficera. Przedostał się do Norwegii, a następnie przez „zieloną granicę” do Szwecji i ze Sztokholmu samolotem do Londynu. Żona Marysia dowiedziała się o jego szczęśliwym powrocie do Wielkiej Brytanii po kilku miesiącach z komunikatów BBC, w których podano, że „żołnierz Armii Brytyjskiej, po wykonaniu ważnego zadania w Polsce, szczęśliwie wrócił do Anglii”.

Dr Kazimierz Uszycki brał udział w obronie Warszawy w r. 1939. Po zdemobilizowaniu w początkach października z filii nr 5 zastępczego Szpitala Okręgowego Obrony Warszawy, natychmiast włącza się w nurt działalności konspiracyjnej, biorąc udział z córkami jako sanitariuszkami, w Powstaniu Warszawskim, w którym został ranny. Po upadku Powstania rodzina Uszyckich znalazła się na wsi kieleckiej, a następnie zamieszkała w Wałbrzychu, gdzie ich kilkakrotnie odwiedzałem.

Żona Marysia z córeczką Patrycją opuściła Polskę 6 września 1945 r., to jest w dniu urodzin męża, zabrana z Polski specjalnym samolotem. O życiu Pawełka i Marysi w Anglii rodzice dowiadywali się jedynie z listów i tylko tyle ja dowiadywałem się, odwiedzając w Wałbrzychu ojca chrzestnego. Od niego też dowiedziałem się o postanowieniu wyjechania z Anglii do Nowej Zelandii, przy czym wówczas jako uzasadnienie podano przyczyny ekonomiczne. Natomiast później w listach otrzymywanych z nowego miejsca zamieszkania podano przyczyny polityczne, których nie rozumieliśmy.

Moje kontakty z Marysią i wiedza o życiu w Nowej Zelandii zostały przerwane po śmierci jej rodziców na początku lat 60., aż do maja 2006 r., kiedy to zupełnie przypadkowo, od mojego serdecznego przyjaciela jeszcze z lat dziecinnych, Władysława Deglera, dowiedziałem się, że Pawełek Kawała to Ron Jeffry, który w Nowej Zelandii napisał i opublikował książkę pod tytułem "RED

RUNS THE VISTULA", w której opisał swoje życie w okupowanej Warszawie, a także i to, że Marysia mieszka pod znanym adresem w Australii.

Duże okupacyjne zasługi Rona Jeffery'go dla AK i Kraju nie podlegają dyskusji. W udostępnionej mi przedmowie do polskiego wydania książki Rona, napisanej przez Jana Nowaka-Jeziorańskiego, przeczytałem, między innymi, iż zasłużył na najwyższe polskie odznaczenie wojskowe Virtuti Militari, ale nigdy go nie dostał. Wyrażam moje głębokie przekonanie, że nadszedł czas, by najwyższe władze polskie zrealizowały sugestie Jana Nowaka-Jeziorańskiego i przyznały Ronowi Krzyż Virtuti Militari, a władze Warszawy jego imieniem nazwały jedną z ulic lub placów Stolicy.

Płk w st. spocz. doc. dr hab. med. Władysław Nowakowski

Błonie maj-czerwiec 2006